

The background of the book cover is a photograph of a sunset over a mountain range. The sun is a bright yellow circle on the horizon, casting a warm glow across the sky. The mountains are silhouetted against the bright light. A vertical white line runs down the center of the cover, separating the author's name on the left from the title on the right.

chimamanda
ngozi
adichie

połówka
żółtego słońca

książka wyróżniona prestiżową nagrodą Orange Prize 2007

Chimamanda Ngozi Adichie
Półowka żółtego słońca

Moi dziadkowie, których nigdy nie poznałam,
Nwoye David Adichie i Aro-Nweke Felix Odigwe,
nie przeżyli tej wojny.

Moje babcie, Nwabuodu Regina Odigwe i Nwamgbafor Agnes Adichie,
obie niezwykle kobiety, przetrwały ją.

Niniejsza książka jest dedykowana ich wspomnieniu:

Kafa nodu na ndokwa.

I Mellitusowi, gdziekolwiek jest.

Dziś wciąż je jeszcze widzę -
Cienkie jak igła, wyschłe w słońcu i pyle suchych miesięcy
Nagrobek na maleńkich szczątkach żarliwej odwagi.

Chinua Achebe,
fragment wiersza „*Sadzonka mango*”
z tomu *Christmas in Biafra and Other Poems*

CZEŚĆ PIERWSZA

POCZĄTEK LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH

1

Pan jest trochę zwariowany; chyba zbyt wiele lat spędził za granicą na czytaniu książek, rozmawia ze sobą w swoim gabinecie, nie zawsze odpowiada na powitania i ma za dużo włosów. – Ciocia powiedziała to do Ugwu cichym głosem, idąc wraz z nim ścieżką. – Ale to dobry człowiek – dodała. – I dopóki będziesz dobrze pracował, nie braknie ci dobrego jedzenia. A może nawet codziennie będziesz jeść mięso. – Przystanęła, żeby splunąć, a opuszczająca jej usta ślina zasyczała i wylądowała na trawie.

Ugwu nie potrafił uwierzyć, że ktokolwiek, nawet ten pan, u którego miał zamieszkać, mógł jeść mięso każdego dnia. Jednak nie przedstawił cioci swoich wątpliwości, nadzieja na przyszłość prawie zupełnie odebrała mu mowę, zbyt szybko absorbowano go świeże wyobrażenia nowego życia poza wioską. Szli już dość długo, odkąd wysiedli z ciężarówki na dworcu autobusowym w żarze popołudniowego słońca palącego karki. Ale on nie zważał na to. Nawet w gorętszym słońcu mógłby iść przez kolejne godziny. Nigdy w życiu nie napotkał takiego widoku, jaki otworzył się przed nim po minięciu bramy uniwersytetu, te ulice tak gładkie i wysmołowane, że aż korciło go, żeby przyłożyć do nich policzek. Nigdy nie uda mu się opisać swojej siostrze Anulice tych pomalowanych na kolor nieba bungalów, stojących jeden obok drugiego jak grzeczni, elegancko ubrani ludzie, i rozdzielających je żywopłotów, tak równo przyciętych u góry, że przypominały stoły owinięte liśćmi.

Ciocia szła szybciej, po cichej ulicy rozbrzmiewało plaskanie jej kłapek. Ugwu zastanawiał się, czy ona też wyczuwa przez cienkie podeszwy coraz gorętszą smołę węglową. Mijając tabliczkę z napisem ODIM STREET, Ugwu bezgłośnie wypowiedział słowo „Street”, jak zawsze kiedy jego wzrok padał na niezbyt długie angielskie słowo. Kiedy już weszli na teren posesji, poczuł jakiś słodki ciężki zapach, niewątpliwie płynący z białych kwiatów kępami porastających krzaki przy wejściu. Krzewy tworzyły kształt smukłych wzgórz. Trawnik połyskiwał pod stopami. U góry unosiły się motyle.

– Powiedziałałam panu, że wszystkiego bardzo szybko się uczysz, osiso-osiso – rzekła ciotka. Ugwu skinął głową z uwagą, chociaż powtarzała mu to wie-

lokrotnie, równie często opowiadała, jak doszło do tego, że los tak się do niego uśmiechnął: kiedy tydzień temu zamiatała korytarz na wydziale matematyki, usłyszała pana mówiącego, że potrzebny jest mu służący, który zajmowałby się u niego sprzątaniami, więc ona natychmiast zaoferowała swoją pomoc, zabierając głos, zanim maszynistka albo goniec zdążą kogoś polecić.

– Ciociu, ja szybko się nauczę – potwierdził Ugwu. Wpatrywał się w stojący w garażu samochód, którego błękitną karoserię okalał pasek metalu wyglądający jak naszyjnik.

– Pamiętaj, zawsze odpowiadaj: „Tak, sah”, kiedy pan będzie cię wołał.

– Tak, sah! – powtórzył Ugwu.

Stali przed szklanymi drzwiami. Ugwu z trudem powstrzymywał się przed dotknięciem betonowej ściany, kusiło go, żeby sprawdzić, jak bardzo ta powierzchnia różni się od zbudowanych z błota ścian w chacie jego matki, wciąż noszących niewyraźne ślady palców formujących je ludzi. Przez krótką chwilę żałował, że nie jest teraz tam, w chacie matki, pod ciemnym chłodem strzechy, albo w chacie cioci, jedynej w całej wiosce chacie z dachem z blachy falistej.

Ciocia zastukała w szybę. Ugwu dostrzegł białe firanki wiszące za drzwiami. Usłyszał głos mówiący po angielsku:

– Tak? Proszę wejść.

Przed wejściem zdjęli klapki z nóg. Ugwu nigdy jeszcze nie widział tak szerokiego pokoju. Ustawione półkolem brązowe sofy poprzedzielane były stolikami, półki zastawione książkami, na centralnie umieszczonym stole stała waza pełna czerwonych i białych sztucznych kwiatów, ale i tak wydawało się, że w pokoju jest za dużo miejsca. Pan siedział w fotelu ubrany w podkoszulek i krótkie spodenki. Nie siedział prosto, był nieco odchylony, z twarzą nakrytą książką, jakby zupełnie nie zważał na to, że właśnie zaprosił kogoś do środka.

– Dzień dobry, sah! To jest to dziecko – odezwała się ciocia Ugwu.

Pan podniósł wzrok. Miał bardzo ciemną karnację, przypominającą starą korę, a pokrywające jego piersi i nogi włosy lśniły jeszcze ciemniejszym odcieniem. Zdjął okulary.

– Dziecko?

– Służący, sah.

– Ach, tak, przyprowadziłaś służącego. I kpotago ya. – Wypowiedane przez pana słowa w języku ibo dotykały uszu Ugwu lekko jak motyl. To był ibo zabarwiony płynną melodią dźwięków języka angielskiego, ibo osoby, która często mówi po angielsku.

– Będzie ciężko pracować – powiedziała ciocia. – To bardzo grzeczny

chłopak. Wystarczy mu tylko powiedzieć, co ma robić. Dziękuję, sah!

Pan mruknął coś w odpowiedzi, nieco błędnym wzrokiem obserwując Ugwu i jego ciotkę, jakby z powodu ich obecności nie mógł przypomnieć sobie czegoś bardzo ważnego. Ciocia klepnęła Ugwu w ramię, szepnęła mu, żeby się starał, i odwróciła się w stronę drzwi. Po jej wyjściu pan ponownie nałożył okulary, wyciągnął nogi i jeszcze bardziej odchyliwszy się w fotelu, powrócił do książki. Nie odrywał od niej wzroku, nawet kiedy odwracał kartki.

Ugwu stał przy drzwiach i czekał. Przez okna wlewało się światło słoneczne, lekki wiaterek od czasu do czasu poruszał firankami. W pokoju panowała absolutna cisza czasami przerywana szelestem przewracanych przez pana kartek. Ugwu przez chwilę stał nieruchomo, potem zaczął powoli przesuwać się coraz bliżej regału z książkami, jakby chciał się w nim schować, i po kolejnej chwili przykucnął na podłodze, starannie układając między kolanami swoją torbę z rafii. Podniósł wzrok na sufit, tak wysoki nad głową i tak olśniewająco biały. Zamknąwszy oczy, próbował wyobrazić sobie ten tak osobliwieumeblowany przestronny pokój, jednak nie udało mu się to. Kiedy ponownie otworzył oczy, jeszcze raz ogarnął go ten sam zachwyty, i Ugwu rozejrzał się wokół, chcąc się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pomyśleć tylko, że będzie mógł siadać na tych sofach, polerować tę śliską i gładką podłogę, prać te zwiewne firanki.

– Kedu afa gi? Jak się nazywasz? – Wystraszył się, słysząc pytanie pana.

Ugwu podniósł się.

– Jak się nazywasz? – Pan powtórzył pytanie i usiadł wyprostowany. Swoją osobą wypełniał cały fotel, gęste włosy stały mu wysoko na głowie, kłębiły się na muskularnych ramionach i szerokich barkach; wcześniej Ugwu wyobrażał sobie kogoś starszego, słabowitego, i teraz ogarnął go przestach, że może nie spełnić oczekiwań pana, który wygląda na tak młodzieńczo sprawnego, który sprawia wrażenie, jakby niczego nie potrzebował.

– Ugwu, sah.

– Ugwu. I pochodzisz z Obukpy?

– Z Opi, sah.

– Możesz mieć równie dobrze dwanaście lat albo trzydzieści. – Pan zmrużył oczy. – Pewnie masz trzynaście. – Powiedział „thirteen”, po angielsku.

– Tak, sah.

Pan powrócił do książki. Ugwu nie ruszał się z miejsca. Pan przerzucił kilka stron i poniósł wzrok.

– Ngwa, idź do kuchni, w lodówce powinieneś znaleźć coś dojedzenia.

– Tak, sah.

Powoli stawiając nogę za nogą, Ugwu ostrożnie wszedł do kuchni. Kiedy zobaczył coś białego, prawie tak wysokiego jak on, od razu wiedział, że musi to być lodówka. Ciocia opowiadała mu o lodówce. Zimna stodoła, mówiła, w której jedzenie się nie psuje. Otworzył lodówkę i aż westchnął, czując na twarzy uderzenie zimnego powietrza. Pomarańcze, pieczywo, piwo, napoje, na różnych poziomach poukładanych leżało wiele rzeczy w paczkach i puszkach, a u samej góry pieczony połyskujący kurczak, prawie cały, brakowało tylko jednej nogi. Ugwu dotknął kurczaka wyciągniętą ręką. W uszach rozbrzmiewało mu ciężkie sapanie lodówki. Ponownie dotknął kurczaka i obliżawszy najpierw palec, urwał drugą nogę, którą zjadł do samego końca, aż w dłoni pozostały mu połamane, wysrane kawałki kości. Później oderwał kawałek Chleba, tak wielki, że gdyby wręczył mu go w prezencie przybyły z wizytą krewny, z radością podzieliliby się nim ze swoim rodzeństwem. Jadł pośpiesznie, bojąc się, że w każdej chwili pan może przyjść i zmienić zdanie. Skończywszy jedzenie, stanął przy zlewie i próbował przypomnieć sobie słowa cioci, mówiącej o tym, co należy zrobić, żeby woda trysnęła jak ze źródła, ale w tym momencie do kuchni wszedł pan. Włożył koszulkę z drukowanej tkaniny i spodnie. Wyzierające ze skórzanych kłapek palce u nóg wyglądały jak kobiece, prawdopodobnie dlatego, że były tak czyste – były częścią stóp, które zawsze nosiły buty.

– O co chodzi? – zapytał pan.

– Sah? – Ugwu gestem wskazał na zlewozmywak.

Pan podszedł i przekręcił metalowy kurek.

– Rozejrzyj się po domu i zanieś swój worek do pierwszego pokoju w korytarzu. Idę się przejść, żeby przewietrzyć głowę, i nugo?

– Tak, sah. – Ugwu patrzył za panem wychodzącym przez tylne wyjście.

Pan nie był wysoki. Szedł krokiem dziarskim, żwawym i wyglądał jak Ezeagu, mężczyzna, który w wiosce Ugwu dzierżył palmę pierwszeństwa w zapasach.

Ugwu zakręcił kran, ponownie go odkręcił, a potem jeszcze raz zakręcił. W kółko go odkręcał i zakręcał i w końcu wybuchnął głośnym śmiechem oczarowany magią płynącej wody oraz kurczaka i chleba kojąco wypełniających jego brzuch. Przeszedł przez salon i znalazł się w korytarzu. Stosy książek piętrzyły się na półkach i stołach w trzech sypialniach, na umywalce i szafkach w łazience, w gabinecie zajmowały miejsce od podłogi do sufitu, a w spiżarni, obok skrzynek z coca-colą i kartonów z piwem „Premier”, w stosach leżały stare czasopisma. Niektóre książki były otwarte i leżały okładką do góry, jakby

pan nie zdążył skończyć czytać jednej, a już pospiesznie przeszedł do następnej. Ugwu próbował odczytać tytuły, ale większość była zbyt długa, zbyt trudna: „Non-parametric Methods”, „An African Survey”, „The Great Chain of Being”, „The Norman Impact Upon England”. Przechodził z pokoju do pokoju na palcach, bojąc się, że ma brudne stopy, i im więcej widział, tym bardziej zależało mu na tym, żeby pan był z niego zadowolony, żeby mógł zostać w tym domu pełnym jedzenia i chłodnych podłóg. Właśnie przyglądał się toalecie i przesuwiał dłonią po czarnej plastikowej desce, kiedy usłyszał głos pana.

– Gdzie jesteś, mój dobry człowieku? – Słowa „mój dobry człowieku” powiedział po angielsku.

Ugwu pędem wpadł do salonu.

– Tak, sah!

– Jeszcze raz, jak się nazywasz?

– Ugwu, sah.

– Tak, Ugwu. Spójrz tu, nee anya, czy wiesz, co to jest?

Ugwu popatrzył na wskazaną przez pana metalową skrzynkę nabijaną niebezpiecznie wyglądającymi gałkami.

– Nie, sah – odparł.

– To radiola. Nowa i bardzo dobra. Nie jak te stare gramofony, które ciągle trzeba nakręcać. Musisz z tym bardzo uważać, bardzo. Musisz uważać, żeby nigdy nie zalać jej wodą.

– Tak, sah.

– Idę pograć w tenisa, a potem do klubu uczelnianego. – Pan wziął ze stołu kilka książek. – Mogę późno wrócić. Rozgość się więc i odpocznij.

– Tak, sah.

Ugwu patrzył, jak pan wyjeżdża z posiadłości, po czym podszedł do radioli i dokładnie się jej przyjrzał, nie ważył się jednak tknąć. Następnie przeszedł się po domu, tam i z powrotem, dotykając książek, firanek, mebli i talerzy, a kiedy się ściemniło, włączył światło i zachwycił się jasnością bijącą z wiszącej pod sufitem żarówki, która nie rzucała długich cieni na ścianach, jak robiły w jego domu lampy na olej palmowy. O tej porze matka na pewno przygotowuje wieczorny posiłek z manioku, uciera akpu w moździerz, mocno trzymając tłuczek w obu dłoniach. Młodsza żona, Chioke, dogląda wodnistej zupy w garnku balansującym na trzech kamieniach nad ogniem. Dzieci wrócą znad strumienia i będą droczyć się i gonić pod drzewem chlebowym. Może Anulika będzie je obserwować. Obecnie jest najstarszym dzieckiem w domu, toteż kie-

dy zasiadają wokół ognia dojedzenia, do niej należy rozdzielanie młodszych dzieci walczących o paski suszonej ryby w zupie. Poczekaj, aż cały akpu zostanie zjedzony, potem podziel rybę tak, że każde dziecko dostanie po kawałku, a dla siebie zostawi największy, tak jak on zawsze robił.

Ugwu otworzył lodówkę i zjadł jeszcze trochę chleba i kurczaka, pospiesznie wpychał jedzenie do ust, przez cały czas czując, że serce wali mu mocno, jakby biegł; następnie wygrzebał dodatkowe kawałki mięsa i oderwał skrzydełka. Dopiero kiedy wsunął kawałki kurczaka do kieszeni krótkich spodenek, udał się do swojego pokoju. Zamierzał przechować jedzenie do wizyty cioci, ponieważ chciał poprosić ją, żeby przekazała je Anulice. Mógłby ją nawet poprosić, żeby dała też trochę Nnesinachi. Może dzięki temu Nnesinachi w końcu zauważy go. Nie wiedział dokładnie, w jakim stopniu on i Nnesinachi są spokrewnieni, ale wiedział, że to pokrewieństwo ze strony ojca – pochodzili z tej samej umunna, i w związku z tym nie będą mogli się pobrać. Mimo to irytowało go, gdy jego matka mówiła o Nnesinachi, jakby to była jego siostra, nie lubił, kiedy mówiła na przykład: „Zanieś ten olej palmowy do mamy Nnesinachi, a jeśli jej nie będzie, zostaw go swojej siostrze”.

Nnesinachi zawsze mówiła do niego głosem roztargnionym, nie skupiała na nim wzroku, jakby nie miał dla niej żadnego znaczenia. Czasami zwracała się do niego, używając imienia Chiejina, kuzyna, który zupełnie go nie przypominał, a kiedy Ugwu mówił: „To przecież ja”, odpowiadała: „Wybacz, mój bracie Ugwu” z jakąś lodowatą oficjalnością, która miała oznaczać, że nie życzy sobie dalszej rozmowy. Mimo to lubił, kiedy matka posyłała go w różnych sprawach do jej domu. Przy takich okazjach mógł ją zobaczyć, jak się schyla, podsycając ogień, albo energicznie kroi na drobne kawałki liście tykwicy ugu, które miały trafić do garnka zupy gotowanej przez jej matkę, albo po prostu siedzi przed chatą i pilnuje młodszego rodzeństwa zawinięta w chustę zsuniętą tak nisko, że mógł dostrzec szczyty jej piersi. Gdy tylko te jej spiczaste piersi zaczęły się wybrzuszać, Ugwu jął rozmyślać, czy są gąbczasto miękkie czy twarde, jak niedojrzała gruszka z drzewa ube. Często żałował, że Anulika ma takie płaskie piersi – ciekawiło go też, dlaczego u niej trwa to tak długo, w końcu ona i Nnesinachi były mniej więcej w tym samym wieku – mógłby bowiem dotknąć jej piersi. Anulika z pewnością odtrąciłaby jego dłoń, może nawet uderzyłaby go w twarz, lecz zrobiłby to bardzo szybko – tylko ścisnąłby i zaraz uciekł – a dzięki temu przynajmniej miałby jakieś pojęcie i wiedziałby, czego się spodziewać, kiedy w końcu dotknie piersi Nnesinachi.

Ale obawiał się też, że nigdy nie uda mu się ich dotknąć, zwłaszcza teraz,

kiedy wujek zaprosił ją, żeby przyjechała do Kano i nauczyła się tam fachu. Miała wyjechać do Regionu Północnego pod koniec roku, kiedy ostatnie dziecko jej matki, które Nnesinachi nosiła, zacznie chodzić. Ugwu chciał się tym cieszyć i być równie wdzięczny jak reszta rodziny.

W końcu na Północy można było dorobić się fortuny, słyszał o ludziach, którzy pojechali tam handlować i po powrocie zburzyli swoje chaty, żeby postawić domy kryte dachami z blachy falistej. Jego obawy budziło jednak to, że gdy tylko zobaczy ją któryś z tych brzuchatych kupców z Północy, Ugwu nawet nie zdąży się obejrzeć, a już ktoś przyniesie do jej ojca wino palmowe, i jemu nigdy nie uda się dotknąć tych piersi. Ich wizerunek – tych jej piersi – zachowywał na koniec, kiedy często późnym wieczorem dotykał się, początkowo wolno, a potem energicznie, aż z jego ust wyrывał się stłumiony jęk. Zawsze zaczynał od wyobrażenia sobie jej twarzy, pełnych policzków i zębów w odcieniu kości słoniowej, później wyobrażał sobie oplatające go ramiona oraz jej ciało dopasowujące się do niego. Na koniec pozwalał się uformować jej piersiom, czasami były twarde w dotyku, kusząc, żeby się w nie wgryzł, a czasami bardzo miękkie i obawiał się, że to jego wyimaginowane ściskanie sprawia jej ból.

Przez chwilę chciał myśleć o niej dzisiejszej nocy, postanowił jednak tego nie robić. Nie teraz, nie tej pierwszej nocy w domu pana, na tym łóżku, które w niczym nie przypominało jego maty z ręcznie plecionej rafii. Na początek wcisnął dłonie w sprężystą miękkość materaca. Następnie zbadał leżące na nim warstwy materiału, nie bardzo wiedząc, czy powinien położyć się na nich czy przedtem zdjąć je i odłożyć na bok. W końcu wsunął się na łóżko i zwinąwszy ciało w kłębek, ułożył się na tych warstwach materiału.

Śniło mu się, że pan woła go: „Ugwu, mój dobry człowieku!”, a kiedy się obudził, zobaczył pana stojącego w drzwiach i na niego patrzącego. Może to jednak nie był sen. Wygramolił się z łóżka i zdezorientowany spojrzął w okna, w których wisiały zaciągnięte zasłony. Czy jest już późno? Czy to miękkie łóżko oszukało go i przez nie zasnął? Zazwyczaj budził się z pierwszym pianiem koguta.

- Dzień dobry, sah!
- Czuję tu silny zapach pieczonego kurczaka.
- Przepraszam, sah.
- Gdzie jest ten kurczak?

Ugwu pogrzebał w kieszeniach spodenek i wyjął kawałki kurczaka.

- Czy u was w rodzinie wszyscy jedzą przez sen? – zapytał pan. Miał

na sobie coś, co wyglądało jak kobiecy płaszcz, i w zamyśleniu skręcał zawiązany wokół pasa sznur.

– Sah?

– Czy chciałeś zjeść kurczaka w łóżku?

– Nie, sah.

– Miejsce jedzenia jest w jadalni i w kuchni.

– Tak, sah.

– Dzisiaj trzeba posprzątać kuchnię i łazienkę.

– Tak, sah.

Pan odwrócił się i wyszedł. Ugwu stał pośrodku pokoju, trzęsąc się i wciąż trzymając w wyciągniętych dłoniach kawałki kurczaka. Trapił się tym, że po drodze do kuchni musi przejść przez jadalnię. W końcu włożył kurczaka z powrotem do kieszeni, odetchnął głęboko i wyszedł z pokoju. Pan siedział w jadalni przy stole, a przed nim na stosie książek stała filiżanka z herbatą.

– Czy wiesz, kto tak naprawdę zabił Lumumbę? – zapytał pan, podnosząc wzrok znad czasopisma. – Amerykanie i Belgowie. Nie miało to żadnego związku z Katangą.

– Tak, sah – odparł Ugwu. Chciał, żeby pan mówił dalej, pragnął słuchać tego dźwięcznego głosu, melodyjnej mieszanki angielskich słów umieszczonych w zdaniach języka ibo.

– Jesteś moim służącym – powiedział pan. – Jeśli każę ci wziąć kij i zbić nim kobietę idącą ulicą, a ty poranisz jej nogę do krwi, kto będzie odpowiedzialny za tę ranę: ty czyja?

Ugwu wpatrywał się w niego, kręcąc głową i zastanawiając się, czy pan w jakiś okrzęzny sposób nie odnosi się do tych kawałków kurczaka.

– Lumumba był premierem Konga. Wiesz, gdzie leży Kongo? – zapytał pan.

– Nie, sah.

Pan podniósł się szybko i wyszedł do gabinetu. Powieki Ugwu zatrzepotały z zakłopotania i przestraszenia. Czy pan go odeśle, bo Ugwu nie potrafi dobrze mówić po angielsku, trzyma w nocy kurczaka w kieszeni, nie zna dziwnych miejsc wymienianych przez pana?... Po chwili pan wrócił, niosąc szeroki zwój papieru, i odsunąwszy książki i czasopisma, rozłożył go na stole w jadalni. Wskazał piórem jakieś miejsce.

– To jest nasz świat, tyle że ludzie, którzy narysowali tę mapę, postanowili umieścić swój kraj nad naszym. Ale widzisz, w rzeczywistości nie ma tu ani góry, ani dołu. – Pan wziął w dłonie papier i zwinął go tak, że jedna krawędź dotykała drugiej, a w środku zrobiła się dziura. – Nasz świat jest okrągły, nie

ma końca. Nee anya, tu wszędzie jest woda, morza i oceany, tu jest Europa, a tu nasz kontynent, Afryka, i Kongo jest w samym środku. Tutaj wyżej leży Nigeria, natomiast Nsukka tutaj, na południowym wschodzie, i my właśnie tu jesteśmy. – Stuknął piórem w papier.

– Tak, sah.

– Chodziłeś do szkoły?

– Dwie klasy podstawówki, sah. Ale szybko się uczę wszystkiego.

– Dwie klasy? Jak dawno temu to było?

– To już wiele lat, sah. Ale wszystkiego bardzo szybko się uczę.

– Dlaczego przerwałeś naukę?

– Ziemia ojca przestała dawać plony, sah.

Pan skinął powoli głową.

– Dlaczego twój ojciec nie poszukał kogoś, kto pożyczyłby mu na chesne?

– Sah?

– Twój ojciec powinien pożyczyć pieniądze! – rzucił pan ostrym tonem i dodał po angielsku: – Edukacja to sprawa najważniejsza! W jaki niby sposób mamy się przeciwstawić wyzyskowi, jeśli nie dysponujemy odpowiednimi narzędziami pozwalającymi zrozumieć, czym jest wyzysk?

– Tak, sah! – Ugwu energicznie skinął głową. Za wszelką cenę chciał sprawić wrażenie uważnego, ponieważ w oczach pana dostrzegł ten szaleńczy błysk.

– Zapiszę cię do podstawówki przy uniwersytecie – stwierdził pan, nadal stukając piórem w papier.

Ciocia Ugwu powiedziała mu, że jeśli przez kilka lat będzie dobrze służył, pan może posłać go do szkoły zawodowej, gdzie Ugwu mógłby nauczyć się pisać na maszynie i stenografować. Wspomniała o podstawówce przy uniwersytecie, ale tylko w celu poinformowania go, że chodzą do niej dzieci wykładowców, ubrane w niebieskie mundurki i białe skarpetki tak misternie wykonane koronką, że aż dziw brał, dlaczego komuś chciało się tracić tyle czasu na zwykłe skarpetki.

– Tak, sah – powiedział. – Dziękuję, sah.

– Prawdopodobnie będziesz najstarszy w grupie, zważywszy na to, że w twoim wieku idziesz dopiero do trzeciej klasy – rzekł pan. – I w twoim wypadku jedyny sposób, żeby zdobyć szacunek uczniów, to być najlepszym. Rozumiesz?

– Tak, sah!

– Usiądź, mój dobry człowieku.

Ugwu wybrał krzesło stojące jak najdalej od pana i niezgrabnie ułożył stopy jedna obok drugiej. Wolałby raczej pozostać w pozycji stojącej.

– W szkole będą cię uczyć różnych rzeczy o naszym kraju i musisz pamiętać, że zawsze są dwie odpowiedzi na zadawane pytania: prawdziwa odpowiedź i odpowiedź, jakiej musisz udzielić, żeby zdać. Musisz czytać książki i poznać obie odpowiedzi. Książki dostaniesz ode mnie, doskonałe książki. – Pan przerwał i łyknął herbaty. – Będą cię uczyć, że pewien biały człowiek, który nazywał się Mungo Park, odkrył rzekę Niger. To są bzdury. Nasi ludzie łowili ryby w Nigrze na długo przed urodzeniem się dziadka tego Mungo Parka. Ale na egzaminie masz napisać, że to był Mungo Park.

– Tak, sah. – Ugwu zrobiło się przykro, że człowiek, który nazywał się Mungo Park, najwyraźniej tak bardzo obraził pana.

– Nie potrafisz nic innego mówić?

– Sah?

– Zaśpiewaj mi coś.

– Sah?

– Zaśpiewaj jakąś piosenkę. Znasz jakąś piosenkę? Śpiewaj! – Pan zdjął okulary. Zmarszczył brwi, które teraz wyglądały bardzo poważnie.

Ugwu zaczął śpiewać starą pieśń, której nauczył się w gospodarstwie ojca. Czuł w piersiach bolesne uderzenia serca.

– Nzogbo nzogbu enyimba, enyi...

Początkowo śpiewał cicho, ale pan stuknął piórem w stół i rzekł: – Głośniej! – więc stopniowo podnosił głos, a pan powtarzał: – Głośniej! – dopóki Ugwu nie zaczął krzyczeć. Kiedy już kilka razy powtórzył pieśń, pan kazał mu przestać.

– Dobrze, już dobrze – powiedział. – Potrafisz zrobić herbatę?

– Nie, sah. Ale szybko się uczę – odrzekł Ugwu. Śpiewanie jakby coś w nim poluzniło, oddychał z łatwością, serce przestało już walić jak opętane. Poza tym nabrał przekonania, że pan jest szalony.

– Zazwyczaj jadam w klubie uczelnianym. Wygląda na to, że skoro już tu jesteś, będę musiał przynosić więcej jedzenia.

– Sah, ja potrafię gotować.

– Gotujesz?

Ugwu skinął głową. Wiele wieczorów spędził na przyglądaniu się, jak gotuje jego matka. Rozpalał dla niej ogień albo podsyczał żar, kiedy zaczynała dogasać. Obierał i rozcierał bulwy jamsu i manioku, wydmuchiwał łuski z ryżu, wybierał chrząszcze z fasoli, obierał cebule i ucierał pieprz. Często kiedy mat-

ka cierpiała na kaszel, chciał sam zajmować się gotowaniem, a nie zostawiać tego Anulice. Nikomu o tym nie mówił, nawet Anulice, która i tak zdążyła już mu powiedzieć, że zbyt wiele czasu spędza w towarzystwie gotujących kobiet i jeśli dalej będzie tak robić, nigdy mu nie wyrośnie broda.

– Proszę bardzo, możesz sam gotować jedzenie – powiedział pan.

– Sporządź listę tego, co potrzebujesz.

– Tak, sah.

– Sam nie trafisz na targ, prawda? Powiem Jomowi, żeby ci pokazał drogę.

– Jomowi, sah?

– Jomo opiekuje się naszym gospodarstwem. Przychodzi tu trzy razy w tygodniu. Zabawny człowiek, widziałem, jak mówił do krotonu... – Pan przerwał na moment. – W każdym razie będzie tu jutro.

Jakiś czas później Ugwu spisał listę produktów i wręczył ją panu.

Pan przez chwilę przyglądał się tej liście.

– Ciekawa receptura – rzekł po angielsku. – Myślę, że w szkole nauczą cię częściej korzystać z samogłosek.

Ugwu nie spodobało się rozbawienie na twarzy pana.

– Potrzebujemy desek, sah – powiedział.

– Desek?

– Na pańskie książki, sah. Żebym mógł je poukładać.

– Ach, tak, chodzi o półki. Myślę, że moglibyśmy wcisnąć tu gdzieś jeszcze kilka półek, może w korytarzu. Porozmawiam z kimś z naszego działu budowlanego.

– Tak, sah.

– Odenigbo. Mów do mnie Odenigbo.

Ugwu spojrział na niego niepewnie.

– Sah?...

– Nie nazywam się Sah. Mów do mnie Odenigbo.

– Tak, sah.

– Zawsze będę nazywał się Odenigbo. Pan to określenie arbitralne. Jutro ty możesz być panem.

– Tak, sah... Odenigbo.

Ugwu naprawdę wolał mówić „sah”, w tym słowie czuło się ożywczą moc. Kiedy kilka dni później dwaj mężczyźni z działu budowlanego przyszli, by zamontować półki w korytarzu, powiedział im, że będą musieli poczekać, aż sah wróci do domu; on nie mógł podpisać białej kartki, na której widniał napisany na maszynie tekst. Słowo „sah” wymówił z dumą.

– To tylko wiejski służący – stwierdził lekceważąco jeden z mężczyzn, a Ugwu spojrział mu w twarz, mrużąc pod nosem przekleństwo o ostrej biegunce, która miałaby już przez całe życie nie odstępować i jego, i całego jego potomstwa. Kiedy układał książki, złożył sobie przyrzeczenie, o mało nie mówiąc tego na głos, że nauczy się podpisywać formularze.

W kolejnych tygodniach, kiedy dokładnie badał każdy zakątek bungalowu, kiedy odkrył, że ul mieścił się na nerkowcu, a motyle zlatują się na podwórzu przed domem, gdy słońce świeci najjaśniej, w tych właśnie tygodniach równocześnie pilnie uczył się rytmu życia pana. Każdego ranka zbierał „Daily Times” i „Renaissance”, rzucane przez sprzedawcę przed drzwiami, i kładł je złożone na stole obok przygotowanych dla pana herbaty i chleba. Zanim pan skończył śniadanie, Ugwu zdążył umyć opla, a kiedy pan wracał z pracy i miał sjęstę, ponownie przecierał na sucho samochód, bo potem pan jechał na kort. Cicho krążył po domu w dni, w które pan zamykał się na całe godziny w swoim gabinecie. Kiedy słyszał pana idącego korytarzem i coś głośno mówiącego, upewniał się, że jest przygotowana gorąca woda na herbatę. Codziennie szorował podłogi. Polerował żaluzje, dopóki nie połyskiwały w popołudniowym słońcu, zwracał uwagę na minimalne pęknięcia w wannie, polerował spodki, na których podawał orzechy kola znajomym pana. W salonie codziennie zjawiało się co najmniej dwóch gości, z cicho nastawionej radioli sączyła się dziwna, przypominająca dźwięk fletu muzyka, na tyle cicha, że odgłosy rozmowy, śmiechu i brzęku szkła wyraźnie docierały do Ugwu, który w tym czasie przebywał w kuchni albo w korytarzu, gdzie prasował ubrania pana.

Bardzo starał się wykazać, chciał dostarczyć panu wszelkich możliwych powodów do pozostawienia go u siebie, dlatego też pewnego ranka wyprasował mu skarpetki. Chociaż czarne skarpetki w prążki nie sprawiały wrażenia pomiętych, sądził, że będą jeszcze lepiej wyglądać, jeśli je rozprostuje. Gorące żelazko zasyczało i kiedy je podniósł, zobaczył, że połowa skarpetki przylepiła się do stopy żelazka. Ugwu zmarł. Pan siedział przy stole w jadalni, właśnie kończył śniadanie i lada moment mógł tu nadejść, żeby włożyć skarpetki i buty, zabrać z półki teczki na dokumenty i wyjść do pracy. Ugwu chciał ukryć skarpetki pod krzesłem i pobiec do szuflady po świeżą parę, lecz nie był w stanie poruszyć nogami. Stał tak ze spaloną skarpetką, zdając sobie sprawę, że pan zastanie go w takiej właśnie pozycji.

– Wyprasowałeś moje skarpetki, prawda? – zapytał pan. – Ty durny ignorancie. – Słowa „durny ignorant” zabrzmiały w jego ustach jak muzyka.

– Przepraszam, sah! Przepraszam, sah!

– Już ci mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywał. – Pan zdjął z półki teczkę. – Spóźnię się.

– Sah?... Czy mam przynieść nową parę? – zapytał Ugwu.

Ale pan zdążył już włożyć buty, bez skarpetek, i pospiesznie wyszedł. Ugwu usłyszał głośny dźwięk zatraskiwanych drzwi i warkot odjeżdżającego samochodu. Czuł w piersiach jakiś ciężar, sam nie wiedział, dlaczego wyprasował skarpetki, dlaczego po prostu nie zajął się samym ubraniem w stylu safari. To przez złe duchy, na pewno przez nie. Złe duchy nakłoniły go do tego. W końcu czają się wszędzie. Zawsze kiedy leżał chory z gorączką, a także raz, kiedy spadł z drzewa, matka nacierała jego ciało okwumą, przez cały czas mruczając: „Pokonamy je, nie wygrają z nami”.

Wyszedł przed dom i ruszył wzdłuż kamieni ułożonych jeden przy drugim wokół wypielegnowanego trawnika. Złe duchy nie wygrają. Nie pozwoli, żeby go pokonały. Na środku trawnika znajdowało się okrągłe miejsce nieporośnięte trawą, przypominające samotną wyspę na zielonym morzu, i rosła tam cienka palma. Ugwu jeszcze nigdy nie widział tak niskiej palmy ani tak idealnie rozłożystych liści. Nie wyglądała na dostatecznie silną, żeby rodić owoce, w ogóle nie sprawiała wrażenia użytecznej, podobnie jak większość rosnących tu roślin. Podniósł kamień i rzucił przed siebie. Tyle wolnej przestrzeni tu się marnuje! W jego wiosce ludzie uprawiali przy domach nawet najmniejsze działki i sadzili tam użyteczne warzywa i zioła. Babcia nie musiała uprawiać swojego ulubionego zioła, arigbe, ponieważ wszędzie dziko rosło. Powiadała, że arigbe zmiękcza serce mężczyzny. Była drugą z trzech żon i nie korzystała z uprzywilejowanej pozycji, jaka przynależy pierwszej i ostatniej, więc jak powiedziała wnukowi, zanim poprosiła męża o cokolwiek, najpierw gotowała mu pikantną kaszkę z jamsu z arigbe. I zawsze działało. Może więc podziela też na pana.

Ugwu przespacerował się w poszukiwaniu arigbe. Zajrzał między różowe kwiaty, pod drzewo nerkowca, na którego gałęzi mieścił się gąbczasty ul, pod drzewo cytrynowe, po którego pniu w górę i w dół maszerowały czarne mrówki żołnierze, i pod melonowce, na których dojrzewające papaje upstrzone były ogromnymi dziurami wydrążonymi przez ptaki. Jednak ziemia była czysta, nie było na niej żadnych ziół; Jomo pielł wszystko dokładnie i starannie i nic, co było niepożądane, nie miało prawa się tu pojawić.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Ugwu przywitał się z Jomem, który tylko skinął głową i nie przerywał swojej pracy, słowem się nie odzywając. Był małym człowiekiem, a jego mocno zbudowane pomarszczone ciało, zdaniem

Ugwu, bardziej potrzebowało podlewania niż te rośliny, na które kierował metalową konewkę. W końcu Jomo podniósł wzrok na Ugwu.

– Afa m bu Jomo – oświadczył, jakby Ugwu nie znał jego imienia. – Niektórzy mówią na mnie Kenyatta na cześć wielkiego człowieka z Kenii. Jestem myśliwym.

Ugwu nie wiedział, co ma odpowiedzieć, ponieważ Jomo patrzył mu prosto w oczy, jakby spodziewał się usłyszeć o jakimś niezwykłym dokonaniu Ugwu.

– Jakie zwierzęta zabijasz? – zapytał Ugwu.

Jomo rozpromienił się, jakby tylko czekał na takie pytanie, i zaczął opowiadać o swoich polowaniach. Ugwu przysiadł na schodkach prowadzących na tyły domu i słuchał. Już od tego pierwszego dnia nie wierzył w opowieści Joma – ani o pokonaniu pantery gołymi rękami, ani o zabiciu dwóch pawianów jednym strzałem – ale ponieważ lubił ich słuchać, zaczął odkładać pranie ubrań pana na te dni, kiedy przychodził Jomo, żeby mógł usiąść na dworze, podczas gdy Jomo pracował. Jomo poruszał się z niespieszną rozwagą. Czy grabił, czy też podlewał albo sadzy, wszystkie wykonywane przez niego czynności zdawały się przepełnione dostojną mądrością. W trakcie przycinania żywopłotu potrafił spojrzeć w górę i powiedzieć: „To dobre mięso”, a potem podejść do przywiązanej z tyłu roweru torby z kozłej skóry i pogrzebać w niej w poszukiwaniu procy. Pewnego razu małym kamyczkiem zestrzelił leśnego gołębia z drzewa nerkowca, po czym zawiązał ptaka w liście i włożył go do torby.

– Nawet nie podchodź do tej torby, jeśli mnie tu nie ma – zapowiedział Ugwu. – Możesz znaleźć tam ludzką głowę.

Ugwu roześmiał się, jednak nie był przekonany, czy powinien wątpić w słowa Joma. Bardzo chciał, żeby Jomo właśnie dzisiaj przyszedł do pracy. Jomo byłby najodpowiedniejszą osobą, którą można by zapytać o arigbe – a w zasadzie zapytać o radę, jak najlepiej udobruchać pana.

Wyszedł na ulicę i zaczął przyglądać się przydrożnym roślinom, aż w końcu, w pobliżu korzeni kazaury, dostrzegł znajome pomięte liście. W mdłym jedzeniu, które pan przynosił z klubu uczelnianego, nigdy nie wyczuł niczego, co choć trochę przypominałoby ostrą cierpkość arigbe; Ugwu zamierzał przyrządzić potrawkę z tym ziołem i podać ją panu z ryżem, a potem błagać go: „Proszę, proszę nie odsyłać mnie do domu, sah. Ja odpracuję tę spaloną skarpetę. Zarobię pieniądze, żeby kupić nową”. Sam nie bardzo wiedział, jak mógłby zarobić pieniądze na skarpetkę, lecz tak właśnie planował powiedzieć

panu.

A gdyby arigbe zmiękczyło serce pana, może pozwoliłby Ugwu uprawiać to zioło, a także inne na tyłach domu. Mógłby powiedzieć panu, że będzie zajmował się ogródkiem, póki nie zacznie chodzić do szkoły, ponieważ dyrektorka szkoły uniwersyteckiej powiedziała panu, że nie można rozpoczynać nauki w środku semestru. Ale być może zbyt wiele sobie wyobrażał. Bo czyż miało sens rozmyślanie o ogródku zielarskim, jeśli pan każe mu odejść, jeśli pan nie wybaczy mu tej spalonej skarpety? Szybkim krokiem udał się do kuchni, położył arigbe na blacie i odmierzył porcję ryżu.

Kilka godzin później poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła na dźwięk nadjeżdżającego samochodu pana: najpierw usłyszał chrzęst żwiru i mruczenie silnika, potem samochód zatrzymał się w garażu.

Ugwu stał przy garnku z potrawką, mieszając w nim chochlą, na której palce zaciskały się z siłą równą skurczom jego żołądka. Czy pan każe mu odejść, zanim Ugwu zdąży zaproponować mu jedzenie? I co Ugwu powie swojej rodzinie?

– Dzień dobry, sah... Odenigbo – odezwał się, jeszcze zanim pan wszedł do kuchni.

– Tak, tak – powiedział pan. Jedną ręką przyciskał do piersi stos książek, w drugiej niósł teczkę. Ugwu rzucił się, żeby pomóc mu z książkami.

– Sah?... Zje pan coś? – zapytał po angielsku.

– A co mam zjeść?

Brzuch Ugwu skurczył się jeszcze bardziej. Schylając się, żeby położyć książki na stole w jadalni, Ugwu obawiał się, że zaraz coś mu w środku pęknie.

– Potrawkę, sah.

– Potrawkę?

– Tak, sah. Bardzo dobrą potrawkę, sah.

– W takim razie spróbuję.

– Tak, sah!

– Mów do mnie Odenigbo! – rzucił gniewnie pan i poszedł wziąć popołudniową kąpiel.

Po podaniu jedzenia Ugwu stanął przy kuchennych drzwiach, obserwując, jak pan nabiera na widelec pierwszą porcję ryżu i potrawki, następnie kolejną, a potem woła: – Wspaniałe, mój dobry człowieku.

Ugwu wysunął się zza drzwi.

– Sah? Może zasadziłbym zioła w małym ogródku? Wtedy mógłbym przy-

rządzać częściej takie potrawki.

– W ogródku?... – Pan zrobił krótką przerwę, żeby łyknąć wody i przewrócić stronę gazety. – Nie, nie, nie. Teren na zewnątrz należy do Joma, w środku do ciebie. Mamy tu podział pracy, mój dobry człowieku. Jeśli będziemy potrzebować ziół, poprosimy Joma, żeby się tym zajął.

Ugwu ogromnie spodobało się brzmienie wymówionych po angielsku słów: „Podział pracy, mój dobry człowieku”.

– Tak, sah – odpowiedział, ale już się zastanawiał, które miejsce najlepiej nadawałoby się na ogródek ziołowy. Chyba w pobliżu służbówki, gdzie pan nigdy nie zagląda. Nie mógłby zawierzyć Jomowi prowadzenia ogródka ziołowego i sam będzie się nim zajmował, kiedy pana nie będzie w domu, a dzięki temu nigdy nie zabraknie mu arigbe, jego ziela wybaczenia. Dopiero późnym wieczorem zdał sobie sprawę, że o spalonej skarpetce pan zapomniał na długo przed powrotem do domu.

Ugwu zaczął też zdawać sobie sprawę z innych rzeczy. On nie był normalnym służącym; taki służący mieszkającego po sąsiedzku doktora Okeke nie spał w pokoju na łóżku, tylko na podłodze w kuchni. Pracujący w domu na końcu ulicy służący, z którym Ugwu chodził na targ, sani nie decydował, co ma być ugotowane, przyrządzał to, co mu polecono. I żaden z nich nie miał pana czy pani, którzy dawaliby im książki, mówiąc: „Ta jest doskonała, wprost doskonała”.

Ugwu nie rozumiał większości zdań zawartych w tych książkach, ale lubił afiszować się z ich czytaniem. Nie wszystko też rozumiał z rozmów pana i jego znajomych, lecz i tak przysłuchiwał się im i słyszał, że świat powinien zrobić więcej w sprawie czarnoskórych zamordowanych w Sharpeville; że zestrzelony w Rosji samolot szpiegowski ani chybi był amerykański; że de Gaulle nie potrafił znaleźć się w Algierii; że ONZ nigdy nie pozbędzie się Czombego z Katangi... Raz na jakiś czas jego pan wstawał i podnosił szklaneczkę oraz głos, wołając: „Za tego dzielnego czarnoskórego Amerykanina, który wstąpił na Uniwersytet Missisipi!”, „Za Cejlon i za pierwszą na świecie kobietę premiera!”, „Za Kubę, która pobiła Amerykanów ich własną bronią” – a Ugwu z przyjemnością przysłuchiwał się brzękowi butelek piwa o szklanki, szklanek o szklanki, butelek o butelki.

W weekendy przychodziło więcej znajomych, a kiedy Ugwu wnosił napoje, pan przedstawiał go zgromadzonym – oczywiście po angielsku: „Ugwu pomaga mi w domu. To bardzo bystry chłopak”. Ugwu dalej w milczeniu otwierał butelki piwa i coli, jednocześnie czując, jak od czubków palców u stóp

ogarnia go ciepła fala dumy. Najbardziej podobało mu się, kiedy pan przedstawiał go jakiemuś obcokrajowcowi, na przykład panu Johnsonowi, który pochodził z Karaibów i się jąkał, albo mówiącemu przez nos profesorowi Lehmanowi, białemu człowiekowi z Ameryki o oczach w kolorze oślepiającej zieleni świeżego liścia. Ugwu przestraszył się nieco, widząc go po raz pierwszy, ponieważ zawsze wyobrażał sobie, że tylko złe duchy mają oczy w kolorze trawy.

Szybko poznał stałych gości i podawał im ich ulubione napoje, zanim jeszcze pan go o to poprosił. Był wśród nich doktor Patel, Hindus, który pił piwo „Golden Guinea” mieszane z coca-colą. Pan zwracał się do niego „Doc”. Kiedy Ugwu przynosił orzech kola, pan zawsze mówił: „Doc, chyba wiesz, że orzech kola nie rozumie po angielsku”, po czym błogosławił orzech kola w języku ibo, spełniając ten rytuał wykonywany przez łąbów na znak przyjaźni. A doktor Patel za każdym razem śmiał się radośnie, odchylając się na sofie i zadzierając wysoko swoje krótkie nóżki, jakby po raz pierwszy słyszał ten dowcip. Kiedy pan już rozłupał orzech i podał spodeczek innym, doktor Patel zawsze brał jeden kawałek i wkładał do kieszonki w koszuli; Ugwu nigdy nie widział, żeby je jadł.

Przychodził też wysoki, chudy profesor Ezeka o głosie tak ochrypłym, że brzmiał jak szept. Profesor zawsze unosił swoją szklankę do światła, chcąc upewnić się, że Ugwu dobrze ją umył. Raz na jakiś czas przynosił własną butelkę džinu, a niekiedy prosił o herbatę i potem bacznie przyglądał się cukiernicy i puszcze mleka, mruczając pod nosem: „Bakterie mają wręcz nieprawdopodobne zdolności”.

Był też Okeoma, który przychodził najczęściej i zostawał najdłużej. Wyglądał na młodszego od innych gości, zawsze ubrany w krótkie spodnie, z tą swoją czupryną gęstych włosów rozdzielonych z boku przedziałkiem i stojących wyżej niż włosy na głowie pana. Były jakieś nastroszone i skołtunione zupełnie inaczej niż włosy jego pana, jakby Okeoma nie lubił ich czesać. Okeoma pił fantę. Czasami wieczorem czytał na głos swoje wiersze, trzymając w dłoni plik kartek, a Ugwu zerkał zza kuchennych drzwi, skąd widział wszystkich gości skupiających wzrok na Okeomie, ich twarze zastygłe w bezruchu, jakby nie mieli odwagi nawet oddychać. Na koniec pan klaskał i mówił tym swoim tubalnym głosem: „To głos naszego pokolenia!”, a oklaski trwały tak długo, póki Okeoma ostrym tonem nie powiedział: „Wystarczy już tego!”.

I była też panna Adebayo, która piła brandy jak pan i zupełnie nie odpowiadała wyobrażeniu, jakie Ugwu miał o uniwersyteckiej kobiecie. Ciocia

opowiedziała mu nieco o kobietach z uniwersytetu. Była dobrze poinformowana, ponieważ za dnia pracowała jako sprzątaczką na wydziale nauk przyrodniczych, wieczorami zaś jako kelnerka w klubie uczelnianym i dodatkowo od czasu do czasu wykładowcy płacili jej, żeby sprzątała ich domy. Mówiła, że kobiety z uniwersytetu przechowują na półkach oprawione w ramki zdjęcia ze swoich studenckich czasów w Ibadanie, Wielkiej Brytanii i Ameryce. Na śniadanie jadają jajka, tak niedogotowane, że w środku żółtko zupełnie pływało, noszą peruki ze sprężystymi prostymi włosami i długie sukienki płaczące się między kostkami. Ciocia opowiedziała historyjkę o pewnej parze na koktajlu w klubie uczelnianym: para wysiadła z ładnego peugeot 404, mężczyzna ubrany w elegancki kremowy garnitur, a kobieta w zielonej sukience. Wszyscy odwrócili się w ich stronę, patrząc z zaciekawieniem, jak idą, trzymając się za ręce, i nagle wiatr zerwał perukę z głowy tej kobiety. Okazało się, że kobieta jest łysa. Ci ludzie używali rozgrzanych grzebieni, żeby wyprostować sobie włosy, mówiła ciocia, ponieważ chcieli wyglądać jak biali, ale grzebienie w końcu wypaliły im włosy.

Ugwu wyobraził sobie tę łysą kobietę – piękną, z nosem, który sterczy, a nie jest spłaszczony jak wszystkie te, do których był przyzwyczajony. Wyobrażał sobie jakiś ogromny spokój, subtelność, kobietę, której zarówno kichnięcie, jak śmiech czy mowa są delikatne jak puszek pokrywający kurczaka. Jednakże kobiety, które odwiedzały pana, a także te widywane w supermarkecie i na ulicach były zupełnie inne. Większość z nich rzeczywiście nosiła peruki (nieliczne miały włosy zaczesane w warkocze lub warkoczyki z wplecioną nitką), ale żadna nie przypominała delikatnego źdźbła trawy. Te kobiety były głośne. A najgłośniejsza była panna Adebayo. Ona nie pochodziła z plemienia Ibo, Ugwu spotkał ją i jej służącą na targu i słyszał, jak mówią szybkim niezrozumiałym językiem joruba, choć i bez tego rozpoznał jej pochodzenie po nazwisku. Powiedziała mu wówczas, żeby zaczekał, to odwiezie go do kampusu, lecz Ugwu podziękował i odparł, że ma jeszcze dużo zakupów do zrobienia i że wróci taksówką, chociaż już wcześniej załatwił sprawunki. Nie chciał jechać jej samochodem, nie lubił jej głosu, który podczas rozmów w salonie dominował nad głosem pana wyzywająco i kłótliwie. Często musiał się powstrzymać, żeby samemu nie podnieść głosu zza drzwi kuchni i nie kazać jej zamknąć się, zwłaszcza kiedy nazywała pana sofistą. Chociaż nie wiedział, co oznacza słowo „sofista”, nie podobało mu się, że tak pana nazywa. Nie podobał mu się też sposób, w jaki patrzyła na pana. Nawet kiedy mówił ktoś inny i powinna była skupiać się na tej osobie, jej oczy koncentrowały się na panu.

Pewnego sobotniego wieczoru Okeoma upuścił szklanę, Ugwu przyszedł więc posprzątać z podłogi rozbite szkło. Nie spieszył się z tym. Wyraźniej tu słyszał rozmowę i łatwiej mógł zrozumieć, co mówi profesor Ezeka. Siedząc w kuchni, prawie w ogóle nie słyszał słów tego człowieka.

– Powinniśmy szerszym panaafrykańskim frontem zareagować na to, co się dzieje na Południu Stanów Zjednoczonych... – powiedział profesor Ezeka.

Pan przerwał mu:

– Chyba wiesz, że panaafrykanizm jest pojęciem z gruntu europejskim.

– Odchodzisz od tematu – odparł profesor Ezeka i pokręcił głową z wyższością, jak to miał w zwyczaju.

– Może i jest pojęciem europejskim – odezwała się panna Adebayo – ale w szerszym kontekście my wszyscy stanowimy jedną rasę.

– W jakim szerszym kontekście? – zapytał pan. – W szerszym kontekście białych ludzi! Czy ty nie dostrzegasz tego, że my nie jesteśmy tacy sami? Że tylko biali nas takimi widzą. – Ugwu zauważył, że pan już z łatwością podnosi głos, wiedział też, że przy trzecim kieliszku brandy pan zacznie gestykulować ręką z kieliszkiem i pochylając się do przodu, przesunie się na sam skraj fotela. Późno w nocy, kiedy pan znajdzie się już w łóżku, Ugwu usiądzie na tym samym fotelu i wyobrazi sobie, jak on sam mówi szybko po angielsku, przemawiając do swoich urzeczonych wyimaginowanych gości, używając takich słów, jak dekolonizacja i panaafrykanizm, modelując głos na wzór głosu pana, i będzie się przesuwając coraz dalej, aż także znajdzie się na skraju fotela.

– To oczywiste, że jesteśmy tacy sami, wszyscy cierpieliśmy pod uciskiem białych – oschłym tonem powiedziała panna Adebayo. – Panaafrykanizm jest tu po prostu najbardziej sensowną odpowiedzią.

– Oczywiście, oczywiście, ale chodzi mi o to, że dla Afrykanów jedyną autentyczną formą tożsamości jest tożsamość plemienna – odrzekł pan. – Jestem Nigeryjczykiem, ponieważ biali stworzyli Nigerię i narzucili mi tę tożsamość. Jestem czarny, bo biali stworzyli czarnego, który majak najbardziej różni się od ich białego. Ale byłem łbem, zanim jeszcze biali się tu pojawili.

Profesor Ezeka, siedzący ze skrzyżowanymi chudymi nogami, tylko na to prychnął i pokręcił głową.

– Tylko że dopiero przez białych uświadomiłeś sobie, że jesteś łbem. Pomyśl panibonizmu, wspólnoty wszystkich plemion Ibo, zrodził się przecież w obliczu dominacji białych. Chyba widzisz, że pojęcie plemienia, jak je dziś postrzegamy, jest produktem równie kolonialnym jak naród i rasa. – Profesor Ezeka ponownie skrzyżował nogi.

– Idea panibonizmu istniała na długo przed przebyciem białych! – krzyknął pan. – Zapytaj starszyny w swojej wiosce o waszą historię.

– Problem polega na tym, że Odenigbo jest beznadziejnym zwolennikiem lojalności plemiennej, dlatego nie możemy dopuszczać go do głosu – odezwała się panna Adebayo.

I wtedy zrobiła coś, co zupełnie zaskoczyło Ugwu: z uśmiechem wstała i zbliżywszy się do pana, zacisnęła mu wargi. Stała z dłonią przyciśniętą do jego ust przez długą, ciągnącą się w nieskończoność chwilę. Ugwu wyobrażał sobie, jak rozpuszczona w brandy ślina pana dotyka jej palców. Zesztywniał przy zbieraniu rozbitego szkła. Wolałby, żeby pan nie siedział tak, kręcąc głową, jakby to wszystko było bardzo zabawne.

Po tym wydarzeniu panna Adebayo zaczęła stanowić zagrożenie. Coraz bardziej przypominała owocożernego nietoperza z tą ściągniętą twarzą, pochmurnym obliczem i w tych sukienkach z drukowanej tkaniny, wydymających się wokół jej ciała na podobieństwo skrzydeł. Ugwu podawał jej napoje jako ostatniej i trawił długie minuty na wycieraniu rąk w ścierkę do naczyń, zanim otworzył drzwi, żeby ją wpuścić. Martwił się, że kobieta wyjdzie za pana, a wtedy ściągnie do ich domu tę swoją służącą mówiącą językiem joruba, zniszczy jego ogród ziołowy i będzie mówić, co Ugwu może, a czego nie może gotować. W końcu jednak usłyszał rozmowę pana i Okeomy.

– Ona chyba dzisiaj nie zamierza wracać do domu – powiedział Okeoma.
– Nwoke m, jesteś pewien, że niczego z nią nie planujesz?

– Przestań pleść bzdury.

– Bo gdybyś chciał, w Londynie nikt o niczym by się nie dowiedział.

– Posłuchaj tylko, posłuchaj...

– Rozumiem, że ona cię nie interesuje pod tym względem, ale wciąż nie mogę pojąć, co te kobiety w tobie widzą.

Okeoma roześmiał się, a Ugwu poczuł ulgę. Nie chciał, żeby panna Adebayo – ani żadna inna kobieta – wkraczała w ich życie i zakłócała je. Czasami, kiedy goście wychodzili wcześniej wieczorem, siadał na podłodze salonu i słuchał słów pana. Pan zazwyczaj mówił o rzeczach, których Ugwu nie rozumiał, jakby przez wypitą brandy zapominał, że Ugwu nie jest jednym z jego gości. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Ugwu spragniony był tylko tego głębokiego głosu, melodii języka ibo modulowanego angielskim, błysku grubych okularów.

Już od czterech miesięcy mieszkali razem, kiedy pan powiedział mu:

– Na weekend przyjeżdża pewna szczególna kobieta. Bardzo szczególna. Musisz zadbać, żeby cały dom był czysty. Zamówię jedzenie w klubie uczelnianym.

– Ale, sah, ja mogę gotować – odparł Ugwu ogarnięty złym przeczuciem.

– Ona dopiero co wróciła z Londynu, mój dobry człowieku, i lubi jeść ryż przyrządzony w specjalny sposób. Chodzi chyba o smażony ryż. Nie jestem pewien, czy potrafiłbyś przyrządzić coś odpowiedniego. – Pan odwrócił się z zamiarem odejścia.

– Mogę to przygotować, sah – szybko powiedział Ugwu, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, co to jest smażony ryż. – Niech pan pozwoli mi przyrządzić ryż, a kurczaka zamówi pan w klubie uczelnianym.

– Zrecznie pertraktujesz – zauważył pan po angielsku. – W takim razie zgoda, ty przygotowujesz ryż.

– Tak, sah – odrzekł Ugwu.

Później, kiedy jak zawsze posprzątał pokoje i wyszorował toaletę, pan przyjrzał się im i powiedział, że nie są dostatecznie czyste, a potem poszedł kupić jeszcze jeden słoik proszku vim i ostrym tonem zapytał, dlaczego Ugwu nie wyczyścił fug między kaflami. Ugwu musiał jeszcze raz je posprzątać. Szorował, aż pot ciekł mu po policzkach i ramiona go rozbolewały. A w sobotę wściekał się przy gotowaniu. Nigdy wcześniej pan nie skarżył się na jego pracę. To była wina tej kobiety, kobiety, którą pan uważał za zbyt ważną, żeby nawet Ugwu dla niej gotował. Dopiero co wróciła z Londynu, tak, jasne.

Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, Ugwu mruknął pod nosem przekleństwo na temat brzucha tej kobiety wzdymającego się odjedzenia fekaliiów. Usłyszał podniesiony głos pana, podniecony i jakiś dziwnie dziecienny, po czym nastąpiła długa cisza, podczas której wyobrażał sobie, jak oni się obejmują, a jej brzydkie ciało przyciska się do ciała jego pana. Ale wówczas usłyszał jej głos. I zamarł. Zawsze wydawało mu się, że nikt nie może równać się z panem w mówieniu po angielsku, ani profesor Ezeka, który mówił w języku angielskim tak, że trudno było go dosłyszeć, ani Okeoma, który wysławiał się po angielsku, jakby mówił w języku ibo, z tą samą intonacją i stawiając te same pauzy, ani Patel, którego angielski brzmiał jak zdarta płyta. Nawet biały profesor Lehman, wypychający słowa na siłę przez nos, nie brzmiał tak dostojnie jak pan. Angielski pana był jak muzyka, lecz to co Ugwu słyszał teraz z ust tej kobiety, było czystą magią. Do jego uszu docierał język podniosły, świetlany, język angielski, jaki słyszał w radiu, płynący i ucinany z idealną precyzją. Kojarzyło mu się to z krojeniem jamsu świeżo naostrzonym nożem,

gdy każdy kolejny plasterek odkrawany jest z doskonałą lekkością.

– Ugwu! – zawołał pan. – Przynieś colę!

Ugwu wszedł do salonu. Kobieta pachniała kokosem. Przywitał się z nią, mamrocząc pod nosem „Dzień dobry” ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Kedu? – zapytała kobieta.

– Dobrze, mah. – Nadal nie patrzył na nią.

Kiedy otwierał butelkę, kobieta zaśmiała się z czegoś, co powiedział jego pan. Ugwu już miał wlać zimną colę do jej szklanki, ale w tym momencie kobieta dotknęła jego dłoni i powiedziała:

– Rapuba, możesz to zostawić.

Jej dłoń była nieco wilgotna.

– Tak, mah.

– Twój pan opowiadał mi, jak dobrze się nim opiekujesz, Ugwu – powiedziała.

Wymawiane przez nią słowa języka ibo były łagodniejsze niż angielskie i Ugwu z rozczarowaniem zauważył, z jaką łatwością płyną z jej ust. Wolałby, żeby jąkała się w ibo; nie spodziewał się, że tak idealny angielski może współistnieć z równie idealnym ibo.

– Tak, mah – wymamrotał. Przez cały czas wzrok miał skoncentrowany na podłodze.

– Co nam ugotowałeś, mój dobry człowieku? – zapytał pan, jakby nie wiedział. Mówił jakimś irytująco pogodnym tonem.

– I serve now, sah – poinformował Ugwu po angielsku, że zaraz poda jedzenie, lecz natychmiast pożałował, że nie powiedział: „I am serving now”, bo zabrzmiałoby to lepiej i poprawniej, zrobiłoby na niej większe wrażenie. Nakrywając do stołu, starał się nie zerkać w stronę salonu, ale docierał do niego jej śmiech i głos pana pobrzmiwający tym irytującym nowym tembr.

Kiedy ona i pan zasiedli do stołu, w końcu spojrzał na nią. Miała twarz owalną i gładką jak powierzchnia jajka, w świeżym kolorze ziemi nasyconej deszczem, oczy wielkie i lekko skośne, i można było odnieść wrażenie, że taka kobieta nie powinna chodzić i mówić jak wszyscy inni ludzie, ona powinna być zamknięta w jednej z tych szklanych gablot stojących w gabinecie pana, gdzie ludzie mogliby podziwiać krągłe pełne kształty jej ciała, gdzie pozostałyby czysta i nieskalana. Jej długie włosy opadały na kark w warkoczykach, z których każdy kończył się miękką kitką. Była skora do śmiechu, a jej zęby świeciły tą samą bielą co oczy. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał, nie mogąc

oderwać od niej wzroku, kiedy pan powiedział:

– Ugwu zazwyczaj spisuje się dużo lepiej. Przyrządza fantastyczną potrawkę.

– To jest tylko bez smaku, więc i tak lepsze, niż gdyby było niesmaczne – rzekła i najpierw uśmiechnęła się do pana, a potem odwróciła się do Ugwu. – Pokażę ci, Ugwu, jak przyrządzać ryż bez takiej ilości oleju.

– Tak, mah – odparł Ugwu. Sam wymyślił coś, co jego zdaniem miało być smażonym ryżem, podsmażył mianowicie ryż w oleju arachidowym, a wcześniej żywił nawet cichą nadzieję, że ta potrawa pośle oboje w pośpiechu do toalety. Jednak teraz zapragnął przyrządzić doskonały posiłek, smakowity ryż jollof albo swoją specjalność, potrawkę z arigbe, żeby pokazać jej, jak dobrze potrafi gotować. Czekał z myciem naczyń, bo płynąca woda zagłuszałaby jej głos. Podając im herbatę, niespiesznie przekładał ciasteczka na talerzyku, chcąc dłużej zostać w salonie i słuchać tej kobiety, aż w końcu pan powiedział: „Już dobrze, mój dobry człowieku”.

Na imię miała Olanna. Ale pan jedynie raz je wymienił, prawie cały czas mówił do niej nkem – moja ty. Rozmawiali o sporze między Sardauną i premierem Regionu Zachodniego, później pan napomknął o wyczekiwaniu na chwilę, kiedy ona przeniesie się do Nsukki, mówiąc, że to w końcu tylko kilka tygodni. Ugwu wstrzymał oddech, chcąc mieć pewność, że się nie prześluszał. Pan roześmiał się, mówiąc:

– Ale zamieszkamy tu razem, nkem, a mieszkanie przy Elias Avenue możesz też zatrzymać.

Ta kobieta przeprowadzi się do Nsukki! Będzie mieszkać w tym domu! Ugwu odszedł od drzwi i wlepił wzrok w garnek na kuchence. Jego życie ulegnie zmianie. Nauczy się przyrządzać smażony ryż, będzie musiał używać mniej oleju i będzie słuchał jej poleceń. Zrobiło mu się smutno, choć smutek był jakiś niepełny, bo jednocześnie ogarnęło go uczucie wyczekiwania, jakiegoś podniecenia, które nie w pełni rozumiał.

Tego samego wieczoru prał pościel pana obok drzewa cytrynowego na podwórzu za domem i kiedy podniósł wzrok znad miednicy z mydlinami, zobaczył Olannę stojącą przy tylnych drzwiach i obserwującą go. W pierwszej chwili sądził, że to tylko wytwór jego wyobraźni, ponieważ ludzie, o których najwięcej myślał, często pojawiali się w jego wizjach. Stale prowadził wyimaginowane rozmowy z Anuliką, a kiedy dotykał się w nocy, zawsze na koniec pojawiała się mu Nnesinachi z tajemniczym uśmiechem na ustach. Ale Olanna rzeczywiście stała w drzwiach, a po chwili ruszyła przez podwórze

w jego stronę. Miała na sobie tylko chustę zawiniętą na piersiach i kiedy tak się do niego zbliżała, wyobrażał ją sobie, że jest żółtym orzechem nerkowca, kształtnym i dojrzałym.

– Mah? Potrzebuje pani czegoś? – zapytał grzecznie. Pomyślał, że gdyby wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, miałby wrażenie, że dotyka czegoś podobnego do masła, które pan rozwijał z papierowego opakowania i nakładał na chleb.

– Pozwól, że ci pomogę. – Pokazała na prześcieradło, które właśnie płukała. Powoli wyjął ociekające wodą prześcieradło, a ona chwyciła jeden koniec i cofnęła się. – Przekręć swój koniec w ten sposób – poleciła.

Obrócił koniec prześcieradła w prawo, ona w swoje prawo i razem patrzyli, jak z materiału wypływa wyciskana woda. Prześcieradło było śliskie.

– Dziękuję, mah – powiedział.

Uśmiechnęła się. Miał wrażenie, że ten jej uśmiech dodał mu wzrostu.

– Spójrz tam, te papaje są prawie dojrzałe. Lotekwa, nie zapomnij ich zebrać.

Zarówno w jej głosie, jak i w niej całej wyczuwało się jakąś niesamowitą gładkość, była jak głaz leżący tuż przy tryskającym źródle, wypolerowany przez lata obmywania przez spienione wody, a jej widok był jak odnalezienie takiego głazu, o którym wiadomo było, że niewiele jest jemu podobnych. Patrzył za nią, kiedy wracała do domu.

Z nikim nie chciał dzielić się swoją pracą polegającą na opiekowaniu się panem, nie chciał zakłócać równowagi, jaka panowała w ich wspólnym życiu z panem, a jednak nagle nie potrafił znieść myśli, że mógłby już nigdy jej nie zobaczyć. Później, po kolacji, podszedł na palcach do sypialni pana i przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał jej głośnie stękanie, wydawała dźwięki z pozoru zupełnie do niej nie pasujące, tak bardzo nieopanowane, poruszające i gardłowe. Stał tam przez dłuższy czas, dopóki jęki się nie skończyły, po czym wrócił do swojego pokoju.

Olanna kiwała głową w rytm płynącej z samochodowego radia muzyki high life. Dłoń trzymała opartą na udzie Odenigba; podnosiła ją, kiedy chciał zmienić biegi, i za każdym razem kładła z powrotem, śmiejąc się, kiedy żartobliwie mówił, że jego Afrodyta rozprasza go. Czuła się wspaniale, jadąc z opuszczoną szybą samochodu przez pełne kurzu powietrze, słuchając sennych rytmów muzyki Reksa Lawsona. Odenigbo za dwie godziny miał wykład, lecz uparł się, że odwiezie ją na lotnisko w Enugu, i chociaż z pozoru sprzeciwiała się temu, chciała, żeby tak zrobił. Nie mówiła mu, że jedzie zbyt szybko, kiedy po jednej stronie wąskiej drogi wiodącej przez Milliken Hill mieli głęboki wąwóz, a po drugiej strome zbocze. Nie zwracała też uwagi na ręcznie wypisany nierównymi literami znak przy drodze ostrzegający: „LEPIEJ BYĆ SPÓŹNIONYM NIŻ MARTWYM”.

Zbliżali się już do lotniska i z pewnym rozczarowaniem patrzyła na smukłe białe kształty szybujących na niebie samolotów. Odenigbo zaparkował samochód przed wejściem z kolumnadą. Wokół auta natychmiast pojawili się tragarze, wołający: „Sah?... Proszę pani?... Wziąć bagaż?”, ale Odenigbo przyciągnął ją do siebie i Olanna prawie ich nie słyszała.

– Już nie mogę się doczekać, nkem – powiedział, przyciskając usta do jej warg. Jego usta smakowały marmoladą. Chciała powiedzieć mu, że ona też już nie może się doczekać przeprowadzki do Nsukki, lecz przecież on o tym wiedział, a ona już czuła w ustach jego język i rozkoszne ciepło ponownie rozlewające się między nogami.

Usłyszeli klakson samochodu. Jakiś tragarz zawołał:

– Hej, tu się tylko ładuje! Tylko się ładuje!

W końcu Odenigbo puścił ją, wyskoczył z samochodu i wyjął z bagażnika torbę, którą zaniósł do kasy.

– Szczęśliwej podróży, ije oma – powiedział.

– Uważaj za kierownicą – odparła.

Patrzyła za odchodzącym mocno zbudowanym mężczyzną w spodniach w kolorze khaki i koszuli z krótkim rękawem, świeżutkich, jakby dopiero

co wyprasowanych. Stawiał nogi z jakąś agresywnością i pewnością siebie, krocząc jak osoba, która nikogo nie pyta o drogę, pewna, że tak czy owak dotrze do celu. Po jego odjeździe opuściła głowę i wciągnęła nosem swój nowy zapach. Tego ranka pod wpływem jakiegoś impulsu posmarowała się jego old spice'em, ale nie powiedziała mu o tym, bojąc się, że Odenigbo ją wyśmieje. Nie zrozumiałaby, że chce zabrać ze sobą jego zapach, potraktowałby to jako zabobon. Jakby ta woń mogła przynajmniej na chwilę stłumić dręczące ją pytania i nieco ją do niego upodobnić, nadać jej trochę więcej pewności siebie, a zarazem zmniejszyć jej wątpliwości.

Odwróciwszy się w stronę kasjera, napisała swoje nazwisko na kartce.

– Dzień dobry. Proszę jeden bilet do Lagos.

– Ozobia! – Ospowata twarz kasjera rozjaśniła się szerokim uśmiechem. –
Córka prezesa Ozobii?

– Tak.

– Och! Wspaniale, proszę pani. Poproszę tragarza, żeby zaprowadził panią do poczekalni dla VIP-ów. – Kasjer odwrócił się. – Ikenna!... Gdzie jest ten głupi chłopak?!... Ikenna!

Olanna pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Nie, nie trzeba. – Ponownie się uśmiechnęła, uspokajająco, chcąc wyraźnie dać mu do zrozumienia, że to ona nie chce iść do poczekalni dla VIP-ów i nie ma w tym jego winy.

W poczekalni ogólnej panował tłok. Olanna zajęła miejsce naprzeciw trójki małych dzieci ubranych w znoszone ubrania i klapki, bez przerwy chichoczących, ponieważ ich ojciec co chwilę rzucał im srogie spojrzenia. Najbliżej Olanny siedziała stara kobieta ze skwaszoną miną na pomarszczonej twarzy, najwyraźniej ich babcia, dzierżąc w dłoni torebkę i mrużąc coś do siebie. Olanna czuła zapach stęchlizny bijący z chusty, w którą owinięta była kobieta, najprawdopodobniej wyciągniętej na tę okazję z głębi jakiegoś wiekowego kufra. Kiedy wyraźny głos oznajmił przylot samolotu Nigeria Airways, ojciec rodziny zerwał się na równe nogi, ale zaraz ponownie usiadł.

– Czekacie na kogoś, prawda? – odezwała się do niego Olanna w języku ibo.

– Tak, nwanne m, mój brat wraca z zagranicy, cztery lata spędził tam w szkołach. – Jego dialekt z Owerri trącił wyraźnym wiejskim akcentem.

– Och, naprawdę? – powiedziała Olanna. Chciała zapytać, skąd dokładnie wraca jego brat i co studiował, lecz tego nie zrobiła. Ten człowiek mógł nie wiedzieć.

Babcia odwróciła się w stronę Olanny.

– Wyjechał za granicę jako pierwszy z naszej wioski i nasi ludzie przygotowali dla niego taniec. Tancerze spotkają się z nami w Ikeduru. – Uśmiechała się z dumą, ukazując brunatne zęby. Mówiła z jeszcze silniejszym akcentem, trudno było zrozumieć wypowiedane przez nią słowa. – Znajome zazdroszczą mi, ale czy to moja wina, że ich synowie mają pusto w głowie, a mój zdobył stypendium białych?

Ogłoszono przylot kolejnego samolotu i ojciec powiedział:

– Chere! To on! To on!

Dzieci wstały, ojciec jednak polecił im usiąść, chociaż sam się podniósł. Babcia przyciskała torebkę do brzucha. Olanna obserwowała zniżający się samolot. Kiedy wylądował i zaczął kołować po pasie, babcia krzyknęła i upuściła torebkę.

Olanna przestraszyła się.

– Co się stało? Co się stało?

– Mamo! – krzyknął ojciec rodziny.

– Dlaczego się nie zatrzymał? – zapytała babcia, obiema dłońmi trzymając się w rozpaczę za głowę. – Chi m! Boże! O ja nieszczęśliwa! Gdzie to wiezie mojego syna? Ludzie, czyście mnie oszukali?

– Mamo, on się zaraz zatrzyma – odezwała się Olanna. – Zawsze tak robi po wylądowaniu. – Podniosła torebkę i wzięła w dłonie starą stwardniałą rękę kobiety. – Zaraz się zatrzyma – powtórzyła.

Nie puszczała staruszki, dopóki samolot się nie zatrzymał, a babcia sama nie wysunęła ręki z jej uścisku, mamrocząc coś o głupich ludziach, którzy nie potrafią porządnie zbudować samolotów. Olanna odprowadziła wzrokiem rodzinę spieszącą do bramki przylotów. Kiedy kilka minut później zmierzała do swojego wyjścia, często się odwracała w nadziei, że uda się jej dostrzec tego przybyłego zza granicy syna. Nie zobaczyła go jednak.

Podczas lotu bardzo trzęsło samolotem. Siedzący obok niej mężczyzna głośno chrupał orzechy kola, a kiedy zwrócił się w jej stronę, chcąc nawiązać rozmowę, Olanna powoli zaczęła się cofać, aż w końcu oparła się o ścianę samolotu.

– Przepraszam, ale muszę to powiedzieć, pani jest wyjątkowo piękna – odezwał się mężczyzna.

Uśmiechnęła się i podziękowała, nie odrywając wzroku od gazety. Odenigbo ubawi się, słysząc opowieść o tym człowieku, zawsze śmiał się z jej adoratorów, niezmiennie pełen tej niezachwianej pewności siebie. Właśnie to po-

ciągnęło ją w nim dwa lata temu w Ibadanie, w jeden z tych czerwcowych deszczowych dni spowitych w charakterystyczny dla zmierzchu kolor indygo, chociaż było dopiero południe. Przyjechała na wakacje z Anglii do domu. Była wówczas związana z Mohammedem. W pierwszej chwili nie zauważyła Odenigba stojącego przed nią w kolejce po bilety pod uniwersyteckim teatrem. Być może w ogóle nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby kasjer nie skinął na stojącego za nią siwowłosego białego mężczyznę, zapraszając go do przodu. „Proszę bardzo, pomogę panu”, rzekł z tym tak komicznie nienaturalnym akcentem „białych”, z jakim starali się mówić ludzie niewykształceni.

Olanna zirytowała się tym, choć tylko nieznacznie, bo kolejka i tak posuwała się dosyć szybko. Zaskoczyła ją więc gwałtowna reakcja człowieka w brązowym ubraniu w stylu safari trzymającego w ręku książkę – to był Odenigbo. Podszedł do przodu kolejki, odprowadził białego z powrotem na miejsce i krzyknął na kasjera: „Ty żałosny ignorancie! Zobaczyłeś białego i wydaje ci się, że on lepiej wygląda niż ludzie tobie podobni? Musisz przeprosić wszystkich w tej kolejce! I to natychmiast!”.

Olanna patrzyła na niego, na łuk brwi za okularami, na potężną sylwetkę, już teraz zastanawiając się, jak w najmniej bolesny sposób wywikłać się ze związku z Mohammedem. Być może zauważyłaby tę jego odmienność, nawet gdyby Odenigbo się nie odezwał; widać było to już po samej jego fryzurze wznoszącej się wysoką aureolą. Ponadto biła od niego charakterystyczna schludność, nie należał do tych, którzy swój radykalizm muszą potwierdzać niechlujnym wyglądem. Uśmiechnęła się i kiedy obok niej przechodził, powiedziała: „Brawo!”. Jeszcze nigdy w życiu nie zrobiła niczego tak śmiałego, po raz pierwszy starała się zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Zatrzymał się i przedstawił:

– Nazywam się Odenigbo.

– Olanna – odparła, a dużo później powiedziała mu, że wówczas w powietrzu aż iskrzyło od magii, na co on odparł, że w tamtej chwili ogarnęło go tak wielkie pożądanie, że nieomal poczuł ból w kroczu.

Kiedy w końcu ją także ogarnęło pożądanie, dominowało nad nim zaskoczenie. Nie wiedziała, że ruchy męskiego ciała mogą doprowadzić ją do zupełnego zapomnienia, że można znieruchomieć w miejscu, w którym się nie myśli i nie pamięta, a jedynie czuje. Pomimo upływu dwóch lat intensywność tego przeżycia nie ustąpiła, podobnie jak i podziw dla zarozumiałej ekscentryczności i bezkompromisowych poglądów moralnych Odenigba. Obawiała się jednak tego, że dotychczas ze swojego związku czerpali tylko małymi łyka-

mi – widywała się z nim, kiedy wracała do domu na wakacje, pisywali do siebie, rozmawiali przez telefon. Po jej powrocie do Nigerii mieli zamieszkać razem i nie potrafiła zrozumieć, że on nie okazuje najmniejszych wątpliwości. Był zbyt pewny wszystkiego.

Spojrzała za okno, na przepływające za nim dymiące tumany chmur, i pomyślała, jakie wszystko jest kruche i delikatne.

Olanna nie miała zamiaru jeść kolacji z rodzicami, zwłaszcza kiedy się okazało, że zaprosili prezesa Okonjiego. Ale matka przyszła do jej pokoju, prosząc, żeby nie odmawiała i wraz z nimi zasiadła do stołu – przecież nie co dzień goszczą ministra finansów, a ta kolacja miała szczególne znaczenie, ponieważ ojciec Olanny starał się o uzyskanie kontraktu budowlanego.

– Biko, ubierz się ładnie. Kainene też się przebierze – dodała matka, jakby już samo wspomnienie siostry bliźniaczki miało wszystko usprawiedliwić.

Usiadłszy przy stole, Olanna wygładziła serwetkę na kolanach i uśmiechnęła się do lokaja kładącego obok niej talerz przekrajanych na pół awokado. Jego biały uniform był tak wykrochmalony, że spodnie wyglądały, jakby zrobiono je z tektury.

– Dziękuję, Maxwellu – powiedziała.

– Proszę, ciociu – wymamrotał Maxwell i poszedł dalej z tacą.

Olanna rozejrzała się wokół stołu. Rodzice skupili wzrok na prezesie Okonjim, z przejściem kiwali głowami, kiedy opowiadał o niedawnym spotkaniu z premierem Balewą. Kainene wpatrywała się w talerz z tą swoją figlarną miną, jakby drwiła z awokado. Nikt z nich nie podziękował Maxwellowi. Olannie zrobiło się przykro, że tego nie zrobili, przecież to nie takie trudne, uznać człowieczeństwo ludzi, którzy dla nich pracują. Raz nawet o tym wspomniała, na co ojciec rzekł, że płaci im dostatecznie dobrze, matka dodała, że podziękowania stanowiłyby jedynie zachętę do bezczelnego zachowania, natomiast Kainene jak zwykle nic nie powiedziała, patrząc ze znużonym wyrazem twarzy.

– Już dawno nie jadłem tak pysznego awokado – stwierdził prezes Okonji.

– Pochodzi z jednego z naszych gospodarstw – powiedziała matka. –

W okolicach As aby.

– Lokaj zapakuje ci kilka do torby – odezwał się ojciec Olanny.

– Wspaniale – odrzekł prezes Okonji. – Olanno, mam nadzieję, że tobie też smakuje. Wpatrujesz się w nie, jakbyś się bała, że cię ugryzie. – Roześmiał się, zanosząc się rubasnym rechotem, a jej rodzice natychmiast mu zawtóro-

wali.

– Bardzo dobre. – Olanna podniosła wzrok. Uśmiech prezesa Okonjiego zdawał się ociekać wilgocią. Kiedy w zeszłym tygodniu wcisnął jej swoją wizytówkę w klubie Ikoyi, ten uśmiech ją zaniepokoił, ponieważ odniosła wrażenie, że w wyniku ruchu warg wypełniająca usta ślina w każdej chwili może spłynąć mu po podbródku.

– Mam nadzieję, że przemyślałaś propozycję podjęcia pracy w naszym ministerstwie, Olanno. Potrzeba nam takich wybitnych umysłów jak twój – powiedział prezes Okonji.

– Chyba niewiele osób otrzymuje propozycję pracy bezpośrednio z ust ministra finansów – odezwała się jej matka, nie zwracając się do nikogo konkretnego, a uśmiech rozjaśnił jej owalne ciemnoskóre oblicze, tak bliskie ideału i tak symetryczne, że znajomi mówili na nią „Arcydzieło”.

Olanna odłożyła łyżeczkę.

– Postanowiłam przenieść się do Nsukki. Wyjeżdżam za dwa tygodnie.

Zauważyła, że ojciec zaciska usta. Ręka matki na chwilę zawisała w powietrzu, jakby ta wiadomość była zbyt tragiczna, żeby można dalej sypać sól.

– Wydawało mi się, że jeszcze nie podjęłaś decyzji – powiedziała.

– Nie mogę zbyt długo zwlekać, bo zaproponują to stanowisko komuś innemu – odparła Olanna.

– Do Nsukki? Naprawdę postanowiłaś przenieść się do Nsukki? – zapytał prezes Okonji.

– Tak, ubiegałam się o stanowisko wykładowcy na wydziale socjologii i właśnie je otrzymałam – odrzekła Olanna. Zazwyczaj awokado smakowało jej bez soli, ale tym razem było jakieś mdłe, nieomal przyprawiało ją o mdłości.

– Ach, czyli zostawisz nas samych w Lagos – powiedział prezes Okonji. Jego twarz zdawała się rozpływać, jakby zapadała się w sobie. Po chwili się odwrócił i zapytał z przesadną radością w głosie: – A ty, Kainene, co zamierzasz?

Kainene popatrzyła prezesowi Okonjiemu prosto w oczy, rzucając mu spojrzenie tak pozbawione wyrazu, tak obojętne, że niemal wrogie.

– Tak, to ciekawe, co ja mogę zamierzać? – Uniosła brwi. – Ja również wykorzystam niedawno uzyskany dyplom. Jadę do Port Harcourt, gdzie będę zarządzać interesami taty.

Olanna bardzo żałowała, że już nie zdarzają się jej te chwile olśnienia, w których dokładnie wiedziała, co myśli Kainene. Kiedy chodziły do podsta-

wówki, często wystarczyło, że spojrzały na siebie, nie musiały nic mówić, i wybuchały śmiechem, bo obie myślały o tym samym żarcie. Wątpiła, czy Kainene zdarza się teraz miewać takie przebłyski, przecież już nie rozmawiały o takich rzeczach. O niczym już nie rozmawiały.

– Czyli Kainene będzie zarządzać cementownią? – zapytał prezes Okonji, zwracając się do jej ojca.

– Będzie nadzorować wszystkie nasze interesy na wschodzie, zarówno fabryki, jak i nowe inwestycje naftowe. Zawsze miała dryg do interesu.

– Jeśli ktoś twierdził, że straciłeś na posiadaniu córek bliźniaczek, łągał jak pies – oświadczył prezes Okonji.

– Kainene znaczy więcej niż syn, ona wystarczy za dwóch synów – odrzekł jej ojciec. Spojrzał na Kainene, lecz odwróciła wzrok, jakby malująca się na jego twarzy duma nie miała dla niej żadnego znaczenia, a Olanna pospiesznie skupiła się na swoim talerzu, nie chcąc, żeby któreś spostrzegło, że ich obserwuje. Talerz był elegancki, w kolorze zielonym, jak awokado.

– A może byście tak wszyscy przyjechali do mnie na weekend, co?

– zapytał prezes Okonji. – Choćby po to, żeby skosztować zupy paprykowej z rybą przyrządzonej przez mojego kucharza. Facet pochodzi z Nembe i doskonale wie, co należy zrobić ze świeżą rybą.

Jej rodzice głośno zarechotali. Olanna nie widziała w tym nic śmiesznego, ale przecież był to dowcip ministra.

– Wspaniały pomysł – odezwał się ojciec Olanny.

– Miło będzie wybrać się wspólnie przed wyjazdem Olanny do Nsukki – dodała matka.

Olanna poczuła lekką irytację, jakby swędzenie skóry.

– Z chęcią bym skorzystała z zaproszenia, ale wyjeżdżam na weekend.

– Wyjeżdżasz? – zapytał ojciec.

Zaciekawiło ją, czy rzeczywiście w jego oczach pojawił się wyraz rozpaczliwego błagania. Zastanawiała się również, w jaki sposób jej rodzice, w zamian za uzyskanie kontraktu, obiecali prezesowi Okonjiemu romans z nią. Czy wyrazili to wprost, na głos, czy tylko dyskretnie dali mu do zrozumienia?

– Zaplanowałam wyjazd do Kano, chcę się zobaczyć z wujkiem Mbaezim i rodziną, a także z Mohammedem – odparła.

Ojciec wbił nóż w awokado.

– Rozumiem.

Olanna bez słowa łyknęła tylko wody.

Po kolacji wyszli na balkon napić się likieru. Olanna lubiła ten wieczorny

rytuał i często oddalała się od rodziców i gości, żeby stanąć przy balustradzie i patrzeć na wysokie latarnie oświetlające ścieżki w dole, latarnie tak jasne, że w ich blasku basen się srebrzył, a ketmia i bugenwilla jarzyły się nalotem pokrywających ich czerwonych i różowych barw. Kiedy Odenigbo, po raz pierwszy i dotąd jedyny, odwiedził ją w Lagos, stali razem, spoglądając z góry na basen. Odenigbo rzucił korek z butelki i patrzył za nim, dopóki nie uderzył w wodę. Odenigbo wypił sporo brandy i kiedy jej ojciec oświadczył, że ten cały pomysł z uniwersytetem w Nsuce to głupota, bo Nigeria jeszcze nie jest gotowa na lokalny uniwersytet, a korzystanie ze wsparcia amerykańskiego uniwersytetu – nie zaś z odpowiedniego uniwersytetu w Wielkiej Brytanii – to czysty idiotyzm, Odenigbo w odpowiedzi podniósł głos. Olanna sądziła, że odbierze słowa jej ojca jako próbę wyprowadzenia go z równowagi oraz pokazania, jak małe wrażenie robi na nim starszy wykładowca z Nsukka, i myślała, że Odenigbo puści je mimo uszu. Tymczasem jego głos podnosił się coraz bardziej, w miarę jak Odenigbo argumentował, że Nsukka jest wolna od wpływów kolonialnych. Olanna mrugała znacząco, dając mu znać, żeby przerwał, lecz mógł tego nie zauważyć, ponieważ na werandzie panował półmrok. W końcu zadzwonił telefon i trzeba było zakończyć rozmowę. W oczach ojca Olanna dostrzegła przepełniony urazą szacunek, który nie przeszkodził rodzicom pouczać ją, że Odenigbo jest człowiekiem szalonym, zupełnie dla niej nieodpowiednim, po prostu jednym z tych w gorącej wodzie kąpanych uniwersyteckich typków, którzy tylko w kółko coś mówią, i choć wszystkich w końcu boli od tego głowa, nikt nic nie rozumie z tego ich gadania.

– Ależ chłodna noc – odezwał się stojący za nią prezes Okonji.

Olanna odwróciła się do niego. Nie zauważyła, kiedy rodzice i Kainene weszli do środka.

– Tak – odparła.

Prezes Okonji stał przed nią. Kołnierz jego agbady obszyty był złotą nicią. Olanna spojrzała na pozwijane na jego szyi wałki tłuszczu i wyobraziła sobie, jak musi rozkładać te fałdy podczas kąpieli.

– To może jutro? W hotelu Ikoyi będzie koktajl – powiedział. – Chciałbym, żebyście wszyscy poznali się z pewnymi Nigeryjczykami żyjącymi na emigracji. Szukają tu ziemi, a ja mógłbym tak to zorganizować, żeby kupili ją od twojego ojca za pięcio- lub sześciokrotnie wyższą cenę.

– Jutro będę jeździć w ramach charytatywnej akcji Stowarzyszenia Świętego Wincentego a Paulo.

Prezes Okonji zbliżył się do niej.

– Ciągłe o tobie myślę – oznajmił, a ona poczuła jego przesiąknięty alkoholem oddech.

– Prezesie, ja nie jestem zainteresowana.

– Po prostu ciągle o tobie myślę – powtórzył prezes Okonji. – Posłuchaj, wcale nie musisz pracować w ministerstwie. Mogę wyznaczyć cię do jakiejś rady nadzorczej, sama możesz wybrać, do której zechcesz, i wynajmę ci mieszkanie w wybranym przez siebie miejscu.

Przyciągnął ją do siebie, a Olanna przez chwilę nie reagowała, jej zwiotczone ciało bezwładnie oparło się o niego. Zdążyła się już do tego przyzwyczaić, nieraz chwyтали ją mężczyźni spowici obłokiem przesiąkniętej zapachem wody kolońskiej wszechwładzy, przekonani, że skoro oni są potężni i uważają ją za piękność, muszą być sobie przeznaczeni. W końcu odepchnęła go od siebie, z odrazą czując, jak jej dłonie zapadają się w miękkiej klatce piersiowej.

– Proszę przestać.

Okonji oczy miał zamknięte.

– Kocham cię, uwierz mi. Naprawdę cię kocham.

Wyślizgnęła się z jego objęć i weszła do domu. Z salonu dochodziły ledwo słyszalne głosy rodziców. Zatrzymała się, żeby powąchać przywiedłe kwiaty w wazonie stojącym na stoliczku przy schodach, chociaż zdawała sobie sprawę, że już utraciły zapach, i dopiero po chwili ruszyła po schodach w górę. Jej pokój – drewno w ciepłej tonacji, jasnobrązowe meble, ciągnące się od ściany do ściany bordowe wykładziny, które pieściły jej stopy, te tak wielkie przestrzenie powodujące, że Kainene nazywała ich pokoje mieszkaniami – zdawał się jakiś obcy. Na łóżku nadal leżał numer „Lagos Life”; wzięła go do ręki i spojrzała na zdjęcie zamieszczone na piątej stronie, przedstawiające ją wraz z matką, obie z uśmiechniętymi twarzami wyrażającymi zadowolenie, na koktajlu wydanym przez wysokiego komisarza Wielkiej Brytanii. Widząc zbliżającego się fotografa, matka przyciągnęła ją do siebie; później, kiedy flesz już zgasł, Olanna wzięła fotografa na bok i zwróciła się do niego z prośbą, żeby nie publikowano tego zdjęcia. Spojrzał na nią jakoś dziwnie. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak głupio było prosić go o coś takiego, przecież on nigdy nie zrozumie jej zakłopotania wynikającego z uczestnictwa w blichtrze stanowiącym podstawę życia jej rodziców.

Czytała w łóżku książkę, kiedy matka zapukała do drzwi i weszła do pokoju.

– Och, czytasz... – odezwała się. W dłoniach trzymała zwoje materiału. – Prezes chwilę temu wyszedł. Kazał cię pozdrowić.

Olannie cisnęło się na usta pytanie, czy obiecali mu romans z nią, choć doskonale wiedziała, że nigdy o coś takiego nie zapyta.

– Co to za materiał?

– Tuż przed wyjściem prezes polecił swojemu kierowcy przynieść go z samochodu. To najnowsze koronki z Europy. Widzisz? Piękne, i fukwa?

Olanna wzięła materiał w palce.

– Tak, bardzo ładne.

– Widziałaś, co on miał dzisiaj na sobie? Prawdziwy oryginał! Ezigbo! – Matka usiadła przy niej. – A słyszałaś, że podobno nigdy nie wkłada tego samego ubrania dwa razy? Ubiera je tylko raz, a potem oddaje swoim służącym.

Olanna wyobraziła sobie biednych służących, z których każdy posiada drewniane kufry wypełnione absurdalnymi koronkami. Była przekonana, że nie otrzymują zbyt dużej wypłaty na koniec miesiąca, mają za to używane kaftany i agbady, których nigdy nie będą mogli nosić. Czowała się zmęczona. To rozmowa z matką tak ją męczyła.

– Którą wybierasz, nne? Uszyję dla Kainene i dla ciebie długą spódnicę i bluzkę.

– Nie, mam, nie trap się tym. Uszyj coś sobie. W Nsucce rzadko będę miała okazję nosić eleganckie koronki.

Matka przeciągnęła palcem po nocnej szafce.

– Ta głupia służąca nie sprząta porządnie mebli. Czy ona sobie myśli, że płacę jej za zabawę?

Olanna odłożyła książkę. Wyraźnie widziała, że jej matka chce coś powiedzieć, a ten przyklepiony uśmiech i drobiazgowo sprawdzanie mebli miały stanowić jedynie wstęp.

– Co słyhać u Odenigba? – w końcu zapytała.

– W porządku.

Matka westchnęła z wyraźną przesadą, która miała wyrażać życzenie, żeby Olanna dostrzegła przyczynę jej zatroskania.

– Czy na pewno dobrze się zastanowiłaś nad tymi przenosinami do Nsunki? Naprawdę dobrze?

– Jeszcze nigdy o niczym nie byłam tak bardzo przekonana.

– Ale czy tobie będzie tam wygodnie? – Słowo „wygodnie” matka wypowiedziała z lekkim drżeniem w głosie, a Olanna natychmiast się uśmiechnęła, ponieważ matka miała na myśli ten „prymitywny” uniwersytecki dom Odenigba, w którym były surowe pokoje, proste meble i gołe podłogi.

– Będzie mi wygodnie – zapewniła.

- Mogłabyś znaleźć sobie pracę w Lagos i jeździć tam w weekendy.
- Tylko że ja nie chcę pracować w Lagos. Chcę pracować na uniwersytecie i zamieszkać z Odenigbem.

Matka jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądała się jej, po czym podniosła się i głosem wyjątkowo cichym i urażonym powiedziała:

- Dobranoc, córeczko.

Olanna wpatrywała się w zamknięte drzwi. Przyzwyczyła się już do rozczarowań matki, ostatecznie ubarwiały większość jej poważnych decyzji – na przykład kiedy wolała zostać zawieszona na dwa tygodnie, niż przeprosić swoją nauczycielkę w Heathgrove za upieranie się przy tym, że lekcje na temat Pax Britannica są sprzeczne; kiedy przyłączyła się do studenckiego ruchu na rzecz niepodległości w Ibadanie; kiedy nie zgodziła się wyjść za mąż za syna Igwego Okagbue, a także później za syna prezesa Okara. Jednak ta jej dezaprobata za każdym razem powodowała, że Olanna chciała przeproszać, jakoś spróbować naprawić to, co się stało.

Już prawie spała, kiedy do drzwi zapukała Kainene.

- To co, rozłożysz nogi przed tym słoniem w zamian za tatusiowy kontrakt?
- zapytała.

Zaskoczona Olanna usiadła na łóżku. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio Kainene przyszła do jej pokoju.

- Tato dosłownie siłą odciągnął mnie z werandy, żebyś mogła zostać sam na sam z naszym dobrym rządowym ministrem – powiedziała Kainene. – To jak będzie, załatwi tacie kontrakt?

– Nic o tym nie mówił. Ale przecież nie zostanie z pustymi rękami. W końcu tato i tak odpali mu dziesięć procent.

– Dziesięć procent to norma, więc premie zawsze są mile widziane. Inni zainteresowani prawdopodobnie nie mają „przepięknej” córki. – Kainene wymówiła to słowo przeciągle, tak że zabrzmiało jakąś nadmierną słodyczą, zrobiło się lepkie: prze-pięk-nej. Przerzucała strony „Lagos Life”, ciasno zawinięta w jedwabną szatę podkreślającą jej chudą talię. – Czasami warto być tą brzydką córką, przynajmniej nikt nie chce zrobić z ciebie seksualnej przynęty.

- Oni nie robią ze mnie seksualnej przynęty.

Przez chwilę Kainene nie odpowiadała, jakby skupiona na artykule w gazecie. Po chwili podniosła wzrok.

- Richard też wybiera się do Nsukki. Przyznano mu grant i postanowił tam pisać książkę.

- Och, to dobrze. Czyli ty też będziesz spędzać trochę czasu w Nsucce?

Kainene zignorowała jej pytanie.

– Richard nikogo nie zna w Nsucce, może więc przedstawiłabyś go swojemu rewolucyjnemu kochankowi?

Olanna uśmiechnęła się. Rewolucyjny kochanek. Czego to Kainene nie potrafi mówić z poważną twarzą!

– Poznam ich ze sobą – obiecała.

Nigdy nie podobał się jej żaden z chłopaków Kainene i nigdy nie podobało jej się, że w Anglii Kainene chodziła z tak wieloma białymi. Olanne irytowała ich ledwo skrywana protekcyjność, fałszywość uznawanych przez nich prawd. Jednak nie zareagowała w ten sam sposób na Richarda Churchilla, kiedy Kainene przyprowadziła go na kolację. Być może dlatego, że nie wykazywał tej dobrze znanej wyższości Anglików, którym wydawało się, że lepiej rozumieją Afrykanów niż sami Afrykanie, charakteryzowała go natomiast jakaś urocza niepewność, nieomal wstydlivość. Albo może dlatego, że jej rodzice nie zwrócili na niego specjalnej uwagi; skoro nie znał nikogo, kogo warto byłoby znać, nie wywarł na nich żadnego wrażenia.

– Wydaje mi się, że Richardowi spodoba się dom Odenigba – odezwała się Olanna. – Wieczorami przypomina klub polityczny. Najpierw zapraszał samych Afrykanów, bo na uniwersytecie jest wielu obcokrajowców, a jemu zależało, żeby Afrykanie mieli okazję poznawać się w swoim gronie. Początkowo panowała zasada, że każdy przynosi swój alkohol, ale teraz wszyscy się składają, Odenigbo raz na tydzień kupuje napoje i wszyscy spotykają się w jego domu... – urwała. Kainene patrzyła na nią dręt看ym wzrokiem, jakby Olanna złamała niewypowiedzianą umowę i zaczęła bezsensowne dywagacje.

Kainene ruszyła w stronę drzwi.

– Kiedy wyjeżdżasz do Kano?

– Jutro. – Olanna chciała, żeby Kainene jeszcze została, żeby usiadła na łóżku, wzięła poduszkę na kolana i razem z nią długo w noc plotkowała i śmiała się.

– Szczęśliwej drogi, jee ofuma. Pozdrów ciocię, wujka i Arize.

– Pozdrowię – odparła Olanna, chociaż Kainene zdążyła już wyjść i zamknąć drzwi za sobą. Słuchała kroków siostry na wyłożonym wykładziną korytarzu.

Dopiero teraz, kiedy już wróciły z Anglii i znowu mieszkały w tym samym domu, Olanna uzmysłowiła sobie, jak bardzo się od siebie oddaliły. Kainene zawsze była dzieckiem zamkniętym w sobie, taką ponurą i często zgryźliwą nastolatką, która nie starała się być miłą wobec rodziców, więc Olanne pozosta-

wiała ten obowiązek. Mimo to były sobie bliskie. Kiedyś były przyjaciółkami. Olanna zastanawiała się, kiedy to się zmieniło. Z pewnością jeszcze przed wyjazdem do Anglii, bo w Londynie nie miały nawet wspólnych znajomych. Być może doszło do tego jeszcze w szkole średniej w Heathgrove. A może nawet wcześniej. Nic szczególnego się nie wydarzyło – nie doszło do żadnej ważnej kłótni, do żadnego istotnego incydentu – po prostu ich drogi się rozeszły, ale teraz Kainene bardzo się od niej oddaliła i nie było już możliwości, żeby ponownie się zbliżyły.

Olanna postanowiła, że nie poleci do Kano samolotem. Lubiła siedzieć przy oknie pociągu i patrzeć na przemykające gęste lasy, na rozwijające się przed jej oczami porośnięte trawą równiny, na wymachujące ogonami bydło zaganiane przez obnażonych do pasa nomadów. Kiedy dotarła do Kano, po raz kolejny uderzyło ją, jak bardzo to miasto różni się i od Lagos, i od Nsukka, i od jej rodzinnego Umuunnachi, jak bardzo cały Region Północny różni się od Regionu Południowego. Tutaj piasek był drobniutki, szary i spalony słońcem, w niczym nie przypominał czerwonych grudek ziemi w jej stronach, drzewa były okiełznane, nie eksplodowały zielenią, która bujnie wyrastała i rzucała cienie na drodze do Umuunnachi. Tutaj równiny ciągnęły się całymi milami, zapraszając do intensywniejszego wyteżenia wzroku i patrzenia w dal, gdzie zdawały się stykać ze srebrzystobiałym niebem.

Na dworcu wzięła taksówkę i poleciła kierowcy zatrzymać się przy targu, bo chciała najpierw przywitać się z wujkiem Mbaezim.

Idąc wąskimi uliczkami na targowisku, lawirowała między małymi chłopcami niosącymi na głowach ogromne ładunki, targującymi się kobietami i krzyzącymi handlarzami. Ze sklepu z płytami płynęła głośna muzyka high life, toteż Olanna zwolniła nieco, żeby zanucić piosenkę Bobby ego Bensona „Taksówkarz”, po czym pospiesznie ruszyła do stoiska wujka. Na półkach rzędem stały wiadra i inne artykuły gospodarstwa domowego.

– Omalicha! – odezwał się na jej widok. Tak samo nazywał jej matkę: „Piękna”. – Myślałem o tobie. Wiedziałem, że wkrótce nas odwiedzisz.

– Dzień dobry, wujku.

Uściskali się. Olanna położyła głowę na jego ramieniu; pachniał potem, targowiskiem na świeżym powietrzu, artykułami ustawionymi na zakurzonych drewnianych półkach.

Trudno było wyobrazić sobie wujka Mbaeziego i jej matkę wspólnie dorastających jako brat i siostra. I to nie tylko dlatego, że w twarzy wujka, o jasnej

karnacji, nie było ani śladu urody jej matki, ale również dlatego, że tego człowieka cechowała naturalna prostolinijność. Czasami Olanna zastanawiała się, czy podziwiałaby go tak bardzo, gdyby tak znacznie nie różnił się od jej matki.

Kiedy do niego przyjeżdżała, wujek Mbaezi zawsze siadał z nią po kolacji na podwórzu i opowiadał rodzinne nowinki: a to niezamężna córka jakiegoś kuzyna zaszła w ciążę i wujek chciał, żeby przyjechała do nich i z nimi zamieszkała, dzięki czemu mogłaby uniknąć złośliwości w swojej wiosce; a to bratanek zmarł tutaj, w Kano, i wujek szukał najtańszej możliwości przetransportowania ciała do domu... Czasami mówił o polityce: co Związek Iboów organizuje, oprotestowuje czy też dyskutuje. Członkowie związku spotykali się na jego podwórzu. Była obecna na kilku takich zebraniach i wciąż jeszcze pamiętała jedno, podczas którego zirytowani mężczyźni i kobiety rozmawiali o tym, że szkoły na Północy nie przyjmują dzieci z ludu Ibo. W pewnym momencie wujek Mbaezi wstał i tupnął nogą. „Ndi be anyi! Rodacy! Sami zbudujemy sobie szkołę! Zbierzemy pieniądze i zbudujemy własną szkołę!”. Po jego wystąpieniu Olanna wraz z innymi klaskała na znak poparcia, wspólnie z nimi skandując: „Dobrze powiedziane! Tak zrobimy!”. Ale martwiła się, że budowa szkoły nie będzie prostą sprawą. Może bardziej praktycznym rozwiązaniem byłoby postarać się przekonać mieszkańców Północy, żeby przyjmowali do szkoły dzieci Iboów.

I oto zaledwie kilka lat później, jadąc taksówką po Airport Road, mijając Szkołę Średnią Związku Iboów. Właśnie trwała przerwa i na szkolnym boisku pełno było dzieci. Chłopcy podzieleni na kilka różnych drużyn grali w piłkę nożną, a Olanna, widząc kilka piłek latających w powietrzu, zastanawiała się, jak oni potrafią rozróżnić, którą piłką rozgrywany jest ich mecz. Zgrupowane bliżej drogi dziewczynki grały woga i swell, rytmicznie klaszcząc w dłonie podskakiwały najpierw na jednej, potem na drugiej nodze. Zanim jeszcze taksówka zatrzymała się przed komunalnymi blokami w dzielnicy Sabon Gari zamieszkaną przez ludność pochodzącą z Regionu Południowego, Olanna dostrzegła ciocię Ifekę siedzącą przy swojej przydrożnej budce. Ciocia wytarła ręce w wyblakłą suknię i uścisnęła Olanę, później cofnęła się, żeby się jej przyjrzeć, i ponownie ją objęła.

- Nasza Olanna! – powiedziała.
- Ciocia! Kedu?
- Czuję się jeszcze lepiej, kiedy cię widzę.
- Arize jeszcze nie wróciła z lekcji szycia?
- Zaraz powinna przyjść.

– Co u niej? O na-agakwa? Radzi sobie z krawiectwem?
– W całym domu pełno powycinanych przez nią wykrojów.
– A co słyhać u Odinceza i Ekenego?
– Są u siebie. W zeszłym tygodniu byli tu z wizytą i pytali o ciebie.
– Jak traktuje ich Maidiguri? Udało im się rozkręcić działalność handlową?

– Nic nie mówili, żeby umierali z głodu – odparła ciocia Ifeka, wzruszając lekko ramionami. Olanna przyjrzała się jej szczerzej twarzy i przez krótką, przepelnioną poczuciem winy chwilę żałowała, że Ifeka nie jest jej matką. Ale przecież ciocia Ifeka w niczym nie ustępowała jej matce, w końcu to jej pierś ssały i ona, i Kainene, kiedy wkrótce po ich narodzinach pierś matki wyschła. Co prawda Kainene twierdziła, że pierś matki wcale nie wyschła, tylko matka oddała je mamce – karmiącej cioci, żeby jej piersi nie obwisły.

– Chodź, ada anyi – powiedziała ciocia Ifeka. – Chodźmy do środka. – Zaciągnęła drewniane żaluzje w budce, zakrywając skrzętnie poukładane pudła z zapalkami, gumą do żucia, słodyczami, papierosami i detergentami, po czym chwyciwszy torbę Olanny, poprowadziła ją na podwórze. Wąski parterowy dom nie był pomalowany. Schnące na dworze ubrania wisiały nieruchomo, sztywne, jakby wyschły na wiór w gorącym popołudniowym słońcu. Pod drzewem kuka leżał stos starych opon samochodowych używanych przez dzieci do zabawy. Olanna zdawała sobie sprawę, że ten panujący na podwórzu bezruch zmieni się, kiedy tylko dzieci wrócą ze szkoły. Drzwi do domów pozostaną otwarte, a werandy i kuchnie wypełnią się gwarem. Rodzina wujka Mbaeziego zajmowała dwa pokoje. W pierwszym, w którym na noc odsuwano na bok zniszczone sofy, żeby zrobić miejsce na maty, Olanna rozpakowała przyniesione prezenty – chleb, buty, buteleczki z kremem – obserwowana przez ciocię Ifekę stojącą za nią z rękami założonymi za plecy.

– Niech ktoś ci to wynagrodzi. Niech ktoś ci to wynagrodzi – powtarzała ciocia Ifeka.

Kiedy chwilę później do domu przysła Arize, Olanna musiała mocno trzymać się na nogach, żeby uścisk podekscytowanej Arize jej nie przewrócił.

– Siostra! Powinnaś uprzedzić nas, że przyjedziesz! Może przynajmniej udałoby się nam lepiej pozamiatać podwórko! Ach! Siostro! Aru amaka gi! Świetnie wyglądasz! Och, mam ci tyle do opowiedzenia!

Arize przez cały czas się śmiała. Jej pulchne ciało i krągłe ramiona aż trzęsły się od tego śmiechu. Olanna przycisnęła ją do siebie. Miała wrażenie, że wszystko jest w porządku, właśnie tak, jak powinno być, bo jeśli nawet raz

na jakiś czas coś się nie układa, w końcu i tak wszystko musi powrócić do normy. Dlatego przecież przyjechała do Kano – potrzebowała tego świetlistego spokoju. Kiedy ciocia Ifeka zaczęła rozglądać się po podwórku, Olanna zorientowała się, że szuka odpowiedniego kurczaka. Ciocia Ifeka zawsze zabijała kurę na przyjazd Olanny, nawet jeśli miała to być ostatnia z jej kur, oznaczonych na piórach jedną lub dwiema plamami czerwonej farby dla odróżnienia od kur sąsiadów, które odznaczały się szmatkami przywiązanymi do skrzydeł albo farbą innego koloru. Olanna przestała protestować w sprawie kurczaków, podobnie jak nie sprzeciwiała się już, kiedy wujek Mbaezi i ciocia Ifeka kładli się spać na matach, obok przeróżnych krewnych, którzy chyba zawsze u nich się zatrzymywali, żeby ona mogła spędzić noc w łóżku wujostwa.

Ciocia Ifeka podeszła jakby od niechcenia do brązowej kury, chwyciła ją szybkim ruchem i podała Arize, żeby zabiła ją za domem. Usiadły przed kuchnią i Arize zabrała się za skubanie ptaka, a ciocia Ifeka wydmuchiwała plewy z ryżu. W tym czasie któraś z sąsiadek gotowała kukurydzę i raz na jakiś czas ogień na kuchni syczał w zetknięciu się z przelewającą się spienioną wodą. Na podwórzu bawiły się dzieci, wznosząc biały kurz i głośno krzycząc. Pod drzewem kuka rozgorzała walka i Olanna dosłyszała, jak jedno z dzieci krzyczy do innego w języku ibo:

– Wydupiaj do mamusi!

Wujek Mbaezi wrócił do domu, gdy słońce na niebie zdążyło przybrać barwę czerwieni, przygotowując się do rozpoczęcia swojej wędrówki w dół. Poprosił Olanę, żeby podeszła i przywitała się z jego znajomym, Abdulmalikiem. Olanna już kiedyś spotkała tego Hause sprzedającego skórzane klapki na targu niedaleko straganu wujka Mbaeziego. Kupiła wówczas kilka par i zabrała je ze sobą do Anglii, ale jeszcze nie miała okazji ich nałożyć, bo był środek zimy.

– Nasza Olanna uzyskała właśnie stopień magistra. Ukończyła studia na London University! To nie jest takie łatwe! – z dumą oświadczył wujek Mbaezi.

– Brawo – odezwał się Abdulmalik. Otworzywszy torbę, wyjął parę kłapek i podał je Olanie, marszcząc wąską twarz w uśmiechu i ukazując zęby naznaczone plamami po orzechach kola, tytoniu i czymś jeszcze, czego Olanna nie potrafiła rozpoznać, plamy w różnych odcieniach żółci i brązu. Wyglądał, jakby to on otrzymywał podarunek; jego twarz wyrażała zachwyt dla wykształcenia, charakterystyczny dla ludzi, którzy pogodzili się z myślą, że oni sami nigdy go nie zdobędą.

Wzięła klapki w obie dłonie.

– Dziękuję, Abdulmaliku. Dziękuję.

Abdulmalik wskazał na dojrzałe owoce w kształcie tykwy wiszące na drzewie kuka i powiedział:

– Przyjdź do nasz dom. Moja żona gotuje bardzo słodka zupa kuka.

– Och, przyjdę, następnym razem – odparła Olanna.

Wymamrotał jeszcze kilka słów gratulacji, po czym wraz z wujkiem Mbazim usiedli na werandzie przed wiadrem trzciny cukrowej. Odgryzali twarde zielone łupiny i żuli soczystą białą miazgę, przez cały czas rozmawiając w języku hausa i śmiejąc się. Przeżute trzciny wypluwali na pokrytą pyłem ziemię. Olanna przez chwilę siedziała z nimi, ale mówili tak szybko, że trudno jej było nadążyć. Żałowała, że nie potrafi płynnie mówić w językach hausa i joruba, jak wujostwo i kuzynka, z chęcią oddałyby za to swoją znajomość francuskiego i łaciny.

W kuchni Arize rozkrawała kurczaka, a ciocia Ifeka zajęta była myciem ryżu. Olanna pokazała im otrzymane od Abdulmalika klapki i nałożyła je na nogi; w zachodzących na siebie czerwonych paskach jej stopy wyglądały smuklej, bardziej kobieco.

– Bardzo ładne – powiedziała ciocia Ifeka. – Muszę mu podziękować.

Olanna usiadła na taborecie, starając się omijać wzrokiem jajka karaluchów, gładkie czarne kapsułki widniejące na wszystkich rogach stołu. W jednym z kątów kuchni sąsiadka rozpałała ogień i chociaż w dachu znajdowały się ukośne otwory, pomieszczenie było zadymione.

– I makwa, cała jej rodzina codziennie je wyłącznie sztokfisz – wyjaśniła Arize i zacisnąwszy usta, wskazała w stronę sąsiadki. – Nie wiem, czyjej biedne dzieci w ogóle znają smak mięsa. – Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

Olanna spojrzała na tę kobietę. Pochodziła z ludu Ijaw i nie rozumiała języka ibo, w którym mówiła Arize.

– Może lubią sztokfisz – powiedziała.

– O di egwu! No, na pewno! Czy ty wiesz, jakie to jest tanie? – Arize wciąż się śmiała, odwracając się w stronę tej kobiety. – Ibiba, właśnie mówię mojej starszej siostrze, że twoja zupa zawsze tak smakowicie pachnie.

Kobieta przestała dmuchać w drwa i uśmiechnęła się jakoś znacząco, a Olannie przyszło do głowy, czy przypadkiem ta kobieta jednak nie zna języka ibo, tylko z jakiegoś powodu postanowiła nie psuć Arize radości. Żywiołowa figlarność Arize była tak ujmująca, że ludzie łatwo wybacжали jej psikusy.

– Zamierzasz przenieść się do Nsukki i tam poślubić Odenigba, siostrze? – zapytała Arize.

– Jeszcze nie wiem, jak to będzie z tym małżeństwem. Po prostu chcę być bliżej niego. I chcę uczyć.

Okrągłe oczy Arize pełne były podziwu i zdumienia.

– Coś takiego mogą powiedzieć tylko kobiety, które naczytały się za dużo wiedzy z książek, jak ty, siostrze. Jeśli ludzie tacy jak ja, którzy nie mają wiedzy, będą zbyt długo czekać, powymieramy. – Arize przerwała na chwilę zajęta usuwaniem przejrzyście białego jajka z wnętrza kurczaka. – Ja chcę męża, i to już, od jutra! Wszystkie koleżanki już mnie opuściły i poszły do domów swoich mężów.

– Jesteś jeszcze młoda – odparła Olanna. – Na razie powinnaś skoncentrować się na krawiectwie.

– A krawiectwo da mi dziecko? Nawet gdyby udało mi się zdać i pójść do szkoły, ja i tak już teraz chcę mieć dziecko.

– Nie ma się co spieszyć, Ari. – Olanna żałowała, że nie może przestawić taboretu bliżej drzwi, gdzie byłoby więcej świeżego powietrza. Nie chciała jednak, żeby ciocia Ifeka czy też Arize, a nawet ta sąsiadka zorientowały się, że dym drażni jej oczy i gardło albo że widok jajek karaluchów przyprawia ją o mdłości. Chciała sprawiać wrażenie osoby przyzwyczajonej do tego wszystkiego, do takiego życia.

– Wiem, siostrze, że wyjdiesz za Odenigba, ale szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy chcę, żebyś poślubiła mężczyznę z Abby. Ludzie z Abby są tak brzydki, kai! Gdyby Mohammed pochodził z ludu Ibo, chyba zjadłabym własne włosy, jakbyś za niego nie wyszła. Nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny.

– Odenigbo nie jest brzydki. Uroda może mieć różne oblicza – odrzekła Olanna.

– Właśnie to samo mówili krewni do brzydkiej małpy, enwe, żeby czuła się lepiej. Mówili jej, że uroda ma różne oblicza.

– Mężczyźni z Abby wcale nie są brzydki – powiedziała ciocia Ifeka. – W końcu moja rodzina też stamtąd pochodzi.

– A czy twoi krewni nie przypominają małpy? – zapytała Arize.

– Twoje pełne imię brzmi Arizendikwunne, prawda? Pochodzisz z rodziny własnej matki. Może więc ty też przypominasz małpę – mruknęła ciocia Ifeka.

Olanna wybuchnęła śmiechem.

– Ari, powiedz no, dlaczego tak ciągle powtarzasz: małżeństwo i małżeństwo? Może spotkałeś kogoś, kto ci się spodobał? A może to ja powinnam znaleźć ci któregoś z braci Mohammeda?

– Nie, nie! – Arize gwałtownie zamachała rękami w przestrichu. – Tato pierwszy by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że spojrzałam na któregoś z Hausów.

– Ojciec może nie zdążyć i zabije zwłoki, boja pierwsza zajmę się tobą – oświadczyła ciocia Ifeka, wstając z miską czystego ryżu.

– Jest ktoś, siostró. – Arize zbliżyła się do Olanny. – Och, ale nie wiem, czy on w ogóle mnie zauważa.

– Dlaczego szepczesz? – zapytała ciocia Ifeka.

– Czyja mówię do ciebie? Chyba rozmawiam ze swoją starszą siostrą? – obruszyła się Arize. Jednak podniosła nieco głos, mówiąc dalej: – Nazywa się Nnakwanze i pochodzi z pobliza, z Ogidi. Pracuje na kolei. Ale jeszcze nic takiego mi nie powiedział. Nie wiem nawet, czy zwraca na mnie uwagę.

– Jeśli nie zwraca na ciebie uwagi, to znaczy, że ma coś nie w porządku ze wzrokiem – stwierdziła ciocia Ifeka.

– Ludzie, czy widzicie tę kobietę? Dlaczego nie mogę w spokoju porozmawiać ze swoją starszą siostrą? – Chociaż Arize przewróciła oczami, widać było, że jest zadowolona, może nawet skorzystała z tej okazji, żeby powiedzieć matce o Nnakwanzem.

Tej nocy, leżąc w łóżku wujostwa, Olanna obserwowała Arize przez cienką zasłonę wiszącą na sznurze przywiązany do wbitych w ścianę gwoździ. Sznur nie był napięty i zasłona pośrodku opadała. Olanna śledziła wznoszący się i opadający rytm oddechu Arize, wyobrażając sobie, jak musiało wyglądać dorastanie Arize i jej braci, Odenicheza i Ekenego, widzących przez tę zasłonę rodziców i słuchających dźwięków, które w uszach dziecka mogły świadczyć o niesamowitym bólu, kiedy biodra ojca się poruszały, a matka kurczowo go obejmowała. Ona nigdy nie słyszała, żeby jej rodzice się kochali, nic nigdy nawet nie świadczyło o tym, że coś takiego robili. Co prawda, zawsze dzieliły ją od nich korytarze, które stawały się coraz dłuższe i były coraz grubiej wyłożone dywanami, w miarę jak przenosili się do kolejnych domów. Po przeprowadzce do obecnego domu, z dziesięcioma pokojami, rodzice po raz pierwszy postanowili zająć osobne sypialnie. „Potrzebna mi cała szafa, a przecież miło będzie, kiedy twój ojciec będzie mnie odwiedzał”, powiedziała wówczas matka. Ale jej dziewczęcy śmiech zabrzmiał w uszach Olanny jakoś nieszczerze. Sztuczność związku rodziców zawsze wydawała się wyraźniejsza i bardziej

zawstydzająca, kiedy Olanna przyjeżdżała właśnie tu, do Kano.

Okno nad nią było otwarte, w nieruchomym nocnym powietrzu unosiła się gęsta woń położonego za domem rynsztoka, do którego ludzie opróżniali kubły z toalet. Po chwili do jej uszu dotarły dźwięki przytłumionej rozmowy ludzi zbierających nawóz, którzy przyszedli tu po ścieki; zasnęła, słuchając zgrzytania łopat mężczyzn pracujących pod osłoną nocy.

Siedzący pod bramą rodzinnego domu Mohammeda żebracy nawet nie ruszyli się na widok Olanny. Dalej zajmowali swoje miejsca na ziemi, wspierając się o wykonane z błota mury posesji. Muchy obsiadły ich gęstymi chmurami i przez moment wyglądało, jakby wystrzępione białe kaftany pochłapane były jakąś ciemną farbą. Olanna chciała wrzucić trochę pieniędzy do ich miseczek, lecz zrezygnowała z tego pomysłu. Gdyby była mężczyzną, zaczęliby do niej wołać i wyciągać w jej stronę żebracze miseczki, a muchy wzniosłyby się nad nimi brzęczącą chmurą.

Jeden ze strażników rozpoznał ją i otworzył bramę.

– Witam panią.

– Dziękuję, Sule. Jak się masz?

– Pani pamięta moje imię! – Uśmiechnął się promiennie. – Dziękuję pani.

Bardzo dobrze, proszę pani.

– A rodzina?

– W porządku, z woli Allaha.

– Czy twój pan już wrócił z Ameryki?

– Tak, proszę pani. Proszę wejść. Zaraz po niego poślę.

Przed rozciągającym się u jej stóp piaszczystym dziedzińcem stał czerwony sportowy samochód Mohammeda, jednak uwagę Olanny przykuł dom, a zwłaszcza elegancka prostota jego płaskiego dachu. Usiadła na werandzie.

– Co za wspaniała niespodzianka!

Podniosła wzrok i zobaczyła Mohammeda. Ubrany w biały kaftan uśmiechał się, patrząc na nią z góry. Jego usta tworzyły zmysłową krzywiznę – to były te same usta, które często całowała w czasach, kiedy większość weekendów spędzała w Kano, kiedy jadła palcami ryż w jego domu, patrzyła, jak on gra w polo we Flying Club, i czytała marne wiersze, jakie dla niej pisał.

– Świetnie wyglądasz – powiedziała, znalazłszy się w jego objęciach. – Nie wiedziałam, czy już wróciłeś z Ameryki.

– Zamierzałem pojechać do Lagos, żeby spotkać się z tobą. – Mohammed cofnął się, chcąc się jej przyjrzeć. Zarówno lekkie przechylenie jego głowy,

jak i zwężenie oczu świadczyły o tym, że wciąż jeszcze żywi nadzieję.

– Wyjeżdżam do Nsukki – powiedziała.

– Rozumiem, że ostatecznie postanowiłaś zostać intelektualistką i poślubić tego wykładowcę.

– Nikt nic nie mówił o małżeństwie. A co słyhać u Janet?... A może u Jane?... Mylą mi się te twoje amerykańskie dziewczyny.

Mohammed uniósł brew. Nie mogła nie podziwiać jego karmelowej karnacji. W przeszłości przekomarzała się z nim, mówiąc, że jest ładniejszy niż ona.

– Co zrobiłaś z włosami? – zapytał. – Ta fryzura zupełnie nie pasuje do ciebie. Czyżby właśnie taką chciał cię oglądać twój wykładowca? Jako kobietę z buszu?

Olanna dotknęła włosów świeżo zaplecionych w warkoczyki z czarną nitką.

– Ciocia mi to zrobiła. Mnie się podoba.

– Mnie nie. Wolałem twoje peruki. – Mohammed zbliżył się i ponownie ją objął. Poczowała, jak jego ramiona zaciskają się na jej ciele, i odepchnęła go.

– Nie pozwolisz mi się pocałować.

– Nie – odparła, chociaż to w zasadzie nie było pytanie. – Nie odpowiedziałeś: Janet czy Jane?

– Jane. Czyli po twoim wyjeździe do Nsukki już cię nie zobaczę.

– Oczywiście, że się zobaczymy.

– Wiem, że ten twój wykładowca jest zwariowany, nie będę więc przyjeżdżał do Nsukki. – Mohammed roześmiał się. Jego wysokie szczupłe ciało i smukłe palce kojarzyły jej się z kruchością, delikatnością. – Napijesz się czegoś? Czegoś bez alkoholu czy wolisz wino?

– Masz alkohol w domu? Ktoś powinien donieść o tym twojemu wujkowi – zażartowała Olanna.

Mohammed zadzwonił dzwoneczkiem i polecił zarządcy przynieść napoje. Usiadł, w zamyśleniu trąc palcem wskazującym o kciuk.

– Czasami mam wrażenie, że moje życie zmierza donikąd. Podróżuję, jeżdżę importowanymi samochodami i nie mogę się wprost opędzić od kobiet.

Mimo to czegoś mi brakuje, coś jest nie tak. Rozumiesz? – Patrzyła na niego; wiedziała, gdzie może go to zaprowadzić. Jednak kiedy powiedział: – Żałuję, że tak się wszystko poukładało – pochlebilo jej to i ją wzruszyło.

– Znajdziesz sobie porządną kobietę – rzekła słabym głosem.

– Bzdury – odparł.

Kiedy tak siedzieli obok siebie, popijając coca-colę, przypomniała sobie

bolesny wyraz niedowierzania na jego twarzy, który z każdą chwilą się pogłębiał, w miarę jak mówiła, że jest zmuszona natychmiast zakończyć ich związek, ponieważ nie chce być mu niewierna. Oczekiwała, że będzie protestował, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo ją kocha, jednak zdumiało ją, kiedy powiedział, że jeśli ona chce, od razu może sobie pójść i przespać się z Odenigbem, byle nie zostawiała Mohammeda – i to był ten Mohammed, który często półzartem wspominał o swoim pochodzeniu od świętych wojowników będących prawdziwym wcieleniem bogobojnej męskości. Być może właśnie dlatego jej uczucie do niego zawsze będzie przesycone wdzięcznością, egoistyczną wdzięcznością. Mógł doprowadzić do tego, że ich rozstanie byłoby dla niej o wiele trudniejsze; mógł pozostawić ją z dużo większym bagażem winy.

Odstawiła szklankę.

– Przejeźdźmy się. Nie lubię przyjeżdżać do Kano i oglądać jedynie brzydkie beton i blachy w Sabon Gari. Chciałabym zobaczyć tę starożytną błotną rzeźbę i jeszcze raz przejść się wokół pięknych miejskich murów.

– Czasami zachowujesz się jak ci biali, którzy tylko gapią się na powszednie rzeczy.

– Naprawdę?

– Żartuję. Ale jak zamierzasz nauczyć się nie brać wszystkiego tak poważnie, jeśli zamieszkaasz z tym zwariowanym wykładowcą? – Mohammed podniósł się. – Chodź, najpierw powinniśmy wejść do środka, żebyś przywitała się z moją matką.

Kiedy przechodzili przez tylną furtkę i dziedziniec prowadzący do komnat jego matki, Olanna przypomniała sobie niepokój, z jakim kiedyś tu przychodziła. Nic nie zmieniło się w salonie, w którym przyjmowano gości, zobaczyła te same ściany w złotym kolorze, grube perskie dywany i żłobione dekoracje na odsłoniętych sufitach. Również matka Mohammeda, z kolczykiem w nosie i jedwabnych chustach na głowie, sprawiała wrażenie niezmienionej. Była tak niesamowicie wytworna, że Olanna nieraz zastanawiała się, czy nie jest dla niej zbyt kłopotliwe codziennie stroić się tak tylko po to, żeby siedzieć w domu. Ale dziś na twarzy starszej kobieta nie było już dawnego wyrazu nieprzystępności, nie mówiła chłodnym tonem ze wzrokiem utkwionym gdzieś między twarzą Olanny a ręcznie rzeźbioną boazerią. Tym razem wstała i uściśnęła Olanę.

– Pięknie wyglądasz, moja droga. Nie pozwól, żeby słońce zniszczyło ci tę skórę.

– Na gode. Dziękuję, hadzi – odparła Olanna, jednocześnie zastanawiając się, jak to możliwe, że ludzie potrafią tak po prostu włączać i wyłączać uczucie sympatii, tak łatwo poskramiać i uwalniać emocje.

– Już nie jestem tą kobietą z ludu Ibo, którą chciałeś poślubić i która skalałaby wasz rodowód krwią niewiernej – zauważyła Olanna, kiedy wsiadali do czerwonego porsche Mohammeda. – Teraz mogę już być przyjaciółką.

– I tak bym się z tobą ożenił, a ona o tym wie. Jej upodobania nie miałyby żadnego znaczenia.

– Początkowo może nie, ale co by było potem? Na przykład po dziesięciu latach małżeństwa?

– Twój rodzice rozumowali dokładnie w taki sam sposób. – Mohammed zwrócił się w jej stronę. – Dlaczego mamy teraz o tym rozmawiać?

W jego oczach można było dostrzec jakiś niewymowny smutek. Choć może tylko to sobie wyobrażała. Może to ona chciała, żeby miał smutną minę na myśl, że nigdy się nie pobiorą. Nie chciała za niego wychodzić, a jednak podobało się jej rozmyślanie o tym, czego nie zrobili i już nigdy nie zrobią.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie masz za co przepraszać. – Mohammed wziął ją za rękę. Samochód zachrypiał, kiedy przejeżdżali przez bramę. – W układzie wydechowym jest za dużo pyłu. Te samochody nie nadają się na nasze warunki.

– Powinieneś kupić jakiegoś wytrzymałego peugeota.

– Tak, powinienem.

Olanna patrzyła na żebraków skupionych wokół ścian pałacu, na ich pokryte muchami ciała i żebracze miseczki. W powietrzu unosiła się woń ostrociernych liści miodli indyjskiej.

– Ja nie jestem taka jak biali – powiedziała cicho.

Mohammed spojrział na nią.

– Oczywiście, że nie. Jesteś narodowcem i patriotką, a wkrótce poślubisz swojego wykładowcę, bojownika o wolność.

Olanna nie wiedziała, czy za tą niefrasobliwością Mohammeda nie kryje się jakaś poważniejsza ironia. Wciąż trzymał jej dłoń i zastanowiło ją też, czy kierowanie samochodem jedną ręką sprawia mu trudność.

Olanna przeprowadziła się do Nsukki w wietrzną sobotę, a następnego dnia Odenigbo wyjechał na odbywającą się na uniwersytecie w Ibadanie konferencję matematyków. Zrezygnowałby z tego wyjazdu, gdyby konferencja nie była poświęcona pracy jego mentora, czarnoskórego amerykańskiego matema-

tyka Davida Blackwella.

– To największy żyjący matematyk, największy – powiedział. – Może byś pojechała ze mną, nkiem? To zaledwie tydzień.

Olanna odmówiła, chciała bowiem skorzystać z okazji i pod jego nieobecność zadomowić się, dojść do ładu ze swoimi obawami, kiedy jego tu nie będzie. Po wyjeździe Odenigba w pierwszym rzędzie wyrzuciła czerwone i białe sztuczne kwiaty ze stołu stojącego na środku pokoju.

Ugwu patrzył na nią z przerażeniem.

– Ale, mah, te kwiaty są jeszcze dobre!

Wyszła z domu, zaprowadziła go do afrykańskich lili i różowych róż niedawno podlanych przez Joma i poprosiła Ugwu, żeby kilka ściał, Pokazała mu, ile wody ma wlać do wazonu. Ugwu spoglądał na kwiaty kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć w jej głupotę.

– Ale one umrą, mah. Tamte nie umierają.

– Zgadza się, ale te są lepsze, fa makali – odparła Olanna.

– Jak to lepsze, mah? – Zawsze odpowiadał po angielsku, kiedy mówiła w języku ibo, jakby zwracanie się do niego w ibo stanowiło zniewagę, przed którą musiał się bronić, uparczywie mówiąc po angielsku.

– Po prostu są ładniejsze – odrzekła i uzmysłowiła sobie, że nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego świeże kwiaty są lepsze od plastikowych. Nie zdziwiła się też, kiedy później zobaczyła te sztuczne kwiaty w szafce kuchennej. Ugwu je uratował, podobnie jak ratował stare pudła po cukrze, korki z butelek, a nawet obierki z jamsu. W jego domu nigdy się nie przelewało, zdawała sobie z tego sprawę, i po prostu nie potrafił pozbywać się żadnych rzeczy, nawet tych, które były zupełnie bezużyteczne. Dlatego też kiedy byli razem w kuchni, często mówiła o tym, że zatrzymywać należy tylko te rzeczy, które mogą się do czegoś przydać, jednocześnie mając nadzieję, że nie zapyta jej, do czego niby mogą być przydatne świeże kwiaty.

Poleciła mu posprzątać składzik i wyłożyć półki starymi gazetami, a kiedy tym się zajmował, stanęła obok i wypytywała go o rodzinę. Trudno jej było wyobrazić ich sobie, ponieważ dysponując ograniczonym słownictwem, wszystkich określał jako „very good”. Wybrała się z nim na targ i kiedy już załatwili domowe sprawunki, kupiła mu grzebień i koszulę. Nauczyła go przyrządzać smażony ryż z zieloną papryką i pokrojoną w kostkę marchewką, poleciła krócej gotować fasolę, nie czekać, aż nabierze konsystencji budyniu, nie polewać wszystkiego olejem i aż tak bardzo nie oszczędzać soli. Chociaż już przy pierwszym spotkaniu poczuła zapach potu Ugwu, dopiero po kilku dniach dała

mu jakiś perfumowany puder pod pachy i poprosiła, żeby do kąpieli używał dwóch nakrętek dettolu, antyseptycznego środka do higieny osobistej. Z zadowoloną miną wachał puder, a ona zastanawiała się, czy Ugwu zdaje sobie sprawę, że to typowo kobiecy zapach. Ciekawiło ją też, co tak naprawdę o niej myśli. Wyczuwała wyraźną sympatię, ale w jego oczach dostrzegała też nieme skupienie, jakby przez cały czas poddawał ją jakiejś próbie. Obawiała się, że może nie sprostać wymaganiom.

W języku ibo zaczął do niej mówić tego dnia, gdy przewieszała fotografie na ścianie. Kiedy zza oprawionego w drewnianą ramę zdjęcia przedstawiającego Odenigba w todze absolwenta czmychnął gekon murowy, Ugwu krzyknął:

– Egbukwala! Proszę go nie zabijać!

– Co? – Odwróciła się i stojąc na krześle, spojrzała na niego z góry.

– Jeśli go pani zabije, dostanie pani bóle brzucha – powiedział. Rozbawił ją jego dialekt z okolic Opi, brzmiący, jakby wypluwał kolejne słowa.

– Oczywiście, że go nie zabijemy. Powieśmy zdjęcie na tej ścianie.

– Tak, mah – odparł i zaczął opowiadać w języku ibo, jak to jego siostra Anulika po zabiciu gekona cierpiała na straszliwe bóle brzucha.

Kiedy do domu wrócił Odenigbo, Olanna już częściowo się zadomowiła. Zaraz po powrocie przyciągnął ją, pocałował i przytulił.

– Najpierw powinieneś coś zjeść – powiedziała.

– Sam wiem, na co mam apetyt.

Roześmiała się. Czuła się absurdalnie szczęśliwa.

– Co tu się stało? – zapytał, rozglądając się po pokoju. – Co to za książki na tej półce?

– Twoje starsze książki są w drugiej sypialni. Potrzebuję miejsca na moje książki.

– Ezi okwu? Chyba naprawdę się wprowadziłaś, co? – Odenigbo śmiał się głośno.

– Idź się wykąpać – powiedziała.

– A cóż to za kwiatowy zapach bijący od mojego dobrego człowieka?

– Dałam mu perfumowany talk. Czy ty nie czułeś zapachu jego potu?

– To zapach mieszkańców wioski. Ja tak samo śmierdziałem, zanim nie wyjechałem z Abby do szkoły średniej. Ale ty przecież nic nie możesz wiedzieć o takich rzeczach. – Mówił takim tonem, jakby delikatnie przekomarzał się z nią.

Jego dłonie jednak nie były delikatne. Rozpinały guziki jej bluzki, uwalnia-

ły piersi z miseczek stanika. Nie wiedziała, ile czasu zdążyło upłynąć, lecz kiedy leżała w łóżku w objęciach Odenigba, rozgrzana i naga, do drzwi zapukał Ugwu i powiedział, że mają gości.

– Niech sobie pójda – wymruczała.

– Chodźmy, nkem – rzekł Odenigbo. – Nie mogę się wprost doczekać, żeby cię poznali.

– Zostańmy tu jeszcze chwilkę. – Przesunęła dłonią po jego porośniętej włosami piersi, ale on tylko ją pocałował i podniósłszy się, zaczął szukać bieleziny.

Olanna niechętnie ubrała się i wyszła do salonu.

– Moi przyjaciele, moi drodzy przyjaciele – oświadczył Odenigbo, wykonując przesadnie teatralny gest – oto w końcu stoi przed wami Olanna.

Jakaś kobieta, dotychczas zajęta dostrajaniem radioli, odwróciła się i uściśnęła dłoń Olanny.

– Witam, jak się masz? – zapytała. Jej głowę spowijał jasnopomarańczowy turban.

– Dziękuję, świetnie – odrzekła Olanna. – Lara Adebayo, tak?

– Tak – potwierdziła panna Adebayo. – Odenigbo nie mówił nam, że jest pani tak alogicznie piękna.

Olanna cofnęła się, na moment wytrącona z równowagi.

– Rozumiem, że to komplement.

– I cóż za wzorcowy angielski akcent – wymamrotała panna Adebayo, uśmiechając się pobłaźliwie, po czym ponownie zwróciła się w stronę radioli. Była krępa i miała na sobie sukienkę z pomarańczowej drukowanej tkaniny, w której jej proste plecy wyglądały na jeszcze bardziej wyprostowane. Budowę miała osoby prowadzącej przesłuchania, której nikt nie śmie odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Jestem Okeoma – odezwał się mężczyzna z czupryną skołtunionych włosów na głowie. – Myślałem, że dziewczyna Odenigba to istota ludzka, a on nie mówił, że pani jest syreną.

Olanna roześmiała się, wdzięczna za serdeczność wyczuwalną w słowach Okeomy i w tym, jak nieco zbyt długo przytrzymał jej dłoń. Doktor Patel sprawiał wrażenie zawstydzonego, mówiąc: „Bardzo miło w końcu panią poznać”, a profesor Ezekia uściśnął jej dłoń i skinął głową lekceważąco, kiedy powiedziała, że ukończyła studia z zakresu socjologii, a nie jednej z prawdziwych nauk.

Kiedy Ugwu już podał napoje, Olanna obserwowała Odenigba unoszącego

kieliszek do ust i nie potrafiła przestać myśleć o tym, że jeszcze kilka minut temu te usta zaciskały się na jej sutku. Ukradkiem poruszyła ręką tak, że wewnętrzną stroną ramienia potarła własną pierś, i aż zamknęła oczy, czując szpilki rozkosznego bólu. Czasami Odenigbo gryzł trochę za mocno. Pragnęła, żeby ci goście już sobie poszli.

– Czyż wielki myśliciel Hegel nie nazywał Afryki krainą dzieciństwa? – zapytał profesor Ezeka wyraźnie afektowanym tonem.

– Może więc ludzie, którzy w kinach w Mombasie wieszają napisy: ZAKAZ WSTĘPU DLA DZIECI IAFRYKAŃCZYKÓW czytali Hegla – odezwał się doktor Patel i zachichotał.

– Nie można brać Hegla poważnie. Wczytałeś się dokładnie w jego teksty? Potrafi być zabawny, naprawdę bardzo zabawny. Ale o Afryce podobnie myśleli i Hume, i Voltaire, i Locke – stwierdził Odenigbo.

– O wielkości decyduje miejsce, z którego pochodzisz. Podobnie było z Izraelczykami. Kiedy zapytano, co sądzą o procesie Eichmanna, jeden z nich powiedział, że nie rozumie, jak w ogóle można było uważać nazistów za ludzi wielkich. Ale przecież tak uważano, nieprawdaż? I nadal tak jest! – Odenigbo gestykułował, unosząc otwartą dłoń do góry, a Olanna wspominała, jak ta dłoń obejmowała jej talię. – Ludzie nie dostrzegają tego, że gdyby Europę bardziej obchodziła Afryka, nigdy nie doszłoby do holokaustu – ciągnął. – Krótko mówiąc, nigdy by nie doszło do wojny światowej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała panna Adebayo, trzymając kieliszek przy ustach.

– Jak ty w ogóle możesz mnie pytać, co chcę powiedzieć? Przecież to oczywiste! Zaczęło się już od Hererów. – Odenigbo kręcił się na fotelu, mówiąc podniesionym głosem, a Olanna zastanawiała się, czy on pamięta, jak głośno się zachowywali i jak potem śmiejąc się, powiedział: „Jeśli przez całą noc będziemy robić tyle hałasu, pewnie obudzimy naszego biednego Ugwu”.

– Odenigbo, ty znówu swoje – odezwała się panna Adebayo. – Twierdzisz, że gdyby biali nie wymordowali Hererów, nigdy by nie doszło do holokaustu? Nie widzę tu żadnego związku!

– Nie widzisz? – zapytał Odenigbo. – Te swoje badania nad rasą zaczęli od Hererów, a zakończyli na Żydach. To oczywisty związek!

– Twoja argumentacja kupy się nie trzyma, stary sofisto – stwierdziła panna Adebayo i lekceważącym ruchem opróżniła kieliszek.

– Ale jak to u nas powiadają, wojna światowa oprócz zła przyniosła również dobro – powiedział Okeoma. – Brat mojego ojca walczył w Burmie

i wrócił podekscytowany jednym tylko pytaniem: otóż dlaczego dotychczas nikt nie powiedział mu, że biali nie są nieśmiertelni?

Wszyscy się roześmieli. Cała ich rozmowa sprawiała wrażenie zwyczajowej, jakby już tyle razy toczyli podobne, choć nieco różniące się w szczegółach dysputy, że dokładnie wiedzieli, kiedy mają się śmiać. Również Olanna się śmiała, chociaż przez chwilę miała wrażenie, że jej śmiech brzmi jakoś inaczej, jakby bardziej piskliwie niż pozostałych.

W kolejnych tygodniach, kiedy zaczęła wykładać na kursie wstępu do socjologii, kiedy zapisała się do klubu uczelnianego i zaczęła grywać z innymi wykładowcami w tenisa, kiedy odwoziła Ugwu na targ i chodziła na spacer z Odenigbem, a także wstąpiła do Stowarzyszenia Miłosierdzia Świętego Wincentego a Paulo przy kościele Świętego Piotra, powoli zaczęła przyzwyczajać się do znajomych Odenigba. Odenigbo nawet żartował sobie, że od jej przyjazdu przychodzi tu więcej ludzi, a Okeoma i Patel z pewnością się w niej zakochali, bo Okeoma wyjątkowo chętnie czyta swoje wiersze zawierające opisy bogiń podejrzanie podobnych do jej osoby, doktor Patel zaś zbyt często snuje opowieści o dniach spędzonych w Makarere, przedstawiając w nich siebie jako doskonale szarmanckiego intelektualistę.

Choć Olanna lubiła doktora Patela, najbardziej wyczekiwała wizyt Okeomy. Jego skołtunione włosy, pomięte ubrania i dramatyczna poezja powodowały, że czuła się różnie. Dostyc wcześniej zauważyła też, że właśnie z opinią Okeomy Odenigbo liczy się najbardziej, mówiąc: „To głos naszego pokolenia!”, jakby rzeczywiście w to wierzył. Wciąż nie miała pewności, co myśleć o szorstkiej wyniosłości profesora Ezeki, o jego przekonaniu, że to on wie wszystko najlepiej, choć celowo niewiele mówi. Nie miała też wyrobionego zdania o pannie Adebayo. Może łatwiej byłoby jej, gdyby panna Adebayo okazywała zazdrość, jednak wyglądało na to, że panna Adebayo uważa ją za osobę, która nie jest godna rywalizacji, zważywszy na ten „mało intelektualny” sposób bycia Olanny, jej zbyt piękną twarzą i akcent naśladowający angielskich ciemniejących. Olanna sama złapała się na tym, że w obecności panny Adebayo mówi więcej, rozpaczliwie szermując opiniami, jakby chciała wywrzeć dobre wrażenie – „Nkrumah rzeczywiście chciał panować nad całą Afryką”, „Arogancją ze strony Ameryki było domaganie się od Rosjan, żeby zabrali swoje pociski z Kuby, kiedy ich własne pozostawały w Turcji”, „Masakra w Sharpeville była tylko dramatycznym przykładem cierpienia setek czarnych, codziennie zabijanych przez władze Południowej Afryki” – lecz po-

dejrzała, że za tymi jej wypowiedziami słuchacze wyczuwają pustkę banalności. I przypuszczała, że panna Adebayo zdaje sobie z tego sprawę; zawsze kiedy Olanna zabierała głos, panna Adebayo brała do ręki jakieś czasopismo albo nalewała sobie kolejnego drinka czy też wstawiała i szła do toalety. W końcu Olanna się poddała. Nigdy nie polubi panny Adebayo, której z kolei nigdy nawet przez myśl nie przejdzie, żeby polubić Olanę. Może panna Adebayo potrafiła wyczytać z jej twarzy, że Olanna jest bojaźliwa, że brakuje jej pewności siebie, że nie należy do tych osób, które nie mają czasu ani ochoty wątpić w siebie. Do osób takich jak Odenigbo. I takich jak sama panna Adebayo, która potrafiła spojrzeć człowiekowi prosto w oczy i spokojnie powiedzieć: „Jesteś alogicznie piękna”; która była w stanie wpaść na to, żeby w ogóle użyć takiego zwrotu – „alogicznie piękna”.

A jednak kiedy leżała w łóżku z Odenigbo, kiedy splatały się ich nogi, Olanna uświadamiała sobie, że w tym swoim nowym życiu w Nsuce czuje się jak zanurzona w sieci utkanej z miękkich piór, i to nawet w te dni, kiedy Odenigbo na całe godziny zamykał się w swoim gabinecie. Za każdym razem gdy proponował jej małżeństwo, odmawiała. Byli zbyt szczęśliwi, a szczęście wydawało jej się tak kruche, chciała więc strzec tej ich więzi, obawiając się, że małżeństwo spłyci wszystko i sprowadzi do szarzyzny partnerstwa.

3

Richard niewiele mówił na przyjęciach, na które zabierała do Susan. Kiedy go przedstawiała, zawsze wspominał o swoim zawodzie pisarza, mając nadzieję, że goście uznają go za człowieka bujającego w obłokach, jak zwykle bywa z pisarzami, obawiał się jednak, że potrafią go przejrzeć i dostrzegą, jak bardzo jest skrzępowany w ich towarzystwie. Ale byli wobec niego mili, prawdopodobnie zachowywaliby się tak wobec każdego towarzysza Susan, dopóki Susan dzieliła się z nimi swoim dowcipem, śmiechem, spojrzeniem zielonych oczu skrzących się w twarzy zarumienionej od wypitych kieliszków wina.

Richardowi nie przeszkadzało stanie z boku i czekanie, aż ona będzie gotowa wyjść, nie przeszkadzało mu, że żaden z jej znajomych nawet palcem nie kiwnie, aby wciągnąć go do towarzystwa, nie zważał nawet na pijane kobiety z ziemistą twarzą, które traktowały go jak „ślicznego chłopczyka” Susan. Przeszkadzało mu natomiast, kiedy podczas gromadnych przyjęć dla nigeryjskich emigrantów Susan zachęcała go, by „przyłączył się do męskiego grona”, a sama szła do grupki kobiet, gdzie wymieniała uwagi na temat życia w Nigerii. Czuł się niezręcznie wśród tych mężczyzn. W większości byli to Anglicy, przedstawiciele byłej administracji kolonii i biznesmeni z takich firm, jak John Holt, Kingsway, GB Ollivany, Shell-BP i United Africa Company. Z twarzami poczerwieniałymi od słońca i alkoholu naśmiewali się z plemiennej polityki Nigerii, twierdząc, że tutejsi ludzie najwyraźniej jeszcze nie są gotowi sami sobą rządzić. Rozmawiali o krykiecie, plantacjach – posiadanych albo planowanych, o idealnej pogodzie w Jos, możliwościach prowadzenia działalności biznesowej w Kadunie. Kiedy Richard wspominał o swoim zainteresowaniu sztuką Ibo-Ukwu, stwierdzili, że jeszcze nie przedstawia zbyt dużej wartości rynkowej, więc nawet nie próbował tłumaczyć, że jego zupełnie nie interesują pieniądze, jego pociągają wartości estetyczne. A kiedy powiedział, że dopiero co przyjechał do Lagos i zamierza napisać książkę o Nigerii, obdarzali go krótkim uśmiechem i radami – tutejsi ludzie są żalosnymi żebrakami, musi być pan przygotowany na zapach ich potu oraz na to, że na drogach będą nieustannie się panu przyglądać, proszę nigdy nie wierzyć, gdy będą uzalać się

nad swoim losem, i nigdy nie okazywać słabości przed służbą domową. Każdą cechę Afrykanów komentowano jakimś dowcipem. Richard miał przed oczami obraz bezczelnego Afrykanina: Afrykanin jest na spacerze z psem, a Anglik pyta: „Co robisz z tą małpą?”, na co Afrykanin odpowiada: „To nie jest małpa, to jest pies” – jakby Anglik mówił do niego!

Richard śmiał się z tych dowcipów. Starał się również nie uciekać myślami podczas rozmów, nie chciał pokazywać, jak bardzo czuje się niezręcznie. Wolał rozmowy z kobietami, lecz musiał nauczyć się ograniczać czas spędzany z jedną kobietą, w przeciwnym razie Susan po powrocie do domu rzucała szklankami w ścianę. Był niesamowicie zaskoczony, gdy zdarzyło się to po raz pierwszy. Przez krótką chwilę rozmawiał z Clovis Bancroft o tym, że przed laty jej brat pełnił funkcję okręgowego komisarza w Enugu, i kiedy już wracali do domu jej samochodem prowadzonym przez szofera, Susan nie odezwała się ani słowem. Nawet pomyślał, że się zdrzemnęła i właśnie dlatego nie opowiada mu o koszmarnej sukience jakiejś kobiety czy też niewyszukanych przystawkach, jakie podano na przyjęciu. Ale kiedy już wrócili do domu, chwyciła jakąś szklankę z kredensu i cisnęła nią o ścianę. „Że też musiałeś to robić właśnie z tą okropną kobieciną, Richardzie, i to na moich oczach. To okropne!” Usiadła na sofie i tak długo kryła twarz w dłoniach, aż nie powiedział, że jest mu bardzo przykro, chociaż sam za bardzo nie wiedział, za co właściwie ją przeprosza.

Kolejną szklankę roztrzaskała kilka tygodni później. Rozmawiał z Julią March, głównie na temat jej badań o roli asantehene, króla Aszanti, w Ghanie, stojąc zasłuchany w jej słowa, kiedy podeszła Susan i chwyciwszy go za rękę, odciągnęła na bok. Później, już po rozprysnięciu się kruchego szkła, Susan powiedziała, że wprawdzie zdaje sobie sprawę z tego, iż nie zamierzał flirtować, ale Richard musi zrozumieć, że ludzie potrafią być okropnie bezczelni, a tutejsze plotki są wyjątkowo złośliwe, po prostu niesamowicie złośliwe. Ponownie ją przeprosił, zastanawiając się, co myślą sobie służący sprzątający porozbijane szkło.

A potem była ta kolacja, podczas której na temat sztuki Nok rozmawiał z uniwersytecką wykładowczynią, nieśmiałą, równie jak on zagubioną kobietą z plemienia Joruba. Oczekiwał znanej mu już reakcji i chcąc oszczędzić szkło, zamierzał wygłosić przeprosiny, zanim Susan wejdzie do salonu, lecz w drodze do domu była bardzo rozmowna, pytała go, czy konwersacja z tą kobietą była interesująca, wyrażając nadzieję, że dowiedział się czegoś, co będzie mógł wykorzystać przy pisaniu książki. Przyglądał się jej w panującym we-

wnętrz samochodu półmroku. Nie zareagowałyby w ten sposób, gdyby rozmawiał z którąś z Brytyjek, chociaż niektóre z nich pomagały przy tworzeniu konstytucji Nigerii. A przyczyna była prozaiczna, jak sobie uzmysłowił: czarnoskóre kobiety nie stanowiły dla niej żadnego zagrożenia, nie były równorzędnymi rywalkami.

Ciotka Elizabeth powiedziała kiedyś, że Susan jest osobą pełną wigoru i uroczą i Richard nie powinien zwracać uwagi na to, że jest nieco od niego starsza, a ponieważ od dłuższego czasu mieszka w Nigerii, może go oprowadzić i niejedno mu pokazać. Richard nie chciał, żeby go oprowadzano, doskonale sam sobie radził podczas wcześniejszych podróży zagranicznych. Ale ciotka Elizabeth uparła się przy swoim. Afryka w niczym nie przypomina Argentyny czy Indii. Słowo „Afryka” wymawiała tonem osoby z trudem powstrzymującej drżenie głosu, choć może tylko dlatego, że nie chciała, by wyjeżdżał, wolałaby, aby został w Londynie i dalej pisał dla „News Chronicle”. Wciąż nie wierzył, że ktokolwiek zagłąda do tej jego rubryki, chociaż ciotka Elizabeth twierdziła, że czytają ją wszyscy jej znajomi. Nie było w tym jednak nic dziwnego – ta posada stanowiła rodzaj synekury i na pewno nie zaoferowano by mu jej, gdyby redaktor nie był jej starym znajomym.

Richard nawet nie próbował tłumaczyć ciotce Elizabeth, dlaczego tak bardzo pragnie zobaczyć Nigerię, przystał wszakże na propozycję Susan, która zaoferowała się, że będzie mu służyć za przewodnika. Po przybyciu do Lagos od razu uderzyła go jej radość życia i elegancja, robiło na nim wrażenie, że tak się nim interesuje oraz to, jak dotyka jego ramienia, kiedy się śmieje. Autorytatywnie wypowiadała się na temat Nigerii i Nigeryjczyków. Kiedy przejeżdżali obok wypełnionych zgiełkiem targowisk, na których ze sklepów płynęła nastawiona na cały regulator muzyka, mijając chaotycznie porozstawiane stragany przydrożnych sprzedawców i rynsztoki pełne stęchłej wody, powiedziała: „Ci ludzie mają niesamowitą energię, to prawda, obawiam się jednak, że nie ma w nich za grosz poczucia higieny”. Mówiła mu, że mieszkający w Regionie Północnym Hausowie są ludźmi dostojnymi, że Ibowie są gburowaci i kochają pieniądze, a Jorubowie są dosyć weseli, choć trzeba powiedzieć, że straszni z nich wazeliniarze. Kiedy w sobotnie wieczory oglądali tłumy jaskrawo ubranych ludzi tańczących przed rozświetlonymi daszkami nad ulicami, mówiła: „Oto ich masz. Jorubowie potrafią zaciągać ogromne pożyczki, byle tylko wyprawiać takie imprezy”.

Pomogła mu znaleźć małe mieszkanko, kupić mały samochód, załatwić prawo jazdy, odwiedzić muzea w Lagos i w Ibadanie. „Musisz poznać wszystkich

moich znajomych”, powiedziała. Początkowo, kiedy przedstawiała go jako pisarza, chciał ją poprawiać – jestem dziennikarzem, a nie pisarzem. Ale przecież był pisarzem, a przynajmniej sądził, że czeka go los pisarza, artysty, twórcy. Dziennikarstwo było zajęciem tymczasowym, miał się tym parać, dopóki nie napisze wspaniałej powieści.

Pozwolił więc, by Susan przedstawiała go jako pisarza. Przynosiło to chyba jakąś korzyść, bo dzięki temu jej znajomi przynajmniej go tolerowali. Profesor Nicholas Green poradził mu, żeby postarał się o stypendium badawcze w Nsuce, gdzie mógłby tworzyć w środowisku akademickim. I Richard posłuchał tej rady nie tylko ze względu na perspektywę pisania na uniwersytecie, ale również dlatego, że w ten sposób mógł zamieszkać na południowym wschodzie, na ziemi, która zrodziła sztukę Ibo-Ukwu, ziemi wspaniałego dzba-na oplecionego sznurami. W końcu właśnie po to przyjechał do Nigerii.

Już od kilku miesięcy mieszkał w Nigerii, kiedy Susan zapytała, czy nie zechciałby przeprowadzić się do niej, przecież jej dom w Ikoyi jest wielki, otoczony pięknymi ogrodami i chyba zdecydowanie lepiej będzie mu się pracowało tam niż w wynajętym mieszkaniu, gdzie są nierówne betonowe posadzki i właściciel stale narzekający, że Richard za długo świeci światło. Richard nie chciał się na to zgodzić. Nie chciał już dłużej zostawać w Lagos. Chciał więcej podróżować po kraju w oczekiwaniu na odpowiedź z Nsukki. Ale ponieważ Susan zdążyła już odnowić dla niego przestronny gabinet, przeprowadził się tam. Dzień po dniu zasiadał w jej skórzanym fotelu i ślęczał nad książkami i fragmentami zebranego materiału, spoglądał przez okno na ogrodników podlewających trawnik i uderzał w klawisze maszyny do pisania, chociaż zdawał sobie sprawę, że jedynie pisze na maszynie, a nie tworzy. Susan dbała o tak potrzebną mu ciszę i spokój, czasami tylko zaglądając i szeptem pytając go: „Napijesz się herbaty?” albo: „Chcesz wody?” czy: „Może wczesny lunch?”. On również odpowiadał jej szeptem, jakby cały akt jego pisania stał się czymś uświęconym i przeobraził ten pokój w miejsce otoczone najwyższą czcią. Nie powiedział jej, że dotychczas nie napisał niczego wartościowego, że rodzące się w jego głowie pomysły jeszcze nie połączyły się i nie utworzyły ani charakteru, ani miejsca akcji czy tematu opowieści. Obawiał się, że mogłoby ją to zranić, jego pisanie stało się jej ulubionym hobby i codziennie przynosiła z biblioteki British Council książki i czasopisma. Uważała jego książkę za byt już istniejący i w związku z tym możliwy do ukończenia. A on nie miał nawet pewności, o czym ta książka będzie traktować. Był jednak wdzięczny Susan za tę pokładaną w nim wiarę. Jej wiara powodowała, że pisanie Richarda na-

bierało rzeczywistego charakteru, a on ze swojej strony okazywał wdzięczność, uczestnicząc w przyjęciach, których tak nie lubił. Po kilku takich bankietach doszedł do wniosku, że samo uczestnictwo to za mało, postanowił więc bardziej się zintegrować i postarać się być dowcipny. Gdyby udało mu się powiedzieć coś zabawnego podczas prezentacji, stanowiłoby to jakąś rekompensatę za jego milczenie i co więcej, ucieszyłoby Susan. Przez jakiś czas ćwiczył przed lustrem w łazience zabawną autoironiczną minę oraz nieporadny sposób mówienia. Na słowa Susan: „Przedstawiam Richarda Churchilla”, miał podać dłoń i żartować: „Obawiam się, że raczej nie jestem krewnym sir Winstona, bo pewnie byłbym nieco bystrzejszy”.

Znajomi Susan śmiali się z tego żartu, choć Richard nie był pewien, czy ten ich śmiech nie wynika bardziej z litości dla jego niezdarne dowcipkowania niż z autentycznego rozbawienia. Jednak nikt nigdy nie powiedział: „Bardzo zabawne” takim drwiącym tonem jak Kainene tamtego dnia w koktajlbarze hotelu Federal Palace. Paliła papierosa.

Potrafiła wydmuchiwać idealne kółka z dymu. Stała w tym samym kręgu co on i Susan i kiedy obrzucił ją spojrzeniem, odniósł wrażenie, że jest kochanką jednego z polityków. W ten właśnie sposób oceniał spotykane na przyjęciach osoby: starał się odgadnąć przyczynę ich obecności i określić, kto z kim przyszedł. Być może robił tak dlatego, że sam nie uczestniczyłby w żadnym z tych przyjęć, gdyby nie Susan. Nigdy nie wpadłby na to, że Kainene może być córką bogatego Nigeryjczyka, nie dostrzegał w niej tej charakterystycznej wyćwiczonej skromności. Bardziej wyglądała mu na czyjąś kochankę: bezwstydnie czerwona szminka, obcisła sukienka, a także to palenie papierosów. Choć z drugiej strony nie uśmiechała się sztucznie, jak zwykle robiły kochanki. I trudno byłoby doszukiwać się w niej tej typowej urody, która skłaniała go do dania wiary plotkom, że nigeryjscy politycy wymieniają się kochankami. Prawdę mówiąc, wcale nie była piękna. Zwrócił na to uwagę dopiero przy ponownym spotkaniu z nią, kiedy jakiś znajomy Susan ich sobie przedstawiał.

– To jest Kainene Ozobia, córka prezesa Ozobii. Kainene właśnie skończyła studia w Londynie. Kainene, przedstawiam ci Susan Grenville-Pitts z British Council, a to jest Richard Churchill.

– Bardzo mi miło – odezwała się Susan do Kainene, po czym odwróciła się, żeby porozmawiać z innym gościem.

– Dzień dobry – rzekł Richard. Kainene nie odzywała się przez zdecydowanie zbyt długą chwilę, tylko z papierosem w ustach przyglądała mu się obojętnym wzrokiem, przyglądał więc dłonią włosy i wymamrotał: – Obawiam

się, że raczej nie jestem krewnym sir Winstona, bo pewnie byłbym nieco bystrzejszy.

Wypuściła dym i dopiero potem powiedziała:

– Bardzo zabawne.

Była wyjątkowo chuda i bardzo wysoka, prawie tak wysoka jak on, i patrzyła mu prosto w oczy swoim stalowo beznamiętnym wzrokiem. Jej skóra miała kolor belgijskiej czekolady. Richard nieco szerzej rozstawił nogi i mocno przycisnął stopy do podłoża z obawy, że mógłby się zatoczyć i wpaść na tę kobietę.

W tym momencie powróciła Susan i pociągnęła go za rękę, lecz nie chciał jeszcze odchodzić, otworzył więc usta, żeby coś powiedzieć, choć sam nie wiedział, co mógłby wymyślić.

– Okazało się, że Kainene i ja mamy wspólnego znajomego w Londynie. Opowiadałem ci o Wilffedzie ze „Spectatora”?

– Ach... – odezwała się Susan z uśmiechem. – Wspaniale. Powspominajcie więc sobie, a ja za chwilę wrócę.

Wyczuwała się z jakąś starszą parą, później podeszła do grupki stojącej po drugiej stronie pokoju.

– Właśnie okłamałeś swoją żonę – zauważyła Kainene.

– Nie jesteśmy małżeństwem.

Sam był zaskoczony, jak podziałała na niego możliwość pozostania w jej towarzystwie, nieomal zakreśliło mu się w głowie. Kainene uniosła kieliszek do ust i wypija łyżeczkę wina. Powoli wciągała i wydmuchiwała dym, a wirujący srebrzysty popiół opadał na podłogę. Wszystko zdawało się odbywać w zwolnionym tempie – hotelowa sala balowa zdawała się powiększać i kurczyć, jakby powietrze było odsysane i na powrót włączane w balon przestrzeni zajmowanej przez tę krótką chwilę jedynie przez niego i Kainene.

– Czy mógłbyś się odsunąć? – zapytała.

Zaskoczyły go te słowa.

– Co?

– Za tobą stoi fotograf, który chciałby mi zrobić zdjęcie. A raczej mojemu naszyjnikowi.

Odsunął się na bok i obserwował, jak Kainene patrzy w stronę aparatu fotograficznego. Nie było widać, żeby pozowała, ale z pewnością czuła się swobodnie, przyzwyczajona do fotografowania podczas przyjęć.

– Ten naszyjnik pojawi się w jutrzejszym wydaniu „Lagos Life”. Mogę chyba uznać to za mój wkład w rozwój naszego od niedawna niepodległego

państwa. Dostarczam moim rodakom przedmiotu pragnień, bodźca do ciężkiej pracy – powiedziała, ponownie podchodząc do niego.

– Piękny naszyjnik – stwierdził, choć naszyjnik był raczej mało gustowny. Mimo to Richard zapragnął wyciągnąć rękę i dotknąć go, unieść, a potem opuścić tak, żeby ponownie ułożył się w zagłębieniu szyi. Poniżej rysowały się jej ostro wystające obojczyki.

– To oczywiste, że wcale nie jest piękny. Mój ojciec ma straszny gust, jeśli chodzi o biżuterię – powiedziała. – Ale w końcu to jego pieniądze. No proszę, o wilku mowa, widzę, że moja siostra i rodzice rozglądają się za mną. Muszę już iść.

– Twoja siostra tu jest? – podchwycił Richard, zanim zdążyła się odwrócić i odejść.

– Tak. Jesteśmy bliźniaczkami – odparła i urwała, jakby ujawniła sprawę wielkiej wagi. – Kainene i Olanna. Jej imię to poetyckie „Boskie Złoto”, a moje bardziej praktyczne: „Zobaczmy, co nam Bóg teraz da”.

Richard obserwował jej uśmiech, uśmiech podnoszący jeden z kącików jej ust, uśmiech sardoniczny, który jak sobie wyobrażał, mógł skrywać coś innego, być może niezadowolenie. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Miał wrażenie, że za chwilę skończy się udzielony mu czas.

– Która z was jest starsza? – zapytał.

– Która jest starsza? A cóż to za pytanie? – Wygięła brwi w łuk. – Podobno ja urodziłam się pierwsza.

Richard ścisnął w dłoni kieliszek z winem i zastanawiał się, czy zgniecie go, jeśli mocniej ściśnie.

– Oto i moja siostra – powiedziała Kainene. – Czy mam cię przedstawić? Wszyscy chcą ją poznać.

Richard nie odwrócił się, żeby spojrzeć w tamtą stronę.

– Wolałbym porozmawiać z tobą – odparł. – Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Przygładził ręką włosy.

Patrzyła na niego; pod jej spojrzeniem czuł się jak jakiś młokos.

– Nieśmiały jesteś – powiedziała.

– Bywałem gorzej nazywany.

Uśmiechnęła się w sposób świadczący o rozbawieniu, a on poczuł zadowolenie ze spełnionego zadania, bo udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy.

– Byłeś kiedyś na targu w Balogun? – zapytała. – Wystawiają tam na stołach całe półcie mięsa, a kupujący może sam je pomacać, ocenić i zdecydo-

wać, który kawałek kupi. Moja siostra i ja jesteśmy takim właśnie mięsem. Przyszliśmy tu, żeby jakiś odpowiedni kawaler dokonał wyboru.

– Hmm... – mruknął. Jej wyznanie wydało mu się dziwnie osobiste, ale wypowiedziała je tym oschłym, sarkastycznym tonem, który w jej ustach brzmiał zupełnie naturalnie. Richard też chciał jej coś o sobie powiedzieć, chciał podzielić się z nią małym ziarnem intymności.

– Nadchodzi żona, której wcześniej się wyparłeś – szepnęła Kainene. Susan wróciła i wcisnęła mu kieliszek do ręki.

– Proszę, kochanie – rzekła i odwróciła się do Kainene. – Miło cię poznać.

– Mnie też jest miło – odparła Kainene i uniosła kieliszek w stronę Susan. Susan odciągnęła go na bok.

– To córka prezesa Ozobii, prawda? Co jej się stało? To wręcz niesamowite, przecież jej matka jest olśniewająca, naprawdę olśniewająca. Prezes Ozobia jest właścicielem połowy Lagos, ale na każdym kroku wychodzi z niego okropny nuworysz. Cóż, w końcu brakuje mu przyzwoitego wykształcenia, podobnie jak jego żonie. Sądzę, że właśnie dlatego jest taki prymitywny.

Zazwyczaj Richarda bawiły takie przedstawiane przez Susan minibiografie, lecz teraz jej szept zirytował go. Nie miał chęci na szampana, a paznokcie Susan wbijały mu się w ramię. Poprowadziła go do grupki żyjących na emigracji Nigeryjczyków i tam się zatrzymała, nawiązując rozmowę i śmiejąc się głośno, lekko pijana. Poszukał wzrokiem Kainene. Początkowo nie potrafił odnaleźć jej czerwonej sukni, ale po chwili dojrzał Kainene stojącą obok ojca; prezes Ozobia wyglądał jak monarcha, mówił, wykonując wielkopańskie ruchy ręką, ubrany w misternie wyszywaną agbadę, a niezliczone fałdy błękitnego materiału nadawały mu wygląd jeszcze szerszego niż w rzeczywistości. Pani Ozobia była dwa razy od niego mniejsza, jej suknia i nakrycie głowy były wykonane z tego samego błękitnego materiału. Richard przez moment nie mógł wyjść ze zdumienia na widok jej idealnie migdałowych oczu, szeroko rozstawionych w twarzy, w którą strach było patrzeć. Nigdy nie odgadłby, że ta kobieta jest matką Kainene, nie domyśliłby się również, że Kainene i Olanna są bliźniaczkami. Olanna podobna była do matki, choć jej uroda sprawiała wrażenie bardziej przystępnej: twarz miała delikatniejszą, szczery uśmiech i pulchne krągłe ciało wypełniające czarną suknię. Ciało, które Susan nazwałaby „afrykańskim”. Przy Olannie Kainene wyglądała na jeszcze chudsza, prawie jak hermafrodyta, a obcisła sukienka maxi podkreślała chłopięcy kształt jej bioder. Richard wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, siłą woli starając

się zmusić ją, żeby zaczęła go szukać. Sprawiała wrażenie zdystansowanej, obserwując ludzi stojących grupkami z miną raz obojętną, a raz pogardliwą. Kiedy w końcu uniosła wzrok i jej oczy spotkały jego spojrzenie, przechyliła głowę i uniosła brwi, jakby doskonale zdawała sobie sprawę, że na nią patrzy. Odwrócił wzrok. Kiedy ponownie na nią popatrzył, tym razem zdecydowany uśmiechnąć się, wykonać jakiś gest porozumienia, już stała do niego tyłem. Obserwował ją do momentu, kiedy wraz z rodzicami i Olanną opuściła przyjęcie.

Kiedy czytając następny numer „Lagos Life”, Richard zobaczył zdjęcie Kainene, zaczął dokładnie przyglądać się wyrazowi jej twarzy, próbując doszukać się w nim jakichś nieznanych mu informacji. W twórczym porywie napisał kilka stron, tworząc fikcyjny portret wysokiej kobiety o skórze barwy hebanu i prawie zupełnie płaskich piersiach. Wybrał się do biblioteki British Council i przejrzał w czasopismach ekonomicznych informacje o jej ojcu. Przepisał z książki telefonicznej wszystkie cztery numery telefonów umieszczonych obok nazwiska OZOBIA. Wiele razy podnosił słuchawkę i odkładał ją, słysząc głos telefonistki. Ćwiczył przed lustrem, co ma powiedzieć, jakie wykonać gesty, chociaż zdawał sobie sprawę, że Kainene nie zobaczy go, jeśli będą rozmawiać przez telefon. Zastanawiał się nad wysłaniem jej bileciku albo kosza owoców. W końcu zadzwonił. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, kiedy się odezwał. Choć może jej głos brzmiał nazbyt spokojnie, kiedy jemu serce waliło mocno w piersiach.

– Może umówilibyśmy się na drinka? – zapytał.

– Dobrze. Może być w południe w hotelu Zobis? Należy do mojego ojca i mogę załatwić nam prywatny apartament.

– Tak, oczywiście, wspaniały pomysł.

Odłożył słuchawkę oszołomiony. Sam nie wiedział, czy powinien być podniekcytowany i czy „prywatny apartament” może skrywać jakąś dwuznaczność. Kiedy spotkali się we foyer hotelu, podeszła do niego, nadstawiając mu policzek do pocałowania, a potem ruszyła przodem po schodach na taras, gdzie usiedli, patrząc w dół na rosnące przy basenie palmy. Dzień był słoneczny, bardzo jasny. Raz na jakiś czas lekki wiaterek poruszał palmami, a Richard modlił się, żeby zbytnio nie potargał mu fryzury, a stojący nad nimi parasol ochronił go przed brzydkimi plamami w kolorze dojrzałych pomidorów, które wypełzały mu na policzki, ilekroć dłużej przebywał na słońcu.

– Widać stąd Heathgrove – odezwała się, pokazując palcem. – Niewspół-

miernie droga i tajemnicza brytyjska szkoła średnia, do której uczęszczałyśmy z siostrą. Ojciec uważał, że jesteśmy za małe, żeby nas posyłać za granicę, ale postanowił, że mamy stać się na tyle Europejkami, na ile to tylko możliwe.

– Czy to ten budynek z wieżą?

– Tak. Cała szkoła składa się z zaledwie dwóch budynków. Było nas tam bardzo mało. Jest tak ekskluzywna, że wielu Nigeryjczyków nawet nie wie o jej istnieniu. – Przez chwilę wpatrywała się w dno kieliszka. – A ty masz jakieś rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynakiem. Moi rodzice zmarli, kiedy miałem dziewięć lat.

– Dziewięć lat... Byłeś bardzo młody.

Spodobało mu się, że nie okazuje nadmiernego współczucia, jak czasami fałszywie czynili niektórzy ludzie, zachowując się, jakby znali jego rodziców, chociaż wcale tak nie było.

– Bardzo często nie było ich w domu. Tak naprawdę wychowywała mnie Molly, moja niania. Po ich śmierci postanowiono, że zamieszkać z ciotką w Londynie. – Richard urwał na chwilę, rozkoszując się jakąś trudną do opisaną intymnością płynącą z mówienia o sobie. W przeszłości nieczęsto zdarzało mu się coś takiego. – Moi kuzyni, Martin i Virginia, choć mniej więcej w moim wieku, byli okropnie wytworni, ciotka Elizabeth była wielką damą, a ja prostym kuzynem z małej wioski w Shropshire. Już pierwszego dnia po przyjeździe zacząłem myśleć o ucieczce.

– Naprawdę?

– I wiele razy to robiłem. Zawsze mnie znajdowali. Czasami jeszcze na tej samej ulicy.

– Dokąd uciekałeś?

– Co?

– Dokąd uciekałeś?

Richard chwilę się zastanowił. Wiedział, że uciekał od domu, w którym czuł na sobie oddech dawno zmarłych ludzi patrzących na niego z zawieszonych na ścianach obrazów. Jednak nie wiedział, dokąd uciekał. Czy dzieci w ogóle nad tym się zastanawiają?

– Może uciekałem do Molly?... Sam nie wiem.

– Ja wiedziałam, dokąd chcę uciec. Ale to nie istnieje, więc zostałam – wyznała Kainene, odchylając się na krześle.

– Jak to?

Zapaliła papierosa, jakby nie słyszała jego pytania. Kiedy milkła tak jak teraz, czuł się zagubiony i pragnął odzyskać jej zainteresowanie. Chciał opo-

wiedzieć jej o dzbanie oplecionym sznurem. Nie pamiętał już dokładnie, gdzie po raz pierwszy wyczytał o sztuce Ibo-Ukwu, o tubylcu, który kopał studnię i odkrył odlewy z brązu, być może pierwsze w Afryce, datowane na dziewiąty wiek. Ale zdjęcia zobaczył w „Colonies Magazine”. Dzban opleciony sznurem natychmiast rzucił mu się w oczy, Richard przesunął palcem po fotografii i zapragnął dotknąć tego subtelnie odlanego metalu. Chciał jej teraz wyjaśnić, jak bardzo wówczas poruszył go ten dzban, lecz postanowił na razie tego nie robić. Nie musi się spieszyć. Ta myśl jakoś dziwnie podniosła go na duchu, uświadomił sobie, że w jej towarzystwie jedyne, czego naprawdę potrzebuje, to dużo czasu.

– Przyjechałeś do Nigerii, żeby przed czymś uciec? – zapytała w końcu.

– Nie – odparł. – Zawsze byłem samotnikiem i od dawna chciałem zobaczyć Afrykę, więc wziąłem sobie urlop od skromnej pracy w gazecie, do tego szczodłą pożyczkę od ciotki i oto jestem.

– Nie pomyślałabym, że jesteś samotnikiem.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteś przystojny. Zazwyczaj piękni ludzie nie są samotni. – Wypowiedziała to jakoś beznamiętnie, jakby to nie był komplement, miała więc nadzieję, że nie zauważyła rumieńca na jego twarzy.

– W każdym razie taki jestem – rzekł, bo nie potrafił wymyślić niczego innego. – Zawsze taki byłem.

– Samotnik i współczesny badacz Czarnego Lądu – stwierdziła szyderczo.

Roześmiał się. Ten dźwięk wylał się z niego w sposób zupełnie niekontrolowany, a kiedy Richard spojrział w dół na czysty błękitny basen, pomyślał beztrąsko, że właśnie ten odcień błękitu może być również kolorem nadziei.

Spotkali się następnego dnia na lunchu i podobnie dzień później. Za każdym razem prowadziła go do apartamentu, siadali na tarasie i jedli ryż, popijając zimnym piwem. Koniuszką języka dotykała brzegu szklanki, a dopiero potem piła. Podniecało go to mignięcie różowego języka, tym bardziej że robiła to zupełnie nieświadomie. Chociaż jej milczenie pełne było zadumy i wyizolowania, czuł z nią jakiś związek. Może właśnie dlatego, że zdawała się daleka i zamknięta w sobie. Zauważył, że mówi do niej inaczej niż zazwyczaj, a kiedy ich wspólnie spędzany czas kończył się i wstawiała, często z zamiarem dołączenia do swojego ojca na jakimś spotkaniu, miał wrażenie, że puchną mu stopy od ścinającej się w żyłach krwi. Nie chciał odchodzić, nie potrafił znieść myśli o powrocie do tego gabinetu, gdzie miał siedzieć i pisać na ma-

szynie, czekając na przytłumione pukanie Susan. Nie rozumiał, dlaczego Susan niczego nie podejrzewa, dlaczego nie potrafi po prostu spojrzeć na niego i zauważyć, jak bardzo się zmienił, dlaczego nawet nie zauważyła, że teraz używa więcej wody po goleniu. Oczywiście nie można by powiedzieć, że jest jej niewierny, ale przecież wierność nie ogranicza się do samego seksu. Śmiech razem z Kainene, opowiadanie jej o ciotce Elizabeth, obserwowanie palącej Kainene bez wątpienia były swoistymi aktami zdrady i podświadomie czuł, że tak rzeczywiście jest. Niczym innym jak aktem zdrady było przyspieszone bicie jego serca, kiedy Kainene całowała go na pożegnanie. Jej ręka, leżąca na stole i zamknięta w jego dłoni, była aktem zdrady. I dlatego też w dniu, kiedy Kainene nie ucałowała go jak zawsze na pożegnanie, przycisnęła natomiast rozchylone wargi do jego ust, był zaskoczony. Nie pozwalał sobie na zbyt wielkie nadzieje. Być może dlatego też w tym szalonym pomieszaniu zaskoczenia i pożądania ominęła go erekcja – jak u wykastrowanego konia. Szybko zrzucili z siebie ubrania. Jego nagie ciało przywarło do niej, a mimo to był zupełnie zwiotczały. Badał zagłębienia jej obojczyków i bioder, przez cały czas starając się zmusić swoje ciało i umysł do większej współpracy, pragnąc, aby pożądanie wzięło górę nad niepokojem. Jednak nie doczekał się wzvodu. Między nogami czuł tylko zwiotczały ciężar.

Kainene usiadła w końcu na łóżku i zapaliła papierosa.

– Przepraszam – odezwał się, a kiedy wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała, pożałował przeprosin. W tym luksusowym, z przepychem umeblowanym apartamencie unosiła się jakaś fatalność, czuł to, kiedy wciągał spodnie, których równie dobrze mógłby nie zdejmować, a ona w tym czasie zapinała stanik. Chciał, żeby coś powiedziała.

– Spotkamy się jutro? – zapytał.

Wypuściła dym nozdrzami i patrząc, jak znika w powietrzu, zapytała:

– To takie wulgarne, prawda?

– Spotkamy się jutro? – powtórzył pytanie.

– Jadę z ojcem do Port Harcourt na spotkanie z jakimiś nafcierzami – powiedziała. – Ale wracam w środę po południu. Moglibyśmy zjeść razem późny lunch.

– Tak, zróbmy tak – zgodził się Richard i dopóki nie spotkała się z nim kilka dni później w hotelowym holu, martwił się, że nie przyjdzie. Zjedli lunch i patrzyli z góry na pływających w basenie.

Była nieco bardziej ożywiona, więcej paliła i więcej mówiła. Opowiadała mu o ludziach, których spotkała od czasu, kiedy zaczęła pracować z ojcem,

o tym, że wszyscy są tacy sami. „Nowa wyższa klasa Nigeryjczyków to zbiór analfabetów, którzy niczego nie czytają, chodzą do zbyt drogiej libańskiej restauracji, jedząc tam posiłki, które im nie smakują, i prowadzą towarzyskie rozmowy na jeden temat: jak spisuje się nowy samochód”. Czasami śmiała się, a czasami brała jego rękę w swoją dłoń. Ale nie zaprosiła go do apartamentu, toteż zastanawiała się, czy chce jeszcze odczekać czy też doszła do wniosku, że jednak nie interesuje ją taki związek z nim.

Nie potrafił zmusić się do przejęcia inicjatywy. Minęło kilka dni, zanim w końcu zapytała, czy chciałby pójść do pokoju, i wówczas poczuł się jak dubler, który żyje nadzieją, że główny aktor nie przyjdzie na plan, a kiedy wreszcie ten aktor rzeczywiście się nie pojawia, paraliżuje go skrępowanie, bo wcale nie jest tak dobrze przygotowany na światła rampy, jak mu się wcześniej wydawało. Pierwsza weszła do apartamentu. Kiedy zaczął podciągać jej sukienkę na udach, odepchnęła go spokojnym ruchem, jakby zdawała sobie sprawę, że jego rozgorączkowanie jest wyłącznie pancerzem skrywającym obawy. Przewiesiła sukienkę przez oparcie fotela. Richard tak bardzo obawiał się ponownie ją zawieść, tak bardzo go to przerażało, że gdy tylko zauważył swoją erekcję, ogarnęła go ogromna wdzięczność i ledwo zdążył się w nią wsunąć, już poczuł to niepowstrzymane, mimowolne drżenie. Leżeli tak przez dłuższą chwilę, zanim nie zsunął się z niej na bok. Chciał jej powiedzieć, że coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Jego życie seksualne z Susan było dosyć zadawalające, aczkolwiek raczej powierzchowne.

– Przepraszam – odezwał się.

Zapaliła papierosa, nie spuszczać z niego wzroku.

– Może byś przyszedł dzisiaj na kolację? Moi rodzice zaprosili kilka osób. Zamurowało go na moment.

– Oczywiście, z największą przyjemnością – rzekł w końcu. Miał nadzieję, że to zaproszenie coś znaczy, odzwierciedla zmianę jej sposobu postrzegania ich związku. Ale kiedy przybył do domu jej rodziców w Ikoyi, podczas prezentacji powiedziała tylko: „Przedstawiam wam Richarda Churchilla” i zrobiła pauzę, jakby rozmyślnie rzucając wyzwanie swoim rodzicom i innym gościom: „A myślcie sobie, co chcecie”. Jej ojciec zmierzył Richarda wzrokiem i zapytał go, czym się zajmuje.

– Jestem pisarzem – odparł.

– Pisarzem? Rozumiem – rzekł prezes Ozobia.

Richard natychmiast zauważył niestosowność tej swojej prezentacji, więc jakby chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie wywołane tymi słowami, dodał:

- Fascynują mnie odkrycia w Ibo-Ukwu. Te odlewy z brązu.
- Hmm – mruknął pod nosem prezes Ozobia. – Czy pańska rodzina prowadzi jakieś interesy w Nigerii?
- Nie, raczej nie.

Prezes Ozobia uśmiechnął się i odwrócił wzrok w inną stronę. Przez resztę wieczoru niewiele więcej powiedział do Richarda. Podobnie pani Ozobia, która nie odstępowała męża, obnosząc się z królewskimi manierami, z bliska jeszcze bardziej onieśmielając swoją urodą. Olanna była zupełnie inna. Uśmiechnęła się powściągliwie, gdy Kainene ich sobie przedstawiała, ale w miarę rozmowy stała się serdeczniejsza i Richard zastanawiał się, czy ten błysk w jej oku przypadkiem nie oznacza współczucia, czy aby nie zauważała, jak bardzo zależy mu na mówieniu wyłącznie tego, co wypada, choć sam niezbyt dokładnie wiedział, co tu właściwie wypada. Jej serdeczność pochlebiała mu.

Poczuł się dziwnie osamotniony, kiedy usiedli do stołu, a ona zajęła miejsce daleko od niego. Po podaniu sałatek zaczęła rozmawiać z gośćmi o polityce. Richard zdawał sobie sprawę, że tematem jest potrzeba przekształcenia Nigerii w republikę i zaprzestanie uznawania królowej Elżbiety za głowę państwa, lecz nie zwracał specjalnej uwagi na tę dyskusję do momentu, kiedy Olanna zwróciła się w jego stronę i zapytała:

- Zgadzasz się z tym, Richardzie?

Jakby jego zdanie mogło mieć jakieś znaczenie!

Odchrząknął.

– Ach, zdecydowanie – odparł, chociaż nie miał pewności, z czym w zasadzie się zgadza.

Był jej wdzięczny, że wciągnęła go do rozmowy, że stara się włączyć go do towarzystwa, był też oczarowany tą jej właściwością, równocześnie jakby wyrefinowaną i naiwną, jakimś idealizmem, który nie dawał się stłamsić twardej rzeczywistości. Jej skóra lśniła, a gdy się uśmiechała, kości policzkowe wdzięcznie się unosiły. Nie otaczała jej jednak ta charakterystyczna dla Kainene melancholijna aura tajemniczości, która tak bardzo go ekscytowała i zarazem peszyła. Kainene siedziała przy nim, niewiele mówiąc podczas kolacji, tylko raz ostrym tonem poleciła lokajowi zmienić kieliszek, który sprawiał wrażenie zamglonego, a raz nachyliła się w stronę Richarda i zagadnęła: „Ten sos przyprawia o mdłości, nie sądzisz?”. Przez większość czasu zdawała się nieprzenikniona, jedynie obserwując, pijąc i paląc. Wręcz fizycznie pragnął się dowiedzieć, co teraz myśli. Podobny fizyczny ból odczuwał, kiedy jej

pożądał i snuł marzenia o tym, żeby się w niej znaleźć, wsunąć się jak najgłębiej i nadaremnie próbować odkryć to, czego nigdy mu się odkryć nie uda. Przypominało to picie wody szklanka po szklance, przez cały czas czując niezaspokojone pragnienie i przejmujący strach, że nigdy nie uda mu się go ugasić.

Richard martwił się o Susan. Patrzył na nią, na ten jej niewzruszony podbródek i zielone oczy, i sam sobie tłumaczył, że nieuczciwie jest tak ją oszukiwać, chować się w gabinecie, dopóki ona nie zaśnie, kłamać, że był w bibliotece, muzeum czy klubie polo. Zaslugiwała na lepsze traktowanie. Ale mieszkanie z nią dawało mu poczucie stabilności, które podnosiło go na duchu, znajdował jakąś pewność w jej szeptach i tym gabinecie z wiszącymi na ścianach szkicami Szekspira. Kainene była inna. Żegnał się z nią przepełniony szczęściem przyprawiającym o zawroty głowy, a zarazem równie oszałamiającym poczuciem zagubienia. Chciał ją zapytać, co myśli o tych wszystkich sprawach, o których nigdy nie rozmawiali – o ich związku, przyszłości, o Susan – lecz brak pewności siebie za każdym razem odbierał mu mowę, jakby obawiał się usłyszeć odpowiedź.

Odkładał wszelkie decyzje aż do poranka, kiedy po przebudzeniu pomyślał o tamtym dniu w Wentnor, kiedy bawił się na dworze i usłyszał głos wołającej go Molly: „Richardzie! Kolacja!”. Zamiast odkrzyknąć: „Już idę” i pobiec do niej, skoczył za żywopłot, drapiąc sobie kolana. „Richardzie! Richardzie!” Głos Molly brzmiał już rozpaczliwie, jednak on wciąż siedział w kucki i nie odzywał się. „Richardzie! Gdzie jesteś, Dicky?” Skądś wychynął królik, zatrzymał się i zaczął mu się przyglądać, ich spojrzenia spotkały się i przez te krótkie chwile jedynie on i królik wiedzieli, gdzie jest Richard. Zaraz później królik dał susa spod żywopłotu, a Molly zajrzała pod krzewy i zobaczyła Richarda. Dostał klapsa. Zakazała mu wychodzić z pokoju do końca dnia. Powiedziała, że jest bardzo zagniewana i że o wszystkim powie państwu Churchillom. Ale warto było to zrobić choćby dla tych krótkich chwil, tych chwil czystego i nieograniczonego zapamiętania, kiedy miał wrażenie, że to on i tylko on panuje nad wszechświatem swojego dzieciństwa. Wspomniawszy tamto doświadczenie, postanowił rozstać się z Susan. Jego związek z Kainene może nie potrwać długo, lecz spędzone z nią chwile ze świadomością, że nie przytłacza go ciężar kłamstw i udawania, nadadzą głęboki sens tej efemeryczności.

Powzięte postanowienie dodało mu otuchy. Mimo to jeszcze przez cały ty-

dzień odkładał rozmowę z Susan, aż do wieczoru, kiedy wrócili z przyjęcia, na którym wypila zbyt wiele wina.

– Napijesz się jeszcze kieliszek przed snem, kochanie? – zapytała.

– Susan, jesteś dla mnie bardzo ważna – powiedział pośpiesznie. – Ale nie jestem pewien, czy wszystko dobrze się układa... to znaczy, to wszystko między nami.

– O czym ty mówisz? – zapytała Susan, chociaż jej przyciszony głos i pobladła twarz świadczyły, że doskonale wie, co Richard ma na myśli.

Przygłodził włosy dłonią.

– Kto to jest? – spytała Susan.

– Nie chodzi o inną kobietę. Po prostu wydaje mi się, że potrzebujemy czegoś innego. – Miał nadzieję, że jego słowa nie zabrzmiały nieszczerze, ale rzeczywiście tak było: zawsze chcieli czegoś innego, inne rzeczy były dla nich ważne. Nie powinien był nigdy się do niej wprowadzać.

– To nie jest Clovis Bancroft, co? – Uszy jej poczerwieniały. Zawsze robiły się czerwone, lecz dopiero dzisiaj zauważył w tym coś dziwnego: wściekle czerwone uszy wyrastające po bokach bladej twarzy.

– Nie, oczywiście, że nie.

Susan nalala sobie drinka i przysiadła na poręczu sofy. Przez moment nie odzywali się do siebie.

– Spodobałeś mi się, jak tylko cię zobaczyłam, choć wcale nie sądziłam, że do tego dojdzie. Pomyślałam sobie: jaki ten facet jest przystojny i delikatny, i chyba doszłam do wniosku, że nigdy cię nie puszcę. – Roześmiała się cichutko i dostrzegł wtedy drobne zmarszczki wokół jej oczu.

– Susan... – zaczął, ale urwał, bo nie było już nic więcej do powiedzenia. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, że Susan w ten sposób o nim myśli. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak mało ze sobą rozmawiali, jak ten ich związek toczył się tak po prostu, sam z siebie, przy niewielkim wkładzie ich obojga, a przynajmniej jego. Tak jakby po prostu im się przytrafił.

– Dla ciebie to wszystko wydarzyło się za szybko, prawda? – powiedziała Susan. Podeszła i stanęła obok niego. Odzyskała już panowanie nad sobą, podbródek przestał jej drgać. – Przecież ty rzeczywiście nie miałeś okazji zająć się swoimi poszukiwaniami, chciałeś pojeździć po kraju, wprowadziłeś się tu, a ja kazałam ci chodzić na te koszmarnie przyjęcia, gdzie spotykałeś ludzi, których niewiele obchodzi pisanie, sztuka afrykańska i tego typu rzeczy. To musiało być dla ciebie okropne. Tak mi przykro, Richardzie, ja naprawdę cię rozumiem. To oczywiste, że musisz trochę poznać ten kraj. Czy mogę ci w tym po-

móc? Mam znajomych w Enugu i Kadunie.

Richard wyjął szklanę z jej rąk i odstawiwszy ją na bok, wziął Susan w ramiona. Ogarnęła go lekka nostalgia, kiedy poczuł znajomy jabłkowy zapach jej szamponu.

– Nie, poradzę sobie – odrzekł.

Najwyraźniej nie sądziła, że wszystko się skończyło, myślała, że Richard wróci, a on nie powiedział nic, co by wyprowadziło ją z błędu. Kiedy ubrany w biały fartuch służący otwierał przed nim drzwi, Richard poczuł, jak robi mu się lekko na duszy z ulgi.

– Do widzenia, sah – powiedział służący.

– Do widzenia, Okoń. – Richard zastanawiał się, czy ten enigmatyczny Okoń czasami przykładał ucho do drzwi, kiedy on i Susan toczyli swoje kłótnie kończące się rozbijaniem szkła. Pewnego razu poprosił Okona, żeby nauczył go kilku prostych zdań w języku efik, ale Susan szybko przerwała tę lekcję, znalazłszy ich obu w gabinecie, gdzie Okoń wiercił się nerwowo, podczas gdy Richard próbował wymawiać kolejne słowa. Okoń spojrzał na Susan z wdzięcznością, jakby właśnie ocaliła go przed tym szalonym białym, a później Susan łagodnym tonem wytłumaczyła Richardowi, że rozumie jego zachowanie, bo jako obcokrajowiec nie wie, jak załatwia się pewne sprawy. Są granice, których przekraczać nie wolno. Ten ton przypomniał mu o ciotce Elizabeth wyrażającej poglądy reprezentowane przez arogancką wobec innych, a pobłażliwą wobec samej siebie angielską przyzwoitość. Może nawet gdyby powiedział Susan o Kainene, ona tym samym tonem odpowiedziałaby mu, że doskonale rozumie jego potrzebę przeprowadzenia eksperymentu z czarnoskórną kobietą.

Już odjeżdżając, Richard dostrzegł machającego na pożegnanie Okona. Poczuł przemożną chęć zaśpiewania, ale ponieważ nie należał do ludzi śpiewających, nie zrobił tego. Wszystkie sąsiednie domy przy ulicy Glover były podobne do domu Susan, wszystkie wspinałe, okolone palmami i grządkami sennej trawy.

Następnego dnia po południu Richard podniósł się nagi na łóżku i usiadł, patrząc na leżącą obok Kainene. Właśnie po raz kolejny ją zawiódł.

– Przepraszam, chyba za bardzo się podniecam – powiedział.

– Mogę prosić o papierosa? – zapytała. Pod jedwabną pościelą rysowała się koścista chudość jej nagiego ciała.

Zapalił jej papierosa. Usiadła, wysuwając się spod przykrycia, w chłod-

nym klimatyzowanym pokoju jej ciemnobrązowe sutki naprężyły się. Odwróciwszy głowę, wypuściła dym.

– Nie musimy się spieszyć – powiedziała. – A poza tym są też inne metody.

Richard poczuł nagłą irytację: na siebie za to, że jest bezużytecznie wiotki, i na nią za ten półszyderczy uśmiezek i słowa o innych metodach, jakby był trwale niezdolny do robienia tego w sposób tradycyjny. Wiedział, co może zrobić. Wiedział, że może ją zadowolić. Po prostu potrzebował czasu. Zaczął jednak też myśleć o jakichś ziołach, ziołach dodających męskości i sprawności seksualnej, o których gdzieś wyczytał, że podobno zażywają je afrykańscy mężczyźni.

– Nsukka to mały skrawek ziemi w samym środku buszu, to była najtańsza ziemia, jaką mogli zdobyć, żeby postawić uniwersytet – powiedziała Kainene. Zdumiewające, z jaką łatwością potrafiła przejść do prozaicznej konwersacji. – Natomiast dla twojej pracy to będzie chyba idealne miejsce, prawda?

– Tak – odparł.

– Może spodoba ci się i zechcesz tam zostać.

– Może. – Richard wsunął się pod kołdrę. – Ale bardzo się cieszę, że ty będziesz w Port Harcourt i nie będę musiał jeździć aż do Lagos, żeby się z tobą zobaczyć.

Kainene nic na to nie odpowiedziała, tylko równomiernie wciągała dym z papierosa, a Richard na moment przeraził się, czy aby nie zamierza powiedzieć mu, że po wyjeździe z Lagos wszystko będzie już skończone i że w Port Harcourt znajdzie sobie mężczyznę, który sprawdzi się jako mężczyzna.

– Mój dom będzie idealnym miejscem na wspólne weekendy – powiedziała w końcu. – Jest gigantyczny. Ojciec sprezentował mi go w zeszłym roku, chyba ma to być część posagu, zachęta dla odpowiedniego mężczyzny, żeby poślubił jego nieatrakcyjną córkę. Tylko pomyśl, przecież to takie okropnie europejskie! U nas nie ma posagów, u nas się płaci za narzeczoną. – Zgasła papierosa. Nie dopaliła go. – Olanna powiedziała, że nie chce domu. Bo rzeczywiście nie potrzebuje. Domy zatrzymamy dla brzydkiej córki.

– Nie mów tak, Kainene.

– Nie mów tak, Kainene – przedrzeźniała go. Kiedy się podniosła, Richard zapragnął ponownie przyciągnąć ją do siebie, lecz nie zrobił tego, nie mógł zafać własnemu ciału i nie mógł ponownie jej rozczarować. W jej towarzystwie niejednokrotnie miał wrażenie, że nic o niej nie wie, że nigdy nie zdoła do niej dotrzeć. Mimo to czasami, kiedy obok niej leżał, odczuwał jakąś wewnętrzną pełnię, miał pewność, że już nigdy niczego innego nie będzie potrze-

bował.

– A przy okazji, poprosiłam Olanę, żeby przedstawiła cię temu swojemu rewolucyjnemu wykładowcy i kochankowi – powiedziała Kainene. Zdjęła perukę i jej twarz, okolona zaczesanymi do tyłu włosami zaplecionymi w cienkie warkoczyki, wyglądała na młodszą i mniejszą. – Kiedyś spotykała się z księciem Hausów, dosyć miłym i nijakim facetem, który jednak nie podzielał tych jej szalonych złudzeń. Natomiast Odenigbo wyobraża sobie, że jest bojownikiem o wolność. Jest matematykiem, ale cały czas spędza na pisaniu artykułów do gazet, w których wyjaśnia własną ideę mieszanki afrykańskiego socjalizmu. Olanna to uwielbia. Wygląda na to, że nie mają pojęcia, jaki ten cały socjalizm jest śmieszny. – Nałożyła na powrót perukę i zaczęła ją czesać. Falujące, rozdzielone pośrodku włosy opadały jej do brody. Richard z upodobaniem przyglądał się czystym liniom jej szczupłego ciała, smukłości uniesionego ramienia.

– Wydaje mi się, że gdyby zrobić to w odpowiedni sposób, socjalizm mógłby sprawdzić się w Nigerii – zauważył. – W końcu chodzi tu o ekonomiczną sprawiedliwość, prawda?

Kainene prychnęła.

– Wśród ludu Ibo socjalizm nigdy się nie sprawdzi. – Szczotka zawisła w powietrzu. – Ogbenyealu to popularne imię dziewczęce, a wiesz, co ono znaczy? „Ta, która nie wyjdzie za biedaka”. Naznaczenie dziecka przy urodzeniu w ten sposób to kapitalizm w najczystszej wydaniu.

Richard roześmiał się, a jego rozbawienie było tym większe, że Kainene się nie śmiała, po prostu wróciła do czesania włosów. Pomyślał o tym następnym razem, kiedy znowu będzie się z nią śmiał, i o następnym po tym następnym. Zauważył, że często myśli o przyszłości, nawet jeszcze zanim teraźniejszość zdąży przeminąć.

Podniósł się i ogarnął go wstyd, kiedy spojrzała na jego nagie ciało. Być może ten kamienny wyraz jej twarzy miał skrywać obrzydzenie. Włożył bieliznę i pospiesznie pozapinał guziki koszuli.

– Rozstałem się z Susan – nagle wyrzucił z siebie. – Zatrzymałem się w pensjonacie Princewill w Ikeji. Resztę rzeczy zabiorę z jej domu przed wyjazdem do Nsukki.

Kainene wpatrywała się w niego i w jej twarzy dostrzegł najpierw wyraz zdumienia, a potem coś jeszcze innego, coś, co trudno mu było określić. Czyżby konsternację?

– Tak naprawdę ten związek nigdy nie był odpowiedni – powiedział. Nie

chciał, żeby pomyślała, że zrobił to względu na nią, nie chciał, żeby zadawała sobie pytania o ich wzajemne relacje. Jeszcze nie teraz.

– Będziesz potrzebował służącego – stwierdziła.

– Co takiego?

– Będziesz potrzebował służącego w Nsucce. Kogoś, kto wypierze ci ubranie i posprząta dom.

Na moment zmieszała go tą nielogiczną uwagą.

– Służącego?... Sam dobrze daję sobie radę. Już dosyć długo żyję.

– Poproszę Olanę, żeby ci kogoś znalazła – powiedziała Kainene.

Wyjęła papierosa z papierośnicy, ale nie zapaliła go, tylko odłożyła na nocny stół i podeszła do Richarda, a kiedy go obejmowała, poczuł na sobie drżący uścisk jej ramion. Był tak zaskoczony, że nawet go nie odwzajemnił. Tak mocno obejmowała go jedynie w łóżku. Chyba sama też nie wiedziała, co począć z tym uściskiem, bo szybko cofnęła się i zapaliła papierosa. Często potem myślał o tym epizodzie i za każdym razem przed oczami stawał mu obraz rozpadającego się muru.

Tydzień później Richard wyruszył do Nsukki. Jechał z umiarkowaną prędkością, raz na jakiś czas zjeżdżając z drogi, żeby spojrzeć na odręcznie rysowaną mapę, którą otrzymał od Kainene. Po przekroczeniu rzeki Niger postanowił zatrzymać się w Ibo-Ukwu. Skoro już wreszcie dotarł do ziemi Ibo, przede wszystkim chciał odwiedzić ojczyznę dzbana oplecionego sznurem. Kilka porzrzucanych betonowych domów w wiosce szpeciło malowniczość lepianek słoczonych po obu stronach dróg gruntowych, tak wąskich, że musiał zaparkować samochód w dość dużej odległości i podążyć za ubranym w krótkie spodnie khaki młodzieńcem, sprawiającym wrażenie przyzwyczajonego do oprowadzania odwiedzających. Chłopak nazywał się Emeka Anozie. Był jednym z robotników pracujących przy wykopaliskach. Pokazał Richardowi szerokie prostokątne rowy, w których prowadzono prace wykopaliskowe, oraz łopaty i misy służące do usuwania pyłu z brązów.

– Chce pan porozmawiać z naszym wielkim ojcem? Mogę tłumaczyć – zaproponował Emeka.

– Dziękuję. – Richard był wzruszony tak serdecznym przyjęciem, tym, że okoliczni mieszkańcy podchodzili do niego i mówili: „Dzień dobry, nno, witamy”, jakby nawet przez myśl im nie przeszło zwrócić uwagę na to, że przyjechał tu nieproszony.

Papa Anozie zawinięty był w brudnawy, zawiązany na karku materiał.

Wskazał drogę do swojej mrocznej obi przesiąkniętej zapachem grzybów. Richard czytał o tym, jak brązy zostały odnalezione, postanowił jednak o to zapytać. Papa Anozie wcisnął odrobinę tabaki do nosa, a dopiero potem zaczął opowiadać. Jakieś dwadzieścia lat temu jego brat kopał studnię, nagle uderzył w coś metalowego i okazało się, że to tykwa. Wkrótce znalazł kilka następnych, wyciągnął je z dołu, umył i zawołał sąsiadów, żeby przyszli je zobaczyć. Wyglądały na dobrze wykonane i wydawały się im znajome, choć nikt nie znał nikogo, kto robiłby coś podobnego. Informacja o znalezisku dotarła do komisarza okręgowego w Enugu, który przysłał swojego człowieka, żeby je zabrał do Wydziału Zabytków w Lagos. Później przez jakiś czas nikt nie przyjeżdżał i nie pytał o te brązy, jego brat zbudował studnię, a życie toczyło się jak zawsze. I dopiero jakieś kilka lat temu przyjechali ci biali ludzie z Ibadanu i zaczęli wykopaliska. Przed rozpoczęciem prac długo dyskutowano o potrzebie usunięcia pomieszczenia dla kóz i muru ogrodzenia, ale potem prace posuwały się już gładko. Był to okres harmattan, ponieważ jednak obawiali się burz, zakryli rowy brezentami rozciągniętymi na bambusowych kijach. Znaleźli bardzo piękne rzeczy: kalebasy, skorupy, wiele kobiecych ozdób, wizerunki węży, garnki.

– Podobno znaleźli też komorę grobową, to prawda? – zapytał Richard.

– Tak.

– Czy sądzicie, że mogli pochować w niej króla?

Papa Anozie obrzucił Richarda przeciągłym urażonym spojrzeniem i przez chwilę coś mamrotał, jakby pogrążony w rozpacz. Emeka najpierw roześmiał się, po czym przetłumaczył:

– Papa myślał, że należy pan do ludzi, którzy coś wiedzą. Mówi, że ludzie z kraju Ibo nie wiedzą, co to król. U nas są kapłani i starszyzna. Ten grób mógł być dla kapłana. Ale kapłan nie gnębi ludzi, jak król. Dopiero kiedy biali dali nam tych swoich urzędników lokalnych, tych warrant chiefs, głupcy u nas nazywają się królami.

Richard przeprosił. Już wcześniej słyszał o tym, że podobno Ibo od tysięcy lat byli ludem republikańskim, lecz w jednym z artykułów na temat odkryć w Ibo-Ukwu sugerowano, że być może w przeszłości mieli królów, których później obalili. W końcu właśnie lud Ibo obalił bogów, którzy nie byli im już potrzebni. Richard siedział tam przez jakiś czas, wyobrażając sobie, jak musiało wyglądać życie tych ludzi, którzy już w czasach Alfreda Wielkiego potrafili tworzyć tak misterne piękno. Chciał to opisać i sam coś z tego stworzyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Może mógłby napisać jakąś powieść

fantastyczną, w której głównym bohaterem byłby archeolog prowadzący wykopaliska w poszukiwaniu przedmiotów z brązu, a następnie przeniesiony do idyllicznej przeszłości?

Podziękował papie Anoziemu i podniósł się z zamiarem odejścia. Papa Anozie coś jeszcze powiedział i Emeka rzekł:

– Papa pyta, czy nie zrobi mu pan zdjęcia. Wszyscy przyjeżdżający tu biali robili zdjęcia.

Richard pokręcił głową.

– Nie, przykro mi, nie mam nawet aparatu.

Emeka roześmiał się.

– Papa pyta, co to za dziwny biały człowiek. Po co tu przyjechał i czym się zajmuje?

Jadąc już w stronę Nsukki, Richard sam zastanawiał się nad tym, czym się zajmuje, a także, już z większą troską, co mógłby napisać.

Uniwersytecki domek przy ulicy Imoke był zarezerwowany dla goszczących tam naukowców i artystów; urządzony był skromnie, niemal ascetycznie, i kiedy Richard zobaczył dwa fotele w saloniku, pojedyncze łóżko, a w kuchni puste szafki, natychmiast poczuł się jak u siebie. Dom pogrążony był w stosownej ciszy. Co prawda kiedy odwiedził Olanę i Odenigbą i ona powiedziała: „Z pewnością chciałbyś zmienić coś w tym domu, żeby bardziej nadał się do mieszkania”, odparł: „Tak”, ale w rzeczywistości podobało mu się to nijakie umeblowanie. Zgodził się tylko dlatego, że uśmiech Olanny stanowił dla niego nagrodę i pochlebiało mu zainteresowanie jego osobą. Nalegała, żeby zatrudnił ich ogrodnika, Joma, który miałby przychodzić do niego dwa razy w tygodniu i posadzić kwiaty na podwórzu. To ona przedstawiła go ich znajomym, ona pokazała mu targ i ona powiedziała, że znalazła mu świetnego służącego.

Richard wyobrażał sobie, że będzie to ktoś młody i bystry, jak ich służący, Ugwu, jednak okazało się, że Harrison to mały pokurczony tępak w średnim wieku, noszący za wielką białą koszulę, która kończyła mu się poniżej kolan. Każdą rozmowę zaczynał od przesadnego ukłonu. Z nieskrywaną dumą opowiedział Richardowi, że wcześniej pracował u irlandzkiego księdza, ojca Bernarda, i u amerykańskiego profesora o nazwisku Land. „Robię bardzo dobrą sałatkę z buraków”, powiedział pierwszego dnia, a Richard później miał zdać sobie sprawę, że ten człowiek jest dumny nie tylko ze swojej sałatki, ale również z innych potraw gotowanych z buraków, które musiał kupować

na „specjalistycznym warzywnym” straganie, ponieważ większość Nigeryjczyków nie jadała tego warzywa. Pierwsza kolacja przyrządzona przez Harrisona składała się ze smacznej ryby, a na przystawkę była sałatka z buraków. Następnego wieczoru na talerzu pojawił się ryż ze szkarłatnymi duszonymi burakami.

– Przyrządzam je według amerykański przepis na duszone ziemniaki – wyjaśnił Harrison, patrząc na jedzącego Richarda. Kolejnego dnia podał sałatkę z buraków, a następnego obok kurczaka znalazły się buraki duszone, tym razem przerażająco czerwone.

– Wystarczy już, Harrisonie – powiedział Richard, unosząc rękę. – Wystarczy tych buraków.

Harrison wyglądał na rozczarowanego, lecz już po chwili jego twarz rozjaśniła się.

– Sah, ale przecież ja gotuję jedzenie z pański kraj, gotuję te wszystkie potrawy, które wyjecie w dzieciństwie. Boja nie gotuję nigeryjskie jedzenie, używam tylko zagraniczne przepisy.

– Harrisonie, nigeryjskie jedzenie jest zupełnie dobre – odparł Richard. Gdyby tylko Harrison wiedział, jak on bardzo nie lubi jedzenia z dzieciństwa, tych ostrych, solonych i wędzonych śledzi pełnych ości, owsianki z odrażającym grubym, przypominającym wodoszczelną wykładzinę kozuchem na wierzchu, rozgotowanej pieczeni wołowej okolonej warstwą tłuszczu i zalanej gęstym sosem.

– Dobrze, sah. – Harrison sposepniał.

– A przy okazji, Harrisonie, czy znasz może jakieś zioła dla mężczyzn? – zapytał Richard, mając nadzieję, że to jego pytanie zabrzmii jak rzucone mimochodem.

– Sah?

– Zioła. – Richard machnął odruchowo ręką.

– Warzywa, sah? Och, ja robię wszystkie sałatki z pański kraj bardzo dobrze, sah. Dla profesor Land robię różne sałatki.

– Tak, aleja mówię o warzywach na chorobę.

– Na chorobę? Pan pójdzie do doktor do przychodnia.

– Harrisonie, mnie interesują afrykańskie zioła.

– Ale, sah, one niedobre, są od szamana. To diabelskie zioła.

– Oczywiście. – Richard poddał się. Powinien był przewidzieć, że Harrison, namiętnie miłujący wszystko co nienigeryjskie, nie jest odpowiednią osobą do zadawania takiego pytania. Postanowił zapytać Joma.

Zaczekał na jego przyście i kiedy ogrodnik się zjawił, stanął w oknie, obserwując, jak podlewa świeżo zasadzone lilie. Jomo odstawił na bok konewkę i zaczął zbierać owoce drzewa parasolowego; spadły ubiegłej nocy i teraz leżały w trawie, owalne i bladożółte. Richard często czuł nazbyt słodki zapach ich gnicia, zdając sobie sprawę, że tę woń już zawsze będzie kojarzył z mieszkaniem w Nsucce. Podszedł do Joma, który trzymał w ręce wypełnioną owocami torbę z rafii.

– Ach, dzień dobry, panie Richard – odezwał się ogrodnik w ten swój poważny sposób. – Dam owoce Harrisonowi, jakby pan je chciał, sah. Nie zabieram ich do siebie. – Jomo odłożył torbę na ziemię i chwycił za swoją konewkę.

– Wszystko w porządku, Jomo. Nie potrzebuję tych owoców – powiedział Richard. – Atak przy okazji, czy znasz jakieś zioła dla mężczyzn? Dla mężczyzn, którzy mają problemy z... kiedy są z kobietą?

– Tak, sah. – Jomo nie przerywał podlewania, jakby codziennie słyszał tego typu pytania.

– Znasz jakieś zioła dla mężczyzn?

– Tak, sah.

Richard poczuł, jak żołądek podryguje mu triumfalnie.

– Chciałbym je zobaczyć, Jomo.

– Mój brat miał kiedyś problem, bo pierwszej żonie nie mógł dać dziecka i drugiej żonie też. Dibia dał mu taki jeden liść do żucia. Teraz obie żony będą miały dzieci.

– Och, to wspaniale. Jomo, mógłbyś przynieść mi takie zioło?

Jomo przerwał pracę i spojrzał na Richarda, na jego pomarszczonej twarzy odmalowało się szczere współczucie.

– Sah, to nie działa na białego.

– Och, nie rozumiesz. Ja chciałbym o tym napisać.

Jomo pokręcił głową.

– Sah, trzeba iść do dibii i żuć to przed nim. To nie jest do pisania, sah. – Jomo odwrócił się i zabrał za podlewanie, nucąc coś fałszywie.

– Rozumiem – odrzekł Richard i wszedł do domu, starając się nie okazywać przygnębienia; szedł wyprostowany przypomniawszy sobie, że w końcu on jest tutaj panem.

Harrison stał przed frontowymi drzwiami i udawał, że poleruje szybę.

– Sah, czy Jomo robi coś niedobrze? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Tylko go o coś pytałem.

Harrison wyglądał na rozczarowanego. Od samego początku było jasne, że on i Jomo nie znajdują wspólnego języka, jeden kucharz, a drugi ogrodnik, przy czym każdy uważa się za lepszego od tego drugiego. Pewnego razu Richard słyszał, jak Harrison mówi do Joma, żeby nie podlewał roślin przed oknem gabinetu, ponieważ „szum wody przeszkadza panu w pisaniu”. Harrison specjalnie stanął pod oknem gabinetu i mówił w taki sposób, żeby Richard wszystko słyszał. Richarda bawiła służalczość Harrisona, podobnie jak i szacunek, jakim Harrison darzył tę jego pisaninę. Harrison codziennie brał się za odkurzanie maszyny do pisania, chociaż nigdy nie była zakurzona, i niechętnie wyrzucał strony rękopisu znalezione w koszu na śmieci. „Pan już tego nie używa? Na pewno, sah?”, pytał, trzymając w dłoni pomięte kartki, na co Richard odpowiadał, że tak, na pewno. Czasami zastanawiał się, co by powiedział Harrison, gdyby się dowiedział, że Richard sam nie ma nawet pewności, o czym pisze: napisał szkic o archeologu, a potem go wyrzucił; napisał miłą historię Anglika i Afrykanki i ją również wyrzucił; zaczął też pisać o życiu w małej nigeryjskiej miejscowości. Większość materiału wykorzystywanego w ostatnich wysiłkach twórczych zebrał podczas wieczorów spędzonych z Odenigbem, Olaną i ich znajomymi. Dostyc obojętnie akceptowali jego towarzystwo, nie zwracając na niego specjalnej uwagi, i być może właśnie dlatego czuł się dobrze, mogąc siedzieć na sofie w salonie i tylko się przysłuchiwać.

Kiedy Olanna przedstawiła go Odenigbowi, mówiąc: „To Richard Churchill, ten przyjaciel Kainene, o którym ci opowiadałam”, Odenigbo serdecznie uściskał mu dłoń i powiedział: „Nie po to zostałem premierem, żeby zarządzać likwidacją Imperium Brytyjskiego”.

Richard dopiero po chwili zrozumiał i roześmiał się na tę marną parodię sir Winstona Churchilla. Później zobaczył, jak Odenigbo, wymachując egzemplarzem „Daily Times’a”, krzyczy: „Właśnie teraz powinniśmy eliminować system kolonialny z naszej edukacji! Nie jutro, tylko dziś! Trzeba uczyć naszej historii!”, i pomyślał sobie, że przed nim stoi człowiek, który wierzy w dziwactwa składające się na jego osobowość, człowiek, który nie będąc zbyt atrakcyjny, przykuwa prawie całą uwagę w pokoju pełnym przystojnych mężczyzn. Richard zerkał też na Olanę, za każdym razem czując się inaczej, jakby w tych kilku minionych minutach jeszcze wypiękniała. Ogarniały go jednak jakieś niemiłe uczucia, kiedy widział dłoń Odenigba spoczywającą na jej ramieniu, a także później, kiedy wyobrażał sobie tych dwoje w łóżku. Sam niewiele rozmawiał z Olaną poza ogólnikową konwersacją, ale dzień przed jego wy-

jazdem do Port Harcourt na spotkanie z Kainene Olanna powiedziała:

- Richardzie, bardzo proszę, pozdrów Kainene.
- Oczywiście – odparł. Wówczas po raz pierwszy wymówiła imię Kainene.

Kainene przyjechała po niego na dworzec kolejowy swoim peugeotem 404 i pojechali w kierunku oceanu, z dala od centrum Port Harcourt, do stojącego na uboczu trzypiętrowego domu z werandami przystrojonymi wieńcami bugenwilli w najbledszym odcieniu fioletu. Richard czuł słony smak powietrza, kiedy Kainene prowadziła go przez przestronne pomieszczenia z gustownie wymieszanymi meblami, przedmiotami rzeźbionymi w drewnie, obrazami stonowanych pejzaży, krągłymi rzeźbami. Wypolerowane podłogi pachniały drewnem.

– Wolałabym, żeby dom był bliżej morza, mielibyśmy wówczas lepszy widok. Ale zmieniłam ojcowski wystrój i mam nadzieję, że już nie jest taki nuworyszowski, jak sądzisz? – zapytała Kainene.

Richard roześmiał się. I to nie tylko dlatego, że przedrzeźniała Susan – opowiedział jej o komentarzach Susan na temat prezesa Ozobii – ale dlatego, że użyła liczby mnogiej, „my”. A to „my” oznaczało ich oboje, on też mieścił się w tym zaimku. Przedstawiając go swoim służącym, trzem mężczyznom w źle dopasowanych uniformach w kolorze khaki, uśmiechnęła się cierpko i powiedziała:

- Często będziecie widywać tu pana Richarda.
- Dzień dobry, sah – odpowiedzieli jednym głosem, stojąc prawie na baczność, kiedy Kainene wskazywała ich po kolei i wymieniała imiona: Ikejide, Nnanna i Sebastian.
- Jeden Ikejide ma nieco oleju w głowie – stwierdziła Kainene.
- Trzej mężczyźni uśmiechnęli się, jakby każdy z nich miał własne zdanie na ten temat, ale oczywiście nikt nie śmiał nic powiedzieć.
- Pozwól, Richardzie, że teraz oprowadzę cię po terenie. – Kainene ukłoniła się drwiąco i pierwsza wyszła przez tylne drzwi do pomarańczowego sadu.
- Olanna prosiła, żeby cię pozdrowić – odezwał się Richard, biorąc ją za rękę.
- Rozumiem, że ten jej rewolucyjny kochanek przyjął cię do owczarni. Trzeba być mu wdzięcznym. W przeszłości do swojego domu wpuszczał wyłącznie czarnoskórych wykładowców.

– Wiem, sam mówił mi o tym. Powiedział, że w Nsucce pełno jest ludzi z Amerykańskiej Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego, z Korpusu Pokoju i ze stanowego uniwersytetu w Michigan, a on chciał utworzyć forum dla kilku nigeryjskich wykładowców.

– I dla ich narodowych namiętności.

– Pewnie tak. On jest krzepiąco odmienny.

– Krzepiąco odmienny... – powtórzyła Kainene. Zatrzymała się, żeby podszwą sandała rozgnieść coś na ziemi. – Przypadli ci do gustu, co? Olanna i Odenigbo.

Zapragnął spojrzeć jej w oczy i spróbować wyczytać w nich, co chciałyby, żeby teraz powiedział. Pragnął bowiem powiedzieć właśnie to, co ona chciała usłyszeć.

– Tak, polubiłem ich – odrzekł. Czuł w dłoni jej bezwładną rękę i zaczął się obawiać, że zaraz ją wysunie. – Bardzo mi pomogli zaadaptować się w Nsucce – dodał, jakby usprawiedliwiał powód tej sympatii. – Dosyć szybko się tam zadomowiłem. A do tego jest jeszcze, oczywiście, Harrison.

– No jasne, Harrison... A jakże się miewa pan Burak?

Richard przyciągnął ją do siebie, czując ulgę, że Kainene się nie złości.

– Bardzo dobrze. To dobry człowiek, naprawdę, bardzo zabawny.

Znaleźli się już w sadzie, w gąszczu splecionych drzew pomarańczowych, i nagle Richarda ogarnęło dziwne uczucie obcości. Kainene coś mówiła, chyba o jednym ze swoich pracowników, ale Richard miał wrażenie, że on gdzieś się oddala, jego umysł gdzieś ucieka, podąża własnymi ścieżkami. Drzewa pomarańczowe, tyle otaczających go drzew i brzęczenie much nad głową, cała ta obfitość zieleni przywołały wspomnienia domu rodziców w Wentnor. Zdało się to absurdalne, że tropikalne wilgotne miejsce, gdzie promienie słońca zmieniały kolor skóry na jego ramionach w delikatny szkarłat i gdzie pszczoły wygrzewały się w tych promieniach, mogło przypomnieć mu niszczejący dom w Anglii, nawet w lecie pełen przeciągów. Widział wysokie topole i wierzby za domem na polach, gdzie kiedyś tropił borsuki, pokryte wrzosem i paprociami, ciągnące się całymi milami pofałdowane wzgórza, na których można było dostrzec punkciki pasących się owiec. „Błękitne pamiętne wzgórza”. Widział rodziców, którzy wraz z nim siedzą w jego pachnącym wilgocią pokoju, a ojciec czyta im poezje.

Śmiertelny podmuch z dalekiej krain

Wgryza się w serce me smętne:

*Czym są te wieże i żyzne doliny,
Czym wzgórza błękitne, pamiętne.*

*To ziemia utraconej radości
Lśni jasno przed moimi oczami,
Tych dawnych dróg szczęśliwości
Nie przemierzę już swymi krokami.*

Ojciec zawsze zniżał głos przy słowach „wzgórza błękitne, pamiętne”, a kiedy rodzice wyszli z jego pokoju, i potem przez kolejne tygodnie, kiedy ich nie było, wyglądał przez okno i patrzył na odległe wzgórza, które nabierały błękitnego odcienia.

Richard był zdumiony, jak intensywne życie prowadzi Kainene. Widując się z nią w Lagos, podczas tych krótkich spotkań w hotelu nie zdawał sobie sprawy, że ona żyje pełnią życia, nawet jeśli jego w tym życiu nie było. Z pewnym zdziwieniem i zakłopotaniem uzmysłowił sobie, że nie tylko on zajmuje jej świat, lecz większe zdziwienie budziło to, jak bardzo uporządkowane są jej codzienne zajęcia, choć w Port Harcourt przebywała dopiero od kilku tygodni. Przede wszystkim liczyła się dla niej praca, Kainene była zdeterminowana przyczynić się do rozwoju fabryk ojca, chciała pokazać, że może być lepsza od niego. Wieczorami odwiedzali ją goście – ludzie z firm negocjujący kontrakty, ludzie z rządu negocjujący łapówki, ludzie z fabryki negocjujący stanowiska pracy – parkując samochody w pobliżu wejścia do sadu. Kainene zawsze dbała o to, żeby zbyt długo nie zostawali, i nie zapraszała go na spotkania z nimi, mówiąc, że go zanudzą, więc Richard zostawał na górze, gdzie czytał albo coś gryzmolił, dopóki nie wyszli. Zazwyczaj starał się nie myśleć o tym, że kolejnej nocy może znowu zawieść Kainene; wciąż nie miał zaufania do swojego ciała, a myślenie o potencjalnej klęsce zwiększało jej prawdopodobieństwo.

Kiedy podczas jego trzeciej wizyty w Port Harcourt lokaj zastukał do drzwi sypialni i oznajmił: „Proszę pani, przyjechał major Madu”, Kainene poprosiła Richarda, żeby wraz z nią zszedł na dół.

– Madu to stary przyjaciel i chciałabym, żebyś go poznał. Właśnie wrócił z ćwiczeń wojskowych w Pakistanie – powiedziała.

Już idąc korytarzem, Richard wyczuł mocny, przesłodzony zapach wody kolońskiej tego gościa. Używający jej mężczyzna był przystojny, ale Richard

natychmiast uznał ten typ urody za surowy i pierwotny: szeroka twarz w kolorze mahoni, szerokie usta, szeroki nos. Kiedy się podniósł, podając mu rękę na przywitanie, Richard omal się nie cofnął. Mężczyzna był ogromny. Richard przyzwyczaiał się do tego, że jest najwyższy w towarzystwie, patrząc na niego musiano podnosić wzrok, ale teraz stał przed nim mężczyzna wyższy od niego o przynajmniej trzy cale, a do tego szeroki w barach i potężnie zbudowany, przez co wyglądał na jeszcze większego, wręcz przeogromnego.

– Richard, to jest major Madu Madu – powiedziała Kainene.

– Dzień dobry – odezwał się major Madu. – Kainene opowiadała mi o panu.

– Dzień dobry – odparł Richard. Zbyt intymnie w jego uszach zabrzmiało, kiedy ten gigantyczny człowiek z lekko protekcyjnym uśmiechem tak po prostu wymówił imię Kainene, jakby ją doskonale znał, jakby wiedział coś, o czym Richard nie miał pojęcia, jakby wszystko, co tylko Kainene powiedziała o Richardzie, zostało mu wyszeptane pośród głupawych chichotów towarzyszących bliskości fizycznej. A w ogóle co to za nazwisko: Madu Madu? Richard usiadł na sofie i nie przyjął proponowanego przez Kainene drinka. Czuł, że pobladł. Przykro mu było, że Kainene nie powiedziała: „To jest Richard, mój kochanek”.

– Podobno spotkaliście się z Kainene w Lagos? – zapytał major Madu.

– Tak – odrzekł Richard.

– Pierwszy raz powiedziała mi o panu miesiąc temu, kiedy dzwoniłem z Pakistanu.

Richard nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, że Kainene rozmawiała z tym człowiekiem w Pakistanie, nie pamiętał też, żeby kiedykolwiek wspominała o przyjaźni z jakimś oficerem, który miał takie samo imię i nazwisko.

– A wy od kiedy się znacie? – zapytał Richard i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy to pytanie nie zabrzmiało zbyt podejrzliwie.

– Posiadłość mojej rodziny w Umunnachi sąsiaduje z domem jej rodziny – odparł major Madu i zwrócił się do Kainene: – Czy przypadkiem nasi przodkowie nie byli spokrewnieni? Tyle tylko że wyście ukradli naszą ziemię, a myśmy was wyrzucili.

– To wyście ukradli ziemię – sprostowała Kainene i roześmiała się.

Richard był zaskoczony, słysząc chropowaty dźwięk jej śmiechu.

Jednak bardziej zdumiało go poufale zachowanie majora Madu, to jak zapadał się w sofie, jak podnosił się, żeby przegłębnie spojrzeć na album przy zestawie ste-

reo, żartował z lokajami podającymi kolację. Nagle Richard poczuł się tu obco. Przykro mu było, że Kainene nie powiedziała mu, że major Madu zostanie na kolacji. Przykro mu było, że ona nie pije dzinu z tonikiem, jak Richard, tylko whisky z wodą, jak major Madu. Przykro mu było, że ten człowiek ciągle zadaje mu pytania, jakby chciał wciągnąć go do rozmowy, czując się tutaj gospodarzem, Richarda zaś sprowadzając do roli gościa. Jak się panu podoba Nigeria? Czyż ten ryż nie jest przepyszny? Jak idzie praca nad książką? Podoba się panu Nsukka?

Richard miał dość wypytywania i nienagannego zachowania tego człowieka przy stole.

– Szkoliłem się w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst – odezwał się major Madu – i najbardziej doskwierało mi tam zimno. Tym bardziej że co rano kazano nam biegać w tym cholernym chłódzie w cienkiej koszulce i krótkich spodenkach.

– Nie dziwię się, że było panu zimno – powiedział Richard.

– Tak, tak. Co kto lubi... Jestem przekonany, że wkrótce zatęskni pan za domem – stwierdził.

– Nie wydaje mi się – odparł Richard.

– Podobno Brytyjczycy ostatnio postanowili, że zaczną kontrolować imigrację z Commonwealthu, prawda? Chcą, żeby ludzie zostali w swoich krajach. Ironią losu jest oczywiście, że my, mieszkańcy Commonwealthu, nie możemy sprawować kontroli nad przyjazdami Brytyjczyków do naszego kraju.

Przez chwilę powoli żuł ryż i przyglądał się butelce z wodą, jakby zawierała wino i chciał sprawdzić rocznik.

– Zaraz po powrocie z Anglii zostałem przydzielony do czwartego batalionu, który wyruszył pod auspicjami ONZ do Konga. Nasz batalion wcale nie był dobrze dowodzony, ale i tak wolałem Kongo od względnego bezpieczeństwa w Anglii. I to tylko z powodu pogody. – Major Madu urwał na moment. – Prawdę mówiąc, w Kongu byliśmy beznadziejnie dowodzeni. Dowodził nami brytyjski pułkownik. – Zerknął na Richarda, dalej żując powoli.

Richard najeżył się, palce zeszywniały mu ze złości i zaczął się nawet obawiać, że lada moment widelec wypadnie mu z dłoni, zdradzając jego uczucia temu okropnemu człowiekowi.

Dzwonek do drzwi odezwał się zaraz po kolacji, kiedy siedzieli z drinkami w świetle księżycy na werandzie i słuchali muzyki high life.

– To z pewnością Udodi, umówiłem się z nim tu na spotkanie – powiedział major Madu.

Richard machnął ręką, chcąc uderzyć komara irytująco bzyczącego mu koło ucha. Wyglądało na to, że dom Kainene przekształcił się w miejsce spotkań tego mężczyzny i jego znajomych.

Udodi był małym, niczym niewyróżniającym się człowiekiem, zupełnie pozbawionym wyrachowanego uroku i subtelnej arogancji majora Madu. Sprawiał wrażenie pijanego i przy powitaniu iście po maniacku potrząsał ręką Richarda w górę i w dół.

– Jest pan współnikiem Kainene? Nafciarzem? – zapytał.

– Chyba nie zdążyłam panów przedstawić, prawda? – odezwała się Kainene. – Richardzie, pozwól: to major Udodi Ekechi, przyjaciel Madu. Udodi, to jest Richard Churchill.

– No proszę! – powiedział major Udodi, a jego oczy zwęziły się. Nalał sobie whisky do szklanki, wychylił ją jednym haustem i powiedział coś w języku ibo, na co Kainene oziębła, wyraźnym angielskim odparła:

– To nie twoja sprawa, Udodi, jak sobie dobieram kochanków.

Richard chciał otworzyć usta i zrugać tego mężczyznę, ale nie potrafił tego zrobić. Ogarnęła go słabość, jaka zazwyczaj towarzyszy chorobie i głębokiemu żalowi. Muzyka przestała grać i słyszał szum morskich fal w oddali.

– Och, przepraszam! Nie powiedziałem, że to moja sprawa! – Udodi roześmiał się i ponownie sięgnął po butelkę whisky.

– Zwolnij trochę – odezwał się major Madu. – Chyba dosyć wcześnie zacząłeś w kantine.

– Życie jest krótkie, braciszku! – odparł major Udodi, nalewając sobie kolejnego drinka. Odwrócił się do Kainene. – I mangonu, wiesz, ja tylko chcę powiedzieć, że białymi mężczyznami interesują się u nas kobiety określonego typu, takie, które pochodzą z biednej rodziny i mają ciała w guście białych... – Na moment urwał, lecz zaraz mówił dalej, parodiując angielski akcent: – Nie-samowicie pociągające pośladki. – Roześmiał się. – Ci biali będą takie kobiety rznąć raz za razem w ciemnościach, ale nigdy się z nimi nie ożenią. W żadnym wypadku! Oni nawet nie zabiorą takiej kobiety w przyzwoite miejsce. Jednak te kobiety dalej okrywają się hańbą i starają się o tych mężczyzn, dostają więc jakieś marne grosze i kretyńskie herbatki w pięknych puszkach. To nowa forma niewolnictwa, mówię wam, nowa forma niewolnictwa. Ale przecież ty jesteś córką wielkiej szychy, co więc z nim robisz?

Major Madu podniósł się.

– Przepraszam cię za to, Kainene. Ten człowiek nie jest sobą. – Szarpnął majora Udodiego i postawił go na nogi, mówiąc coś szybko do niego w języku

ibo.

Udodi znowu się roześmiał.

– Dobra, dobra, ale pozwól mi zabrać whisky. Butelka jest już prawie pusta. Tylko wezmę whisky.

Kainene nie odzywała się, kiedy major Udodi zabierał butelkę ze stolika. Gdy już obaj wojskowi wyszli, Richard usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Miał wrażenie, że on gdzieś się rozplątał i z tego właśnie powodu major Madu nie uwzględnił go w swoich przeprosinach.

– Ten człowiek był okropny. Bardzo mi przykro, że tak się zachował.

– Był beznadziejnie pijany. Madu musi się teraz strasznie czuć – stwierdziła Kainene. Gestem wskazała leżącą na stole teczkę z dokumentami i dodała: – Właśnie uzyskałam kontrakt na dostawę obuwia wojskowego dla batalionu w Kadunie.

– Gratuluję. – Richard dopił ostatnie krople ze szklanki i patrzył na Kainene, która przeglądała zawartość teczeki.

– Zleceniodawca pochodzi z plemienia Ibo, a Madu powiedział, że ten człowiek skłonny jest przyznać zlecenie komuś z jego ludu. Miałam więc szczęście. A ponadto on chce tylko pięć procent od kontraktu.

– Łapówka?

– Och, daj spokój, przecież jesteśmy niewiniątkami.

Ta jej ironia zirytowała go, podobnie jak szybkość, z jaką uwolniła majora Madu od jakiegokolwiek odpowiedzialności za chamskie zachowanie majora Udodiego. Richard wstał i zaczął przechadzać się po werandzie. Wokół świetlówek brzęczały owady.

– Widzę, że znacie się z tym Madu od bardzo dawna – powiedział w końcu. W żadnym wypadku nie miał zamiaru mówić o tym człowieku, używając jego imienia, to automatycznie świadczyłoby o jakiejś serdeczności wobec niego, której wcale nie odczuwał i nie pragnął. Ale z drugiej strony nie miał wyboru. Z pewnością nie mógł nazywać go majorem, użycie stopnia zbytnio podnosiłoby jego rangę.

Kainene podniosła wzrok.

– Od zawsze. Nasze rodziny były blisko ze sobą związane. Pamiętam, jak przed wielu laty, kiedy pojechaliśmy na Boże Narodzenie do Umannachi, Madu dał mi żółwia. Najdziwniejszy i najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Olanna uważała, że Madu źle zrobił, wyciągając to biedne stworzenie z jego naturalnego środowiska, i mówiła też inne tego typu rzeczy, ale ona nigdy nie przepadała za Madu. Włożyłam żółwia do miski i oczywiście

niedługo potem zdechł. – Powróciła do przeglądania teczeki.

– On jest żonaty, tak?

– Tak. Adaobi robi licencjat w Londynie.

– I dlatego tak często się z nim widzisz? – To pytanie wypowiedział chrapliwym głosem, jakby coś mu przeszkadzało w gardle.

Nie odpowiedziała mu. Może nawet go nie usłyszała. Wyraźnie widać było, że pochłonięta jest tą teczką, nowym kontraktem. Podniosła się.

– Pójdę tylko do gabinetu zanotować coś i wrócę do ciebie.

Richard zastanawiał się, dlaczego nie zapytał jej wprost, czy Madu jej się podoba i czy była kiedyś z nim związana albo co gorsza, czy wciąż z nim jest. Bał się. Podeszedł do niej, objął ją ramionami i przycisnął do siebie, pragnąc poczuć bicie jej serca. Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że może gdzieś znaleźć swoje miejsce.

1. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

W prologu historia kobiety z kalebasą. Usiadła na podłodze pociągu ściśnięta między ludźmi płaczącymi, ludźmi krzyczącymi i modlącymi się. Nie odzywała się, przez cały czas tylko w delikatnym rytmie tuląc trzymaną na kolanach przykrytą kalebasę, aż przejechali przez Niger, kiedy to uniosła pokrywę i poprosiła Olanę i innych, żeby się zbliżyli i zajrzeli do środka.

Olanna opowiada mu tę historię, a on spisuje szczegóły. Opowiada mu o śladach krwi na sukni kobiety, wsiąkniętej w materiał i tworzącej rdzawe, fioletoworóżowe plamy. Opisuje rzeźbiony wzór na kalebasie, krzyżujące się ukośnie linie, i znajdującą się w środku głowę dziecka: niechlujne warkoczyki opadające na ciemnobrązową twarzyczkę, zupełnie białe niesamowicie otwarte oczy i usta rozchylone, jakby w lekkim zaskoczeniu wymawiały „o”.

Dalej wspomina o niemieckich kobietach uciekających z Hamburga z powciśkanymi do walizek zwęglonymi ciałami swoich dzieci, o kobietach z Rwandy wkładających do kieszeni drobne fragmenty swoich rozszarpanych niemowląt. Pilnuje się jednak, żeby nie doszukiwać się żadnych podobieństw, Na okładkę książki sporządza mapę Nigerii, w którą wrysowuje rozwidlony w kształcie litery Y przebieg rzek Niger i Benue. Tym samym odcieniem czerwieni zatacza granice miejsca, gdzie na południowym wschodzie przez trzy lata istniała Biafra.

Ugwu niespiesznie sprzątał stół w jadalni. Najpierw wyniósł szkło, następnie ubrudzone potrawką miski i sztucce, a na koniec poukładał talerze jeden na drugim. Nawet gdyby nie zerkał podczas posiłku przez kuchenne drzwi, i tak wiedziałby, kto gdzie siedział. Na talerzu pana zawsze było najwięcej porzucanego ryżu, jakby jadł nieprzytomnie i ziarenka uciekały mu z widelca. Na kieliszku Olanny widniały pozostawione przez szminkę ślady w kształcie półksiężyca. Okeoma wszystko jadł łyżką, nóż i widelec leżały odsunięte na bok. Profesor Ezeka przynosił własne piwo i obok jego talerza znajdowała się brązowa butelka o zagranicznym wyglądzie. Panna Adebayo zostawiała w swojej miseczce plasterki cebuli, a pan Richard nigdy nie rozgryzał kości kurczaka.

Po wyniesieniu wszystkiego do kuchni Ugwu odłożył talerz Olanny na bok, na laminowany blat, i opróżnił pozostałe, patrząc, jak ryż, potrawka, zielenina i kości zsuwają się do kosza na śmieci. Niektóre kostki były jak drewniane wióry, tak dobrze zostały pogruchotane. Talerz Olanny wyglądał inaczej, ona tylko delikatnie żuła same końcówki, tak że wszystkie trzy kosteczki zachowały swój kształt. Ugwu usiadł, wybrał jedną i zamknąwszy oczy, zaczął ją ssać, wyobrażając sobie usta Olanny zaciskające się na tej samej kości.

Ssał z wolna, jedną kość po drugiej, nawet nie starając się tłumić dobywających się z jego ust odgłosów siorbania. Był zupełnie sam. Pan właśnie wyszedł do klubu uczelnianego, a wraz z nim Olanna i ich znajomi. To były zawsze najspokojniejsze chwile w domu, kiedy Ugwu z niczym nie musiał się spieszyć, kiedy naczynia po lunchu leżały w zlewie, do kolacji pozostawało jeszcze dużo czasu, a kuchnia skąpana była w jarzącym się świetle słonecznym. Olanna nazywała tę porę jego „Czasem Nauki” i kiedy była w domu, prosiła, żeby szedł do sypialni odrabiać lekcje. Nie miała pojęcia, że zawsze szybko radził sobie z odrobieniem zadania, a potem siadał przy oknie i mozolnie przedzierał się przez trudne zdania w jednej z należących do pana książek, często podnosząc wzrok, żeby popatrzeć na motyle, które nurkowały i wzbijały się nad białymi kwiatami przed domem.

Ssać drugą kostkę, sięgnął po zeszyt. Chłodny szpik kostny w ustach miał cierpki smak. Przeczytał wiersz przepisany wcześniej z tablicy tak starannie, że litery wyglądały jak pismo pani Oguike, po czym zamknął oczy i wyrecytował:

*Nie mogę zapomnieć, że zobaczyć nie jest mi dane
Tych pięknych widoków prze z nie oglądanych,
A również mnie przez szczurołapa obiecanych.
Prowadził nas, jak sam rzekł, do kraju radości,
W pobliżu miasta leżącego w wielkiej bliskości,
Gdzie woda tryska i rosną drzewa owocowe,
Kwiaty prezentują piękniejsze szaty kolorowe,
A wszystko jest tak dziwne i zupełnie nowe.*

Otworzył oczy i uważnie przeczytał wiersz, chcąc się upewnić, że niczego nie pominął. Miał nadzieję, że pan zapomni przepisać go z tego wiersza, bo chociaż dobrze go zapamiętał, z pewnością nie będzie potrafił odpowiedzieć na stawiane przez pana pytania: „Co to znaczy” albo „Jak sądzisz, co autor chciał tu powiedzieć?”. W książce od pani Oguike obrazki przedstawiające długowłosego mężczyznę, za którym podążają uszczęśliwione szczury, były zupełnie niezrozumiałe i im dłużej Ugwu im się przyglądał, tym większego nabierał przekonania, że to musi być jakiś absurdalny żart. Chyba nawet pani Oguike nie wiedziała, co one mają oznaczać. Ugwu polubił tę nauczycielkę – panią Oguike – ponieważ nie poświęcała mu jakiejś szczególnej uwagi, jakby nie zauważała, że podczas przerw siedzi samotnie w klasie. Zauważyła natomiast, jak szybko się uczy, i to już tego pierwszego dnia, kiedy zdawał testy ustne i pisemne, a pan czekał na niego za drzwiami dusznego pomieszczenia. „Ten chłopiec z pewnością w pewnym momencie przeskoczy klasę, ma ogromną wrodzoną inteligencję”, powiedziała później panu, jakby nie zauważając stojącego obok Ugwu, a określenie „wrodzona inteligencja” natychmiast stało się ulubionym zwrotem Ugwu.

Zamknął zeszyt. Wyssał już wszystkie kostki i zabrał się za mycie naczyń, wyobrażając sobie, że czuje na podniebieniu smak ust Olanny. Pozostawiane przez nią kostki zaczął ssać kilka tygodni temu, kiedy w sobotni poranek zobaczył, jak Olanna i pan całują się w salonie, jak przywierają do siebie ich otwarte usta. Myśl o jej ślinie w ustach pana wzbudzała w nim odrazę, ale jednocześnie podniecała go. I pod tym względem nic się nie zmieniło. Podobnie

się czuł, słysząc jej jęki w nocy; choć nie chciał jej słuchać, często podchodził do drzwi ich sypialni, przyciskał ucho do zimnego drewna i nasłuchiwał. A także kiedy badał jej bieliznę wywieszaną w łazience – czarne halki, śliskie staniki, białe majtki.

Bez trudu zadomowiła się w mieszkaniu. Kiedy wieczorami goście wypełniali salon, jej głos wyróżniał się nienaganną perfekcją, a Ugwu marzył o tym, żeby pokazać język pannie Adebayo i powiedzieć: „Nie potrafisz mówić po angielsku jak moja pani, więc zamknij tę swoją brudną jadaczkę”. Można było odnieść wrażenie, że jej ubrania od zawsze wiszą w szafie, z radioli zawsze płynęła jej muzyka high life, jej kokosowy zapach wypełniał wszystkie pokoje, a przed domem parkował jej chevrolet impala. Mimo to tęsknił za dawnymi czasami, kiedy mieszkali we dwóch z panem. Brakowało mu tych wieczorów, kiedy siadał na podłodze salonu, a pan mówił do niego niskim głosem, i poranków, kiedy podawał panu śniadanie, wiedząc, że jedyne głosy, jakie można w domu usłyszeć, należą do nich.

Pan się zmienił – zbyt często patrzył na Olanę, za często ją dotykał, a kiedy Ugwu otwierał przed nim frontowe drzwi, niecierpliwie zerkał nad jego ramieniem w kierunku salonu, żeby sprawdzić, czy jest tam Olanna. Właśnie wczoraj pan powiedział do Ugwu:

– W ten weekend odwiedzi nas moja matka, posprzątaj więc pokój gościny.

Zanim jeszcze Ugwu zdążył odpowiedzieć: „Tak, sah”, odezwała się Olanna:

– Sądzę, że Ugwu powinien przenieść się do służbówki. Dzięki temu pokój gościny będzie wolny. Mama może zatrzymać się u nas na jakiś czas.

– Tak, oczywiście – odparł pan bardzo szybko, czym zirytował Ugwu: pan gotów by wsadzić głowę w szalejące płomienie, gdyby tylko Olanna o to poprosiła. Jakby to ona przejęła rolę pana. Ale Ugwu nie przeszkadzały przenosiny do służbówki, zupełnie pustej, jeśli nie liczyć kilku pajęczyn i kartonów. Mógł tam ukrywać rzeczy, które udało mu się uratować, to pomieszczenie należało wyłącznie do niego. Nigdy nie słyszał, żeby pan wspominał coś o swojej matce, i sprzątając pokój gościny, próbował wyobrazić sobie, jak może wyglądać ta kobieta, która kąpała pana, gdy był dzieckiem, karmiła go, wycierała mu nos. Ugwu już teraz ją podziwiał za samo to, że urodziła pana.

Szybko uporał się z naczyniami po lunchu. Jeśli uda mu się równie szybko przygotować zieleńkę na zupę jarzynową na kolację, będzie mógł wyskoczyć do domu pana Richarda i porozmawiać z Harrisonem, zanim pan i Olanna

wrócą do domu. Od pewnego czasu nie kroił już zielonych warzyw, lecz targał je w rękach. Olanna wołała warzywa przyrządzone właśnie w ten sposób, powiedziała, że w tej postaci zachowują więcej witamin. Również Ugwu polubił takie warzywa, podobnie jak spodobało mu się to, że nauczyła go smażyć jajka z niewielkim dodatkiem mleka, kroić smażone banany w eleganckie krążki, a nie w niezgrabne owale, gotować na parze moi-moi w aluminiowych kubkach, a nie w liściach banana. Od kiedy przekazała mu większość obowiązków związanych z gotowaniem, lubił zaglądać przez uchylone drzwi i patrzeć, kto szepcze najwięcej pochwał, co komu przypadło do gustu, kto bierze dokładkę. Doktor Patel lubił kurczaka gotowanego z pieprzem uziza. Podobnie pan Richard, jednak on nigdy nie jadł skóry z kurczaka. Może dlatego, że blada skóra kurczaka przypominała mu jego własną. Ugwu nie potrafił wyobrazić sobie żadnego innego powodu, przecież skórka jest najsmaczniejsza. Pan Richard zawsze powtarzał: „Kurczak jest fantastyczny, dziękuję, Ugwu” – kiedy Ugwu wychodził z kuchni, żeby donieść wody lub coś sprzątnąć. Czasami, kiedy inni goście przechodzili do salonu, pan Richard zjawiał się w kuchni i zadawał Ugwu pytania. Te jego pytania były bardzo śmieszne. Czy w jego wiosce ludzie mają jakieś drewniane rzeźby albo płaskorzeźby bogów? Czy był kiedyś w świątyni nad rzeką? Rozbawienie Ugwu było tym większe, że pan Richard zapisywał jego odpowiedzi w małej, oprawnej w skórę książeczce. Kilka dni wcześniej, gdy Ugwu mimochodem wspomniał o festiwalu ori-okpa, oczy pana Richarda przybrały jaśniejszy odcień błękitu, a potem powiedział, że chciałby zobaczyć ten festiwal; miał zapytać pana, czy mógłby zabrać Ugwu i pojechać z nim do jego rodzinnej miejscowości.

Ugwu śmiał się, wyciągając zieleninę z lodówki. Nie potrafił wyobrazić sobie pana Richarda na festiwalu ori-okpa, podczas którego mmuo (pan Richard powiedział, że to pewnie są maskarady, a Ugwu zgodził się z nim, jeśli słowo „maskarady” oznacza duchy) paradują przez wioskę, chłuszcząc młodzieńców i goniąc młode kobiety. Nawet same mmuo mogłyby wybuchnąć śmiechem na widok bladego obcokrajowca skrzącego zapisującego coś w notesie. Cieszył się jednak, że wspomniał o festiwalu panu Richardowi, bo dzięki temu będzie miał okazję zobaczyć Nnesinachi przed jej wyjazdem na Północ. Ależ zrobi na niej wrażenie, kiedy przyjedzie samochodem białego człowieka, do tego kierowanym przez tego białego! Tym razem z pewnością zauważy go, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, nie mógł się też doczekać, żeby imponować Anulice, kuzynom i krewnym swoją znajomością angielskiego, nową koszulą, wiedzą na temat kanapek i puszczenia wody z kranu, a także

pachnącym pudrem.

Właśnie skończył myć poszatowane warzywa, kiedy usłyszał dzwonek u drzwi. Na znajomych pana było jeszcze za wcześnie. Podeszedł do drzwi, wycierając ręce w fartuch. Przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście stoi przed nim jego ciocia czy tylko widzi jej obraz wywołany rozmyślaniami o domu.

– Ciocia?

– Uguwany – powiedziała – musisz jechać do domu. Oga gi kwanu! Gdzie twój pan?

– Do domu?

– Twoja matka jest bardzo chora.

Ugwu przyjrzał się chustce związanej na głowie cioci. Wyraźnie widział miejsca, w których naciągnięty materiał się poprzecierał. Pamiętał, że kiedy zmarł ojciec jego kuzynki mieszkającej w Lagos, rodzina posłała jej wiadomość, prosząc, żeby przyjechała do domu, bo ojciec jest bardzo chory. Jeśli ktoś przebywał daleko od domu, mówiono, że zmarła osoba jest ciężko chora.

– Twoja matka jest chora – powtórzyła ciocia. – Pyta o ciebie. Powiem twojemu panu, że wrócisz jutro, żeby nie miał pretensji, że o zbyt wiele prosimy. Wielu będących na służbie chłopców przez całe lata nie odwiedza domu, chyba o tym wiesz.

Ugwu nawet się nie ruszył, cały czas nawijał tylko na palec rąbek fartucha. Chciał poprosić ciocię, żeby powiedziała mu prawdę, żeby powiedziała, czy jego matka umarła. Jednak jego wargi nie były w stanie uformować słów. Paraliżowała go pamięć o ostatniej chorobie matki, kiedy kaszlała bez ustanku, i przed świtem ojciec wyszedł, żeby sprowadzić dibię, a w tym czasie młodsza żona, Chioke, masowała jej plecy.

– Pana nie ma w domu – powiedział w końcu. – Ale wkrótce wróci.

– Zaczekam i poproszę go, żeby pozwolił ci jechać do domu.

Zaprowadził ją do kuchni, gdzie ciocia usiadła i patrzyła, jak Ugwu kroi jams na plastry, a potem te plastry w kostkę. Pracował szybko, gorączkowo. Wpadające przez okno słońce zdawało się zbyt jasne jak na późne popołudnie, zbyt przesycone złowieszczym blaskiem.

– A ojciec dobrze się czuje? – zapytał Ugwu.

– Tak, jest zdrowy. – Twarz cioci była matowa, a jej głos bezbarwny, jak u posłańca, któremu przekazano więcej złych wieści, niż ich dostarczył. Musiała coś skrywać. Może rzeczywiście jego matka nie żyje, może dzisiejszego ranka oboje rodzice padli trupem. Ugwu dalej zawzięcie kroił w atmosferze

podniosłej ciszy, dopóki pan, w lepiącym się od potu na plecach białym stroju tenisowym, nie wrócił do domu. Przyszedł sam. Ugwu żałował, że nie towarzyszy mu Olanna, bo mógłby obserwować jej twarz, kiedy zacznie opowiadać.

– Dzień dobry, sah.

– Witaj, mój dobry człowieku. – Pan położył rakietę na kuchennym stole. – Daj mi trochę wody, proszę. Przegrałem dzisiaj wszystkie mecze.

Ugwu miał już przygotowaną wodę, lodowato zimną w stojącej na spodeczku szklance.

– Dobry wieczór, sah – przywitała się ciocia.

– Dobry wieczór – odparł pan najwyraźniej nieco skonsternowany, jakby nie miał pewności, kim jest ta kobieta. – Ach, tak. Jak się pani ma?

Ugwu odezwał się, zanim zdążyła coś więcej powiedzieć.

– Moja matka jest chora, sah. Proszę, sah, żebym mógł ją odwiedzić. Zaraz jutro bym wrócił.

– Co?

Ugwu powtórzył swoje słowa. Pan utkwiał w nim spojrzenie, później popatrzył na garnek stojący na kuchence.

– Skończyłeś gotowanie?

– Nie, sah. Zaraz skończę, szybciotko, szybciotko, zanim pójdę. Nakryję do stołu i wszystko przygotuję.

Pan odwrócił się do cioci Ugwu.

– Gini me? Co się dzieje z jego matką?

– Sah?

– Głucha jesteś? – Pan stuknął się palcem w ucho, jakby ciocia Ugwu nie wiedziała, co to znaczy być głuchym. – Co się dzieje z jego matką?

– Sah, jej piersi płoną.

– Piersi płoną? – Pan prychnął. Wypił podaną wodę i odwróciwszy się do Ugwu, rzekł po angielsku: – Włóż koszulę i wsiadaj do samochodu. Twoja wioska nie jest tak daleko. Powinniśmy wrócić na czas.

– Sah?

– Włóż koszulę i wsiadaj do samochodu! – Pan nagryzmolił kilka słów z tyłu jakiejś ulotki i zostawił ją na stole. – Przywieziemy tutaj twoją matkę, a Patel ją zbada.

– Tak, sah.

Idąc z ciocią i panem do samochodu, Ugwu czuł się tak, jakby lada moment miał się rozpaść na kawałki. Miał wrażenie, że zamiast kości ma kije od mio-

tły, dokładnie takie, jakie zawsze łatwo się łamią podczas harmattanu.

Przez prawie całą drogę do wioski nie odzywali się. Kiedy mijali gospodarstwa, na których łąny zbóż i manioku przypominały starannie splecione włosy, pan powiedział:

– Spójrz tylko. Właśnie na tym powinien skoncentrować się nasz rząd. Jeśli nauczymy się nawadniać pola, nie będzie żadnych problemów z wyżywieniem tego kraju. Będziemy mogli skończyć z kolonialnym uzależnieniem od importu.

– Tak, sah.

– Ale problem polega na tym, że zamiast robić coś takiego, ci wszyscy ignoranci w rządzie tylko kłamią i kradną. Wielu moich studentów przyłączyło się dziś do grupy, która rano pojechała demonstrować do Lagos.

– Tak, sah – odrzekł Ugwu. – Sah, dlaczego oni demonstrują?

– Chodzi o spis ludności – wyjaśnił pan. – Ten cały spis ludności to jedna wielka kpina, wszyscy fałszowali liczby. I Balewa też nic nie robi, bo siedzi w tym po uszy, jak wszyscy inni. My musimy przeciw temu otwarcie protestować.

– Tak, sah – zgodził się Ugwu i chociaż martwił się o matkę, poczuł ukłucie dumy, ponieważ wiedział, że ciocia z pewnością siedzi z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, słysząc, że prowadzi z panem tak poważną konwersację. Do tego po angielsku!

Zatrzymali się w pobliżu jego rodzinnej chaty.

– Idź szybko pozbierać rzeczy mamy – powiedział pan. – Wieczorem przyjeżdżają do mnie goście z Ibadanu.

– Tak, sah! – odpowiedzieli jednocześnie Ugwu i jego ciocia.

Ugwu wysiadł z samochodu i stanął w miejscu. Ciocia wpadła do chaty, z której po krótkiej chwili wyszedł jego ojciec z zaczerwienionymi podkrążonymi oczami, wyglądający na jeszcze bardziej zgarbionego niż w przeszłości. Ukląkł w pyle i objął pana za nogi.

– Dziękuję, sah. Dziękuję, sah. Niech ktoś panu to wynagrodzi.

Pan cofnął się i Ugwu zauważył, że ojciec zachwiał się i o mało nie upadł do tyłu.

– Proszę wstać, kunie – rzekł pan.

Z chaty wyszła Chioke.

– To moja druga żona, sah – powiedział ojciec Ugwu, podnosząc się na nogi.

Chioke chwyciła w obie ręce dłoń pana i uściśnęła ją.

– Dziękuję, panie. Deje! – Pobieгла z powrotem do chaty i po chwili wyłoniła się z małym ananasem, który wcisnęła panu do ręki.

– Nie, nie – odparł pan, odsuwając ananas. – Tutejsze ananasy są dla mnie za kwaśne, palą mnie w usta.

Wokół samochodu zaczęły się zbierać wioskowe dzieci, zaglądały do wnętrza i z zachwytem przesuwały palcami po błękitnej karoserii. Ugwu krzyknął na dzieci i przegonił je. Marzył, żeby Anulika była w domu, żeby wraz z nim poszła do chaty matki. Chciał, żeby Nnesinachi teraz tu nadeszła, wzięła jego rękę w swoje dłonie i uspokajającym tonem powiedziała, że jego matka nie jest poważnie chora; żeby potem poprowadziła go do gaju nad strumieniem i tam rozwiązała okrywającą ją chustę, oddając mu swoje piersi; żeby uniosła je w górę i mu je zaofiarowała. Dzieci głośno coś paplały. Kilka kobiet stanęło w pobliżu z założonymi rękami, rozmawiały przyciszonym głosem. Ojciec Ugwu ciągle coś panu proponował: a to orzech kola, a to wino palmowe albo żeby usiadł na taborecie, lecz pan tylko powtarzał: „Nie, nie, nie”. Ugwu nie mógł się doczekać, kiedy ojciec w końcu przestanie mówić. Podszedł bliżej chaty i zajrzał do środka. W przyćmionym świetle odnalazł wzrokiem oczy matki. Wyglądała jak zasuszona staruszka.

– Ugwu... – odezwała się. – Nno, witaj.

– Deje – przywitał ją, ale zaraz umilkł, przyglądając się tylko, jak ciocia pomaga jej związać chustę na biodrach i wyprowadzają z chaty.

Ugwu miał właśnie pomóc matce wsiąść do samochodu, kiedy pan powiedział:

– Odsuń się, mój dobry człowieku.

To pan pomógł jej zająć miejsce w samochodzie, polecił położyć się na tylnej kanapie i wyciągnąć, na ile to możliwe.

Ugwu nagle z niechęcią pomyślał, że wolałby, aby pan nie dotykał jego matki, bo jej ubrania cuchną starością i pleśnią, a ponadto pan nie wiedział, że bolą ją plecy, że uprawiany przez nią spłacheć roli z kolokazją przynosi marne zbiory i że kiedy kaszle, pierś jej rzeczywiście płonie. Bo cóż tak naprawdę pan mógł wiedzieć o tych wszystkich rzeczach, skoro tylko pokrzykiwał wieczorem ze znajomymi i pił brandy?

– Nie martwcie się, pošlemy wam wiadomość, kiedy lekarz ją zbada – przed odjazdem powiedział pan do ojca i cioci Ugwu.

Ugwu starał się nie spoglądać do tyłu na matkę, opuścił szybę w samochodzie, żeby uderzający uszy głośny pęd powietrza odwracał jego uwagę. Kiedy się w końcu odwrócił tuż przed wjazdem na teren kampusu, serce zamarło

mu na widok jej zamkniętych oczu i rozluźnionych warg. Jednak jej pierś miarowo unosiła się i opadała. Matka oddychała. Ugwu powoli wypuścił powietrze i przypomniał sobie te chłodne wieczory, kiedy nieustannie kaszłała, a on przywierał plecami do kamiennych ścian chaty i słuchał, jak ojciec i Chioke namawiają ją do wypicia jakiejś mikstury.

Drzwi otworzyła im Olanna ubrana w fartuch z przodu poplamiony olejem. To był jego fartuch. Ucałowała pana.

– Poprosiłam Patela, żeby do nas przyszedł – powiedziała i zwróciła się do matki Ugwu: – Mama. Kedu?

– Dobrze się czuję – wyszeptała jego matka. Rozejrzała się po pokoju i skuliła jeszcze bardziej, widząc sofę, radiolę, zasłony.

– Zaprowadzę ją do środka – rzekła Olanna. – Ugwu, dokończ, proszę, prace w kuchni i nakryj do stołu.

– Tak, mah.

W kuchni Ugwu zamieszał w garnku z zupą paprykową. Tłusty bulion zawiał, ostre przyprawy uniosły się w górę i ich woń połaskotała mu nos, a kawałki mięsa i flaczek przepływały na powierzchni z jednej strony na drugą. Ale on tego prawie nie zauważał. Starał się coś usłyszeć. Upłynęło już bardzo dużo, zbyt dużo czasu, odkąd Olanna zabrała jego matkę do środka i kiedy dołączył do nich przybyły doktor Petel. Oczy zaczęły mu łzawić od ostrej papryki. Pamiętał, że kiedy ostatnio matka chorowała na kaszel, głośno krzyczała, że nie czuje nóg, na co dibia kazał jej powiedzieć złym duchom, żeby zostawiły ją w spokoju. „Powiedz im, że na ciebie jeszcze nie nadszedł czas! Gwa ha kita! Powiedz im to teraz!” nalegał dibia.

– Ugwu! – usłyszał wołanie pana.

Właśnie przybyli goście. Ugwu poszedł do salonu. Jego ręce pracowały jak automat, podawały orzechy kola i aframon, otwierały butelki, dosypywały lód, serwowały parujące miseczki z zupą paprykową. Następnie usiadł w kuchni i trzymając się za paznokcie u stóp, próbował wyobrazić sobie, co się dzieje w sypialni. Z salonu dochodził podniesiony głos pana:

– Nikt nie mówi, że palenie mienia rządowego to coś dobrego, ale żeby posyłać wojsko, które ma mordować w imię porządku? Tam przecież leżą ciała ludzi z plemienia Tiw zamordowanych zupełnie za nic. Za nic! Ten Balewa zupełnie postradał zmysły!

Ugwu nie miał pojęcia, kim jest lud Tiw, lecz kiedy usłyszał słowo „zamordowani”, przeszedł go ciarki.

– Na ciebie jeszcze nie nadszedł czas – szepnął. – Na ciebie nie nadszedł

czas.

– Ugwu? – W drzwiach kuchni stała Olanna.

Zeskoczył z taboretu.

– Mah? Mah?

– Nie martw się o mamę. Doktor Patel powiedział, że to infekcja i mama wyzdrowieje.

– Och! – Ugwu poczuł tak wielką ulgę, aż się wystraszył, że może unieść się w powietrze, jeśli tylko podniesie jedną nogę. – Dziękuję, mah!

– Włóż resztki zupy do lodówki.

– Tak, mah. – Ugwu odprowadził ją wzrokiem do salonu. Połyskujący na jej dopasowanej sukience haft powodował, że przez moment wyglądała jak kształny duch, który właśnie wynurzył się z morza.

Goście wybuchnęli śmiechem. Ugwu zajrzał do salonu. Mało kto siedział prosto, większość rozsiadła się swobodnie. Goście byli odprężeni wypitym alkoholem, rozleniwieni od pomysłów. Wieczór powoli dobiegał końca. Za chwilę konwersacja przejdzie na lżejsze tematy, na tenisa i muzykę, a potem wszyscy wstaną i będą głośno chichotać z rzeczy, które wcale nie są zabawne, na przykład z tego, że frontowe drzwi z trudem się otwierają, a nietoperze latają zbyt nisko. Oczekał, dopóki Olanna nie udała się do łazienki, a pan do gabinetu, i dopiero wówczas poszedł zobaczyć swoją matkę pogrążoną we śnie, skuloną na łóżku jak dziecko.

Następnego ranka powitało go jej jasne spojrzenie.

– Czuję się dobrze – powiedziała. – Doktor dał mi bardzo mocne lekarstwo. Ale ten zapach mnie zabije.

– Jaki zapach?

– W ich ustach. Czuję go dzisiaj rano, kiedy twoja pani i pan przyszli do mnie i kiedy poszłam się załatwić.

– Och, to pasta do zębów. Myjemy nią zęby. – Ugwu z dumą używał liczby mnogiej, żeby jego matka wiedziała, że on też używa tego specyfiku.

Najwyraźniej nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia. Pstryknęła palcami i wyciągnęła swoją pałeczkę do żucia.

– A co jest złego w używaniu naszego atu? O mało nie zwymiotowałam od tego zapachu. Gdyby przyszło mi dłużej tu zostać, z pewnością od tego zapachu nie utrzymałabym jedzenia w brzuchu.

Jednak chyba jej zaimponowało, kiedy Ugwu powiedział, że będzie mieszkał w służbówce. W końcu to był jakby własny dom, osobny, tylko dla niego. Poprosiła, żeby pokazał jej tę służbówkę, nie mogła się nadziwić, że jest

większa od jej chaty, a później uparła się, żeby pomóc mu w kuchni, bo czuje się już dostatecznie dobrze. Patrzył na nią, jak schylona zamiata podłogę, i przypominał sobie klapsy, jakie zbierała Anulika za to, że przy zamiataniu dostatecznie się nie pochylała. „Co ty, grzybów się najadłaś? Zamiataj jak kobieta!” wołała matka, a Anulika narzekała na zbyt krótką miotłę, mówiąc, że ludzie są skąpi i nie kupują dłuższych mioteł, a to już nie jest jej wina. Ugwu nagle poczuł żal, że nie ma tu Anuliki, a także maluchów i plotkarskich żon z jego umunna. Chciał, by znalazła się tu cała jego wioska, chciałby przyłączać się do tych prowadzonych przy świetle księżycy rozmów i kłótni, równocześnie mieszkając w domu pana, w którym była woda płynąca z kranu, lodówka i kuchenka.

– Jutro wracam do domu – odezwała się matka.

– Powinnaś zostać tu jeszcze kilka dni i odpocząć.

– Wracam jutro. Kiedy twoi państwo przyjdą do domu, podziękuję im i powiem, że już czuję się dostatecznie dobrze i mogę wracać do domu. Mam nadzieję, że ktoś im wynagrodzi to wszystko, co dla mnie zrobili.

Rankiem Ugwu odprowadził ją na koniec ulicy Odim. Nigdy jeszcze nie widział, żeby szła tak szybko, nawet kiedy na jej głowie balansował obwiązany tobołek, nigdy też nie widział jej twarzy tak wolnej od zmarszczek.

– Wszystkiego dobrego, synu – powiedziała i wcisnęła mu do ręki pałeczkę do żucia.

W dniu, w którym matka pana przyjechała ze swojej wioski, Ugwu gotował pieprzny ryż jollof. Wsypał ryż do sosu pomidorowego, pomieszał, posmakował, a potem przykrył garnek, zmniejszył ogień i ponownie wyszedł na dwór. Jomo oparł grabie o ścianę i usiadłszy na stopniach, zjadał mango.

– To co gotujesz, bardzo ładnie pachnie – odezwał się Jomo.

– To dla matki mojego pana, ryż jollof ze smażonym kurczakiem.

– Powinienem dać ci trochę mojego mięsa. Lepsze od kurczaka. – Jomo wskazał na torbę przywiązaną z tyłu roweru. Wcześniej pokazał Ugwu małe zwierzątko zawinięte w świeże liście.

– Nie mogę tu gotować mięsa z buszu! – śmiejąc się, powiedział po angielsku Ugwu.

Jomo odwrócił się i spojrzał na niego.

– Diany, mówisz po angielsku jak dzieci wykładowców.

Ugwu skinął głową szczęśliwy z usłyszanego komplementu, prawdziwie uszczęśliwiony, bo Jomo nigdy by się nie domyślił, jak te dzieci o gładkiej,

wypielegnowanej skórze, swobodnie mówiące po angielsku podśmiewają się z niego, kiedy tylko pani Oguike zada mu pytanie, jak natrzęsają się z tego, jak wymawia słowa, i z jego silnego akcentu rodem z buszu.

– Harrison powinien tu przyjść i posłuchać porządnego angielskiego od kogoś, kto się tym nie przechwala – powiedział Jomo. – Jemu się wydaje, że wszystkie rozumy pozjadał, bo mieszka z białym człowiekiem. Onye nzuzu! Głupiec jeden!

– Wielki głupiec! – potwierdził Ugwu. W zeszły weekend równie zdecydowanie zgadzał się z Harrisonem, który powiedział, że to Jomo jest głupi.

– Wczoraj ten durny kozioł zamknął zbiornik i nie chciał dać mi klucza – mówił Jomo. – Powiedział, że marnuję wodę. Czy to jego woda? A co ja powiem panu Richardowi, jeśli rośliny poumierają?

– Oj, niedobrze. – Ugwu pstryknął palcami, żeby pokazać, jak bardzo niedobrze.

Do ostatniej kłótni między obu mężczyznami doszło, kiedy Harrison schował kosiarkę do trawy i nie chciał powiedzieć Jomowi, gdzie ona jest, dopóki Jomo nie upierze obryzganej ptasimi odchodami świeżo wypranej koszuli pana Richarda. Bo przecież to te bezużyteczne, hodowane przez Joma kwiaty ściągają tu ptaki. Ugwu wspierał obu mężczyzn. Powiedział Jomowi, że Harrison źle się zachował, chowając kosiarkę, a później zgodził się z Harrisonem twierdzącym, że to Jomo przede wszystkim źle postąpił, sadząc w tym miejscu kwiaty, kiedy wiedział, że one z pewnością ściagną tu ptaki. Ugwu bardziej podobały się powaga i nieprawdziwe opowieści Joma, jednak Harrison, który uporczywie kaleczył angielski, w jakiś tajemniczy sposób posiadał wiedzę o sprawach osobliwych i nieznanym. Ugwu też pragnął poznać wiedzę o tego typu sprawach, więc utrzymywał znajomość z oboma mężczyznami; był jak gąbka – wchłaniał wiele i sam niewiele zwracał.

– Przyjdzie taki dzień, kiedy poważnie uszkodzę tego Harrisona, maka Chukwu – oświadczył Jomo. Odrzucił pestkę z mango, tak wyssaną z pomarańczowego miąższu, że aż białą. – Ktoś puka do głównych drzwi.

– Och. Przyjechała! To na pewno matka mojego pana. – Ugwu pognął do domu, ledwo słysząc pożegnalne słowa Joma.

Matka pana było równie mocno zbudowana jak jej syn, miała podobnie ciemną skórę i tryskała taką samą energią; można by pomyśleć, że ta kobieta nigdy nie potrzebuje pomocy w noszeniu dzbana z wodą ani przy zdejmowaniu z głowy sterty drewna na opał. Ugwu zdumiał widok młodej kobiety, która ze spuszczonego wzrokiem stała obok niej i trzymała torby. Spodziewał się, że

mama pana przybędzie sama. Miał też nadzieję, że przyjedzie trochę później, kiedy już ryż będzie gotowy.

– Witaj, mamó, nno – powiedział. Wziął torby od młodej kobiety.

– Witaj, ciociu, nno.

– Ty jesteś Ugwu? Jak się masz? – odezwała się matka pana, klepiąc go w ramię.

– Dobrze, mamó. Czy miałyście dobrą podróż?

– Tak. Chukwu du anyi. Bóg nas prowadził. – Wzrok miała wlepiony w radio. Zawiązana w pasie zielona szata zwisała sztywno z jej talii, nadając biodrom kanciasty kształt. Nie nosiła jej tak jak kobiety mieszkające w kampusie, które przyzwyczajone były do posiadania sznurów koralu i złotych kolczyków. Nosiła ją w taki sposób, jak – zdaniem Ugwu – nosiłaby ją jego matka, gdyby miała takie szaty, z jakąś niepewnością, jakby nie do końca przekonana, że już nie jest biedna.

– Jak się masz, Ugwu? – powtórzyła pytanie.

– Dobrze, mamó.

– Syn opowiadał mi, jak dobrze się spisujesz. – Sięgnęła ręką, żeby poprawić zielone nakrycie głowy, które zsunięte nisko na czoło, prawie zakrywało jej brwi.

– Tak, mamó. – Ugwu skromnie spuścił wzrok.

– Niech Bóg ci błogosławi, twoje przeznaczenie, twoje chi rozbije skały na twojej drodze. Słyszysz, co mówię? – Mówiła takim samym tonem jak pan, dźwięcznym i kategoriycznym.

– Tak, mamó.

– Kiedy wróci mój syn?

– Wrócą wieczorem. Powiedzieli, że mama po przyjeździe powinna odpocząć. A ja gotuję kurczaka z ryżem.

– Odpocząć? – Uśmiechnęła się i weszła do kuchni. Ugwu patrzył, jak wypakuje jedzenie z torby: suszoną rybę, bulwy kolokazji, przyprawy i gorzki liść. – Chyba przyjechałam ze wsi, prawda? – zapytała. – Tak wygląda mój odpoczynek. Przywiozłam produkty na porządną zupę dla mojego syna. Wiem, że się starasz, ale jesteś tylko chłopcem. A co chłopiec może wiedzieć o prawdziwym gotowaniu? – Uśmiechnąwszy się z wyższością, odwróciła się w stronę młodszej kobiety, która z założonymi rękami i ze spuszczonego wzrokiem stała przy drzwiach, jakby czekając na rozkazy. – Czyż nie jest tak, Amalo? Czy miejsce chłopaka jest w kuchni?

– Kpa, mamó, nie – odparła Amala. Miała piskliwy głos.

– Widzisz, Ugwu? Kuchnia to nie miejsce dla chłopca. – Głos matki pana zabrzmiał triumfująco. Już zdążyła ulokować się przy blacie i łamała suszoną rybę, wyciągając z niej cienkie jak igły ości.

– Tak, mamó. – Ugwu był zaskoczony, że nie poprosiła o szklanę wody albo najpierw nie poszła się przebrać. Usiadł na taborecie i czekał, co ta kobieta każe mu robić. Podświadomie czuł, że tego właśnie chciała. Rozglądała się po kuchni. Podejrzliwie zerknęła na kuchenkę, popukała w szybkar, palcami stukała w garnki.

– No, no! Mój syn wyrzuca pieniądze na takie drogie rzeczy – powiedziała. – Chyba widzisz to, Amalo?

– Tak, mamó – odrzekła Amala.

– To są rzeczy mojej pani, mamó. Wiele rzeczy przywiozła z Lagos – odezwał się Ugwu. Zaczynało go to denerwować: to, że jej zdaniem wszystko należało do pana, to, że zaczęła rządzić się w kuchni, to, że zignorowała jego doskonały ryż jollof z kurczakiem.

Matka pana nic nie odpowiedziała.

– Amalo, chodź tu i przygotuj kolokazje – poleciała.

– Tak, mamó. – Amala włożyła bulwy kolokazji do garnka i bezradnym wzrokiem patrzyła na kuchenkę.

– Ugwu, rozpal jej ogień. My jesteśmy ze wsi i znamy się tylko na drewnie na opał! – powiedziała matka pana, śmiejąc się przez chwilę.

Ani Ugwu, ani Amala nie roześmieli się. Ugwu włączył kuchenkę. Matka pana włożyła do ust kawałek ryby.

– Zagotuj mi trochę wody, Ugwu, a potem potnij te liście ugu na zupę.

– Tak, mamó.

– Czy w tym domu jest jakiś ostry nóż?

– Tak, mamó.

– W takim razie weź go i dobrze posiekaj ugu.

– Tak, mamó.

Ugwu wziął deseczkę i zabrał się za krojenie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że kobieta go obserwuje. Kiedy zaczął kroić włókniste liście dyni, krzyknęła:

– Och! To tak kroisz ugu? Alu melu! Mają być mniejsze! Jeśli tak masz to robić, równie dobrze możemy do zupy włożyć całe liście.

– Tak, mamó. – Ugwu zaczął kroić liście w paski tak cienkie, że w zupie z pewnością się połamią.

– Teraz lepiej – powiedziała. – Sam widzisz, że kuchnia to nie miejsce dla

chłopców. Nawet ugu nie potrafisz porządnie pokroić.

Ugwu miał ochotę powiedzieć: „Oczywiście, że dobrze kroję ugu, a i wiele rzeczy w kuchni robię lepiej niż pani”, jednak odpowiedział tylko:

– Moja pani i ja nie kroimy warzyw, myje targamy w rękach, ponieważ wtedy mają więcej substancji odżywczych.

– Twoja pani?... – Matka pana urwała. Chyba zamierzała coś dodać, ale się powstrzymała. W powietrzu wisiała gęsta para z gotujących się garnków. – Pokaż Amali, gdzie jest moździerz, żeby utłukła bulwy kolokazji – rzekła w końcu.

– Tak, mam. – Ugwu wytoczył drewniany moździerz spod stołu i właśnie go mył, kiedy do domu weszła Olanna. Stała w drzwiach kuchni z twarzą jasną od promiennego uśmiechu, w elegancko dopasowanej sukience.

– Mama! – odezwała się. – Witaj, nno. Ja jestem Olanna. Czy podróż była dobra? – Wyciągnęła ręce, chcąc objąć matkę jego pana. Otoczyła ramionami starszą kobietę, która jednak trzymała ręce przy sobie i nie odwzajemniła uścisku Olanny.

– Tak, miałyśmy dobrą podróż – odparła.

– Dzień dobry – odezwała się Amala.

– Witaj. – Olanna krótko uściśnięła Amalę i odwróciła się w stronę matki pana. – Czy to krewna z rodzinnych stron Odenigba?

– Amala pomaga mi w domu – odrzekła matka pana. Odwróciwszy się tyłem do Olanny, zajęła się mieszaniem zupy.

– Mam, proszę, usiądźmy. Bia nodu ana. Nie powinnaś zawracać sobie teraz głowy kuchnią. Powinnaś odpocząć. Niech Ugwu tym się zajmie.

– Chcę ugotować mojemu synowi porządną zupę.

Dopiero po krótkiej przerwie Olanna odparła:

– Oczywiście, mam. – Zaczęła mówić dialektem ibo, który Ugwu słyszał w ustach pana, kiedy odwiedzali ich jego kuzyni. Kręciła się po kuchni, jakby chciała zrobić coś, co może sprawić przyjemność matce pana, lecz nie za bardzo wiedziała, czym się zająć. Otworzyła słoik z ryżem i zaraz go zamknęła. – Przynajmniej pozwól, mam, że ci pomogę. Tylko pójdę się przebrać.

– Podobno nie ssałaś matczynej piersi – odezwała się matka pana.

Olanna stanęła, jakby ją zamurowało.

– Co?

– Powiadają, że nie ssałaś matczynej piersi. – Matka pana odwróciła się i spojrzała na Olanę. – A teraz możesz wrócić i powiedzieć tym, którzy cię tu przysłali, że nie znalazłaś mojego syna. Powiedz swoim koleżankom cza-

rownicom, że go nie widziałaś.

Olanna patrzyła na nią jak urzeczona. Głos matki pana stawał się coraz głośniejszy, jakby uporczywe milczenie Olanny doprowadzało ją do krzyku.

– Słyszałaś, co mówię? Powiedz im, że na mojego syna nie podziałają żadne czary. On nie ożeni się z kobietą upośledzoną, chyba że najpierw mnie zabijecie. Tak, dopiero po moim trupie! – Matka pana klasnęła, głośno huknęła z pogardą i z takim impetem uderzyła dłonią w usta, aż echo się rozeszło.

– Mamo... – odezwała się Olanna.

– Nie mów do mnie mamó – odparła matka pana. – Powiedziałam, nie mów do mnie mamó. Zostaw mojego syna w spokoju. Powiedz swoim koleżankom czarownicom, że go nie znalazłaś! – Otworzywszy drzwi prowadzące na tyły domu, wyszła na dwór i zaczęła krzyczeć: – Ludzie! W domu mojego syna jest czarownica! Ludzie!... – Jej głos był ostry i nieprzyjemny.

Ugwu chciał ją zakneblować, wcisnąć jej w usta te pokrojone warzywa. Zupa w garnku wygotowywała się.

– Mah? Zostanie pani w pokoju? – zapytał, podchodząc do Olanny.

Olannie chyba w końcu udało się odzyskać panowanie nad sobą. Wsunęła warkoczyk za ucho, zabrała swoją torbę ze stołu i ruszyła w stronę frontowych drzwi.

– Powiedz swojemu panu, że pojechałam do mojego mieszkania – powiedziała.

Ugwu poszedł za nią i patrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Nie pomachała na pożegnanie. Podwórze pogrążone było w zupełnym bezruchu, między białymi kwiatami nie przemykał ani jeden motyl. Powróciwszy do kuchni, Ugwu ze zdumieniem usłyszał śpiewaną przez matkę pana jakąś łagodną melodyjną pieśń kościelną: Nya nya oya mu ga-ana. Na m mętu onu uwe ya aka...

Urwała pieśń i odchrząknęła.

– Gdzie poszła ta kobieta?

– Nie wiem, mamó – odparł Ugwu. Podszedł do zlewu i zaczął wkładać czyste talerze do szafki. Irytował go wypełniający kuchnię zbyt mocny zapach jej zupy. Postanowił, że natychmiast po jej wyjeździe wypierze wszystkie zasłony, bo ten zapach z pewnością w nie wsiąknie.

– Właśnie dlatego przyjechałam. Słyszałam, że ona sprawuje kontrolę nad moim synem – powiedziała, mieszając zupę. – Nic dziwnego, że mój syn jeszcze się nie ożenił, kiedy jego koledzy liczą już posiadane dzieci. Ona użyła swoich czarów, żeby go usidlić. Podobno jej ojciec pochodzi z rodziny gnu-

śnych żebraków z Umannachi i dopiero kiedy został poborcą podatkowym, zaczął kraść pieniądze biednym ciężko pracującym ludziom. A teraz robi interesy w całym kraju, chodzi sobie po Lagos i spełnia zachcianki wielkiej figury. A jej matka wcale nie lepsza. Co to za kobieta, która wynajmuje jakąś obcą, żeby karmiła piersią jej dzieci, skoro sama żyje i ma się zupełnie dobrze? Czy to jest normalne, gbo, Amalo?

– Nie, mamó. – Amala stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby śledziła znajdujące się na niej wzory.

– Podobno gdy dorastała, zawsze wokół niej byli służący, żeby mogli powycierać jej ike, jak zrobiła kupę. I jakby tego było mało, ci rodzice posłali ją na uniwersytet. I po co? Za dużo nauki szkodzi kobietom, wszyscy o tym wiedzą. Kobiecie przewraca się od tego w głowie i zaczyna obrażać męża. Co z takiej może być za żona? – Uniosła skrawek sukni, żeby otrzeć pot z czoła. – Te dziewczyny z uniwersytetu wszędzie tylko włóczą się za mężczyznami, aż ich ciała stają się zupełnie bezużyteczne. Przecież nikt nawet nie wie, czy ona może mieć dzieci. Czy ty to wiesz? Czy ktokolwiek może to wiedzieć?

– Nie, mamó – odparła Amala.

– Ugwu, czy ktoś to może wiedzieć?

Ugwu odłożył talerz z głośnym brzękiem, udając, że jej nie usłyszał. Matka pana podeszła do niego i klepnęła go w ramię.

– Nie martw się, mój syn znajdzie sobie jakąś porządną kobietę i nie odeśle cię, kiedy się ożeni.

Ugwu pomyślał, że jeśli nie będzie spierał się z tą kobietą, to może szybciej się zmęczy i w końcu przestanie się odzywać.

– Tak, mamó – powiedział.

– Wiem, jak ciężko mój syn pracował, żeby osiągnąć to, co ma. I nie może tego wszystkiego zmarnować na jakąś rozwiązłą kobietę.

– Nie, mamó.

– Dla mnie nie ma znaczenia, skąd pochodzi kobieta, którą poślubi mój syn. Nie należę do tych matek, które koniecznie chcą znaleźć swoim synom żonę z własnej wioski. Ale oczywiście nie chcę kobiety z ludu Wawa ani tych kobiet Imo albo Aro, one mówią tak dziwnym dialektem, że dziwi mnie, jak ktoś mógł powiedzieć, że wszyscy jesteśmy łąbami.

– Tak, mamó.

– Nie pozwolę tej czarownicy zapanować nad nim. To się jej nie uda.

Po powrocie do domu porozmawiam z dibią Nwaforem Agbadą, słyńcie w naszych stronach ze swoich leków.

Ugwu znieruchomiał. Słyszał wiele opowieści o ludziach korzystających z leków otrzymanych od dibii – o bezdzietnej pierwszej żonie, która rzuciła urok na łono drugiej żony, o kobiecie, która doprowadziła do szaleństwa zamożnego syna sąsiadów, o mężczyźnie, który zabił brata w wyniku sporu o ziemię... Może matka pana spęta łono Olanny albo ją okaleczy, albo, co było najbardziej przerażające, zabije ją?

– Muszę wyjść, mamu. Pan kazał mi iść do kiosku – rzekł Ugwu i pośpiesznie wyszedł przez tylne drzwi, zanim zdążyła zaprotestować. Musi wszystko opowiedzieć panu. W jego biurze był tylko raz, kiedy jechał z Olaną samochodem i ona zatrzymała się tam, żeby coś odebrać, nie miał jednak wątpliwości, że odnajdzie to miejsce. Znajdowało się w pobliżu zoo, a niedawno jego klasa była w zoo, szli wówczas gęsiego za panią Oguike i Ugwu zamykał pochód, bo był najwyższy.

Na rogu ulicy Mbanefo dostrzegł samochód pana zmierzający w jego stronę. Auto się zatrzymało.

– To chyba nie jest droga na targ, mój dobry człowieku? – zapytał go pan.

– Nie, sah. Szedłem do pańskiego biura.

– Czy moja matka przyjechała?

– Tak, sah. Ale, sah, coś się wydarzyło.

– Co takiego?

Ugwu opowiedział panu o wydarzeniach tego popołudnia, pokrótce relacjonując słowa obu kobiet i kończąc tym, co było najbardziej przerażające ze wszystkiego:

– Mama powiedziała, że pójdzie do dibii, sah.

– Co za bzdury – odrzekł pan. – Ngwa, wsiadaj do samochodu. Przecież możesz jechać ze mną z powrotem do domu.

Ugwu był wstrząśnięty tym, że pan nie jest wstrząśnięty, najwyraźniej nie rozumiał powagi sytuacji, więc dodał:

– Sah, było bardzo źle. Bardzo źle. Mama niemal dała pani w twarz.

– Co? Dała w twarz Olannie? – zapytał pan.

– Nie, sah... – Ugwu urwał, może za bardzo się zagalopował. – Ale wyglądało, jakby chciała uderzyć panią.

Twarz pana rozluźniła się.

– Tak czy owak, ta kobieta nigdy nie grzeszyła rozsądkiem – powiedział po angielsku, kręcąc głową. – Wsiadaj, jedziemy.

Ugwu jednak nie chciał wsiąść do samochodu. Chciał, żeby pan zawrócił i od razu pojechał do mieszkania Olanny. Jego dotychczasowe życie było upo-

rządkowane, bezpieczne, więc teraz koniecznie trzeba było powstrzymać matkę pana, żeby tego wszystkiego nie popsła; a pan przede wszystkim powinien pojechać do Olanny i udobruchać ją.

– Wsiadaj do samochodu – powtórzył pan, sięgając przez przednie siedzenie i sprawdzając, czy drzwi na pewno są otwarte.

– Ale, sah... Myślałem, że pojedzie pan zobaczyć się z moją panią.

– Wsiadaj, ignorancie.

Ugwu otworzył drzwi i wsiadł do samochodu, a pan pojechał z powrotem na ulicę Odim.

Olanna najpierw popatrzyła przez szybę na Odenigba i dopiero po chwili otworzyła drzwi. Przymknęła oczy, kiedy wchodził do mieszkania, jakby w ten sposób chciała odmówić sobie przyjemności, jaką zawsze niósł ze sobą zapach jego old spice'a. Odenigbo miał na sobie strój do tenisa z tymi białymi krótkimi spodenkami, z których często się naśmiewała, mówiąc, że są zbyt opięte na pośladkach.

– Przyszedłbym wcześniej, ale musiałem porozmawiać z matką – powiedział. Przycisnąwszy wargi do jej ust, wskazał na starą boubou, tunikę, w którą Olanna była ubrana. – Nie wybierasz się do klubu?

– Właśnie gotowałem.

– Ugwu powiedział mi, co się stało. Przepraszam za zachowanie mojej matki.

– Po prostu musiałam wyjść z... twojego domu. – Olannie załamał się głos. Chciała powiedzieć „naszego domu”.

– Wcale nie musiałaś, nkem. Nie powinnaś się nią przejmować. – Położył na stole egzemplarz czasopisma „Drum” i zaczął krążyć po pokoju. – Postanowiłem porozmawiać z doktorem Okoro o strajku pracowników. To niedopuszczalne, żeby Balewa i jego kolesie tak zupełnie odrzucali ich żądania. Po prostu niedopuszczalne. Musimy okazać nasze poparcie. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby znaleźć się na bocznym torze.

– Twoja matka zrobiła mi scenę.

– Jesteś zdenerwowana. – Odenigbo wyglądał na zdziwionego. Usiadł w fotelu i dopiero teraz zauważyła, jak wiele wolnej przestrzeni jest między jej meblami, jak skąpo umeblowane jest to mieszkanie, jak bardzo ogołoczone z życia. Jej rzeczy znajdowały się w jego domu, jej ulubione książki stały na półkach w jego gabinecie. – Nkem, nie wiedziałem, że tak poważnie to potraktujesz. Chyba sama widzisz, że moja matka nie wie, co robi. To prosta kobieta ze wsi. Stara się znaleźć sobie miejsce w nowym świecie, korzystając z umiejętności, które bardziej pasują do dawnych czasów. – Odenigbo wstał i zbliżył się do niej, chcąc wziąć ją w ramiona, ale Olanna odwróciła się i po-

szła do kuchni.

– Nigdy nic nie mówisz o swojej matce – powiedziała. – Nigdy nie zaproponowałeś mi, żebym z tobą pojechała do Abby i odwiedziła ją.

– Och, daj spokój, nkem. W końcu nie jeżdżę do niej tak często, a nawet ostatnio pytałem cię, tylko że ty wyjeżdżałaś akurat do Lagos.

Podeszła do kuchenki i zaczęła wycierać ciepłą powierzchnię, wymachiwała gąbką w jedną i drugą stronę, stojąc tyłem do Odenigba. Miała wrażenie, że w pewnym stopniu zawiodła i jego, i siebie, dopuszczając do tego, aby zachowanie jego matki wyprowadziło ją z równowagi. Ona powinna być ponad to, miała to zlekceważyć i potraktować jak pomstowanie wiejskiej baby, powinna przestać rozmyślać o tych wszystkich ripostach, jakich mogła wówczas udzielić, zamiast stać jak oniemiała w kuchni. Ale była zła, a mina Odenigba jeszcze pogłębiała tę złość, wyglądał bowiem na zdziwionego, że nie jest aż tak wspaniałomyślna, jak mu się wydawało. Czuła się przy nim zawstydzona, absurdalnie rozdrażniona i co gorsza, podejrzewała, że to on ma rację. Zawsze podejrzewała, że to on ma rację. Przez krótką chwilę ogarnął ją jakiś irracjonalny żal, że nie potrafi od niego odejść. A potem, już bardziej racjonalnie, żałowała, że nie potrafi go po prostu tylko kochać, nie odczuwając tak wielkiej potrzeby jego obecności. On nie musiał się starać, czerpał siłę z tego, że ona go potrzebuje, a ta potrzeba jej odbierała zdolność do podejmowania decyzji w jego towarzystwie.

– Co ugotowałaś? – zapytał Odenigbo.

– Ryż. – Wypłukała gąbkę i odłożyła ją na bok. – Nie idziesz na tenisa?

– Myślałem, że ty też się wybierzesz.

– Chyba nie jestem w nastroju. – Olanna odwróciła się. – Dlaczego uważasz, że skoro twoja matka pochodzi ze wsi, ja mam akceptować jej zachowanie? Znam kobiety pochodzące ze wsi, które tak się nie zachowują.

– Nkem, całe życie mojej matki to Abba. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaka to mała wioska? Nic dziwnego, że ona czuje się zagrożona przez wykształconą kobietę mieszkającą z jej synem. To jasne, że ty musisz być czarownicą. Ona tylko w taki sposób rozumuje. Prawdziwą tragedią naszego postkolonialnego świata nie jest to, że większość ludzi nie miała nic do gadania na temat tego, czy chcą czy nie chcą nowego świata, ale raczej to, że większość nie otrzymała narzędzi do zmierzenia się z tym nowym światem.

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– Nie było sensu. Posłuchaj, chcę złapać doktora Okoro w klubie. Porozmawiajmy o tym po moim powrocie. Zostanę tu dzisiaj na noc.

Milczała przez chwilę, zajęta myciem rąk. Czekwała, że poprosi ją, aby wraz z nim wróciła do domu, chciała, by powiedział, że zbeszta matkę, zrobi to przy niej i dla niej. Tymczasem postanowił, że zostanie w jej mieszkaniu jak przestraszony chłopczyk, który chowa się przed matką.

– Nie – odparła.

– Co?

– Powiedziałam, nie. – Poszła do salonu, nawet nie wycierając rąk. To jej mieszkanie zdawało się zbyt małe.

– Olanno, co się z tobą dzieje?

Pokręciła głową. Nie da wmówić sobie, że to z nią coś jest nie w porządku. Miała prawo być zdenerwowana, miała prawo nie lekceważyć swojego upokorzenia w imię przesadnie egzaltowanego intelektualizmu i nie zamierzała rezygnować z tego prawa.

– Idź. – Pokazała mu drzwi. – Idź grać w swojego tenisa i więcej tu nie wracaj.

Patrzyła, jak Odenigbo wstaje i wychodzi. Zamknął z trzaskiem za sobą drzwi. Nigdy wcześniej się nie kłócili; nigdy nie denerwował się, kiedy wyrażała odmienne zdanie, chociaż w odniesieniu do innych tak reagował. Ale może tylko jej ustępował, natomiast tak naprawdę jej zdanie niewiele go interesowało. Miała mętlik w głowie. Usiadła przy pustym stole – nawet podkładki wyniosła do jego domu – i zjadła ryż. Był zupełnie pozbawiony smaku, trudno nawet było porównywać go z ryżem przygotowywanym przez Ugwu. Włączyła radio. Miała wrażenie, że coś szeleści na suficie. Podniosła się z zamiarem odwiedzenia sąsiadki, Edny Whaler, już od dawna chciała bliżej poznać tę piękną czarnoskórą Amerykankę, która czasami przynosiła jej przykryte chusteczką talerze amerykańskich ciasteczek. Jednakże stojąc już w drzwiach, zmieniła zdanie i nie wyszła. Zostawiwszy w kuchni na wpół zjedzony ryż, zaczęła krążyć po mieszkaniu, brała do ręki stare gazety i odkładała je. W końcu podeszła do telefonu i poczekała na zgłoszenie się telefonistki.

– Proszę szybko podać mi numer, mam jeszcze inne rzeczy do załatwienia – odezwał się ospały nosowy głos.

Olanna zdążyła się już przyzwyczaić do niefachowości i braku kompetencji telefonistów, lecz z taką bezczelnością jeszcze się nie spotkała.

– Haba, rozłączę tę linię, jeśli dalej będzie pani marnować mój czas – powiedziała telefonistka.

Olanna westchnęła i powoli wyrecytowała numer Kainene.

Kainene podniosła słuchawkę i odezwała się sennym głosem.

– Olanna? Czy coś się stało?

Olanna poczuła ogarniającą ją falę melancholii; jej siostra bliźniaczka uważała, że coś musiało się zdarzyć, skoro do niej dzwoni.

– Nic się nie stało. Chciałam ci tylko powiedzieć kedu i dowiedzieć się, jak się masz.

– Niesamowite. – Kainene ziewnęła. – Co słychać w Nsucce? Co tam u twojego rewolucyjnego kochanka?

– Odenigbo ma się dobrze. I Nsukka też.

– Richard sprawia wrażenie zachwyconego. Nawet ten twój rewolucjonista chyba zrobił na nim wrażenie.

– Sama powinnaś przyjechać z wizytą.

– Wolimy z Richardem spotykać się tu, w Port Harcourt. Ta mała klitka, która ma służyć mi za dom, niezbyt się do tego nadaje.

Olanna chciała powiedzieć Kainene, że chodziło o wizytę u niej, u niej i Odenigba. Ale oczywiście Kainene doskonale zrozumiała, co jej siostra miała na myśli, po prostu postanowiła celowo zleją zrozumieć.

– W przyszłym miesiącu lecę do Londynu – powiedziała, zmieniając temat. – Może razem byśmy się wybrały?

– Mam tu za dużo roboty. Jeszcze nie mam czasu na urlop.

– Kainene, dlaczego my już ze sobą nie rozmawiamy?

– Cóż to za pytanie? – W głosie Kainene słychać było rozbawienie i Olanna wyobraziła sobie, jak drwiący uśmiezek unosi jeden z kącików jej ust.

– Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego już ze sobą nie rozmawiamy – powtórzyła Olanna. Kainene nie odpowiedziała. Na linii pojawiły się jakieś zakłócenia. Milczenie trwało bardzo długo, aż Olanna doszła do wniosku, że powinna przeprosić siostrę. – Nie będę ci przeszkadzać – powiedziała.

– Wybierasz się w przyszłym tygodniu na przyjęcie do tatusia? – zapytała Kainene.

– Nie.

– Mogłam się domyślić. Nazbyt wystawne jak dla ciebie i twojego wstrzeźliwego rewolucjonisty, prawda?

– Nie będę ci przeszkadzać – powtórzyła Olanna i odłożyła słuchawkę. Po chwili ponownie chwyciła za telefon i już miała podać telefonistce numer swojej matki, jednak odłożyła słuchawkę. Żałowała, że nie ma obok niej kogoś, kto mógłby stanowić dla niej wsparcie, ale już po chwili zaczęła żałować, że nie jest zupełnie inną osobą, taką, która nie potrzebuje się na nikim wspierać, jak Kainene. Szarpnęła za kabel telefonu, żeby go rozplątać. Rodzi-

ce koniecznie chcieli zainstalować telefon w jej mieszkaniu, jakby nie docierało do nich, że praktycznie przez cały czas będzie mieszkać z Odenigbem. Protestowała, lecz niezbyt mocno, wyrażając swój sprzeciw równie słabo jak wówczas, gdy przyjmowała częste wpłaty na swoje konto bankowe i nowego chevroleta impalę z miękką tapicerką.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że Mohammed jest za granicą, podała telefonistce jego numer w Kano, a nosowy głos powiedział: „Za dużo pani dzisiaj dzwoni!”, zanim uzyskała połączenie. Mimo że nikt nie odbierał, długo jeszcze trzymała słuchawkę w dłoni. Z sufitu ponownie dobiegły ją jakieś szelesty. Usiadła na zimnej podłodze i oparła głowę o ścianę, mając nadzieję, że dzięki temu choć trochę przestanie jej się w niej plątać, a myśli już mniej swobodnie będą dryfować. Wizyta matki Odenigba zrobiła wyrwę w otaczającym ją bezpiecznym miękkim kokonie, wzbudziła w niej przerażenie i coś wydarła z niej samej. Wydawało się jej, że znajduje się nie na swoim miejscu, gdzieś z boku. Miała wrażenie, że zbyt długo pozostawiła swoje perły leżące bez opieki i nadszedł już czas, aby je pozbierać i lepiej ich pilnować. Powoli docierała do niej myśl: „Chcę mieć dziecko Odenigba”. W zasadzie nigdy nie rozmawiali o dzieciach. Pewnego razu powiedziała mu, że ona nie odczuwa tego legendarnego kobiecego pragnienia, żeby urodzić dziecko, a jej matka nazywała ją nawet „nienormalną”, dopóki Kainene nie przyznała, że ona też niczego takiego nie czuje. Roześmiał się i stwierdził, że w końcu wydawanie dziecka na ten niesprawiedliwy świat jest czynem godnym zblazowanej burżuazji. Nigdy nie zapomniała tego sformułowania – urodzenie dziecka jest czynem godnym zblazowanej burżuazji – jakież to zabawne i jakie dalekie od prawdy. I nigdy też poważnie nie myślała o urodzeniu dziecka aż do dzisiejszego dnia; to pragnienie w dolnej części brzucha było nieoczekiwane, palące i zupełnie nieznanne. Pragnęła poczuć ten konkretny ciężar dziecka, jego dziecka w swoim ciele.

Tego wieczoru dzwonek u drzwi odezwał się, kiedy wychodziła z kąpieli, podeszła więc do wejścia owinięta w ręcznik. Odenigbo trzymał w ręce zawinięte w gazetę opakowanie suya; z daleka czuła wędzoną pikantność.

– Wciąż jesteś zła? – zapytał.

– Tak.

– Ubierz się i razem wrócimy do domu. Porozmawiam z matką.

Czuć było od niego brandy. Wszedł do mieszkania i położył suya na stole, a w jego nabiegłych krwią oczach pojawiła się bezbronność zawsze tak doskonale skrywana za elokwentną pewnością siebie. W końcu miał czego się bać. Wsparła twarz o jego szyję, kiedy ją objął, i cicho powiedziała:

– Nie, nie musisz tego robić. Zostań tu.

Po wyjeździe jego matki Olanna wróciła do domu Odenigba. Ugwu powiedział:

– Przepraszam, mah. – Jakby w jakimś stopniu mógł być odpowiedzialny za zachowanie mamy. Następnie, mnąc w palcach kieszeń fartucha, dodał: – Wczoraj wieczorem, po wyjeździe mamy i Amali, widziałem czarnego kota.

– Czarnego kota?

– Tak, mah. Obok garażu. – Urwał. – A czarny kot oznacza coś złego.

– Rozumiem.

– Mama powiedziała, że pójdzie w wiosce do dibii.

– I myślisz, że to dibia przysłał czarnego kota, żeby nas pogryzł?

– Olanna śmiała się.

– Nie, mah. – Ugwu ze smutkiem skrzyżował ramiona. – Ale coś takiego wydarzyło się w mojej wiosce, mah. Młodsza żona poszła do dibii i dostała lek, który miał zabić starszą żonę, a w noc przed śmiercią tej starszej żony przed jej chatą przyszedł czarny kot.

– Czyli mama użyje leku od dibii i mnie zabije? – zapytała Olanna.

– Ona chce was rozdzielić, panią i pana, mah.

Wzruszyła ją ta jego powaga.

– Ugwu, jestem przekonana, że to był kot sąsiadów – powiedziała.

– Matka twojego pana nie może użyć żadnych leków ani czarów, żeby was rozdzielić. Nic nas nie rozdzieli.

Patrzyła za nim, kiedy wracał do kuchni, i zastanawiała się nad własnymi słowami. Nic nas nie rozdzieli. Otrzymane od dibii leki matki Odenigba – a nawet wszelkie nadnaturalne fetysze – nie miały dla niej oczywiście najmniejszego znaczenia, jednak ponownie zaczęła się martwić o swoją przyszłość z Odenigbem. Chciała mieć pewność. Potrzebowała jakiegoś znaku, tęczy, czegoś, co oznaczałoby bezpieczeństwo. Ale poczuła ulgę, mogąc ponownie zanurzyć się w swoim życiu, w ich życiu, z wykładami, grą w tenisa i znajomymi wypełniającymi salon. Goście przychodzili późnym wieczorem, więc zdziwiła się, kiedy tydzień później po południu, gdy Odenigbo jeszcze był na wykładzie, usłyszała dzwonek u drzwi. Przyszedł Richard.

– Dzień dobry – przywitała go, wpuszczając do domu. Był bardzo wysoki, musiała odchyłać głowę, żeby spojrzeć mu w twarz i zobaczyć te jego oczy w niebieskim kolorze spokojnego morza i włosy opadające na czoło.

– Chciałem tylko zostawić to dla Odenigba – powiedział, wręczając Olan-

nie książkę. Uwielbiała, jak wymawiał imię Odenigba, tak gorliwie je akcentując. Wyraźnie unikał jej wzroku.

– Nie usiądziesz? – zapytała.

– Niestety, trochę się spieszę. Muszę zdążyć na pociąg.

– Jedziesz do Port Harcourt spotkać się z Kainene? – Olanna sama nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie. Wszak było to oczywiste.

– Tak, co tydzień do niej jeżdżę.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Oczywiście.

– Rozmawiałam z nią w zeszłym tygodniu.

– Tak. Wspominała mi o tym. – Richard nadal stał w miejscu. Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok, a ona dostrzegła rumieniec występujący na jego twarzy. Zbyt wiele razy widziała takie zachowanie, aby nie zrozumieć, że uważają za piękną.

– Jak idzie praca nad książką? – zapytała.

– Zupełnie nieźle. To naprawdę niewiarygodne, jak zręcznie wykonane są niektóre z tych ozdób, a do tego wyraźnie widać, że miały pełnić rolę sztuki, to z pewnością nie był przypadek... Ale chyba cię zanudzam.

– Nie, wcale nie. – Olanna uśmiechnęła się. Ta jego nieśmiałość podobała się jej. Nie chciała, żeby już odchodził. – Może Ugwu przyniósłby nam ciasteczka chin-chin? Są fantastyczne, przygotował je dziś rano.

– Nie, dziękuję. Powinienem już być w drodze. – Wciąż jednak nie odwracał się do wyjścia. Odsunął z twarzy włosy, które zaraz opadły z powrotem.

– Jak chcesz... No to szczęśliwej podróży.

– Dziękuję. – Nadal nie ruszał się z miejsca.

– Jedziesz samochodem? Ach, zapomniałam, nie. Pojedziesz pociągiem. – Roześmiała się jakoś niezręcznie.

– Tak, jadę pociągiem.

– Szczęśliwej podróży.

– Tak. To na razie.

Olanna patrzyła za odchodzącym Richardem, a kiedy jego samochód tyłem wyjechał z posiadłości, długo jeszcze stała w drzwiach, przypatrując się ptakowi z krwistoczerwoną piersią, który przysiadł na trawniku.

Rankiem Odenigbo obudził ją, łapiąc jej palec ustami. Otworzyła oczy i dostrzegła sączące się przez zasłony przydymione światło poranka.

– Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, nkiem, to może byśmy pomyśleli o dziec-

ku – powiedział.

Jej palec stłumił nieco jego głos, zabrała więc rękę i usiadłszy, spojrzała na niego, na jego szeroką klatkę piersiową, zapuchnięte od snu oczy, chcąc się upewnić, że się nie przesłyszała.

– Może byśmy pomyśleli o dziecku – powtórzył. – Będziemy mieć małą dziewczynkę, dokładnie taką jak ty, i nazwiemy ją Obianuju, bo będzie stanowić dopełnienie nas.

Wcześniej Olanna zamierzała trochę odczekać, aż nieco ulotni się zapach wizyty jego matki, i dopiero wtedy powiedzieć mu, że chciałyby urodzić dziecko, a tu on sam wyraził jej pragnienie, zanim zdążyła je wypowiedzieć. Spojrzała na niego zdumiona. Ale to właśnie jest miłość: ciąg zbiegów okoliczności, które z czasem nabierają znaczenia i stają się cudami.

– Albo chłopczyka – odparła w końcu.

Odenigbo przyciągnął ją do siebie i tak leżeli jedno przy drugim, nie dotykając się. Do jej uszu dochodziło chropawe krakanie kosów jedzących w ogrodzie owoce asyminy.

– Poprośmy Ugwu, żeby nam przyniósł śniadanie do łóżka – powiedział. – A może dzisiaj jest twoja niedziela pobożności? – Obdarzył ją tym swoim lekko pobłażliwym uśmiechem, a ona wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego dolnej wardze, pod którą wyczuła delikatny meszek. Lubił droczyć się z nią, mówiąc, że religia to nie praca w opiece społecznej, ponieważ Olanna do kościoła wybierała się tylko na spotkania Stowarzyszenia Świętego Wincentego a Paulo, kiedy zabierała ze sobą Ugwu i jeździła samochodem po drogach gruntowych do pobliskich wiosek, żeby tam rozdawać jams, ryż i używane ubrania.

– Dzisiaj nigdzie nie idę – powiedziała.

– To dobrze. Bo mamy coś do załatwienia.

Zamknęła oczy, ponieważ właśnie położył się na niej i zaczął się poruszać, początkowo leniwie, a później energicznie, równocześnie szepcząc: – Będziemy mieć wspaniałe dziecko, nkiem, wspaniałe dziecko – a ona odpowiedziała: – Tak, tak. – Później z radością myślała o tym, że pot na jej ciele częściowo jest jego potem, a pot pokrywający jego ciało jest w części jej potem. Ilekroć się z niej wysuwał, mocno ścisnęła razem nogi, krzyżowała je na wysokości kostek i głęboko oddychała, jakby ruchy jej płuc mogły zainicjować poczęcie. Wiedziała jednak, że nie poczęli dziecka. Nagła myśl, że z jej ciałem może być coś nie w porządku, spłynęła na nią i podziałała jak kubek zimnej wody.

6

Richard niespiesznie jadł zupę paprykową. Kiedy już wybrał łyżką wszystkie flaczki, uniósł szklaną miseczkę do ust i wypił resztki bulionu. Z nosa mu ciekło, na języku czuł rozkoszne palenie i zdawał sobie sprawę, że twarz mu poczerwieniała.

– Richardowi ta potrawa wchodzi aż miło – powiedział Okeoma, który siedział obok i obserwował go.

– Ha! Nie wiedziałem, że nasza papryka została stworzona pod twój gust, Richardzie! – odezwał się Odenigbo z drugiego końca stołu.

– Nawet ja nie potrafię jeść tej papryki – odezwał się inny gość, ghański wykładowca ekonomii, którego imienia Richard zawsze zapominał.

– To dowód na to, że Richard w swoim poprzednim życiu był Afrykaninem – powiedziała panna Adebayo i wytarła nos w serwetkę.

Goście roześmieli się. Również Richard się roześmiał, jednak niezbyt głośno, wciąż bowiem miał za dużo papryki w ustach. Rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Fantastyczne – oświadczył. – Oczyszcza człowieka.

– Te kotleciki w formie paluszków też są wyśmienite, Richardzie – odezwała się Olanna. – Dziękujemy, że je przyniosłeś. – Siedziała obok Odenigba i musiała nachylić się do przodu, żeby się do niego uśmiechnąć.

– To jakiś rodzaj krokietów z mięsem, ale co to jest dokładnie? – Odenigbo dziobał w przyniesioną przez Richarda tacę; Harrison wszystko elegancko pozawijał w folię aluminiową.

– Faszzerowane bakłazany, prawda? – Olanna zerknęła na Richarda.

– Tak. Harrison ma przeróżne pomysły. Usunął środek i wypełnił je serem i przyprawami, tak mi się przynajmniej wydaje.

– Wiedziałeś, że Europejczycy usunęli wnętrzności afrykańskiej kobiety, a potem ją wypchali i pokazywali w całej Europie? – zapytał Odenigbo.

– Odenigbo, teraz jemy! – zaprotestowała panna Adebayo, chociaż widać było, że tłumy śmiech.

Pozostali goście roześmieli się. Jeden Odenigbo pozostał poważny.

– Tu chodzi o tę samą zasadę – powiedział. – Faszujemy jedzenie i faszujemy ludzi. Jeśli nie lubisz czegoś, co znajduje się wewnątrz określonego jedzenia, to zostaw je w spokoju, nie wpychaj tam czegoś innego. Moim zdaniem jest to marnowanie bakłażanów.

Nawet Ugwu wyglądał na rozbawionego, kiedy wszedł do jadalni pozbiierać naczynia.

– Panie Richard, odłożyć panu jedzenie do pojemnika?

– Nie, możesz to zostawić albo wyrzucić – odparł Richard. Nigdy nie zabierał z powrotem jedzenia; do domu przynosił komplementy dla Harrisona od gości, którzy mówili, że wszystko było doskonałe, jednak nie wspominał, że goście później nie sięgali po jego kanapki, tylko jedli przygotowaną przez Ugwu zupę paprykową, moi-moi i kurczaka w gorzkich ziołach.

Całe towarzystwo zaczęło się przenosić do salonu. Ugwu wiedział, że za chwilę Olanna wyłączy światła, ponieważ fluorescencyjny blask był zbyt jasny, on zaś przyniesie więcej napojów i będą rozmawiać, śmiać się i słuchać muzyki, a wciekająca z korytarza poświata wypełni pokój cieniami. Ugwu najbardziej lubił tę część ich wieczoru, chociaż czasami zastanawiał się, czy w tym półmroku Odenigbo i Olanna nie dotykają się. Nie powinien o nich myśleć, wiedział o tym, w końcu to nie jego sprawa. Ale nie potrafił. Zauważył, w jaki sposób Odenigbo spogląda na nią pośród dyskusji, i nie było to spojrzenie osoby, która potrzebuje, żeby Olanna go popierała – on chyba nigdy tego od nikogo nie potrzebował – chciał tylko wiedzieć, że ona tam jest. Widział też, jak Olanna od czasu do czasu spogląda spod przymrużonych oczu na Odenigba, przekazując mu coś, czego Ugwu nigdy się nie dowie.

Richard odstawił szklanekę z piwem na mały stoliczek i usiadł obok panny Adebayo i Okeomy. Wciąż jeszcze czuł paprykowe mrowienie na języku. Olanna wstała, żeby zmienić muzykę.

– Najpierw mój ulubiony Rex Lawson, a dopiero potem jakiś tam Osadebe – powiedziała.

– Ten Rex Lawson jest trochę wtórny, nie sądzicie? – zapytał profesor Eze-ka. – Uwaifo i Dairo są lepszymi muzykami.

– Cała muzyka jest wtórna, profesorze – odparła Olanna prowokacyjnym tonem.

– Rex Lawson to prawdziwy Nigeryjczyk. I nie ogranicza się tylko do swojego plemienia Kalahari, śpiewa we wszystkich naszych głównych językach. Co świadczy o oryginalności i z pewnością wystarczy, żeby go lubić – zauważyła panna Adebayo.

– To powód, żeby go nie lubić – stwierdził Odenigbo. – Ten cały nacjonalizm, który ma oznaczać, że powinniśmy zobojętnieć na nasze indywidualne kultury, to czysta głupota.

– Nie trać czasu na rozmowę z Odenigbem o muzyce high life. On nigdy tego nie rozumiał – rzekła Olanne ze śmiechem. – On jest wielbicielem muzyki klasycznej, choć niechętnie się do tego przyznaje, bo to takie zachodnie upodobanie.

– Muzyka nie zna granic – powiedział profesor Ezeka.

– Ale jest bez wątpienia zakorzeniona w kulturze, a kultura jest już w jakiś sposób określona, prawda? – spytał Okeoma. – Czy w takim razie nie można by powiedzieć, że Odenigbo uwielbia zachodnią kulturę, która wydała muzykę klasyczną?

Kiedy wszyscy się roześmieli, Odenigbo popatrzył na Olanne i jego wzrok złagodniał. Panna Adebayo ponownie podjęła kwestię francuskiego ambasadora. Oczywiście uważała, że Francuzi nie powinni testować broni atomowej w Algierii, jednak nie pojmowała, dlaczego dla Balewy miało to aż takie znaczenie, żeby zrywać stosunki dyplomatyczne z Francją. Wyglądało na to, że panna Adebayo czegoś nie rozumie, co rzadko jej się zdarzało.

– To oczywiste, że Balewa to zrobił, bo chce odwrócić uwagę paktu obronnego, który zawarł z Brytyjczykami – odezwał się Odenigbo.

– I doskonale wie, że obrażanie Francuzów zawsze podoba się jego panom, Brytyjczykom. Jest przecież ich sługusem. To oni dali mu władzę i oni powiedzieli, co ma robić, a on jest im posłuszny, jak w idealnym westminsterskim modelu parlamentaryzmu.

– Dzisiaj nie będziemy zajmować się modelem westminsterskim – wtrącił doktor Patel. – Okeoma obiecał przeczytać nam wiersz.

– Mówiłem wam, że Balewa po prostu zrobił to dlatego, że mu zależy, żeby lubili go mieszkańcy Afryki Północnej – powiedział profesor Ezeka.

– Żeby lubili go mieszkańcy Afryki Północnej? Sądysz, że obchodzą go inni Afrykanie? Balewa zna tylko jednego pana: białego człowieka – odrzekł Odenigbo. – Czyż to nie on powiedział, że Afrykanie nie są gotowi sami się rządzić w Rodezji? Jeśli Brytyjczycy każą mu powiedzieć, że jest wykastrowaną małpą, z pewnością to zrobi.

– Co za bzdury! – zaprotestował profesor Ezeka. – Odchodzisz od tematu.

– A ty nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy! – Odenigbo aż poprawił się na miejscu. – Żyjemy w czasach wielkiego zagrożenia ze strony białych. Oni odczłowieczają czarnoskórych w Afryce Południowej i Rodezji, to oni dopro-

wadzili do tego, co się stało w Kongu, nie pozwalają głosować czarnoskórym Amerykanom, nie pozwalają głosować Aborygenom w Australii, ale najgorsze jest to, co robią tutaj. Ten cały pakt obronny jest gorszy od apartheidu i segregacji rasowej, tylko że my nie zdajemy sobie z tego sprawy. Oni sprawują nad nami kontrolę, stojąc za zaciągniętą kurtyną. To bardzo niebezpieczne!

Okeoma nachylił się w stronę Richarda.

– Ci dwaj nie pozwolą mi dzisiaj odczytać wiersza.

– Wygląda na to, że są w dosyć bojowych nastrojach – odparł Richard.

– Jak zwykle – roześmiał się Okeoma. – A tak przy okazji, jak postępuje praca nad książką?

– Robię, co mogę.

– Czy to będzie powieść o Nigeryjczykach żyjących za granicą?

– W zasadzie nie, niezupełnie.

– Ale to powieść, prawda?

Richard sączył piwo, zastanawiając się, co by pomyślał Okeoma, gdyby znał prawdę – gdyby usłyszał, że on nawet nie wie, czy to będzie powieść, bo zapisane przez niego strony wciąż nie składają się w spójną całość.

– Bardzo ciekawi mnie sztuka Ibo-Ukwu i chciałbym, żeby stanowiła centralny motyw książki – powiedział.

– Dlaczego?

– Kiedy o nich przeczytałem, te brązy od pierwszej chwili zafascynowały mnie zupełnie. Tak zdumiewająca dbałość o detale!... To wręcz nieprawdopodobne, że już w czasach wikingów ci ludzie potrafili tak udoskonalić skomplikowaną sztukę odlewania metodą traconego wosku. W tych brązach jest cudowna misterność, po prostu cudowna.

– Chyba cię to zaskoczyło – zauważył Okeoma.

– Proszę?

– Chyba cię to zaskoczyło, bo pewnie nie sądziłeś, że ci ludzie mogli robić takie rzeczy.

Richard patrzył w zdumieniu na Okeomę, po raz pierwszy widząc w jego spojrzeniu jakąś cichą pogardę. Okeoma na moment zmarszczył brwi i powiedział:

– Odenigbo i profesorze, dosyć tego! Mój wiersz czeka.

Richard ssał podrażniony język. Teraz już z trudem znosił paprykowe palenie w ustach i nie mógł się doczekać, kiedy Okeoma skończy czytać swój dziwny wiersz – o Afrykanach, którzy dostają wysypki od wypróżniania się do importowanych metalowych wiader – on zaś wreszcie będzie mógł pod-

nieść się i wyjść.

– Odenigbo, czy ten wyjazd z Ugwu do jego wioski w przyszłym tygodniu jest aktualny? – zapytał.

Odenigbo spojrzał na Olanę.

– Ależ tak, oczywiście – odparła Olanna. – Mam nadzieję, że spodoba ci się festiwal ori-okpa.

– Napij się jeszcze piwa, Richardzie – zaproponował Odenigbo.

– Wczesnym rankiem jadę do Port Harcourt, więc muszę się położyć spać – odrzekł Richard, lecz Odenigbo zdążył już zagadnąć profesora Ezeke:

– A co powiesz o tych głupich politykach z Zachodniej Izby Zgromadzenia, przeciwko którym policja użyła gazu łzawiącego? Gaz łzawiący! A potem asystenci zanosili bezwładne ciała do samochodów! Wyobraź to sobie tylko!

Myśl, że Odenigbo nie przejmuje się jego wyjściem, wprawiła Richarda w przygnębienie. Kiedy wrócił do domu, Harrison otworzył mu drzwi i uklonił się.

– Dobry wieczór, sah. Jedzenie dobre, sah?

– Tak, tak, chciałbym teraz położyć się spać – burknął tylko Richard.

Nie był w nastroju do wysłuchiwanie tego, co by teraz miało nastąpić: Harrison zaofiaruje się nauczyć wszystkich służących jego znajomych, którzy tylko okażą chęć poznania szlachetnych przepisów na biszkopta sherry trifle albo na faszerowane bakłazany. Poszedł do swojego gabinetu i rozłożywszy strony rękopisu na podłodze, przyjrzał się im – kilka stron prowincjonalnej powieści, jeden rozdział powieści o archeologu, kilka stron entuzjastycznych opisów brązów. Zaczął je miąć, jedną po drugiej, a potem wstał i położył się spać, czując gorące pulsowanie krwi w uszach.

Nie spał zbyt dobrze – wydawało mu się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki, kiedy przez zasłony wlało się oślepiające światło słoneczne i usłyszał Harrisona tłukącego się po kuchni oraz Joma kopiącego w ogrodzie. Czuł się jakoś niepewnie. Nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł spać jak należy, czując szczupłą ręką Kainene przyciśniętą do swego ciała.

Harrison podał na śniadanie smażone jajka i tosty.

– Sah? W gabinecie na podłodze są jakieś papiery. – Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Zostaw je tam.

– Tak, sah. – Harrison na przemian to krzyżował, to rozkładał ramiona. – Pan zabiera swój ręczny pis? Spakować inne rzeczy?

– Nie, w ten weekend nie będę pracował – odparł Richard. Tym razem nie

rozbawił go wyraz rozczarowania na twarzy Harrisona.

Wsiadając do pociągu, zastanawiał się, co Harrison robi w weekendy. Może gotuje sobie jakieś skromne, acz wyszukane dania? Richard nie powinien wyładowywać złego humoru na tym biedaku, w końcu to nie wina Harrisona, że zdaniem Okeomy Richard zachowywał się protekcyjnie. Najbardziej trapiło go spojrzenie Okeomy: ten wyraz pogardliwego braku zaufania przywodzący na myśl przeczytane kiedyś stwierdzenie, że Afrykanie i Europejczycy nigdy nie dojdą ze sobą do ładu. Okeoma mylił się, jeśli uważał Richarda za jednego z tych Anglików, którzy nie przyznają Afrykanom prawa do równej im inteligencji. Zastanawiając się teraz nad tym, doszedł do wniosku, że być może rzeczywiście wówczas okazał zaskoczenie, ale dokładnie tak samo zdziwiłby się, gdyby podobnego odkrycia dokonano w Anglii czy w dowolnym innym miejscu na świecie.

Przy pociągu kręcili się uliczni sprzedawcy, wołając: „Kupujcie orzeszki arachidowe!... Kupujcie pomarańcze!... Kupujcie banany!”.

Richard skinął na młodą kobietę niosącą tacę z gotowanymi orzeszkami arachidowymi, chociaż wcale nie miał na nie ochoty. Kobieta opuściła tacę i Richard wziął do ręki jeden orzeszek, rozłupał go w palcach i dopiero kiedy przeżuł ziarnka, poprosił o dwa kubeczki. Chyba zaskoczyła ją jego znajomość zwyczaju smakowania, a on z goryczą pomyślał, że również Okeoma byłby tym zaskoczony. Przyglądał się badawczo każdemu orzeszkowi przed zjedzeniem – ugotowane na miękko, jasnofioletowe, pomarszczone – i aż do przyjazdu pociągu do Port Harcourt starał się nie myśleć o pomiętych kartkach w gabinecie.

– Madu zaprasza nas jutro na kolację – powiedziała Kainene, wioząc go z dworca swoim długim amerykańskim samochodem. – Jego żona właśnie wróciła z zagranicy.

– Naprawdę? – Richard niewiele więcej powiedział, tylko przyglądał się ulicznym sprzedawcom, którzy krzyczeli, wymachiwali rękami i biegli za samochodami, żeby dostać zarobione pieniądze.

Następnego ranka obudził go dźwięk deszczu uderzającego w okno. Obok leżała Kainene, powieki miała półprzymknięte w ten niesamowity sposób świadczący o tym, że jest pogrążona w głębokim śnie. Popatrzył na jej błyszczącą od olejku skórę w kolorze ciemnej czekolady i pochylił głowę nad jej twarzą. Nie pocałował jej, nie pozwolił, żeby jego twarz dotknęła jej oblicza, ale zbliżył się na tyle, że poczuł wilgoć i lekko skwaśniały zapach jej oddechu. Przeciągnął się i podszedł do okna. Deszcz w Port Harcourt zacinał, tak że

krople uderzały bardziej w okna i ściany niż w dach. Może bliskość oceanu powodowała, że powietrze było ciężkie od wody i pozwalało jej za wcześnie spadać? Na moment deszcz przybrał na sile i dźwięk kropel uderzających o szyby pogłośnił się, jakby to nie były krople, tylko kamyki. Jeszcze raz się przeciągnął.

Po chwili deszcz przestał padać, szyby się zamgliły. Kainene za jego plecami poruszyła się i coś wymamrotała.

– Kainene? – odezwał się Richard.

Oczy wciąż miała na wpół otwarte i nadal oddychała równomiernie.

– Idę się przejść – powiedział, choć był przekonany, że go nie słyszy.

Na dworze Ikejide zajęty był zrywaniem pomarańczy, uniform marszczył mu się na plecach, kiedy mężczyzna końcem kija strącał owoce.

– Dzień dobry, sah – odezwał się.

– Kedu? – zapytał Richard. Bez skrupowania ćwiczył język ibo ze służącymi Kainene, ponieważ oni zawsze zachowywali doskonale kamienny wyraz twarzy, dzięki czemu nie miało najmniejszego znaczenia, czy mówi z odpowiednią intonacją czy nie.

– Mam się dobrze, sah.

– Jisie ike.

– Tak, sah.

Richard poszedł na sam koniec sadu, skąd przez gęstwinę lasu widać było białą pianę morskich fal. Usiadł na ziemi. Żałował, że major Madu zaprosił ich na kolację, zupełnie nie miał chęci poznawać żony tego człowieka. Podniósł się, przeciągnął i poszedł na dziedziniec przed domem, gdzie popatrzył na pnące się po ścianach fioletowe bugenwille. Przespacerował się kawałek błotnistym fragmentem opustoszałej drogi prowadzącej do domu i w końcu zawrócił. Kainene czytała gazetę w łóżku. Położył się obok niej, a ona wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów, palcami delikatnie pieściła skórę na jego głowie.

– Co się dzieje? Od wczoraj jesteś jakiś spięty.

Richard opowiedział jej o Okeomie, a ponieważ nie reagowała na jego słowa, dodał:

– Pamiętam, że ze sztuką Ibo-Ukwu zetknąłem się, czytając artykuł, w którym wykładowca z Oksfordu opisywał ją jako charakteryzującą się nieomal rokokową maestrią przywodzącą na myśl misterność jajek Fabergego. Nigdy tego nie zapomniałem: rokokowa maestia przywodząca na myśl misterność jajek Fabergego. Już samo to sformułowanie mnie urzekło.

Poskładała gazetę i odłożyła na szafkę nocną.

– Dlaczego zdanie Okeomy ma dla ciebie aż takie znaczenie?

– Ja naprawdę uwielbiam tę sztukę. To było okropne z jego strony, że oskarżył mnie o brak szacunku.

– A ty się mylisz, sądząc, że jeśli jest miłość, to już nie może być nic innego. Można coś kochać, a mimo to traktować z wyższością przedmiot miłości.

Richard przewrócił się na drugi bok, odsuwając się od niej.

– Sam nie wiem, co robię. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście jestem pisarzem.

– I nie dowiesz się, dopóki czegoś nie napiszesz, prawda? – Kainene podniosła się z łóżka i Richard dostrzegł metaliczny połysk na jej szczupłych ramionach. – Widzę, że nie bardzo nadajesz się na wieczorne wyjście. Zadzwoń do Madu i odwołam tę kolację.

Poszła zadzwonić, a kiedy wróciła do sypialni i przysiadła na łóżku, Richard poczuł, jak w dzielącej ich ciszy nagle ogarnia go wdzięczność za tę jej rzeczowość, która nie pozwoliła mu rozczulać się nad sobą, i za to, że nie musiał niczego skrywać.

– Pewnego razu naplułam ojcu do szklanki z wodą – odezwała się. – Nawet mnie nie zdenerwował, nie miałam żadnego konkretnego powodu. Po prostu to zrobiłam. Miałam wówczas czternaście lat. Gdyby ją wypił, byłabym niesamowicie zadowolona, ale oczywiście Olanna pobiegła i zmieniła wodę. – Wyciągnęła się obok niego na łóżku. – A teraz ty powiedz mi o jakiejś okropnej rzeczy, którą kiedyś zrobiłeś.

Podniecała go jej jedwabista ocierającą się o niego skóra, a także to, jak Kainene chętnie zmieniała wieczorne plany spotkania z majorem Madu.

– Zawsze brakowało mi pewności siebie, żeby robić okropne rzeczy – wyznał.

– W takim razie opowiedz mi cokolwiek.

Przyszło mu na myśl, żeby opowiedzieć jej o tym, jak w Wentnor ukrył się przed Molly i po raz pierwszy w życiu poczuł, że może kształtować własny los. Jednak nie zrobił tego. Opowiedział jej natomiast o swoich rodzicach: o tym, jak patrzyli na siebie, kiedy rozmawiali ze sobą, jak zapominali o jego urodzinach i dopiero po kilku tygodniach Molly musiała przygotować tort z napisem WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI SPÓŹNIONYCH URODZIN. Oni nigdy nie wiedzieli ani co, ani kiedy jadł, Molly karmiła go, gdy sobie o tym przypominała.

Nie planowali jego przyjścia na świat, w związku z tym jego wychowanie

traktowali jako coś nieprzewidzianego, dodanego do pierwotnych planów. Ale nawet będąc małym dzieckiem rozumiał, że przyczyną nie był ich brak miłości do niego, a raczej to, że często o tej miłości zapominali, bo zbyt wielką miłością darzyli siebie nawzajem. Kainene uniosła brwi, sardonicznie, jakby nie dostrzegała sensu w jego rozumowaniu, i chyba właśnie dlatego Richard bał się wyznać, że czasami ma wrażenie, iż darzy ją zbyt wielką miłością.

2. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Opisuje postać brytyjskiego żołnierza i handlowca, Taubmana Goldiego: jak za pomocą pochlebstw, przymusu i mordowania uzyskał kontrolę nad handlem olejem palmowym i jak podczas konferencji w Berlinie w 1884 roku, kiedy Europa podzieliła Afrykę, zapewnił Wielkiej Brytanii przewagę nad Francją w postaci dwóch protektoratów nad rzeką Niger: Północnego i Południowego.

Brytyjczycy woleli część północną. Przy panujących tam upałach nie było uciążliwej wilgotności powietrza, zamieszkujący te tereny Hausowie i Fulanie mieli subtelniejsze rysy, w związku z czym byli lepsi od negroidalnych mieszkańców Południa, a jako muzułmanie byli na tyle cywilizowani, na ile można się spodziewać po tubylcach, i żyli w systemie feudalnym, czyli idealnie nadawali się do zarządzania w sposób pośredni, Stateczni emirowie zbierali podatki dla Brytyjczyków, w zamian Brytyjczycy nie wpuszczali chrześcijańskich misjonarzy.

Z kolei wilgotne Południe pełne było komarów, animistów i zróżnicowanych plemion. Na południowym zachodzie największy lud stanowili Jorubowie. Ibowie mieszkali na południowym wschodzie, w małych społecznościach o charakterze republikańskim. Byli niepokorni i irytująco ambitni. Skoro sami nie mieli na tyle zdrowego rozsądku, żeby ustanowić sobie królów, Brytyjczycy sami wyznaczyli im zarządców, nazywając ich „warrant chiefs”, bo dla Korony taniej było nie rządzić w sposób bezpośredni. Wpuszczano też tutaj misjonarzy, by ujarzmić pogan, a przyniesione przez nich chrześcijaństwo i edukacja zaczęły rozkwitać. W 1914 roku gubernator generalny połączył Północ i Południe, a jego żona wybrała nową nazwę, Narodziła się Nigeria.

CZEŚĆ DRUGA

KONIEC LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH

Ugwu leżał na macie w chacie swojej matki i gapił się na rozgniecionego na ścianie pająka; płyny ustrojowe zwierzęcia zabarwiły błotnistą ścianę na ciemniejszą czerwień. Anulika odmierzała kolejne kubki ukwa i pomieszczenie wypełniał ciężki, ostry aromat prażonych nasion drzewa chlebowego. Coś mówiła. Już od dłuższego czasu usta jej się nie zamykały, a Ugwu bolała głowa. Nieoczekiwanie jego wizyta w domu ciągnęła się w nieskończoność, jakby trwała znacznie dłużej niż tydzień, być może ze względu na ciągłe kłębianie się gazów w brzuchu odjedzenia wyłącznie owoców i orzechów. Jedzenie przygotowywane przez matkę było niesmaczne. Warzywa rozgotowane, mąka kukurydziana zbyt zbrylona, zupa za wodnista, a kawałki jamsu szorstkie, bo gotowane bez dodatku masła. Nie mógł się już doczekać powrotu do Nsunki, gdzie w końcu będzie mógł zjeść prawdziwy posiłek.

– Najpierw chcę mieć chłopczyka, bo w ten sposób zapewnię sobie silną pozycję w domu Onyeki – mówiła Anulika.

Podeszła do krokwi, żeby zdjąć z niej worek, a Ugwu po raz kolejny zauważył nową podejrzaną krągłość jej ciała, wypełniające bluzkę piersi i pośladki kołyszące się przy każdym kroku. Nie miał wątpliwości, że Onyeka ją dotykał. Ugwu nie potrafił pogodzić się z myślą, że wstrętne ciało tego człowieka mogło wbijać się w jego siostrę. Wszystko stało się zbyt szybko. Kiedy był tu ostatnio, napomykano co prawda o jakichś zalotnikach, ale Anulika mówiła o Onycece obojętnym tonem, więc nie sądził, że tak szybko przyjmie jego oświadczenia. A teraz nawet ich rodzice nad wyraz ochoczo opowiadali o Onycece, o jego dobrej pracy mechanika w miasteczku, o rowerze, dobrym zachowaniu, jakby już był członkiem ich rodziny. Nikt nawet nie wspominał o jego karłowatym wzroście i wystających zębach jak u szczura z buszu.

– Bo wiesz, kiedy Onunna z gospodarstwa Ezeugwu najpierw urodziła dziewczynkę, rodzina jej męża poszła do dibii, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak się stało! Oczywiście rodzina Onyeki nic takiego mi nie robi, nie śmieliby, ale i tak najpierw chcę mieć chłopczyka – ciągnęła Anulika.

Ugwu usiadł prosto.

– Mam już dość tych opowieści o Onyece. Zauważyłem coś, kiedy wczoraj tu przyszedł. Powinien częściej się kąpać, cuchnie jak zgniłe fasolki w oleju.

– A ty? Jak ty cuchniesz? – Anulika nasypała ukwa do worka i zawiązała go. – Skończyłam. A ty lepiej się pospiesz, bo się spóźnisz.

Ugwu wyszedł na podwórze. Matka ucierała coś w moździerz, a ojciec stał pochylony obok niej i ostrzył nóż o kamień. Spod metalu uderzającego o kamień wyskakiwały malutkie iskiereki, które migotały przez moment, zanim zgasły.

– Czy Anulika porządnie zawięła ukwa? – zapytała matka.

– Tak. – Ugwu na dowód uniósł worek.

– Pozdrów swojego pana i panią – powiedziała matka. – Podziękuj za wszystko, co nam przysłali.

– Tak, mam. – Podeszedł i uściskał ją. – Trzymajcie się. Pozdrów Chioke, kiedy wróci.

Ojciec wyprostował się, wytarł ostrze noża o dłoń, a potem uścisnęli sobie ręce.

– Szczęśliwej drogi, ije oma. Damy ci znać, gdy rodzina Onyeki powie nam, że są gotowi przynieść wino palmowe. To pewnie będzie za kilka miesięcy.

– Tak, ojcie. – Ugwu musiał teraz przez dobrą chwilę stać i wysłuchiwać pożegnań małych kuzynów i rodzeństwa, najmłodszych zupełnie golutkich, starszych ubranych w za duże koszule, a także życzeń, co powinien przywieźć im następnym razem. Kup nam chleb! Kup nam mięso! Kup nam smażone ryby! Kup nam orzechy ziemne!

Anulika odprowadziła go do głównej drogi. W pobliżu kępy drzew ubie dostrzegł znajomą postać i chociaż nie widział jej od czasu, kiedy cztery lata temu wyjechała do Kano uczyć się fachu, od razu wiedział, że to Nnesinachi.

– Anulika! Ugwu! To naprawdę ty? – Głos Nnesinachi był równie chropawy, jak pamiętał z przeszłości, jednak obecnie była wyższa, a jej skóra pościemniała od wściekłego słońca Północy.

Uścisnęli się i Ugwu poczuł jej pierś wciskającą się w jego klatkę piersiową.

– Ledwo cię poznałem, ta Północ bardzo cię zmieniła – powiedział, zastanawiając się, czy rzeczywiście się do niego przycisnęła.

– Wróciłam wczoraj z moimi kuzynami. – Uśmiechała się do niego. W przeszłości nigdy nie uśmiechała się do niego tak serdecznie. Brwi miała wygolone i narysowane kredką, jedna była trochę grubsza od drugiej. Odwró-

ciła się do Anuliki. – Anuli, właśnie szłam do ciebie. Słyszałam, że wychodzisz za mąż!

– Ja też tak słyszałam, siostró – odparła Anulika i obie wybuchnęły śmiechem.

– Wracasz do Nsukki? – zapytała Ugwu.

– Tak. Ale wkrótce znów przyjadę. Na ceremonię przyniesienia wina.

– Szczęśliwej drogi. – Ich spojrzenia na moment się spotkały. Oczy Nnesinachi patrzyły śmiało, toteż kiedy odeszła, Ugwu już wiedział, że nie wymyślił sobie tego, ona naprawdę do niego przywarła, kiedy się obejmowali. Nagle poczuł w nogach słabość. Musiał się powstrzymać, żeby nie obejrzeć się za nią, bo ona również mogła się obrócić, i na chwilę zapomniał o nieprzyjemnym uczuciu kotłowania w brzuchu.

– Chyba przejrzała na oczy na tej Północy. Nie możesz się z nią ożenić, więc lepiej bierz to, co daje, zanim wyjdzie za mąż – powiedziała Anulika.

– Zauważyłaś?

– Jak mogłam nie zauważyć? Czy wyglądam jak baran?

Przymrużywszy oczy, Ugwu spojrzał na nią.

– Czy Onyeka cię dotykał?

– No jasne, że mnie dotykał.

Ugwu zwolnił kroku. Zdawał sobie sprawę, że musiała spać z Onyeką, ale i tak nie podobało mu się, kiedy to potwierdziła. Kiedy Chinyere, służąca doktora Okeke, zaczęła przekradać się w nocy przez żywopłot do jego służbówki na pospieszny numer, opowiedział o tym Anulice podczas odwiedzin w domu i wspólnie o tym porozmawiali. Ale o niej nigdy nie rozmawiali, zawsze wolał myśleć, że nie ma o czym rozmawiać. Anulika szła przed nim obojętna na jego nadąsanie i żółwie tempo, więc w milczeniu pospiesznie ją dogonił i dalej wspólnie lekko stąpali po trawie, w której będąc dziećmi, polowali na koniki polne.

– Głodny jestem – odezwał się w końcu.

– Nawet nie zjadłeś jamsu, który mama ci ugotowała.

– My gotujemy jams z dodatkiem masła.

– My gotujemy jams z dodatkiem boh-tah. Tylko popatrz na swoje usta.

Co zrobisz, kiedy odeślą cię z powrotem do wioski? Gdzie znajdziesz boh-tah, żeby ugotować sobie jams?

– Nie odeślą mnie z powrotem do wioski.

Kątem oka zmierzyła go od stóp do głów.

– Chyba zapomniałeś, skąd pochodzisz, a do tego zrobiłeś się już taki głu-

pi, że wydaje ci się, że jesteś wielkim ważniakiem.

Pan był w salonie, kiedy Ugwu wszedł i przywitał się z nim.

– Co u twojej rodziny? – zapytał pan.

– Wszystko dobrze, sah. Przesyłają pozdrowienia.

– To świetnie.

– Moja siostra Anulika wkrótce wychodzi za mąż.

– Rozumiem. – Pan zajęty był dostrajaniem radia.

Ugwu słyszał dochodzący z łazienki śpiew Olanny i Dzidzi po angielsku:

London Bridge is falling down, falling down, falling down,

London Bridge is falling down, my fair lady.

Wymawiane jeszcze nieukształtowanym głosikiem Dzidzi słowo „London” brzmiało jak „bonbon”. Drzwi do łazienki były otwarte.

– Dzień dobry, mah – powiedział Ugwu.

– Och, Ugwu. Nie słyszałam, jak wszedłeś! – odparła Olanna. Pochylona nad wanną kąpała Dzidzię. – Witaj, nno. Czy u twojej rodziny wszystko w porządku?

– Tak, mah. Przesyłają pozdrowienia. Mama powiedziała, że nie wie, jak dziękować pani za suknie.

– A jak tam jej noga?

– Już nie boli. Dała mi ukwa dla pani.

– Co?! Ta kobieta doskonale wie, czego teraz mi potrzeba. – Z dłońmi unurzonymi w pianie z kąpeli Olanna odwróciła się i spojrzała w jego stronę. – Dobrze wyglądasz. Masz takie tłuściutkie policzki!

– Tak, mah – odrzekł Ugwu, chociaż było to kłamstwem. Zawsze tracił na wadze, kiedy odwiedzał dom rodzinny.

– Ugwu! – wykrzyknęła Dzidzia. – Ugwu, chodź i zobacz! – W rączce ścisnęła kwaczącą plastikową kaczuszkę.

– Dzidziu, przywitasz się z Ugwu po kąpeli – powiedziała Olanna.

– Anulika wkrótce wychodzi za mąż, mah. Ojciec chciał, żebym państwu o tym powiedział. Jeszcze nie wyznaczyli daty, ale bardzo się ucieszą, jeśli będziecie mogli przyjechać.

– Anulika? Czy ona nie jest jeszcze za młoda? Nie ma więcej jak szesnaście czy siedemnaście lat?

– Jej rówieśniczki już wychodzą za mąż.

Olanna odwróciła się z powrotem do wanny.

- Oczywiście, że przyjedziemy.
- Ugwu! – ponownie krzyknęła Dzidzia.
- Czy mam podgrzać Dzidzi kaszkę, mah?
- Tak, i przygotuj jej, proszę, mleko.
- Tak, mah. – Jednakże nie ruszał się z miejsca, musiał bowiem zapytać, czy przez ten tydzień jego nieobecności wszystko było porządku, na co ona miała opowiedzieć mu, którzy znajomi ich odwiedzili, co przynieśli, czy zjedli do końca potrawkę, którą włożył do pojemników pozostawionych w zamrażarce.
- Wraz z twoim panem postanowiliśmy, że Arize powinna przyjechać we wrześniu i tu urodzić dziecko – powiedziała Olanna.
- To dobrze, mah – odparł Ugwu. – Mam nadzieję, że dziecko będzie przypominać ciotkę Arize, a nie wujka Nnakwanzego.
- Olanna roześmiała się.
- Też mam taką nadzieję. Musimy zawczasu posprzątać jej pokój. Chcę, żeby był nieskazitelnie czysty.
- Będzie nieskazitelnie czysty, mah, proszę się nie martwić. – Ugwu lubił ciotkę Arize. Pamiętał ją, jaka był okrągłutka i pełna życia trzy lata temu w Umunnachi podczas ceremonii przyniesienia wina przed jej ślubem, a on wówczas wypił tak dużo wina palmowego, że omal nie upuścił małej Dzidzi.
- W piątek jadę do Kano, żeby się z nią wybrać na zakupy do Lagos – powiedziała Olanna. – Zabiorę Dzidzię ze sobą. Weźmiemy tę niebieską sukienkę, którą jej uszyła Alize.
- Różowa jest lepsza, mah. Niebieska jest za ciasna.
- Masz rację. – Olanna chwyciła plastikową kaczuszkę i wrzuciła ją z powrotem do wanny, a Dzidzia pisnęła i zanurzyła zabawkę w wodzie.
- Nkem! – usłyszeli krzyk pana. – O mego! Stało się!
- Olanna pospieszyła do salonu, a Ugwu deptał jej po piętach.
- Pan stał przy radioodbiorniku. Telewizor był co prawda włączony, lecz zupełnie wyciszony, tak że tańczący ludzie wyglądali, jakby kołysali się pijani.
- Doszło do zamachu stanu – powiedział pan i wskazał na radio.
- Major Nzeogwu przemawia z Kaduny.
- Z radia płynął młodzieńczy podekscytowany i pewny siebie głos.

W związku z zawieszeniem obowiązywania konstytucji wszystkie władze lokalne i wybrane rady zostają rozwiązane. Moi drodzy rodacy, celem Rady

Rewolucyjnej jest usunięcie z kraju korupcji i konfliktów wewnętrznych. Najszymi wrogami są spekulanci polityczni, oszuści, osoby zajmujące zarówno wysokie, jak i niskie stanowiska, ludzie biorący łapówki i żądający dziesięciu procent od każdego zlecenia, pragnący zachować nasz kraj na zawsze podzielony, bo dzięki temu będą mogli zachować swoje urzędy, ludzie wspierający członków własnego plemienia, nepotyści, przez których nasz kraj w kręgach międzynarodowych jest uznawany tylko za pozornie wielki, i którzy skorumpowali nasze społeczeństwo.

Olanna pobiegła do telefonu.

– Co się dzieje w Lagos? Czy mówili, co się dzieje w Lagos?

– Nkem, twoim rodzicom nic się nie stało. Cywilom nic nie grozi.

Olanna wybierała numer.

– Centrala? Centrala? – Odłożyła słuchawkę i zaraz ponownie ją podniosła. – Nie ma sygnału.

Pan delikatnie wyjął jej słuchawkę z dłoni.

– Jestem pewien, że nic im się nie stało. Niedługo przywrócą łącza. To tylko ze względów bezpieczeństwa.

Głos w radiu jakby nabrał mocy.

Zapewniam wszystkich obcokrajowców, że ich prawa nadal będą respektowane. Obiecujemy wszystkim praworządnym obywatelom wolność od wszelkich form ucisku, wolność od powszechnej nieudolności i indolencji, a także zapewnienie warunków do życia i realizacji celów we wszystkich dziedzinach ludzkiej aktywności. Obiecujemy, że już nie będziecie musieli wstydzić się tego, że jesteście Nigeryjczykami.

– Mamusiu Ola! – zawołała Dzidzia z łazienki. – Mamusiu Ola!

Ugwu wrócił do łazienki i wytarł Dzidzię ręcznikiem, a potem przytulił ją i lekko dmuchnął jej w szyję. Rozkosznie pachniała dziecięcym mydłem „Pears”.

– Kurczaczku! – powiedział, łaskocząc ją. Końcówki jej mokrych warkoczyków splątały się w poskręcany supeł, zajął się więc ich rozprostowywaniem, ponownie nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak bardzo przypomina swojego ojca. W jego rodzinie powiedziano by, że pan wypluł to dziecko z własnych wnętrzności.

– Połaskocz jeszcze! – prosiła Dzidzia, śmiejąc się. Jej puciołowata twarz

była śliska od wilgoci.

– Malutki kurczaczek – mruknął Ugwu śpiewnym głosem, który zawsze ją rozbawiał.

Kiedy Dzidzia się śmiała, do uszu Ugwu dotarł głos Olanny z salonu:

– O Boże, co on powiedział?... Co powiedział?

Właśnie podawał Dzidzi kaszkę, kiedy nowy prezydent wygłosił przez radio krótkie oświadczenie głosem ściszym, jakby wyczerpał go trud przemawiania: „Władza zostaje przekazana w ręce wojska”.

Później słyszeli kolejne obwieszczenia – zaginął premier, w Nigerii obecnie władzę przejął wojskowy rząd federalny, zaginęli szefowie rządów Regionu Północnego i Zachodniego – ale Ugwu nie był pewien, kto mówił i w jakim programie, ponieważ pan siedział przy radiu i szybko kręcił gałką, co chwilę się zatrzymując, słuchając, dalej kręcąc, znowu się zatrzymując. Zdjął okulary, a głęboko zapadnięte oczy nadawały mu wygląd bardziej bezbronny. Nie nakładał ich aż do przyjścia gości. Tego dnia przyszło więcej znajomych niż zazwyczaj, Ugwu przyniósł więc krzesła z jadalni do salonu, żeby wszyscy mogli usiąść. Mówili głosami nagłącymi i podekscytowanymi, nikt nie mógł się wręcz doczekać, kiedy przedmówca skończy swoją wypowiedź.

– To koniec korupcji! Właśnie na to czekaliśmy od czasu strajku powszechnego – powiedział jeden z gości. Ugwu nie pamiętał, jak ten człowiek się nazywa, ale ponieważ zawsze gadał wszystkie chin-chin, jak tylko zostały podane, Ugwu zaczął ustawiać tacę z ciasteczkami jak najdalej od niego. Mężczyzna miał wielkie dłonie, więc wystarczyło, że sięgnął kilka razy na tacę i wszystko zniknęło.

– Ci majorowie to prawdziwi bohaterzy! – rzekł Okeoma i uniósł rękę.

Podniecenie w ich głosach nie gasło, nawet kiedy mówili o zabitych.

– Podobno Sardauna chował się za swoimi żonami.

– Podobno minister finansów zesrał się w gacie, zanim go zastrzelili.

Kilku gości zachichotało, podobnie też zareagował Ugwu, dopóki nie usłyszał Olanny, która powiedziała:

– Znałam Okonjiego. Był znajomym mojego ojca. – W jej głosie słychać było przygnębienie.

– BBC podaje, że tego zamachu stanu dokonali Ibowie – powiedział smakosz chin-chin. – I nie jest to pozbawione racji. W większości zamordowani zostali mieszkańcy Północy.

– Rząd w większości składał się z mieszkańców Północy – szepnął profesor Ezeka, unosząc brwi w łuk, jakby nie mógł uwierzyć, że musi mówić coś

tak oczywistego.

– BBC powinna zapytać swoich rodaków, kto umieścił w rządzie tych mieszkańców Północy, żeby mogli nad wszystkimi dominować! – oświadczył Odenigbo.

Ugwu zaskoczyło, że najwidoczniej pan i profesor Ezeka zgadzają się ze sobą. Potem panna Adebayo rzuciła:

– Ci ludzie Afryki Północnej chyba zwariowali, żeby nazywać to sporem między wyznawcami słusznej wiary i niewiernymi.

Wtedy Ugwu jeszcze bardziej się zdumiał, pan powitał bowiem tę wypowiedź śmiechem – i nie był to ten jego typowy szyderczy śmiech, po którym przesuwiał się na skraj fotela i kwestionował jej słowa, tym razem był to śmiech wyrażający aprobatę. Pan się z nią zgadzał!

– Gdybyśmy w naszym kraju mieli więcej takich ludzi jak major Nzeogwu, już dawno byłibyśmy w zupełnie innym miejscu – perorował pan. – Ten człowiek to prawdziwy wizjoner!

– Czy on przypadkiem nie jest komunistą? – odezwał się zielonooki profesor Lehman. – Kiedy był w Sandhurts, pojechał do Czechosłowacji.

– Wy, Amerykanie, zawsze zaglądacie ludziom pod łóżka, szukając komunizmu. Sądzisz, że mamy czas martwić się czymś takim? – zapytał pan. – Liczy się tylko to, co pozwoli naszemu narodowi ruszyć z miejsca. Możemy założyć, że demokracja kapitalistyczna jest z gruntu rzeczy dobra, ale jeśli wygląda tak jak u nas, czyli jeśli ktoś daje ci ubranie mówiąc, że jest takie samo jak jego własne, a potem okazuje się, że na ciebie nie pasuje, a do tego guziki odpadają, wówczas musisz je wyrzucić i samemu uszyć sobie ubranie. Po prostu musisz!

– Odenigbo, przesadzasz z retoryką – odezwała się panna Adebayo. – Z wojskiem nie można teoretyzować.

Ugwu poczuł się nieco lepiej, do takich sprzeczek był przyzwyczajony.

– Oczywiście, że można. Z takim człowiekiem jak major Nzeogwu można – odrzekł pan. – Ugwu! Przynieś więcej lodu!

– Ten człowiek jest komunistą – upierał się profesor Lehman.

Jego nosowy głos irytował Ugwu, choć może zdenerwowanie brało się tylko stąd, że profesor Lehman miał włosy tak jasne jak Richard, ale za grosz jego cichej godności. Żałował, że pan Richard już do nich nie przychodzi. Wyraźnie pamiętał jego ostatnią wizytę, na kilka miesięcy przed narodzinami Didi, jednak pozostałe wspomnienia z tych burzliwych tygodni zatarły się w jego pamięci, niewiele z nich zostało, wówczas bowiem rzadko podsłuchi-

wał, tak bardzo się bał, że pan i Olanna już nigdy na powrót się nie zejdą, a jego świat się zawali. Gdyby Harrison mu nie powiedział, nie wiedziałaby nawet, że pan Richard był wmieszany w tę kłótnię.

– Dziękuję, mój dobry człowieku. – Pan wziął miskę z lodem i z brzękiem wrzucił kilka kostek do szklanki.

– Proszę, sah – odparł Ugwu, obserwując Olanę.

Głowę wsparła na złożonych dłoniach. Żałował, że nie potrafi szczerze jej współczuć z powodu tego zabitego polityka, jej znajomego, lecz politycy różnili się od normalnych ludzi, oni byli p o l i t y k a m i . Czytał o nich w „Renaissance” i w „Daily Times” – opłacali zbirów, żeby bili ich przeciwników, za rządowe pieniądze kupowali ziemię i domy, importowali całe karawany długich amerykańskich samochodów, opłacali kobiety, które miały wypychać sobie bluzki podrobionymi kartami do głosowania i udawać, że są w ciąży. Kiedy odsączał garnek z gotowaną fasolką, utyłany zlew zawsze kojarzył mu się z „politykiem”.

Tej nocy leżał w swoim pokoju w służbówce, starając się czytać książkę „Burmistrz Casterbridge”, ale nie potrafił się skupić. Miał nadzieję, że Chinyere wślizgnie się pod żywopłotem i przyjdzie do niego. Nigdy nie planowali tych wizyt, po prostu czasami się zjawiała, a czasami nie. Pragnął, żeby przyszła w tę ekscytującą noc zamachu stanu, która zmieniła ustalony porządek rzeczy i pulsowała nowością, nowymi możliwościami. Kiedy usłyszał stukanie w okno, złożył skromne podziękowania bogom.

– Chinyere... – powiedział.

– Ugwu – odparła.

Czuć było od niej zapach stęchłej cebuli. Światło było wyłączone i w wąskiej smużce rzucanej przez wiszącą na dworze żarówkę bezpieczeństwa dostrzegł stożkowy wzgórek jej piersi, kiedy ściągała bluzkę, rozwiązywała chustę w pasie i kładła się na plecach. Zarówno otaczające ich ciemności, jak i przytulone ciała emanowały jakąś wilgocia i Ugwu wyobrażał sobie, że jest z Nnesinachi i że te naprężone oplatające go nogi należą właśnie do niej. Chinyere początkowo była cicho, dopiero później, kiedy już kręciła biodrami, a dłońmi mocno obejmowała jego plecy, wołała to samo co zawsze. Brzmiało to jak imię: „Abonyi, Abonyi”, choć Ugwu nie był tego pewien. Być może ona też wyobrażała sobie, że on jest kimś innym, kimś z jej rodzinnej wioski.

Wstała i wyszła równie cicho, jak przyszła. Kiedy następnego dnia zobaczył ją po drugiej stronie żywopłotu, wieszającą pranie na sznurze, powiedziała tylko: „Ugwu”. Nic więcej, nawet się nie uśmiechnęła.

W związku z zamachem stanu Olanna przełożyła swój wyjazd do Kano. Czekala, aż ponownie uruchomią lotniska, znowu zaczną działać urzędy pocztowe i telegraficzne, a w regionach zostaną wyznaczeni wojskowi naczelnicy. Czekala, dopóki nie uzyskała pewności, że przywrócono porządek. Jednak w powietrzu wciąż czuło się atmosferę zamachu stanu. Wszyscy o tym mówili, nawet taksówkarz w białej czapce i kaftanie, który wiozł ją i Dzidzie z lotniska do domu Arize.

– Ale Sardauny nie zabito, proszę pani – szepnął. – Z pomocą Allaha uciekł i teraz jest w Mekce. – Olanna uśmiechnęła się lekko i nic nie odpowiedziała, wiedząc, że ten mężczyzna, który na lusterku wstecznym powiesił sobie muzułmańskie paciorki modlitewne, chce w to wierzyć. W końcu Sardauna nie tylko był szefem rządu Regionu Północnego, lecz także duchowym przywódcą zarówno tego mężczyzny, jak i wielu podobnych mu muzułmanów.

Kiedy powiedziała Arize o tej uwadze taksówkarza, ona wzruszyła jedynie ramionami i odparła: „Nie ma takiej rzeczy, o której by nie mówili”. Arize miała na sobie chustę opuszczoną nisko, poniżej pasa, i bluzkę na tyle luźną, żeby pomieścić wyduły brzuch. Siedziały w salonie, w otoczeniu wiszących na załuszczonej ścianach zdjęć ze ślubu Arize i Nnakwanzego, a Dzidzia bawiła się z dziećmi na dworze. Olanna wolałaby, żeby mała nie dotykała tych dzieci chodzących w podartych ubraniach, z wiszącym u nosów mętym śluzem, lecz nic nie powiedziała, bo wstydziła się tego uczucia.

– Polecimy jutro rano pierwszym samolotem do Lagos, Ari, dzięki czemu będziesz mogła odpocząć przed zakupami. Nie chcę robić niczego, co mogłoby sprawiać ci trudności – powiedziała Olanna.

– Co za trudności! Ja tylko jestem w ciąży, siostrze, przecież nie jestem chora. Czy różnię się od tych kobiet, które pracują w gospodarstwie, dopóki dziecko nie zechce wyjść na świat? I czy to nie ja szyję tę sukienkę? – Arize wskazała w kąt pokoju, gdzie na stole pośród stosu ubrań stała jej maszyna do szycia marki Singer.

– Po prostu martwię się o mojego chrześniaka albo chrześniaczkę, tam,

w środku, a nie o ciebie – odparła Olanna. Uniosła bluzkę Arize i przyłożyła twarz do twardej krągłości jej brzucha, do mocno naprężonej skóry, spełniając ten delikatny obrzęd, który stał się zwyczajem, odkąd Arize chodziła w ciąży; to Arize powiedziała, że jeśli Olanna będzie robić to dostatecznie często, dziecko przejmie jej rysy i będzie takie jak ona.

– Nic mnie nie obchodzi, jak będzie wyglądać na zewnątrz – powiedziała Arize. – Ale wewnątrz musi być takie jak ty. Ona musi mieć twój umysł i zdobyć wiedzę.

– Może to będzie on.

– Nie, to jest dziewczynka, zobaczysz. Nnakwanze myśli o chłopcu, który będzie wyglądać tak jak on, na co ja powiedziałam mu, że Bóg nie dopuści, żeby moje dziecko miało taką płaską twarz.

Olanna roześmiała się. Arize wstała i otworzywszy glazurowane pudełko, wyjęła zwitek banknotów. – Zobacz, co w zeszłym tygodniu przysłała mi siostra Kainene. Powiedziała, żebym kupiła sobie za to jakieś rzeczy dla dzieciątka.

– To miło z jej strony. – Olanna zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to jakoś sztucznie i oficjalnie, wiedziała też, że Arize nie spuszcza z niej wzroku.

– Powinnaś porozmawiać z siostrą Kainene. Co było, to było.

– Rozmawiać można tylko z osobą, która chce z tobą rozmawiać – odrzekła Olanna. Wolałaby zmienić temat. Zawsze chciała zmienić temat, kiedy wyłaniała się kwestia Kainene. – Lepiej zabiorę Dzidzie i pójdziemy przywitać się z ciocią Ifeką. – Szybkim krokiem ruszyła po Dzidzie, zanim Arize zdążyła coś powiedzieć.

Zmyła piasek z buźki i rączek Dzidzi i wyszły z domu na drogę. Wujek Mbaezi jeszcze nie wrócił z targu i Olanna, wzięwszy Dzidzie na kolana, usiadła z ciocią Ifeką na ławce przed jej budką. Podwórze zaczęło się wypełniać gwarem głosów sąsiadów i piskami biegających wokół drzewa kuka dzieci. Ktoś puszczał głośną muzykę z gramofonu; już po chwili stojący przy furtce mężczyźni zaczęli się śmiać i szturchać jeden drugiego, parodiując tę piosenkę. Również ciocia Ifeka roześmiała się i klasnęła w dłonie.

– Co cię tak bawi? – zapytała Olanna.

– To piosenka Reksa Lawsona – odparła ciocia Ifeka.

– I co w tym śmiesznego?

– Tutaj ludzie mówią, że refren brzmi jak meczenie kozy, takie mee-mee-mee. – Ciocia Ifeka zachichotała. – Powiadają, że tak samo meczał Sar-dauna,

błagając, żeby go nie zabijano. Kiedy żołnierze wystrzelili do jego domu z moździerza, kucnął za swoimi żonami i meczał: „Mee-mee-mee, nie zabijajcie mnie, proszę, mee-mee-mee!”.

Ciocia Ifeka ponownie się roześmiała, a Dzidzia jej zawtórowała, jakby zrozumiała jej słowa.

– O! – Olanna pomyślała o prezesie Okonjim, zastanawiając się, czy o nim też mówiono, że przed śmiercią meczał jak koza. Spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie dzieci bawiły się oponami samochodowymi: toczyły je, goniąc się nawzajem. W oddali zbierała się mała burza piaskowa i kurz wznosił się i opadał szarobiałym obłokiem.

– Sardauna był dym człowiekiem, ajo mmadu – powiedziała ciocia Ifeka. – On nas nienawidził. Nienawidził wszystkich, którzy nie zdejmowali butów i nie kłaniali mu się. Czy to nie on zabronił naszym dzieciom chodzić do szkoły?

– Nie powinni go zabijać – cicho rzekła Olanna. – Powinni wsadzić go do więzienia.

Ciocia Ifeka tylko prychnęła.

– Do więzienia? W Nigerii, gdzie on wszystko kontrolował? – Podniosła się i zaczęła zamykać budkę. – Chodźmy do domu, dam Dzidzi coś dojedzenia.

Kiedy Olanna wróciła do Arize, całe jej podwórko rozbrzmiewało głośnymi dźwiękami piosenki Reksa Lawsona. Również Nnakwanze uważał, że jest to przezabawne. Dwa wielkie zęby sterczały mu z przodu i kiedy się śmiał, wyglądał, jakby w jego małe usta ktoś żmudnie powciskał zbyt wiele zębów.

– Mee-mee-mee, koza błaga, żeby jej nie zabijać: mee-mee-mee.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – powiedziała Olanna.

– Siostró, ależ to jest śmieszne, naprawdę – odparła Arize. – Za dużo naczytałaś się książkowej wiedzy i już zapomniałaś, jak się śmiać.

Nnakwanze siedział na podłodze u stóp Arize i delikatnie głaskał jej brzuch kolistymi ruchami. Kiedy Arize nie zaszła w ciążę w pierwszym, drugim i trzecim roku małżeństwa, nie martwił się tym tak jak ona, a gdy jego matka za często ich odwiedzała i szturchała brzuch Arize, próbując nakłonić ją do wyznania, ile razy przerywała ciążę przed ślubem, powiedział matce, żeby przestała ich odwiedzać. Zakazał jej też przynosić cuchnące mikstury o gorzkim smaku, które Arize miała wypijać. Odkąd Arize chodziła w ciąży, brał więcej nadgodzin na kolei i prosił żonę, żeby mniej zajmowała się szyciem.

Wciąż ze śmiechem podśpiewywał tę piosenkę: „Koza błaga, żeby jej nie zabijać, mee-mee-mee”.

Olanna podniosła się. Wieczorna bryza przyniosła nieprzyjemny chłód.

– Ari, powinnaś się położyć, żebyś wypoczęła przed wizytą w Lagos.

Nnakwanze wykonał ruch, jakby chciał pomóc Arize wstać, ale ona odtrąciła jego rękę.

– Już wam wszystkim mówiłam, że nie jestem chora. Jestem tylko w ciąży.

Olanna ucieszyła się, że dom w Lagos będzie pusty. Ojciec zatelefonował do niej i powiedział, że wyjeżdżają za granicę. Doskonale wiedziała, co za tym stoi: wolał nie pozostawać w kraju, dopóki sytuacja się nie uspokoi, bo roztropnie pamiętał o swoich dziesięciu procentach od kontraktów, o wystawnych przyjęciach i swoich układach, choć ani on, ani matka nie powiedzieliby tego wprost. Mówili, że to wakacje, tacy już byli, woleli pozostawić pewne rzeczy niedopowiedziane, na tym polegała ich strategia. Podobnie nie dostrzegali braku jakichkolwiek kontaktów między nią i Kainene, a także tego, że Olanna przyjeżdża do domu tylko wtedy, gdy ma pewność, że Kainene ich nie odwiedzi.

Jadąc taksówką z lotniska, Arize uczyła Dzidzie piosenki, a Olanna patrzyła na przesuwany się za oknem Lagos: wzmożony ruch uliczny, pordzewiałe autobusy i oczekujące na nie wyczerpane tłumy, naganiacze, żebracy poruszający się na płaskich drewnianych wózkach, obdarci uliczni sprzedawcy podsuwający tace ludziom, którzy albo nie chcieli, albo nie mogli nic od nich kupić.

Kierowca zatrzymał taksówkę w Ikoyi przed otoczoną murem posiadłością jej rodziców. Zerknął na wysoką bramę.

– Chyba kiedyś mieszkał tu ten zabity minister, abi, ciociu? – zapytał.

Olanna udała, że go nie słyszy, i tylko powiedziała do Dzidzi:

– Popatrz, co zrobiłaś z sukienką? Szybko do środka, żebyśmy mogły to sprać!

Później pojechały z kierowcą jej matki, Ibekiem, do supermarketu Kingsway. Supermarket pachniał świeżą farbą. Arize chodziła między regałami, zachwycając się jak dziecko, dotykała plastikowych opakowań, wybierała dziecięce ubranka, różowy wózek, plastikową lalkę o niebieskich oczach.

– Siostró, w supermarketach wszystko jest takie błyszczące – powiedziała, śmiejąc się. – Tu w ogóle nie ma kurzu!

Olanna wzięła do ręki białą sukienkę wykończoną różową koronką.

– O maka. Śliczna.

– Za droga – stwierdziła Arize.

– Nikt nie pytał cię o zdanie.

Dzidia ściągnęła lalkę z dolnej półki i odwróciła ją do góry nogami, a lalka wydała płaczliwy dźwięk.

– Nie, Dzidziu. – Olanna wzięła lalkę i odłożyła ją na miejsce.

Jeszcze trochę czasu zeszło im na zakupach, potem wybrały się na targ w Yabie, gdzie Arize miała kupić sobie materiały. Prowadząca na targ droga Tejuosho była zatłoczona, całe rodziny gromadziły się wokół garnków z bulgoczącym jedzeniem, kobiety piekły w osmalonych misach kukurydzę i banany, obnażeni do pasa mężczyźni ładowali worki na ciężarówki ozdobione ręcznie wypisanymi mądrościami: NIC NIE TRWA WIECZNIE. BÓG WIE NAJLEPIEJ. Ibekie zaparkował samochód w pobliżu kiosków z gazetami. Olanna zerknęła na stojących obok ludzi pogrążonych w lekturze „Daily Times’a” i poczuła, jak jej krok nabiera lekkości od wypełniającej ją dumy. Nie miała wątpliwości, że czytają artykuł Odenigba, w gazecie nie było lepszego. Sama go zredagowała, starając się złagodzić jego retorykę, tak aby argumentacja – mówiąca, że tylko jednolity rząd może usunąć podziały wynikające z regionalizmu – była bardziej przekonująca.

Wzięła Dzidię za rękę i poprowadziła ją między przydrożnymi sprzedawcami siedzącymi pod parasolami obok starannie poukładanych na emaliowanych tacach baterii, kłódek i papierosów. Główne wejście na targ było wyjątkowo opustoszałe. Ale już po chwili Olanna dostrzegła przed sobą tłum ludzi. W samym środku stał mężczyzna w pośliskim podkoszulku, a dwóch innych biło go, raz jeden, raz drugi, wymierzając mu metodyczne, głucho rozbrzmiewające ciosy. „Dlaczego teraz? Dlaczego zaprzeczasz?” Mężczyzna wpatrywał się w nich zupełnie skonsternowany, z każdym ciosem coraz niżej pochylając kark. Arize zatrzymała się.

Jakiś głos w tłumie zawołał:

– Rachujemy łbów. Oya, chodź i przedstaw się. Należysz do łbów?

Arize bąknęła pod nosem: „I kwuna okwu”, jakby Olanna zamierzała coś powiedzieć, po czym pokręciła głową i zaczęła głośno i płynnie mówić w języku joruba, równocześnie jakby od niechcienia zawracając w stronę, z której przyszły. Tłum przestał się nimi interesować. Teraz ciosy w tył głowy otrzymywał inny mężczyzna, w ubraniu safari.

– Jesteś łbem! Nie zaprzeczaj! Wystarczy, że się przyznasz!

Dzidia zaczęła płakać.

– Mamusiu Ola! Mamusiu Ola!

Olanna wzięła ją na ręce. Ani ona, ani Arize nie odzywały się do siebie, dopóki nie znalazły się z powrotem w aucie. Ibekie zdążył już zawrócić samo-

chodem i spoglądał w lusterko wsteczne.

– Widziałem biegnących ludzi – powiedział.

– Co tu się dzieje? – zapytała Olanna.

Arize wzruszyła ramionami.

– Słyszeliśmy pogłoski, że od zamachu stanu takie rzeczy dzieją się w Kadunie i w Zarii, ludzie wychodzą na ulice i dręczą łąbów, bo podobno ten zamach stanu był wywołany właśnie przez łąbów.

– Ezi okwu? Naprawdę?

– Tak, ciociu – odparł szybko Ibekie, jakby tylko czekał, kiedy będzie mógł się odezwać. – Mój wujek w Ebutte Metta od zamachu stanu nie śpi w swoim domu. Wszyscy jego sąsiedzi są Jorubami i powiedzieli, że jacyś ludzie o niego pytali. Każdą noc spędza w innym miejscu, a jednocześnie stara się prowadzić interesy. Dzieci odesłał do swojego domu rodzinnego.

– Ezi okwu? Naprawdę? – powtórzyła Olanna. Czowała w sobie jakąś pustkę. Nie miała pojęcia, że mogło dojść do czegoś takiego. Nsukka była zaściankiem i docierające tam wieści były mało realne, stanowiły jedynie pożywkę dla wieczornych dyskusji, dla pełnych ekspresji wystąpień i płomiennych artykułów Odenigba.

– Wszystko się uspokoi – rzekła Arize, dotykając ramienia Olanny. – Nie martw się.

Olanna skinęła głową i spojrzała na widniejący na pobliskiej ciężarówce napis: DO NIEBA NIE ZATELEFONUJESZ. Wprost nie mogła uwierzyć, z jaką łatwością potrafiły wyprzeć się swojego pochodzenia, swojej tożsamości – tego, że są z ludu Ibo.

– Ubiorę ją w tę białą sukieneczkę na chrzest, siostró – odezwała się Arize.

– Co mówisz?

Arize wskazała na swój brzuch.

– Twoja chrześnica włoży tę białą sukieneczkę na swój chrzest. Bardzo ci dziękuję, siostró.

Widoczny w oczach Arize blask skłonił Olanę do wymuszonego uśmiechu. W końcu naprawdę wszystko się uspokoi. Połaskotała Dzidzie, ta jednak się nie roześmiała. Wpatrywała się w matkę przerażonymi oczami, w których jeszcze nie obeschły łzy.

Richard obserwował Kainene, która zasuwiała zamek błyskawiczny liliowej sukienki i odwróciła się do niego. W jasno oświetlonym hotelowym pokoju patrzył na nią i na jej odbicie w znajdującym się za nią lustrze.

– Nke a ka mma – powiedział. Sukienka rzeczywiście była ładniejsza od tej czarnej, leżącej na łóżku, tej, którą wcześniej wybrała na przyjęcie u swoich rodziców. Skłoniła się kpiąco i usiadła, by włożyć buty. Wyglądała nieomal pięknie: puder wygładzał jej skórę, usta umalowała czerwoną szminką, była odprężona, a nie tak spięta jak ostatnio, kiedy biegła za kontraktem z Shell-BP. Tuż przed wyjściem Richard odgarnął włosy peruki i pocałował ją w czoło, żeby nie rozmazać szminki.

Salon jej rodziców przystrojony był jaskrawymi balonami. Przyjęcie trwało w najlepsze. Ubrani na czarno-biało kelnerzy kręcili się z tacami i przymilnymi uśmiechami, trzymając głowy idiotycznie wysoko. W podłużnych kieliszkach musował szampan, w świetle żyrandoli odbijał się blask biżuterii na szyjach tłustych kobiet, a ulokowany w kącie zespół grał muzykę high life tak głośno i z taką werwą, że ludzie musieli skupiać się w grupki, żeby słyszeć się nawzajem.

– Widzę tu wiele szych z nowego reżimu – odezwał się Richard.

– Tatuś nie marnuje czasu i bardzo szybko się integruje – powiedziała mu do ucha Kainene. – Wyniósł się stąd, dopóki wszystko się nie uspokoiło, ale już wrócił, żeby nawiązać nowe znajomości.

Richard zlustrował pozostałą część pomieszczenia. Zaraz po prawej stał pułkownik Madu, który wyróżniał się szerokimi barami, szeroką twarzą i grubymi rysami oraz głową wyrastającą ponad wszystkich pozostałych. Rozmawiał z jakimś Arabem ubranym w obcisły smoking. Kainene podeszła do nich, żeby się przywitać, a Richard poszedł poszukać drinka, bo w tym momencie nie zamierzał rozmawiać z Madu.

Matka Kainene zbliżyła się do niego i pocałowała go w policzek, Richard wiedział, że musi być pijana, w przeciwnym razie przywitałaby się z nim tym swoim typowym lodowatym „Witam”. Jednak teraz powiedziała mu, że świet-

nie wygląda, i osaczyła go w niefortunnym kącie pokoju, gdzie musiał stać tyłem do ściany i bokiem do przerażającej rzeźby, która chyba miała przypominać ryczącego lwa.

– Kainene mówiła mi, że wkrótce wybierasz się do domu, do Londynu? – zapytała. Zbyt mocny makijaż nadał jej hebanowej cerze woskowy wygląd. Z jej ruchów biła jakaś nerwowość.

– Tak, nie będzie mnie dziesięć dni.

– Tylko dziesięć? – Powiedziała to z półuśmiechem. Być może miała nadzieję, że wyjedzie na dłużej i w końcu uda się jej znaleźć odpowiedniego partnera dla córki. – Jedziesz odwiedzić rodzinę?

– Mój kuzyn Martin się żeni – odparł Richard.

– Och, rozumiem... – Ciężkie obręcze złota na szyi przytłaczały ją, głowa sprawiała wrażenie przygniecionej ciężarem wielkiego stresu, tym bardziej widocznego, że tak bardzo starała się go ukryć. – Może w takim razie umówimy się na drinka w Londynie. Namawiam męża na kolejny mały wakacyjny wypad. Nie spodziewam się bynajmniej, że coś się wydarzy, ale nie wszystkim podoba się ten proponowany przez rząd dekret o zjednoczeniu. Po prostu lepiej nie być tutaj, dopóki wszystko się nie ustabilizuje. Być może wyjedziemy w przyszłym tygodniu, ale nikomu o tym nie mówimy, więc zachowaj tę wiadomość dla siebie. – Żartobliwie dotknęła jego rękawa, a w krzywiźnie jej warg Richard na moment zobaczył usta Kainene. – Nie powiedzieliśmy o tym nawet naszym przyjaciołom, państwu Ajuahom. Poznałeś prezesa Ajuahę, właściciela rozlewni? Oni są łbami, ale pochodzą z Zachodu. Podobno należą do tych, którzy wypierają się swojego pochodzenia. Kto wie, co mogą naopowiadać o nas? Kto to może wiedzieć?... Są gotowi sprzedać innych łbów za marne grosze. Za marne grosze, mówię ci. Napijesz się jeszcze? Poczekaj tu, a ja przyniosę drinka. Tylko tu zaczekaj.

Kiedy odeszła chwiejnym krokiem, Richard ruszył na poszukiwanie Kainene. Znalazł ją na balkonie, gdzie stała z Madu, spoglądając w dół, na basen. W powietrzu wisiał ciężki zapach pieczonego mięsa. Przez chwilę obserwował tę dwójkę. Głowa Madu była lekko przechylona na bok, w stronę mówiącej Kainene, i przy jego potężnej sylwetce jej ciało sprawiało wrażenie bardzo kruchej, zdawali się pasować do siebie jak ulał. Oboje ciemni, jedno wysokie i chude, drugie wyższe i potężnie zbudowane. Kainene odwróciła się i dostrzegła go.

– Richardzie – odezwała się.

Dołączył do nich i uścisnął dłoń Madu.

– Jak się pan ma, Madu? A na-emekwa? – zapytał, pragnąc odezwać się pierwszy. – Jak się żyje na Północy?

– Nie mogę narzekać – odparł Madu po angielsku.

– Nie ma z panem Adaobi? – Żałował, że Madu częściej nie chodzi w gości ze swoją żoną.

– Nie – odrzekł Madu i wypił łyżeczek drinka, najwyraźniej niezadowolony, że ktoś przeszkadza im w pogawędce.

– Widziałam, że moja mama cię zabawiała, to fascynujące – odezwała się Kainene. – Madu i ja utknęliśmy tu na jakiś czas z Ahmedem. Ahmed chciałby kupić hurtownię tatusia w Ikeji.

– Twój ojciec nic mu nie sprzeda – oświadczył Madu, jakby to on miał podejmować decyzję. – Syryjczycy i Libańczycy już i tak mają połowę Lagos, a do tego wszyscy są cholernymi oportunistami, którym nie zależy na tym kraju.

– Ja bym mu sprzedała, gdyby tylko przestał tak wstrętne cuchnąć czosnkiem – powiedziała Kainene.

Madu roześmiał się.

Kainene wsunęła dłoń w rękę Richarda.

– Właśnie mówiłam Madu, że twoim zdaniem szykuje się kolejny zamach stanu.

– Nie będzie żadnego zamachu stanu – stwierdził Madu.

– Wiedziałbyś o tym, prawda, Madu? W końcu teraz jesteś taką wielką szychą, panem pułkownikiem – drażniła się z nim Kainene.

Richard mocniej ścisnął jej dłoń.

– W zeszłym tygodniu byłem w Zarii i wyglądało na to, że nikt nie mówi o niczym innym jak o drugim zamachu stanu, wyłącznie o drugim zamachu stanu. Nawet rozgłośnia Kaduna i gazeta „New Nigerian” – powiedział w języku ibo.

– Co tak naprawdę prasa może wiedzieć? – odparł Madu po angielsku. Zawsze tak się zachowywał; Richard już dosyć płynnie mówił w języku ibo, więc Madu uparcie odpowiadał mu po angielsku, żeby zmusić Richarda do przejścia na angielski.

– Gazety zamieszczały artykuły o dżihadzie, a radio Kaduna non stop nadało przemówienia nieboszczyka Sardauny. I ciągle mówiono o tym, że Ibo wie zamierzają przejąć administrację państwową i...

– Nie będzie żadnego drugiego zamachu stanu – przerwał mu Madu. – W wojsku stosunki są nieco napięte, ale w armii zawsze tak jest. Kosztował pan koziego mięsa? Wspaniale, prawda?

– Tak – zgodził się Richard niemal machinalnie, lecz zaraz tego pożałował. Powietrze w Lagos było wilgotne, a kiedy stał przy Madu, zdawało się wręcz duszne. W towarzystwie tego człowieka zawsze czuł się jak ktoś gorszy, mało istotny.

Drugi zamach stanu miał miejsce tydzień później i w pierwszej chwili Richard nawet napawał się swoim wątpliwym sukcesem. Właśnie po raz kolejny czytał list Martina, siedząc w sady w miejscu, o którym Kainene często mówiła, że pojawiło się tam wgłębienie kształtem i rozmiarem dokładnie odpowiadające jego pośladowcom.

Czy nadal używa się określenia „going native” w odniesieniu do osób, które asymilują się na terenach dawnych kolonii? Zawsze wiedziałem, że Ty tak zrobisz! Słyszałem od matki, że porzuciłeś myśl o pisaniu książki o sztuce plemiennej, natomiast spodobał Ci się pomysł tej zbeletryzowanej powieści podróżniczej. Czy to prawda? Poruszającej też kwestie niegodziwości Europejczyków w Afryce! Z chęcią wysłucham więcej na ten temat, kiedy będziesz w Londynie. Szkoda, że zrezygnowałeś ze starego tytułu: „Kosz pełen rąk”. Czy w Afryce też odrąbywano ręce? Wydawało mi się, że tak było tylko w Indiach. Bardzo mnie to ciekawi!

Richard wyobrażał sobie uśmiech Martina, tak doskonale znany mu z czasów szkolnych, kiedy ciotka Elizabeth zmuszała ich do ciągłej aktywności, obsesyjnie przekonana, że nie wolno siedzieć w miejscu: jak nie turnieje krykieta, to lekcje boksu czy tenis albo lekcje fortepianu udzielane przez sepleniącego Francuza. Martin we wszystkim czuł się doskonale, z jego twarzy nigdy nie schodził uśmiech wyższości charakterystyczny dla ludzi, którzy urodzili się, by znaleźć swoje miejsce i móc się wykazać.

Richard sięgnął ręką po polny kwiat, który przypominał mu mak, i zerwał go. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać ślub Martina, w końcu jego narzeczona jest, ni mniej ni więcej, tylko projektantką mody. Szkoda, że Kainene nie może z nim pojechać, szkoda, że musi tu zostać, żeby podpisać ten nowy kontrakt. Bardzo chciał pokazać ją ciotce Elizabeth, Martinowi i Virginii, ale przede wszystkim chciał zaprezentować im siebie, mężczyznę, jakim się stał po tych wszystkich spędzonych tu latach – pragnął, żeby zobaczyli, jak zbrązowił i o ile jest szczęśliwszy.

Podszedł do niego Ikejide.

– Panie Richard, sah! Pani mówi, przyprowadź pana. Był następny zamach

stanu – powiedział Ikejide. Wyglądał na przejętego.

Richard pospieszył do domu. To on miał rację, a Madu się mylił. Wilgoć lipcowego upału przykleiła mu włosy do głowy, więc w drodze do domu przeciągnął po nich dłonią. Kainene siedziała na sofie w sypialni i objawszy się ramionami, kołysała się do przodu i do tyłu. Płynący z radia brytyjski komentarz był tak głośny, że podniosła głos, mówiąc:

– Oficerowie z Północy przejęli władzę. BBC podaje, że w Kadunie zabi-
ją oficerów pochodzących z plemienia Ibo. Nigeryjskie radio nic nie podaje.
– Mówiła zbyt szybko. Stanął za nią i zaczął głaskać jej ramiona, kolistymi ru-
chami masując zeszywniałe mięśnie. Zasapany brytyjski głos w radiu wyrażał
zdumienie, że do drugiego zamachu stanu doszło zaledwie sześć miesięcy
po pierwszym.

– Zdumiewające. Naprawdę zdumiewające – powiedziała Kainene. Gwał-
townym nerwowym ruchem wyciągnęła rękę i strąciła radio ze stołu. Upadło
na pokrytą dywanem podłogę, ze środka wytoczyły się poluzowane baterie. –
W Kadunie jest Madu – dodała i ukryła twarz w dłoniach. – W Kadunie jest
Madu.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – pocieszył ją Richard. – Wszystko
będzie dobrze.

Po raz pierwszy pomyślał o możliwości śmierci Madu. Postanowił na ra-
zie nie wracać do Nsukki, chociaż sam nie wiedział, dlaczego podjął taką de-
cyzję. Czy rzeczywiście chodziło o to, że chciał być przy niej, kiedy Kainene
się dowie o śmierci Madu?

Przez kilka następnych dni była tak nerwowa z niepokoju, że nawet on za-
czął się martwić o Madu, choć później sobie to wyrzucał, a jeszcze później ża-
łował, że robił sobie wyrzuty. Nie powinien być tak małostkowy. W końcu
to ona wciągnęła go w swoje zatroskanie, jakby Madu był ich wspólnym przy-
jacielem, a nie tylko jej. Opowiadała mu, do kogo dzwoniła, mówiła o tym,
jak próbowała się dowiedzieć, co się stało. Jednak nikt nic nie wiedział. Żona
Madu nic nie słyszała. Lagos był pogrążony w chaosie. Jej rodzice wyjechali
do Anglii. Wielu oficerów z plemienia Ibo poniosło śmierć. Zabójstwa miały
charakter zorganizowany. Kainene opowiedziała mu o pewnym żołnierzu, który
mówił, że w koszarach wezwano cały batalion na apel, a kiedy wszyscy się
zebrali, żołnierze z Północy wyszukali żołnierzy Ibo, po czym zabrali ich
ze sobą i rozstrzelali.

Choć Kainene była przygaszona i cicha, nigdy nie widział jej zapłakanej,
więc tego dnia, kiedy powiedziała mu: „Coś się dowiedziałam” głosem ury-

wanym od szloch, pewien był, że to wiadomość o Madu. Zastanawiał się, jak ją pocieszyć i czy w ogóle jest w stanie ją pocieszyć.

– Udodi... – powiedziała Kainene. – Zabili pułkownika Udodiego Ekechiego.

– Udodiego? – Do tego stopnia był przekonany, że chodzi o Madu, że przez chwilę nie potrafił pozbierać myśli.

– Żołnierze z Północy wsadzili go do celi w koszarach i karmili go jego własnym gównem. Jadł własne gówno... – przerwała. – Potem bili go do utraty przytomności, w końcu przywiązali do żelaznego krzyża i wrzucili z powrotem do celi. Umarł przywiązany do żelaznego krzyża. Umarł na krzyżu.

Richard powoli usiadł. Jego niechęć do Udodiego – tego hałaśliwego pijaka wręcz ociekającego obłudą – w ostatnich latach tylko się pogłębiła. Ale spoważniał na wieść o jego zgonie. Ponownie pomyślał o śmierci Madu i uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, jak w takiej sytuacji powinien się czuć.

– Kto ci o tym powiedział?

– Maria Obele. Jest kuzynką żony Udodiego. Powiedziała, że podobno na Północy nie udało się uciec żadnemu oficerowi pochodzącemu z Iłow. Ale niektórzy z Umunnachi mówili, że Madu uciekł. Adaobi nic nie słyszała. Jak on mógł uciec? No jak?

– Może gdzieś się ukrył.

– Ale jak? – ponownie zapytała Kainene.

Pułkownik Madu zjawił się w domu Kainene dwa tygodnie później. Stracił sporo na wadze i wyglądał na dużo wyższego, przez białą koszulę wyzierały jego kościste łopatki.

Kainene wykrzyknęła:

– Madu! To naprawdę ty? O gi di ife a?

Richard nie miał pewności, które z nich podeszło pierwsze, w każdym razie objęli się mocno. Kainene dotykała ramion i twarzy Madu z taką czułością, że Richard poczuł się zmuszony odwrócić wzrok. Podeszedł do barku i nalał whisky dla Madu i dzin dla siebie.

– Dziękuję, Richardzie – powiedział Madu, lecz nie wziął drinka, a Richard stał tak z dwiema szklankami w rękach i dopiero po chwili jedną odstaawił.

Kainene przysiadła na stoliku przed Madu.

– Mówili, że zastrzelono cię w Kadunie, potem że cię żywcem pogrzebano w buszu, potem że uciekłeś, a jeszcze później, że jesteś więziony w Lagos.

Madu nic nie odpowiedział. Kainene nie odrywała od niego wzroku. Richard dopił drinka i nalał sobie następnego.

– Pamiętasz mojego znajomego Ibrahima? Z Sandhurts? – w końcu zapytał ją Madu.

Kainene skinęła głową.

– Ibrahim uratował mi życie. Tamtego ranka powiedział mi o zamachu stanu. Sam nie był bezpośrednio w to zaangażowany, ale większość z nich, oficerów z Północy, wiedziała, co się święci. Zawiózł mnie do domu swojego kuzyna, choć nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje, a zrozumiałem, dopiero kiedy poprosił tego kuzyna, żeby zabrał mnie na tyły domu, gdzie trzyma swoje zwierzęta domowe. Przez dwa dni spałem w kurniku.

– Nie! Ekwuzina!

– I czy wyobrażasz sobie, że żołnierze przyszli przeszukać dom jego kuzyna, węsząc za mną? Wszyscy wiedzieli, jak blisko jesteśmy z Ibrahimem, podejrzewano więc, że pomógł mi w ucieczce. Ale kurnika nie sprawdzili. – Pułkownik Madu przerwał i przez chwilę ze wzrokiem wbitym w dal tylko kiwał głową. – Nie wiedziałem, jak bardzo śmierdzi kurze łajno, póki nie spędziłem w nim trzech dni. Trzeciego dnia Ibrahim przesłał mi przez jakiegoś chłopca kaftan i pieniądze, prosząc, żebym natychmiast się wyniósł. W przebraniu nomady Fulani poszedłem przez mniejsze wioski, bo Ibrahim powiedział, że artylerzyści rozmieścili blokady na wszystkich głównych drogach w Kadunie. Szczęśliwie trafiłem na kierowcę ciężarówki, człowieka z plemienia Ibo z Ohafii, który podwiózł mnie do Kafanchanu. Mieszka tam mój kuzyn. Pamiętasz Onunkwa, prawda? – Madu nie czekał na odpowiedź Kainene. – Pracuje jako zawiadowca na kolei i powiedział mi, że żołnierze z Północy zamknęli dostęp do mostu Makurdi. Ten most to jeden wielki grób. Przeszukiwali każdy samochód, zatrzymywali pociągi pasażerskie nawet na osiem godzin i strzelali do wszystkich żołnierzy z plemienia Ibo, których tam znaleźli, a potem ich ciała zrzucali z mostu. Wielu żołnierzy było przebranych, ale rozpoznawali ich po nogach.

– Co? – Kainene nachyliła się do przodu.

– Po nogach. – Madu spojrział na swoje. – Chyba wiesz, że w wojsku przez cały czas chodzi się w butach, więc sprawdzali stopy wszystkich mężczyzn i jeśli któryś z Iboów miał stopy czyste i niepopękane od harmattanu, zabierali go i zabijali. Sprawdzali im jeszcze skórę na czołach, czy nie jest jaśniejsza od noszenia wojskowego beretu. – Madu pokiwał głową. – Onunkwo poradził mi odczekać kilka dni. Uważał, że nie uda mi się przekroczyć mostu, bo z ła-

twością rozpoznają mnie nawet w przebraniu. Zostałem więc dziesięć dni w wiosce niedaleko Kafanchanu. Onunkwo wyszukiwał mi różne inne domy, w których mogłem się zatrzymać. Mieszkanie u niego nie było bezpieczne. W końcu powiedział, że znalazł maszynistę, dobrego człowieka z Nnewi, który ukryje mnie w cysternie z wodą w pociągu towarowym. Ten mężczyzna kazał mi się ubrać w strój strażacki i wszedłem do cysterny. Woda sięgała mi do brody. Ilekroć pociągiem szarpnęło, wlewała mi się do nosa. Wjechaliśmy na most i żołnierze bardzo dokładnie przeszukali pociąg. Słyszałem kroki na pokrywie zbiornika, już myślałem, że nadszedł mój koniec. Ale nie otworzyli cysterny i udało nam się przejechać. Dopiero wówczas uwierzyłem, że żyję i że uda mi się przetrwać. Po powrocie do Ummunachi zobaczyłem Adaobi w żałobie.

Madu skończył mówić, jednak Kainene długo jeszcze nie spuszczała z niego wzroku. Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy, podczas której Richard poczuł się niezręcznie, ponieważ nie wiedział, jak powinien zareagować, jaki przybrać wyraz twarzy.

– Po tym co się stało, żołnierze z plemienia Ibo i ci z Północy już nigdy nie zamieszkają w tych samych koszarach. To niemożliwe, niemożliwe... – stwierdził pułkownik Madu. W jego oczach widać było szklisty połysk. – A Gowon nie może być głową państwa. Nie mogą zmusić nas do zaakceptowania Gowona jako głowy państwa. Tak się nie załatwia tych rzeczy. Są wyżsi od niego rangą.

– Co teraz zamierzasz robić? – spytała Kainene.

Madu zdawał się jej nie słyszeć.

– Tylu naszych zginęło... – powiedział. – Tylu rzetelnych, porządnych ludzi. Udodi, Iloputaife, Okunweze, Okafor... Oni wszyscy wierzyli przecież w Nigerię i nie kierowali się interesem plemiennym. Przecież taki Udodi lepiej mówił językiem hausa niż ibo, a oni tak go zamordowali... – Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju. – Problem leżał w polityce równowagi etnicznej. Byłem w komisji, która poinformowała naszego głównodowodzącego, że powinniśmy od niej odstąpić, bo doprowadza do polaryzacji w armii, że powinniśmy przestać awansować ludzi z Północy, którzy nie mają odpowiednich kwalifikacji. Ale nasz głównodowodzący, nasz b r y t y j s k i głównodowodzący nie zgodził się na to. – Madu odwrócił się i spojrzał na Richarda.

– Polecę Ikejidemu, żeby przygotował twój ulubiony ryż – odezwała się Kainene.

Madu tylko wzruszył ramionami i w milczeniu wyglądał przez okno.

10

Ugwu nakrył stół do lunchu.

– Gotowe, sah – powiedział, choć zdawał sobie sprawę, że pan nie tknie zupy okro i wciąż będzie chodzić tam i z powrotem po salonie, słuchając głośno nastawionego radia, jak robił bez przerwy, odkąd mniej więcej godzinę temu wyszła panna Adebayo. Bardzo mocno waliła w drzwi frontowe, kiedy do nich przyszła, aż Ugwu wystraszył się, że rozbije szybę, a gdy otworzył, przecisnęła się obok niego, pytając tylko: „Gdzie twój pan? Gdzie jest twój pan?”.

– Zawołam go, mah – rzekł Ugwu, lecz panna Adebayo pospieszyła prosto do gabinetu pana. Słyszał, jak powiedziała: „Na Północy doszło do zamieszek” i poczuł suchość w gardle, ponieważ panna Adebayo nie była panikarą i na Północy musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego, a Olanna była właśnie w Kano. Od kiedy kilka tygodni temu doszło do drugiego zamachu stanu, w którym zginęli żołnierze łbów, starał się zrozumieć, co się dzieje, dokładniej czytał gazety, uważniej przysłuchiwał się panu i jego gościom. Rozmowy nie kończyły się już wybuchami pokrzepiającego śmiechu, a salon często zdawał się zasnuty aurą niepewności, jakiejś niepełnej wiedzy, jakby wszyscy zdawali sobie sprawę, że coś ma się wydarzyć, ale nie wiedzieli, co to może być. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że wydarzy się właśnie to, że w momencie kiedy Ugwu poprawiał obrus, spiker radia ENBC w Enugu powie: „Mamy potwierdzone informacje o śmierci pięciuset łbów w Maiduguri”.

– Bzdury! – wykrzyknął pan. – Słyszałeś to? Słyszałeś?

– Tak, sah – odparł Ugwu. Miał nadzieję, że hałas nie obudzi Dzidzi z poobiedniej drzemki.

– Niewiarygodne! – stwierdził pan.

– Sah, pańska zupa – powiedział Ugwu.

– Zabito pięciuset ludzi. Absolutne bzdury! To nie może być prawdą.

Ugwu zaniósł talerz do kuchni i wstawił go do lodówki. Zapach potraw przyprawiał go o mdłości, podobnie jak widok zupy czy w ogóle jedzenia. Ale

wkrótce obudzi się Dzidzia i będzie musiał zrobić jej kolację. Wyjął worek ziemniaków ze spiżarni i usiadł, gapiąc się w nie i rozmyślając o wydarzeniach sprzed dwóch dni, kiedy Olanna wyjeżdżała do Kano, żeby przywieźć ciotkę Arize, o jej zaplecionych w warkoczyki włosach, które naciągały skórę na jej czole, nadając mu połyskliwą kształtność.

Dzidzia przyszała do kuchni.

– Ugwu?...

– I tetago? Już wstałaś? – zapytał Ugwu, przytulając ją. Zastanawiał się, czy pan widział, jak przechodziła koło salonu. – Widziałaś kurczaczki we śnie?

Dzidzia roześmiała się, a dołeczki w jej policzkach zrobiły się głębsze.

– Tak!

– Rozmawiałaś z nimi?

– Tak.

– I co powiedziały?

Tym razem Dzidzia nie udzieliła tej samej odpowiedzi co zawsze. Puściła jego szyję i kucnęła na podłozie.

– Gdzie mamusia Ola?

– Mamusia Ola niedługo wróci. – Ugwu przyjrzał się ostrzu noża. – A teraz pomóż mi w obieraniu ziemniaków. Włóż obierki do kosza na śmieci, a jak wróci mamusia Ola, powiemy jej, że pomagałaś przy gotowaniu.

Kiedy Ugwu wstawił ziemniaki, wykapał ją, upudrował całe jej ciało talkiem „Pears” i przyniósł jej różową koszulkę nocną. Olanna mówiła, że tę koszulkę lubi najbardziej, bo Dzidzia wygląda w niej jak laleczka. Ale Dzidzia powiedziała: „Chcę pizamkę” i Ugwu nie był już taki pewien, co bardziej lubi Olanna, nocną koszulkę czy pizamkę.

Usłyszał pukanie do drzwi frontowych. Pan wybiegł z gabinetu. Ugwu rzucił się do drzwi i pierwszy dopadł klamki, bo zależało mu na tym, żeby to on je otworzył, chociaż zdawał sobie sprawę, że to nie może być Olanna. Miała własne klucze.

– Czy to ty Obiozo? – zapytał pan, patrząc na jednego z dwóch mężczyzn stojących w drzwiach. – Obiozo?

Kiedy Ugwu zobaczył tych mężczyzn, ich zapadnięte oczy i usmarowane brudem ubrania, od razu zrozumiał, że powinien zabrać Dzidzię, jakoś spróbować ją osłonić. Zaniósł jej jedzenie do sypialni, postawił na stolyczku do zabaw i powiedział, że może się bawić w kolację z Jill, bohaterką komiksu „Jack and Jill”, który dostarczano wraz z gazetą „Renaissance”. Stojąc przy

drzwiach prowadzących na korytarz, zerkał do salonu. Jeden z mężczyzn mówił, a drugi pił wodę z butelki, nie zwracając uwagi na stojącą na stole szklankę.

– Spotkaliśmy kierowcę ciężarówki, który zgodził się nas podwieźć – mówił mężczyzna, a Ugwu od razu zauważył, że to musi być krewniak pana; mówił z bardzo silnym dialektem z Abby i w jego ustach każde „f” brzmiało jak „w”.

– Co się stało? – spytał pan.

Mężczyzna odstawił butelkę z wodą i cicho powiedział:

– Zabijają nas jak mrówki. Słyszysz?... Jak mrówki.

– Wieleśmy widzieli, anyi afujugo anya – rzekł Obiozo. – Widziałem całą rodzinę, ojca, matkę i trójkę dzieci, leżących na drodze prowadzącej na parking. Po prostu tam leżeli.

– A co z Kano? Co się dzieje w Kano? – zapytał pan.

– To się zaczęło w Kano – odparł mężczyzna.

Obiozo coś jeszcze mówił o sępach i o ciałach wyrzuconych za mury miasta, ale Ugwu już go nie słuchał. W jego głowie rozbrzmiewały słowa: „To się zaczęło w Kano”. Nie chciał sprzątać pokoju gościnnego, szukać pościeli, podgrzewać zupy i przyrządzać dla nich świeżego garri. Chciał, żeby od razu sobie poszli. A jeśli nie odejdą, żeby przynajmniej zamknęli te swoje brudne gęby. Chciał też, żeby zamilkli spikerzy radiowy, jednak oni nie przestawali mówić. W kółko powtarzali wiadomości o masakrze w Maiduguri i Ugwu chciał już wyrzucić radio przez okno.

Następnego dnia po południu, kiedy ci mężczyźni wyjechali, bardzo poważny głos z rozgłośni ENBC w Enugu przedstawił świadectwa naocznych świadków wydarzeń na Północy: w Zarii wycięto w pień nauczycieli, podpalono wypełniony ludźmi kościół katolicki w Sokoto, w Kano rozplątano ciężarną kobietę. Prezenter wiadomości zrobił pauzę. „Niektórzy z naszych rodaków właśnie stamtąd wracają. Wracają ci, którym się udało. Stacje kolejowe są pełne naszych rodaków. Jeśli możecie podzielić się herbatą i chlebem, zanieście je, proszę, na dworce. Pomóżmy naszym braciom w potrzebie”.

Pan zerwał się z sofy.

– Idź, Ugwu – powiedział. – Zabierz herbatę i chleb i idź na dworzec kolejowy.

– Tak, sah – odparł Ugwu. Przed zaparzeniem herbaty zdążył jeszcze usmażyć banany na lunch dla Dzidzi. – Sah, włożyłem lunch Dzidzi do piekarnika – powiedział.

Nie był jednak pewien, czy pan go usłyszał, i po wyjściu martwił się, że Dzidia będzie głodna, a pan nie będzie wiedział, że w piekarniku są jej smażone banany. Zamartwiał się tym przez całą drogę na dworzec.

Powierzchnia peronu usłana była porozkładanymi matami i chustami, na których tłoczyli się ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, płacząc, jedząc chleb i opatrując rany. Między nimi krążyli sprzedawcy z tacami na głowach. Ugwu nie chciał wchodzić na ten obdarty bazar, ale zebrał się w sobie i ruszył w stronę siedzącego na ziemi mężczyzny, który głowę miał owiniętą poplamioną na czerwono szmatą. Zewsząd dochodziło uporczywe bzyczenie much.

– Chce pan chleba? – zapytał Ugwu.

– Tak, bracie. Dalu. Dziękuję.

Ugwu nie spojrzał, jak głęboko sięga rana od noża na głowie tego człowieka. Nalał herbatę i wyciągnął rękę z chlebem. Jutro nie będzie już pamiętał tego mężczyzny, bo nie będzie chciał go pamiętać.

– Chce pan chleba? – zapytał innego mężczyznę, siedzącego obok w zgarbionej pozycji. – I choro chleb?

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Ugwu cofnął się i o mało nie upuścił termosu. Prawe oko tego człowieka zniknęło zupełnie, a w jego miejscu widać było tylko soczyście czerwoną miazgę.

– Żołnierze nas uratowali – odezwał się pierwszy mężczyzna, jakby uważał, że powinien opowiedzieć swoją historię w zamian za chleb, który jadł, maczając go w herbacie. – Powiedzieli nam, żebyśmy biegli do koszar. Ci szaleńcy gonili nas, jakbyśmy byli zbiegłymi kozami, ale gdy w końcu minęliśmy bramę koszar, byliśmy bezpieczni.

Nadjechał rozklekotany pociąg tak przepełniony, że ludzie wisieli na zewnątrz wagonów, trzymając się metalowych prętów. Ugwu obserwował zmęczonych, pokrytych kurzem, zakrwawionych ludzi schodzących na peron, lecz nie dołączył do tych, którzy pobiegli im z pomocą. Nie potrafił znieść myśli, że Olanna może być jednym z tych kulejących, pokonanych ludzi, a równocześnie nie potrafił pogodzić się z tym, że jest inaczej, że ona wciąż jest gdzieś tam, gdzieś na Północy. Patrzył, dopóki pociąg nie opustoszał. Olanny nie było w nim. Zostawił resztę chleba jednookiemu mężczyźnie i odwróciwszy się, pobiegł. Nie zatrzymał się, dopóki nie znalazł się na ulicy Odim i nie minął krzewu z białymi kwiatami.

11

Olanna siedziała na werandzie domu Mohammeda, popijając schłodzone mleko ryżowe, śmiejąc się z rozkosznego zimna ściekającego w dół gardła i ze swoich lepkich ust, kiedy nagle pojawił się odźwierny i poprosił o rozmowę z Mohammedem.

Mohammed wyszedł i po chwili wrócił, niosąc coś, co przypominało broszurkę.

– Doszło do zamieszek – powiedział.

– Studenci, tak? – spytała Olanna.

– Wydaje mi się, że to chyba na tle religijnym. Musisz natychmiast wyjechać. – Uciekał wzrokiem przed jej spojrzeniem.

– Mohammedzie, uspokój się.

– Sule powiedział, że stawiają blokady na drogach i szukają niewiernych. Chodź szybko, chodź. – Ruszył już do wnętrza domu. Olanna poszła za nim. Mohammed za bardzo się przejmuje. Przecież muzulmańscy studenci wiecznie przeciw czemuś protestują, jak nie przeciw temu, to przeciw tamtemu, i zaczepiają ludzi ubranych w stylu zachodnim, ale zawsze dosyć szybko się rozchodzą.

Mohammed wszedł na moment do pokoju i wrócił z dużą chustą na głowę.

– Nałóż to, żebyś mogła wmieszać się w tłum – powiedział. Olanna narzuciła chustę na głowę i zawinęła ją wokół szyi.

– Teraz wyglądam jak porządna muzulmanka – zażartowała.

Ale Mohammed ledwo się uśmiechnął.

– Chodźmy. Znam skrót na dworzec kolejowy.

– Na dworzec? Mohammedzie, Arize i ja wyjeżdżamy dopiero jutro – odrzekła Olanna. Prawie biegła, żeby dotrzymać mu kroku. – Wracam do Sabon Gari, do domu wuja.

– Olanno. – Mohammed uruchomił samochód, a auto szarpnęło, ruszając z miejsca. – Sabon Gari nie jest teraz bezpiecznym miejscem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Szarpała za chustę, obrębiający ją haft był szorstki w dotyku i nieprzyjemnie ocierał jej szyję.

– Sule mówi, że są dobrze zorganizowani.

Olanna wpatrywała się w niego nagle przerażona tym, jak bardzo on jest przerażony.

– Mohammedzie?

Mówił teraz głosem ściszym.

– Powiedział, że na Airport Road leżą ciała Ibów.

W tym momencie Olanna uzmysłowiła sobie, że tym razem to nie jest tylko kolejna demonstracja zorganizowana przez religijnych studentów. Strach wysuszył jej gardło na wiór. Złożyła dłonie.

– Proszę, pozwól mi najpierw zabrać rodzinę... Proszę.

Mohammed kierował się w stronę Sabon Gari. Minął ich autobus, zakurzony i żółty; wyglądał jak jeden z tych autobusów, jakich politycy używali podczas kampanii wyborczej, objeżdżając wiejskie tereny i rozdając wieśniakom ryż i pieniądze. Przez drzwi wychylał się mężczyzna trzymający przy ustach megafon, głośno rozbrzmiewały słowa wymawiane w języku hausa: „Ibowie muszą odejść. Niewierni muszą odejść. Ibowie muszą odejść”. Mohammed uściskał jej dłoń i nie puszczał jej, kiedy przejeżdżali obok tłumu młodych mężczyzn stojących przy drodze i skandujących separatystyczne hasło: „Araba, araba!”. Zwolnił i kilkakrotnie nacisnął klakson na znak solidarności, a kiedy pomachali mu, ponownie przyspieszył.

Pierwsza ulica w Sabon Gari była zupełnie pusta. Olanna najpierw dostrzegła dym wznoszący się jak strzeliste szare, mroczne cienie i dopiero po chwili poczuła zapach spalenizny.

– Zostań tu – powiedział Mohammed, zatrzymując samochód przed domem wujka Mbaeziego. Wysiadł, a ona odprowadziła go wzrokiem. Ulica wyglądała jakoś dziwnie, zupełnie obco, brama przed domem była wyłamana, metal leżał pogięty na ziemi. W tym momencie zauważyła budkę cioci Ifeki, a raczej to, co z niej zostało: drzazgi i leżące w kurzu opakowania z orzeszkami ziemnymi. Otworzyła drzwi i wyszła z samochodu. Na moment stanęła w miejscu, powstrzymana oślepiającym światłem i gorącym płomieniem kłębiących się nad dachem, unoszącym się w powietrzu piaskiem i kurzem, po czym rzuciła się biegiem w kierunku domu. Zatrzymał ją widok ciał. Wujek Mbaezi leżał twarzą do ziemi, jakoś niezgrabnie wykręcony, z rozrzuconymi nogami. Przez ogromne rozcięcie z tyłu głowy sączyło się coś kremowobiałego. Ciocia Ifeka leżała na werandzie. Rany na jej nagim ciele były mniejsze, pokrywały szramami jej ramiona i nogi na podobieństwo lekko rozchylonych czerwonych warg.

Olanna poczuła wzbierające w niej wodniste mdłości, a zaraz potem ogarnęło ją odrętwienie, które spłynęło aż do stóp. Mohammed ciągnął ją, włókł, czuła jego bolesny uścisk na ramieniu. Ale nie mogła odjechać bez Arize. Arize w każdej chwili może zacząć rodzić. Arize musi być blisko lekarza.

– Arize... – powiedziała. – Arize jest kawałek dalej.

Ciemne opary gęstniały wokół niej i nie była pewna, czy rzeczywiście na podwórze wlewa się tłum mężczyzn czy też widzi tylko smugi dymu, dopóki nie ujrzała błyszczących metalowych ostrzy ich siekier i maczet, i łopoczących wokół ich nóg splamionych krwią kaftanów.

Mohammed wcisnął ją do samochodu, obszedł go i sam wsiadł z drugiej strony.

– Pochyl głowę – powiedział.

– Wykończyliśmy całą rodzinę. Taka była wola Allaha – zawołał jeden z mężczyzn w języku hausa. Znała go. To był Abdulmalik. Trącił stopą leżące na ziemi zwłoki i dopiero teraz Olanna zauważyła, jak wiele ciał tam leży porzuczanych niczym szmaciane lalki.

– Kim jesteście? – zapytał inny człowiek stojący przed maską samochodu.

Mohammed otworzył swoje drzwi i nie wyłączając silnika, zwrócił się do niego w języku hausa, szybko coś mu perswadując. Mężczyzna odsunął się na bok. Olanna odwróciła się, chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam Abdulmalik.

– Nie podnoś głowy! – powiedział Mohammed. O centymetry minął drzewo kuka, jedna z wielkich łupin spadła właśnie na ziemię i Olanna usłyszała chrzęszczący odgłos miażdżenia, kiedy samochód przez nią przejechał. Opuściła głowę. To był Abdulmalik. Trącił kolejne zwłoki, pozbawione głowy ciało kobiety, i przekroczył je, najpierw postawił jedną nogę, potem drugą, chociaż było dość miejsca, żeby przejść obok.

– Allah na to nie zezwala – rzekł Mohammed. Trząśnięcie, całe jego ciało drżało. – Allah im nie wybaczy. Allah nie wybaczy ludziom, którzy ich do tego nakłonili. Allah nigdy tego nie wybaczy.

Jechali w jakiejś obłądnej ciszy, mijając policjantów w obryzganym krwią mundurach, mijając sępy siedzące przy drodze, mijając chłopców niosących zrabowane radia, aż Mohammed zaparkował samochód na dworcu kolejowym i wepchnął ją do zatłoczonego pociągu.

Olanna usiadła z kolanami podciągniętymi do piersi na podłodze pociągu, czując napierające na nią ciepłe spocone ciała otaczających ją ludzi. Na ze-

wnątrz pociągu ludzie wisieli przypięci do wagonów, niektórzy stali na stopniach, trzymając się poręczy. Usłyszała stłumione okrzyki, kiedy ktoś spadł. Pociąg stanowił masę luźno powiązanego metalu, podczas jazdy rzucało, jakby na torach ułożono progi zwalniające, i przy każdym wstrząsie Olanna wpadała na kobietę obok, opierając się o coś leżącego na jej kolanach, o wielką misę, kalebasę. Suknia kobiety upstrzona była nieregularnymi plamami wyglądającymi na ślady krwi, choć Olanna mogła się mylić. Oczy ją paliły. Miała wrażenie, że wypełnia je mieszanina pieprzu i piasku, kłująca i wypalająca powieki. Cierpiała katusze, mrugając, męczarnią było, kiedy ich nie otwierała, męczarnią, kiedy nie zamykała. Chciała je wyrwać z oczodołów. Zwilżała palce śliną i pocierała oczy. Czasami tak robiła Dzidzi, kiedy mała się zadrasnęła. „Mamusia Ola!”, zawodziła, podnosząc rączkę albo nóżkę będąca przyczyną kłopotów, a Olanna polizanym palcem przesuwiała po ranie. Ale teraz ślina jedynie wzmagala palenie w oczach.

Siedzący przed nią młody mężczyzna krzyknął i złapał się rękami za głowę. Pociąg gwałtownie skręcił, Olanna znowu uderzyła o kalebasę; twarde drewno było przyjemne w dotyku. Przesunęła dłoń do przodu i delikatnie pieściła krzyżujące się linie wyryte na kalebasie. Zamknęła oczy, czując, że wówczas trochę mniej palą, i trzymała tak zamknięte przez następne godziny, oparłszy rękę o kalebasę, aż ktoś krzyknął w języku ibo: „Anyi agafeela! Przejechaliśmy przez Niger! Dotarliśmy do domu!”.

Po podłodze pociągu rozlewał się jakiś płyn – rozpoznała mocz. Olanna czuła jego chłód wsączający się w jej sukienkę. Kobieta z kalebasą szturchnęła ją, a potem skinęła na znajdujących się w pobliżu ludzi.

– Bianu, chodźcie – powiedziała. – Chodźcie i popatrzcie. – Otworzyła kalebasę. – Popatrzcie – powtórzyła.

Olanna zajrzała do misy. Zobaczyła głowę malutkiej dziewczynki z szarą jak popiół skórą, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, wywróconymi oczami i otwartymi ustami. Wpatrywała się w tę twarz jak urzeczona i dopiero po chwili była w stanie odwrócić wzrok. Ktoś krzyknął.

Kobieta zamknęła kalebasę.

– Czy wy wiecie – powiedziała – ile czasu zajęło mi zaplecenie tych włosów? Miała takie gęste włosy...

Pociąg zatrzymał się z piskiem pordzewiałego żelastwa. Olanna wyszła na peron i stanęła w napierającym tłumie. Jakaś kobieta zemdląła. Pomocnicy kierowców uderzali w burty ciężarówek i wykrzykiwali: „Owerri! Enugu! Nsukka!”. Olanna myślała o warkoczyczkach spoczywających w kalebasie. Wy-

obrażała sobie, jak matka je zaplata, jak jej palce najpierw nakładają na włosy pomadę, a dopiero potem rozdzielają je drewnianym grzebieniem.

Samolot lądował już w Kano, a Richard po raz kolejny odczytywał wiadomość od Kainene. Znalazł ją chwilę wcześniej, szukając w aktówce czasopiśma. Żałował, że przez te dziesięć dni w Londynie nie wiedział o liściku, który tyle czekał, aż go przeczyta.

Czy miłością jest ta obłąkana potrzeba, abyś był przy mnie przez większość czasu? Czy miłością jest to poczucie bezpieczeństwa w Twoim milczeniu? Czy jest nią to poczucie przynależności, tego dopełnienia?

Uśmiechał się, czytając te słowa, Kainene nigdy jeszcze czegoś takiego do niego nie napisała. Miał wrażenie, że w ogóle nic do niego nie napisała oprócz ogólnikowego „Kochająca Kainene” na kartkach z życzeniami z okazji urodzin. Odczytywał tę wiadomość raz za razem, zatrzymując się nad każdą kolejną literą „C”, tak misternie zaokrągloną, że przypominała znak funta szterlinga. Nagle przestało mu przeszkadzać, że lot był opóźniony już w Londynie, a przesiadka w Kano przed lotem do Lagos jeszcze to opóźnienie wydłuży. Spowiła go jakaś absurdalna niefrasobliwość, wszystko było możliwe, z wszystkim można sobie poradzić. Wstał i pomógł kobiecie siedzącej obok wynieść torbę z samolotu. „Czy miłością jest to poczucie bezpieczeństwa w twoim milczeniu?”

– Bardzo pan uпрzejmy – odezwała się kobieta mówiąca z irlandzkim akcentem. Samolot pełen był osób spoza Nigerii. Gdyby była tu Kainene, z pewnością powiedziałaaby coś kpiąco, na przykład: „No i masz tych grasujących Europejczyków”. Uścisnął rękę stewardesie stojącej na dole schodków i szybkim krokiem przeszedł przez płytę lotniska; słońce świeciło intensywnie, w oślepiająco białym żarze czuł, jak jego płyny ustrojowe wyparowują, wysychają, toteż z ulgą wszedł do chłodnego budynku. Stojąc w kolejce do odprawy celnej, po raz kolejny odczytywał liścik od Kainene. „Czy miłością jest ta obłąkana potrzeba, abyś był przy mnie przez większość czasu?” Zamierzał po powrocie do Port Harcourt poprosić ją o rękę. Początkowo pewnie odpo-

wie coś w stylu: „Biały człowiek i do tego zupełny golec. Moi rodzice będą zgorszeni”. Ale zgodzi się. Wiedział, że się zgodzi. Ostatnio zaczął wyczuwać w niej jakąś łagodność, stonowanie, które było źródłem tego liściku. Nie miał pewności, czy wybaczyła mu incydent z Olanną – nigdy o tym nie rozmawiali – ale ta wiadomość, ta jej nowa otwartość oznaczała, że Kainene jest gotowa zrobić krok do przodu. Właśnie wyglądał na dłoni liścik, kiedy miody bardzo ciemnoskóry celnik zapytał:

– Ma pan coś do oclenia, sir?

– Nie – odparł Richard i podał mu swój paszport. – Jadę do Lagos.

– W porządku, pięknie, sir! Witamy w Nigerii – powiedział młody człowiek. Jego wielkie opasłe ciało wyglądało dosyć flejtuchowato w mundurze.

– Pan tu pracuje? – spytał Richard.

– Tak, sir. Jestem na szkoleniu. W grudniu zostanę pełnoprawnym celnikiem.

– Wspaniale – odparł Richard. – A skąd pan pochodzi?

– Z południowego wschodu, z miejscowości Obosi.

– To mała miejscowość w sąsiedztwie Onitshy.

– Zna pan to miejsce, sir?

– Pracuję na uniwersytecie w Nsuce i podróżowałem po Regionie Wschodnim. Piszę książkę o tamtych terenach. A moja narzeczona pochodzi z Umunnachi, to niedaleko od pańskich stron. – Poczł satysfakcję, że tak łatwo z jego ust wypłynęło słowo „narzeczona”, widomy znak przyszłego szczęścia pantoflarza. Uśmiechnął się i natychmiast zdał sobie sprawę, że jego uśmiech w każdej chwili grozi przekształceniem się w chichot, a on sam chyba jest trochę nazbyt rozentuzjasmowany. Wszystko przez ten liścik.

– Pańska narzeczona, sir? – Młody mężczyzna spojrział z dezaprobatą.

– Tak. Na imię ma Kainene. – Richard mówił powoli, starając się dokładnie przeciągnąć drugą sylabę.

– Pan mówi w języku ibo? – W oczach mężczyzny pojawił się lekki wyraz szacunku.

– Nwanne di na mba – powiedział Richard trochę enigmatycznie, mając nadzieję, że mu się nie pomieszało i to przysłowie rzeczywiście mówi o tym, że bracia mogą pochodzić z innej ziemi.

– Co?! Pan naprawdę mówi! I na-asu Igbo! – Młody mężczyzna chwycił dłoń Richarda w swój a wilgotną rękę, uścisnął ją serdecznie i zaczął opowiadać o sobie. Na imię miał Nnaemeka. – Świetnie znam ludzi z Umunnachi, potrafią napytać sobie biedy. W naszej rodzinie ostrzegano kuzynkę, żeby nie

wychodziła za mężczyznę z Umunnachi, ale nie posłuchała. Codziennie ją tam bili, aż spakowała swoje rzeczy i wróciła do domu ojca. Ale nie wszyscy w Umunnachi są źli. Rodzina mojej matki też stamtąd pochodzi. A może słyszał pan o matce mojej matki? Nwayike Nkwelle? Powinien pan opisać ją w swojej książce. Była wspaniałą zielarką i miała najlepsze lekarstwo na malarię. Gdyby kazała ludziom drogo płacić, teraz studiowałbym medycynę za granicą. Niestety mojej rodziny nie stać na wysłanie mnie za granicę, a ludzie w Lagos dają stypendia tylko dzieciom tych, którzy mogą ich przekupić. Właśnie dzięki Nwayike Nkwelle zapragnąłem zostać lekarzem. Ale też nie narzekam na pracę celnika. Przecież żeby dostać tę pracę, musimy zdać egzamin i wielu ludzi nam zazdrości. Kiedy zostanę pełnoprawnym urzędnikiem, będę miał lepsze życie i nie trzeba już będzie tyle cierpieć...

Głos mówiący po angielsku z eleganckim akcentem hausa ogłosił, że pasażerowie przybyli z Londynu powinni zacząć przechodzić w celu wejścia na pokład samolotu do Lagos. Richard poczuł ulgę.

– Miło się z panem rozmawiało, jisie ike – powiedział.

– Tak, sir, Proszę pozdrowić Kainene.

Nnaemeka odwrócił się i poszedł do swojego biurka. Richard podniósł teczkę. Nagle boczne drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wbiegli trzej mężczyźni trzymający uniesione karabiny. Ubrani byli w zielone wojskowe mundury i przez moment Richard zastanawiał się nawet, dlaczego żołnierze robią z siebie takie widowisko, wpadając w ten sposób na dworzec lotniczy, dopóki nie zauważył ich nabiegłych krwią zimnych jak stal oczu szaleńców.

Pierwszy z żołnierzy machnął karabinem.

– Ina nyamiri! Gdzie są Ibowie? Kto tu jest łbem? Gdzie są niewierni? Jakaś kobieta krzyknęła.

– Ty jesteś łbem – drugi z żołnierzy odezwał się do Nnaemeki.

– Nie, ja pochodzę z Katsiny! Z Katsiny!

Żołnierz podszedł do niego.

– Powiedz: Allahu akbar!

W poczekalni panowała cisza. Richard poczuł zimny pot ciążący mu na rzesach.

– Powiedz: Allahu akbar! – powtórzył żołnierz.

Nnaemeka ukląkł. Richard dostrzegł jego przestrach tak głęboko wryty, że policzki zupełnie mu się zapadły, przekształcając twarz w maskę zupełnie nieprzypominającą jego oblicza. Nie mógł powiedzieć: „Allahu akbar”, ponieważ zdradziłby go akcent. Richard pragnął, żeby Nnaemeka wypowiedział te sło-

wa, żeby chociaż spróbował; pragnął, żeby w tej dławiącej ciszy zdarzyło się coś, cokolwiek, i jakby w odpowiedzi na jego myśli karabin wypalił, i pierś Nnaemeki rozerwała się, rozbryzgała się czerwona masa, a Richard wypuścił liścik z dłoni.

Pasażerowie kulili się za krzeselkami. Mężczyźni padli na kolana i opuścili głowy do podłogi. Ktoś krzychał w języku ibo: „O matko! O matko! Bóg się nie zgadza!”. To krzychał barman. Jeden z żołnierzy podszedł doń i zastrzelił go, a potem wymierzył w stojące rzędem z tyłu butelki z alkoholem i strzelił do nich. Pomieszczenie wypełniło się zapachem whisky, campari i dżinu.

Pojawiło się już więcej żołnierzy, więcej strzałów i więcej krzyków „Ny-amiri!” i „Araba, araba!”. Barman wiał się na pochodzę, z jego ust wydobywał się gardłowy charkot. Żołnierze wybiegli na płytę lotniska, wpadli do samolotu i wyciągnawszy łbów, którzy już zdążyli wejść na pokład, ustawili ich w rzędzie i rozstrzelali, dała zostawili, a jasne ubrania zabitych odcinały się plamami koloru na zakurzonej czarnej przestrzeni. Lotniskowi strażnicy skrzyżowali ręce na umundurowanych piersiach i obserwowali wydarzenia. Richard poczuł, że zmoczył się w spodnie.

Uszy wypełniało mu bolesne dzwonięcie. O mało nie spóźnił się na samolot, bo kiedy inni pasażerowie chwiejnym krokiem wchodzili na pokład, on na uboczu wymiotował.

Susan była jeszcze w płaszczu kąpielowym. Nie wyglądała na zaskoczoną jego niespodziewanym przybyciem.

– Sprawiasz wrażenie bardzo zmęczonego – zauważyła, dotykając jego policzka. Jej szare matowe włosy były luźno ściągnięte do tyłu i odsłaniały pocizerwieniałe uszy.

– Przed chwilą przyleciałem z Londynu. Samolot najpierw lądował w Kano – powiedział.

– Ach, tak? – odparła Susan. – Jak się udało wesele Martina?

Richard siedział nieruchomo na sofie, nic już nie pamiętał z tego, co miało miejsce w Londynie. Susan zdawała się nie zauważać jego milczenia.

– Troszkę whisky z dużą ilością wody? – zapytała, nalewając drinki. – Kano jest chyba ciekawe, prawda?

– Tak – odrzekł Richard, chociaż w rzeczywistości chciał jej powiedzieć, z jakim zażenowaniem patrzył na ulicznych sprzedawców, na samochody i autobusy na zatłoczonych ulicach Lagos, bo tutaj życie toczyło się dalej normalnie, jak zawsze, jakby w Kano nic się nie wydarzyło.

– To trochę głupie, że mieszkańcy Północy wolą zapłacić obcokrajowcowi dwa razy więcej niż wynająć kogoś z Południa. Ale można tam zarobić spore pieniądze. Właśnie dzwonił Nigel i opowiadał o swoim znajomym, Johnie, jakimś koszmarnym Szkocie. W każdym razie ten John jest pilotem samolotów czarterowych i w ciągu kilku ostatnich dni zbił niezłą fortunę na przerzucaniu łąbów w bezpieczne miejsca. Mówił, że w samej Zarii zginęły ich setki.

Richard miał wrażenie, że jego ciało na coś się przygotowuje, jakby miało zaraz wpaść w drgawki albo się osunąć.

– W takim razie wiesz, co tam się dzieje?

– Oczywiście, że tak. Mam tylko nadzieję, że to nie dotrze do Lagos. Takich rzeczy nie da się przewidzieć. – Susan jednym łykiem wychyliła swojego drinka. Zauważył ziemisty odcień jej skóry, drobniutkie kropelki potu nad wargą. – Tutaj są tłumy łąbów. Prawdę mówiąc, oni są wszędzie, nie sądzisz? W zasadzie mogli się tego spodziewać, wystarczyło chwilę się zastanowić, zważywszy na to ich zamknięcie we własnej grupie, zadzieranie nosa i kontrolowanie rynku. To rzeczywiście takie bardzo żydowskie. I pomyśleć, że oni są dosyć prymitywni, nie można ich nawet porównać na przykład do Jorubów, którzy od wielu lat na wybrzeżu mieli kontakty z Europejczykami. Pamiętam, że kiedy tu przyjechałam, ktoś ostrzegał mnie, żebym uważała, biorąc sobie służącego z ludu Ibo, bo zanim się obejrzę, zostanie właścicielem i mojego domu, i ziemi, na której ten dom stoi. Jeszcze whisky?

Richard pokręcił głową. Susan nalała sobie kolejnego drinka, tym razem nie dodając wody.

– Niczego chyba nie widziałeś na lotnisku w Kano, co?

– Nie.

– Wydaje mi się, że nie weszliby na teren lotniska. To doprawdy zdumiewające, jak ci ludzie nie potrafią zapanować nad wzajemną nienawiścią. To oczywiste, że każdy z nas kogoś nienawidzi, ale rzecz w tym, żeby nad tym panować. Cywilizacja uczy nas opanowania.

Susan dopiła drinka i nalała sobie następnego. Idąc do łazienki, wciąż jeszcze słyszał jej głos pogłębiający ból, który rozrywał mu głowę. Odkręcił kurek z wodą. Zdumiało go, że jego odbicie w lustrze pozostało niezmienione, że włosy w brwiach nadal niesfornie odstają, a oczy zachowały błękit jak z witraża. Po tym co widział, powinien przejść jakąś przemianę. Odczuwany wstyd powinien pozostawić na jego twarzy czerwone krosty. Nie doznał szoku na widok zabijanego Nnaemeki, tylko poczuł wielką ulgę, że nie ma z nim Kainene, ponieważ nie potrafiłby jej ochronić, a oni rozpoznaliby w niej Ibo i za-

strzeliliby ją. Nie mógł uratować Nnaemeki, jednak powinien najpierw o nim pomyśleć, powinien być do głębi poruszony śmiercią tego młodego człowieka. Patrzył w swoje odbicie i zastanawiał się, czy rzeczywiście to się wydarzyło, czy naprawdę widział ginących ludzi czy może ten utrzymujący się zapach z rozbitych butelek alkoholu i zakrwawionych ludzkich ciał był tylko wytworem jego wyobraźni. Ale wiedział, że to na pewno się zdarzyło, a podawał to w wątpliwość wyłącznie dlatego, że sam tego chciał. Zwiesił głowę nad umywalką i zaczął płakać. Woda z szumem tryskała z kurka.

3 – Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Pisze o niepodległości. Druga wojna światowa zmieniła porządek świata. Imperium Brytyjskie rozpadało się, a rodziła się coraz głośniejsz wyrażająca swoje opinie nigeryjska elita, w większości pochodząca z Południa.

Północ miała się na baczności – obawiała się, że zostanie zdominowana przez lepiej wykształcone Południe, a przecież i tak od dawna pragnęła kraju oddzielnego od niewiernego Południa. Jednak Brytyjczycy musieli zachować Nigerię w jej obecnym kształcie, swoje cenne dzieło, swój wielki rynek, sól w oku Francji. W celu zjednania sobie Regionu Północnego, sfałszowali na jego rzecz wyniki wyborów zorganizowanych przed uzyskaniem niepodległości i napisali nową konstytucję dającą Północy kontrolę nad administracją państwowa.

Południe, nazbyt spragnione niepodległości, przyjęło tę konstytucję. Kiedy już nie będzie Brytyjczyków, dobra wystarczy dla wszystkich: pensje „białych” – tak długo niedostępne dla Nigeryjczyków, awanse, najwyższe stanowiska. Nic nie zrobiono w sprawie żądań grup mniejszościowych, a regiony już teraz tak zażarcie ze sobą rywalizowały, że niektórzy domagali się odrębnych zagranicznych placówek dyplomatycznych.

W chwili uzyskania niepodległości w 1960 roku Nigeria stanowiła zbiór fragmentów utrzymywanych razem przez bardzo wątłą dłoń.

Mroczne Ataki zaczęły nękać Olanę w tym samym dniu, gdy wróciła z Kano, w dniu, w którym nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy wysiadła z pociągu, z nogami wszystko było w porządku i nie musiała trzymać się umazanych krwią poręczy, nie było też żadnych problemów, kiedy stała przez całą trzygodzinną podróż do Nsukki autobusem tak zatłoczonym, że nawet nie mogła sięgnąć ręką, żeby podrapać się w swędzące piety. Odmówiły jej posłuszeństwa w drzwiach domu Odenigba. I to samo stało się z pęcherzem. Poczowała miękkość w nogach, a zaraz potem wilgoć gorącego płynu ściekającego między udami. Znalazła ją Dzidzia. Podeszła do drzwi frontowych, żeby wyjrzeć na zewnątrz, pytając Ugwu, kiedy wróci mamusia Ola, a potem nagle krzyknęła, widząc pomięty kształt na schodach. Odenigbo wniósł Olanę do domu, wykapał ją i powstrzymywał Dzidzię, żeby zbyt mocno jej nie ścisnęła. Kiedy już Dzidzia zasnęła, Olanna opowiedziała Odenigbowi, co widziała. Opisała znajome ubrania na pozbawionych głowy ciałach na podwórzu, wciąż jeszcze niespokojne palce wujka Mbaeziego, wywrócone oczy w głowie dziecka w kalebasie, a także ten dziwny odcień skóry – matowy, ziemistoszary, jak źle wytarta tablica w szkole – tych wszystkich leżących na podwórzu ciał.

Tej nocy zdarzył się pierwszy Mroczny Atak. Z góry opadł na nią gruby koc i mocno przyłgął jej do twarzy, a ona z trudem łapała oddech. Kiedy wreszcie poczuła ulgę i mogła głęboko wdychać powietrze, zobaczyła w oknie płonące sowy, uśmiechające się i kiwające do niej osmalonymi skrzydłami. Próbowała opisać Odenigbowi te Mroczne Ataki. Próbowała też opowiedzieć mu, jak smakują tabletki przyniesione przez doktora Patela, lepkie i oślizgłe, jak jej język o poranku.

Ale Odenigbo zawsze odpowiadał: „Cii. nkem. Wszystko będzie dobrze”. Mówił do niej z przesadną łagodnością. Jego głos brzmiał jakoś głupio, zupełnie do niego nie pasował. Nawet śpiewał, kąpiąc ją w wannie wypełnionej wodą przesyconą zapachem płynu do kąpieli Dzidzi. Chciała poprosić go, żeby przestał tak głupio się zachowywać, lecz wargi miała jakieś ociężałe. Mówienie sprawiało jej wiele trudu. Niewiele się odzywała, kiedy odwiedzili

ją rodzice i Kainene, to Odenigbo opowiedział im, co widziała.

Początkowo matka siedziała obok ojca i tylko kiwała głową, słuchając tego beznadziejnie delikatnego głosu Odenigba. W pewnym momencie zasła-
bla, po prostu nagle zaczęła się osuwać, jakby jej kości zmiękły, i na wpeł le-
żąc, na wpeł siedząc, znalazła się na podłodze. Wtedy Olanna po raz pierwszy
widziała swoją matkę bez makijażu, bez złota wiszącego u uszu. I po raz
pierwszy od czasów dzieciństwa zobaczyła Kainene płaczącą. „Nie musisz
nam o tym mówić, nie musisz”, powiedziała Kainene szlochając, chociaż
Olanna nawet nie próbowała o tym opowiadać.

Ojciec chodził tam i z powrotem po pokoju. W kółko wypytywał Odenig-
ba, gdzie dokładnie Patel studiował medycynę i na jakiej podstawie uważa, że
niezdolność Olanny do chodzenia wynika z przyczyn psychologicznych. Opo-
wiedział, jak bardzo zdenerwowała ich konieczność jazdy tu samochodem aż
z Lagos, ponieważ nałożona przez rząd federalny blokada oznaczała, że linie
Nigeria Airlines zawiesiły loty na południowy wschód. „Chcieliśmy przyje-
chać natychmiast, natychmiast”, powtarzał tak często, że Olanna zaczęła się za-
stanawiać, czyjego zdaniem rzeczywiście to, kiedy przyjadą, mogło mieć ja-
kieś znaczenie. Jednak miało znaczenie, zwłaszcza że przyjechała także Kaine-
ne. To oczywiście nie oznaczało, że Kainene jej wybaczyła, ale i tak o czymś
świadczyło.

Przez kolejne tygodnie Olanna leżała w łóżku i ledwo kiwała głową, kiedy
znajomi i krewni przychodzili powiedzieć jej ndo – jak jest im przykro –
z ubolewaniem pokręcić głowami i pogderać o niegodziwości tych muzulmań-
skich Hausów, tych czarnych jak kody mieszkańców Północy, tych obrzydli-
wych hodowców bydła, których palce u stóp nadżarte są przez pchły piasko-
we. W dni kiedy ktoś ją odwiedzał, Mroczne Ataki były uciążliwsze, czasami
nawet trzy nadchodziły jeden zaraz po drugim, wyczerpując ją do tego stopnia,
że tylko ciężko dyszała i nie mogła nawet płakać, pozostawało jej ledwie tyle
sił, żeby przełknąć tabletki, które Odenigbo wsuwał jej do ust. Niektórzy go-
ście opowiadali różne historie – Okaforowie stracili syna i jego czteroosobo-
wą rodzinę w Zarii, córka państwa Ibe nie wróciła z Kaura-Namoda, rodzina
Onyekachich straciła czterech swoich członków w Kano. Były też inne opo-
wieści – o tym, jak brytyjscy nauczyciele akademicy na uniwersytecie w Zarii
zachęcali do rzezi i wysyłali studentów do podżegania młodzieży, jak na par-
kingach w Lagos tłumy gwizdały i drwiły głośno: „Wynocha, Ibowie, wyno-
cha, garri będzie tańsze! Wynocha, nie damy wam zabrać wszystkich naszych
domów i sklepów!”. Olanna nie lubiła słuchać tych opowieści, nie lubiła też

ukradkowych spojrzeń rzuconych przez gości na jej nogi, jakby szukali jakiegoś guza, który by tłumaczył, dlaczego nie może chodzić.

W niektóre dni, tak jak właśnie dzisiaj, budziła się z drzemki całkiem przytomna i myślała zupełnie trzeźwo. Drzwi do sypialni były otwarte i słyszała falowanie głosów w salonie. Odenigbo poprosił znajomych o zawieszenie spotkań na jakiś czas. Przestał też grać w tenisa, bo kiedy był w domu, Ugwu nie musiał nosić jej do toalety. Z zadowoleniem powitała ich ponowne wizyty. Czasami przysłuchiwała się rozmowom. Wiedziała, że stowarzyszenie pracowników uniwersyteckich organizuje zbiórki jedzenia dla uchodźców, że podobno targi, koleje i kopalnie cyny na Północy opustoszały po wyjeździe Iłow, że ludzie mówią o secesji i utworzeniu nowego kraju, który miałby otrzymać swoją nazwę od nazwy zatoki, Zatoka Biafra.

Panna Adebayo mówiła swoim donośnym głosem:

– Uważam, że nasi studenci powinni przestać się awanturować. Nie ma sensu domagać się odejścia Davida Hunta. Dajmy temu człowiekowi szansę i zobaczymy, czy nastanie pokój.

– Zdaniem Davida Hunta my wszyscy jesteśmy chorymi psychicznie dziećmi. – Teraz głos zabrał Okeoma. – Ten człowiek powinien wrócić do domu. Po co on tu przyjeżdża i mówi nam, jak zgasić ogień, kiedy to on sam i jego brytyjscy kumple najpierw zebrali drewno na to ognisko?

– Może i oni zebrali drewno na to ognisko, ale to my zapaliliśmy zapałkę – rozległ się jakiś nieznany głos, prawdopodobnie należący do profesora Achary, nowego wykładowcy fizyki, który po drugim zamachu stanu wrócił z Ibadanu.

– Drewno nie drewno, ważne jest, żeby znaleźć sposób na zaprowadzenie pokoju, zanim wszystko eksploduje – zauważyła panna Adebayo.

– A jakiego pokoju szukamy? Sam Gowon powiedział, że nie istnieje żadna podstawa do jedności, zatem jakiego pokoju możemy szukać? – zapytał Odenigbo. Olanna wyobrażała go sobie, jak siedzi na skraju krzesła i zsunąwszy okulary, mówi. – Jediną rozsądną odpowiedzią jest tu secesja. Gdyby Gowonowi zależało na utrzymaniu jedności tego kraju, już dawno coś by zrobił w tym celu. Na Boga, przecież żaden z nich jeszcze nawet nie potępił tych rzezi, chociaż minęły już całe miesiące! Można by pomyśleć, że śmierć tylu naszych ludzi nie miała żadnego znaczenia!

– Nie pamiętasz, co kilka dni temu powiedział Zik? We wschodniej Nigerii wrze i będzie dalej wrzało, dopóki rząd federalny nie zajmie się tymi masakrami – powiedział profesor Ezeka, po czym jego ochryply głos ucichł.

Olanę rozboleła głowa. Przez zasłony, które Ugwu zaciągnął, przynosząc śniadanie, przedzierał się słaby blask słońca. Potrzebowała oddać mocz – ostatnio zbyt często oddawała mocz i ciągle zapominała zapytać doktora Patelę, czy to z powodu lekarstw. Popatrzyła na stojący na nocnej szafce dzwonek, wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po czarnym kopulastym plastiku, po znajdującym się pośrodku czerwonym guziczku, który wydawał przenikliwy dźwięk, kiedy go naciskała. To Odenigbo uparł się, żeby go zainstalować, lecz kiedy go naciskała, iskrzyło gdzieś w ścianie. W końcu przyprowadził elektryka, który tłumiąc śmiech, wymienił instalację elektryczną. Dzwonek przestał iskrzyć, ale był bardzo głośny i zawsze gdy dzwoniła, chcąc iść do toalety, donośnie rozbrzmiewał w całym domu. Przez moment wahała się, trzymając palec nad czerwonym przyciskiem, a potem go cofnęła. Nie zadzwoni. Opuściła nogi na podłogę. Dochodzący z salonu dźwięk ucichł, jakby ktoś obniżył zbiorczy poziom głośności.

I wtedy usłyszała, jak Okeoma mówi: „Aburi”. To słowo, nazwa ghańskiego miasta, zabrzmiało pięknie i Olanna wyobraziła sobie senne skupisko domów rozłożonych na wydzielającej słodki zapach trawie.

W ich rozmowach często pojawiała się Aburi: Okeoma twierdził, że Gowon powinien postępować zgodnie z umową zawartą z Ojukwu w Aburi; albo profesor Ezekę mówił, że niedotrzymywanie przez Gowona umowy z Aburi oznacza, że on nie ma uczciwych zamiarów wobec Igbów; czy też Odenigbo oświadczał: „Nie odstępimy od Aburi”.

– Ale jak to możliwe, że Gowon dokonał takiej wolty? – Głos Okeomy przybrał na sile. – W Aburi zgodził się na konfederację, a teraz chce jednej Nigerii z jednolitym rządem, kiedy właśnie jednolity rząd był powodem, dla którego on i jego ludzie pozabijali oficerów pochodzących z Igbów.

Olanna wstała i zrobiła krok, potem drugi. Zachwiała się. Wokół kostek u nóg czuła mocny nacisk. Szła. Twardość posadzki pod stopami działała na nią pobudzająco i Olanna miała wrażenie, że drżą naczynia krwionośne w jej nogach. Przeszła obok leżącej na podłodze Szmacianej Ann i zanim weszła do toalety, zatrzymała się na moment, żeby spojrzeć z góry na wypchaną lalkę Dzidzi.

Po pewnym czasie przyszedł do niej Odenigbo i swoim zwyczajem zajrzał jej badawczo w oczy, jakby szukał w nich na coś dowodu.

- Nkem, już od dłuższego czasu nie dzwoniłaś. Nie musisz iść do toalety?
- Poszli już sobie?
- Tak. Nie chcesz iść do toalety?

– Już byłam. Sama poszłam.

Odenigbo wpatrywał się w nią.

– Sama poszłam – powtórzyła Olanna. – Byłam w toalecie.

Na twarzy Odenigba odmalowało się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała, coś drogiego i zarazem przestraszonego. Usiadła na łóżku, a on natychmiast wyciągnął ręce, żeby ją przytrzymać, lecz Olanna zignorowała go i zrobiła kilka kroków do szafy, a potem z powrotem do łóżka. Odenigbo usiadł i nie odrywał od niej wzroku.

Wzięła jego dłoń i dotknęła nią swojej twarzy, później przycisnęła ją do piersi.

– Dotknij mnie.

– Muszę powiedzieć o tym Patelowi. Chciałbym, żeby tu przyjechał i zba-
dał cię.

– Dotknij mnie. – Wiedziała, że nie chce tego zrobić, że dotyka jej piersi, bo uczyniłby wszystko, czego by zechciała, co tylko mogłoby poprawić jej samopoczucie. Gładziła go po karku, zagłębiła palce w jego gęstych włosach, a kiedy wsunął się w nią, pomyślała o ciężarnym brzuchu Arize, o tym, jak łatwo musiał pękać tak ciasno obciążony skórą. Zaczęła płakać.

– Nkem, nie płacz. – Odenigbo przerwał i ułożył się obok niej, gładząc jej czoło. Kiedy później dał jej tabletki i trochę wody, wzięła je posłusznie i położyła się spokojnie, oczekując na dziwny bezruch, jaki zawsze przynosiły.

Obudziło ją delikatne pukanie Ugwu; wiedziała, że zaraz otworzy drzwi i wejdzie z tacą jedzenia, którą postawi obok opakowań z lekarstwami, butelki napoju energetycznego lucozade i puszki glukozy. Przypomniała sobie pierwszy tydzień po powrocie, tydzień, kiedy Odenigbo zrywał się na równe nogi, gdy tylko się poruszyła. Poprosiła wówczas o wodę, a Odenigbo otworzył drzwi do sypialni, żeby pójść do kuchni, i nieomal wyrócił się o Ugwu, który leżał zwinięty w kłębek pod drzwiami. „Co ty tu robisz, mój dobry człowieku?” zapytał, a Ugwu odparł: „Przecież pan nie ma pojęcia, gdzie co jest w kuchni, sah”.

Zamknawszy oczy, udawała teraz, że śpi. Stał blisko niej i patrzył na nią, słyszała jego oddech.

– Jak już pani będzie gotowa, to jedzenie tu czeka – powiedział.

Olanna o mało nie wybuchnęła śmiechem, najprawdopodobniej przez cały czas, od kiedy przyniósł jedzenie, Ugwu wiedział, że ona tylko udaje sen. Otworzyła oczy.

- Co ugotowałaś?
- Ryż jollof. – Uniósł pokrywkę. – Wziąłem świeże pomidory z ogródka.
- Dzidzia już jadła?
- Tak, mah. Bawi się na dworze z dziećmi doktora Okeke.

Olanna wzięła do ręki widelec.

– Jutro zrobię pani sałatkę owocową. Na tym melonowcu za domem dojrzały już papaje. Odczekam jeszcze dzień, a potem szybko je pozrywam, zanim ptaki się nimi zajmą. Dodam pomarańczy i mleka.

– Dobrze.

Ugwu nadal nie ruszał się z miejsca i wiedziała, że nie odejdzie, dopóki ona nie zacznie jeść. Powoli uniosła widelec do ust, żując z zamkniętymi oczami. Jedzenie było pyszne, jak wszystko, co gotował Ugwu, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ale już od tak dawna nie była w stanie niczego smakować, może z wyjątkiem kredowych tabletek. Na koniec napiła się wody i poprosiła Ugwu, żeby zabrał tacę.

Na stoliku nocnym Odenigbo położył długą kartkę papieru z wypisanym u góry na maszynie tekstem: MY, PRACOWNICY UNIWERSYTETU, DOMAGAMY SIĘ SECESJI W CELU ZAGWARANTOWANIA BEZPIECZEŃSTWA, pod którym mieściła się mozaika różnorodnych podpisów. „Czekałem z dostarczeniem tego listu do siedziby zgromadzenia w Enugu, aż nabierzesz sił i będziesz mogła to podpisać”, powiedział, kładąc list na stoliku.

Po wyjściu Ugwu chwyciła za pióro i podpisała list, a potem przejrzała tekst, sprawdzając, czy nie ma jakichś pomyłek. Nie było żadnych. Okazało się jednak, że Odenigbo nie musiał dostarczać listu, bo jeszcze tego wieczoru ogłoszono secesję. Ustawił radio na nocnej szafce i usiadł na łóżku. Raz na jakiś czas pojawiały się niewielkie zakłócenia w odbiorze, jakby same fale radiowe rozumiały znaczenie przemówienia. Ojukwu mówił swoim charakterystycznym głosem, po męsku dźwięcznym, charyzmatycznym i łagodnym:

Rodacy i rodaczki, narodzie Wschodniej Nigerii: Świadom najwyższej władzy Boga Wszechmogącego nad całą ludzkością, a także waszych zobowiązań wobec potomności, zdając sobie sprawę, że zasiadający poza Wschodnią Nigerią rząd już dłużej nie będzie chronił waszego życia i dobytku, zdeterminowany zlikwidować więzy polityczne i wszelkie inne łączące was i byłą Republikę Nigerii, uzyskawszy upoważnienie, aby w waszym imieniu proklamować Wschodnią Nigerię suwerenną niepodległą republiką, niniejszym uroczysto ogłaszam, że obszar i region znany jako Wschodnia Ni-

geria, wraz z otaczającym ją szelfem kontynentalnym i wodami terytorialnymi, od dnia dzisiejszego stanowić będzie niezależne i suwerenne państwo o oficjalnej nazwie Republika Biafry.

– To nasz początek – powiedział Odenigbo. Jego głos wyzbył się już fałszywej łagodności i ponownie brzmiał normalnie, był rześki i donośny. Odenigbo zdjął okulary i chwyciwszy drobne rączki Dzidzi, zaczął tańczyć z nią w koło. Olanna roześmiała się i nagle odniosła wrażenie, że postępuje zgodnie z jakimś scenariuszem, po tym podnieceniu Odenigba może nastąpić tylko większe podniecenie, nic innego. Usiadła, czując przechodzący ją dreszcz. Pragnęła secesji, która jednak teraz zdawała się czymś nazbyt ogromnym, wręcz niepojętym. Odenigbo i Dzidzia kręcili się nieustannie w kółko, Odenigbo śpiewał, fałszując, pieśń wymyśloną przez samego siebie: „To nasz początek, och, tak, nasz początek, och, tak...”, a Dzidzia śmiała się radośnie w błogiej nieświadomości. Olanna patrzyła na nich skoncentrowana na teraźniejszości, na widocznej z przodu sukienki Dzidzi plamie po soku orzecha nerkowca.

Wiec odbył się na placu Wolności, w samym środku kampusu, pośród krzyków i śpiewów wykładowców i studentów, które wznosiły się nad morzem głów i wysoko uniesionych transparentów.

*My nigdy, my nigdy się stąd nie ruszimy,
Jak drzewo zasadzone przy wodzie,
Nic nas stąd nie ruszy.
Ojukwu nas wspiera, nigdy się stąd nie ruszimy.
Bóg nas wspiera, nigdy się stąd nie ruszimy.*

Śpiewający kołysali się w rytm pieśni, a Olanna wyobrażała sobie, że również drzewa mango i gmelina kołyszą się wraz z nimi w jednym zgodnym, płynnym ruchu. Choć słońce grzało jak zbyt blisko przystawiony płomień, mżył drobny deszcz, a letnie krople mieszały się z jej potem. Musnęła ręką ramię Odenigba, kiedy wznosiła transparent z napisem: NIE MOŻEMY ZDYCHAĆ JAK PSY. Dzidzia siedziała na ramionach Odenigba, wymachując szmacianą laleczką, i Olanna poczuła, jak w tych jasno świecących przez rzadką mżawkę promieniach słońca ogarnia ją jakaś rozkoszna żywiołowość. Obok niej stał Ugwu. Na jego transparencie widniał napis: NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI BIAFRZE. Byli Biafrańczykami. Ona była Biafranką. Stojący za nią mężczyzna

opowiadał o tym, co się dzieje na targowisku, jak to kupcy tańczą w rytm kongijskiej muzyki i rozdają najlepsze owoce mango i orzechy arachidowe. Jakaś kobieta powiedziała, że pójdzie tam zaraz po wiecu i zobaczy, co można dostać za darmo, a Olanna odwróciła się do nich i roześmiała się.

Studencki przywódca powiedział coś do mikrofonu i śpiew się urwał. Kilku młodych mężczyzn wniosło trumnę z wypisanym na niej białą kredą napisem: NIGERIA i z udawaną powagą na twarzach unieśli ją wysoko w górę. Następnie, odstawivszy trumnę na bok, zdjęli koszule i zaczęli kopać płytki dół w ziemi. Kiedy opuszczali trumnę do dołu, ludzie zaczęli wiwatować, a przetaczająca się przez tłum fala radosnych okrzyków wzmagająca się, przechodząc w gromki aplauz, aż w końcu Olanna poczuła, że wszyscy tu zebrani stali się jednym. Ktoś krzyknął:

– Odenigbo! – Okrzyk podjęli inni studenci: – Odenigbo! Przemów do nas!

Odenigbo wspiął się na podium, wymachując trzymaną w ręku flagą Biafry z czerwonym, czarnym i zielonym pasem, z widniejącą pośrodku jasną połówką żółtego słońca.

– Narodziła się Biafra! To my poprowadzimy Czarną Afrykę! Będziemy żyć bezpiecznie! Już nikt nigdy nas nie zaatakuje! Już nigdy!

Kiedy przemawiający Odenigbo uniósł dłoń, Olanna pomyślała, jak nienaturalnie wykręcona była ręka leżącej na ziemi cioci Ifeki i że utworzona obok niej kałuża gęstej krwi bardziej przypominała klej w kolorze bliskim czerni, a nie czerwieni. Być może ciocia Ifeka oglądała teraz ten wiec i wszystkich zgromadzonych tu ludzi, a może nie, jeśli w rzeczywistości śmierć jest tylko cichą niepojętością. Olanna pokręciła głową, chcąc otrząsnąć się z tych myśli, i wzięwszy Dzidię z ramion Ugwu, przytuliła ją mocno.

Po wiecu pojechała wraz z Odenigbem samochodem do klubu uczelnianego. Studenci zebrali się na pobliskim boisku hokejowym przy jasno płonącym ognisku i palili papierowe kukły wyobrażające Gowona, a unoszące się w nocnym powietrzu kłęby dymu mieszały się ze śmiechem i gwarem ich głosów. Olanna patrzyła na nich i nagle z rozkoszą uzmysłowiła sobie, że wszyscy odczuwają dokładnie to samo co ona i Odenigbo, jakby zamiast krwi w ich naczyniach krwionośnych płynęła ciekła stal, jakby mogli stanąć bosymi stopami na rozgrzanych do czerwoności węgielkach.

Richard nawet nie podejrzewał, że z taką łatwością uda mu się odszukać rodzinę Nnaemeki, ale kiedy przybył do Obosi i zatrzymał się w anglikańskim kościele, żeby tam się rozpytać, katecheta powiedział mu, że mieszkają kawałek dalej, w niemalowanym domu otoczonym palmami. Ojciec Nnaemeki był niskim albinosem o skórze w kolorze miedzi i szaroorzechowych oczach, które rozjaśniły się, kiedy Richard odezwał się w języku ibo. Do tego stopnia różnił się od tego wielkiego ciemnego celnika na lotnisku, że Richard przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie trafi! do złego domu i czy to na pewno jest ojciec Nnaemeki. Jednak starszy człowiek pobłogosławił orzech kola głosem tak podobnym do głosu Nnaemeki, że Richard natychmiast poczuł się, jakby powrócił do poczekalni na lotnisku tego upalnego popołudnia i do irytującego paplania Nnaemeki na chwilę przed tym, jak drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wbiegli żołnierze.

– Kto przynosi orzech kola, przynosi życie. Pan i pana rodzina będzie żyć, i ja i moi bliscy będziemy żyć. Niech orzeł przysiądzie i niech gołąb przysiądzie, a jeśli któryś z nich zarządzi, że ten drugi nie ma przysiąść, nie będzie to dla niego dobre. Niech Bóg błogosławi ten orzech kola w imię Jezusa.

– Amen – odrzekł Richard.

Teraz już dostrzegał też inne podobieństwa. Gesty mężczyzny, kiedy przełamywał orzech kola na pięć kawałków i wypowiadał słowa starego porzekadła o wzajemnej tolerancji, niesamowicie przypominały ruchy Nnaemeki, miał też podobny układ ust z wysuniętą dolną wargą. Richard odczekał, aż przeżują orzech kola i pojawi się ubrana na czarno matka Nnaemeki, i dopiero wtedy powiedział:

– Widziałem waszego syna na lotnisku w Kano tego dnia, kiedy to się wydarzyło. Przez chwilę rozmawialiśmy. Opowiadał mi o was i o całej swojej rodzinie. – Richard przerwał na moment, zastanawiając się, czy woleliby usłyszeć, że ich syn zachował stoicki spokój w obliczu śmierci, czy też że walczył, że rzucił się w stronę karabinu. – Mówił mi, że jego babcia z Umannachi była szanowaną zielarką znaną w całej okolicy ze swojego leku na malarię i że

właśnie z jej powodu chciał zostać lekarzem.

– Tak, to prawda – przyznała matka Nnaemeki.

– O swojej rodzinie mówił tylko dobrze – dodał Richard. Starannie dobierał słowa w języku ibo.

– To oczywiste, że mówił dobrze o rodzinie. – Ojciec Nnaemeki spojrzał przeciągle na Richarda, jakby nie rozumiał, po co Richard mówi coś, co oni już wiedzą.

Richard poprawił się na ławce.

– Czy odprawiliście pogrzeb? – zapytał, ale natychmiast pożałował pytania.

– Tak – odrzekł ojciec Nnaemeki; wbił wzrok w emaliowaną miskę, w której leżał ostatni kawałek orzecha kola. – Czekaliśmy na jego powrót z Północy, a kiedy nie wrócił, odprawiliśmy pogrzeb. Zakopaliśmy pustą trumnę.

– Nie była pusta – wtrąciła matka Nnaemeki. – Czyż nie włożyliśmy do środka tej starej książki, którą czytał, przygotowując się do egzaminu na pracownika administracji państwowej?

Siedzieli w milczeniu. We wpadającym przez okno słonecznym świetle pływały drobinki kurzu.

– Musi pan zabrać ze sobą ostatni kawałek orzecha kola – powiedział ojciec Nnaemeki.

– Dziękuję. – Richard wsunął płatek orzecha do kieszeni.

– Czy posiać dzieci do samochodu? – zapytała matka Nnaemeki. W czarnej chuście zakrywającej nie tylko włosy, lecz także większą część czoła, trudno było stwierdzić, jak właściwie wygląda.

– Do samochodu? – zdziwił się Richard.

– Tak. Niczego pan nam nie przywiózł?

Richard pokręcił głową. Powinien był przywieźć jams i napoje. W końcu przybywał z kondolencjami i wiedział, jak się te sprawy załatwia. Zbyt pochłonięty sobą myślał, że już sam jego przyjazd wystarczy, że będzie wspaniałomyślnym aniołem przynoszącym im w podarku ostatnie godziny ich syna i w ten sposób ukoi ich żal, a siebie zrehabilituje. Ale dla nich był tylko kolejną osobą, która przybyła złożyć kondolencje. Jego wizyta nie wносиła nic nowego w tę jedyną rzeczywistość, jaka miała znaczenie – ich syn odszedł.

Podniósł się z zamiarem odejścia, zdając sobie sprawę, że i dla niego nic się nie zmieniło; miał się czuć dokładnie tak samo jak od czasu, kiedy wrócił z Kano. Wiele razy żałował, że nie postradał zmysłów albo nie stracił pamięci i że wręcz przeciwnie, wszystko nabrało okropnej przejrzystości, wystarczyło

bowiem, że zamknął oczy, a widział dopiero co zabite ciała leżące na posadzce portu lotniczego, przypominał sobie dźwięk tamtych krzyków. Zachowywał przytomność umysłu. Był na tyle przytomny, że mógł spokojnie odpowiadać na rozpaczliwe listy ciotki Elizabeth, pisząc, że ma się dobrze i nie planuje powrotu do Anglii, jednocześnie prosząc ją, by przestała przysyłać mu pocztą lotniczą specjalnie drukowane na cienkim papierze wydania gazet z zaznaczonymi ołówkiem artykułami o pogromach w Nigerii. Irytowały go te artykuły. U źródła rzezi leżały, jak napisał dziennik „Herald”, „Zadawnione animozje plemienne”. Magazyn „Time” tytuł swojego artykułu zapożyczył z napisu na nigeryjskiej ciężarówce: „MAN MUST WHACK”, tyle że autor dosłownie potraktował znaczenie słowa „whack” i w artykule tłumaczył, że Nigeryjczycy z natury są skłonni do przemocy i nawet na ciężarówkach wożących pasażerów piszą: „Człowiek musi bić”. Richard napisał krótki list do „Time’a”. W używanej w Nigerii łamanej angielszczyźnie, wyjaśniał, słowo „whack” oznacza „jeść”. Przynajmniej „Observer” okazał się nieco rozsądniejszy, pisząc, że jeśli Nigeria przetrwała masakrę Ibo, przetrwa wszystko. Ale we wszystkich relacjach czuło się jakąś pustkę, pobrzmiwało w nich echo braku kontaktu z rzeczywistością. Richard postanowił więc sam napisać długi artykuł o masakrach w Nigerii. Usiadłszy przy stole jadalnym w domu Kainene, pisał na długich kartkach gładkiego papieru. Do Port Harcourt zabrał ze sobą Harrisona i kiedy pracował, słyszał, jak Harrison rozmawia z Ikejidem i Sebastianem. „Nie umiecie piec niemieckie ciasto czekoladowe?” Chichot. „Nie wiecie, co to szarlotka z rabarbarem?” Kolejny pogardliwy chichot.

Richard zaczął od napisania o problemie uchodźców, który pojawił się po masakrach, o kupcach uciekających z rynków na Północy, o wykładowcach uniwersyteckich opuszczających kampusy, o pracownikach administracji państwowej porzucających swoje stanowiska w ministerstwach. Męczył się nad ostatnim akapitem.

Nie należy zapominać, że po raz pierwszy do masakry Ibo, choć na wiele mniejszą skalę niż ostatnio, doszło w 1945 roku. Do tej rzezi doprowadził brytyjski rząd kolonialny, oskarżając lud Ibo o wywołanie strajku powszechnego, delegalizując gazety w języku ibo i wzniecając powszechne nastroje niechęci wobec Ibo. Dlatego też pogląd, zgodnie z którym niedawne mordy miałyby być wynikiem „odwiecznej” nienawiści, jest mylący. Plemiona z Północy i Południa od dawna ze sobą się kontaktowały, przynajmniej już od dziewiątego wieku, o czym świadczą odkryte na historycznym stanowisku

archeologicznym Ibo-Ukwu wspaniałe paciorki. Te ludy niewątpliwie toczyły również ze sobą wojny i wyprawiały się na sąsiadów w poszukiwaniu niewolników, ale nigdy nie dochodziło do takich rzezi. Jeśli teraz mówimy o nienawiści, to jest ona bardzo świeża. Została wywołana po prostu sprawowaną przez Brytyjczyków – na zasadzie dziel i rządź – nieoficjalną polityką kolonialną. Zgodnie z tą polityką manipulowano różnicami między plemionami, aby zapobiec powstaniu jedności, ułatwiając sobie w ten sposób panowanie nad tak wielkim krajem.

Kiedy pokazał Kainene artykuł, przeczytała go bardzo uważnie, mrużąc oczy, a potem powiedziała: „Bardzo ostro napisany”.

Nie wiedział, co rozumie przez określenie „bardzo ostro”, ani też czy artykuł się jej spodobał. Ogromnie zależało mu na uzyskaniu jej aprobaty. Od kiedy przyjechała z Nsukki, gdzie była z wizytą u Olanny, powróciło to jej wcześniejsze zdystansowanie. Wyjęła zdjęcie zamordowanych krewnych – roześmianej Arize w sukni ślubnej, tryskającego energią wuja Mbaeziego w obcisłym garniturze obok poważnej cioci Ifeki owiniętej w chustę z drukowanej tkaniny – ale niewiele o nich mówiła, a już zupełnie nic o Olannie. Często podczas rozmowy milkła i wtedy starał się jej nie przeszkadzać, czasami zazdroszcząc jej tej zdolności do przemiany pod wpływem tego, co się stało.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, zmienił pytanie na takie, jakie naprawdę chciał zadać: – Podoba ci się? Jakie budzi w tobie uczucia?

– Wydaje mi się, że jest nadmiernie oficjalny i egzaltowany – odparła. – Jednak przede wszystkim budzi we mnie uczucie dumy. Czuję się dumna.

Wysłał artykuł do dziennika „Herald”. Kiedy dwa tygodnie później otrzymał odpowiedź, potargał list na strzępy zaraz po przeczytaniu. Międzynarodowa prasa miała aż nadto napływających z Afryki historii o przemocy, a ten opis jest szczególnie bezbarwny i drobiazgowy, jak napisał zastępca redaktora naczelnego, ale może Richard mógłby napisać coś na temat aspektu ludzkiego? Na przykład, czy oni mamrocą jakieś plemienne zaklęcia podczas mordowania? Czy jedzą części ciała wrogów, jak robiono w Kongu? Czy jakoś można pojąć sposób myślenia tych ludzi?

Richard odłożył artykuł. Przerazało go, że potrafi spać spokojnie, że wciąż uspokaja go zapach liści pomarańczy i turkusowy bezruch morza, że jest człowiekiem wrażliwym.

– Żyję, jak żyłem. Moje życie nie zmieniło się – powiedział do Kainene. –

Powiniennem jakoś zareagować, coś powinno się zmienić.

– Nie możesz stworzyć sobie w głowie scenariusza i zmusić się do tego, żeby zgodnie z nim postępować. Richardzie, musisz pogodzić się z życiem – odparła cicho.

Ale on nie potrafił pogodzić się z życiem. Nie wierzył, że życie może pozostać niezmienione dla tych wszystkich innych ludzi, którzy byli świadkami masakry. A potem przeraził się jeszcze bardziej na myśl, że być może sam nie jest nikim więcej jak tylko ohydny podglądaczem. Nie obawiał się o swoje życie, a zatem dla niego masakra była czymś zewnętrznym, nie dotyczyła go; obserwował ją przez obojętne okulary świadomości, że jest bezpieczny. Nie, nie, to niemożliwe, przecież Kainene nie byłaby bezpieczna, gdyby tam się znalazła.

Zaczął pisać o Nnaemece i o cierpkim zapachu alkoholu mieszającego się ze świeżą krwią w poczekalni portu lotniczego, gdzie barman leżał z rozerwaną twarzą, lecz zrezygnował, bo napisane zdania wydawały mu się śmieszne. Brzmiały zbyt melodramatycznie. Przypominały artykuły w prasie zagranicznej pisane tak, jakby do tych mordów nigdy nie doszło, a jeśli nawet miały miejsce, nie wydarzyły się w ten właśnie sposób. Echo nierzeczywistości ciążyło nad każdym słowem i chociaż dokładnie pamiętał wszystkie wydarzenia na lotnisku, żeby o tym napisać, musiałyby odtworzyć to zupełnie na nowo, a nie miał pewności, czy jest w stanie to zrobić.

W dniu ogłoszenia secesji stał na werandzie z Kainene i słuchał przez radio głosu Ojukwu, a później wziął ją w ramiona. W pierwszej chwili miał wrażenie, że oboje drżą, ale kiedy się cofnął, chcąc spojrzeć jej w twarz, zdał sobie sprawę, że ona stoi zupełnie nieruchomo. To tylko on się trząsł.

– Wszystkiego najlepszego z okazji uzyskania niepodległości – powiedział.

– Niepodległość... – odparła i dodała: – Wszystkiego najlepszego z okazji uzyskania niepodległości.

Chciał poprosić, żeby za niego wyszła. Oto był nowy początek, nowy kraj. Ich nowy kraj. I nie chodziło tylko o to, że secesja była aktem sprawiedliwości, zważywszy na to, co Ibowie musieli wycierpieć, ważne były także możliwości, jakie stwarzała mu Biafra. Może być Biafrańczykiem, podczas gdy nigdy nie mógłby w pełni być Nigeryjczykiem – uczestniczył w tym od samego początku, był przy jej narodzinach. Będzie miał swoje miejsce. „Wyjdź za mnie, Kainene” – wielokrotnie wymawiał już te słowa w głowie, jednak na głos ich nie wypowiedział. Następnego dnia wrócił wraz z Harrisonem

do Nsukki.

Richard lubił Phyllis Okafor. Podobała mu się energia bijąca z jej tapirowanych peruk, typowe dla jej rodzinnego Missisipi przeciąganie samogłosek, jak również surowe oprawki okularów, które kłóciły się z serdecznością w jej oczach. Odkąd przestał chodzić do Odenigba, często spędzał wieczory z nią i jej mężem, Nnanyelugiem. Zachowywała się, jakby zdawała sobie sprawę, że utracił życie towarzyskie, w związku z czym ustawicznie zapraszała go do teatru, na prelekcje i na partie squasha. Kiedy więc zaprosiła go do uczestnictwa w seminarium „Na wypadek wojny” organizowanym przez uniwersyteckie stowarzyszenie kobiet, zgodził się. Oczywiście zawsze należy być przygotowanym, lecz nie będzie żadnej wojny. Nigeryjczycy dadzą Biafrze spokój, przecież nie będą walczyć z ludźmi, którzy już tak ciężko zostali doświadczeni przez masakrę. Poza tym z zadowoleniem pozbędą się łąbów. Richard był o tym przekonany. Nie bardzo natomiast wiedział, co robi, jeśli na seminarium spotka Olanę. Dotąd łatwo było jej unikać, w ciągu czterech lat zaledwie kilka razy przejechał koło niej samochodem, nigdy nie odwiedził kortów ani uczelnianego klubu, nie robił też już zakupów w sklepie Eastern Shop.

Stojąc obok Phyllis u wejścia do sali wykładowej, zlustrował całe pomieszczenie. Olanna siedziała z samego przodu, trzymając Dwidzię na kolanach. Jej przepiękna twarz wyglądała bardzo znajomo, podobnie jak jej niebieska sukienka z żabotem, Richard miał wrażenie, że i jedną, i drugą widział zupełnie niedawno. Odwrócił wzrok, nie mogąc oprzeć się uczuciu ulgi, że nie ma tu Odenigba. Sala wypełniona była po brzegi. Przemawiająca z podium kobieta w kółko powtarzała te same słowa: „Schowajcie swoje dokumenty w wodoszczelne woreczki i pamiętajcie, że podczas ewakuacji należy je zabrać w pierwszym rzędzie. Schowajcie swoje dokumenty w wodoszczelne woreczki...”.

Przemawiali też inni. A potem wszystko się skończyło. Ludzie podchodzili do siebie, śmiali się i rozmawiali, wymieniając jeszcze inne wskazówki „na wypadek wojny”. Richard wiedział, że Olanna jest niedaleko, rozmawiała z brodatym nauczycielem muzyki. Odwrócił się jakby od niechcienia, zamierzając wymknąć się niepostrzeżenie, i kiedy był już blisko drzwi, nagle pojawiła się obok niego.

– Cześć, Richardzie. Kedu?

– Dobrze – odparł. Poczł, jak napręża mu się skóra twarzy. – A ty?

– U nas wszystko w porządku – powiedziała Olanna. Na jej wargach lśnił

delikatnie różowy błyszczak. Nie uszło uwagi Richarda, że użyła liczby mnogiej. Nie potrafiłby powiedzieć, czy miała na myśli siebie i dziecko czy też siebie i Odenigba, a może chciała przez to powiedzieć, że pogodziła się już z tym, do czego między nimi doszło, a także z tym, jak wpłynęło to na jej stosunki z Kainene.

– Dzidziu, przywitałaś się? – zapytała Olanna, spoglądając z góry na małą, której dłoń tonęła w jej ręce.

– Dzień dobry – powiedziała Dzidzia piskliwym głosem.

Richard pochylił się i dotknął jej policzka. Emanowała jakimś spokojem, przez co zdawała się starsza i mądrzejsza niż przeciętna czterolatka.

– Cześć, Dzidzia.

– Co słyhać u Kainene? – spytała Olanna.

Richard unikał jej wzroku, nie za bardzo wiedząc, jaką powinien przybrać minę.

– W porządku.

– A praca nad książką posuwa się?

– Tak, dziękuję.

– Nadal nosi tytuł „Kosz pełen rąk”?

Ucieszyło go, że nie zapomniała.

– Nie. – Urwał na moment, starając się nie myśleć o tym, co się stało z tym rękopisem, o płomieniach, które z pewnością szybko go zwęgliły. – Nosi tytuł „W czasach dzbanów oplecionych sznurem”.

– Ciekawy tytuł – wyszeptała Olanna. – Osobiście mam nadzieję, że nie dojdzie do wojny, ale to seminarium było dosyć użyteczne, nie sądzisz?

– Tak.

Podeszła do nich Phyllis, przywitała się z Olanną, po czym pociągnęła Richarda za ramię.

– Podobno będzie tu Ojukwu! Ojukwu będzie!

Za drzwiami sali dochodziły podniesione głosy.

– Ojukwu? – zapytał Richard.

– Tak, tak! – Phyllis ruszyła w stronę drzwi. – Słyszałeś, że kilka dni temu wpadł z niezapowiedzianą wizytą na kampus w Enugu? A teraz chyba kolej na nas!

Richard wyszedł z nią z sali. Przyłączyli się do grupki wykładowców stojących obok posągu Iwa; Olanna gdzieś zniknęła.

– Jest teraz w bibliotece – powiedział ktoś.

– Nie, w budynku senatu.

– Nie, chce przemówić do studentów. Jest w budynku administracji.

Kilka osób szybkim krokiem zmierzało już w kierunku budynku administracji, więc Phyllis i Richard ruszyli wraz z nimi. Kiedy znaleźli się w pobliżu rosnących wzdłuż podjazdu drzew parasolowych, Richard dostrzegł kroczonego korytarzem brodatego mężczyznę ubranego w poważnie wyglądający, elegancki, spięty pasem mundur wojskowy. Za nim przepychało się kilku reporterów wyciągających w jego stronę mikrofony, jakby to były podarki. Studenci, których było tak wielu, że Richard zaczął się zastanawiać, jakim cudem w tak krótkim czasie aż tylu się zebrało, zaczęli skandować: „Władza! Władza!”. Ojukwu zszedł po schodach i stanął na betonowym bloku na trawniku. Uniósł ręce. Cała jego postać zdawała się lśnić: i wypielegnowana broda, i zegarek, i szerokie barki.

– Przybyłem tu, aby zadać wam pytanie – zaczął. Mówił głosem zaskakująco delikatnym, z oksfordzkim akcentem, nie słychać było tego charakterystycznego tembru, jaki docierał przez radio, może nieco teatralnym, nazbyt wyważonym. – Co mamy zrobić? Czy mamy siedzieć cicho i pozwolić im na powrót wcisnąć nas w Nigerię? Czy mamy zapomnieć o tysiącach naszych braci i sióstr zabitych na Północy?

– Nie! Nie! – Studenci wypełniali szeroki dziedziniec, zajmowali też trawnik i podjazd. Wielu wykładowców zaparkowało samochody na drodze i również przyłączyło się do tłumu. – Władza! Władza!

Ojukwu ponownie uniósł ręce i skandowanie ucichło.

– Bo jeśli oni wypowiedzą wojnę – zaczął – musicie wiedzieć, że ta wojna może trwać długo. Bardzo długo. Czy jesteście na to gotowi? Czy jesteśmy gotowi?

– Tak! Tak! Ojukwu, nye anyi eg be! Daj nam broń! Iwe di anyi n’obi! Nasze serca płoną gniewem!

Skandowaniu nie było końca: „Daj nam broń, nasze serca płoną gniewem, daj nam broń”. Rytm okrzyków działał podniecająco. Richard zerknął na Phyllis, przy każdym okrzyku unoszącą do góry zaciśniętą pięść, i przez chwilę przyglądał się stojącym wokół niego ludziom, skupionym w tej ważnej chwili, po czym sam też zaczął wymachiwać ręką i skandować: „Ojukwu, daj nam broń! Ojukwu, nye anyi eg be!”.

Ojukwu zapalił papierosa i rzucił go na trawnik. Na moment rozbłysnął ogień, ale zaraz Ojukwu przesunął nogę i zdusił go lśniącym czarnym butem wojskowym.

– Nawet trawa będzie walczyć za Biafrę – powiedział.

Richard opowiedział Kainene, jak bardzo oczarował go Ojukwu, mimo że zaczynał już łysieć, zachowywał się nieco nazbyt teatralnie i nosił jarmarczny sygnet. Kiedy opowiadał jej o seminarium, zaczął się zastanawiać, czy wspomnieć także o spotkaniu z Olaną. Siedzieli na werandzie. Kainene obierała nożem pomarańczę, wąskie łupiny spadały na leżący na podłodze talerz.

– Spotkałem Olanę – powiedział.

– Naprawdę?

– Na tym seminarium. Przywitaliśmy się i zapytała o ciebie.

– Rozumiem. – Pomarańcza wyslizgnęła jej się z dłoni, choć może Kainene celową ją upuściła, bo zostawiła owoc na wyłożonej lastrykiem podłodze tarasu.

– Przepraszam – dodał Richard. – Sądziłem, że powinienem powiedzieć ci o tym spotkaniu z nią.

Podniósł pomarańczę i podał ją Kainene, ale jej nie wzięła. Wstała i podeszła do balustrady.

– Nadciąga wojna – powiedziała. – Cały Port Harcourt zwariował.

Patrzyła w dal, jakby faktycznie potrafiła stąd dostrzec miasto ogarnięte gorączką ekstrawaganckich przyjęć, szalonych kopulacji i pędzących samochodów. Wcześniej tego popołudnia jakaś dobrze ubrana młoda kobieta podeszła na dworcu kolejowym do Richarda i wzięła go za rękę. „Chodźmy do mnie. Jeszcze nigdy nie robiłam tego z mężczyzną owinbo, ale teraz pragnę wszystkiego spróbować”, powiedziała i chociaż śmiała się, widoczne w jej oczach szalone pożądanie wyglądało na zupełnie poważne. Wyszarpnął rękę z jej uścisku i odszedł dziwnie zasmucony myślą, że ta kobieta wyląduje w łóżku z jakimś innym obcym mężczyzną. Można było odnieść wrażenie, że ludzie w tym mieście, w którym rosły wysokie rzewnie skrzypolistne, chcieli skorzystać ze wszystkiego, z czego tylko mogli, zanim wojna ograbi ich z możliwości dokonywania wyboru.

Richard podniósł się i stanął obok Kainene.

– Nie dojdzie do wojny – powiedział.

– Co chciała o mnie wiedzieć?

– Zapytała, co słyhać u Kainene.

– A ty powiedziałeś, że wszystko w porządku?

– Tak.

Więcej o tym nie wspominała, a i on nie spodziewał się, że Kainene coś jeszcze powie.

Ugwu wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika. Ustawił torbę suszonych ryb na większej torbie, w której było garri, ułożył sobie obie na głowie i po spēkanych schodach ruszył za panem do ciemnego budynku, w którym mieściło się miejskie biuro związkowe. Na ich spotkanie wyszedł pan Ovoko.

– Wnieś torby do magazynu – polecił pan Ovoko, pokazując mu drogę, jakby Ugwu sam nie wiedział jeszcze z czasów, kiedy tyle razy tu przechodził, przynosząc jedzenie dla uchodźców. Magazyn świecił pustkami, jedynie w kącie stał mały worek ryżu, cały pokryty wołkami zbożowymi.

– Co słyhać? A na-emekwa? – zapytał pan.

Pan Ovoko potarł jedną ręką o drugą. Miał smętną twarz człowieka, który z natury nie życzy sobie, aby go pocieszać.

– W dzisiejszych czasach niewielu jest darczyńców. Ludzie przychodzą tu prosić mnie o jedzenie, a potem proszą o pracę. Sam wiesz, wrócili z Północy z pustymi rękami. Niczego nie mają.

– Wiem, że wrócili z pustymi rękami, przyjacielu! Nie musisz mnie pouczać! – warknął pan.

Pan Ovoko cofnął się.

– Chciałem tylko powiedzieć, że sytuacja jest bardzo poważna. Na początku nasi ludzie prześcigali się w ofiarowywaniu żywności, ale to już dawno się skończyło. Jeśli nadejdzie wojna, dojdzie do katastrofy.

– Wojny nie będzie.

– To dlaczego Gowon nadal stosuje wobec nas blokadę?

Pan zlekceważył to pytanie i odwrócił się do wyjścia. Ugwu ruszył za nim.

– Jasne, że ludzie nadal ofiarowują jedzenie. Ten bezduszny człowiek pewnie zabiera je dla swojej rodziny – powiedział pan, uruchamiając samochód.

– Tak, sah – odrzekł Ugwu. – Nawet brzuch ma wielki.

– Ten ignorant Gowon obiecał przekazać jakieś nędzne kwoty dla ponad dwóch milionów uchodźców. Co on sobie myśli? Że kurczaki zginęły, a do domu powrócili ocalali krewni tych kurczaków?

– Nie, sah. – Ugwu wyrżał za okno. Ogarniał go smutek, kiedy tu przychodził, żeby przekazać garri i ryby ludziom, którzy wcześniej potrafili wykarmić się na Północy, i tydzień po tygodniu musiał wysłuchiwać pana w kółko powtarzającego to samo. Sięgnął ręką i wyprostował sznurek zwisający z lusterka wstecznego. Na końcu przywiązana była mała pamiątka, breloczek z malunkiem połówki żółtego słońca na czarnym tle.

Kiedy później siedział na schodkach z tyłu domu, czytając „Klub Pickwicka” i często przerywając, żeby pomyśleć i popatrzeć na smukłe liście kołyszących się na wietrze zbóż, nie zaskoczył go dochodzący z salonu podniesiony głos pana. W takie dni pan zawsze był rozdrażniony.

– A co z naszymi kolegami z uniwersytetów w Ibadanie, Zarii i Lagos? Czy ktoś mówi o tym głośno? Milczano, kiedy żyjący na obczyźnie biali obywatele naszego kraju podzegli uczestników zamieszek do zabijania łąbów. Byłabyś jedną z nich, gdybyś przez przypadek nie znalazła się w kraju łąbów! Czy ciebie w ogóle stać na poczucie solidarności? – krzyczał pan.

– Jak śmiesz mówić, że się nie solidaryzuję! Jeśli twierdzę, że secesja nie musi być jedyną drogą do zapewnienia bezpieczeństwa, wcale nie oznacza to, że się nie solidaryzuję! – To mówiła panna Adebayo.

– Czy zginęli twoi kuzyni? Albo wujek? W przyszłym tygodniu wracasz do swoich w Lagos i nikt nie będzie cię szykanował za to, że pochodzisz z Jorubów. Czyż to nie twoi współplemieńcy zabijają łąbów w Lagos? Czyż to nie grupa waszych wodzów wybrała się na Północ, żeby podziękować emirom za oszczędzenie Jorubów? Co ty mi tu opowiadasz? Jakie znaczenie może mieć twoja opinia?

– Odenigbo, obrażasz mnie.

– Teraz prawda stała się obrazą.

Zapadła cisza i po chwili rozległo się skrzypienie drzwi frontowych, otwieranych i zaraz potem głośno zamykanych. Panna Adebayo wyszła. Ugwu podniósł się, słysząc głos Olanny.

– Odenigbo, tak nie można! Musisz ją przeprosić!

Przestraszył go jej krzyk, bo rzadko podnosiła głos, a ostatnio słyszał jej krzyki podczas tych kalekich tygodni przed narodzinami Dzidzi, kiedy przestał ich odwiedzać pan Richard, a wszystko zdawało się wisieć na krawędzi katastrofy. Przez chwilę Ugwu nic nie słyszał – być może również Olanna wyszła z domu – po czym dobiegł go głos Okeomy czytającego wiersz. Ugwu znał ten wiersz: „Jeśli słońce nie zechce wstać, zmusimy je, żeby wstało”. Kiedy Okeoma czytał go po raz pierwszy, tego samego dnia, gdy zmieniono nazwę gazety

„Renaissance” na „Słońce Biafry”, Ugwu słuchał tych słów i czuł, jak dodają mu otuchy, zwłaszcza ten ulubiony wers: „Gliniane garnki wypalane w żarze entuzjazmu chłodzić nam będą stopy podczas wspinaczki”. Jednak w tej chwili doprowadzały go do łez. Wzbudzały w nim tęsknotę za czasami, kiedy Okeoma deklamował wiersze o ludziach dostających wysypki na pośladkach od wypróżniania się do importowanych wiader, za czasami, kiedy panna Adebayo i pan też kłócili się między sobą, lecz nigdy nie kończyło się to gniewnym opuszczeniem domu, za czasami, kiedy jeszcze podawał zupę paprykową. Obecnie podawał tylko orzechy kola.

Kiedy niedługo potem również Okeoma wyszedł, Ugwu ponownie usłyszał podniesiony głos Olanny:

– Odenigbo, musisz to zrobić. Musisz ją przeprosić!

– Tu nie chodzi o to, czy muszę ją przeprosić czy nie. Chodzi o to, czy to co powiedziałem, jest prawdą czy nie – odparł pan. Olanna powiedziała coś, czego Ugwu nie dosłyszał, po czym pan dodał już spokojniejszym tonem: – Zgoda, nkem, przeproszę.

Olanna weszła do kuchni.

– Wychodzimy – powiedziała. – Chodź zamknąć drzwi.

– Tak, mah.

Kiedy odjechali samochodem pana, Ugwu usłyszał stukanie w tylne drzwi i poszedł sprawdzić, kto przyszedł.

– Chinyere!... – odezwał się, zaskoczony. Nigdy nie przychodziła tak wcześniej i nigdy do głównego budynku.

– Ja, moja pani i dzieci wyjeżdżamy jutro rano na wieś. Przyszłam się pożegnać. Ka o di’.

Ugwu jeszcze nigdy nie słyszał, żeby tyle na raz powiedziała. Nie miał pojęcia, co ma odpowiedzieć. Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Szczęśliwej podróży – rzekł.

Patrzył za nią, kiedy odchodziła w stronę rozdzielającego dwie posiadłości żywopłotu i po chwili prześlizgnęła się pod krzakami. Już nie pojawi się nocą w jego drzwiach i w ciszy nie położy się na plecach, rozkładając nogi. Przynajmniej przez jakiś czas. Ugwu czuł w głowie jakiś dziwny, przygniatający ciężar. W jego stronę w przerażającym tempie nadciągały zmiany, czuł, że zaraz na niego runą, a on nie mógł nic zrobić, żeby to wszystko spowolnić.

Usiadł i wpatrywał się w okładkę „Klubu Pickwicka”. Delikatne kołysanie się drzewa mangowego i winny zapach dojrzewających nerkowców tworzyły na podwórzu za domem klimat pogodnego spokoju. Przeczyło to jednak temu,

co widział wokół siebie. Coraz mniej gości ich odwiedzało, a wieczorami ulice kampusu wyglądały upiornie oblane perłowym światłem, ciche i puste. Zamknięto sklep Eastern Shop. Rodzina pani Chinyere była jedną z wielu w kampusie, które wyjeżdżały, służący kupowali na targu wielkie kartony, a samochody opuszczały teren miasteczka z bagażnikami przygniecionymi ciężkim ładunkiem. Ale Olanna i pan nie spakowali nawet jednej rzeczy. Powiedzieli, że wojna nie nadejdzie, a ci wszyscy ludzie tylko panikują. Ugwu słyszał, że kobietom i dzieciom pozwolono wracać w rodzinne strony, lecz mężczyźni nie mogli opuszczać miejsca zamieszkania, bo gdyby wyjechali, oznaczałoby to, że wpadli w panikę, a przecież nie było powodu do paniki. „Nie ma powodu do niepokoju”, często powtarzał pan. „Nie ma powodu do niepokoju”. Członkowie straży ochotniczej trzykrotnie zawracali od bramy kampusu profesora Uzomakę, który mieszkał naprzeciw doktora Okekego. Dopiero trzeciego dnia pozwolono mu przejechać, kiedy przysiągł, że wróci, jak tylko odwiezie bliskich do rodzinnego miasta, bo jego żona tak bardzo się martwi.

– Ugwuanyi!

Ugwu podniósł wzrok i zobaczył swoją ciocię idącą w jego kierunku od strony ogródka przed domem. Podniósł się.

– Ciocia! Witaj!

– Pukałam do drzwi frontowych.

– Przepraszam, nie słyszałam.

– Sam jesteś w domu? A gdzie twój pan?

– Wyszli z domu. Zabrali ze sobą Dzidzie. – Ugwu przyjrzał się twarzy cioci. – Ciociu, wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się.

– W porządku, o di mma. Przynoszę wiadomość od twojego ojca. W następną sobotę odbędzie się uroczystość przyniesienia wina przed ślubem Anuliki.

– Co?! W najbliższą sobotę?

– Lepiej zrobić to teraz, zanim wybuchnie wojna, jeśli rzeczywiście ma wybuchnąć.

– To prawda. – Ugwu odwrócił wzrok i zerknął w stronę drzewa cytrynowego. – Czyli Anulika naprawdę wychodzi za mąż.

– Czyżbyś myślał, że poślubisz własną siostrę?

– Broń Boże.

Ciocia wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w ramię.

– Spójrz tylko na siebie, jaki mężczyzna z ciebie wyrósł. No! Za kilka lat

przyjdzie kolej na ciebie.

Ugwu uśmiechnął się.

– Ty i moja matka z pewnością znajdziecie mi odpowiednią kandydatkę, kiedy nadejdzie czas, ciociu – powiedział z fałszywą skromnością. Nie było sensu mówić jej tego, co powiedziała mu Olanna: że kiedy skończy szkołę średnią, wyślą go na uniwersytet. Nie ożeni się, dopóki nie będzie taki jak pan, dopóki nie spędzi wielu lat na czytaniu książek.

– Muszę już iść – powiedziała ciocia.

– Nie napijesz się wody?

– Nie mogę zostać. Ngwanu, no dobrze. Pozdrów pana i przekaz mu moją wiadomość.

Jeszcze zanim ciocia zdążyła odejść, Ugwu już zaczął wyobrażać sobie swoje przybycie na ceremonię. Tym razem w końcu będzie trzymał w ramionach Nnesinachi, nagą i uległą. Odpowiednim miejscem na to mogłaby być chata jego wujka Ezego, a może nawet cichy zagajnik nad strumykiem, byle tylko nie przeszkadzały im małe dzieciaki. Miał nadzieję, że ona nie będzie tak cicha jak Chunyere, miał nadzieję, że będzie wydawała takie dźwięki, jakie słyszał z ust Olanny, kiedy przyciskał ucho do drzwi sypialni.

Wieczorem, gdy Ugwu zajmował się przygotowaniem kolacji, cichy głos w radiu oznajmił, że Nigeria zdecydowała się podjąć policyjne działania w celu przywołania do porządku biafrańskich buntowników.

Ugwu był w kuchni z Olanną, zajęty obieraniem cebuli patrzył na poruszające się ramię Olanny, która mieszała zupę na kuchence. Uważał, że cebule działają na niego oczyszczająco, jakby wypłakiwane łzy zabierały ze sobą nieczystości. Słyszał dochodzący z salonu cienki głosik Dzidzi, która bawiła się z panem. Nie chciał, żeby właśnie teraz któreś z nich weszło do kuchni. Zniszczyłoby tę odczuwaną przez niego magię, to czarowne słodkie żądło cebuli w jego oczach, lśnienie skóry Olanny. Mówiła o mieszkańcach Północy w Onitshy, którzy zginęli w akcji odwetowej. Podobało mu się, jak słowa „akcja odwetowa” wypływały z jej ust.

– Tyle zła – powiedziała. – Tyle zła. Ale Jego Ekscelencja doskonale sobie z tym poradził; jeden Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze ludzi mogło zginąć, gdyby dzięki niemu nie odesłano tych przybyłych z Północy żołnierzy z powrotem tam, skąd przyszli.

– Ojukwu to wielki człowiek.

– Tak, to prawda, ale trzeba pamiętać, że my wszyscy jesteśmy w stanie

robić sobie nawzajem takie rzeczy.

– Nie, mah. My jesteśmy inni niż Hausowie. Do tych dokonywanych w odwecie zabójstw doszło, bo oni nas do tego zmusili. – Zwrot „zabójstwa w odwecie” brzmiał w jego ustach prawie tak samo, jakby ona to wypowiedziała, co do tego nie miał wątpliwości.

Olanna pokręciła głową, lecz przez chwilę nic nie mówiła.

– Po uroczystości przyniesienia wina pojedziemy na jakiś czas do Abby, bo na kampusie jest tak pusto – rzekła w końcu. – Jeśli zechcesz, będziesz mógł zostać ze swoją rodziną. Przyjedziemy po ciebie, kiedy będziemy wracać; nie będzie nas najwyżej miesiąc, nie dłużej. Nasi żołnierze poradzą sobie z Nigeryjczykami w tydzień lub dwa.

– Pojadę z panią i panem.

Olanna uśmiechnęła się, jakby chciała, żeby to powiedział.

– Ta zupa wcale nie chce gęstnieć – mruknęła pod nosem. A potem opowiedziała mu o tym, jak będąc dziewczynką, po raz pierwszy gotowała zupę i udało jej się spalić spód garnka na fioletowy węgiel, a i tak zupa wyszła bardzo smaczna.

Tak był zaabsorbowany głosem Olanny, że nie słyszał docierającego gdzieś z daleka za oknami dźwięku – bum-bum-bum – dopóki ona nie przerwała mieszania i nie podniosła wzroku.

– Co to takiego? – zapytała. – Słyszałeś, Ugwu? Co to jest?

Upuściła chochlę i pobiegła do salonu. Ugwu ruszył za nią. Pan stał przy oknie, trzymając w dłoni zwinięty egzemplarz „Słońca Biafry”.

– Co się dzieje? – zapytała Olanna. Przyciągnęła Dzidzie do siebie. – Ode-nigbo!

– Nadciągają – spokojnie odparł pan. – Chyba powinniśmy dzisiaj wyjechać.

W tym momencie Ugwu usłyszał z dworu głośny klakson samochodu. Nagle ogarnął go strach, bał się podejść do drzwi, nawet do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Pan otworzył drzwi. Zielony morris minor zatrzymał się w takim pośpiechu, że jedno koło wystawało poza podjazd, miażdżąc lilie okalające trawnik; a kiedy przybysz wysiadł z samochodu, Ugwu ze zdumieniem zauważył, że mężczyzna ma na sobie tylko podkoszulek i spodnie. A do tego klapki kąpielowe!

– Natychmiast się ewakuujcie! Wojska federalne wkroczyły do Nsukki! Przeprowadzamy błyskawiczną ewakuację! Natychmiast! Jadę do innych do-

mów, w których jeszcze ktoś mieszka. Natychmiast opuście dom!

Dopiero kiedy skończył mówić i pobiegł do samochodu, a potem odjechał, trąbiąc nieustannie, Ugwu go rozpoznał – to był pan Vincent Ikenna, kierownik dziekanatu. Był u nich kilka razy. Pił piwo z fantą.

– Pozbieraj trochę rzeczy, nkem – powiedział pan. – Sprawdź poziom wody w chłodnicy. Ugwu, szybko wszystko pozamykaj. Nie zapomnij o służbówce.

– Gini? Jakie rzeczy? – spytała Olanna. – Co mam zabrać?

Dzidzia zaczęła płakać. Ponownie rozległ się ten dźwięk, bum-bum-bum, tym razem bliżej i głośniej.

– To nie potrwa długo, wkrótce wrócimy. Zabierz tylko kilka rzeczy, jakieś ubrania... – Pan machnął odruchowo ręką, po czym chwycił z półki kluczyki do samochodu.

– Ale ja jeszcze gotuję – powiedziała Olanna.

– Zabierz do samochodu – odrzekł pan.

Olanna sprawiała wrażenie zupełnie dezorientowanej; zawinęła garnek z zupą w ścierkę i zaniósła do samochodu. Ugwu biegał tam i z powrotem, wrzucając do toreb przeróżne rzeczy: ubranka i zabawki Dzidzi, ciastka z lodówki, swoje ubrania, ubrania pana, chusty i sukienki Olanny. Denerwowało go, że nie ma pojęcia, co powinien zabrać. Denerwowało go, że ten dźwięk coraz bardziej się zbliża. Wcisnął torby na tylne siedzenie i popędził do domu, żeby pozamykać drzwi i zasunąć żaluzje w oknach. Na dworze pan trąbił klaksonem. Ugwu zatrzymał się pośrodku salonu, czując, że kręci mu się w głowie. Musiał oddać mocz. Pobiegł do kuchni i wyłączył kuchenkę. Usłyszał, że pan go woła. Zabrał z regału albumy, trzy albumy ze zdjęciami, które Olanna tak starannie poukładała, i pobiegł do samochodu. Jeszcze nie zdążył dobrze zamknąć drzwi, kiedy pan ruszył. Ulice kampusu sprawiały niesamowite wrażenie – zupełnie ciche i opustoszałe.

Stojący przy bramie biafrańscy żołnierze gestem ręki nakazywali samochodom przejeżdżać. Prezentowali się bardzo okazale w mundurach khaki, lśniących butach, z wyszytą na ramieniu połówką żółtego słońca. Ugwu pomyślał, że chciałby być jednym z nich. Pan skinął ręką i powiedział: „Brawo!”.

Wokół skłębił się kurz, który spowijał ich jak półprzezroczysty brunatny koc. Główna droga była zatłoczona: kobiety z pudłami na głowach i niemowlętami przywiązanymi na plecach, bosonogie dzieciaki niosące zawiniątka z ubraniami, jams albo kartony, mężczyźni ciągnący rowery. Ugwu zastanawiał się, dlaczego ci ludzie niosą zapalone lampy naftowe, skoro jeszcze nie jest

ciemno. Zobaczył małe dziecko, które potknęło się i upadło, i jego matkę, która pochyliła się i gwałtownym ruchem postawiła je na nogi, i pomyślał o domu, o swoich małych kuzynach, o rodzicach i Anulice. Oni byli bezpieczni. Ich wioska była dostatecznie oddalona, żeby nie musieli uciekać. Ta sytuacja oznaczała jedynie, że nie zobaczy, jak Anulika wychodzi za mąż, że nie będzie mógł wziąć Nnesinachi w ramiona, jak sobie zaplanował. Ale wkrótce tu wróci. Wojna potrwa tylko tak długo, żeby biafrańscy żołnierze zdążyli zagazować Nigeryjczyków na śmierć. Jeszcze zdąży zakosztować słodkości Nnesinachi, jeszcze popieści to mięciutkie ciało.

Pan przez cały czas jechał powoli ze względu na tłum i blokady na drogach, lecz jeszcze zwolnił, kiedy dotarli do Milliken Hill. Na nadwoziu jadącej przed nimi ciężarówce widniał napis: NIKT NIE WIE, CO PRZYNIESIE JUTRO. Kiedy auto mozolnie pięło się po stromej pochyłości, wyskoczył z niego jakiś młodzieniec i biegł obok samochodu z drewnianą belką w rękach, w każdej chwili gotów rzucić ją pod tylne koło, gdyby ciężarówka zaczęła się staczać.

Już zmierzchało, kiedy w końcu dotarli do Abby, szyby samochodu pokrywał kurz w kolorze ochry, a Dzidzia spała.

16

Richard był zaskoczony, słysząc obwieszczenie, w którym powiedziano, że rząd federalny ogłosił „podjęcie działań policyjnych w celu doprowadzenia buntowników do porządku”. Natomiast nie zdziwiło to Kainene.

– Chodzi o ropę – powiedziała. – Nie pozwolą nam tak łatwo odejść, kiedy tu jest ta cała ropa. Ale wojna będzie krótka. Madu mówi, że Ojukwu ma wspaniałe plany. Sugerował, żebym przekazała jakąś obcą walutę na rzecz powołanego na okres wojny gabinetu, dzięki czemu gdy to się już skończy, będę mogła dostać dowolny kontrakt.

Richard wpatrywał się w nią bez słowa. Zdawała się nie rozumieć, że wojna, czy to krótka czy długa, jemu po prostu nie mieści się w głowie.

– Najlepiej będzie, jeśli przewieziesz swoje rzeczy do Port Harcourt, dopóki nie przepędzimy Nigeryjczyków – powiedziała Kainene. Przeglądała gazetę, rytmicznie kiwając głową do płynącej z zestawu stereo muzyki Beatlesów, jakby dla niej to wszystko stanowiło normalną kolej rzeczy, jakby wojna była naturalną konsekwencją ostatnich wydarzeń, a przewiezienie jego rzeczy z Nsukki czymś najprostszym pod słońcem.

– Tak, jasne – odparł.

Pojechał z jej kierowcą. Jak grzyby po deszczu wszędzie wyrosły posterunki, w poprzek drogi poustawiano opony i deski nabijane gwoździami, przy których mężczyźni i kobiety, ubrani w koszule khaki, stali w postawie zasadniczej z twarzami pozbawionymi wyrazu. Na pierwszych dwóch punktach kontrolnych nie było żadnych trudności. „Dokąd jedziecie?” zapytali tylko i kazali jechać dalej. Ale w pobliżu Enugu, cywilni obrońcy zablokowali drogę pniami drzew i porzewiałymi beczkami. Kierowca zatrzymał samochód.

– Zawracać! Zawracać! – Przez okno zajrzał mężczyzna trzymający w ręce długi kij, starannie wyrzeźbiony na podobieństwo karabinu. – Zawracać!

– Dzień dobry – odezwał się Richard. – Pracuję na uniwersytecie w Nsuce i właśnie tam jadę. Został tam mój służący. Muszę zabrać rękopis i kilka rzeczy osobistych.

– Musi pan zawrócić, sah. My szybko przegonimy barbarzyńców.

– Ale tam jest mój rękopis, wszystkie dokumenty i służący. Proszę zrozumieć, niczego nie zdążyłem zabrać. O niczym nie wiedziałem.

– Musi pan zawrócić, sah. Taki mamy rozkaz. Nie jest bezpiecznie. A nie-
długo, jak tylko przegonimy barbarzyńców, będzie mógł pan wrócić.

– Proszę mnie zrozumieć... – Richard wychylił się nieco bardziej.

Wielkie oko, wymalowane na koszuli tego mężczyzny pod słowem CZUJ-
NOŚĆ, zdawało się rozszerzać, kiedy przymrużył oczy.

– A pan na pewno nie jest agentem nigeryjskiego rządu? To wy, biali, do-
puściliście do tego, że Gowon zabijał niewinne kobiety i dzieci.

– Abu m one Biafra – odparł Richard.

Mężczyzna roześmiał się, a Richard nie potrafił rozpoznać, czy ten śmiech
miał być miły czy też niemiły.

– Proszę, biały człowiek, który mówi, że jest Biafrańczykiem! Gdzie na-
uczył się pan naszego języka?

– Od żony.

– W porządku, sah. Proszę się nie martwić o swoje rzeczy w Nsucce.
Za kilka dni drogi będą oczyszczone.

Kierowca zawrócił i kiedy pokonywali z powrotem trasę, którą tu przyje-
chali, Richard co chwilę odwracał się i patrzył na zablokowaną drogę, dopóki
nie zniknęła mu z oczu. Myślał o tym, jak łatwo wymknęły mu się te słowa
w języku ibo. „Jestem Biafrańczykiem”. Choć sam nie wiedział dlaczego, miał
nadzieję, że kierowca nie powtórzy Kainene tych słów. Miał też nadzieję, że
nie powie Kainene, iż nazwał ją swoją żoną.

Susan zadzwoniła kilka dni później. Był późny poranek i Kainene pojecha-
ła do jednej ze swoich fabryk.

– Nie wiedziałem, że znasz numer Kainene – powiedział Richard.

Susan roześmiała się.

– Słyszałam, że ewakuowano Nsukkę, i domyśliłam się, że będziesz u niej.
Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Tak.

– Chyba nie miałeś problemów podczas ewakuacji, prawda? – spytała Su-
san. – Czujesz się dobrze?

– Tak, w porządku. – Wzruszyła go jej troska.

– To dobrze. Jakie masz plany?

– Na razie tu zostanę.

– Tu nie jest bezpiecznie, Richardzie. Ja zostanę najwyżej tydzień. Ci lu-

dzie nie toczą wojen w sposób cywilizowany, nie sądzisz? Ładna mi wojna domowa... – Susan urwała. – Zadzwoiłam do British Council w Enugu i wprost nie mogłam uwierzyć, że tam nasi wciąż chodzą sobie grać w piłkę wodną i organizują koktajle w hotelu Presidential! Przecież toczy się ta cholerna wojna!

– Wkrótce wszystko wróci do normy.

– Wróci do normy, jasne! Nigel wyjeżdża za dwa dni. Nic nie wróci do normy; ta wojna będzie ciągnąć się latami. Popatrz, co się wydarzyło w Kongu. Ci ludzie nie rozumieją, co to jest pokój. Oni raczej będą walczyć, dopóki nie padnie ostatni...

Richard odłożył słuchawkę, kiedy Susan wciąż jeszcze coś mówiła, sam zdziwiony swoim nieuprzejmym zachowaniem. Gdzieś w głębi duszy chciał jej jakoś pomóc, wyrzucić butelki alkoholu z jej barku i usunąć tę paranoję, która kaleczyła jej życie. Może nawet dobrze, że wyjedzie. Miał nadzieję, że ona odnajdzie szczęście, z Nigelem lub z kimś innym. Wciąż jeszcze pogrążony był w myślach o Susan, z jednej strony mając nadzieję, że ponownie nie zadzwoni, a z drugiej, że mimo wszystko zatelefonuje, kiedy Kainene wróciła do domu. Ucałowała go w policzki, w usta, w brodę.

– I co, cały dzień zamartwiałaś się losem Harrisona i tekstu „W czasach dzbanów oplecionych sznurem”? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – odparł, chociaż oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

– Harrisonowi nic się nie stanie. Z pewnością spakował się i uciekł do swojej wioski.

– Tak, pewnie tak zrobił – zgodził się Richard.

– I pewnie zabrał ze sobą twój rękopis.

– Tak. – Richard przypomniał sobie, jak Kainene zniszczyła jego pierwszy prawdziwy rękopis, „Kosz pełen rąk”, jak z kamiennym wyrazem twarzy zaprowadziła Richarda do sadu, gdzie pod jego ulubionym drzewem leżał stos zwęglonych katek, i jak po tym wydarzeniu on nie czuł ani winy, ani też złości, jedynie nadzieję.

– Dzisiaj w mieście znowu odbył się wiec, szło z tysiąc ludzi, a do tego wiele samochodów pokrytych zielonymi liśćmi – powiedziała. – Szkoda, że nie siedzą na polach, zamiast blokować główne drogi. Ja już przekazałam odpowiednią kwotę i nie mam zamiaru tkwić w gorącym słońcu po to tylko, żeby wspomóc kolejne ambicje Ojukwu.

– Kainene, tu chodzi o s p r a w ę, a nie o jakiegoś człowieka.

– Tak, o sprawę wyłudzania, żerowania na dobroduszości. Czy wiesz, że

taksówkarze nie biorą pieniędzy od żołnierzy? Obrażają się, kiedy wojskowi chcą zapłacić za kurs. Madu mówił, że w koszarach co drugi dzień pojawiają się kobiety, przychodzą z przeróżnych zapadłych wiosek i przynoszą żołnierzom jams, banany i owoce. Przecież ci ludzie sami nic nie mają.

– To nie jest wyłudzenie. To jest właśnie sprawa.

– Tak, sprawa, jasne... – Kainene kręciła głową, lecz wyglądała na rozba-
wioną. – Dzisiaj Madu powiedział mi, że armia nie ma nic, absolutnie nic. Myśleli, że Ojukwu ma gdzieś przygotowane całe stopy broni, zważywszy na to, jak przemawiał. „Żadna siła w Czarnej Afryce nas nie pokona!”. Madu i jeszcze kilku innych oficerów, którzy wrócili z Północy, poszli mu więc powiedzieć, że nie mamy broni, nie ma mobilizacji wojsk, a nasi ludzie ćwiczą z drewnianymi karabinami, na litość boską! Chcieli, żeby wydał im te zmagazynowane zasoby broni. Ale on tylko odwrócił się i powiedział, że spiskują, bo chcą go obalić. Ojukwu najwyraźniej nie ma żadnej broni i zamierza pokonać Nigerię gołymi rękami. – Uniosła dłoń i uśmiechnęła się. – Muszę jednak przyznać, że jest naprawdę bardzo pociągający, już sama broda jest niezła.

Richard nic nie odpowiedział. Przez chwilę, bardzo krótką, pomyślał nawet, czy nie powinien zapuścić brody.

Olanna stała wsparta o balustradę werandy w domu Odenigba w Abbie i patrzyła na podwórze. Dzidzia bawiła się na kolanach obok furtki, a Ugwu ją obserwował. Wiatr szeleścił liśćmi gujawy. Kora tego drzewa, tak wyblakła i odbarwiona, fascynowała Olanę, jasna tonacja gliny występująca na przemian z ciemniejszym odcieniem łupka przywodziła na myśl skórę wioskowych dzieci chorych na skórną chorobę nłacha. Gdy przyjechali z Nsukki, jeszcze tego samego dnia wiele tych dzieci zagładało tu, żeby powiedzieć „nno nu, dzień dobry”, a za nimi przychodzili też ich rodzice, wujkowie i ciotki z dobrym słowem, spragnieni plotek o ewakuacji. Olanna od razu poczuła do nich sympatię, ich powitanie dało jej poczucie bezpieczeństwa. Ta jej serdeczność objęła nawet matkę Odenigba. Zastanawiała się teraz, dlaczego nie wyrwała Dzidzi z ramion babci, która odrzuciła ją po narodzeniu, i dlaczego sama nie uchyliła się przed uściskiem mamy. Ale wszystko co się działo tamtego dnia, naznaczone było jakimś niepokojem, niedokończeniem – gotowanie w kuchni z Ugwu, potem ten pospieszny wyjazd i obawa, że zostawiła włączoną kuchenkę, tłumy na drodze, odgłosy ostrzału – więc bez specjalnych emocji przyjęła uścisk mamy, a nawet sama ją objęła. Teraz na powrót zaczęły być wobec siebie uprzejme, mama często zachodziła zobaczyć Dzidzię, przechodząc przez drewnianą furtkę w glinianym murze oddzielającym jej dom od domu Odenigba. Czasami Dzidzia chodziło do niej i biegała za kozami włóczącymi się po jej podwórze. Olanna nigdy nie wiedziała, na ile czyste były kawałki suszonej ryby czy wędzonego mięsa, które Dzidzia żuła, wracając do domu, starała się jednak nie zwracać na to uwagi, podobnie jak starała się stłumić dawną urazę; uczucie mamy do Dzidzi zawsze było jakieś niepełne, wymuszone, i chyba było już za późno, żeby Olanna mogła odczuwać do niej coś innego poza samą urazą.

Dzidzia śmiała się z czegoś, co powiedział Ugwu, i jej czysty piskliwy śmiech wywołał uśmiech na twarzy Olanny. Dzidzi tu się podobało, życie toczyło się wolniej i było prostsze. A ponieważ prawie wszystko, i ich kuchenka, i toster, i szybkiwar, a także importowane przyprawy, zostało w Nsucce,

również posiłki były prostsze, a Ugwu miał więcej czasu na zabawy z nią.

– Mamusia Ola! – zawołała Dzidzia. – Chodź zobaczyć!

Olanna pomachała do niej.

– Dzidzia, czas na wieczorną kąpiel.

Obserwowała zarys drzew mangowych na sąsiednim podwórzu, z niektórych zwisały owoce na podobieństwo ciężkich kolczyków. Słońce powoli zachodziło. Gdzące kury podlatywały na drzewo kola, na którym sposobiły się do snu. Słyszała mieszkańców wioski, którzy pozdrawiali się nawzajem równie głośno jak grupa kobiet zajmujących się szyciem. Przyłączyła się do nich dwa tygodnie ternu, w ratuszu, gdzie szyły podkoszulki i ręczniki dla żołnierzy. Początkowo była rozgoryczona ich zachowaniem, ponieważ gdy ona próbowała opowiadać o tym wszystkim, co musiała zostawić w Nsuce – o swoich książkach, fortepianie, ubraniach, porcelanie, perukach, maszynie do szycia marki Singer, telewizorze – lekceważyły ją i zaczynały mówić o czymś zupełnie innym. Teraz już rozumiała, że tutaj nikt nie opowiada o tym, co musiała zostawić. Zamiast tego rozmawiano o wspólnym wysiłku na rzecz zwycięstwa w wojnie. Nauczyciel przekazał żołnierzom swój rower, szewcy za darmo szyli wojskowe buty, a chłopci oddawali jams. Wygrać wojnę. Olanna nie potrafiła wyobrazić sobie toczącej się teraz wojny, pocisków padających na czerwony kurz Nsukki podczas odpierania barbarzyńców przez białe wojska. Często trudno było jej wyobrazić sobie coś konkretnego, co nie byłoby zmacone wspomnieniami Arize, cioci Ifeki i wujka Mbaeziego, co nie sprawiałoby wrażenia przeżywania życia zawieszzonego w czasie.

Zrzuciła klapki i boso poszła przez podwórze przed domem do zbudowanego przez Dzidzię domku z piasku.

– Bardzo ładny. Może uchowa się do jutra, jeśli tylko rano kozy nie przyjdą na podwórze. A teraz pora na kąpiel.

– Nie, mamusiu Ola!

– Zdaje mi się, że Ugwu zaraz cię zanieś. – Olanna spojrzała na Ugwu.

– Nie!

Ugwu podniósł Dzidzię i pobiegł z nią do domu. Po drodze spadł jej z nogi kapeć, zatrzymali się więc, żeby go podnieść. Przez cały czas Dzidzia powtarzała: „Nie!” i jednocześnie śmiała się. Olanna zastanawiała się, jak mała przyjmie ich wyjazd w przyszłym tygodniu do położonej trzy godziny drogi stąd Umuahii, gdzie Odenigbo został przydzielony do Zarządu Pośrednictwa Pracy. Miał nadzieję, że będzie pracować w Zarządzie Badań i Produkcji, ale było zbyt wielu ludzi o zbyt wysokich kwalifikacjach, a za mało pracy, i nawet

Olanna usłyszała, że nie ma dla niej wolnego stanowiska w żadnym z zarządów. Będzie uczyć w szkole podstawowej, to będzie jej wkład we wspólny wysiłek na rzecz zwycięstwa w wojnie. Czuło się w tym popularnym sformułowaniu jakąś szczególną melodię: zwycięstwo w wojnie, zwycięstwo w wojnie, zwycięstwo w wojnie. Miała nadzieję, że profesor Achara znalazł im kwaterę w pobliżu innych ludzi z uniwersytetu, żeby Dzidzia mogła się bawić z odpowiednimi dziećmi.

Usiadła na jednym z niskich drewnianych krzeseł, które były tak odchyłone, że musiała układać się w nich w pozycji pólężącej, żeby oprzeć plecy. Takie krzesła widywała tylko w wioskach, wykonywane przez wiejskich stolarzy, którzy na rogach gruntowych dróg ustawiali zakurzone szyldy z angielską nazwą ich profesji: CARPENTER, często błędnie napisaną: capinter, capinta, carpentar. Na takich krzesłach nie dało się prosto siedzieć, one pasowały do świata ludzi ciężko pracujących, do wylegiwania się wieczorami na świeżym powietrzu po dniu harówki na roli. Być może również do świata pełnego znużenia.

Odenigbo wrócił do domu, kiedy było już ciemno i nietoperze latały hałaśliwie nad głową. Za dnia zawsze przebywał poza domem, uczestniczył w kolejnych zebraniach dotyczących wyłącznie tego, jaki wkład Abba może wnieść we wspólny wysiłek na rzecz zwycięstwa w wojnie, w jaki sposób Abba może odegrać ważną rolę w utworzeniu państwa Biafra; czasami widywała mężczyzn wracających z tych zebrań i niosących wyrzeźbione w drewnie imitacje karabinów. Patrzyła na Odenigba idącego przez werandę krokiem pełnym wojowniczej pewności siebie.

To był jej mężczyzna. Czasami, patrząc na niego, czuła, jak ogarniają duma posiadacza.

– Kedu? – zapytał i nachylił się, żeby ucałować ją w usta.

Przyjrzał się jej twarzy badawczo, jakby tylko w ten sposób mógł się upewnić, że Olanna ma się dobrze. Robił tak od jej powrotu z Kano. Często mówił, że to „doświadczenie” zmieniło ją, przez co stała się dużo bardziej „skryta”. Rozmawiając ze swoimi znajomymi, używał słowa masakra, ale nigdy w rozmowie z nią. Jakby to co się wydarzyło w Kano, było masakrą, natomiast to co ona widziała – doświadczeniem.

– Dobrze – odparła. – Czy nie jesteś za wcześnie?

– Wcześniej skończyliśmy, bo jutro na placu odbędzie się zebranie wszystkich mieszkańców.

– Dlaczego? – spytała Olanna.

– Starszyzna doszła do wniosku, że już nadszedł czas. Pojawiło się tyle przeróżnych głupich plotek o bliskiej ewakuacji Abby. Niektórzy ignoranci mówią nawet, że wojska federalne weszły do Awki! – Odenigbo roześmiał się i usiadł przy Olannie. – Przyjdiesz?

– Na zebranie? – Nawet nie brała tego pod uwagę. – Ja nie jestem z Abby.

– Mogłabyś być, gdybyś za mnie wyszła. A nawet powinnaś być.

Spojrzała na niego.

– Chyba jest nam dobrze, tak jak jest.

– Trwa wojna i jeśli coś się ze mną stanie, moja matka będzie decydować, co należy zrobić z moim ciałem. A ty powinnaś o tym decydować.

– Przestań, nic ci się nie stanie.

– Oczywiście, że nic mi się nie stanie. Po prostu chciałbym, żebyś za mnie wyszła. Naprawdę powinniśmy wziąć ślub. To już nie ma sensu. Nigdy nie miało sensu.

Olanna obserwowała osę śmigającą wokół tkwiącego w rogu ściany gąbczastego gniazda. Jej zdaniem to nie było pozbawione sensu – decyzja, żeby za niego nie wychodzić, potrzeba chronienia tego, co mieli, spowijając to w szal odmienności. Ale odkąd Arize, ciocia Ifeka i wujek Mbaezi już na zawsze mieli pozostać zastygłymi twarzami w jej albumie, ta stara struktura, która odpowiadała jej ideałom, gdzieś zniknęła. Odkąd na Nsukkę spadały pociski.

– W takim razie musisz wybrać się z winem do mojego ojca – powiedziała.

– Czy to oznacza zgodę?

Nietoperz zanurkował, Olanna schyliła więc głowę.

– Tak. To oznacza zgodę – odparła.

Rankiem usłyszała herolda, który chodził od domu do domu, głośno uderzając w dzwon ogene.

– Jutro o szesnastej na placu Amaeze odbędzie się zgromadzenie całej Abby! – Ding-dong. – Jutro o szesnastej na placu Amaeze odbędzie się zgromadzenie całej Abby! – Ding-dong. – Abba powiedziała, że uczestniczyć muszą wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety! – Ding-dong. – Jeśli nie przyjdiesz, Abba cię ukarze!

– Ciekawe, jak wysokie są te kary – odezwała się Olanna, patrząc na ubierającego się Odenigba. Wzruszył ramionami. Miał tylko dwie koszule i dwie pary spodni, które Ugwu zdążył w pośpiechu zapakować. Olanna uśmiechnęła się na myśl o tym, że każdego ranka, zanim jeszcze zdążył się ubrać, ona doskonale wiedziała, co Odenigbo włoży.

Właśnie usiedli do śniadania, kiedy pod dom zajechał landrower jej rodziców.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności – powiedział Odenigbo. – Od razu powiem twojemu tacie. Możemy zorganizować ślub tutaj już w przyszłym tygodniu. – Uśmiechał się. Odkąd wyraziła na werandzie zgodę, emanował jakimś chłopięcym entuzjazmem, naiwnym rozradowaniem, które też chciałyby odczuwać.

– Dobrze wiesz, że tak się nie robi – odparła. – Musisz pojechać do Umunnachi ze swoją rodziną i załatwić to jak należy.

– Oczywiście, że wiem. Tylko żartowałem.

Olanna podeszła do drzwi, zastanawiając się nad przyczyną przyjazdu rodziców. W końcu byli tu zaledwie tydzień temu i nie przygotowała się jeszcze na kolejny monolog roztrzęsionej matki wygłaszany w towarzystwie stojącego obok i kiwającego głową na znak zgody ojca: „Jedź z nami, proszę, do Umunnachi; Kainene powinna się wyprowadzić z Port Harcourt, dopóki się nie dowiemy, czy ta wojna się kończy czy zaczyna; ten Joruba opiekujący się naszym domem w Lagos na pewno go splądruje; mówię ci, powinniśmy tak to zorganizować, żeby ściągnąć z powrotem wszystkie samochody”.

Landrower zatrzymał się pod drzewem kola i wysiadła z niego jej matka. Była sama. Olanna poczuła lekką ulgę, że ojciec nie przyjechał. Łatwiej radziła sobie z nimi, kiedy byli w pojedynkę.

– Witaj, mamó, nno – powiedziała Olanna, obejmując ją. – Wszystko w porządku?

Matka wzruszyła ramionami w sposób, który miał oznaczać, że jest jako tako. Miała na sobie owiniętą w pasie i opadającą do kostek czerwoną chustę i różową bluzkę, a do tego lśniące czarne buty na płaskim obcasie.

– Tak, w porządku. – Matka rozejrzała się dookoła, dokładnie tak samo jak ostatnim razem, kiedy spoglądała ukradkiem, zanim wcisnęła w dłoń Olanny kopertę z pieniędzmi. – Gdzie on jest?

– Odenigbo? W domu, je śniadanie.

Matka ruszyła pierwsza na werandę i oparła się o filar. Otworzyła torebkę i gestem zaprosiła Olanę, żeby zajrzała do środka. W środku mieniło się od blasku biżuterii, koralów, metali i kamieni szlachetnych.

– Ach!... Mamó, na co to wszystko?

– Nie rozstaję się z nimi. Diamenty mam schowane w staniu – wyszeptała matka. – Nne, nikt nie wie, co się stanie. Słyszeliśmy, że Umunnachi niedługo upadnie i że wojska federalne są już bardzo blisko.

– Barbarzyńcy wcale nie są blisko. Nasze wojska odpierają ich w okolicy Nsukki.

– Ale ile może trwać takie odpieranie?

Olannie nie podobała się nadąsana mina matki ani to, w jaki sposób ściszała głos, jakby chciała wykluczyć Odenigba z rozmowy. Nie powie matce, że postanowili się pobrać. Jeszcze nie teraz.

– W każdym razie – podjęła matka – twój ojciec i ja sfinalizowaliśmy swoje plany. Zapłaciliśmy pewnemu człowiekowi, który zabierze nas do Kamerunu i stamtąd na samolot do Londynu. Będziemy korzystać z nigeryjskich paszportów; Kameruńczycy nie powinni sprawiać nam kłopotów. Nie było to proste, ale udało się załatwić. Opłaciliśmy cztery miejsca. – Matka poklepała się po nakryciu głowy, jakby się upewniała, że wciąż jest na miejscu. – Ojciec pojechał do Port Harcourt, żeby powiedzieć o tym Kainene.

Olanna poczuła litość na widok jej błagalnego wzroku. Matka zdawała sobie sprawę, że ona nie ucieknie z nimi do Anglii, a także z tego, że Kainene też tego nie zrobi. Ale to było w jej stylu: chciała spróbować, zdobyła się na rozpaczliwy, z góry skazany na niepowodzenie, lecz poczyniony w dobrej wierze wysiłek.

– Dobrze wiesz, że nie pojedę – powiedziała Olanna łagodnie, równocześnie wyciągając rękę, by pogłaskać idealnie gładką skórę matki. – Ale wy z tatą powinniście jechać, jeśli masz przez to poczuć się bezpieczniej. Ja zostanę z Odenigbem i Dzidzią. Nic nam nie będzie. Za kilka tygodni wyjeżdżamy do Umuahii, bo Odenigbo ma tam zacząć pracę w zarządzie... – urwała. Już chciała powiedzieć, że wezmą ślub w Umuahii, lecz dodała jedynie: – Jak tylko Nsukka zostanie odbita, wrócimy tam.

– A co będzie, jeśli nie uda się odbić Nsukki? Co się stanie, jeśli ta wojna będzie się ciągnąć bez końca?

– Nie będzie.

– Jakże mogę zostawić swoje dzieci i sama uciec w bezpieczne miejsce?

Olanna jednak wiedziała, że jej matka nie tylko może, ale i tak robi.

– Nic nam nie będzie, mamó.

Matka otarła oczy dłonią, chociaż nie było w nich łez, i dopiero potem wyjęła z torebki kopertę lotniczą. – To list od Mohammeda. Ktoś dostarczył go do Umunnachi. Najwidoczniej Mohammed słyszał, że ewakuowano Nsukkę, i pomyślał, że przyjechałaś do Umunnachi. Przepraszam, musiałam go otworzyć, żeby sprawdzić, czy nie ma tam niczego niebezpiecznego.

– Niczego niebezpiecznego? – zdziwiła się Olanna. – Gini? Mamó, co ty

wygadujesz?

– A kto to może wiedzieć? Przecież on teraz jest wrogiem, prawda?

Olanna pokręciła głową. Była zadowolona, że matka wyjedzie za granicę i aż do końca wojny nie będzie miała z nią do czynienia. Chciała przeczytać list dopiero po wyjeździe matki, żeby nie mogła przyglądać się jej twarzy w oczekiwaniu na reakcję, ale nie potrafiła się powstrzymać i od razu wyciągnęła pojedynczą kartkę papieru. Pismo Mohammeda było takie jak on – wielkopańskie i rozciągnięte, z eleganckimi zawijasami. Chciał się dowiedzieć, czy u niej wszystko w porządku. Przekazał jej numery telefonów, pod które może dzwonić, jeśli będzie potrzebowała pomocy. Uważał, że wojna jest bezsensowna, i miał nadzieję, że wkrótce się zakończy. Kochał ją.

– Dzięki Bogu, że za niego nie wyszłaś – rzekła matka, patrząc, jak Olanna składa list. – Wyobrażasz sobie, w jakiej teraz byłabyś sytuacji? O di egwu!

Olanna nic nie odpowiedziała. Matka niedługo potem odjechała; nie chciała wchodzić do domu i spotykać się z Odenigbem.

– Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie, nne, opłacone są cztery miejsca – przypomniała, wsiadając do samochodu i mocno trzymając torebkę wypełnioną biżuterią. Olanna machała ręką, dopóki landrower nie wyjechał za bramę.

Zaskoczyło ją, ile mężczyzn i kobiet mieszka w Abbie, wszyscy przyszli na plac na to zebranie, tłocząc się wokół wiekowego drzewa udała. Odenigbo opowiadał, że gdy w przeszłości posyłano go wraz z innymi dziećmi do pozamiatania wioskowego placu, zamiast zajmować się tym, większość czasu spędzali na walkach o opadłe owoce udała. Nie wolno im było wspinać się na drzewo ani zrywać owoców, ponieważ udała było tabu – to drzewo należało do duchów. Podniosła wzrok na drzewo, kiedy starszyzna zwróciła się do tłumu, i wyobrażała sobie Odenigba jako dziecko patrzącego tak samo jak teraz ona, w nadziei że zobaczy niewyraźny zarys ducha. Czy Odenigbo był tak żywy jak Dzidzia? Być może, a może nawet bardziej niż ona.

– Abba, kwenu! – Odezwał się dibia Nwafor Agbada, człowiek, którego leki były uznawane za najsilniejsze w całej okolicy.

– Abba, kwezuenu!

– Yaa!

– Nikt nigdy nie pokonał Abby. Powiadam, że nigdy nie pokonano Abby. – Głos miał silny. Na głowie sterczało mu tylko kilka wełnistych kępek włosów, a trzymana w ręku laska drżała, kiedy uderzał nią o ziemię. – My nie szukamy zwady, ale jeśli wasza zwada nas znajdzie, zmiądzimy was. Walczyliśmy

z Ukwulu i z Ukpo i pokonaliśmy ich. Mój ojciec nigdy nie opowiadał mi o wojnie, w której zostalibyśmy pokonani, a jego ojciec też nic takiego mu nie mówił. Nigdy nie opuścimy naszej ojczystej ziemi. Nasi ojcowie zabraniają nam tego. Nigdy nie opuścimy naszej ziemi!

Tłum głośno wiwatował. Olanna również. Pamiętała organizowane na uniwersytecie wiece na rzecz niepodległości; zawsze czuła przypływ sił, uczestnicząc w ruchach masowych, ogarnięta tą myślą, że przez krótką chwilę wszyscy ludzie są zjednoczeni jedną ideą.

Kiedy po zebraniu wracali do domu, powiedziała Odenigbowi o liście od Mohammeda.

– Musi być bardzo zmartwiony tym wszystkim. Nawet nie wyobrażam sobie, co teraz czuje.

– Jak możesz coś takiego mówić? – zdziwił się Odenigbo.

Zwolniła kroku i zaskoczona zwróciła się w jego stronę.

– O co ci chodzi?

– Chodzi o to, że twoim zdaniem jakiś cholerny muzułmański Hausa jest zmartwiony! On jest współwinny, absolutnie współwinny wszystkiemu temu, co przydarzyło się naszym rodakom, jak więc możesz mówić, że jest zmartwiony?

– Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Nie mówię poważnie? Jak możesz tak myśleć po tym, co widziałaś w Kano? Czy ty wyobrażasz sobie, co oni zrobili Arize? Oni gwałcili ciężarne kobiety, a potem je rozpruwali!

Olanna cofnęła się. Potknęła się o leżący na drodze kamień. Wręcz nie mogła uwierzyć, że tak po prostu przywołał pamięć Arize i dosłownie ją poniżył tylko po to, żeby przedstawić argument w jakimś nieważnym sporze. Poczuła gniew mrozący jej wnętrzności. Minęła Odenigba i ruszyła szybkim krokiem, a dotarwszy do domu, położyła się w pokoju gościnnym i nie zaskoczyło jej, że znowu naszedł ją Mroczny Atak. Starła się z nim walczyć, głęboko oddychać, potem zaś leżała w łóżku wyczerpana. Nazajutrz nie odzywała się do Odenigba. Podobnie też następnego dnia. A kiedy kuzyn jej matki, wujek Osita, przybył z Umunnachi i powiedział jej, że wzywają ją na spotkanie w domu jej dziadka, nie powiedziała o tym Odenigbowi. Poleciała tylko Ugwu przygotować Dzidię do drogi, a kiedy Odenigbo poszedł na zebranie, zabrała jego samochód i wraz z nimi ruszyła w drogę.

Myślała o tym, w jaki sposób Odenigbo, z nutką zniecierpliwienia w głosie, mówił do niej: „Przepraszam, przepraszam”, jakby sądził, że należy

mu się jej wybaczenie. On chyba uważa, że skoro Olanna potrafiła wybaczyć to wszystko, co wiązało się z narodzinami Dżidzi, teraz już wszystko mu wybaczy. Nie podobało jej się to. Może właśnie dlatego nie powiedziała mu o wyjeździe do Umunnachi. A może dlatego, że wiedziała, z jakiego powodu wezwano ją do Umunnachi, i nie chciała mówić o tym z Odenigbem.

Jechała wyboistymi drogami biegnącymi wśród wysokich traw i zastanawiała się nad interesującym sposobem myślenia wieśniaków, którzy potrafią powiedzieć: „Wzywa cię Umunnachi”, jakby Umunnachi było osobą, a nie miejscowością. Padał deszcz. Drogi były błotniste. Kiedy mijali wyniosłą, trzykondygnacyjną wiejską rezydencję rodziców, spojrzała na nią; są już pewnie w Kamerunie, a może nawet w Londynie albo Paryżu, gdzie czytają gazety, żeby się dowiedzieć, co słychać w ich ojczyźnie. Zaparkowała samochód przed domem dziadka, przy trzcinowym ogrodzeniu. Opony lekko poślizgnęły się na zbrylonej ziemi. Kiedy Ugwu i Dżidzia wysiedli z samochodu, ona przez chwilę jeszcze nie ruszała się z miejsca, patrząc na krople deszczu spływające po przedniej szybie. Czuła ucisk w piersiach i przez kilka chwil musiała oddychać powoli, żeby się go pozbyć, musiała się od tego uwolnić, żeby móc udzielać odpowiedzi na pytania, jakie starszyzna zada jej podczas czekającego ją spotkania. Będą delikatni, oficjalni, wszyscy zbiorą się w zatęchłym salonie: jej starsi wujkowie i stryjeczni dziadkowie, ich żony, kilku kuzynów i może też jakieś dziecko przywiązane do czyichś pleców.

Ona będzie mówić wyraźnym głosem, spoglądając pod nogi, w białe kredowe linie pokrywające całą podłogę, część z tych linii już wyblakła ze starości, niektóre są proste, nieskomplikowane, inne misternie powyginane, a jeszcze inne tworzą wyraźne inicjały. Będąc jeszcze dzieckiem, obserwowała dziadka wręczającego gościom po kawałku nzu, a potem śledziła każdy ruch mężczyzn rysujących po podłodze, i kobiet rozsmarowujących to sobie na twarzę, a czasami nawet pogryzających. Pewnego razu kiedy dziadek wyszedł, Olanna też skosztowała kawałek kredy i do dziś pamięta mdły smak potażu.

Gdyby żył jej dziadek, Nweke Udene, to on przewodziłby zebraniu. Ale miał je prowadzić Nwafor Isaiah, obecnie najstarszy członek ich umunna. Powie: „Inni wrócili, a my cały czas wpatrywaliśmy się w drogę, czekając na naszego syna Mbaeziego, naszą żonę Ifekę i naszą córkę Arize oraz naszego powinowatego z Ogidi. Czekaliśmy i czekaliśmy, ale ich nie ujrzeliśmy. Wiele miesięcy minęło i oczy już nas bolą od tego ciągłego skupiania ich na drodze. Poprosiliśmy cię, żebyś dziś do nas przyjechała i opowiedziała, co wiesz. Umunnachi pyta o wszystkie swoje dzieci, które nie powróciły z Północy. By-

łaś tam, nasza córko. Co ty powiesz nam, my powiemy Umunnachi”.

I tak mniej więcej to się odbyło. Olanna nie przewidziała tylko jednego: podniesionego głosu siostry cioci Ifeki, mamy Dozie. Gwałtownej kobiety, która podobno raz nawet pobiła papę Doziego, kiedy zostawił ich chore dziecko i poszedł do swojej kochanki. Mamy Dozie nie było wówczas w domu, zbierała bulwy kolokazji ze swojego agu. Dziecko o mało nie umarło. Mówiono, że mama Dozie zagroziła, że jeśli dziecko umrze, ona udusi papę Doziego, ale najpierw obetnie mu penisa.

– Nie kłam, Olanno Ozobia, i sikwana asi! – krzyknęła mama Dozie. – Niech cię ospa dopadnie, jeśli kłamiesz. Kto ci powiedział, że to co widziałas, było ciałem mojej siostry? Kto ci to powiedział? Nie kłam tu, bo cholera położy cię trupem.

Jej syn Dozie wyprowadził ją z salonu. Syn Dozie bardzo wyrósł od czasu, kiedy Olanna widziała go kilka lat temu. Mocno trzymał matkę, a ona starała się go odepchnąć, jakby chciała, żeby jej pozwolono pobić Olanę, która żałowała, że nie może jej na to pozwolić. Chciała, żeby mama Dozie uderzyła ją i biła, gdyby jej to pomogło, gdyby przemieniło w kłamstwo to wszystko, co właśnie opowiedziała członkom swojej zebranej w tym pomieszczeniu wielopokoleniowej rodziny. Pragnęła, by również Odinchezo i Ekene na nią krzyczeli, by mieli pretensje, że ona żyje, a nie jest martwa jak ich siostra, rodzice i szwagier. Pragnęła, by nie siedzieli w milczeniu ze spuszczonym wzrokiem, jak często robią mężczyźni w żałobie, na koniec tylko mówiąc, że na szczęście nie widziała ciała Arize, wszyscy bowiem mieli świadomość, co te potwory robiły ciężarnym kobietom.

Odinchezo odłamał duży liść z rośliny ede i podał jej, żeby posłużyła się nim jak prowizorycznym parasolem. Jednak Olanna nie trzymała go nad głową, kiedy spiesznym krokiem zmierzała do samochodu. Powoli otwierała drzwi, pozwalając deszczowi spływać z zaplecionych w warkoczyki włosów w dół, po oczach i policzkach. Była zaskoczona, że zebranie tak szybko się skończyło, że tak niewiele trzeba było czasu, aby potwierdzić śmierć czterech członków jej rodziny. Dzięki jej słowom ci, którzy zostali sami, uzyskali prawo do obchodzenia żałoby, ubrania się na czarno i przyjmowania gości, którzy będą przychodzić i mówić: „Ndo nu”. Dała im prawo do tego, aby po żałobie mogli dalej wieść swoje życie, uznawszy Arize i jej męża oraz rodziców za tych, którzy odeszli na zawsze. Na jej barkach ciążyło brzemie czterech niemych pogrzebów, pogrzebów wyprawionych nie w związku z fizycznymi ciałami, ale w związku z jej słowami. Tymczasem ona zastanawiała się, czy przypadkiem

jej się nie pomyliło, czy przypadkiem nie wyobraziła sobie tych ciał leżących w kurzu, na tamtym podwórzu było tak wiele ciał, że na ich wspomnienie sól gwałtownie napłynęła jej do ust. Kiedy w końcu otworzyła samochód, a Ugwu i Dzidzia wskoczyli do środka, jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu, zdając sobie sprawę, że Ugwu patrzy na nią z z troskaniem i że Dzidzia lada moment zaśnie.

– Czy mam pani przynieść wodę do picia? – spytał Ugwu.

Olanna pokręciła głową. On oczywiście zdawał sobie sprawę, że Olanna nie chce wody. Po prostu chciał wyrwać ją z tego transu, żeby mogła uruchomić samochód i zawieźć ich z powrotem do Abby.

Ugwu pierwszy zauważył ludzi ciągnących gruntową drogą przez Abbę. Wlekli za sobą kozy, nieśli jams i skrzynki na głowach, kurczaki i zrolowane maty pod pachami, a w rękach lampy naftowe.

Dzieci niosły małe miski albo prowadziły mniejsze dzieci. Ugwu obserwował przechodzącą kolumnę, niektórzy szli w milczeniu, inni głośno rozmawiali; wiedział, że wielu z nich nie ma pojęcia, dokąd zmierzają. Tego wieczoru pan wcześniej wrócił z zebrania.

– Jutro wyjeżdżamy do Umuahii – powiedział. – I tak mieliśmy tam jechać. Po prostu wyjedziemy tydzień lub dwa wcześniej. – Mówił szybko, wciąż wpatrując się gdzieś w dal. Ugwu zastanawiał się, czy jego zachowanie spowodowane jest tym, że wciąż nie chce dopuścić myśli o bliskim upadku swej rodzinnej miejscowości, czy też tym, że Olanna nie odzywa się do niego. Ugwu nie wiedział, co zaszło między nimi, ale cokolwiek to było, miało miejsce po zebraniu na wioskowym placu. Olanna wróciła wtedy do domu dziwnie milcząca. Mówiła jak automat. Nie śmiała się. Zupełnie zdała się na Ugwu w sprawach związanych z jedzeniem i zajmowaniem się Dzidzią, a sama większość czasu spędzała na pochyłym drewnianym krześle na werandzie. Pewnego razu zobaczył ją, jak podchodzi do gujawy i głaszcze jej pień, postanowił więc podejść do niej i odciągnąć ją, zanim sąsiedzi stwierdzą, że oszalała. Ale nie stała tam długo. Po chwili odwróciła się w milczeniu, wróciła na werandę i tam usiadła.

Teraz wyglądała równie spokojnie.

– Ugwu, spakuj, proszę, nasz ubrania i jedzenie na jutro.

– Tak, mah.

Szybko spakował ich rzeczy – w końcu nie mieli ich zbyt dużo, zupełnie inaczej niż w Nsucce, gdzie był do tego stopnia sparaliżowany, stojąc przed tak wieloma możliwościami wyboru, że bardzo mało zabrał. Następnego dnia wczesnym rankiem włożył wszystko do samochodu i wrócił do domu, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczył. Olanna w tym czasie zdążyła już spakować albumy. Wykąpała Dzidzię. Stali przy samochodzie, oczekując, aż pan

sprawdzi poziom oleju i wody. Drogą szły liczne grupy ludzi.

Drewniana furka w glinianym murze za domem otworzyła się ze skrzypnięciem i na podwórze wszedł Aniekwena. Był kuzynem pana. Ugwu nie lubił chytrze wykrzywionych ust tego człowieka, który zawsze przychodził do nich w porze posiłku, a potem mówił: „Och! Och!” tonem przesadnego zaskoczenia, kiedy Olanna zapraszała, żeby do nich dołączył w „podnoszeniu rąk do ust”. Teraz stał z ponurą miną, a za nim matka pana.

– Jesteśmy gotowi do drogi, Odenigbo, a twoja matka nie chce się spakować i jechać – powiedział Aniekwena.

Pan zamknął maskę samochodu.

– Mamo, chyba ustaliliśmy, że pojedziesz do Uke.

– Ekwuzikwananu nofu! Nie mów tak! To ty powiedziałeś, że musimy uciekać i że lepiej będzie, jeśli pojedę do Uke. Ale czy słyszałeś, żebym się na to zgodziła? Czy powiedziałam ci: „Aha”?

– Czy w takim razie chcesz z nami jechać do Umuahii? – spytał pan.

Mama spojrzała na wypakowany samochód.

– Dlaczego wy uciekacie? Przed czym? Słyszeliście jakieś strzały?

– Ludzie uciekają z Abagany i z Ukpo, a to oznacza, że żołnierze Hausów są już blisko i wkrótce wejdą do Abby.

– Czy słyszałeś, jak nasz dibia mówił, że Abby nigdy nie zdobyto? Przed kim ja uciekam z własnego domu? Alu melu! Czy zdajesz sobie sprawę, że twój ojciec będzie nas teraz przeklinał?

– Mamo, nie możesz tu zostać. W Abbie nikt nie zostanie.

Podniosła wzrok i zmrużyła oczy w skupieniu, jakby poszukiwanie dojrzewającego strąku na drzewie kola było ważniejsze od tego, co mówi jego pan.

Olanna otworzyła drzwi samochodu i poleciała Dzidzi usiąść z tyłu.

– Wieści nie są dobre. Żołnierze Hausów są blisko – odezwał się Aniekwena. – Ja jadę do Uke. Dajcie nam znać, jak dotrzecie do Umuahii. – Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Mamo! – krzyknął pan. – Natychmiast idź po swoje rzeczy!

Jego matka nie odrywała wzroku od drzewa kola.

– Zostanę i dopilnuję domu. Teraz uciekacie, ale w końcu kiedyś wrócicie. Będę tu czekać. Przed kim mam uciekać z własnego domu, gbo?

– Może lepiej porozmawiać z nią, a nie tylko podnosić głos – odezwała się Olanna po angielsku. Mówiła głosem oficjalnym, szybko wyrzucając z siebie słowa. Ugwu jeszcze nigdy nie słyszał, żeby w taki sposób mówiła do pana, jedynie w tych miesiącach poprzedzających narodziny Dzidzi.

Matka pana spoglądała na nich podejrzliwie, jakby przekonana, że Olanna właśnie obraziła ją po angielsku.

- Mamo, pojedziesz z nami? – spytał pan. – Biko. Proszę, jedź z nami.
- Daj mi klucze do swojego domu. Mogę czegoś stamtąd potrzebować.
- Proszę, jedź z nami.
- Daj mi te klucze.

Pan patrzył na nią w milczeniu i po chwili wręczył jej pęk kluczy.

– Proszę, jedź z nami – powtórzył, na co nic nie odpowiedziała, tylko przywiązała klucze do skraju chusty.

Pan wszedł do samochodu. Już odjeżdżając, wciąż odwracał się, żeby spojrzeć na swoją matkę, być może w nadziei, że jednak zmieni zdanie i pobiegnie za Aniekweną albo machnie ręką, żeby Odenigbo się zatrzymał. Ale nic takiego nie zrobiła. Stała tam i nie machała na pożegnanie. Również Ugwu za nią patrzył, dopóki nie skręcili na gruntową drogę. Jak mogła zostać tu zupełnie sama, bez towarzystwa krewnych? Jeśli wszyscy wyjadą z Abby, co ona będzie jeść, skoro nie będzie żadnego targu?

Olanna dotknęła ramienia pana.

– Nic jej się nie stanie. Jeśli wojska federalne będą tędy przechodzić, nie zatrzymają się w Abbie.

– Tak – odrzekł pan. Nachylił się i pocałował ją w usta, a Ugwu poczuł radosną ulgę, widząc, że znowu ze sobą normalnie rozmawiają. Mijający ich pociąg pojedynczo idących uciekinierów powoli robił się coraz rzadszy.

– Profesor Achara znalazł nam dom w Umuahii – powiedział pan głosem zbyt podniesionym, zbyt radosnym. – Niektórzy ze starych znajomych już tam są i wkrótce wszystko powróci do normy. Wszystko będzie zupełnie normalne!

Olanna nic nie odpowiedziała, więc Ugwu odparł:

– Tak, sah.

W tym domu nie było nic normalnego. Kryty strzechą dach i popękane niemalowane ściany martwiły Ugwu, jednak nie tak bardzo jak w budyńeczku na zewnątrz ogromna latryna, przed którą wisały przerdzewiałe cynkowe blachy mające odganiać muchy. Ten wychodek przerażał Dzidzie. Kiedy korzystała z niego po raz pierwszy, Ugwu ją przytrzymał, a Olanna miłymi słowami starała się nakłonić, żeby zrobiła, co trzeba. Dzidzia płakała nieustannie. Często płakała też w kolejnych dniach, jakby ona również zdawała sobie sprawę, że ten dom jest niegodny pana, że całe oboje, z tą krótką trawą i stosami betonowych pustaków w kącie, jest brzydkie, że sąsiednie domy stoją zbyt bli-

sko, tak blisko, że czuje się tłuszczyć z gotowania i słyszy krzyki tamtejszych dzieci. Ugwu był przekonany, że profesor Achara oszukał pana, polecając mu wynająć ten dom, w wylupiastych oczach tego człowieka dostrzegał jakąś przebiegłość. A poza tym jego położony kawałek dalej dom był wielki i pomalowany na oślepiającą biel.

– Mah, to nie jest dobiy dom – odezwał się Ugwu.

Olanna roześmiała się.

– Ależ, Ugwu, co ty wygadujesz? Czyżbyś nie wiedział, ilu ludzi mieszka teraz pod jednym dachem? Wszystkim czegoś brakuje. A my tu mamy dwie sypialnie, kuchnię, salonik i nawet jadalnię. Mamy szczęście, że poznaliśmy ubóstwo Umuahii.

Ugwu już nic więcej nie powiedział. Wolałby, żeby pani nie była tego tak pewna.

– Postanowiliśmy pobrać się w przyszłym miesiącu – powiedziała mu Olanna kilka dni później. – Ślub będzie skromny, a przyjęcie odbędzie się tutaj.

Ugwu nie mógł wyjść ze zdumienia. Myśląc o ślubie, wyobrażał sobie coś doskonałego, dom w Nsuce świątecznie udekorowany, wyprasowane i białe jak śnieg obrusy zastawione potrawami. Lepiej byłoby, gdyby poczekali do końca wojny, a nie organizowali wesele w tym domu, w którym nie było nic poza posępными pokojami i zatęchłą kuchnią.

Wyglądało jednak na to, że nawet panu ten dom nie przeszkadza. Wieczorami wracał z biura zarządu i siadał na dworze, z zadowoleniem słuchając Radia Biafra i BBC, jakby podłoga werandy nie była pokryta skorupą błota, a goła drewniana ławka niczym nie różniła się od wyściełanej sofy w Nsuce. W miarę upływających tygodni zaczęli zaglądać do nich jego znajomi. Czasami pan chodził z nimi do położonego kawałek dalej baru Wschodzące Słońce, a czasami siadywali na werandzie i rozmawiali. Dzięki ich wizytom Ugwu przestał dostrzegać niedogodności domu. Nie podawał już zupy paprykowej ani drinków, ale mógł wsłuchiwać się w regularne falowanie ich głosów, w ich śmiech, śpiewy, krzyki pana. Życie zaczęło nieco przypominać czasy w Nsuce zaraz po secesji; powietrze znowu pachniało nadzieją.

Ugwu lubił Specjalnego Juliusza, dostawcę wojskowego, który chodził w wyszywanej cekinami tunice do kolan i przynosił kartony piwa „Golden Guinea” i butelki whisky „White Horse”, a czasami benzynę w czarnym kanistrze; właśnie Specjalny Juliusz poradził panu, żeby na dachu samochodu poukładał stos pierzastych liści palmowych w celach maskujących, a reflektory zamalo-

wał smołą węglową.

– Raczej mało prawdopodobne, żeby czekały nas naloty, ale naszą dewizą powinna być czujność! – powiedział pan, dzierżąc pędzel w dłoni. Trochę smoły spłynęło po zderzakach, szpecąc błękitny kolor, toteż później, kiedy pan wszedł już do domu, Ugwu starannie ją powycierał, tak że czarna maź pokrywała tylko reflektory.

Jednak ulubionym gościem Ugwu był profesor Ejkwenugo. Był członkiem Grupy Naukowej. Długi zwężający się paznokieć na jego palcu wskazującym przypominał smukły sztylet, a profesor gładził go, opowiadając o tym, co on i jego koledzy z pracy robią: miny lądowe o wielkiej sile rażenia zwane ogbunigwe, płyn hamulcowy z oleju kokosowego, silniki samochodowe ze złomu, wozy pancerne, granaty. Pozostali goście radosnymi okrzykami przyjmowali każde jego oświadczenie, Ugwu też wiwatował, siedząc na taborecie w kuchni. Największą burzę oklasków wzbudził, gdy obwieścił, że powstała pierwsza biafrańska rakietka.

– Wystrzeliliśmy ją dziś popołudniu, dokładnie dzisiaj – powiedział, pieszcząc ten swój paznokieć. – Nasza własna, wykonana domowym sposobem rakietka. Mówię wam, jesteście już blisko.

– Jesteśmy narodem geniuszy! – oświadczył Specjalny Juliusz, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Biafra to kraj geniuszu.

– Kraj geniuszu – powtórzyła Olanna, a jej twarz promieniała tą subtelną fazą rozdzielającą uśmiech od śmiechu.

Klaskanie przeszło w śpiew.

So-lidarność na wieki!

So-lidarność na wieki!

Nasza republika zwycięży!

Ugwu śpiewał wraz z innymi, żałując, że nie może wstąpić do służb obrony cywilnej albo ochotniczej straży, przeczesujących busz w poszukiwaniu ukrywających się tam Nigeryjczyków. Głównym punktem jego dnia stały się doniesienia wojenne, przyspieszony rytm werbla i wspaniałe głos mówiący: „Ceną wolności jest wieczna czujność! Tu Radio Biafra z Enugu! Przedstawiamy codzienne doniesienia z wojny!”.

Po entuzjastycznych wiadomościach – wojska biafrańskie przeganiały resztki sił wroga, straty w ludziach po stronie nigeryjskiej były wysokie, kończono obławę na ostatnich niedobitków – marzył o wstąpieniu do wojska.

Mógłby zostać jednym z tych rekrutów, którzy najpierw trafiali do obozu szkoleniowego – odprowadzani przez wiwatujących krewnych i inne życzliwe osoby – a potem wychodzili stamtąd z jasnym spojrzeniem, w sztywnych od krochmalu pięknych mundurach z lśniąca na rękawach połówką żółtego słońca.

Chciał odegrać jakąś rolę, chciał działać. Zwyciężyć w wojnie. I kiedy radio podało wiadomość, że Biafra zajęła środkowo-zachodnie terytorium, a biafrańskie wojska maszerują na Lagos, ogarnęły go dziwnie mieszane uczucia, z jednej strony ulgi, a z drugiej rozczarowania. Zwycięzali, pragnął więc wrócić do domu przy ulicy Odim, znaleźć się blisko rodziny, zobaczyć się z Nnesinachi. Mimo to miał wrażenie, że wojna zbyt wcześnie się kończy, a on nie zdążył wnieść w nią swojego wkładu. Specjalny Juliusz przyniósł butelkę whisky i goście zaczęli śpiewać i krzyczeć po pijanemu o potędze Biafry, o tępotcie Nigeryjczyków i głupich spikerach radia BBC.

– Tylko spójrzcie na te ich obrzydliwe angielskie gęby. Rzeczywiście „Zdumiewające posunięcie Biafry!”.

– Są zaskoczeni, bo ta cała broń, którą Harold Wilson dał tym muzułmańskim pastuchom, nie powybiła nas tak szybko, jak sobie wymarzyli!

– Pretensje powinieneś mieć do Rosji, nie do Wielkiej Brytanii.

– Oczywiście, że to Wielka Brytania ponosi winę. Nasi chłopcy przynieśli nam do analizy kilka nigeryjskich łusek z sektora Nsukki. Na wszystkich, co do jednej, był napis: „UK WAR DEPARTMENT”.

– W ich przekazach radiowych też wychwytyjemy głosy z angielskim akcentem.

– W takim razie i Wielka Brytania, i Rosja. Ten niecny pakt nie może zwyciężyć.

Głosy stawały się coraz głośniejsze, aż Ugwu przestał ich słuchać. Podniósłszy się, wyszedł przez tylne drzwi i usiadł na stercie betonowych pustaków koło domu. Na ulicy mali chłopcy z Brygady Chłopców Biafry ćwiczyli z kijami w kształcie karabinów, wykonywali żabie skoki, piskliwymi głosami wołali na siebie „kapitanie” i „poruczniku.

Wolnym krokiem nadeszła uliczna sprzedawczyni, niosąc tacę na głowie.

– Kupcie garri! Kupcie garri!

Zatrzymała się, słysząc wołanie młodej kobiety z domu naprzeciwko. Przez chwilę się targowały, potem ta młoda kobieta zawołała:

– Możesz sobie okradać ludzi, jeśli chcesz. Ale nie mów, że w tej cenie sprzedajesz garri.

Sprzedawczyni tylko syknęła i poszła dalej.

Ugwu znalazł tę młodą kobietę. Zwrócił na nią uwagę z powodu pośladków: doskonale krągłych, przelewających się rytmicznie z jednej strony na drugą, kiedy ona szła. Na imię miała Eberechi. Słyszał, co mówią o niej sąsiedzi, opowiadano, że rodzice oddali ją mieszkającemu u nich oficerowi wojsk lądowych, jak daje się orzech kola gościowi. Zapukali w nocy do jego drzwi, otworzyli je i delikatnie wepchnęli ją do środka. Następnego ranka przy stojącej obok Eberechi rozpromieniony oficer złożył podziękowania rozpromienionym rodzicom.

Ugwu patrzył za nią, kiedy wchodziła do domu, i zastanawiał się, jak musiała się czuć, kiedy rodzice zaproponowali ją obcemu, a także co się wydarzyło, kiedy już wepchnięto ją do jego pokoju, i kogo należało bardziej winić: jej rodziców czy tego oficera. Jednak nie chciał zbyt wiele rozmyślać o kwestii winy, bo przypominało mu to o sytuacji między panem i Olaną w trakcie tamtych tygodni przed narodzinami Dzidzi, tygodni, które wolałby wymazać z pamięci.

Panu udało się zamówić zaklinacza deszczu na dzień ślubu. Starszy mężczyzna przybył wcześniej rano i wykopał za domem płytki rów, w którym rozpałił ognisko, a potem zaczął podkładać suche liście do ognia, wzbudzając gęsty niebieskawy dym.

– Nie będzie deszczu, nic się nie wydarzy aż do samego końca wesela – powiedział, kiedy Ugwu przyniósł mu talerz z ryżem i mięsem.

Ugwu wyczuwał w jego oddechu cierpką woń dżinu. Odwrócił się i poszedł z powrotem do domu, żeby dym nie wsiąkł w jego starannie wyprasowaną koszulę. Na werandzie siedzieli kuzyni Odinchezo i Ekene ubrani w mundury straży ochotniczej. Fotograf bawił się swoim aparatem. Kilku gości było w salonie, gdzie rozmawiali i śmiali się w oczekiwaniu na Olanę, raz na jakiś czas ktoś podchodził i dokładał jakiś przedmiot – garnek, taboret, wentylator – na stertę prezentów.

Ugwu zapukał do drzwi pokoju Olanny i otworzył je.

– Mah, profesor Achara jest już gotowy, żeby zabrać panią do kościoła – powiedział.

– Dobrze. – Olanna oderwała wzrok od lustra. – Gdzie jest Dzidzia? Chyba nie wyszła się bawić na dworze, co? Nie wolno jej ubrudzić sukienki.

– Jest w salonie.

Olanna siedziała przed lustrem zniekształcającym odbicie. Upięte włosy

w całości odsłaniały jej rozpromienioną nieskazitelnie gładką twarz. Ugwu nigdy jeszcze nie widział jej tak pięknej, lecz trudno było nie dostrzec jakiegoś ociągania, kiedy delikatnie poklepywała z jednej strony głowy kapelusik w kolorach rózu i kości słoniowej, sprawdzając, czy szpilki dobrze trzymają.

– Uroczystością przyniesienia wina zajmiemy się później, kiedy nasze wojska odbiją Umunnachi – powiedziała, jakby Ugwu o tym nie wiedział.

– Tak, mah.

– Wysłałam wiadomość do Kainene w Port Harcourt. Ona nie przyjedzie, ale chciałam, żeby o tym wiedziała.

Ugwu przerwał jej:

– Czekają, mah.

Olanna wstała i jeszcze raz sprawdziła swój wygląd. Przyglądała dłonią suknię w kolorach rózu i kości słoniowej, rozszerzając się od pasa i kończąc tuż pod kolanami.

– Te ściegi są strasznie nierówne. Arize lepiej by to zrobiła.

Ugwu nic nie odpowiedział. Gdybyż mógł sięgnąć ręką i jednym szarpnięciem zerwać z jej ust ten smętny uśmiech!... Gdybyż można było załatwić to w tak prosty sposób!...

W uchylone drzwi zastukał profesor Achara.

– Olanno? Jesteś gotowa? Podobno Odenigbo i Specjalny Juliusz są już w kościele.

– Wejdz, proszę, jestem gotowa – odrzekła Olanna. – Przyniosłeś kwiaty?

Profesor Achara wręczył jej bukiet sztucznych różnobarwnych kwiatów.

Olanna aż się cofnęła.

– Cóż to jest?... Chciałam mieć świeże kwiaty.

– Ale w Umuahii nikt nie hoduje kwiatów. Tu się hoduje tylko to, co się nadaje dojedzenia – ze śmiechem odparł profesor Achara.

– W takim razie nie będę nieść kwiatów – stwierdziła Olanna.

Przez chwilę wahania żadne z nich nie wiedziało, co zrobić z tymi sztucznymi kwiatami: Olanna trzymała je w lekko wyciągniętej dłoni, a profesor Achara dotykał ich, ale nie brał do ręki. W końcu je wziął i powiedział:

– Sprawdzę, czy nie da się załatwić czegoś innego. – Po czym wyszedł z pokoju.

Ślub był skromny. Olanna nie miała kwiatów. Kościół katolicki Świętego Sebastiana był mały, lecz tylko w połowie wypełniali go przybyli znajomi. Jednak Ugwu nie zwracał szczególnej uwagi na to, kto przyszedł, ponieważ wpatrując się w nędzny biały obrus na ołtarzu, wyobrażał sobie, że to on się

zeni. Najpierw jego narzeczoną była Olanna, która po chwili przekształciła się w Nnesinachi, a następnie w Eberechi z idealnie krągłymi pośladkami, a każda z nich była w tej samej sukni w kolorach różu i kości słoniowej i w malutkim, pasującym do niej kapelusiku.

Z tego świata fantazji Ugwu ocknął się dopiero po powrocie do domu, kiedy pojawił się Okeoma. Zupełnie nie przypominał Okeomy zapamiętanego przez Ugwu – gdzieś zniknęły skołtunione włosy i pomięta koszula poety. W elegancko dopasowanym mundurze wyglądał na bardziej wyprostowanego, smuklejszego, a na rękawie, obok połówki żółtego słońca, widniał znak z czaszką i piszczelami. Pan i Olanna wyściskali go wielokrotnie, Ugwu też chętnie by go uścisnął, ponieważ roześmiana twarz Okeomy na powrót przyniosła przeszłość z taką siłą, że przez chwilę Ugwu miał wrażenie, iż ten pokój zasnuty dymem zaklinacza deszczu jest salonem przy ulicy Odim.

Okeoma przywiózł swojego tyczkowego kuzyna, doktora Nwałę.

– Jest komendantem do spraw medycznych w szpitalu Albatros – powiedział Okeoma, przedstawiając kuzyna. Doktor Nwała wpatrywał się w Olanę z tak irytująco ostentacyjnym uwielbieniem, że Ugwu już chciał powiedzieć mu, by przestał się na nią gapić tymi swoimi żabimi oczami, obojętne, czy jest komendantem do spraw medycznych czy nie. Ugwu nie tylko czuł się bezpośrednio zainteresowany szczęściem Olanny, ale również za nie odpowiedzialny. Kiedy ona wraz z panem tańczyli na dworze, otoczeni kręgiem klaszczących znajomych, pomyślał: „Oni należą do mnie”. Ich ślub stanowił dla niego jakieś przypieczętowanie stabilności, bo dopóki oni będą małżeństwem, jego świat z nimi jest bezpieczny. Przez jakiś czas tańczyli przytuleni do siebie, dopóki Specjalny Juliusz nie zmienił muzyki z tanecznej na high life, a wówczas się rozdzielili i trzymając się za ręce, patrzyli sobie w twarz, poruszając się w rytm nowej piosenki Reksa Lawsons „Witaj, Biafro, kraino wolności”. Olanna w butach na obcasie była wyższa od pana. Uśmiechała się, promieniała radością, śmiała się. Kiedy Okeoma zaczął wznosić toast, otarła oczy i powiedziała do stojącego za trójnogiem fotografa: „Chwileczkę, chwileczkę, proszę jeszcze nie robić zdjęcia”.

Ugwu dosłyszał ten dźwięk na chwilę przed rozpoczęciem ceremonii krojenia tortu w salonie, szybko narastający łyk: „bach-bach-bach” na niebie. Początkowo był ogłuszający, potem na chwilę ucichł, aby zaraz powrócić, głośniejszy i szybszy. Gdzieś w pobliżu kury zaczęły gdakać jak oszalałe.

Ktoś powiedział:

– Nieprzyjacielskie samoloty! Nalot!

– Na dwór! – krzyknął pan, ale niektórzy goście rzucili się w stronę sypialni, wołając: „Jezu! Jezu!”.

Dźwięki były już głośniejsze, dochodziły znad ich głów.

Pobiegli – pan, Olanna niosąca Dzidzię, Ugwu, kilku gości – do rosnącej obok domu kępy manioku i położyli się na brzuchach. Kiedy Ugwu podniósł wzrok, dojrzał samoloty szybujące nisko pod błękitnym niebem jak dwa drapieżne ptaki. Wypluły z siebie setki rozproszonych pocisków, a dopiero potem spod ich brzuchów wytoczyły się czarne kule, jakby samoloty znosiły ogromne jaja. Pierwsza eksplozja była tak głośna, że Ugwu już myślał, iż bębunki mu popękały, a jego ciało zadrżało poruszone wibracją ziemi. Mieszkająca w domu naprzeciwko kobieta zaczęła szarpać sukienkę Olanny.

– Ściągnij to! Ściągnij tę białą sukienkę! Zobaczą ją i będą do nas strzelać!

Okeoma zerwał z siebie koszulę munduru, aż pourywane guziki poleciały na wszystkie strony, i owinał nią Olannę. Dzidzia się rozpłakała. Pan przyłożył jej lekko dłoń do ust, jakby się obawiał, że piloci ją usłyszą. Nastąpił drugi wybuch, potem trzeci, czwarty, piąty, aż w końcu Ugwu poczuł na swoich krótkich spodenkach ciepłą wilgoć moczu i doszedł do przekonania, że te bomby nigdy się nie skończą; będą spadać bez ustanku tak długo, aż wszystko zostanie zniszczone i wszyscy zginą. A jednak skończyły się. Samoloty zniknęły. Przez długi czas nikt się nie ruszał i nie odzywano się, wreszcie Specjalny Juliusz podniósł się i powiedział:

– Odlecieli.

– Samoloty leciały tak nisko – odezwał się jakiś chłopiec podnieconym głosem. – Widziałem pilota!

Pan i Okeoma pierwsi wyszli na drogę. Ubrany tylko w podkoszulek i spodnie Okeoma sprawiał wrażenie mniejszego. Olanna, w sukni ślubnej przykrytej wojskową koszulą w maskujących kolorach, nadal siedziała na ziemi, tuląc Dzidzię. Ugwu podniósł się i ruszył w stronę drogi. Słyszał, jak doktor Nwala mówi do Olanny:

– Proszę pozwolić, że pani pomogę. Pobrudzi sobie pani sukienkę.

Dym wznosił się z obejścia położonego w pobliżu stojącego na sąsiedniej ulicy młyna. Dwa domy zawaliły się, tworząc spowitą kurzem kupę gruzu, a jacyś mężczyźni kopali jak szaleni wśród bezładnego stosu betonów, mówiąc: „Słyszałeś ten płacz? Słyszałeś?”. Ich całe ciała pokrywała drobna mgiełka srebrzystego kurzu i wyglądali jak duchy pozbawione kończyn, lecz z otwartymi oczami.

– Dziecko żyje, słyszałem płacz, słyszałem – powiedział ktoś.

Mężczyźni i kobiety podeszli do tego miejsca, żeby pomóc i pogapić się; niektórzy zabrali się za kopanie, inni stali i patrzyli, a jeszcze inni krzyczeli i pstrykali palcami. Jakiś samochód płonął; obok leżało ciało kobiety, jej odzienie było spalone, na poczerniałej skórze wszędzie widać było różowe plamy, i chociaż w końcu ktoś przykrył ją porwanym jutowym workiem, Ugwu wciąż widział jej sztywne, czarne jak węgiel nogi. Na niebie zebrały się chmury. Wilgotny zapach nadciągającego deszczu mieszał się z wonią spaleni-
zny. Okeoma i pan dołączyli do kopiących w gruzach.

– Słyszałem dziecko – znowu ktoś się odezwał. – Słyszałem dziecko.

Ugwu odwrócił się i zaczął odchodzić. Dostrzegł na ziemi elegancki sandałek i podniósł go, przyjrzał się skórzanym paskom i grubej koturnowej podszwie, potem odłożył bucik tam, gdzie go znalazł. Wyobraził sobie szykowną młodą właścicielkę, która zrzuciła go, uciekając przed niebezpieczeństwem. Zastanawiał się, gdzie może być drugi sandał.

Kiedy pan wrócił do domu, Ugwu siedział na podłodze w salonie plecami oparty o ścianę. Olanna grzebała łyżeczką w leżącym na spodeczku kawałku tortu. Wciąż miała na sobie suknię ślubną, koszula od munduru Okeomy leżała równo poskładana na krześle. Wszyscy goście wyszli w ciszy, niewiele mówiąc, z twarzami spowitymi cieniem winy, jakby zakłopotani, że dopuścili do tego, by naloć zniweczył wesele.

Pan nalał sobie szklanekę wina palmowego.

– Słuchałaś wiadomości?

– Nie – odrzekła Olanna.

– Nasze wojska straciły wszystkie wcześniej zajęte tereny na środkowym zachodzie i nie maszerują już na Lagos. Nigeria ogłosiła, że teraz to już jest wojna, a nie akcje policyjne. – Pokręcił głową. – Padliśmy ofiarą sabotażu.

– Zjesz kawałek tortu? – spytała Olanna. Tort stał na środku stołu, nienaruszony z wyjątkiem cienkiego kawałeczka, który sobie odkroiła.

– Nie teraz. – Wypił palmowe wino i nalał sobie kolejną szklaneczkę. – Zbudujemy schron na wypadek kolejnego nalotu. – Mówił tonem normalnym, spokojnym, jakby naloty były czymś niegroźnym, jakby przed chwilą nie otarli się o śmierć. – Wiesz, mój dobry człowieku, co to takiego schron? – zwrócił się do Ugwu.

– Tak, sah – odrzekł Ugwu. – Taki jak miał Hitler.

– Chyba tak, coś w tym rodzaju.

– Ale ludzie mówią, że schrony to zbiorowe mogiły – powiedział Ugwu.

– Co za bzdury. Schrony są bezpieczniejsze od leżenia w zagonie manioku.

Na dworze zapadły już ciemności, niebo raz na jakiś czas rozświeciła błyskawica. Olanna nagle poderwała się z krzesła i krzyknęła:

– Gdzie jest Dzidzia? Ke Dzidzia? – I rzuciła się do sypialni.

– Nkem! – Pan ruszył za nią.

– Nie słyszysz?... Nie słyszysz, że znowu nas bombardują?

– To grzmot. – Pan chwycił Olanę od tyłu i przytrzymał. – To tylko grzmot. To co naszemu zaklinaczowi deszczu udało się powstrzymać, w końcu się wyzwoliło. To tylko grzmot.

Przytrzymał ją jeszcze chwilę, aż Olanna usiadła i ukroiła sobie drugi kawałek tortu.

4. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Upiera się, że przed uzyskaniem niepodległości Nigeria nie miała własnej gospodarki. W państwie kolonialnym panował despotyzm, względnie umiarkowanie brutalna dyktatura, której celem było przynoszenie korzyści Wielkiej Brytanii. W 1960 roku na gospodarkę składał się potencjał – surowce, ludzie, powszechnie panujące optymistyczne nastroje, trochę pieniędzy z rezerw urzędu marketingu, które pozostały z tego, co Brytyjczycy zabrali, żeby odbudować swoją powojenną gospodarkę. I była też niedawno odkryta ropa. Ale nowi przywódcy Nigerii okazali się zbyt wielkimi optymistami, byli nazbyt ambitni przy opracowywaniu projektów, które miały zjednać im ludzi, nazbyt naiwni w przyjmowaniu zagranicznych pożyczek udzielanych w celu osiągnięcia zysku, i nazbyt zainteresowani małpowaniem Brytyjczyków i przejmowaniem ich wyniosłego stosunku do innych, lepszych szpitali i lepszych pensji, tak długo odmawianych Nigeryjczykom. Wskazuje na złożone problemy, przed jakimi staje nowe państwo, ale koncentruje się na masakrach roku 1966. Rzekome powody – zemsta za „zamach 1600”, protest przeciw dekretowi o jedności, w związku z którym mieszkańcy Północy mieli stracić posady w administracji państwowej – nie miały znaczenia. I nie miały też znaczenia zmieniające się liczby zabitych: trzy tysiące, dziesięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy. Ważne było to, że masakry przeraziły, ale równocześnie zjednoczyły 1600. Ważne było to, że masakry z byłych Nigeryjczyków stworzyły zagorzałych Biafrańczyków.

CZEŚĆ TRZECIA

POCZĄTEK LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH

19

Ugwu usiadł na schodkach prowadzących na podwórze za domem. Krople deszczu ześlizgiwały się po liściach, w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi, a on rozmawiał z Harrisonem o swojej zbliżającej się podróży z panem Richardem.

– Tufia! Nie mam pojęcia, dlaczego mój pan chce zobaczyć ten diabelski festiwal w twojej wiosce – powiedział Harrison. Stał kilka stopni niżej i Ugwu widział łysinę na czubku jego głowy.

– Może pan Richard chce napisać o diable – odparł Ugwu. Oczywiście ori-okpa nie było diabelskim festiwalem, jednak nie mógł nie zgodzić się z Harrisonem. Zależało mu na tym, żeby Harrison był w dobrym humorze, bo chciał go zapytać o gaz łzawiący. Przez chwilę się nie odzywali, obserwując sępy szybujące u góry; sąsiedzi właśnie zabili kurczaka.

– Ach, cytryny dojrzewają. – Harrison gestem wskazał na drzewo. – Świeżej dodaję do bezy – dodał po angielsku.

– Co to jest bea? – zapytał Ugwu. Wiedział, że Harrisonowi spodoba się to pytanie.

– Nie wiesz, co to jest? – Harrison roześmiał się. – To amerykańskie jedzenie. Zrobię je mojemu panu, żeby przyniósł do was, kiedy twoja pani wróci z Londynu. Na pewno będzie jej smakować. – Harrison odwrócił się, żeby spojrzeć na Ugwu. Zanim usiadł na stopniu, rozłożył na nim gazetę, która po-mięła się, kiedy się podnosił. – Nawet tobie będzie smakować.

– Tak – odrzekł Ugwu, chociaż przysiągł sobie nigdy nie jeść jedzenia przygotowywanego przez Harrisona, odkąd będąc w domu pana Richarda, zobaczył, jak Harrison wrzuca łyżką poszatowane skórki pomarańczy do garnka z sosem. Mniej by się przeraził, gdyby Harrison do gotowania używał całej pomarańczy, ale gotowanie skórki przypominało używanie włochatej skóry kozy zamiast jej mięsa.

– Cytryn używam też do ciasta, cytryny są bardzo dobre na ciało – ciągnął Harrison. – Jedzenie białych daje ci zdrowie, jest zupełnie inne od tych idiotycznych potraw, które nasi jedzą.

– Tak, to prawda. – Ugwu odchrząknął. Powinien teraz zapytać Harrisona o gaz łzawiący, lecz zamiast tego powiedział: – Pokażę ci mój nowy pokój w służbówce.

– Dobra. – Harrison podniósł się.

Kiedy weszli do pokoju, Ugwu wskazał na sufit pokryty czarno-białym wzorem.

– Sam to zrobiłem – wyjaśnił. Całymi godzinami trzymał świeczkę u góry i przesuwał płomieniem po suficie, często przerywając, żeby przestawić stół, na którym stał.

– O maka, bardzo ładne. – Harrison spojrzał na stojące w kącie wąskie łóżko na sprężynach, na stół i krzesło, na koszule wiszące na powbijanych do ściany gwoździach, na dwie pary starannie ustawionych na podłodze butów.
– To nowe buty?

– Moja pani kupiła mi je u Baty.

Harrison dotknął sterty czasopism na stole.

– Czytasz to wszystko? – zapytał po angielsku.

– Tak. – Ugwu uratował je z kosza na śmieci w gabinecie; „Mathematical Annals” były niezrozumiałe, ale udało mu się przeczytać, choć niewiele zrozumiał, kilka stron z „Socialist Review”.

Znowu zaczęło padać. Stukot deszczu w cynkowaną blachę na dachu był głośny i robił się coraz głośniejszy, a oni stali pod daszkiem na dworze i parzyli na wodę spływającą z okapu równoległymi strugami.

Ugwu klepnął się w ramię – lubił powietrze schłodzone deszczem, lecz nie lubił latających wokół komarów. W końcu zadał to pytanie:

– Wiesz może, jak mógłbym zdobyć gaz łzawiący?

– Gaz łzawiący? Dlaczego pytasz?

– Przeczytałem o tym u pana w gazecie i chciałbym zobaczyć, co to takiego. – Nie miał zamiaru mówić Harrisonowi, że w rzeczywistości usłyszał o gazie łzawiącym, kiedy pan opowiadał o członkach Zachodniej Izby Zgromadzenia, którzy bili się i kopali nawzajem, dopóki nie przybyła policja i nie rozpyliła gazu łzawiącego, dzięki czemu wszyscy zemdleli, a sanitariusze wynieśli ich bezwładnych do samochodów. Gaz łzawiący zafascynował Ugwu. Jeśli powoduje, że ludzie mdleją, on chce go mieć. Chciał użyć go na Nnesinachi, kiedy pojedzie do domu z panem Richardem na festiwal ori-okpa. Zaprowadzi ją do zagajnika nad strumieniem i powie jej, że gaz łzawiący to czardziejska mgiełka, dzięki której będzie zdrowa. A ona mu uwierzy. Tak wielkie wrażenie robi na niej jego przyjazd w samochodzie białego, że uwierzy

w każde słowo Ugwu.

– Trudno będzie zdobyć gaz łzawiący – powiedział Harrison.

– Dlaczego?

– Za młody jesteś, żeby wiedzieć. – Harrison kiwnął tajemniczo głową. – Powiem ci, jak dorośniesz.

Ugwu początkowo nie wiedział, co Harrison miał na myśli, ale w końcu zdał sobie sprawę, że Harrison też nie wie, co to jest gaz łzawiący, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Poczł rozczarowanie. Będzie musiał zapytać Joma.

Jomo wiedział, co to jest gaz łzawiący, a kiedy Ugwu powiedział mu, co chciałby z nim zrobić, śmiał się długo i głośno. Nawet klaskał w dłonie, śmiejąc się.

– Ale z ciebie baran, aturu – rzekł w końcu. – Dlaczego chcesz używać gazu łzawiącego na młodą dziewczynę? Posłuchaj, jedź do swojej wioski, a jeśli tam okaże się, że pora jest odpowiednia i dziewczyna cię lubi, na pewno pójdzie za tobą. Nie potrzeba ci gazu łzawiącego.

Ugwu pamiętał o słowach Joma, kiedy następnego ranka jechał z panem Richardem do swojej rodzinnej miejscowości. Na ich widok Anulika wybiegła na ścieżkę i śmiało uścisnęła dłoń pana Richarda. Wyściskała Ugwu, a kiedy potem szli obok siebie, powiedziała mu, że rodzice są w polu, a ich kuzynka zaledwie wczoraj urodziła dziecko. Nnesinachi w zeszłym tygodniu wyjechała na Północ...

Ugwu zatrzymał się i wlepił w nią wzrok.

– Czy coś się stało? – zapytał pan Richard. – Chyba nie odwołano festiwalu, co?

Ugwu żałował, że tak się nie stało.

– Nie, sah.

Ruszył przodem na centralny plac wioski, na który już schodzili się mężczyźni, kobiety i dzieci, i wraz z panem Richardem usiadł pod drzewem oji. Wkrótce otoczyły ich dzieci śpiewające: „Onye ocha, biały człowiek” i wyciągające ręce, żeby pomacać włosy pana Richarda. Richard mówił do nich: „Kedu? Witaj, jak się nazywasz?”, a one wpatrywały się w niego, chichocząc i szturchając się łokciami. Ugwu stał oparty o drzewo i opłakiwał ten czas, jaki spędził na rozmyślniach o spotkaniu z Nnesinachi. Teraz już jej nie było i jego nagroda trafi do rąk jakiegoś kupca na Północy. Ledwo zauważał mmuo: męskie postaci pokryte trawą, z twarzami schowanymi za wykrzywionymi w grymasie drewnianymi maskami, z długimi batami zwisającymi z dłoni. Pan

Richard robił zdjęcia, pisał w swoim notesie, zadawał kolejne pytania, jedno po drugim – jak to się nazywa, co powiedzieli, kim są mężczyźni powstrzymujący mmuo za pomocą liny i co to oznacza – aż w końcu Ugwu zdenerwował się upałem, jego pytaniami, całym tym hałasem i ogromnym rozczarowaniem, że nie zobaczył Nnesinachi.

W drodze powrotnej milczał i tylko wyglądał przez okno.

– Już tęsknisz za domem, prawda? – zapytał pan Richard.

– Tak, sah – odrzekł Ugwu. Chciał, żeby pan Richard przestał się odzywać. Chciał być sam. Miał nadzieję, że pan będzie jeszcze w klubie, żeby mógł wziąć z salonu egzemplarz „Renaissance” i zwinąwszy się w kłębek w służbówce, zająć się czytaniem. Albo oglądać program w nowym telewizorze. Przy odrobinie szczęścia może nawet trafić na jakiś indyjski film. Urodziwe kobiety o wielkich oczach, śpiewanie, kwiaty, jaskrawe kolory i płacz, tego właśnie teraz potrzebował.

Jednak kiedy wślizgnął się przez tylne drzwi, ku swemu zdumieniu zobaczył przy kuchence matkę pana. Amala stała przy drzwiach. Nawet pan nic nie wiedział o ich przyjeździe, bo poleciłby posprzątać pokój gościnny.

– Och – powiedział. – Dzień dobry, mamó. Dzień dobry, ciociu Amalo. – Wciąż jeszcze miał w pamięci ostatnią jej wizytę: mama dręcząca Olanę, nazywając ją czarownicą, wrzeszcząca na nią, a co najgorsze, grożąca, że porozmawia z dibią w wiosce.

– Jak się masz, Ugwu? – Mama poprawiła suknię i poklepała go po plecach. – Mój syn powiedział, że pojechałeś pokazać białemu duchy w swojej wiosce.

– Tak, mamó.

Z salonu doszedł go podniesiony głos pana. Być może wcześniej zajrzał jakiś gość i pan postanowił nie iść do klubu.

– Możesz iść sobie odpocząć, i nugo – powiedziała mama. – Ja przygotuję mojemu synowi kolację.

Tylko tego brakowało, żeby mama opanowała jego kuchnię albo używała ulubionego rondla Olanny do przyrządzenia tej swojej intensywnie pachnącej zupy! Tak bardzo chciał, żeby stąd wyszła.

– Zostanę na wypadek, gdyby mama mnie potrzebowała – powiedział.

Wzruszyła ramionami i powróciła do łuskania czarnych ziaren pieprzu ze strąków. – Potrafisz dobrze ugotować ofe nsala?

– Nigdy tego nie gotowałem.

– Dlaczego? Mój syn to lubi.

– Moja pani nigdy nie kazała mi tego gotować.
– Dziecko, ona nie jest twoją panią. To tylko kobieta, która mieszka z mężczyzną, który nie zapłacił za narzeczoną.

– Tak, mamó.

Uśmiechnęła się jakby zadowolona, że w końcu zrozumiał coś ważnego, i wskazała na dwa małe gliniane dzbanki w kącie.

– Przyniosłam synowi świeże wino palmowe. Dzisiaj rano dostałam je od naszego najlepszego zbieracza soku na wino.

Wyjęła zielone liście wetknięte w otwór dzbanka i przez krawędź przelała się piana z wina, biała i świeża, o słodkim zapachu. Nalała trochę do kubka i podała Ugwu.

– Skosztuj.

Poczuł na języku mocny smak skoncentrowanego wina palmowego, tego typu wino spuszczone w porze suchej powodowało, że mężczyźni w wiosce bardzo wcześnie zaczęli słać się na nogach.

– Dziękuję, mamó. Bardzo dobre.

– Czy w twojej wiosce robią dobre wino?

– Tak, mamó.

– Ale chyba nie tak dobre jak nasze. W Abbie mamy najlepszych specjalistów od robienia wina w całej krainie łąów. Prawda, Amalo?

– Tak jest, mamó.

– Umyj mi tę miskę.

– Tak, mamó. – Amala zaczęła myć miskę. Ręce i ramiona drżały jej, kiedy szorowała naczynie. Ugwu wcześniej nie zdążył na nią spojrzeć, a teraz zauważył, że jej smukłe ciemne ramiona i twarz lśnią, jakby się wykapała w oleju arachidowym.

Z salonu docierał głos pana, donośny i stanowczy.

– Ten nasz kretyński rząd powinien też wyłamać się z popierania Wielkiej Brytanii. Musimy zająć jakieś stanowisko! Dlaczego Brytyjczycy nie robią nic więcej w Rodezji? Cóż mogą zmienić jakieś cholernie marne sankcje ekonomiczne?

Ugwu zbliżył się do drzwi, chcąc posłuchać – fascynowała go Rodezja i to, co działo się na południu Afryki. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy wyglądali jak pan Richard, zupełnie bez powodu zabierają rzeczy należące do ludzi, którzy wyglądają jak on, Ugwu.

– Ugwu, podaj mi tacę – powiedziała mama.

Wyjął tacę z szafki kuchennej i chciał pomóc jej podać jedzenie panu, lecz

odgoniła go ruchem ręki.

– Skoro ja tu jestem, ty, biedaku, możesz sobie odpocząć. Kiedy ta kobieta wróci z zagranicy, znowu zaczniesz przeciążać cię pracą, jakbyś nie miał matki.

– Rozwinęła mały pakunek i wsypała coś do miski z zupą. W głowie Ugwu błysnęło podejrzenie; pamiętał czarnego kota, który pojawił się na podwórzu za domem po jej ostatniej wizycie. A pakunek też był czarny, jak tamten kot.

– Co to jest, mammo? Co wsypałaś dojedzenia pana? – zapytał.

– To przyprawa będąca specjalnością Abby. – Odwróciła się i uśmiechnęła przelotnie. – Jest bardzo dobra.

– Tak, mammo. – Może się mylił, sądząc, że dodaje dojedzenia pana leki otrzymane od dibii. Może Olanna miała rację i ten czarny kot nic nie znaczył, był tylko kotem sąsiadów, chociaż Ugwu nie znał żadnego sąsiada, który miałby kota z oczami błyskającymi na żółto-czerwono.

Ugwu już nie wrócił myślami do dziwnej przyprawy ani do kota, ponieważ kiedy pan jadł kolację, nalał sobie ukradkiem szklaneczkę wina palmowego z dzbanka, a potem jeszcze jedną, bo było tak słodkie, i nagle poczuł się, jakby wewnątrz jego głowy wyściełane było miękką wełną. Ledwo mógł chodzić. Z salonu docierał do niego drżący głos pana: „Za przyszłość wielkiej Afryki! Za niepodległość naszych braci w Gambii i za naszych braci w Zambii, którzy opuścili Rodezję!” i dzikie wybuchy śmiechu. Również panu wino palmowe uderzyło do głowy. Ugwu przyłączył się do śmiechu, chociaż był sam w kuchni i nie wiedział, co w tym śmiesznego. W końcu zasnął na taborecie z głową opartą o stół cuchnący suszoną rybą.

Obudził się z zeszywniałymi kończynami. W ustach czuł cierpki smak, głowa go bolała i tylko marzył, żeby słońce nie świeciło tak męcząco jasnym blaskiem, a pan nie mówił tak głośno nad gazetą przy śniadaniu:

– Jak to możliwe, że więcej polityków nie miało kontrkandydata, niż zostało wybranych? Co za bzdury! Trudno o bardziej ewidentny przypadek fałszowania wyników!

Każda sylaba pulsowała w głowie Ugwu.

Kiedy pan wyszedł do pracy, mama zapytała:

– A ty nie idziesz do szkoły, gbo, Ugwu?

– Są wakacje, mammo.

– Och... – Wyglądała na rozczarowaną.

Później zobaczył je obie, jak stały przed łazienką, a mama wcierała coś w plecy Amali. Jego nieufność powróciła. Było coś podejrzanego w ruchach mamy, kolistych, powolnych, jakby wykonywanych zgodnie z jakimś obrzę-

dem, i w tym, jak Amala stała w milczeniu z wyprostowanymi plecami, opuszczoną do pasa chustą i widocznym z boku zarysem drobnych piersi. Może mama wcierała w Amalę jakąś miksturę? Ale to przecież nie miałoby sensu, bo jeśli mama rzeczywiście poszła do dibii, przywiozłaby lek dla Olanny, a nie dla Amali. Chociaż mogło być i tak, że ten lek działa na kobiety i mama musiała ochronić siebie i Amalę, chcąc mieć pewność, że tylko Olanna umrze, zostanie bezpłodna albo oszaleje. Być może mama pod nieobecność przebywającej w Londynie Olanny wprowadzała wstępne środki zabezpieczające, a potem zakupie lek na podwórzu, żeby zachował moc do powrotu Olanny.

Ugwu zadrżał. Nad domem zawisł złowrogi cień. Ugwu trafił się wesołym nastrojem mamy, jej fałszywym nuceniem, upieraniem się przy osobistym podawaniu panu wszystkich posiłków, częstym szeptaniem do Amali. Obserwował ją uważnie, gdy wychodziła z domu, chcąc zobaczyć, czy czegoś nie zakopie, zdecydowany wykopać to natychmiast, kiedy tylko ona wróci do środka. Niczego jednak nie zakopała. Kiedy podzielił się z Jomem swoim podejrzeniem, że mama poszła do dibii, by znaleźć sposób na zabicie Olanny, Jomo odparł:

– Ta staruszka po prostu cieszy się, że ma syna tylko dla siebie. Dlatego codziennie gotuje i śpiewa. Czy ty wiesz, jaka moja matka jest szczęśliwa, kiedy odwiedzam ją bez żony?

– Ale kiedy była tu ostatnio, widziałem czarnego kota – powiedział Ugwu.

– Służąca profesora Ozumby, który mieszka przy tej ulicy, jest czarownicą. Nocami lata na czubek drzewa mangowego na spotkania z innymi czarownicami, wiem o tym, bo zawsze muszę grabić wszystkie zrzucone przez nie liście. To jej szuka! ten czarny kot.

Ugwu starał się wierzyć w to, co mówił Jomo: że doszukuje się w poczynaniach mamy czegoś, czego w nich nie ma, aż do następnego wieczoru, kiedy po oplewieniu ogródka ziołowego wszedł do kuchni i dostrzegł chmarę much kotłujących się nad zlewem. Okno było tylko lekko uchylone. Nie mógł zrozumieć, jak mogło dojść do tego, że tak wiele much, ponad setka tłustych zielonkawych much, przecisnęło się przez tę szczelinę i teraz chórem bzyczały w gęstym wzburzonemu roju. Stanowiły widomy znak czegoś strasznego. Ugwu pobiegł do gabinetu, żeby powiedzieć o tym panu.

– Rzeczywiście dziwne – przyznał pan, zdjął okulary i po chwili nałożył je ponownie. – Z pewnością profesor Ezeka będzie w stanie to wytłumaczyć, to pewnie jakieś zachowania migracyjne. Nie zamykaj okna, żeby mogły wylecieć.

– Ale, sah... – zaczął Ugwu, jednak w tym momencie do kuchni weszła mama pana.

– Muchy czasami tak się zachowują – powiedziała. – Nie ma w tym nic dziwnego. Wylecą tą samą drogą, którą przyleciały. – Oparta o futrynę mówiła głosem pełnym złowieszczego triumfu.

– Tak, tak. – Pan sposobił się, by wrócić do gabinetu. – Proszę o herbatę, mój dobry człowieku.

– Tak, sah. – Ugwu nie był w stanie pojąć, dlaczego nie zrobiło to na panu żadnego wrażenia. Jak może nie widzieć, że te muchy wcale nie są czymś normalnym? Przyniósłszy tackę z herbatą do gabinetu, powiedział: – Sah, te muchy coś oznaczają.

Pan skinął w kierunku stołu.

– Nie nalewaj. Po prostu zostaw.

– Te muchy w kuchni, sah, są znakiem złych czarów od dibii. Ktoś rzucił złe czary. – Ugwu chciał też dodać, że on dobrze wie, kto to taki, lecz nie miał pewności, jak pan na to zareaguje.

– Co? – Pan zmrużył oczy ukryte za okularami.

– Te muchy, sah... To znaczy, że ktoś rzucił złe czary na ten dom.

– Zamknij drzwi i pozwól mi popracować, mój dobry człowieku.

– Tak, sah.

Kiedy Ugwu wrócił do kuchni, much już nie było. Okno wyglądało tak samo, uchylone na małą szparkę, a nikłe światło słoneczne rozświetlało ostrze leżącego na stole kuchennego noża. Nie chciał niczego tu dotykać, otaczające go tajemnice zanieczyściły naczynia kuchenne. Przynajmniej raz był zadowolony, że mama gotuje, jednak nie jadł przyrządzonych przez nią na kolację ugba i smażonej ryby, nawet nie posmakował resztek wina palmowego, które podawał panu i jego gościom, a kiedy położył się spać, nie mógł zasnąć. Wciąż się rzucał i budził z piekącymi mokrymi oczami, żałując, że nie ma nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać: Joma, jego cioci, Anuliki... W końcu wstał i poszedł do głównego budynku pościarać kurze z mebli, zając się jakąś lekką i nie wymagającą myślenia pracą. Fioletowa szarość wczesnego poranka wypełniła kuchnię cieniami. Trwożliwie przekręcił włącznik światła, bojąc się, że coś znajdzie. Mogły to być na przykład skorpiony; ktoś zazdrosny podesłał je kiedyś do domu jego wujka, a potem wujek przez kilka tygodni budził się codziennie i znajdował wściekle czarne skorpiony pełzające w pobliżu swoich synków, nowo narodzonych bliźniaków. Jeden z chłopczyków został ukąszony i o mało nie umarł.

Ugwu zaczął od sprzątania regałów na książki. Zdjął papiery ze stołu stojącego na środku pokoju i właśnie pochylony ścierał z niego kurz, kiedy otworzyły się drzwi do sypialni pana. Popatrzył w stronę korytarza zaskoczony, że pan wstał tak wcześnie. Ale z pokoju wyszła Amala. W tonącym w półmroku korytarzu jej przestraszone oczy napotkały spojrzenie jego jeszcze bardziej przestraszonych oczu i na moment się zatrzymała, a potem uciekła do pokoju gościnnego. Piersi osłonięte miała luźno zawiązaną chustą. Przytrzymując ją jedną ręką, dopadła drzwi pokoju gościnnego i zaczęła się z nimi szarpać, jakby zapomniała, jak się je otwiera, i po chwili weszła do środka. Ta Amala, prosta, cicha zwyczajna Amala, spała w sypialni pana! Ugwu stał nieruchomo, starając się opanować zamęt w głowie i zacząć spokojnie myśleć. Czary mamy do tego doprowadziły, tego był pewien, lecz martwiło go nie to, co zaszło między panem i Amalą. Trapił się tym, co będzie, kiedy dowie się o tym Olanna.

Olanna usiadła naprzeciw swojej matki w salonie na piętrze. Matka nazywała to pomieszczenie kobiecym salonem, ponieważ tutaj przyjmowała swoje znajome, tutaj śmiały się, zwracały się do siebie nawzajem, używając zdrobnień i przezwisk: „Art! Gold! Ugodiya!”, i rozmawiały o tym, czyj syn zabawiał się w Londynie z kobietami, podczas gdy jego rówieśnicy stawiali domy na ziemi ojców, kto kupił lokalne koronki i udaje, że to najnowszy krzyk mody z Europy, kto chciał podkraść męża takiej a takiej i kto ściągnął z Mediolanu pierwszorzędne meble. Ale w tej chwili pokój tonął w ciszy. Jej matka w jednej ręce trzymała szklankę toniku, a w drugiej chusteczkę. Płakała. Opowiadała Olannie o kochance jej ojca.

– Kupił jej dom w Ikeji – powiedziała. – Moja znajoma mieszka na tej samej ulicy.

Olanna obserwowała delikatne ruchy ręki matki ocierającej oczy. Chusteczka chyba była jedwabna, wyraźnie widać było, że nie jest dostatecznie chłonna.

– Rozmawiałaś z nim? – zapytała Olanna.

– I co mam mu powiedzieć? Gwa ya gini? – Matka odstawiła szklankę. Nawet nie zamoczyła w niej ust, odkąd służąca przyniosła ją na srebrnej tacy. – Nie mogę mu nic powiedzieć. Po prostu chciałam, żebyś wiedziała, co się dzieje, żeby potem nie myślano, że nikomu nic nie mówiłam.

– Porozmawiam z nim – powiedziała Olanna. Tego właśnie chciała jej matka.

Olanna dopiero dzień wcześniej wróciła z Londynu, a już radosna fala otwierającej się przed nią możliwości, jaka napłynęła po wizycie u ginekologa w Kensingtonie, została zmacona. Zdążyła już zapomnieć o nadziei, jaka ją ogarnęła, kiedy powiedział, że nic jej nie dolega, musi tylko – w tym momencie mrugnąć – bardziej się starać. Teraz jedynie marzyła, żeby znaleźć się z powrotem w Nsuce.

– Najgorsze jest to, że ta kobieta to pospolita hołota – powiedziała matka, mnąc chusteczkę w dłoni. – Jakaś jorubijska koza z buszu z dwójką dziecia-

ków po dwóch różnych ojcach. Słyszałam, że jest stara i brzydka.

Olanna podniosła się. Jakby miało jakieś znaczenie, jak ta kobieta wygląda. Jakby określenie „stary i brzydki” nie pasowało też do jej ojca. Matkę trapiła nie sama kochanka, Olanna o tym wiedziała, lecz znaczenie tego, co ojciec zrobił – kupienie kochance domu w dzielnicy, w której mieszkali bywalcy salonów w Lagos.

– Może powinniśmy poczekać, aż przyjedzie tu Kainene, żeby to jednak ona porozmawiała z ojcem, nne? – zasugerowała matka, ponownie ocierając oczy.

– Już powiedziałam, że rozmawiam z ojcem, mamó – odparła Olanna.

Ale wchodząc wieczorem do pokoju ojca, uzmysłowiła sobie, że jej matka miała rację. Kainene najbardziej się do tego nadawała. Kainene dokładnie by wiedziała, co należy powiedzieć, i nie odczuwałaby towarzyszącej Olannie niezręcznej nieporadności. Kainene, surowa i ostra, obdarzona ciętym językiem i wyjątkową pewnością siebie.

– Tato... – odezwała się, zamykając za sobą drzwi. Siedział przy swoim biurku na krześle z ciemnego drewna z prostym oparciem. Nie mogła zapytać, czy to prawda, bo z pewnością zdawał sobie sprawę, że matka zna prawdę, a zatem również ona o tym wie. Przez moment myślała o tamtej kobiecie, o tym, jak wygląda i o czym rozmawia z ojcem. – Tato... – powtórzyła. Zamierzała mówić głównie po angielsku. W języku angielskim łatwo jest zachować ton oficjalny i chłodny. – Chciałabym, żebyś szanował moją matkę. – Nie to chciała powiedzieć. Powiedziała „moją matkę”, zamiast „mamę”, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że wykluczyła go z rodziny, jakby stał się kimś obcym, do kogo nie można zwracać się w ten sam sposób, kto nie może być nazwany „moim ojcem”.

Wyprostował się na krześle.

– To niegodziwe, że utrzymujesz stosunki z tą kobietą i że kupiłeś jej dom w miejscu, gdzie mieszkają znajomi mojej matki – ciągnęła Olanna. – Jeździsz tam z pracy, twój szofer parkuje pod tym domem, a tobie najwyraźniej w ogóle nie przeszkadza, że ludzie cię widzą. To policzek wymierzony mojej matce.

Ojciec siedział, patrząc w ziemię wzrokiem człowieka z trudem próbującego pozbierać myśli.

– Nie zamierzam ci mówić, co masz z tym zrobić, ale musisz coś zrobić. Moja matka nie jest szczęśliwa. – Olanna podkreśliła słowo „musisz”, położyła na nie przesadny nacisk. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z ojcem w ten sposób, w ogóle niewiele z nim rozmawiała. Stała teraz, wpatrując się w niego,

on patrzył na nią, a między nimi wisiała cisza wypełnioną pustką.

– Anugo m, słyszałem, co powiedziałaś – odparł.

Mówił w języku ibo cicho, konspiracyjnie, jakby Olanna poprosiła go, żeby dalej oszukiwał matkę, tylko bardziej taktownie. Rozzłościło ją to. Może rzeczywiście jej prośba do tego się sprowadzała, ale i tak Olanna była zirytowana. Rozejrzała się po pokoju i zwróciła uwagę, jak bardzo obce jest jego wielkie łóżko – nigdy wcześniej nie widziała tego lśniącego odcienia złota na narzucie, nie dostrzegła też, jak misternie powykręcane są metalowe uchwyty w komodzie. Nawet ojciec wyglądał obco – zupełnie nieznamy grubas.

– Tylko to masz mi do powiedzenia? Że słyszałeś, co powiedziałam? – spytała Olanna, podnosząc głos.

– A co chciałabyś, żebym ci powiedział?

Olannie nagle zrobiło się żal i jego, i matki, a także siebie i Kainene. Chciała go zapytać, jak to się stało, że są obcymi sobie ludźmi używającymi tego samego nazwiska.

– Coś z tym zrobię – dodał. Podniósł się i podszedł do niej. – Dziękuję ci, ola m – powiedział.

Nie wiedziała, jak potraktować jego podziękowanie ani nazwanie jej „moim złotkiem”, czego nie robił od czasów jej dzieciństwa, a teraz pieszczotliwe określenie wniosło jakąś nienaturalną powagę. Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Kiedy następnego dnia rano Olanna usłyszała podniesiony głos matki: „Ty łajdaku! Ty durniu!”, zbiegła ze schodów. Oczami wyobraźni widziała, jak się biją, jak matka mocno zaciska dłoń na koszuli ojca, trzymając w garści zebrany z przodu materiał, jak często robiły kobiety niewiernym mężom. Dźwięki dochodziły z kuchni. Olanna podeszła tam i zatrzymała się w drzwiach. Przed matką klęczał jakiś mężczyzna i wysoko unosił ręce, szeroko rozkładając dłonie w geście błagania.

– Pani, proszę... Pani, proszę....

Matka odwróciła się w stronę stojącego obok i obserwującego tę scenę lokaja, Maxwella.

– I fugo? Czy jemu się wydaje, że przyjęliśmy go tu, żeby nas za plecami okradał, Maxwellu?

– Nie, mah – odparł Maxwell.

Matka ponownie odwróciła się do klęczącego mężczyzny.

– To właśnie robiłeś od czasu, kiedy tu przyszedłeś, ty beznadziejny człowieku? Przyszedłeś tu, żeby mnie okradać?

– Pani, proszę... Pani, proszę. Na Boga panią proszę.

– Mamo, co się dzieje? – zapytała Olanna.

Matka odwróciła się.

– Och, nne. Nie wiedziałam, że wstałaś.

– Co tu się dzieje?

– To dzikie zwierzę. Ledwo w zeszłym miesiącu go zatrudniliśmy, a on już chce ukraść wszystko z mojego domu. – Ponownie odwróciła się do klęczącego mężczyzny. – To tak odpłacasz ludziom, którzy dali ci pracę? Co za głupiec!

– Co zrobił? – spytała Olanna.

– Chodź i sama zobacz. – Matka zaprowadziła ją na podwórze za domem, gdzie stał rower oparty o drzewo mangowe. Z siodełka spadł pleciony worek i ryż rozsypał się na ziemi.

– Ukradł mi ryż i już miał jechać do domu. Łaska boska, że ten worek mu spadł. Kto wie, co wcześniej zdążył ukraść? Nic dziwnego, że nie mogę znaleźć kilku naszyjników. – Oddech matki był przyspieszony.

Olanna patrzyła na rozsypane na ziemi ziarenka ryżu i zastanawiała się, jak to możliwe, że jej matka mogła aż tak bardzo rozzłościć się z ich powodu, i czy rzeczywiście poważnie traktuje swoje oburzenie.

– Ciociu, proszę się wstawić za mną u pani. Szatan kazał mi to zrobić!... – Błagalnie uniesione ręce szofera zwróciły się w stronę Olanny. – Błagam, niech się pani wstawi za mną.

Olanna odwróciła wzrok od pokrytej zmarszczkami twarzy i pożółkłych oczu tego człowieka; był starszy, niż jej się początkowo wydawało, z pewnością miał ponad sześćdziesiątkę.

– Wstań – powiedziała.

Z wahaniem spojrzął na jej matkę.

– Powiedziałam: wstań! – Olanna nie zamierzała podnosić głosu, ale wypowiedziane słowa zabrzmiały ostro. Mężczyzna podniósł się niezgrabnie ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Mamo, jeśli zamierzasz go wyrzucić, zrób to i niech sobie od razu idzie – powiedziała Olanna.

Mężczyzna westchnął, jakby nie spodziewał się, że ona coś takiego powie. Również matka wyglądała na zaskoczoną. Popatrzyła na Olanę, na tego mężczyznę, na Maxwella, potem opuściła dłoń opartą o biodro.

– Dam ci jeszcze jedną szansę, ale nie waż się tknąć niczego w tym domu, dopóki ktoś ci nie pozwoli. Słyszysz, co mówię?

– Tak, proszę pani. Dziękuję pani. Niech Bóg panią błogosławi.

Mężczyzna wciąż jeszcze wyśpiewywał swoje podziękowania, kiedy Olanna, wzięwszy banana ze stołu, wyszła z kuchni.

Rozmawiając z Odenigbem przez telefon, opowiedziała mu o tym wydarzeniu, o tym, jak wielką odrazę wzbudził w niej widok tak upokarzającego się starszego mężczyzny, o swoim przekonaniu, że matka wyrzuciłaby go z pracy, lecz dopiero po godzinie upajania się jego poniżeniem i swoim zadufanym oburzeniem.

– Tego ryżu mogło być najwyżej cztery szklanki – dodała.

– Ale i tak mówimy o kradzieży, nkiem.

– Mój ojciec i jego znajomi politycy kradną pieniądze na swoich kontraktach, jednak nikt nie karze im na klęczkach błagać o wybaczenie. A za skradzione pieniądze budują domy, które wynajmują ludziom takim jak ten człowiek, i każą płacić zawyżone stawki czynszu, przez co tych ludzi nie stać na zakup żywności.

– Nie możesz walczyć z kradzieżą za pomocą innej kradzieży. – Głos Odenigba brzmiał jakoś dziwnie ponuro; z jego strony spodziewała się raczej gwałtownego wybuchu na temat panującej niesprawiedliwości.

– Czy nierówność musi oznaczać poniżenie? – spytała.

– Często tak właśnie jest.

– Dobrze się czujesz?

– Jest tu moja matka. Nie miałem pojęcia, że się do nas wybiera.

Nic dziwnego, że tak mówił.

– Wyjedzie przed wtorkiem?

– Nie wiem. Szkoda, że cię tu nie ma.

– Ja akurat się cieszę. Czy rozmawialiście o zdjęciu uroku rzuconego przez wykształconą czarownicę?

– Zanim zdąży się odezwać, powiem jej, że nie ma o czym rozmawiać.

– Może uspokoisz ją, mówiąc, że staramy się o dziecko. Choć może ją przerazi, że mogłabym mieć dziecko? W końcu jakieś czarodziejskie geny mogą zostać przekazane na jej wnuka.

Miała nadzieję, że Odenigbo się roześmieje, jednak tak się nie stało.

– Nie mogę się doczekać wtorku – powiedział po chwili.

– Ja też – odparła. – Powiedz Ugwu, żeby wywietrzył dywanik w sypialni.

Kiedy tego wieczoru matka przysłała do jej pokoju, Olanna poczuła zapach kwiatowych perfum „Chloe” i choć rzeczywiście pięknie pachniały, nie potrafiła zrozumieć, jaki jest sens perfumować się do łóżka. Matka miała zbyt wiele

flakonów z perfumami, stały rzędem na jej toalecie jak na sklepowej półce: butelki wymyślnie powykrzywiane, zwężające się, okrągłe. Nawet gdyby matka co noc używała ich przed położeniem się do łóżka, za pięćdziesięciu lat by ich nie zużyła.

– Dziękuję, mne – powiedziała. – Ojciec już teraz stara się poprawić.

– Rozumiem. – Olanna nie chciała wiedzieć, co takiego ojciec zrobił, żeby się poprawić, ale ogarnęło ją jakieś dziwne poczucie spełnienia, bo porozmawiała z ojcem jak Kainene i udało się jej zmusić go do zrobienia czegoś. Okazała się przydatna.

– Wkrótce pani Nwizu przestanie dzwonić do mnie i opowiadać, że go tam widziała – mówiła matka. – Niedawno zrobiła uszczypliwą uwagę na temat ludzi, których córki nie chcą wychodzić za mąż. Sądzę, że mówiła to pod moim adresem i chciała zobaczyć, czy coś na to powiem. Jej córka w zeszłym roku wyszła za mąż, a ich nie było stać na to, żeby cokolwiek sprowadzić dla niej na ślub z zagranicy. Nawet suknia ślubna była uszyta tu, w Lagos! – Matka usiadła. – A tak, przy okazji, ktoś chciałby się z tobą spotkać. Znasz rodzinę Igwego Onochiego? Ich syn jest inżynierem. Chyba gdzieś cię widział i bardzo się tobą zainteresował.

Olanna westchnęła i rozsiadła się wygodnie, żeby wysłuchać matki.

Wróciła do Nsukki po południu, tą spokojną porą, kiedy słońce świeciło niesłabnącym blaskiem i nawet pszczoły cicho gdzieś przycupnęły, osłabłe ze zmęczenia. Samochód Odenigba stał w garażu. Zanim jeszcze zdążyła zapukać, drzwi otworzył jej Ugwu w rozpiętej koszuli, z niewielkimi plamami potu pod pachami.

– Dzień dobry, mah – powiedział.

– Ugwu... – Tęskniła za tą jego wierną uśmiechniętą twarzą. – Unu ano kwa ofuma? Wszystko było w porządku?

– Tak, mah – odparł i poszedł przynieść jej bagaże z taksówki.

Olanna weszła do środka. Brakował jej tego delikatnego zapachu detergentu, który unosił się w salonie, kiedy Ugwu mył żaluzje. Sądziła, że matki Odenigba już nie będzie, więc jak zimny prysznic podziałał na nią widok tej kobiety siedzącej na sofie, ubranej i poprawiającej coś przy torbie. Obok stała Amala trzymająca małe metalowe pudełko.

– Nkem! – odezwał się Odenigbo i rzucił się w jej stronę. – Jak dobrze, że wróciłaś! Jak dobrze!

Ale kiedy się objęli, poczuła, że jego ciało jest spięte, a krótkie zetknięcie

ich warg pozostawiło na jej ustach wrażenie suchości.

– Mama i Amala właśnie wyjeżdżają. Zawożę je na autobus – powiedział.

– Dzień dobry, mam – odezwała się Olanna, jednak nie zrobiła nic, co mogłoby świadczyć, że zamierza się do niej zbliżyć.

– Olanna, kedu? – zapytała mama. Ona zainicjowała ich uścisk i ona uśmiechnęła się serdecznie. Zaskoczyło to Olanę, ale jednocześnie ucieszyło. Może Odenigbo powiedział jej, jak poważny jest ich związek, a ich plany, żeby mieć dziecko, w końcu przekonały mamę.

– Amalo, jak się masz? – spytała Olanna. – Nie wiedziałam, że ty też przyjechałaś.

– Dzień dobry, ciociu – wymamrotała Amala, nie podnosząc wzroku.

– Wszystko wzięłaś? – zapytał matkę Odenigbo. – Chodźmy już, chodźmy.

– Zjadłaś coś, mam? – zapytała Olanna.

– Wciąż jeszcze czuję w żołądku poranny posiłek – odrzekła mama. Na jej twarzy malowało się jakieś radosne podniecenie.

– Musimy iść – odezwał się Odenigbo. – Jestem później umówiony na mecz.

– A ty, Amalo? – spytała Olanna. Uśmiechnięta twarz mamy spowodowała, że nagle zapragnęła, żeby zostały nieco dłużej. – Mam nadzieję, że coś zjadłaś.

– Tak, ciociu, dziękuję – odparła Amala, nadal nie odrywając wzroku od podłogi.

– Daj Amali kluczyki, to włoży rzeczy do samochodu – powiedziała mama do Odenigba.

Odenigbo podszedł do Amali, lecz nie zbliżył się do niej, wyciągnął tylko rękę i wręczył jej kluczyki. Wzięła je ostrożnie z jego palców; nawet na moment się nie dotknęli. Choć ta chwila, przelotna i krótka, zaraz się skończyła, Olanna zdążyła zauważyć, jak starannie usiłują uniknąć jakiegokolwiek kontaktu, muśnięcia skóry, jakby łączyła ich jakaś wspólna wiedza tak monumentalna, że już nic więcej nie powinno ich łączyć.

– Szczęśliwej drogi – powiedziała. Patrzyła za samochodem ostrożnie wyjeżdżającym sprzed domu, wmawiając sobie, że musiała się pomylić, że ten gest absolutnie nic nie znaczył. Jednak dręczyło ją to. Czuła się podobnie jak wówczas, gdy czekała u ginekologa: była przekonana, że coś jest nie w porządku z jej ciałem, a mimo to pragnęła, aby powiedział jej, że wszystko jest jak należy.

– Mah, będzie pani jeść? Czy podgrzać lyż? – zapytał Ugwu.

– Nie teraz. – Przez krótką chwilę chciała zapytać Ugwu, czy on też zauwa-

żył ten gest, czy w ogóle coś zaważył. – Idź sprawdzić, czy dojrzały awokado.

Została przy drzwiach frontowych aż do powrotu Odenigba. Sama nie wiedziała, co mogą oznaczać te skurcze żołądka i gwałtowne pulsowanie w piersiach. Otworzyła drzwi i badawczo przyjrzała się jego twarzy.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Co masz na myśli? – Trzymał w ręce jakieś gazety. – Jeden z moich studentów nie zjawił się na ostatnim egzaminie i dzisiaj rano przyszedł do mnie, proponując mi pieniądze, żebym go przepuścił, ignorant!...

– Nie wiedziałam, że Amala przyjechała z mamą – powiedziała.

– Tak. – Zabrał się za układanie gazet, uciekając wzrokiem.

Olanna czuła, jak po jej ciele powoli rozchodzi się fala osłupienia.

Wiedziała. Mówiły to jego nerwowe ruchy, popłoch na twarzy, nerwowe usiłowania, by wyglądać normalnie. Wiedziała, że zdarzyło się coś, co nie powinno było się zdarzyć.

– Byłeś z Amalą – stwierdziła. Nie było to pytanie, chociaż chciała, żeby udzielił odpowiedzi; chciała, żeby zaprzeczył i zdenerwował się na nią, że coś takiego mogło jej w ogóle przyjść na myśl. Jednak Odenigbo nic nie powiedział. Usiadł w swoim fotelu i tylko na nią patrzył. – Byłeś z Amalą – powtórzyła. Już na zawsze miała zapamiętać wyraz jego twarzy: patrzył na nią, jakby nigdy wcześniej nie potrafił wyobrazić sobie takiej sceny, dlatego zupełnie nie wiedział, co ma myśleć o tym, że musi myśleć, jak się zachować i co powinien powiedzieć.

Odwróciła się w stronę kuchni i o mało nie upadła przy stole, przygniatający jej piersi ciężar był zbyt wielki, przerastał ją.

– Olanno... – rzekł Odenigbo.

Zignorowała go. Nie mógł ruszyć za nią, ponieważ był przestraszony, przepłniony strachem winowajcy. Nie wsiadła od razu do samochodu i nie pojechała do swojego mieszkania. Wyszła natomiast na podwórze za domem, usiadła na schodkach i wlepiała wzrok w kure, która przy drzewie cytrynowym pilnowała szóstki kurczaków i popychała je w kierunku leżących na ziemi okruszków. Ugwu zrywał awokado z drzewa rosnącego w pobliżu służbówki. Trudno byłoby jej powiedzieć, jak długo tak siedziała, zanim kura zaczęła głośno gdać i rozpościerać skrzydła, próbując osłonić kurczaki, lecz nie dość szybko biegly do tego schronienia. Spadająca z nieba kania porwała jedno z kurcząt, brązowo-białe. Wszystko – pikowanie kani i jej odlot z kurczakiem w zakrzywionych szponach – odbyło się tak szybko że Olanna miała wrażenie, iż tylko sobie to wyobraziła. Ale to była prawda, kura biegała w kółko, gdacząc

i wzbijając chmury pyłu. Pozostałe kurczaki wyglądały na oszołomione. Olanna obserwowała je, zastanawiając się, czy rozumieją żałobny taniec matki. W końcu zaczęła płakać.

Zmętniałe dni wlokły się jeden za drugim. Olanna rozpaczliwie próbowała pozbierać myśli, szukała sobie zajęcia. Gdy Odenigbo po raz pierwszy przyszedł do jej mieszkania, nie wiedziała, czy ma go wypuścić.

Ale on uporczywie pukał, mówiąc: „Nkem, otwórz, proszę, biko, proszę, otwórz”, aż w końcu uległa. Siedziała, popijając wodę, a on opowiadał jej, że był pijany, że Amala narzucała się mu, że to był jedynie chwilowy poryw lekkomyślnego pożądania. Kiedy skończył, kazała mu wyjść. Zirykował ją, wciąż miał na tyle pewności siebie, żeby to co zrobił, nazywać „chwilowym porywem lekkomyślnego pożądania”. Nie potrafiła znieść tego sformułowania i nie mogła znieść jego stanowczego tonu, kiedy przeszedł następnym razem i powiedział: „To nic nie znaczyło, nkem, naprawdę nic”. Dla niej ważne było nie to, jakie to miało znaczenie, ale sam fakt, że się wydarzyło – przespał się z kobietą z wioski jego matki zaledwie po trzech tygodniach nieobecności Olanny. Wyglądało na to, że bardzo łatwo przyszło mu zawieść jej zaufanie. Postanowiła wyjechać do Kano, bo jeśli było jakieś miejsce, gdzie mogłaby spokojnie myśleć, to tylko w Kano.

Jej samolot miał międzylądowanie w Lagos i kiedy siedziała w poczekalni, tuż obok niej przebiegła wysoka chuda kobieta. Olanna już się podniosła i miała zawołać: „Kainene!”, kiedy uzmysłowiła sobie, że to niemożliwe. Kainene miała skórę ciemniejszą niż ta kobieta i nigdy nie włożyłaby czerwonej bluzki do zielonej spódnicy. Jednak bardzo żałowała, że to nie była Kainene. Mogłyby usiąść razem, ona opowiedziałaby Kainene o Odenigbie, a Kainene powiedziałałaby coś inteligentnego i sarkastycznego, a równocześnie pocieszającego.

Kiedy znalazła się w Kano, Arize wpadła we wściekłość.

– Cóż to za dzikie zwierzę z Abby! Wkrótce odpadnie mu ten zgniły penis. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że każdego ranka powinien klękać i dziękować Bogu za to, że ty w ogóle raczyłaś na niego popatrzeć? – powiedziała, pokazując Olannie szkice bufiastych sukien ślubnych. Nnakwanze w końcu poprosił ją o rękę.

Olanna przyjrzała się projektom. Wszystkie wydawały się jej brzydkie i pretensjonalne, lecz wybuch wściekłości z jej powodu sprawił jej taką przyjemność, że pokazała na jedną z nich i mruknęła:

– O maka. Ta jest śliczna.

Ciocia Ifeka przez kilka dni nie podejmowała tematu Odenigba. Olanna siedziała z nią na werandzie, słońce paliło tak niemiłosiernie, że nawet blaszany daszek trzeszczał jakby na znak protestu. Ale tu i tak było chłodniej niż w zadymionej kuchni, gdzie trzy sąsiadki gotowały naraz. Olanna wachlowała się małą matą zrobioną z rafii. Przy bramie stały dwie kobiety, jedna krzyczała w języku ibo: „Powiedziałam, że dzisiaj masz dać mi moje pieniądze! Tata! Dzisiaj, a nie jutro! Słyszałaś, że to powiedziałam, bo nie nabrałam wody w usta, kiedy to mówiłam!” W tym czasie druga błagalnie składała ręce i spoglądała w niebo.

– Jak się masz? – zapytała ciocia Ifeka. Ucierała w moździerzku kleistą masę ze zmielonej fasoli.

– Bardzo dobrze, ciociu. A nawet lepiej, odkąd jestem tutaj.

Ciocia Ifeka zanurzyła rękę w masie i wyjęła z niej małego czarnego owa-da. Olanna zaczęła szybciej się wachlować. Milczenie cioci Ifeki skłoniło ją do powiedzenia czegoś jeszcze.

– Chyba przełożę na później swój program w Nsucce i zostanę tu, w Kano – powiedziała. – Przez jakiś czas mogłabym uczyć w instytucie.

– Nie. – Ciocia Ifeka odłożyła tłuczek. – Mba. Wrócisz do Nsukki.

– Ciociu, ja po prostu nie mogę wrócić do jego domu.

– Wcale nie każę ci wracać do jego domu. Powiedziałam, że wrócisz do Nsukki. Czyżbyś nie miała swojego mieszkania i pracy? Odenigbo zrobił to, co robią wszyscy mężczyźni: kiedy cię nie było, wsadził penisa w pierwszą napotkaną dziurę. Ale czy to oznacza, że ktoś umarł?

Olanna przestała się wachlować i poczuła wilgotny pot na skórze głowy.

– Kiedy twój wujek wziął sobie mnie za żonę, martwiłam się, myśląc, że te różne inne kobiety przyjdą i wyrzucą mnie z mojego domu. Teraz już wiem, że cokolwiek on by zrobił, nie zmieni to mojego życia. Moje życie zmieni się tylko wtedy, gdy sama będę tego chciała.

– O czym ty mówisz, ciociu?

– Teraz jest już bardzo ostrożny, bo wie, że się nie boję. Powiedziałam mu, że jeśli przyniesie mi wstyd, w jakikolwiek sposób, odetnę mu tego węża, co go nosi między nogami.

Ciocia Ifeka powróciła do ucierania, a obraz jej małżeństwa, jaki stworzyła sobie Olanna, zaczął się rozpadać.

– Nie wolno ci nigdy zachowywać się tak, jakby twoje życie należało do jakiegoś mężczyzny, słyszysz? – mówiła ciocia Ifeka. – Twoje życie należy

do ciebie i tylko do ciebie, soso gi. Wracasz w sobotę. A teraz pozwól, że się pospieszę i przygotuję trochę abacha, żebyś miała co zabrać ze sobą.

Skosztowała masę i zaraz ją wypluła.

Olanna wyjechała w sobotę. Siedzący obok niej w samolocie po drugiej stronie przejścia mężczyzna miał najbardziej lśniąca i hebanową cerę, jaką widziała w życiu. Już wcześniej go zauważyła, ubranego w trzyczęściowy wełniany garnitur, kiedy patrzył na nią, stojąc na płycie lotniska. Zaofiarował jej swoją pomoc w niesieniu bagażu podręcznego, a później zapytał stewardesę, czy może zająć miejsce obok Olanny, bo było wolne. Teraz podał jej egzemplarz dziennika „New Nigerian”, pytając:

– Czy chciałaby pani poczytać? – Na środkowym palcu miał wielki sygnet z opalem.

– Tak, dziękuję. – Olanna wzięła gazetę. Przerzucała kartki przez cały czas świadoma, że mężczyzna ją obserwuje i że gazeta była tylko pretekstem do nawiązania rozmowy. Nagle zapragnęła, żeby ten człowiek wydał się jej bardzo atrakcyjny, żeby im obojgu przydarzyło się coś magicznego, szalonego i żeby po wylądowaniu mogła odejść z ręką w jego dłoni w jakieś nowe jasne życie.

– W końcu usunęli tego łba z funkcji urzędującego rektora na uniwersytecie w Lagos.

– Tak?

– Piszą o tym na ostatniej stronie.

Olanna odwróciła gazetę na ostatnią stronę.

– Faktycznie.

– Dlaczego łba miałby być rektorem w Lagos? – zapytał, a kiedy Olanna nic nie odpowiadała, tylko lekko się uśmiechała na znak, że go słucha, dodał: – Problem z łbami polega na tym, że chcieliby kontrolować wszystko w tym kraju. Absolutnie wszystko. Dlaczego nie mogą siedzieć sobie spokojnie u siebie na wschodzie? Są właścicielami wszystkich sklepów, kontrolują administrację, nawet policję. Jeśli zostanie pani aresztowana za jakieś przestępstwo, wystarczy, że powie pani: „Keda” i już panią puszczą wolno.

– My mówimy: „kedu”, a nie: „keda” – cicho odparła Olanna. – To znaczy: „Jak się masz?”.

Mężczyzna wbił w nią wzrok, a ona odpowiedziała tym samym. Przyszło jej na myśl, jak pięknie ten człowiek by wyglądał, gdyby był kobietą, z tą lśniąca, niemal idealnie czarną skórą.

– Pani pochodzi z łbów? – zapytał.

– Tak.

– Ale twarz ma pani jak Fulanie. – Powiedział to tonem nieomal oskarżycielskim.

Olanna pokręciła głową.

– Ibo.

Mężczyzna wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „przepraszam”, odwrócił się i zaczął czegoś szukać w teczce. Kiedy oddawała mu gazetę, zdawał się niechętnie ją brać i chociaż od czasu do czasu na niego zerkała, aż do samego lądowania w Lagos ani razu nie spojrzał jej w oczy. I nie miał pojęcia, że jego uprzedzenia otworzyły przed nią nowe możliwości. Wcale nie musi być zranioną kobietą, której mężczyzna przespał się z jakąś wieśniaczką. Może być kobietą z ludu Fulan lecącą w samolocie i wraz z przystojnym nieznanym szydzącą z Iłow. Może być kobietą, która bierze swoje życie we własne ręce. Może być, kimkolwiek zechce.

Kiedy podnosili się do wyjścia, spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jednak powstrzymała się i nie powiedziała: „Dziękuję”, ponieważ wolała, żeby ten człowiek nadal odczuwał zarówno zaskoczenie, jak i wyrzuty sumienia.

Olanna wynajęła pikapa z kierowcą i pojechała do domu Odenigba. Ugwu chodził za nią, kiedy pakowała książki i pokazywała szoferowi, co ma zabrać.

– Mah, pan wygląda jak ktoś, kto codziennie płacze – odezwał się do niej po angielsku.

– Włóż mój mikser do pudła, Ugwu – powiedziała. Jakoś dziwnie to zabrzmiało: „mój mikser”, to zawsze był „mikser” bez oznaczania, do kogo należy.

– Tak, mah. – Ugwu poszedł do kuchni i wrócił z pudłem. Trzymał je niepewnie. – Mah, niech pani wybaczy panu.

Olanna spojrzała na niego. On o tym wiedział, widział tę kobietę śpiącą w łóżku pana, on też ją zdradził.

– Osiso! Zanieś mikser do samochodu!

– Tak, mah... – Ugwu odwrócił się w stronę drzwi.

– Czy wieczorami nadal przychodzą goście? – zapytała Olanna.

– Już nie jest tak jak przedtem, kiedy pani tu była.

– Ale przychodzą?

– Tak.

– A twój pan nadal gra w tenisa i chodzi do klubu uczelnianego?

– Tak.

– To dobrze. – Wcale tak nie myślała. Chciała usłyszeć, że Odenigbo nie

potrafił już znieść takiego życia, jakie wiedli wspólnie.

Kiedy ją odwiedził, starała się nie okazywać rozczarowania, jakie czuła, widząc, że on wygląda zupełnie normalnie. Stała w drzwiach i udzielała wymijających odpowiedzi, urażona jego naturalną swadą, tym, jak od niechcienia powiedział: „Wiesz, nkiem, że nigdy nie pokocham innej kobiety”, jakby był pewien, że z czasem wszystko znowu będzie jak przedtem. Drażniło ją też zainteresowanie, jakie okazywali jej inni mężczyźni. Samotni mężczyźni zaczęli odwiedzać ją w mieszkaniu, a żonaci wpadali na nią pod wydziałem. Te ich zaloty denerwowały ją, ponieważ oznaczały – a oni tak myśleli – że jej związek z Odenigbem jest już na zawsze zakończony. „Nie jestem zainteresowana”, odpowiadała im, a kiedy to mówiła, miała nadzieję, że nikt nie powtórzy tego Odenigbowi, ponieważ nie chciała, by myślał, że ona usycha z tęsknoty. I wcale nie usychała z tęsknoty: wzbogacała swoje wykłady w nowy materiał, przyrządzała wystawne posiłki, czytała nowe książki, kupowała nowe płyty. Została sekretarzem Stowarzyszenia Świętego Wincentego a Paulo i protokołowała w notesie zebrania, kiedy przekazywali jedzenie do wiosek. W ogródku przed domem pielęgnowała cynie i pielęgnowała też znajomość ze swoją czarnoskórą amerykańską sąsiadką, Edną Whaler.

Edna cicho się śmiała. Uczyła muzyki, trochę zbyt głośno słuchała jazzowych płyt, smażyła kruche kotlety wieprzowe, często opowiadała o mężczyźnie, który zostawił ją tydzień przed ich ślubem w Montgomery, i o wujku, który został zlinczowany, kiedy była jeszcze dzieckiem. „Wiesz, co zawsze mnie zdumiewało?”, pytała Olanę, jakby nie dalej niż dzień wcześniej jej o tym nie mówiła. „To, że cywilizowani biali wkładali piękne stroje i kapelusze po to, żeby zebrać się i zobaczyć, jak biały wieszka czarnego na drzewie”.

Wybuchła tym swoim cichym śmiechem i klepała się po włosach tłusto połyskujących po prostowaniu na gorąco. Na początku nie rozmawiały o Odenigbie. Olanna z przyjemnością spotkała kogoś, kto był daleki od kręgu znajomych, jaki dzieliła z Odenigbem. Jednak po jakimś czasie, śpiewając wraz z Billie Holiday piosenkę „My Man”, Edna zapytała ją:

– Dlaczego go kochasz?

Olanna podniosła wzrok. Miała zupełną pustkę w głowie.

– Dlaczego go kocham? – powtórzyła.

Edna uniosła brwi, już tylko bezgłośnie poruszając ustami i nie śpiewając słów piosenki Billie Holiday.

– Chyba miłość nie potrzebuje powodu – powiedziała Olanna.

– Oczywiście, że tak.

– Wydaje mi się, że najpierw jest miłość, a dopiero potem pojawiają się powody. Kiedy jestem z nim, czuję, że niczego więcej mi nie trzeba. – Te słowa zaskoczyły ją samą, a zdumiewająca prawda wzruszyła ją do łez.

Edna nie spuszczała z niej wzroku.

– Nie możesz okłamywać samej siebie i mówić, że u ciebie wszystko w porządku.

– Nie okłamuję się – odrzekła Olanna. Płaczliwie szorstki głos Billie Holiday zaczął ją denerwować. Nie wiedziała, że tak łatwo można odgadnąć jej prawdziwe uczucia. Sądziła, że jej częsty śmiech brzmi autentycznie i że Edna nie ma pojęcia o łzach, jakie roniła, siedząc samotnie w mieszkaniu.

– Ja nie jestem najlepszą osobą do rozmawiania o mężczyznach, ale powinnaś to z kimś przedyskutować – zauważyła Edna. – Może z księdzem? Mógłby się zrewanżować za wszystkie twoje dobroczynne wyjazdy ze Stowarzyszenia Miłosierdzia.

Edna roześmiała się i choć Olanna zawtórowała jej, od razu zaczęła rozmyślać, czy może faktycznie nie potrzebuje rozmowy z kimś bezstronnym, kto pomógłby jej odnaleźć się, poradzić sobie z tą obcą osobą, jaką się stała. W kolejnych kilku dniach często wyprawiała się do kościoła Świętego Piotra, ale zawsze zawracała, zmieniwszy zdanie. W końcu w poniedziałkowe popołudnie pojechała tam, szybko i nie zważając na progi zwalniające, żeby nie dać sobie czasu na zatrzymanie się. Usiadła na drewnianej ławce w dusznym gabinecie ojca Damiana i nie odrywając oczu od oznaczonej słowem LAIKAT szafy na dokumenty, mówiła o Odenigbie.

– Nie chodzę do klubu uczelnianego, bo nie chcę się z nim spotykać. Nie chcę już grać w tenisa. Chociaż mnie zdradził i zranił, wygląda na to, że dyktuje mi, jak mam żyć.

Ojciec Damian szarpał za koloratkę, poprawiał okulary, pocierał nos, a ona zastanawiała się, czy duchowny próbuje coś wymyślić, cokolwiek, bo w rzeczywistości nie ma dla niej odpowiedzi.

– W ostatnią niedzielę nie widziałem cię w kościele – w końcu powiedział.

Olanna poczuła rozczarowanie, lecz ostatecznie był księdzem i nie mógł przedstawić innego rozwiązania prócz zalecenia: „Szukaj Boga”. Chciała, żeby powiedział coś, co pomoże jej poczuć się usprawiedliwioną, umocni jej prawo do uzalania się nad sobą, zachęci ją do przyjęcia postawy moralistki. Chciała, żeby potępił Odenigba.

– Sądzi ksiądz, że częściej powinnam chodzić do kościoła? – spytała.

– Tak.

Olanna skinęła głową i przysunęła do siebie torebkę, gotowa wstać i odejść. Nie powinna była tu przychodzić. Nie powinna oczekiwać od tego dobrowolnego eunucha z okrągłą twarzą i w białych szatach, że będzie w stanie zrozumieć jej uczucia. Patrzył na nią, zza szkieł wyzierały jego powiększone oczy.

– Sądzę ponadto, że powinnaś wybaczyć Odenigbowi – powiedział i szarpnął za koloratkę, jakby go dławiała. Przez krótką chwilę Olanna czuła do niego pogardę. Mówił rzeczy nazbyt proste, nazbyt łatwe do przewidzenia. Nie musiała tu przychodzić, żeby coś takiego usłyszeć.

– Dobrze. – Podniosła się. – Dziękuję.

– Nie dla niego, rozumiesz. Dla siebie.

– Proszę? – Nadal siedział, więc teraz musiała opuścić wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nie traktuj tego jak wybaczenie dla niego. Niech to będzie udzielenie sobie prawa do szczęścia. Co możesz zrobić z tą boleścią, którą wybrałaś? Czy możesz się nią najeść?

Olanna spojrzała na wiszący nad oknem krzyż, na twarz Chrystusa, pogodną w agonii, i nic nie odpowiedziała.

Odenigbo przyjechał wcześniej, zanim zdążyła zjeść śniadanie. Od razu wiedziała, że coś złego się wydarzyło, jeszcze nim otworzyła drzwi i zobaczyła jego posępną twarz.

– O co chodzi? – zapytała nagle przerażona, że mogła pomyśleć z nadzieją o śmierci jego matki.

– Amala jest w ciąży – powiedział. Mówił głosem beznamiętnym, stalowym, jak człowiek przynoszący złe wieści innym ludziom, sam pozostając na nie odpornym.

Olanna chwyciła klamkę u drzwi.

– Co takiego?

– Właśnie mama przyjechała mi powiedzieć, że Amala nosi moje dziecko.

Olanna wybuchnęła śmiechem. Śmiała się i śmiała nieprzerwanie, ponieważ nagle zarówno ta obecna scena, jak i minione tygodnie wydały się jej wręcz niewiarygodne.

– Pozwól mi wejść – powiedział Odenigbo. – Proszę.

Cofnęła się od drzwi.

– Wejdz.

Przysiadł na krawędzi krzesła, a ona miała wrażenie, jakby sklejane przez nią od pewnego czasu kawałki rozbitej porcelany ponownie się rozsypały, i bolesne w tym było nie to, że wszystko po raz drugi się roztrzaskało, ale to, że wszelkie próby poskładania tego w całość od samego początku skazane były na niepowodzenie.

– Nkem, proszę, zajmijmy się tym razem – powiedział. – Zrobimy, co tylko będziesz chciała. Proszę, nie zostawiaj mnie z tym.

Olanna poszła do kuchni, żeby wyłączyć czajnik. Wróciwszy, usiadła naprzeciw niego.

– Mówiłeś, że było to tylko raz? Tylko raz i zaszła w ciążę? Tylko raz? – Nie chciała podnosić głosu, ale nie potrafiła się pohamować. To było tak nieprzekonujące, tak teatralnie nieprzekonujące, że raz przespał się z tą kobietą, będąc pod wpływem alkoholu, i od razu zrobił jej brzuch.

– Tylko raz – potwierdził. – Naprawdę raz.

– Rozumiem. – Jednak zupełnie nie rozumiała. Zapragnęła naraz wymierzyć mu policzek, bo tak arbitralnie podkreślił, że było to tylko raz, jakby sam czyn był nieunikniony, jakby istotne było, ile razy do tego doszło, a nie to, że w ogóle nie powinno dojść.

– Powiedziałem mamie, że wyślę Amalę do doktora Okonkwa w Enugu, ale oświadczyła, że po jej trupie. Powiedziała, że Amala urodzi to dziecko i ona je wychowa. W Ondo jest pewien młody człowiek zajmujący się ciesielką i Amala za niego wyjdzie. – Odenigbo wstał. – Mama zaplanowała to od samego początku. Teraz wiem, że dopilnowała, żebym był pijany jak bela, kiedy posyłała do mnie Amalę. Mam wrażenie, że wpadłem w coś, czego sam nie rozumiem.

Olanna zmierzyła go wzrokiem, od aureoli włosów aż po smukłe palce u nóg w skórzanych sandałach, zaniepokojona, że mogła poczuć taką niechęć do kogoś, kogo kochała.

– Nikt cię do niczego nie pchał – zauważyła.

Spróbował ją objąć, lecz odsunęła się i poprosiła, żeby sobie poszedł. Stała później w łazience przed lustrem i brutalnie ścisnęła obiema rękami swój brzuch. Ból przypominał jej o bezużyteczności, przypominał jej o tym, że dziecko nie mości się w jej ciele tylko w ciele obcej kobiety.

Edna pukała tak długo, że w końcu Olanna musiała się podnieść i otworzyć drzwi.

– Co się stało? – zapytała Edna.

– Mój dziadek powiadał, że inni ludzie tylko pierdzieli, ale to z jego pierdzenia było gówno – odparła Olanna. Miało to zabrzmieć jak żart, lecz powiedziała to głosem nazbyt zachrypłym, zbytnio podszytym płaczem.

– Co się stało?

– Ta dziewczyna, z którą się przespał, jest w ciąży.

– Co się z tobą dzieje?

Olanna zmrużyła oczy; a cóż niby się z nią działo?

– Weź się w garść! – powiedziała Edna. – Myślisz, że on spędza dni na płaczu tak jak ty? Kiedy ten sukinsyn zostawił mnie w Montgomery, próbowałam się zabić, a wiesz, co on wówczas robił? Pojechał sobie do Luizjany i grał tam w zespole! – Edna z rozdrażnieniem klepała się po włosach. – Spójrz tylko na siebie. Nie znam nikogo tak miłego jak ty. Tylko popatrz, jaka jesteś piękna. Dlaczego tak bardzo potrzebujesz tego wszystkiego dookoła? Dlaczego nie wystarczy ci to, kim sama jesteś? Jesteś tak cholernie słaba!

Olanna cofnęła się, a przetaczająca się przez nią wzburzona lawina bólu, myśli i gniewu spowodowała, że wypowiedane słowa płynęły z cichą precyzją.

– Edno, to nie moja wina, że twój mężczyzna cię zostawił.

W pierwszej chwili Edna wyglądała na zaskoczoną, następnie na oburzoną, a dopiero później odwróciła się i wyszła z mieszkania. Olanna patrzyła za nią, żałując swoich słów. Ale nie była jeszcze gotowa na przeprosiny. Poczeka z tym dzień lub dwa. Nagle poczuła ogromny, przejmujący głód; łączy zupełnie opróżniły jej wnętrzności. Nie zaczekała nawet, aż resztki ryżu jollof odpowiednio się podgrzeją, zjadła wszystko wprost z garnka, wypila dwie butelki zimnego piwa, jednak wciąż nie czuła się zaspokojona. Zjadła herbatniki z szafki i pomarańcze z lodówki, a potem wyszła do sklepu Eastem po wino. Postanowiła się napić. Wypije tyle wina, ile zdoła.

Stojące przy wejściu do sklepu dwie kobiety, Hinduska z wydziału nauk ścisłych i wykładająca antropologię kobieta z Calabaru, uśmiechnęły się i przywitały z nią, a Olanna zastanawiała się, czy za ich ukradkowymi spojrzeniami nie kryje się współczucie, czy one nie sądzą, że jest załamana i słaba.

Właśnie przyglądała się butelkom wina, kiedy podszedł do niej Richard.

– Tak mi się wydawało, że to ty – powiedział.

– Cześć, Richardzie. – Zajrzała do jego koszyka. – Nie wiedziałam, że sam robisz zakupy.

– Harrison wyjechał na kilka dni do swojej rodzinnej miejscowości – odparł. – Jak się masz? Wszystko w porządku?

Nie spodobało się jej współczucie w jego oczach.

– Świetnie. Nie wiem, którą z tych dwóch butelek wybrać. – Wskazała na butelki wina. – A może kupiłabym obie i wypiłbyś je ze mną, wówczas razem moglibyśmy stwierdzić, które jest lepsze. Masz godzinę? A może musisz pędem wracać do pisania?

Richard wyglądał na zaskoczonego jej wesołością.

– Nie chciałbym się narzucać...

– Nie ma mowy o żadnym narzucaniu się. A poza tym nigdy mnie nie odwiedziłeś... – urwała – ...w moim mieszkaniu.

Będzie taka jak zawsze, uprzejma i miła, napiją się wina, porozmawiają o jego książce, o jej nowych cyniach, o sztuce Ibo-Ukwu i porażce w wyborach w Regionie Zachodnim. A potem Richard wróci i powie Odenigbowi, że Olanna ma się dobrze. Bo ma się dobrze.

Kiedy przyszli do jej mieszkania, Richard usiadł wyprostowany na sofie, chociaż wolałaby, żeby rozsiadł się swobodnie, w ten na wpół leżący, odprężony sposób, jak w domu Odenigba, teraz nawet kieliszek z winem trzymał jakoś sztywno. Olanna usiadła na wykładzinie dywanowej. Wzniesli toast za niepodległość Kenii.

– Naprawdę musisz opisać te straszne rzeczy, jakie Brytyjczycy robili w Kenii – powiedziała. – Obcinali jądra, prawda?

Richard wymamrotał coś i odwrócił wzrok, jakby zawstydziło go słowo „jądra”. Olanna uśmiechnęła się i nie spuszczała z niego wzroku.

– Prawda?

– Tak.

– W takim razie powinieneś to opisać. – Drugi kieliszek wina pila powoli, unosząc głowę smakowała chłodny płyn spływający do gardła. – Znalazłeś tytuł dla książki?

– „Kosz pełen rąk”.

– „Kosz pełen rąk”. – Olanna przechyliła kieliszek, opróżniając resztki. – Brzmi dosyć makabrycznie.

– Chodzi o wykonaną pracę. O te dobre rzeczy, które zostały osiągnięte, na przykład kolej, ale też o to, jak wyzyskiwano pracowników i jak długo ciągnęło się kolonialne gospodarowanie.

– A, rozumiem. – Olanna wstała i odkorkowała drugą butelkę. Pochyliła się, żeby najpierw napełnić swój kieliszek. Czuła się lekko, jakby dużo łatwiej było jej nieść własny ciężar, lecz myślała zupełnie trzeźwo i dokładnie wiedziała, co chce zrobić i co robi. Jej nozdrza wypełnił lekko wilgotny zapach

Richarda, kiedy stanęła przed nim z butelką.

– Jeszcze mam coś w kieliszku – powiedział.

– Faktycznie. – Postawiła butelkę na podłodze i usiadła obok niego, dotknęła włosów pokrywających jego skórę i pomyślała, jak są jasne i miękkie, nie tak asertywnie szorstkie jak włosy Odenigba, zupełnie inne niż u Odenigba. Kiedy spojrzał na nią, zastanowiła się, czy jego oczy rzeczywiście zmieniły kolor na szary czy tylko tak jej się wydaje. Dotknęła jego twarzy i już nie cofnęła dłoni spoczywającej na jego policzku.

– Chodź, usiądź koło mnie na podłodze – powiedziała w końcu.

Usiedli jedno obok drugiego plecami wsparci o siedzisko sofy. Richard wymamrotał: „Powiniennem już iść” czy coś podobnie brzmiącego. Wiedziała jednak, że nie wyjdzie i że kiedy ona wyciągnie się na włochatej wykładzinie, położy się obok niej. Pocałowała go w usta. Przyciągnął ją mocno do siebie, ale już po chwili równie szybko puścił i odwrócił głowę. Słyszała jego przyspieszony oddech. Rozpięła mu spodnie i przesunęła się do tyłu, żeby zsunąć mu je z nóg, a potem roześmiała się, kiedy nie chciały przejść przez buty. Zdjęła sukienkę. Po chwili leżał już na niej, wykładzina drapała ją w nagie plecy i Olanna czuła, jak jego usta niemrawo obejmują jej sutek. Zupełnie inaczej niż kiedy Odenigbo kąsał ją i ssał, nie miało to nic wspólnego ze znajomymi spazmami rozkoszy. Richard nie przesuwiał po niej trzepoczącym językiem, który powodował, że o wszystkim zapominała; kiedy całował ją w brzuch, zdawała sobie sprawę, że całuje ją w brzuch.

Wszystko się zmieniło, kiedy znalazł się w jej wnętrzu. Uniosła biodra, poruszając się wraz z nim, dopasowując się do jego pchnięć, miała wrażenie, że sama zrzuca kajdany z nadgarstków, wyciąga szpilki tkwiące w jej skórze; uwalniała się przy wtórze głośnych, bardzo głośnych okrzyków eksplodujących z jej ust. Kiedy już było po wszystkim, miała wrażenie, że jest przepelniona uczuciem błogości, czymś bliskim łaski.

Richard nieomal z ulgą przyjął wiadomość o śmierci sir Winstona Churchilla. Dzięki temu nie musiał jechać do Port Harcourt na weekend. Jeszcze nie był gotów na spotkanie z Kainene.

– Chyba będziesz musiał teraz dać sobie spokój z tymi okropnymi dowcipami o Churchillu, prawda? – powiedziała Kainene przez telefon, kiedy poinformował ją, że jedzie do Lagos na uroczystości żałobne w siedzibie Wysokiej Komisji. Roześmiał się i pomyślał, co by zrobił, gdyby o wszystkim się dowiedziała i zostawiła go, a on już nigdy nie usłyszałby tego sardonicznego głosu w słuchawce.

Minęło zaledwie kilka dni, ale nawet wspomnienie mieszkania Olanny było dziwnie mgliste; usnął potem na podłodze jej salonu i obudził się z przenikliwym bólem głowy i dotkliwie krępującym poczuciem własnej nagości. Olanna siedziała na sofie ubrana i milcząca. Czuł się niezręcznie, nie za bardzo wiedział, czy powinni rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Na koniec bez słowa odwrócił się do wyjścia, bo nie chciał, żeby ten wyraz żalu, jaki chyba dostrzegął na jej twarzy, zmienił się w wyraz niechęci. Nie był wybrańcem, to mógł być każdy inny, pierwszy lepszy mężczyzna. Czuł to nawet wtedy, gdy trzymał ją naga, jednak nie popsuło to przyjemności, jaką znajdował w jej krągłym ciele, w tym, jak się poruszała wraz z nim, jak brała wszystko, ile tylko mógł jej dać. Jeszcze nigdy nie był tak twardy, nigdy tak długo nie wytrzymał, jak wówczas z nią.

Ale teraz czuł się osamotniony. Jego zachwyty dla niej rozkwitał na gruncie jej niedostępności, uwielbiana na odległość, lecz kiedy już posmakował wina na jej języku, kiedy przycisnął ją tak blisko, że nawet on pachniał kokosem, ogarnęło go uczucie straty. Utracił swój sen. Najbardziej wszakże obawiał się utracić Kainene. Postanowił zrobić wszystko, żeby Kainene nigdy się o tym nie dowiedziała.

Podczas nabożeństwa żałobnego Susan siedziała obok niego, a kiedy odtwarzano fragmenty przemówień sir Winstona Churchilla, spletała ubrane

w rękawiczki dłonie, mocno je ścisnęła i nachylała się w jego stronę. Richard czuł, że oczy zachodzą mu łzami. Podziw dla Churchilla był chyba jedynym, co ich łączyło. Po uroczystościach zaprosiła go na drinka do klubu polo. Już raz zabrała go tam i kiedy wówczas usiedli przy zielonej trawie, powiedziała: „Afrykanów zaczęto tu wpuszczać zaledwie kilka lat temu, ale nie uwierzyłbyś, ilu ich teraz przychodzi i jak niewiele okazują wdzięczności”.

Zajęli te same miejsca co poprzednio, w pobliżu pobielonej balustrady, usadowieni przez nigeryjskiego kelnera wystrojonego w obcisły czarny garnitur. Klub świecił pustkami, chociaż po drugiej stronie toczył się mecz polo. Powietrze wypełniały okrzyki ośmiu mężczyzn przeklinających i w zawrotnym tempie galopujących za piłką. Susan mówiła cicho, przepełniona tłumionym żalem po osobie, której nigdy nie znała. Zaczęła opowiadać mu, jakież to ciekawe, że ostatnim człowiekiem z gminu, któremu urządzono państwowy pogrzeb, był książę Wellington, jakby była to dla niego jakaś nowość, i jakież to smutne, że tylu ludzi wciąż nie wie, jak wiele Churchill zrobił dla Wielkiej Brytanii, i jakież to okropne, że podczas nabożeństwa ktoś zasugerował, że w żyłach jego matki płynęła domieszka krwi indiańskiej. Susan wyglądała na nieco bardziej opaloną niż w przeszłości, Richard nie widział jej od czasu swojej przeprowadzki do Nsukki. Po kilku szklaneczkach dżinu ożywiła się i opowiadała o wyświetlanym w Instytucie Brytyjskim przecudnym filmie o rodzinie królewskiej.

– Chyba niezbyt cię to interesuje, prawda? – zapytała po chwili. Uszy jej wyraźnie poczerwieniały.

– Ależ tak.

– Słyszałam o tej damie twojego serca, córce prezesa Ozobii – powiedziała Susan, a kiedy mówiła: „dama serca”, posłużyła się akcentem, który jej zdaniem miał stanowić komiczną karykaturę sposobu mówienia osoby niewykształconej.

– Ona ma na imię Kainene.

– Tylko pamiętaj, żeby zawsze używać gumy, dobrze? Z nimi trzeba zachować ostrożność, nawet z tymi najlepiej wykształconymi.

Richard spojrzął na spokojną, niekończącą się zielen. Z tą kobietą nigdy nie mógłby być szczęśliwy – ich życie byłoby cienkie i delikatne jak pajęczyna, a wszystkie kolejne dni zlewałyby się w jedno długie i cienkie pasmo nicości.

– Miałam romans z Johnem Blakiem – powiedziała.

– Naprawdę?

Susan wybuchnęła śmiechem. Bawiła się swoją szklanką, przesuwała ją po stole, rozcierała skroploną na niej parę.

– Wyglądasz na zaskoczonego.

– Nie jestem – odparł, chociaż rzeczywiście był. I nie chodziło o jej romans, tylko o Johna będącego mężem jej przyjaciółki Caroline. Ale właśnie tak wyglądało życie na emigracji. Zdaniem Richarda, cała ich działalność sprowadzała się do stosunków seksualnych z mężami lub żonami znajomych, a potajemne kopulowanie miało być bardziej metodą na spędzenie spopielałego od słońca czasu w tropikach niż autentycznym wyrazem namiętności.

– To nie ma żadnego znaczenia, absolutnie żadnego – zapewniła Susan. – Ale naprawdę chciałam, żebyś wiedział, że nie będę tracić czasu, czekając, aż zakończysz ten swój śniadoliczy romans.

Richard chciał coś powiedzieć na temat jej nielojalności wobec przyjaciółki, lecz uświadomił sobie, jak obłudnie by to zabrzmiało, nawet gdyby tylko on dostrzegł tę obłudę.

5. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Pisze o głodzie. Głód był nigeryjską bronią w wojnie. To głód złamał Biafrę i przyniósł Biafrze sławę, a także spowodował, że Biafra trwała tak długo, jak trwała. Głód spowodował, że ludzie na świecie zwrócili uwagę na to, co tu się dzieje, wywołując protesty i demonstracje w Londynie, Moskwie i Czechosłowacji. Głód doprowadził do tego, że Zambia, Tanzania, Wybrzeże Kości Słoniowej i Gabon uznały Biafrę, głód wciągnął Afrykę w amerykańską kampanię Nixona i spowodował, że rodzice na całym świecie kazali swoim dzieciom zjadać posiłki. Głód dał impuls organizacjom charytatywnym do potajemnych lotów z żywnością do Biafry, które musiały odbywać się nocą, ponieważ obie strony nie potrafiły uzgodnić tras przelotu. Głód pomógł w karierze fotografom. I głód spowodował, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż uznał Biafrę za miejsce najpoważniejszego kryzysu od czasów drugiej wojny światowej.

Męcząca Ugwu biegunka wywoływała kurcze i ból. Nie pomagały mu ani gorzkie tabletki przełknięte w gabinecie pana, ani kwaśne liście, jakie dał mu Jomo, i nie miało to żadnego związku zjedzeniem, bo nagłe sprinty do służbówki zdarzały mu się niezależnie od spożywanego jedzenia. Przyczyną było jego zmartwienie. Martwił go strach, który dręczył pana.

Odkąd mama przyniosła wiadomość o ciąży Amali, pan zaczął chodzić niepewnym krokiem, jakby miał zamazane okulary, wdał o herbatę przygaszonym głosem i prosił Ugwu, żeby mówił gościom, że wyszedł z domu, chociaż jego samochód stał w garażu. Często patrzył w dal. Często też słuchał muzyki high life. I często mówił o Olannie. „Zostawmy to do czasu, aż wróci twoja pani”, mawiał, albo: „Twoja pani wolałaby to widzieć w korytarzu”, a Ugwu odpowiadał: „Tak, sah”, chociaż wiedział, że gdyby Olanna rzeczywiście wróciła, pan o żadnej z tych rzeczy nie będzie pamiętać.

Biegunka Ugwu wzmogła się, kiedy przyjechała mama z Amalą. Dokładnie przyglądał się Amali, nie wyglądała na ciężarną, wciąż była szczupła, miała płaski brzuch, a on żywił nadzieję, że może te leki nie podziałały. Ale podczas obierania gorących bulw kolokazji mama powiedziała mu: „Jak urodzi się ten chłopczyk, będę miała towarzystwo, a znajome kobiety nie będą już nazywać mnie matką impotentą”.

Amala usiadła w salonie. Dzięki ciąży jej status zmienił się i teraz mogła siedzieć beczynnym i słuchać radioli już niejako pomoc mamy, lecz jako kobieta, która urodzi mamie wnuka. Ugwu obserwował ją, stojąc w kuchennych drzwiach. Miała szczęście, że nie wybrała fotela pana ani ulubionego pufa Olanny, bo od razu kazałby jej wstać. Ściskając mocno kolana i skupiając wzrok na stosie gazet leżących na stole pośrodku salonu, siedziała z twarzą pozbawioną wyrazu. Wprost nie mógł się z tym pogodzić, że ktoś taki, taka przeciętna osoba w nijakiej sukience i bawełnianej chustce na czole może znajdować się tu, w otoczeniu tego wszystkiego. Nie była ani piękna, ani brzydka, po prostu podobna do wielu młodych kobiet, jakie oglądał w swojej wiosce, gdy co rano wędrowały do strumienia. Niczym się nie wyróżniała.

Kiedy tak na nią patrzył, nagle ogarnęła go złość. Jednak nie był zły na Amalę, tylko na Olanę. Nie powinna była uciekać z własnego domu wyłącznie dlatego, że leki mamy pchnęły pana w ramiona tej pospolitej mizeroty. Powinna była zostać i pokazać Amali i mamie, kto tu jest prawdziwą panią.

Dni były duszne i monotonne. Mama gotowała swoje intensywnie pachnące zupy, które potem jadła sama, ponieważ pan wracał późno, Amala miała mdłości, a Ugwu biegunkę. Ale mamie chyba to nie przeszkadzało; nuciła sobie, gotowała, sprzątała i z dumą przechwalała się, gdy w końcu nauczyła się włączać kuchenkę. „Kiedyś i ja będę miała własną kuchenkę, wnuk mi ją kupi”, powiedziała i roześmiała się.

W końcu po ponad tygodniu postanowiła wrócić do swojej wioski, lecz powiedziała, że zostawi tu Amalę.

– Chyba sam widzisz, jaka ona chora – zwróciła się do pana. – Moi wrogowie chcieliby zaszkodzić tej dąży, bo nie chcą, żeby ktoś mógł dalej przekazać nasze nazwisko, ale my ich pokonamy.

– Musisz zabrać ją ze sobą – powiedział pan. Było już po północy. Mama nie kładła się spać aż do przyjścia pana, a Ugwu siedział w kuchni, gdzie przysypiał, czekając, kiedy będzie mógł pozamykać drzwi.

– Nie słyszysz, jak ci mówię, że ona źle się czuje? – odparła mama. – Lepiej dla niej będzie, jeśli zostanie tutaj.

– Pójdziemy z nią do lekarza, ale musisz ją zabrać.

– Wyganasz swoje dziecko, a nie Amalę – powiedziała mama.

– Musisz ją zabrać ze sobą – powtórzył pan. – Wkrótce może wrócić Olan na i sytuacja będzie nieprzyjemna, jeśli zostanie tu Amalę.

– Własne dziecko... – powiedziała mama, kręcąc głową żałośnie, jednak nie sprzeciwiła się. – Wyjadę jutro, bo muszę uczestniczyć w zebraniu umuada. Wrócę po nią pod koniec tygodnia.

W dniu wyjazdu mamy Ugwu po południu zastał Amalę w ogródku warzywnym, jak kuciała na ziemi z kolanami zadartymi do góry, obejmując ramionami nogi. Żuła papryki.

– Dobrze? – zapytał Ugwu. Może ta kobieta jest człowiekiem duchem i przysłała tu odprawić obrzędy ze swoim towarzyszem ogbanje?

Amala przez chwilę nie odzywała się, w ogóle mówiła tak rzadko, że zawsze zaskakiwało go, jak bardzo piskliwy i dziecięcy ma głos.

– Papryka może pomóc usunąć ciężę – powiedziała.

– Co?

– Jeśli zje się dużo ostrych papryk, one usuną ciężę. – Siedziała skulona

w błocie jak żalosne zwierzątko, żując powoli, a po jej twarzy spływały łzy.

– Papryka niczego takiego nie robi – powiedział Ugwu. Miał jednak nadzieję, że Amala się nie myli, że papryka rzeczywiście przerwie ciążę, a jego życie powróci do wcześniejszego stanu: Olanna i pan żyjący bezpiecznie razem.

– Jeśli zje się dostatecznie dużo, to może się udać – upierała się i sięgnęła ręką, żeby zerwać następną papryczkę.

Ugwu nie chciał, żeby wyjadła mu papryki, które tak pieczołowicie hodował na swoje potrawy, ale jeśli prawdą było to, co mówiła o ich działaniu, może warto jej na to pozwolić. Twarz miała śliską od wilgoci z łez i śluzu i co jakiś czas otwierała usta, żeby wysunąć spalony papryką język i ziać jak pies. Chciał ją zapytać, dlaczego to wszystko zrobiła, skoro nie chciała dziecka. W końcu to ona poszła do sypialni pana i musiała znać plan mamy. Ale nie zapytał, nie zależało mu na jej przyjaźni. Odwrócił się i poszedł z powrotem do domu.

Kilka dni po wyjeździe Amali odwiedziła ich Olanna. Usiadła sztywno na sofie z nogami skrzyżowanymi, jak zupełnie obcy gość, i nie chciała chinchin, które Ugwu podał na spodeczku.

– Odnieś to do kuchni – poleciła Ugwu w tym samym momencie, gdy pan powiedział: – Zostaw na stole.

Ugwu stał niepewnie ze spodeczkiem w dłoni.

– W takim razie odnieś do kuchni! – warknął pan, jakby to Ugwu był odpowiedzialny za panujące w pokoju napięcie. Wchodząc do kuchni, Ugwu nie zniknął za sobą drzwi, żeby mógł przy nich stanąć i podsłuchiwać, chociaż nie miało to żadnego znaczenia, bo podniesiony głos Olanny był doskonale słyszalny.

– Ty jesteś winien, a nie twoja matka. Doszło do tego, bo ty na to pozwoliłeś! Musisz ponieść odpowiedzialność!

Ugwu był zaskoczony, że jej łagodny głos może zmienić się w tak gwałtowny.

– Wiesz, że nie należę do mężczyzn uganiających się za spódniczkami. Nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby moja matka nie maczała w tym palców! – Pan powinien zniżyć głos, powinien zdawać sobie sprawę, że żebracy nie krzyczą.

– A może też twoja matka wyciągnęła ci penisa i włożyła w Amalę? – spytała Amala.

Ugwu poczuł nagle rewolucję w brzuchu i popędził do toalety w służbówce. Kiedy wyszedł, zobaczył Olanę stojącą koło drzewa cytrynowego. Przyjrzał się bacznie jej twarzy, ciekaw, jak zakończyła się rozmowa, jeśli rzeczywiście się zakończyła, i dlaczego ona wyszła na dwór. Jednak z jej twarzy nic nie potrafił wyczytać. Dostrzegł tylko napięte linie wokół jej ust, jej postawa znamionowała jakąś elegancką pewność siebie, a na głowie miała nową perukę, w której wyglądała na dużo wyższą.

– Życzy pani sobie czegoś? – zapytał.

Podeszła do roślin anara i przyjrzała się im.

– Bardzo ładnie wyglądają. Stosowałaś jakiś nawóz?

– Tak, mah. Od Joma.

– I na papryki?

– Tak, mah.

Odwróciła się, by odejść. Ugwu pomyślał, że dziwnie wygląda w tym miejscu ubrana w sukienkę do kolan i czarne buty. Ona, która zawsze w ogrodzie była w chuście lub podomce.

– Mah?...

Odwróciła się.

– Mam wujka, który handluje na Północy. Ludzie mu zazdroszczą, bo dobrze mu się wiedzie. Pewnego dnia wyprał swoje ubranie i suszył je na słońcu, a kiedy przyniósł je do domu, zobaczył, że ktoś odciął kawałek rękawa koszuli.

Chociaż Olanna patrzyła na niego, dostrzegł w wyrazie jej twarzy coś, co świadczyło o tym, że nie będzie miała cierpliwości zbyt długo go wysłuchiwać.

– Osoba, która odcięła ten rękaw, użyła go później do przygotowania złego uroku, który jednak nie podziałał, bo wujek natychmiast spalił tę koszulę. Wokół jego chaty tego dnia krążyło wiele much.

– Na Boga, co ty opowiadasz? – zapytała po angielsku Olanna. Bardzo rzadko mówiła do niego po angielsku, więc jej słowa zabrzmiały chłodno, beznamiętnie.

– Mah, mama rzuciła zły urok na mojego pana. Widziałem muchy w kuchni. Widziałem, jak wkładała coś do jego jedzenia. Widziałem też, jak nacierała czymś ciało Amali, i wiem, że to były leki, których użyła, żeby skusić mojego pana.

– Bzdury – stwierdziła Olanna. Zabrzmiało to jak syk, a Ugwu poczuł, że kurczy mu się żołądek. Była inna, jakby jej skóra i ubranie nabrały świeżości.

Pochyliła się i strzepnęła palcami zieloną mszycę, która przysiadła na jej sukni, a potem odeszła. Ale nie poszła wokół domu i obok garażu pana do swojego zaparkowanego od frontu samochodu. Weszła z powrotem do domu.

Ugwu ruszył za nią. Kiedy znalazł się w kuchni, dosłyszał jej głos dobiegający z gabinetu, wykrzykiwała jakiś długi ciąg słów, których nie potrafił, ale też i nie chciał rozróżnić. Później zapadła cisza. Po chwili dobiegł go dźwięk otwierania i zamykania drzwi do sypialni. Chwilę jeszcze odczekał, zanim na palcach przeszedł przez korytarz i przycisnął ucho do drewna. Tym razem dźwięki były inne. Przyzwyczaił się do jej gardłowych jęków, lecz teraz słyszał wyraziste sapanie „ach-ach-ach”, jakby zaraz miała wybuchnąć, jakby pan równocześnie sprawiał jej rozkosz i wprawiał ją w dość, a ona czekała, chcąc sprawdzić, ile jeszcze może znieść tej rozkoszy, zanim wybuchnie gniewem. Mimo to nadzieja rosła w Ugwu. Ugotuje doskonały ryż jollof na ich pojedynczy posiłek.

Kiedy później usłyszał dźwięk uruchamianego samochodu i zobaczył oślepiające światła reflektorów obok krzewu z białymi kwiatami, pomyślał, że pani pojechała zabrać kilka rzeczy ze swojego mieszkania. Nakrył do kolacji na dwie osoby, ale nie podawał jedzenia, bo chciał trzymać je ciepłe w garnku.

Pan wszedł do kuchni.

- Zamierzasz dzisiaj jeść sam, mój dobry człowieku?
- Czekam na panią.
- Podaj mi jedzenie, osiso!
- Tak, sah – odrzekł Ugwu. – Sah, pani wkrótce wróci?
- Podaj mi jedzenie! – powtórzył pan.

Olanna stała w saloniku domu Richarda. Panująca tu ascetyczna pustka peszyła ją, wolałaby, żeby miał jakieś obrazy, książki czy matryoszki, na których mogłaby zawiesić wzrok. Na ścianie wisiała tylko niewielka fotografia dzbana oplecionego sznurem z Ibo-Ukwu i właśnie przyglądała się jej, kiedy wszedł Richard. Błąkający się na jego wargach niepewny półuśmiech złagodził nieco wyraz jego twarzy. Czasami zapomniała, że jest bardzo przystojnym mężczyzną na ten swój jasnowłosy, niebieskooki sposób.

Natychmiast się odezwała:

– Cześć, Richardzie. – I nie czekając na jego odpowiedź oraz ciszę, która z reguły towarzyszyła powitaniom, dodała: – Widziałeś Kainene w zeszły weekend?

– Nie, nie widziałem. – Unikał jej wzroku skoncentrowany na lśniącej peruce. – Byłem w Lagos. Zmarł sir Winston Churchill, chyba wiesz.

– To co się stało, było głupie, i z twojej, i mojej strony – powiedziała Olanna i zauważyła, że drżą mu ręce.

Richard skinął głową.

– Tak, tak.

– Kainene niełatwo wybacza. Mówienie jej o tym nie miałoby żadnego sensu.

– Oczywiście, że nie. – Richard zrobił przerwę. – Miałaś problemy emocjonalne, a ja nie powinienem...

– Richardzie, do tego trzeba dwóch osób – powiedziała Olanna i nagle poczuła pogardę dla tych drżących dłoni, dla jego bladej nieśmiałości i bezbronności, z którymi obnosił się tak demonstracyjnie uwiązany u szyi niczym krawat.

Wszedł Harrison z tacą.

– Przyniosłem drinki, sah.

– Drinki? – Richard odwrócił się, szybko i nerwowo, a Olanna poczuła ulgę, widząc, że w pobliżu niego nie ma żadnych przedmiotów, bo na pewno by coś strącił. – Och, ależ oczywiście... Napijesz się czegoś?

– Już wychodzę – odrzekła Olanna. – Jak się masz, Harrisonie?

– Bardzo dobrze, proszę pani.

Richard ruszył za nią do drzwi.

– Uważam, że niczego nie powinniśmy zmieniać – powiedziała jeszcze i pospiesznie poszła do samochodu.

Zastanawiała się, czy nie powinna zachowywać się mniej teatralnie, czy nie powinni odbyć spokojnej rozmowy o tym, co się stało. Ale wywlekanie dawnych brudów niewiele by dało. Oboje tego chcieli, oboje żałowali, że do tego doszło; teraz ważne było, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Dlatego też dla niej samej było zaskoczeniem, kiedy powiedziała o tym Odenigbowi. Leżała w jego łóżku, a on siedział obok niej – dla Olanny już nie była to ich wspólna sypialnia, tylko jego – spali ze sobą po raz drugi, odkąd odeszła. Prosił ją, żeby na powrót wprowadziła się do tego domu.

– Pobierzmy się – zaproponował. – Wówczas mama da nam spokój.

Czy to ze względu na ten jego triumfujący ton, czy też z powodu rażącego sposobu, w jaki nadal uchylał się od odpowiedzialności i zrzucał ją na matkę, Olanna powiedziała:

– Przespałam się z Richardem.

– Nie. – Odenigbo patrzył z niedowierzaniem, kręcąc głową.

– Tak.

Wstał, podszedł do szafy i spojrzał na Olanę, jakby musiał w tym momencie oddalić się od niej, obawiając się tego, co mógłby zrobić, gdyby była w pobliżu. Zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. Olanna usiadła i uzmysłowiła sobie, że między nimi zasiane zostało ziarno nieufności, że już zawsze będą musieli się liczyć z brakiem zaufania.

– Czujesz coś do tego mężczyzny? – zapytał.

– Nie – odparła.

Wrócił i usiadł przy niej. Widać było, że jest w rozterce, nie wiedział, czy ma kazać jej odejść czy ją przytulić, a potem wstał nagle i wyszedł z pokoju. Kiedy później zapukała w drzwi jego gabinetu mówiąc, że wychodzi, nie odpowiedział.

Po powrocie do swojego mieszkania nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie powinna była mówić mu o Richardzie. Albo powinna powiedzieć więcej: że żałuje zdradzenia Kainene i jego, choć nie żałuje samego czynu. Powinien wiedzieć, że nie był to akt prymitywnej zemsty czy jakaś forma wyrównania rachunków, natomiast dla niej miał zbawienne znaczenie. Powinna powiedzieć mu, że właśnie ten egoizm ją wyzwolił.

Następnego ranka poczuła ulgę, słysząc głośne pukanie w drzwi. Siadą razem z Odenigbem i porozmawiają jak należy, i tym razem ona dopilnuje, żeby nie kluczyli wokół siebie, tylko rzeczywiście się spotkali. Ale to nie był Odenigbo. Przyszła Edna, zapłakana, z czerwonymi zapuchniętymi oczami, i powiedziała, że w jej rodzinnej miejscowości biali podłożyli bombę pod murzyński kościół baptystów. Zginęły cztery małe dziewczynki. Jedną z nich była koleżanką ze szkoły jej siostrzenicy.

– Widziałam ją pół roku temu, kiedy byłam w domu – powiedziała Edna. – Widziałam ją ledwie pół roku temu!...

Olanna zaparzyła herbatę i usiadła tuż przy Ednie, tak blisko, że dotykały się ramionami, a Edna szlochała, zanosząc się płaczem, jakby się dusiła. Jej włosy zupełnie straciły ten swój codzienny tłusty połysk, dziś wyglądały jak zmierzwiona końcówka starego mopa.

– O Boże... – mówiła, łkając. – O Boże...

Olanna co chwilę wyciągała rękę i ścisnęła Ednę pocieszająco za ramię. W obliczu gwałtowności jej żalu czuła się bezsilna, żałowała, że nie jest w stanie sięgnąć wstecz i odmienić historię. W końcu Edna usnęła. Olanna delikatnie podsunęła jej poduszkę pod głowę i usiadła, rozmyślając o tym, jak echo pojedynczego wydarzenia może rozchodzić się w czasie i przestrzeni, pozostawiając ślady, których nigdy nie uda się usunąć. Myślała o ulotności życia, o tym, żeby nie wybierać bólesci. Wróci do domu Odenigba.

Pierwszego wieczoru jedli kolację w milczeniu. Denerwowało ją, jak Odenigbo przeżuwa, nie mogła patrzeć na jego wypchane policzki i szczęki miarowo mielące jedzenie. Sama jadła niewiele i często spoglądała na stojące w salonie pudło ze swoimi książkami. Odenigbo pochłonięty był oddzielaniem mięsa kurczaka od kości i tym razem wyjątkowo zjadł calutki ryż z talerza. Kiedy w końcu się odezwał, zaczął mówić o chaosie panującym w Regionie Zachodnim.

– W żadnym wypadku nie powinni byli przywracać szefa rządu na stanowisko. A teraz się dziwią, że oprychy palą samochody i mordują przeciwników w imię wyborów? Skorumpowany zbir zawsze będzie się zachowywał jak skorumpowany zbir – powiedział.

– Stoi za nim premier – zauważyła Olanna.

– Tak naprawdę władzę ma Sardauna. Ten człowiek rządzi krajem, jakby to było jego prywatne muzulmańskie lenno.

– Dalej staramy się o dziecko?

W jego oczach przesłoniętych szklami okularów pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Oczywiście, że tak – odparł. – Czy też nie?

Olanna nic nie odpowiedziała. Ogarnął ją jakiś mglisty smutek, myślała o tym, do czego sami doprowadzili, dopuścili mianowicie, że doszło między nimi do tego, do czego doszło, ale jednocześnie czuła podniecenie oczekiwania na coś nowego, na związek na nowych warunkach. Już nie będzie osamotniona w swej walce o zachowanie tego, co ich łączyło, on ją wspomůže. Zachwiał się w swojej pewności.

Ugwu przyszedł posprzątać ze stołu.

– Daj mi trochę brandy, mój dobry człowieku – powiedział Odenigbo.

– Tak, sah.

Odczekawszy, aż Ugwu poda mu brandy i odejdzie, Odenigbo rzekł:

– Poprosiłem Richarda, żeby przestał tu bywać.

– Co się stało?

– Spotkałem go na drodze w pobliżu mojego wydziału i zdenerwował mnie wyraz jego twarzy, więc poszedłem za nim aż na ulicę Imoke i powiedziałem mu kilka słów.

– Co mu powiedziałeś?

– Nie pamiętam.

– Nie chcesz mi powiedzieć.

– Nie pamiętam.

– Był przy tym ktoś jeszcze?

– Jego służący wyszedł z domu.

Usiedli na sofie w salonie. Odenigbo nie miał prawa nękać Richarda, wyładowywać na nim swój gniew, jednak rozumiała, dlaczego tak zrobił.

– Ja nigdy nie obwinałam Amali – powiedziała. – To ciebie obdarzyłam zaufaniem i wyłącznie za twoim przyzwoleniem ktoś obcy mógł naruszyć to zaufanie. Tylko ciebie obwinałam. – Odenigbo położył dłoń na jej udzie. – Powinieneś być zły na mnie, nie na Richarda – dodała.

Długo się nie odzywał i kiedy już myślała, że nie zamierza jej odpowiedzieć, odrzekł:

– Chciałbym być zły na ciebie.

Wzruszyła ją ta jego bezbronność. Uklękła przed nim, rozpięła mu koszulę i zaczęła ssać miękkie jędrne ciało na jego brzuchu. Czuła, jak wciąga powietrze, kiedy dotknęła zamka błyskawicznego w jego spodniach. W jej ustach był nabrzmiały i twardy. Delikatny ból w zuchwie i nacisk rozcapierzonych dłoni

na jej głowie podniecały ją, a kiedy było już po wszystkim, powiedziała:

– O Boże, przecież Ugwu musiał nas widzieć!...

Poprowadził ją do sypialni. W milczeniu rozebrali się i wspólnie wzięli prysznic, przyciskając się do siebie w wąskiej łazience, a potem przywarli do siebie w łóżku, powoli poruszając wciąż wilgotnymi ciałami. W upojeniu przyjmowała krzepiący ciężar jego spoczywającego na niej krępego ciała. Jego oddech trącił zapachem brandy i chciała powiedzieć, że jest prawie jak za dawnych czasów, jednak nie odezwała się przekonana, że on czuje to samo, nie chciała niszczyć tej łączącej ich ciszy.

Dopiero kiedy zasnął, z ręką leżącą na jej ciele i chrapiąc głośno przez rozchylone usta, wstała, żeby zadzwonić do Kainene. Musiała się upewnić, że Richard nic jej nie powiedział. Chociaż nie sądziła, żeby krzyki Odenigba mogły wstrząsnąć nim i skłonić go do wyznań, dręczyła ją lekka niepewność.

– Kainene, to ja – powiedziała, usłyszawszy głos Kainene w telefonie.

– Ejima m – odparła Kainene.

Olanna nie pamiętała, kiedy ostatnio Kainene zwróciła się do niej słowami „moja siostrzyczko”. Zrobiło jej się cieplej na sercu, kiedy usłyszała te słowa, podobnie jak niezmienny głos Kainene, ten oschły dźwięk przeciąganych samogłosek świadczący o tym, że choć rozmowa z Olanną może nie stanowi dla niej zbyt dużego kłopotu, niemniej jest kłopotliwa.

– Chciałam zapytać kedu – powiedziała Olanna.

– U mnie wszystko w porządku. Czy ty wiesz, która jest godzina?

– Nie zdawałam sobie sprawy, że już jest tak późno.

– Jesteś z powrotem z tym swoim rewolucyjnym kochankiem?

– Tak.

– Powinnaś słyszeć, co mama o nim mówiła. Tym razem dał jej doskonałe argumenty.

– Popełnił błąd – odparła Olanna, ale zaraz pożałowała tych słów, nie chciała, by Kainene myślała, że ona go usprawiedliwia.

– Czy zapładnianie przedstawicieli niższych klas nie jest przypadkiem sprzeczne z zasadami socjalizmu? – spytała Kainene.

– Nie będę przeszkadzać ci we śnie.

Nastąpiła krótka pauza, po której Kainene powiedziała rozbawionym tonem:

– Ngwanu. Dobranoc.

Olanna odłożyła słuchawkę. Powinna wiedzieć, że Richard nic nie powie Kainene, jego związek z nią mógłby tego nie przetrwać. I może rzeczywiście

najlepiej będzie, jeśli nie będzie ich już odwiedzał wieczorami.

Amala urodziła dziewczynkę. Była sobota i Olanna w towarzystwie Ugwu robiła w kuchni banany w cieście, ale kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, od razu wiedziała, że to wiadomość od mamy.

Odenigbo podszedł do kuchennych drzwi, trzymając ręce za plecami.

– O mu nwanyi – powiedział cicho. – Urodziła dziewczynkę. Wczoraj.

Olanna nie podniosła wzroku znad miski wysmarowanej rozgniecionymi bananami, ponieważ nie chciała pokazywać mu swojej twarzy. Sama nie wiedziała, co może się na niej malować, czy on dostrzeże okrutne kłębowisko targających nią emocji, chęci rozpłakania się, uderzenia go i jednocześnie okazania opanowania.

– Powinniśmy dziś po południu pojechać do Enugu i sprawdzić, czy wszystko jest jak należy – powiedziała energicznie i podniosła się. – Ugwu, dokończ to, proszę.

– Tak, mah. – Ugwu obserwował ją, miała wrażenie, że spoczywa na niej odpowiedzialność aktorki, od której rodzina oczekuje doskonałego występu.

– Dziękuję, nkem – rzekł Odenigbo. Objął ją ramieniem, ale odtrąciła je.

– Muszę się szybko wykąpać.

W samochodzie nie odzywali się do siebie. Często zerkał na nią, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział, od czego zacząć. Patrzyła wprost przed siebie, tylko raz na niego zerknęła i zobaczyła, jak niepewnie trzyma kierownicę. Czowała nad nim moralną wyższość. Być może nie miała prawa ani podstaw, aby sądzić, że jest od niego lepsza, ale jedynie w ten sposób potrafiła zapanować nad własnymi, tak bardzo sprzecznymi uczuciami po przyjsciu na świat jego dziecka z obcą kobietą.

Dopiero parkując samochód przed szpitalem, odezwał się w końcu:

– O czym myślisz?

Olanna otworzyła drzwi samochodu.

– O mojej kuzynce Arize. Jeszcze rok nie minął, odkąd wzięła ślub, i rozpaczliwie pragnie zajść w ciążę.

Odenigbo nic nie powiedział. Mama spotkała się z nimi przed wejściem na oddział położniczy. Olanna spodziewała się, że mama będzie tańczyć i patrzeć na nią drwiącym wzrokiem, ale pokryta zmarszczkami twarz była pośepna, a kiedy obejmowała Odenigba, jej uśmiech był wyraźnie wymuszony.

W powietrzu unosiła się ciężka woń szpitalnych chemikaliów.

– Mama, kedu? – spytała Olanna. Chciała sprawiać wrażenie osoby opa-

nowanej, czekając, jak sprawy się potoczą.

– Dobrze się czuję – odparła mama.

– Gdzie jest dzieciątko?

Mama wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

– Na oddziale noworodków.

– Zobaczmy się najpierw z Amalą – powiedziała Olanna.

Mama poprowadziła ich za zasłonę, gdzie na przykrytym poźółkłym prześcieradłem łóżku twarzą do ściany leżała Amala. Olanna odwróciła wzrok od lekkiej wypukłości brzucha Amali, ponownie zapanowała nad nią nieznośna myśl, że w tym ciele rośnie dziecko Odenigba. Skoncentrowała wzrok na znajdujących się na stoliku herbatnikach, pudełku z glukozą i szklance z wodą.

– Amalo, przyszli – powiedziała mama.

– Dzień dobry, nno – odezwała się Amala, nie odwracając się do nich.

– Jak się czujesz? – zapytali Odenigbo i Olanna nieomal jednocześnie.

Amala wymamrotała coś w odpowiedzi. Jej twarz nadal była zwrócona do ściany. W ciszy, która nastąpiła, Olanna usłyszała dochodzące z korytarza szybkie odgłosy kroków. Już od miesiący zdawała sobie sprawę, że ten moment w końcu nastąpi, ale kiedy teraz patrzyła na Amalę, ogarnęła ją jakaś spopielała pustka. W głębi duszy miała nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

– Chodźmy zobaczyć dzieciątko – zaproponowała. Kiedy wraz z Odenigbem zbierali się do wyjścia, zauważyła, że Amala nie odwróciła się, w ogóle się nie poruszyła, nie zrobiła niczego, co mogłoby świadczyć, że ich słyszała.

Pielęgniarka na oddziale noworodków poleciła im poczekać na jednej ze stojących pod ścianą ławek. Olanna widziała przez żaluzje wiele łóżeczek, a także wiele leżących w nich płaczących niemowlaków, i wyobraziła sobie, że pielęgniarka pomyliła się i przyniesie im nie to dziecko. Ale nie pomyliła się: głowa pokryta delikatnie kręconymi czarnymi włoskami, ciemna skóra i szeroko rozstawione oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Miała zaledwie dwa dni, a już wyglądała jak Odenigbo.

Pielęgniarka wykonała gest, jakby chciała podać Olannie zawinięte w biały wełniany koczek dziecko, lecz Olanna wskazała na Odenigba.

– Niech ojciec ją potrzyma.

– Wiecie, że matka ją odrzuciła? – powiedziała siostra, podając niemowlaka Odenigbowi.

– Proszę? – zapytała Olanna.

– Nawet jej nie dotknęła. Musimy korzystać z usług mamki.

Olanna spojrzała na Odenigba, który trzymał dziecko w wyciągniętych rękach, jakby musiał zachować jakiś dystans. Pielęgniarka chciała chyba coś jeszcze powiedzieć, ale pojawiła się jakaś młoda para i siostra pospiesznie ruszyła w ich stronę.

– Mama przed chwilą mi o tym powiedziała – odezwał się Odenigbo. – Powiedziała, że Amala nie chce brać dziecka.

Olanna nic nie odpowiedziała.

– Powiniennem zająć się rachunkiem – stwierdził. W jego głosie słychać było jakąś skruchę.

Wyciągnęła ręce w jego stronę, a kiedy podał jej dziecko, rozległ się przenikliwy płacz. Stojący po drugiej stronie pomieszczenia pielęgniarka i młoda para obserwowali ją. Olanna była pewna, że wszyscy zauważają jej nieporadność, widzą, że nie potrafi zająć się wrzeszczącym na jej rękach niemowlakiem, bo nie jest zdolna zająć w ciążę.

– Cii, cii, o zugo – powiedziała, mając wrażenie, że zachowuje się nieco teatralnie. Ale małe usteczka wciąż były otwarte i wykrzywione w płaczu, który był tak ostry i nieprzyjemny, że zastanawiała się, czy nie szkodzi drobnemu ciałku. Wsunęła mały palec w piąstkę dziecka. Powoli płacz ucichł, lecz usteczka pozostały otwarte, ukazując różowe dziąsła, a okrągłe oczy zmrużyły się i jakby na nią zerkwały. Olanna roześmiała się. Pielęgniarka podeszła do niej.

– Muszę ją zabrać – powiedziała. – Ile pani ma dzieci?

– Nie mam dzieci – odrzekła Olanna zadowolona, że pielęgniarka mogła uznać ją za matkę.

Kiedy wrócił Odenigbo, razem poszli za zasłonę do Amali, przy której siedziała mama trzymająca w dłoniach glazurowaną miskę.

– Amala nie chce jeść – powiedziała. – Gwakwa ya. Każ jej jeść.

Olanna wyczuła zakłopotanie Odenigba, zanim jeszcze odezwał się nazbyt podniesionym głosem:

– Amalo, musisz jeść.

Amala coś wymamrotała. W końcu odwróciła głowę w ich stronę i Olanna mogła na nią popatrzeć – zobaczyła prostą wieśniaczkę zwiniętą na łóżku, jakby kulącą się pod kolejnym wściekłym ciosem, jakich nie szczędziło jej życie. Ani razu nie spojrzała na Odenigba. Musiała odczuwać przed nim jakąś trwożliwą bojaźń. Obojętne, czy to mama kazała jej pójść do jego sypialni czy nie, ona nie sprzeciwiłaby się Odenigbowi, bo nawet przez myśl by jej nie prze-

szło, że mogłaby coś takiego zrobić. Pijany Odenigbo wyciągnął po nią rękę, a ona poddała mu się dobrowolnie i bezzwłocznie – to on był panem, on mówił po angielsku, on miał samochód. Przecież nie mogło być inaczej.

– Słyszałaś, co mój syn powiedział? – zapytała mama. – Powiedział, że masz jeść.

– Słyszałam, mamó. – Amala usiadła na łóżku i ze wzrokiem wbitym w podłogę wzięła do rąk glazurowaną miskę.

Olanna przyglądała się Amali. Być może ta kobieta czuła nienawiść do Odenigba. Co można wiedzieć o prawdziwych uczuciach tych, którzy nie mają prawa głosu? Olanna zbliżyła się do Amali, ale nie wiedziała, co powiedzieć, wzięła więc do ręki pudełko z glukozą, przyjrzała się mu i odłożyła je na miejsce. Mama i Odenigbo wyszli za zasłonę.

– Będziemy się zbierać – rzekła Olanna.

– Szczęśliwej drogi – odparła Amala.

Olanna chciała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, poklepała więc tylko Amalę po ramieniu i wyszła.

Odenigbo i mama stali przy zbiorniku na wodę i rozmawiali tak długo, aż w końcu Olanna miała już dość oczekiwania i kęsających ją komarów, usiadła więc w samochodzie i nacisnęła klakson.

– Przepraszam – powiedział Odenigbo, wsiadając do samochodu. Ani słowem nie wspomniał, o czym z matką rozmawiali, dopóki po godzinie jazdy nie minęli bramy kampusu w Nsuce. – Mama nie chce wziąć tego dziecka.

– Nie chce wziąć dziecka?

– Nie.

Olanna wiedziała dlaczego.

– Chciała chłopca.

– Tak. – Odenigbo zdjął rękę z kierownicy i opuścił niżej szybę. Olanna znajdowała jakąś niezdrową satysfakcję w jego pokorze, za którą się skrzył, odkąd Amala urodziła. – Uzgodniliśmy, że dziecko zostanie u rodziny Amali. W przyszłym tygodniu pojedę do Abby, żeby się z nimi spotkać i omówić to.

– My się nią zajmiemy – oświadczyła Olanna. Sama się zdziwiła, jak otwarcie wyraziła chęć zatrzymania tego dziecka i jak bardzo słuszne jej się to wydało. Jakby zawsze chciała właśnie to zrobić.

Odenigbo odwrócił się do niej. Zobaczyła jego szeroko otwarte oczy wyzierające zza szkieł okularów. Tak mocno przyhamował przed progiem zwalniającym, aż zaczęła się obawiać, że auto się zatrzyma.

– Nkem, nasz związek jest dla mnie najważniejszy – powiedział cichym

głosem. – Musimy podjąć decyzję, która będzie właściwa dla nas obojga.

– Nie myślałeś o nas, kiedy robiłeś jej dziecko – odparła Olanna, zanim zdążyła się powstrzymać, i zirytowała ją złośliwość we własnym głosie, ta odrodzona uraza.

Odenigbo wyglądał na zmęczonego, kiedy parkował samochód w garażu.

– Zastanówmy się nad tym.

– Zostanie z nami – stanowczo stwierdziła Olanna.

Poradzi sobie z wychowaniem dziecka. Je go dziecko. Kupi książki na temat macierzyństwa, znajdzie mamkę i odnowi sypialnię.

Tej nocy przewracała się z boku na bok. Nie użalała się nad dzieckiem. Przeciwnie, kiedy trzymała malutkie, ciepłe ciało, wyczuła świadomy uśmiech losu, miała wrażenie, że choć to może nie było zaplanowane, z chwilą gdy się wydarzyło, stało się to, co miało się stać. Jednak jej matka była innego zdania, następnego dnia mówiła przez telefon tonem poważnym, posępnym, jakim mówi się o kimś zmarłym.

– Nne, wkrótce urodzisz swoje dziecko. To nie jest dobry pomysł, żebyś wychowywała dziecko spółdzone z wieśniaczką, której dopadł, ledwie ty wyjechałaś. Córeczko, wychowanie dziecka to bardzo poważne zadanie, ale w tym wypadku nie wydaje mi się to właściwe.

Olanna trzymała słuchawkę i patrzyła na kwiaty stojące na stole pośrodku pokoju. Jeden z kwiatów opadł, aż dziwne, że Ugwu zapomniał go usunąć. Zdawała sobie sprawę, że w słowach matki zawarta jest prawda, lecz wiedziała też, że dziecko dokładnie odpowiada wyobrażeniom jej, Olanny, o własnym dziecku z Odenigbem: bujne włoski, szeroko rozstawione oczy, różowe dziąsła.

– Jej rodzina nie da wam spokoju – powiedziała matka. – A i ta kobieta nie da wam spokoju.

– Ona nie chce tego dziecka.

– Niech więc dziecko zostanie z jej rodziną. Poślijcie im, co trzeba, ale zostawcie dziecko u nich.

Olanna westchnęła.

– Anugo m, zastanowię się jeszcze.

Odłożyła słuchawkę, lecz zaraz na powrót ją podniosła i poprosiła o połączenie z numerem Kainene w Port Harcourt. Telefonistka odpowiadała leniwym głosem, kazała jej kilka razy powtórzyć numer i cały czas chichotała, zanim w końcu ją połączyła.

– To bardzo szlachetne z twojej strony – rzekła Kainene, wysłuchawszy

opowieści Olanny.

- Wcale nie jestem szlachetna.
- Dokonasz formalnej adopcji?
- Tak, chyba tak.
- I co jej powiesz?
- Co jej powiem?
- Tak, kiedy dorośnie.

– Prawdę. Powiem, że Amala jest jej matką. Nauczę ją mówić do mnie mama Olanna albo coś w tym stylu, a gdyby Amala zmieniła kiedyś zdanie, to ona będzie prawdziwą mamą.

– Robisz to, żeby sprawić przyjemność swojemu rewolucyjnemu kochankowi.

- Bynajmniej.
- Zawsze starasz się sprawiać przyjemność innym.
- Nie robię tego dla niego. To nie jest jego pomysł.
- W takim razie dlaczego to robisz?
- Była tak bezbronna... Miałam wrażenie, że ją znam.

Kainene przez chwilę nic nie mówiła. Olanna szarpała za kabel telefoniczny.

– Uważam, że to bardzo odważna decyzja – rzekła w końcu Kainene. Olanna wyraźnie usłyszała jej słowa, jednak zapytała:

- Co powiedziałaś?
- Jesteś bardzo odważna, podejmując taką decyzję.

Olanna rozparła się na siedzeniu. Aprobata ze strony Kainene, coś czego nigdy wcześniej nie doświadczyła, była jak balsam na jej serce, dodawała jej nowych sił, była dobrym znakiem. Nagle jej decyzja stała się ostateczna: weźmie to dziecko.

- Przyjedziesz na chrzciny? – spytała.
 - Jeszcze nie byłam w tym zakurzonym piekle, więc pewnie tak.
- Olanna odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

Mama przyniosła dziecko zawinięte w brązową chustę cuchnącą ogiri. Usiadła w salonie i mówiła do niego pieszczotliwie, a kiedy Olanna do niej wyszła, wstała i podała jej niemowlę.

– Ngwanu. Niedługo was odwiedzę – powiedziała. Wyglądało, jakby czuła się nieswojo i bardzo spieszyła się, chcąc jak najszybciej mieć tę sprawę za sobą.

Po jej wyjściu Ugwu z zatroskaną twarzą przyjrzał się niemowlęciu.

– Mama powiedziała, że dziecko wygląda jak jej matka. To jej matka wróciła.

– Ludzie są po prostu do siebie podobni, Ugwu, ale to nie znaczy, że się odradzają.

– Naprawdę tak robią, mah. My wszyscy znów kiedyś wrócimy.

Olanna przegoniła go machnięciem ręki.

– Wynieś tę chustę do śmieci. Strasznie śmierdzi.

Niemowlę płakało. Olanna uspokoiła je, wykąpała w małej miednicy i spojrzawszy na zegar, zaczęła się martwić, że mamka, znaleziona przez ciotkę Ugwu potężnie zbudowana kobieta, może się spóźnić. Kiedy przyszła mamka i dziecko, najadłszy się z jej piersi, zasnęło, Olanna i Odenigbo stanęli nad łóżeczkiem ustawionym przy ich łóżku i patrzyli na leżącą na plecach dziewczynkę. Jej brązowa skóra lśniła.

– Ma tak dużo włosów jak ty – powiedziała Olanna.

– Jeszcze nie raz na nią spojrzysz i będziesz mnie nienawidzić.

Olanna wzruszyła ramionami. Nie chciała, by myślał, że poświęca się dla niego, że wyświadcza mu przysługę, bo robiła to bardziej ze względu na siebie niż na niego.

– Ugwu mówił, że twoja matka poszła do dibii – powiedziała.

– Proszę?

– Ugwu sądzi, że to wszystko wydarzyło się, bo twoja matka poszła do dibii, a jego leki tak cię omamiły, że przespałeś się z Amalą.

Odenigbo przez chwilę się nie odzywał.

– Podejrzewam, że tylko w ten sposób jest w stanie sobie to wyjaśnić.

– Leki powinny były sprawić, że urodzi się upragniony chłopiec, nie sądzisz? – zapytała. – To wszystko jest takie irracjonalne.

– Nie bardziej irracjonalne niż wiara w chrześcijańskiego Boga, którego nie można zobaczyć.

Przyzwyczała się już do jego delikatnych drwin z jej wiary, która sprowadzała się do pracy w opiece społecznej, i w innej sytuacji odpowiedziałaby, że nawet nie jest pewna, czy sama wierzy w chrześcijańskiego niewidzialnego Boga. Jednak teraz, kiedy w łóżeczku leżała bezbronna ludzka istota, tak bardzo zależna od innych, że samo jej istnienie musiało stanowić dowód istnienia wyższej dobroci, sprawy wyglądały inaczej.

– A ja wierzę – powiedziała. – Wierzę w dobrego Boga.

– Ja nie wierzę w żadnego boga.

– Wiem. Ty w nic nie wierzysz.

– W miłość – odparł, patrząc na nią. – Wierzę w miłość.

Chociaż nie zamierzała się roześmiać, parsknęła śmiechem. Chciała mu odpowiedzieć, że miłość też jest irracjonalna.

– Musimy pomyśleć o imieniu – stwierdziła.

– Mama dała jej na imię Obiageli.

– Nie możemy jej tak nazwać. – Jego matka nie miała prawa nadawać imienia dziecku, które odrzuciła. – Na razie będziemy na nią mówić Dzidzia, aż znajdziemy idealne imię. Kainene proponowała Chiamaka. Zawsze podobało mi się to imię: „Bóg jest piękny”. Kainene będzie jej matką chrzestną. Muszę porozmawiać z ojcem Damianem o chrzcinach. – Wybierze się na zakupy do supermarketu Kingsway. Zamówi nową perukę z Londynu. Czują, jak kręci jej się w głowie od tego wszystkiego.

Dzidzia poruszyła się przez sen i Olanę ponownie ogarnęła fala strachu. Patrząc na błyszczące od oliwki włosy, zastanawiała się, czy rzeczywiście jest w stanie to zrobić, czy jest w stanie wychować dziecko. Zdawała sobie sprawę, że nie ma nic nienormalnego w tym, iż dziecko oddycha zbyt szybko, jakby dyszało we śnie, a jednak nawet to ją martwiło.

Wieczorem kilka razy próbowała się dodzwonić do Kainene, lecz nikt nie odbierał. Być może Kainene była w Lagos. Kiedy zadzwoniła jeszcze raz w nocy, usłyszała ochryply głos Kainene mówiącej: „Halo?”.

– Ejima m – odezwała się Olanna. – Przeziębilaś się?

– Pieprzyłaś się z Richardem.

Olanna wstała.

– To ty jesteś ta dobra siostra. – Kainene mówiła opanowanym głosem. – A dobra siostra nie powinna pieprzyć się z kochankiem swojej siostry.

Olanna opadła na pufa, nagle uzmysłowiwszy sobie, że czuje ulgę. Kainene wie. Nie będzie musiała dłużej się martwić, że się dowie. Teraz już może czuć wyrzuty sumienia.

– Powinnam była ci o tym powiedzieć, Kainene – odparła. – To nie miało żadnego znaczenia.

– Oczywiście, że nie miało żadnego znaczenia. W końcu to było tylko pieprzenie się z moim kochankiem.

– Nie to chciałam powiedzieć... – Olanna czuła, że oczy zachodzą jej łzami. – Kainene, tak bardzo mi przykro.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Kainene mówiła przerażająco spokojnym tonem. – To ty zawsze byłaś tą dobrą, ulubienicą wszystkich, piękną i afrykańską

rewolucjonistką, która nie lubi białych mężczyzn, i po prostu nie potrzebowałaś pieprzyć się z nim. Dlaczego więc to zrobiłaś?

Olanna oddychała powoli.

– Nie wiem, Kainene. Nie zaplanowałam tego. Tak mi przykro. To było niewybaczalne.

– To rzeczywiście było niewybaczalne – przyznała Kainene i rozłączyła się.

Olanna odłożyła słuchawkę i poczuła, że coś w jej wnętrzu pęka. Dobrze znała siostrę bliźniaczkę i wiedziała, że Kainene niełatwo zapomina o krzywdach.

Richard chciał wychłostać Harrisona. Zawsze bulwersowała go myśl, że zamieszkujący kolonie Anglicy chłostali starych czarnoskórych służących. Jednak teraz miał ochotę zrobić dokładnie to samo co wówczas oni. Chciał kazać Harrisonowi położyć się na brzuchu i chłostać go, chłostać i chłostać, aż nauczy się trzymać język za zębami. Gdybyż tylko nie zabrał Harrisona ze sobą do Port Harcourt! Ale miał tu spędzić cały tydzień i nie chciał zostawiać go samego w Nsucce. Pierwszego dnia po przyjeździe Harrison, jakby chcąc uzasadnić swoją obecność, przyrządził skomplikowany posiłek: zupę z fasoli i grzybów, mieszankę z papai, kurczaka w sosie śmietanowym przystrojonego zieleniną i na deser tartę z cytryną.

– To jest wspaniałe, Harrisonie – powiedziała Kainene z przekornym błyskiem w oku. Była w dobrym nastroju; chwyciła Richarda w objęcia zaraz po przyjeździe i puściła się z nim w udawany taniec po wypolerowanej podłodze salonu.

– Dziękuję pani. – Harrison uklonił się.

– A w swoim domu też gotujesz takie rzeczy?

Harrison wyglądał na zranionego.

– Ja nie gotuję w mój dom, proszę pani. Moja żona gotuje regionalne jedzenie.

– Oczywiście.

– Ja gotuję każda europejska potrawa, wszystko, co mój pan je u siebie.

– W takim razie pewnie masz problemy z jedzeniem regionalnych posiłków, kiedy wracasz do domu. – Kainene zaakcentowała słowo „regionalne”, a Richard z trudem powstrzymywał śmiech.

– Tak, proszę pani. – Harrison ponownie się skłonił. – Ale jakoś sobie radzę.

– Twoja tarta jest lepsza od tej, którą jadłam podczas ostatniej wizyty w Londynie.

– Dziękuję pani. – Harrison promieniał. – Mój pan mówi, że wszyscy w domu pana Odenigba też tak mówią. Robiłem tarta dla mojego pana i on tam

ją zabierał, ale już nic nie robię dla dom pana Odenigba, odkąd on krzyczy na mój pan. Krzyczy jak wariat, aż cała ulica słyszy. Ten człowiek chyba ma nie po kolei w głowie.

Kainene odwróciła się w stronę Richarda, pytająco unosząc brwi. Richard potrącił swoją szklanę z wodą i przewrócił ją.

– Przyniosę ścierkę, sah – rzekł Harrison, a Richard z trudem się pohamował, żeby doń nie doskoczyć i nie udusić go.

– O czym mówi Harrison? – zapytała Kainene, kiedy woda została wytarta.
– Ten rewolucjonista krzyczał na ciebie?

Mógł skłamać. Nawet sam Harrison nie wiedział dokładnie, dlaczego Odenigbo przyjechał tego wieczoru pod ich dom i krzyczał na niego. Jednak nie skłamał, bał się, że mu się to nie uda i skończy się na tym, że i tak będzie musiał wyznać prawdę, a wówczas będzie jeszcze gorzej. Powiedział więc jej wszystko. Opowiedział o dobiym białym winie burgundzkim, które wraz z Olanną wypili, i o tym, jak ogromnie tego żałował, gdy było po wszystkim.

Kainene odsunęła od siebie talerz i wsparłszy łokcie na stole, złożyła podbródek na splecionych dłoniach. Przez wiele długich minut trwała w uporczym milczeniu. Richard nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy.

– Mam nadzieję, że nie będziesz mnie prosił o wybaczenie – powiedziała w końcu. – Trudno o coś bardziej banalnego.

– Proszę, nie każ mi odejść.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Odejść?... To chyba byłoby zbyt łatwe, nie sądzisz?

– Przepraszam, Kainene.

Richard miał wrażenie, że zrobił się zupełnie przezroczysty, choć patrzyła na niego, wydawało mu się, że ogląda wiszące na ścianie za jego plecami rzeźby w drewnie.

– Czyli pożądałeś mojej siostry. Mógłbyś być bardziej oryginalny – powiedziała.

– Kainene...

Wstała od stołu.

– Ikejide! – krzyknęła. – Posprzątaj tu.

Kiedy wychodzili z jadalni, zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił nieprzerwanie, aż w końcu podeszła do aparatu. Po chwili przyszła do sypialni i powiedziała:

– To była Olanna.

Richard patrzył na nią błagalnym wzrokiem.

– Byłoby to wybaczone, gdyby chodziło o kogoś innego. Ale nie o moją siostrę.

– Przepraszam.

– Powinieneś spać w pokoju gościnnym.

– Tak, tak, oczywiście.

Zupełnie nie wiedział, co jej chodzi po głowie. I właśnie to najbardziej go przerażało: że nie ma pojęcia, co Kainene myśli. Uklepał poduszkę, poprawił koc i usiadł na łóżku, próbując zająć się czytaniem. Ale jego mózg był zbyt aktywny, żeby ciało mogło pozostać w nieruchomej pozycji. Martwił się, że Kainene zadzwoni do Madu i opowie mu o tym, co się stało, a Madu wybuchnie śmiechem i stwierdzi: „To od samego początku była pomyłka, zostaw go, zostaw”. W końcu zanim zasnął, przypomniały mu się słowa Moliera, jakoś dziwnie pocieszające: „Niezmacone szczęście to nudziarstwo; powinny być w nim wzloty i upadki”.

Rano powitał go stoicki wyraz twarzy Kainene.

W dach uderzał ulewny deszcz, a zaciągnięte chmurami niebo wypełniało jadalnię bladą poświatą. Kainene siedziała przy włączonym świetle, popijając herbatę z filiżanki i czytając gazetę.

– Harrison robi naleśniki – powiedziała i wróciła do czytania.

Richard usiadł naprzeciw niej, nie wiedząc, co ma robić, do tego stopnia przytłoczony swoją wielką winą, że nawet nie śmiał nalać sobie herbaty. Jej milczenie i docierające z kuchni hałasy i zapachy przyprawiały go o klaustrofobię.

– Kainene – odezwał się. – Czy moglibyśmy porozmawiać?

Podniosła wzrok i najpierw zauważył, że jej oczy są zapuchnięte i podrażnione, potem dostrzegł w nich zranioną wściekłość.

– Porozmawiamy, kiedy ja będę miała ochotę porozmawiać, Richardzie.

Spuścił wzrok jak skarczone dziecko, ponownie obawiając się, że każe mu już na zawsze zniknąć z jej życia.

Dzwonek u drzwi odezwał się przed południem i kiedy pojawił się Ikejide z informacją, że pod drzwiami stoi siostra pani, Richard pomyślał, że Kainene poleci mu zatrzaskać Olannie drzwi przed nosem. Jednak niczego takiego nie zrobiła. Kazała Ikejidemu podać napoje i zeszła do salonu, a Richard, stojąc u szczytu schodu, próbował dosłyszeć, co tam mówiono. Chociaż do jego uszu docierał płaczliwy głos Olanny, nie potrafił zrozumieć słów. Odenigbo mówił krótko, tonem nad wyraz spokojnym. W końcu Richard usłyszał głos Kainene,

wyraźny i oschły:

– Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie może się spodziewać, że coś takiego wybaczę.

Nastąpiła chwila ciszy, po której rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Richard podbiegł do okna i zobaczył wyjeżdżający tyłem samochód Odenigba, ten sam błękitny opel, który zajechał przed jego dom przy ulicy Imoke i z którego po chwili wyskoczył Odenigbo, krępy mężczyzna w doskonale odprasowanym stroju, krzyżąc: „Masz nie zbliżać się do mojego domu! Rozumiesz, co mówię? Nie zbliżaj się! Już nigdy nie przychodź do mojego domu!”. Richard stał przed werandą, zastanawiając się, czy Odenigbo go uderzy. Dopiero później zdał sobie sprawę, że Odenigbo nie zamierzał go bić, być może nie uważał go za godnego swojego ciosu, i ta myśl podziałała nań przygnębiająco.

– Podśluchiwałeś? – zapytała Kainene, wchodząc do pokoju. Richard odwrócił się od okna, lecz nie czekając na jego odpowiedź, dodała łagodnym tonem: – Zapomniałam, jak bardzo ten rewolucjonista przypomina zapaśnika. Ale takiego pełnego finezji.

– Kainene, nigdy nie wybaczę sobie tego, jeśli cię utracę.

Jej twarz pozbawiona była jakichkolwiek uczuć.

– Dzisiaj rano wzięłam z gabinetu twój rękopis i spaliłam go – powiedziała.

Richard poczuł w piersiach burzę uczuć, których sam nie potrafiłby nazwać. „Kosz pełen rąk”, ten plik kartek, o których wreszcie mógł z całą pewnością powiedzieć, że będą mogły stworzyć książkę, przepadł. Nigdy nie udało mu się odtworzyć nieokiełznanej energii, jaka towarzyszyła zapisywanym tam słowom. Ale nie miało to znaczenia. Paląc jego rękopis, dała znak, że nie zamierza kończyć ich związku, i tylko to było ważne, nie zadawałaby sobie trudu sprawiania mu bólu, gdyby nie zamierzała zostać. Może on jednak nie jest prawdziwym pisarzem. Wyczytał kiedyś gdzieś, że dla prawdziwych pisarzy nic nie jest ważniejsze od ich sztuki, nawet miłość.

6. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Pisze o świecie, który w milczeniu patrzył, jak umierają Biafrańcy. Próbuje dowieść, że za to milczenie odpowiedzialni byli Brytyjczycy. Broń i doradztwo udzielone Nigerii przez Wielką Brytanię ukształtowało stanowiska innych krajów. Dla Stanów Zjednoczonych Biafra znajdowała się „w brytyjskiej strefie wpływów”. W Kanadzie premier zażartował: „A gdzie leży Biafra?”. Związek Radziecki posyłał techników i samoloty do Nigerii, zachwycony możliwością zwiększenia swoich wpływów w Afryce, nie urażając przy tym Ameryki czy Wielkiej Brytanii. A głoszące supremacją białej rasy Południowa Afryka i Rodezja z ogromną satysfakcją przyjmowały kolejny dowód na to, że rządy czarnych są z góry skazane na niepowodzenie.

Chociaż komunistyczne Chiny otwarcie potępiały anglo-amerykańsko-sowiecki imperialem, niewiele więcej zrobiły dla wsparcia Biafry. Francuzi sprzedali Biafrze nieco broni, lecz nie uznali jej w sposób formalny, a to najbardziej by się jej przydało. Wiele zaś państw Czarnej Afryki w obawie, że przykład niepodległej Biafry może doprowadzić do kolejnych przypadków secesji, poparło Nigerię.

CZEŚĆ CZWARTA

KONIEC LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH

Olanna podskakiwała przy każdym uderzeniu pioruna. Wyobrażała sobie kolejny nalot, bomby wypadające z samolotu i eksplodujące w obejściu, zanim ona, Odenigbo, Dzidzia i Ugwu zdążyli dotrzeć do pobliskiego schronu. Czasami wyobrażała sobie, jak schron się zapada, przygniatając ich i wciskając w błoto. Odenigbo wraz z kilkoma mężczyznami z sąsiedztwa zbudowali go w ciągu tygodnia; gdy wykopali jamę wielką jak aula, a następnie przykryli ją dachem z pni palmowych przekładanych gliną, powiedział: „Teraz jesteśmy bezpieczni, nkem. Jesteśmy bezpieczni”. – Ale kiedy po raz pierwszy pokazywał jej, jak schodzić po nierównych stopniach, Olanna dostrzegła w kącie zwiniętego węża. Widząc jego czarną skórę połyskującą srebrnymi plamkami i skaczące wokół niego malutkie świerszcze, aż krzyknęła, przerywając ciszę tego wilgotnego podziemia, które kojarzyło się jej z grobem.

Odenigbo walnął węża kijem i obiecał, że dopilnuje, by umieszczona u wejścia do schronu blacha cynkowana była lepiej zamknięta. Jego opanowanie zdumiewało ją. Zdumiewał ją spokojny ton, z jakim witał ten ich nowy świat, zmienioną sytuację. Kiedy Nigeryjczycy wymienili walutę, a Radio Biafra pospiesznie poinformowało, że oni też wprowadzają nowe pieniądze, Olanna cztery godziny stała w kolejce do banku, gdzie musiała uchylać się przed ciosami chłozzczących ludzi mężczyzn i nie dać się wypchnąć przepychającym się kobietom, i w końcu udało się jej wymienić nigeryjskie pieniądze na ładniejsze biafrańskie funty. Po powrocie przy śniadaniu uniosła w górę średniej wielkości kopertę z banknotami i powiedziała:

– To cała nasza gotówka.

Odenigbo wyglądał na rozbawionego.

– Oboje zarabiamy pieniądze, nkem.

– Już drugi miesiąc zarząd odkłada wypłatę twojej pensji – zauważyła i włożyła leżącą na jego spodeczku torebkę herbaty do swojej filiżanki. – A tych pieniędzy, które mi płacą w Akwakumie, nie można nazwać zarobkiem.

– Już niedługo będziemy mieli wolną Biafrę i nasze życie wróci do normy – odparł, powtarzając zawsze te same słowa wypowiedane z zawsze tą samą

pewnością siebie, i dalej popijał herbatę.

Olanna przyłożyła filiżankę do policzka, żeby go ogrzać i odsunąć na później pierwszy łyk słabej herbaty zaparzonej ze zużytej torebki. Kiedy Odenigbo podniósł się i pocałował ją na pożegnanie, zastanawiała się, dlaczego on zupełnie nie przejmuje się tym, jak mało mają, jakby w ogóle tego nie dostrzegał. Może dlatego, że nie chodził na targ. Nie zauważył, że z tygodnia na tydzień cena szklanki soli rośnie o szylinga, kurczaki porcjuje się na coraz mniejsze części, które i tak są za drogie, i nikt już nie kupuje ryżu w dużych workach, bo nikogo na to nie stać. Tej nocy w milczeniu poddawała się jego coraz szybszym ruchom. Po raz pierwszy czuła, że są daleko od siebie; kiedy mamrotał jej coś do ucha, martwiła się o swoje pieniądze ulokowane w banku w Lagos.

– Nkem? Wszystko w porządku? – zapytał, unosząc się, żeby na nią spojrzeć.

– Tak.

Przez chwilę jeszcze ssał jej dolną wargę, potem przewrócił się na bok i zasnął. Jeszcze nigdy jego chrapanie nie było tak zgrzytliwe. Był zmęczony. Długi marsz do biura pośrednictwa pracy, zupełnie bezmyślne czynności przy codziennym układaniu nazwisk i adresów, wyczerpywały go, wiedziała o tym, a jednak każdego dnia wracał do domu z błyszczącymi oczami. Wstąpił do Korpusu Agitacji; po pracy całą grupą jeździli w głąb kraju i edukowali ludzi. Często wyobrażała go sobie, jak stoi przed zgromadzeniem zafascynowanych wieśniaków i tym swoim donośnym głosem opowiada, jak wielkim narodem będzie Biafra. Jego oczy widziały przyszłość. Dlatego też nie mówiła mu, że ona opłakuje przeszłość, każdego dnia coś innego: obrusy ze srebrnym haftem, samochód, ciastka z kremem truskawkowym dla Dzidzi... Nie mówiła mu, że czasami, obserwując Dzidzię biegnącą z dziećmi z sąsiedztwa, tak bezbroną i szczęśliwą, chciała wziąć ją w ramiona i przeprosić. Choć ona oczywiście by nie zrozumiała.

Od kiedy pani Muokelu, która uczyła w pierwszej klasie szkoły podstawowej w Akwakumie, opowiedziała jej o dzieciach siłą wpychanych przez żołnierzy do ciężarówki i wracających w nocy z dłońmi pokrytymi bąblami, krwawiącymi od miażdżenia manioku, poleciła Ugwu nigdy nie spuszczać Dzidzi z oczu. Ale w głębi ducha wątpiła, żeby żołnierze mogli mieć jakiś pożytek z tak małego dziecka jak Dzidzia. Martwiła się natomiast nalotami. Wciąż powracał do niej sen, w którym biegnie do schronu, zapomniawszy o Dzidzi, a kiedy już bomby zostały zrzucone, potyka się o spalone ciało dziecka, którego rysy są tak poczerniałe, że sama nie wie, czy to jest Dzidzia. Ten sen prze-

śladował ją. Ćwiczyła z Dzidzią ucieczkę do schronu. Kazała Ugwu ćwiczyć chwytanie Dzidzi na ręce i bieganie. Uczyła Dzidzię, co powinna zrobić, kiedy nie ma czasu na ucieczkę do schronu – położyć się płasko na brzuchu i zakryć głowę rękami.

Wciąż jednak martwiła się, że nie zrobiła wszystkiego i że ten sen zwiastuje jakieś zaniedbanie z jej strony, które zaszkodzi Dzidzi. Kiedy pod koniec pory deszczowej u Dzidzi pojawił się świszczący kaszel, Olanna poczuła ulgę. W końcu coś się przytrafiło Dzidzi. Jeśli tylko niebiosa są sprawiedliwe, nieszczęścia czasu wojny powinny się wzajemnie wykluczać, a skoro Dzidzia jest chora, nic nie może jej się stać podczas nalotu. Nad kaszlem Olanna mogła w jakiś sposób zapanować, natomiast nad nalotem z pewnością nie.

Zabrała Dzidzię do szpitala Albatros. Ugwu pozdejmował palmowe liście ułożone na dachu samochodu Odenigba, ale gdy przekręcała kluczyk, silnik przez chwilę rzeził i zaraz gasł. W końcu Ugwu musiał pchnąć samochód i dopiero wtedy auto zapaliło. Jechała powoli, przyhamowując, gdy tylko Dzidzia zakaszłała. Funkcjonariuszom obrony cywilnej stojącym na punkcie kontrolnym, na którym drogę zagraadzał ogromny pień drzewa, powiedziała, że jej dziecko jest bardzo chore, a oni ją przeprosili i nie przeszukali, ani samochodu, ani jej torebki. W ciemnym, przesiąkniętym zapachem moczu i penicyliny szpitalnym korytarzu część kobiet siedziała, trzymając dzieci na kolanach, inne stały z dziećmi na biodrach, a ich paplanina mieszała się z płaczem dzieci. Olanna pamiętała doktora Nwałę ze ślubu. Zwróciła na niego uwagę dopiero po bombardowaniu, kiedy powiedział: „Ubrudzi sobie pani suknię błotem” i pomógł jej wstać, wciąż zawiniętej w koszulę Okeomy.

Powiedziała pielęgniarce, że jest dawną znajomą pana doktora.

– To sprawa niecierpiąca zwłoki – oświadczyła, starając się mówić z wzorowym angielskim akcentem i wysoko trzymać głowę. Pielęgniarka natychmiast wprowadziła ją do gabinetu. Jedna z siedzących na korytarzu kobiet zaklęła: „Tufiakwa! My tu od świtu czekamy! To dlatego, że nie mówimy przez nos jak biali?”.

Doktor Nwała podniósł swoje smukłe ciało z fotela i podszedł podać jej rękę.

– Olanna... – powiedział, patrząc jej w oczy.

– Jak się pan ma, doktorze?

– Jakoś sobie radzimy – odparł i poklepał Dzidzię po ramieniu. – A co u pani?

– W porządku. W zeszłym tygodniu odwiedził nas Okeoma.

– Tak, do mnie też zajrzał na jeden dzień. – Chociaż patrzył na nią, miała wrażenie, że jej nie słucha, jakby go tu nie było. Sprawiał wrażenie zagubionego.

– Dzisiaj od kilku dni mi kaszle – powiedział głośno Olanna.

– Tak, zobaczmy. – Odwrócił się do Dzidzi. Przyłożył stetoskop do piersi dziecka i wymamrotał: „Ndo”, słysząc jej kaszel.

Kiedy podszedł do szafki i zaczął przeglądać buteleczki i pudełka z lekarami, Olannie żal się go zrobiło, choć sama nie wiedziała dlaczego. Zbyt dużo czasu zajęło mu przeglądanie zbyt niewielu rzeczy.

– Dam pani syrop na kaszel, ale jej potrzebny jest antybiotyk, obawiam się jednak, że już nam się skończył – powiedział, ponownie patrząc na nią w ten dziwny sposób, który jakby spajał ich spojrzenia. Na jego twarzy malował się wyraz przygnębionego znużenia. Olanna pomyślała, czy ostatnio nie utracił kogoś bardzo bliskiego. – Wypiszę receptę i może pani spróbować skorzystać z usług kogoś, kto trudni się handlem, ale oczywiście musi to być ktoś godny zaufania.

– Oczywiście – powtórzyła Olanna. – Mam znajomą, panią Muokelu, która mogłaby pomóc.

– Doskonale.

– Proszę zaglądnąć do nas, gdy będzie miał pan trochę czasu – powiedziała Olanna, podnosząc się.

– Tak. – Wziął jej dłoń w swoją rękę, chyba nieco zbyt długo ją przytrzymał.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Za co? Ja niewiele mogę. – Wskazał na drzwi i Olanna zrozumiała, że ma na myśli czekające na zewnątrz kobiety. Wychodząc, spojrzała na prawie pustą szafkę z lekarami.

Olanna przebiegła przez rynek, zmierzając rano do szkoły podstawowej w Akwakumie. Zawsze tak robiła na otwartej przestrzeni: biegła, dopóki nie znalazła się w gęstym cieniu drzew, które mogły zapewnić dobrą osłonę na wypadek nalotu. Wokół drzewa mangowego pod szkołą stało kilkoro dzieci, które rzucały kamieniami w owoce. Krzyknęła: „Do klasy, osiso!”, a one na chwilę rozbiegły się, żeby zaraz wrócić i dalej celować do owoców mango. Usłyszała głośny okrzyk radości, kiedy owoc spadł na ziemię, po czym podniesione głosy kłójące się, komu udało się strącić owoc.

Pani Muokelu stała przed swoją klasą i bawiła się dzwonkiem. Widząc gę-

ste czarne włosy na jej ramionach i nogach, meszek nad górną wargą, pozwijane kosmyki na podbródku, a także krótki umięśnione kończyny, Olanna zastanawiała się często, czy przypadkiem dla pani Muokelu nie byłoby lepiej urodzić się mężczyzną.

– Droga siostrze, nie wiesz może, gdzie mogłabym kupić antybiotyki? – zapytała Olanna, kiedy już się uściskały. – Dzidzia kaszle, a w szpitalu nic nie mieli.

Pani Muokelu przez chwilę coś sobie nuciła na znak, że się zastanawia. Na jej obszernej tunice boubou, którą nosiła codziennie, pysznił się wizerunek twarzy Jego Ekscelencji. Często powtarzała, że nie włoży nic innego, dopóki Biafra nie zostanie ostatecznie uznana przez świat.

– Każdy może sprzedawać lekarstwa, ale kto to może wiedzieć, czy gdzieś na zapleczu nie mieszają kredy i nie nazywają tego nivaquiną – powiedziała. – Daj mi pieniądze, a ja wybiorę się do mamy Onitshy. To osoba wiarygodna. Sprzeda ci brudne gacie Gowona, jeśli tylko odpowiednio jej zapłacisz.

– Niech sobie zatrzyma te gacie, nam wystarczy lekarstwo. – Olanna śmiała się.

Pani Muokelu uśmiechnęła się i podniosła dzwonek.

– Wczoraj miałam widzenie – powiedziała.

Boubou była zdecydowanie za długa na jej krótkie ciało, ciągnęła się za nią po ziemi i Olanna obawiała się, że lada moment kobieta potknie się o nią i upadnie.

– Jakie widzenie? – spytała. Pani Muokelu nieustannie miała jakieś widzenia. W ostatnim oglądała Ojukwu, jak osobiście dowodził bitwą w sektorze Ogoja, co rzekomo miało oznaczać, że wróg został tam całkowicie starty z powierzchni ziemi.

– Wojownicy z Abiriby za pomocą tradycyjnych łuków i strzał wykończyli barbarzyńców w sektorze Calabar. I makwa, idące do strumienia dzieci chodziły po ich kościach.

– Niesamowite – rzekła Olanna, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

– A to oznacza, że Calabar nigdy nie upadnie – oświadczyła pani Muokelu i zadzwoniła dzwonkiem.

Olanna obserwowała szybkie ruchy jej męskiego ramienia. Naprawdę nie miały ze sobą nic wspólnego, ona i ta niedouczona nauczycielka szkoły podstawowej z Eziowelle, która wierzyła w wizje. A jednak pani Muokelu zawsze sprawiała wrażenie dobrej znajomej. I to nie dlatego, że zaplatała włosy

w warkoczyki, razem chodziły na zebrania Kobiecej Służby Ochotniczej i uczyła Olanę, jak konserwować warzywa, ale dlatego, że emanowała jakąś odwagą, odwagą, która Olannie przypominała Kainene.

Tego wieczoru kiedy pani Muokelu przyniosła zawinięte w gazetę kapsułki antybiotyku, Olanna poprosiła ją do środka i pokazała jej zdjęcie Kainene, na którym jej siostra z papierosem w ustach siedzi przy basenie.

– To moja siostra bliźniaczka. Mieszka w Port Harcourt.

– Bliźniaczka! – wykrzyknęła pani Muokelu, gładząc palcami wisiołek z plastikową połówką żółtego słońca. – Cudom nigdy nie ma końca. Nie wiedziałam, że jesteś bliźniaczką, a do tego, nekene, ona zupełnie cię nie przypomina.

– Mamy takie same usta – powiedziała Olanna.

Pani Muokelu ponownie spojrzała na fotografię i pokręciła głową.

– Ona w niczym cię nie przypomina – powtórzyła.

Po antybiotykach oczy Dzidzi pożółkły. Kaszel stał się mniej dokuczliwy, już nie był tak świszczący i nie dobywał się z głębi piersi, ale straciła apetyt. Przesuwała garri po talerzu i nie ruszała kleiku, który zastygał w wodnistą białą. Olanna wydała większość pieniędzy z koperty, żeby kupić od kobiety handlującej na tyłach wroga herbatniki i toffi w błyszczących papierkach, lecz Dzidzia ledwo je skosztowała. Brała Dzidzie na kolana i wmuszała w nią kawałki rozgniecionego jamsu, a kiedy miała dławiliła się i zaczynała płakać, również Olanna z trudem powstrzymywała łzy. Najbardziej obawiała się, że Dzidzia umrze. Ten rosnący strach nie odstępował jej, krył się we wszystkim, o czym myślała i co robiła. Odenigbo opuszczał zajęcia Korpusu Agitacyjnego i jak najwcześniej wracał do domu, a Olanna wiedziała, że również jego męczy jej strach. Nie rozmawiali jednak o tym, jakby wyrażenie obaw słowami mogło przybliżyć śmierć Dzidzi, aż do poranka, kiedy Olanna siedziała i patrzyła na śpiącą Dzidzie, a Odenigbo ubierał się do pracy. Pokój rozbrzmiewał głosem spikera Radia Biafra:

Te afrykańskie państwa padły ofiarą angloamerykańskiego imperialistycznego spisku, mającego na celu wykorzystanie rekomendacji komisji jako pretekstu dla masowego zbrojnego wsparcia swojego marionetkowego i stojącego na krawędzi upadku reżimu w Nigerii...

– Święta prawda! – powiedział Odenigbo, pospiesznie zapinając guziki u koszuli.

Dzidzia poruszyła się na łóżku. Twarzyczka jej wychudła, tak że z zapadniętymi policzkami i cienką skórą sprawiała wrażenie niesamowicie dorosłej. Olanna nie spuszczała z niej wzroku.

– Dzidzia nie przeżyje – powiedziała cicho.

Odenigbo przestał się ubierać i spojrzał na nią. Wyłączył radio, podszedł do niej i przycisnął jej głowę do swojego brzucha. A ponieważ nic nie powiedział, jego milczenie stanowiło potwierdzenie słów Olanny, że Dzidzia umrze. Odsunęła się od niego.

– To zupełnie normalne, że nie ma apetytu – rzekł w końcu. Jednak w jego głosie brakowało zwykłej krzepiącej pewności siebie.

– Spójrz tylko, jak bardzo straciła na wadze! – powiedziała Olanna.

– Nkem, już mniej kaszle, a apetyt jej wróci. – Zaczął czesać włosy.

Była na niego zła, że nie powiedział tego, co pragnęła usłyszeć, że nie uznał mocy przeznaczenia i nie zapewnił jej, że Dzidzia będzie zdrowa, miała mu za złe, że zachowuje się normalnie i dalej ubiera się do pracy. Jego całus przed wyjściem był szybki, w niczym nie przypominał zwyczajnego pocałunku, kiedy na długą chwilę przywierał do jej ust, i również to miała mu za złe. Łzy napłynęły jej do oczu. Pomyślała o Amali. Chociaż Amala nie kontaktowała się z nimi od tamtego dnia w szpitalu, Olanna zastanawiała się teraz, czy będzie musiała powiadomić Amalę, jeśli Dzidzia umrze.

Dzidzia ziewnęła i obudziła się.

– Dzień dobry, mamusiu Ola. – Nawet jej głosik był jakiś cieniutki.

– Kochanie, ezigbo nwa, jak się czujesz? – Olanna wzięła ją na ręce, przytuliła, dmuchnęła jej w szyję, z trudem powstrzymując łzy. Dzidzia sprawiała wrażenie tak drobnej, tak lekkiej. – Zjesz troszkę kleiku, malutka? A może chlebka? Co byś chciała?

Dzidzia pokręciła głową. Olanna właśnie próbowała miłymi słowami nakłonić ją do wypicia ovaltine, kiedy przybyła pani Muokelu z torbą ze splecionej rafii z pełnym satysfakcji uśmiechem.

– Przy Bishop Road otwarto centrum pomocy humanitarnej i dzisiaj z samego rana wybrałam się tam – powiedziała. – Niech Ugwu przyniesie miskę.

Nasypała trochę żółtego proszku do przyniesionej przez Ugwu miski.

– Co to jest? – spytała Olanna.

– Suszone żółtka jajek. – Pani Muokelu zwróciła się do Ugwu: – Usmaż to dla Dzidzi.

– Usmażyć?

– Masz jakieś problemy z uszami? Zmieszaj z wodą i usmaż, osiso! Podob-

no dzieci uwielbiają ten smak.

Ugwu spojrział na nią przeciągle i po chwili poszedł do kuchni. Suszone żółtka jajek usmażone w czerwonym oleju palmowym na talerzu wyglądały na rozmiękle i przybrały irytująco jaskrawe kolory. Dzidzia zjadła wszystko, do samego końca.

Centrum pomocy humanitarnej mieściło się na terenie dawnej pensji. Olan-
na starała się wyobrazić sobie, jak ten otoczony murami zarośnięty teren wy-
glądał przed wojną, panienki rankiem spieszenie podążające na lekcje i wie-
czorem przekradające się do bramy na spotkania z młodzieńcami z położonego
kawałek dalej państwowego college'u. Teraz, o świcie, brama była zamknięta.
Na zewnątrz zebrał się wielki tłum. Olanna stała w kolejce, czując się nie-
zręcznie pośród mężczyzn, kobiet i dzieci sprawiających wrażenie przyzwy-
czajonych do stania i czekania, aż porzewiała żelazna brama otworzy swoje
podwoje i będą mogli wejść do środka, żeby otrzymać jedzenie ofiarowane
przez nieznaną obcokrajowców. Czuła się zakłopotana. Miała wrażenie, że
robi coś niestosownego, nieetycznego, oczekując najedzenie ofiarowywane
za nic. Na terenie szkoły widziała przechodzących ludzi, stoły zastawione
workami z jedzeniem, tablice z napisem: ŚWIATOWA RADA KOŚCIOŁÓW.
Kilka kobiet z koszykami w rękach zaglądało przez bramę, mamrocząc coś
o tym, że pracownicy organizacji humanitarnej marnują tylko czas. Mężczyźni
rozmawiali między sobą; wyglądający na najstarszego z nich miał na głowie
czerwony kapelusz z wetkniętym piórkiem. Wyróżniał się wśród nich jakiś
młodzieńczy głos, wysoki, bełkoczący coś niewyraźnie jak dziecko uczące się
mówić.

– Cierpi na poważną nerwicę frontową – szepnęła pani Muokelu, jakby
Olanna o tym nie wiedziała. Pani Muokelu odezwała się tylko raz. Powoli
przeciskała się pod samą bramę, co chwilę szturchając Olanę, żeby szła
za nią. Ktoś stojący za nimi zaczął opowieść o zwycięstwie Biafrańczyków:

– Mówię wam, wszyscy żołnierze Hausa odwrócili się i uciekli na widok
czegoś, co ich przerastało...

Głos zaniknął, kiedy w ich stronę ruszył mężczyzna za bramą. Miał na so-
bie koszulkę z czarnym napisem KRAJ WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA, luźno
zwisającą na szczupłym ciele, i niósł jakiś plik papierów. Kroczył z ważną
miną, z wyprostowanymi barkami. Był tu nadzorcą.

– Proszę o spokój! – powiedział i otworzył bramę.

Gwałtowny szturm tłumy zupełnie zaskoczył Olanę. Potrącana ze wszyst-

kich stron, zaczęła chwiać się na nogach. Miała wrażenie, że ci wszyscy ludzie umyślnie zgodnym ruchem odsuwają ją na bok, ponieważ nie należy do nich. Stojący obok starszy mężczyzna wbił jej łokieć pod żebra, rzucając się w kierunku bramy. Pani Muokelu była już z przodu, gnała do jednego ze stołów. Starzec w kapeluszu z piórkiem przewrócił się, szybko się pozbierał i kuśtykając, potruchtał do kolejki. Olanę zdumiało również zachowanie członków straży ochotniczej, którzy chłostali tłum długimi pejcami i krzyczeli: „Spokój! Spokój!”, a także srogi wyraz twarzy kobiet za stołami, nachylających się i napełniających podsuwane im worki, a potem mówiących: „Tak! Następny proszę!”.

– Stań tam! – powiedziała pani Muokelu, kiedy Olanna chciała zająć miejsce kilka osób za nią. – Tam jest kolejka do żółtek! Stań tam! Tutaj dają sztokfisz.

Olanna stanęła we wskazanej kolejce i już po chwili musiała się powstrzymać, by nie odepchnąć kobiety, która starała się ją wypchnąć. Przepuściła ją przed siebie. Czuła się skrępowana, że stoi w kolejce, by żebrać o jedzenie, i poniżona. Skrzyżowała ręce na piersiach, po chwili opuściła je wzdłuż ciała i ponownie skrzyżowała. Kiedy była już blisko czoła kolejki, zauważyła, że sypany do worków i misek proszek jest biały, a nie żółty. To nie było żółtko, tylko mąka kukurydziana. Żółtko wydawano w następnej kolejce. Olanna pospiesznie ustawiła się w ogonku, ale w tym momencie kobieta rozdająca żółtko wstała i powiedziała:

– Żółtko się skończyło! O gwuła!

Olanna poczuła w piersiach narastające przerażenie. Pobiegnęła za kobietą.

– Przepraszam bardzo... – powiedziała.

– O co chodzi? – zapytała kobieta. Stojący w pobliżu nadzorca odwrócił się i spojrzał na Olanę.

– Mam chore małe dziecko... – zaczęła Olanna.

Kobieta przerwała jej.

– Proszę stanąć do tej kolejki po mleko.

– Nie, nie, ona niczego nie chce jeść, ale jadła te żółtka. – Olanna chwyciła rękę tej kobiety. – Biko, proszę, bardzo potrzebuję tych żółtek.

Kobieta wyrwała rękę i pospiesznie schowała się do budynku, zatraskując drzwi za sobą. Olanna stała w miejscu. Niespuszczający z niej wzroku nadzorca powachlował się trzymanym plikiem papierów i powiedział:

– Ehe! Ja panią znam.

Ani jego łysa głowa, ani porośnięta brodą twarz nie wydawały się jej znajome. Olanna odwróciła się z zamiarem odejścia, przekonana, że to jeden

z tych mężczyzn, którzy chcąc się do niej zbliżyć, udają, że wcześniej ją znali.

– Już panią widziałem – powiedział. Podszedł bliżej, tym razem uśmiechając się, jednak nie lubieżnie, jak się spodziewała, jego szczerą twarz wyrażała autentyczną radość. – Kilka lat temu na lotnisku w Enugu. Byłem tam powitać brata wracającego z granicy. Pani rozmawiała z moją matką. I kasiri ya obi. Pani ją uspakajała, kiedy samolot wylądował i nie zatrzymał się od razu.

Olanna jak przez mgłę pamiętała ten dzień na lotnisku. To musiało być jakieś siedem lat temu. Przypomniała sobie jego akcent rodem z buszu i to jego nerwowe podniecenie, a także że wyglądał na starszego niż w tej chwili.

– To pan? – zapytała. – Ale jak pan mnie rozpoznał?

– Czy można zapomnieć taką twarz? Moja matka często powtarzała opowieść o pięknej kobiecie, która trzymała ją za rękę. Cała nasza rodzina zna tę historię. Gdy tylko ktoś wspomina o powrocie mojego brata, ona ją opowiada.

– A co u pańskiego brata?

Duma rozpromieniła jego twarz.

– Ma ważne stanowisko w biurze zarządu. To on załatwił mi pracę w pomocy humanitarnej.

Olanna natychmiast pomyślała, że ten człowiek mógłby jej pomóc zdobyć trochę zółtka, lecz powiedziała tylko:

– A mama ma się dobrze?

– Bardzo dobrze. Jest w Orlu, w domu mojego brata. Bardzo się rozchorowała, gdy moja siostra długo nie wracała z Zarii, wszyscy już myśleliśmy, że te bydłaki zrobiły jej to co innym, ale siostra w końcu wróciła. Miała przyjaciół wśród Hausów i oni jej pomogli. A mama wyzdrowiała. Ucieszy się, kiedy jej powiem, że panią spotkałem.

Urwał na chwilę, by rzucić okiem na jeden ze stołów z żywnością, przy którym klóciły się dwie kobiety, pierwsza mówiła: „Mówię ci, że to mój sztokfisz”, a druga odpowiedziała: „Ngwanu, i tak obie dzisiaj pomrzemy”.

Ponownie odwrócił się do Olanny.

– Muszę tam podejść i sprawdzić, co się dzieje. Ale proszę poczekać przy bramie. Przyślę kogoś z zółtkiem.

– Dziękuję. – Choć Olanna z ulgą przyjęła jego propozycję, czuła się niezręcznie po tej rozmowie. Przymknęła się przy bramie, czując się jak złodziej.

– Przesłał mnie do pani Okoromadu. – Olanna o mało nie podskoczyła, kiedy usiadła przy niej młoda kobieta, która wsunęła jej w dłoń jakąś torbę i natychmiast odeszła na teren szkoły.

– Proszę mu podziękować! – zawołała za nią Olanna. Jeśli nawet kobieta

ją usłyszała, nie odwróciła się. Ciężar torby dodawał jej otuchy, kiedy czekała na panią Muokelu, a potem, obserwując, jak Dzidzia zjada wszystko do końca i na talerzu zostaje tylko tłuszcz z oleju palmowego, zastanawiała się, jak Dzidzia może coś takiego jeść i nie skarżyć się na wstrętny plastikowy smak suszonego żółtka.

Kiedy następnym razem poszła do centrum pomocy humanitarnej, Okoromadu rozmawiał z tłumem przed bramą. Niektóre z kobiet trzymały pod pachą zrolowane maty; ostatnią noc spędziły pod bramą.

– Dzisiaj nic dla was nie mamy. Ciężarówka wioząca dostawę z Awomamy została obrabowana po drodze – powiedział wyważonym tonem polityka zwracającego się do swoich popleczników. Olanna obserwowała go. Zauważyła, że najwyraźniej podoba mu się władza, jaką daje wiedza, czy pewna grupa ludzi będzie jeść czy nie.

– Dostajemy eskortę wojskową, ale sami żołnierze nas okradają. Organizują blokady na drogach i wszystko zabierają z ciężarówek, a nawet biją kierowców. Przyjdźcie w poniedziałek, może centrum będzie otwarte.

Jakaś kobieta podeszła do niego szybkim krokiem i wepchnęła mu w ręce swoje niemowlę.

– W takim razie weź go sobie! Karm go, aż otworzycie centrum!

– Zaczęła odchodzić. Dziecko było wychudzone, chore na żółtaczkę i wrzeszczało wniebogłosy.

– Bia nwanyi! Kobieto, wracaj! – Okoromadu trzymał niemowlę na wyciągniętych rękach jak najdalej od siebie.

Inne kobiety w tłumie zaczęły łajać matkę: „Odrzucasz własne dziecko? Uji anaghi atu gi? Czy ty się Boga nie boisz?”, ale dopiero pani Muokelu podeszła, zabrała dziecko od Okoromadu i włożyła w ręce matki.

– Trzymaj swoje dziecko – powiedziała. – To nie jego wina, że dzisiaj nie ma jedzenia.

Tłum się rozproszył. Olanna i pani Muokelu odeszły wolnym krokiem.

– Skąd mamy wiedzieć, czy rzeczywiście żołnierze obrabowali im ciężarówkę? – rzekła pani Muokelu. – Kto wie, ile oni sami wzięli dla siebie, żeby później sprzedać? Nigdy nie dostajemy tu soli, bo całą sól zatrzymują na handel.

Olanna myślała o tym, w jaki sposób pani Muokelu zwróciła dziecko matce.

– Przypominasz mi moją siostrę – powiedziała.

– Niby dlaczego?

– Jest bardzo silna. Nie boi się.

– Na tym zdjęciu, które mi pokazałaś, paliła papierosa. Jak pierwsza lepsza prostytutka.

Olanna zatrzymała się i popatrzyła na panią Muokelu.

– Ja bynajmniej nie chcę powiedzieć, że ona jest prostytutką – pospieszenie dodała pani Muokelu. – Chcę tylko powiedzieć, że nie powinna palić, bo kobiety, które palą, są prostytutkami.

Olanna spojrzała na nią i dostrzegła jakąś wrogość w jej zaroście i owłosionych rękach. Przyspieszyła kroku i w milczeniu szła przed panią Muokelu, a kiedy skręcała w swoją ulicę, nie pożegnała się. Dzidzia siedziała na dworze z Ugwu.

– Mamusia Ola!

Olanna objęła ją i przyglądała jej włosy. Trzymając ją za rękę, Dzidzia podniosła głowę i spojrzała na nią.

– Mamusiu Ola, przyniosłaś zółtko?

– Nie, kochanie. Ale niedługo przyniosę – obiecała.

– Dzień dobry, mah. Nic pani nie przyniosła? – spytał Ugwu.

– Chyba widzisz, że mam pusty koszyk? – warknęła Olanna. – Ślepy jesteś?

W poniedziałek poszła sama do centrum pomocy humanitarnej. Pani Muokelu nie przyszła do niej przed świtem, nie było jej też pośród tłumu. Brama była zamknięta, w środku nie było nikogo. Czekala tam przez godzinę, aż tłum zaczął się rozchodzić. We wtorek brama nadal była zamknięta. W środę na bramie pojawiła się nowa kłódka. Brama otworzyła się dopiero w sobotę i Olanna ku swemu zaskoczeniu skwapliwie rzuciła się wraz z tłumem do środka, zwinnie przemykała od jednej kolejki do drugiej, uchylała się przed trzcinami straży ochotniczej, odtrącała ludzi, którzy ją popychali. Miała już odejść, trzymając małe torebki mąki kukurydzianej i zółtka oraz dwa kawałki sztokfisa, kiedy nadszedł Okoromadu.

Pomachał do niej.

– Piękna pani. Nwanyi oma! – powiedział. Nadal nie wiedział, jak ona się nazywa. Podszedł, wsunął jej do koszyka puszkę peklowanej wołowiny i jakby nigdy nic oddalił się szybkim krokiem. Olanna spojrzała na długą czerwoną puszkę i o mało nie roześmiała się na głos, tak wielką radość sprawiła jej ta niespodzianka. Wyjęła puszkę, oglądnęła ją, przesunęła dłonią po chłodnym metalu i podniósłszy wzrok, dostrzegła patrzącego na nią żołnierza, któiy wy-

kazywał wyraźne objawy nerwicy frontowej. Patrzył na nią zupełnie otwarcie, nawet nie próbował kryć się ze swoim spojrzeniem. Włożyła peklowaną wołowinę z powrotem do koszyka i przykryła ją workiem. Ucieszyło ją, że nie było z nią pani Muokelu i nie musi się tym z nią podzielić. Poprosi Ugwu, żeby udusił mięso z jarzynami. Trochę zostawi na kanapki, dzięki czemu i ona, i Odenigbo, i Dzidzia będą mogli mieć prawdziwą angielską kolację z kanapkami z peklowanej wołowiny.

Zauważyła, że znerwicowany żołnierz wyszedł za nią za bramę. Przyspieszyła kroku, idąc po zakurzonej ziemi prowadzącej do głównej drogi, ale nie minęła chwila, a już otoczyło ją pięciu żołnierzy w obszarpanych mundurach. Mówili coś podnieconymi głosami, pokazywali na jej koszyk, chaotycznie gestykulując i prawie krzycząc, a Olanna rozróżniała tylko pojedyncze słowa.

– Ciociu!... Siostro!... Dawaj to tu!... Głód zabija wszystkich naszych!

Olanna kurczowo trzymała koszyk. Miała wrażenie, że zaraz rozpłacze się jak dziecko.

– Zostawcie mnie! Słyszycie? Idźcie sobie!

Przez moment wyglądali na zaskoczonych jej wybuchem i nie ruszali się z miejsca. Ale już po chwili zaczęli do niej podchodzić, wszyscy naraz, jakby prowadzeni jakimś wewnętrznym głosem. Zbliżali się niebezpiecznie. Gotowi byli zrobić wszystko; tymi ludźmi, ich znieczulonymi umysłami owładnęła desperowana samowola. Obok przestrachu Olanę ogarnęła wściekłość, zażarta i dodająca jej odwagi, i wyobrażała sobie, jak z nimi walczy, dusi ich i zabija. Peklowana wołowina należała do niej. Wyłącznie do niej. Cofnęła się kilka kroków. W jednej chwili, trwającej tak krótko, że zdała sobie z tego sprawę dopiero po fakcie, żołnierz w niebieskim berecie złapał za koszyk, porwał puszkę z wołowiną i uciekł. Reszta żołnierzy ruszyła za nim. Tylko ostatni stał i patrzył na nią z otwartymi ustami, lecz po chwili on również rzucił się do biegu, choć w przeciwnym kierunku niż pozostali. Koszyk leżał na ziemi. Olanna bezgłośnie płacząc nie ruszała się z miejsca. Nie było jej dane nawet powąchać tej wołowiny. Po chwili podniosła koszyk, strzepnęła piasek z worka z mąką i poszła do domu.

Olanna i pani Muokelu przez prawie dwa tygodnie schodziły sobie z drogi w szkole, więc kiedy pewnego popołudnia wróciła do domu, ze zdziwieniem zauważyła panią Muokelu siedzącą przed jej domem i trzymającą metalowe wiadro pełne szarego popiołu z drewna.

Pani Muokelu podniosła się.

– Przyszłam cię nauczyć, jak się robi mydło. Czy ty wiesz, ile teraz kosztuje kostka normalnego mydła?

Olanna spojrzała na wytartą bawełnianą tunikę boubou, z której spozierała na nią złowroga twarz Jego Ekscelencji, i zrozumiała, że ta nieproszona lekcja ma być formą przeprosin. Podniosła wiadro z popiołem. Poszła przodem na tyły domu, a kiedy pani Muokelu wyjaśniła jej i zaprezentowała, jak należy robić mydło, schowała wiadro obok sterty betonowych pustaków.

Gdy później opowiedziała o tym Odenigbowi, tylko pokręcił głową. Siedzieli pod krytym strzechą daszkiem na werandzie, na umieszczonej pod ścianą drewnianej ławce.

– Nie musiała cię uczyć, jak się robi mydło. Jakoś nie wyobrażam sobie, żebyś miała robić mydło.

– Myślisz, że nie będę umiała?

– Ona po prostu powinna cię przeprosić.

– Wydaje mi się, że zbyt impulsywnie zareagowałam, bo chodziło o Kainene. – Olanna poprawiła się na ławce. – Ciekawa jestem, czy Kainene dostała moje listy.

Odenigbo nic nie odpowiedział. Wziął ją za rękę, a ona poczuła wdzięczność, że pewnych rzeczy nie musi mu tłumaczyć.

– Ile włosów ma pani Muokelu na piersiach? – zapytał. – Wiesz może?

Olanna nie wiedziała, które z nich roześmiało się pierwsze, lecz nagle oboje się śmiali, rehotliwie, aż o mało nie spadli z ławki. Nagle i inne rzeczy stały się zabawne. Kiedy Odenigbo powiedział, że na niebie nie ma ani jednej chmurki, Olanna odparła, że to idealna pogoda dla bombowców, i oboje wybuchnęli śmiechem. Ledwo zdążyli odpowiedzieć na pozdrowienie małego chłopczyka, który przechodził obok w krótkich spodenkach tak podartych, że przez wielkie dziury wyzierała wysuszona skóra pośladków, a już wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Ich twarze wciąż jeszcze były rozpromienione, a dłonie nadal zaciskały się na ławce, kiedy przed domem zjawił się Specjalny Juliusz. Jego bluza mundurowa ze stójką skrzyła się od cekinów.

– Przyniosłem najlepsze wino palmowe w Umuahii! Niech Ugwu poda szkło – powiedział, stawiając mały kanister. Aż kipiał od optymizmu bijącego także od jego ekstrawaganckiego stroju, jakby nie istniały żadne problemy, których nie potrafiłby rozwiązać. Kiedy Ugwu przyniósł szklanki, Specjalny Juliusz rzekł: – Słyszeliście, że Harold Wilson jest w Lagos? Przywozi brytyjskie wojsko, żeby nas wykończyli. Podobno zabrał ze sobą dwa bataliony.

– Usiądź spokojnie, mój przyjacielu, i przestań pleść bzdury – odparł Ode-

nigbo.

Specjalny Juliusz roześmiał się i głośno siorbnął wino.

– Plotę bzdury, okwa ya? Gdzie macie radio? Może Lagos nie rozgłosi na cały świat, że brytyjski premier tu przyjechał pomóc im wykończyć nas, ale ci szaleńcy z Kaduny mogą to potwierdzić.

Dzidia wyszła na werandę.

– Dzień dobry, wujku Juliuszu.

– Dziewczyneczko, dziewczyneczko. Jak tam twój kaszel? Już lepiej? – Zanurzył palec w winie palmowym i wsunął jej do ust. – To powinno pomóc na kaszel.

Dzidia oblizwała wargi, najwyraźniej zadowolona.

– Juliuszu! – odezwała się Olanna.

Specjalny Juliusz machnął nonszalancko ręką.

– Nie należy bagatelizować mocy tkwiącej w alkoholu.

– Dzidziu, chodź tu i usiądź ze mną – powiedziała Olanna. Sukienka Dzidzi była postrzępiona od długiego noszenia. Olanna posadziła sobie dziecko na kolanach i przytuliła. Przynajmniej nie kaszle już tak często; i zaczęła jeść.

Odenigbo wyciągnął radio spod ławki. Powietrze przeszył przenikliwy dźwięk i w pierwszej chwili Olanna myślała, że dochodzi z radioodbiornika, dopóki się nie zorientowała, że to alarm przeciwlotniczy. Znieruchomiała. W sąsiednim domu ktoś krzyknął: „Nieprzyjacielski samolot!” i w tym samym momencie Specjalny Juliusz zawołał: „Kryć się!”, dając susa przez werandę i przewracając wino palmowe. Wokół biegli sąsiedzi, krzycząc coś, czego Olanna nie potrafiła zrozumieć, ponieważ w głowę wwiercał się jej uporczywy ostry dźwięk. Poślizgnęła się na winie i przykłęka. Odenigbo podniósł ją i chwyciwszy Dzidię, rzucił się do biegu. Rozpoczął się ostrzał – z nieba posypały się kule – dokładnie w tym momencie, gdy Odenigbo szeroko uchylił cynkowaną blachę, żeby wszyscy mogli wczougać się do schronu. Odenigbo wszedł ostatni. Ugwu dzierżył w dłoni łyżkę usmarowaną zupą. Olanna tłukła świerszcze, czuła pod palcami ich lepkie, lekko wilgotne odwłoki, nie przestała uderzać się po rękach i nogach, nawet kiedy żaden już na niej nie siedział. Pierwszy wybuch zabrzmiał gdzieś w oddali. Po nim nastąpiły następne, bliższe, głośniejsze, i ziemia się zatrzęsa. Wokół rozległy się krzyki: „Panie Jezu! Panie Jezu!”. Czuła ból w pęcherzu, który był tak pełny, jakby zaraz miał się rozerwać i zamiast moczu wypuścić z siebie przekręcone słowa szeptanej przez nią modlitwy. Obok jakaś skulona kobieta trzymała dziecko, małego chłopczyka młodszego od Dzidzi. Choć w schronie panował półmrok, Olan-

na dostrzegła na całym ciele dziecka białe łuszczące się ślady grzybicy. Ziemia zadrżała od kolejnego wybuchu. I nagle dźwięki ucichły. Powietrze było tak nieruchome, że kiedy wychodzili ze schronu, słyszeli w oddali krakanie ptaków. Powietrze wypełniał zapach spalenizny.

– Nasz ostrzał przeciwlotniczy był wspaniały! O di egwu! – powiedział ktoś.

– Biafra zwycięży! – Specjalny Juliusz zaintonował pieśń i po chwili większość ludzi na ulicy zebrała się, żeby się przyłączyć do śpiewu.

Biafra zwycięży.

Wóz opancerzony, maszyna strzelająca,

Myśliwiec i bombowiec,

Ha enweghi ike imeri Biafra!

Olanna patrzyła na śpiewającego gromko Odenigba i chociaż sama też chciała śpiewać, słowa zamierały jej w ustach. Czuła ostry ból w kolanie, wzięła więc tylko Dzidzie za rękę i poszła do domu.

Właśnie zajmowała się wieczorną kąpielą Dzidzi, kiedy ponownie rozległa się syrena alarmu, więc chwyciła gołą Dzidzie i wybiegła z budynku gospodarczego. Dzidzia o mało nie wyslizgnęła jej się z rąk. I z góry, i z dołu, i ze wszystkich stron narastał błyskawicznie gwałtowny iyk samolotów i ostre ta-ta-ta ognia przeciwlotniczego, aż zęby jej dzwoniły. Wsunęła się w głąb schronu, nie zważając na świerszcze.

– Gdzie Odenigbo? – zapytała po chwili, chwytając Ugwu za ramię. – Gdzie twój pan?

– Jest tutaj, mah – odparł Ugwu, rozglądając się.

– Odenigbo! – krzyknęła Olanna. Ale nie odpowiedział. Nie przypominała sobie, żeby widziała go wchodzącego do schronu. Wciąż musiał być gdzieś tam, na górze. Rozległ się wybuch i aż zadzwoniło jej w uszach – była przekonana, że coś tam jej się poluzowało i gdy przechylił głowę na bok, z ucha wypadnie coś twardo-miękkiego, jakby chrząstka. Zbliżyła się do wyjścia ze schronu. Słyszała za sobą głos Ugwu: „Mah?... Mah?...” Któraś sąsiadka powiedziała: „Proszę wracać! Dokąd pani idzie? Ebe ka I na-eje?”, lecz Olanna zignorowała ich i wygramoliła się ze schronu.

Oślepiający blask słońca poraził ją i zrobiło jej się słabo. Rzuciła się do biegu, czując bolesne bicie serca w piersiach i krzycząc: „Odenigbo! Odenigbo!”, aż w końcu go dostrzegła pochylonego nad kimś leżącym na ziemi.

Popatrzyła na jego obnażoną owłosioną klatkę piersiową, na świeży zarost na brodzie, na podarte klapki. I nagle jego śmiertelność – ich śmiertelność – dotarła do niej i ścisnęła ją za gardło alarmującym uściskiem. Objęła go mocno. Niedaleko płonął dom.

– Nkem, wszystko w porządku – odezwał się Odenigbo. – Postrzelili go, ale to chyba tylko powierzchowna rana. – Odsunął ją i ponownie zajął się mężczyzną, obwiązując mu rękę własną koszulą.

Rankiem niebo przypominało spokojne morze. Olanna powiedziała Odenigbowi, żeby nie szedł do biura zarządu, bo ona też nie będzie uczyć i cały dzień spędzą w schronie.

Roześmiał się na jej słowa.

– Nie bądź śmieszna.

– Nikt nie pośle dzieci do szkoły – powiedziała.

– To co w takim razie zamierzasz robić? – Mówił tonem normalnym, podobnie jak normalnie chrapał przez całą noc, podczas gdy ona nie mogła zasnąć i leżała, pocąc się i wyobrażając sobie dźwięk bombardowania.

– Nie wiem.

Pocałował ją.

– Jeśli usłyszysz alarm, po prostu ukryj się w schronie. Nic się nie stanie. Mogę dziś wrócić później, jeśli pojedziemy szkolić ludzi do Mbaise.

W pierwszym momencie jego beztroskie podejście zdenerwowało ją, ale już po chwili podniosło na duchu. Wierzyła w jego słowa, chociaż tylko dopóki był przy niej. Po jego wyjściu poczuła się bezbronna, wystawiona na atak. Nie poszła się wykapać. Obawiała się wyjść do latryny. Bała się usiąść, bo mogłaby przysnąć i dźwięk syreny zastałby ją nieprzygotowaną. Piła jedną szklankę wody po drugiej, aż brzuch jej obrzmiał, mimo to miała wrażenie, jakby z jej ust odessana została cała ślina i jakby lada moment miała się udławić suchym powietrzem.

– Dzisiaj zostaniemy w schronie – powiedziała do Ugwu.

– W schronie, mah?

– Tak, w schronie. Dobrze słyszałeś.

– Mah, ale nie możemy tak po prostu siedzieć w schronie.

– Czy ja mówię z wodą w ustach? Powiedziałam, że zostaniemy w schronie.

Ugwu wzruszył ramionami.

– Tak, mah. Mam zabrać jedzenie dla Dżidzi?

Nie odpowiedziała. Była gotowa dać mu w twarz, gdyby tylko się uśmiechnął, bo zauważyła na jego twarzy nieme rozbawienie wywołane myślą o zabieraniu talerza z kleikiem dla Dzidzi i wczolgiwaniu się do wilgotnej jamy w ziemi, żeby tam spędzić dzień.

– Przygotuj Dzidzię – poleciła i włączyła radio.

– Tak, mah – odrzekł Ugwu. – I nwere igwu. Dziś rano znalazłem w jej włosach jajeczka wszy.

– Co takiego?

– Wszy. Ale tylko dwa.

– Wszy?... Co ty wygadujesz?... Skąd Dzidzia miałaby mieć wszy? Przecież dbam, żeby była czysta. Dzidzia! Dzidzia!

Ustawiła Dzidzię przed sobą i zaczęła rozplatać jej warkoczyki, przegladając gęste włosy.

– To na pewno od tych brudnych sąsiadów, z którymi się bawisz, od tych brudnych sąsiadów... – Ręce jej drżały i szarpnęła za kosmyk włosów, starając się ich nie wypuścić. Dzidzia rozplakała się. – Nie ruszaj się! – nakazała Olanna.

Dzidzia wywinęła się jej, pobiegła do Ugwu i przystanęła, patrząc na Olanę zdumionym wzrokiem, jakby jej nie poznawała. Nagle ciszę wypełniły głośne dźwięki hymnu państwowego Biafry.

*Umiłowanej krainie wschodzącego słońca
Śluby złożyli jej bohaterscy synowie;
Bronić życia będziemy, do samego końca,
I serca chronić, by ich nie dosięgli wrogowie;
A jeśli przyjdzie oddać życie za nasze marzenia,
To umierajmy bez przestachu cienia...*

Wysłuchali do samego końca.

– Wyjdź z nią na dwór i zostańcie na werandzie, ale miej się na baczności – w końcu słabym głosem powiedziała Olanna do Ugwu.

– Nie będziemy znowu siedzieć w schronie?

– Po prostu zabierz ją na werandę.

– Tak, mah.

Olanna dostrajała radio; za wcześnie było jeszcze na relacje wojenne, na te płomienne monologi o wielkości Biafry, które tak rozpaczliwie pragnęła usłyszeć. W BBC podawano aktualne wiadomości o wojnie – do Nigerii

z propozycjami pokoju przybywali wysłannicy od papieża, z Organizacji Jedności Afrykańskiej, z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Bez specjalnego zainteresowania słuchała tych informacji i wyłączyła radio, kiedy jej uszu dobiegły dźwięki rozmowy, którą Ugwu z kimś prowadził. Wyszła z domu, chcąc zobaczyć, kto to może być. Zobaczyła panią Muokelu, która stała za Dzidzią i na powrót splatała rozwiązane przez Olanę warkoczyki. Włosy na jej ręce połykiwały, jakby użyła zbyt dużo oleju palmowego uzyskiwanego z nasion.

– Ty też nie poszłaś do szkoły? – zapytała Olanna.

– Wiedziałam, że rodzice nie puszcza dzieci z domu.

– A kto by puścił? Dlaczego stale nas bombardują?

– To w związku z przyjazdem Harolda Wilsona. – Pani Muokelu prychnęła.

– Chcą zrobić na nim wrażenie, żeby ściągnął tu brytyjską armię.

– To samo mówił Specjalny Juliusz, ale to przecież niemożliwe.

– Niemożliwe? – Pani Muokelu uśmiechnęła się, jakby Olanna nie miała pojęcia, o czym mówi. – A tak przy okazji, ten cały Specjalny Juliusz... wiesz, że on handluje sfałszowanymi dokumentami?

– Jest dostawcą sprzętu i usług dla wojska.

– Nie twierdę, że nie załatwia jakichś drobnych kontraktów dla wojska, tylko że handluje fałszywymi papierami. Jego brat jest dyrektorem i robią to razem. To przez nich dookoła pełno jest różnych oszustów, którzy posługują się fałszywymi dokumentami. – Pani Muokelu dokończyła splatać warkoczek i poklepała włosy dziewczynki. – Ten jego brat jest przestępcą. Podobno wszystkim mężczyznom w swojej rodzinie załatwił dokumenty zwalniające z wojska, wszystkim ze swojej umunna. A żebyś wiedziała, co wyprawia z tymi dziewczętami, które kręcą się po okolicy w poszukiwaniu podtatusiałych amantów!... Podobno bierze do swojej sypialni po pięć dziewczyn. Tuba! Tacy ludzie jak on muszą zostać straceni, kiedy Biafra stanie się pełnoprawnym państwem.

Olanna podskoczyła.

– Czy to był samolot? Czy to samolot?

– Samolot, kwa? – Pani Muokelu roześmiała się. – Ktoś zamyka drzwi w sąsiednim domu, a ty mówisz, że to samolot?

Olanna usiadła na podłodze i wyciągnęła nogi przed siebie. Czowała się wyczerpana ze strachu.

– Słyszałaś, że zestrzeliliśmy bombowiec w okolicy Ikot-Ekpene? – zapytała pani Muokelu.

– Nie, nie słyszałam.

– I zrobił to prosty cywil myśliwską strzelbą! Nie wiem, jak to jest, ale Nigeryjczycy są tak głupi, że jeśli ktoś zaczyna dla nich pracować, też chyba głupieje. Są zbyt głupi, żeby latać samolotami, które dała im Rosja i Wielka Brytania, więc ściągnęli tu białych ludzi, ale nawet ci biali nie potrafią trafić do celu. Ha! Połowa ich bomb w ogóle nie wybucha.

– Ta połowa eksplodujących wystarczy, żeby nas pozabijać – odrzekła Olanna.

Pani Muokelu mówiła dalej, jakby nie usłyszała.

– Podobno nasza ogbunigwe napędza im niezłego stracha. W Afikpo zabiła tylko kilkaset osób, ale cały batalion Nigeryjczyków wycofał się w przerażeniu. Jeszcze nigdy nie widzieli takiej broni. I nie wiedzą, co jeszcze dla nich szykujemy. – Zachichotała i pokręciła głową, szarpiąc za wisiołek w kształcie połówki żółtego słońca. – Gowon posłał ich, żeby zbombardowali targ w Awgu w samo popołudnie, kiedy kobiety tam handlowały. Nie pozwolił Czerwonemu Krzyżowi na dostarczanie nam żywności, w ogóle to wykluczył, kпам-kпам, bo w ten sposób zagłodzi nas na śmierć. Tylko że nie uda mu się to. Gdyby nas ktoś obsypywał karabinami i samolotami, jak w Nigerii, już dawno by się to skończy i wszyscy wróciliby do swoich domów. Ale my ich zwyciężymy. Bo czy Bóg śpi? Nie! – Pani Muokelu roześmiała się.

W tym momencie zawyła syrena. Olanna już od tak dawna oczekiwała jej ostrego dźwięku, że jeszcze zanim go usłyszała, poczuła na ciele proroczy dreszcz. Odwróciła się w stronę Dzidzi, lecz Ugwu zdążył już wziąć ją na ręce i rzucił się biegiem w kierunku schronu. Olanna słyszała w oddali dźwięk samolotów przypominający odgłos nadciągającej burzy, a chwilę później rozległy się pojedyncze ostre trzaski ognia przeciwlotniczego. Gdy już miała wczłogać się do schronu, podniosła wzrok i dostrzegła bombowce szybujące jak jastrzębie, lecące zaskakująco nisko przez kuliste obłoki otaczającego je szarego dymu.

Kiedy później wygrzebywali się ze schronu, ktoś powiedział:

– Trafili w szkołę podstawową!

– Ci poganie zbombardowali naszą szkołę! – odezwała się pani Muokelu.

– Patrzcie! Jeszcze jeden bombowiec! – odezwał się jakiś młodzieniec, śmiejąc się i pokazując na lecącego nad ich głowami sępa.

Przyłączyli się do tłumu zmierzającego do szkoły podstawowej w Akwakumie. Minęło ich dwóch mężczyzn idących w przeciwnym kierunku, niosących poczerńiałe ciało. Lej po bombie, tak wielki, że zmieściłaby się w nim ciężarówka, rozciął na dwie części drogę u wejścia do szkoły. Ze zmiażdżone-

go dachu nad klasą pozostała bezładna sterta drewna, metalu i kurzu. Olanna nie poznała swojego pokoju. Wyleciały wszystkie okna, ale ściany nadal stały. Tuż obok, na dworze, gdzie jej uczniowie bawili się w piasku, odłamek wydrążył elegancką dziurę w ziemi. I kiedy wraz z innymi zabrała się za wynoszenie kilku wartych jeszcze uratowania krzesel, myślała właśnie o tej dziurze: jak rozgrzany mięsożerny kawałek metalu mógł narysować w ziemi tak piękne koncentryczne pierścienie.

Syrena nie odezwała się wczesnym rankiem, więc kiedy znikąd pojawiło się wściekłe bach-bach-bach bombowców, Olanna rozpuszczająca mąkę zbożową, żeby zrobić Dzidzi kleik, wiedziała, że nadszedł czas. Ktoś zginie. A może wszyscy zginą. Kiedy kulila się w schronie, skubiąc ziemię i rozcierając ją między palcami w oczekiwaniu na eksplozję, sensowna wydawała się jej tylko śmierć. Bombardowanie stawało się coraz głośniejsze i bliższe. Ziemia dudniła. Olanna niczego nie czuła. Powoli traciła kontakt z rzeczywistością. Nastąpił kolejny wybuch i ziemia zadrżała, a jedno z nagich dzieci, raczkujące za świerszczami, roześmiało się. W pewnym momencie wybuchy ustały i otaczający ją ludzie zaczęli się poruszać. Gdyby ona umarła, gdyby Odenigbo, Dzidzia i Ugwu umarli, schron wciąż miałby zapach świeżo zaoranej ziemi, słońce wciąż wstawałoby, a świerszcze wciąż by podskakiwały. Wojna toczyłaby się dalej bez nich. Olanna wypuściła powietrze, kipiąc z wściekłości. Bo właśnie poczucie, że ona nic nie znaczy, pchało ją z jednej skrajności w drugą, od przerażenia do wściekłości. Nie, musi mieć jakieś znaczenie. Nie będzie już więcej bezsilnie egzystować w oczekiwaniu na śmierć. Dopóki Biafra nie zwycięży, ci barbarzyńcy nie będą już dyktować, jak ma żyć.

Pierwsza wygrzebała się ze schronu. Jakaś kobieta rzuciła się na ziemię obok ciała dziecka i zaczęła się tarzać w kurzu, krzycząc:

– Gowon, co ja ci zrobiłam? Gowon, olee ihe m mere gi?

Podeszło do niej kilka kobiet, pomogły jej wstać.

– Przestań płakać, już wystarczy – mówiły. – Musisz się zająć resztą swoich dzieci.

Olanna poszła za dom i zaczęła grzebać w metalowym wiadrze z popiołem. Zakaszłała, rozpalając ogień, gryzł ją dym idący z drewna.

Ugwu obserwował ją.

– Mah? Może ja to zrobię?

– Nie. – Rozpuściła popiół w misce zimnej wody, mieszając z taką siłą, że woda obryzgała jej nogi. Postawiła tłuszcz na ogniu, nie zwracając uwagi

na Ugwu. Musiał wyczuć gniew narastający w jej ciele i przyprawiający ją o zawroty głowy, bo w milczeniu wrócił do domu. Dochodzący z ulicy głos płaczącej kobiety co chwilę się wzmacniał, za każdym razem bardziej ochrypli i cieńszy. „Gowon, co ja ci zrobiłam? Gowon, olee ihe m mere gi?” Olanna wlała nieco oleju palmowego do wystudzonej mikstury i nieustannie mieszała, aż ramiona zeszywniały jej ze zmęczenia. I spływający jej spod pach pot, i przypływ energii, który przyspieszał bicie serca, i ta dziwna papka, jaka powstała po ostudzeniu, sprawiały jej niesamowitą rozkosz. A jednak się pieniło. Zrobiła mydło.

Następnego dnia w drodze do szkoły Olanna nie przebiegła przez plac. Ostrożność kojarzyła się jej teraz ze słabością i wiarołomnością. Szła krokiem mocnym i często spoglądała w czyste niebo w poszukiwaniu bombowców, gotowa zatrzymać się i zacząć ciskać w nie kamieniami i słowami, gdyby się pojawiły. Do szkoły przyszła mniej więcej jedna czwarta jej klasy. Uczyła dzieci o białym rękawie. Porozsiadały się na deskach, a Olanna w blasku słabego porannego słońca, wpływającego do pozbawionej dachu klasy, rozwinęła wykonaną z materiału flagę należącą do Odenigba i tłumaczyła, co oznaczają poszczególne symbole. Czerwień reprezentowała krew braci zamordowanych na Północy, czerń była znakiem żałoby po nich, zieleń oznaczała czekający Biafrę dobrobyt, wreszcie połówka żółtego słońca symbolizowała wspaniałą przyszłość. Nauczyła dzieci salutować ręką, jak Jego Ekscelencja, i poleciła im przerysować wykonane przez nią szkice dwóch przywódców: postać Jego Ekscelencji była krzepka, nakreślona podwójnymi liniami, a słabowite ciało Gowona liniami pojedynczymi.

Jej najbystrzejsza uczennica, Nkiruka, zacieniowała kontury twarzy i kilkanaście kreskami ołówka dorysowała twarzy Gowona grymas, a Jego Ekscelencji uśmiech.

– Chciałabym zabić wszystkich barbarzyńców, proszę pani – powiedziała, podchodząc, żeby oddać jej rysunek. Na jej twarzy malował się uśmiech nad wiek rozwiniętego dziecka, które zdaje sobie sprawę, że stosownie się odezwano.

Olanna popatrzyła na nią, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

– Nkiruko, idź na swoje miejsce i usiądź – rzekła w końcu.

Po powrocie do domu pierwsze, co powiedziała Odenigbowi, to jak banalnie w ustach dziecka brzmiało słowo „zabić” i jak wielkie poczucie winy w niej rozbudziło. Rozmawiali w sypialni, radio było przyciszone, z sąsied-

niego pokoju dochodził piskliwy śmiech Dzidzi.

– Nkem, ona w rzeczywistości nikogo nie chce zabić. Po prostu właśnie nauczyłaś ją patriotyzmu – powiedział Odenigbo, zdejmując buty.

– Sama nie wiem. – Jednak jego słowa, podobnie jak malująca się na jego twarzy duma, dodały jej odwagi. Przynajmniej raz podobało mu się, że mówiła z taką mocą o sprawie; jakby w końcu stała się równoprawnym uczestnikiem wysiłków na rzecz zwycięstwa w wojnie.

– Ludzie z Czerwonego Krzyża pamiętali dzisiaj o naszym zarządzie – powiedział i wskazał na niewielki karton, który przyniósł ze sobą.

Olanna otworzyła pudełko i układała na łóżku przysadziste puszki mleka skondensowanego, smukłą puszkę ovaltine i opakowanie soli. Wyglądały jak towary luksusowe. Dźwięczny głos w radiu informował, że waleczni biafrańscy żołnierze przeganiają barbarzyńców z okolic Abakaliki.

– Zorganizujmy przyjęcie – powiedziała.

– Przyjęcie?

– Małą kolację. Coś takiego, jak robiliśmy w Nsucce.

– Wkrótce wszystko się skończy, nkem, i będziemy mogli do woli organizować przyjęcia w wolnej Biafrze.

Podobało jej się, jak to powiedział: „W wolnej Biafrze”. Podniósłszy się, przycisnęła wargi do jego ust.

– Tak, ale możemy zorganizować sobie wojenne przyjęcie.

– Przecież mamy tyle, że ledwo dla nas wystarczy.

– Mamy aż nadto. – Wciąż przyciskała usta do jego warg i nagle jej słowa nabrały jakiegoś innego znaczenia, cofnęła się i jednym płynnym ruchem zdjęła sukienkę przez głowę. Rozpięła mu spodnie. Nie pozwoliła mu ich zdjąć. Odwróciła się plecami i oparłszy się o ścianę, wprowadziła go w siebie, podniecona jego zaskoczeniem, mocnym uściskiem jego dłoni na swoich biodrach. Zdawała sobie sprawę, że powinna być cicho, bo w drugim pokoju są Ugwu i Dzidzia, lecz nie potrafiła zapanować nad swoimi jękami, nad tą surową pierwotną rozkoszą, która napływała z każdą kolejną falą podniecenia, aż w końcu oboje stali oparci o ścianę, dysząc i chichocząc.

Ugwu nie cierpiał jedzenia z pomocy humanitarnej. Ryż był puszysty, zupełnie nie przypominał smukłych ziaren z Nsukki, mąka kukurydziana po zmieszaniu z gorącą wodą nigdy dobrze się nie rozrabiła, a mleko w proszku zawsze tworzyło odporne grudki na dnie filiżanek z herbatą. Właśnie z obrzydzeniem nabierał trochę suszonego żółtka. Gdy patrzył na ten nijaki proszek, z trudem potrafił uwierzyć, że pochodzi z jajka prawdziwej kury. Wsypał żółtko do przygotowanego ciasta i wymieszał. Na płonącym na dworze ogniu stał garnek do połowy wypełniony białym piaskiem; Ugwu jeszcze trochę poczeka, żeby się dobrze rozgrzał, a potem włożył ciasto do środka. Początkowo podchodził sceptycznie do tego przepisu, kiedy pani Muokelu po raz pierwszy pokazała Olanie tę metodę pieczenia; dostatecznie dobrze znał różne pomysły pani Muokelu – w końcu od niej pochodziło przygotowane przez Olanę mydło domowej roboty, czarnobrunatna breja kojarząca mu się z efektami biegunki dziecka. Ale pierwsze upieczone przez Olanę ciasto bardzo się udało; śmiała się i mówiła, że trudno nazywać ciastem tę mieszankę mąki, oleju palmowego i suszonych żółtek, lecz przynajmniej wykorzystali jakoś mąkę.

Ugwu był zły na Czerwony Krzyż; przecież mogli zapytać Biafrańczyków, jakie lubią jedzenie, a nie wysyłać tyle tej mdłej mąki. Kiedy otwarto nowe centrum pomocy humanitarnej, to, do którego Olanna chodziła z różańcem na szyi, bo pani Muokelu powiedziała, że ludzie z Caritasu są hojniejsi dla katolików, Ugwu miał nadzieję, że jedzenie się poprawi. Ale Olanna przyniosła tylko dobrze znane produkty, jeszcze bardziej słone suszone ryby, i z rozbawioną miną nuciła piosenkę śpiewaną przez kobiety w centrum:

*Caritas, dziękujemy,
Caritas si anyi taba okporoko
na kwashiorkor ga-ana.*

W te dni kiedy wracała z niczym, nie śpiewała. Siadała na werandzie i patrząc na kryty strzechą dach, mówiła:

– Pamiętasz, Ugwu, jak wylewaliśmy zupę z mięsem już następnego dnia?

– Tak, mah – odpowiadał Ugwu. Wolałby sam chodzić do centrum pomocy humanitarnej. Podejrzewał, że Olanna z tą jej brytyjską poprawnością czeka na swoją kolej, a tymczasem wszystko się kończy. Ale sam nie mógł tam pójść, bo Olanna już nie pozwalała mu za dnia wychodzić z domu. Wszędzie krążyły opowieści o przymusowym werbunku. Wiedział, że mieszkającego kawałek dalej chłopaka zabrano z domu, a wieczorem, z ogoloną głową i bez żadnego szkolenia, posłano prosto na front. Jednak uważał, że Olanna przesadza. Z pewnością nadal mógł chodzić na targ. Z pewnością nie musiał wstawać przed świtem, żeby przynieść wodę.

Słyszał głosy docierające z salonu. Specjalny Juliusz mówił prawie równie głośno jak jego pan. Ugwu zamierzał podać ciasto, a potem oplewić grządkę warzyw z powykęcianą zieleniną albo usiąść na stercie betonowych pustaków i patrzeć na dom naprzeciwko, czy nie wyjdzie z niego Eberechi i nie zawoła: „Sąsiedzie, co tam u ciebie?”. W odpowiedzi skinie jej ręką na powitanie i będzie wyobrażał sobie, że chwyta w dłonie jej pośladki. Sam dziwił się radości, jaką czuł, kiedy go pozdrowiała. Ciasto zrobiło się kruche na zewnątrz, a wewnątrz wilgotne i miękkie, pokroił je na wąskie paski, które zaniósł na spodeczkach. Specjalny Juliusz i Olanna siedzieli, a pan stał i gestykulując opowiadał o ostatnio odwiedzonej wiosce, o tym, że jej mieszkańcy złożyli w świątyni oyi ofiarę z kozy, by nie dopuścić barbarzyńców.

– Całą kozę! Tyle białka poszło na marne! – skomentował to Specjalny Juliusz i roześmiał się.

Ale pan nawet się nie uśmiechnął.

– Nie, nie, nie wolno nie doceniać psychologicznego znaczenia tego typu rzeczy. Nie prosiliśmy ich, żeby w zamian zjedli tę kozę.

– Ach, ciasto! – ucieszył się Specjalny Juliusz. Nie zważając na widelczyk, wsadził cały kawałek do ust. – Bardzo dobre, bardzo dobre. Ugwu, musisz udzielić lekcji ludziom w moim domu, bo oni z naszej mąki robią tylko chin-chin, codziennie tylko chin-chin i chin-chin, i to takie twarde, zupełnie bez smaku! Ja już nie mam zębów.

– Ugwu ma talent do wszystkiego – odezwała się Olanna. – Bez problemów wysiadałby z interesu tę kobietę z baru Wschodzące Słońce.

Profesor Ekwenugo zapukał w otwarte drzwi i wszedł do środka. Ręce miał owinięte kremowymi bandażami.

– Diany, co ci się stało? – zapytał pan.

– To tylko lekkie poparzenie. – Profesor Ekwenugo patrzył na swoje oban-

dażowane ręce, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich znaczenia, z tego, że nie ma już długiego paznokcia, którym mógłby stukać. – Konstruujemy coś bardzo wielkiego.

– Czyżby pierwszy zbudowany w Biafrze bombowiec? – przekomarzała się z nim Olanna.

– To coś naprawdę wielkiego, co objawi się w swoim czasie – odparł profesor Ekwenugo, uśmiechając się tajemniczo. Jadł niezdarnie, kawałki ciasta kruszyły się, zanim doniósł je do ust.

– Przydałoby się urządzenie do wykrywania sabotażystów – stwierdził pan.

– Tak! Ci cholerni sabotażyści!... – Specjalny Juliusz wydał dźwięk przypominający spluwanie. – To oni sprzedali Enugu. Jak można było do obrony stolicy pozostawić samą ludność cywilną uzbrojoną tylko w maczety? Tak samo stracili Nsukkę: wycofując się bez żadnego powodu. Czy przypadkiem któryś z dowodzących nie ma żony z plemienia Hausa? Pewnie dosypała mu do jedzenia jakichś leków.

– Odbijemy Enugu – odezwał się profesor Ekwenugo.

– Jak możemy odbić Enugu, jeśli ci barbarzyńcy zajęli miasto i tam się zatrzymali? – powiedział Specjalny Juliusz. – Oni rabują nawet deski sedesowe! Deski sedesowe! Mówił mi o tym uciekinier z Udi. Wybierają sobie najlepsze domy, a potem każą żonom i córkom właścicieli rozkładać przed sobą nogi i gotować dla nich.

Obrazy matki, Anuliki i Nnesinachi leżących krzyżem pod jakimś brudnym, poczerniałym od słońca żołnierzem Hausa stanęły Ugwu przed oczami tak wyraziście, że przeszedł go dreszcz. Wyszedł z domu, usiadł na betonowym pustaku i z rozpaczą pomyślał, że bardzo chciałby się znaleźć w rodzinnym domu, choćby na chwilę, żeby upewnić się, że nic im się nie stało. A może barbarzyńcy już tam są i zajęli należącą do cioci chatę z dachem z blachy faliastej? A może jego rodzina uciekła z kozami i kurami, jak ci wszyscy ludzie napływający do Umuahii? Uciekinierzy: Ugwu widział ich, z każdym dniem ich przybywało, nowe twarze na ulicach, przy publicznej studni, na targu. Często kobiety pukaly do drzwi, pytając, czy nie znajdzie się jakaś praca, za którą mogłyby dostać jedzenie. Przychodziły ze swoimi wychudzonymi gołymi dziećmi. Czasami Olanna najpierw dawała im namoczone w zimnej wodzie garri z manioku, a dopiero później mówiła, że nie ma dla nich żadnej pracy. Pani Muoke-lu przyjęła pod swój dach ośmioro krewnych. Przeprowadzała dzieci do zabawy z Dzidią i zawsze po ich wyjściu Olanna prosiła Ugwu, żeby starannie

przejrzał włosy Dzidzi w poszukiwaniu wszy. Sąsiedzi przyjmowali do swoich domów krewnych. Również u nich w domu przez kilka tygodni mieszkali kuzyni pana, śpiąc w salonie, zanim nie odeszli, żeby wstąpić do wojska. Ludzi uciekających, zmęczonych i bezdomnych było wielu i Ugwu zupełnie się nie zdziwił, kiedy pewnego popołudnia Olanna wróciła do domu i powiedziała, że szkoła podstawowa w Akwakumie zostanie przekształcona w obóz dla uchodźców.

– Już przywieziono bambusowe łóżka i sprzęt kuchenny. A w przyszłym tygodniu przyjeżdża dyrektor do spraw mobilizacji. – Mówiła jakimś zmęczonym głosem. Podniosła pokrywkę ze stojącego na kuchence garnka i popatrzyła na pokrojony jams.

– A co z dziećmi, mah?

– Pytałam dyrektorkę, czy można by przenieść szkołę, ale tylko na mnie popatrzyła i roześmiała się. Jesteśmy ostatnią placówką. Wszystkie szkoły w Umuahii zostały przekształcone w obozy dla uchodźców albo w wojskowe obozy szkoleniowe. – Przykryła garnek. – Zorganizuję lekcje tu, na naszym podwórku.

– Z panią Muokelu?

– Tak, i z tobą, Ugwu. Będiesz uczył dzieci.

– Tak, mah. – Ta myśl podekscytowała go i pochlebiła mu. – Mah?

– Tak?

– Czy sądzi pani, że barbarzyńcy są w mojej miejscowości?

– Oczywiście, że nie – odparła ostrym tonem Olanna. – Twoja wioska jest za mała. Gdyby mieli się gdzie zatrzymać, to na terenie uniwersytetu.

– Ale jeśli zajęli drogę z Opi do Nsukki...

– Już powiedziałam, że twoja wioska jest za mała! Nie będą chcieli się tam zatrzymać. Nie mają po co. To tylko kawałek buszu.

Przez chwilę patrzyli na siebie w ciszy, ciężkiej i oskarżycielskiej.

– Sprzedam swoje brązowe buty mamie Onitshy i uszyję nową piękną sukienkę dla Dzidzi – w końcu powiedziała Olanna, a Ugwu miał wrażenie, że jej głos brzmi trochę nienaturalnie.

Zabrał się za mycie talerzy.

Ugwu zobaczył jadącego drogą czarnego mercedesa, w promieniach słońca skrzyło się wypisane na tablicy rejestracyjnej słowo DYREKTOR. Błyszczący ogromny samochód zwolnił w pobliżu domu Eberechi i Ugwu miał nadzieję, że się zatrzymają i zapytają go, gdzie jest szkoła podstawowa, bo wówczas

mógłby dobrze przyjrzeć się desce rozdzielczej. Jednak nie tylko przystanęli, ale minąwszy go, zajechali pod ich dom. Zanim jeszcze samochód całkiem się zatrzymał, wyskoczył z niego ordynans w odprasowanym na sztywno mundurze i otworzył tylne drzwi. Zsalutował, kiedy z auta wysiadał dyrektor.

To był profesor Ezeka. Nie wyglądał na tak wysokiego, jak go zapamiętał Ugwu, trochę przytył, a jego cienka szyja wypełniła się. Ugwu wlepił w niego wzrok. W jego postawie w tym doskonale skrojonym ubraniu pojawiło się coś eleganckiego i nowego, nie zmieniła się natomiast wyniosła mina, podobnie jak zachrypnięty głos.

– Młody człowieku, czy twój pan jest w domu?

– Nie, sah – odparł Ugwu. W Nsucce profesor Ezeka nazywał go Ugwu, ale teraz sprawiał wrażenie, jakby go nie poznawał. – Poszedł do pracy, sah.

– A twoja pani?

– Poszła do centrum pomocy humanitarnej, sah.

Profesor Ezeka gestem polecił ordynansowi, żeby podał mu kartkę, i napisawszy wiadomość, wręczył ją Ugwu. Jego srebrne pióro połyskiwało w słońcu.

– Powiedz im, że przyjechał dyrektor do spraw mobilizacji.

– Tak, sah. – Ugwu pamiętał, jak ten człowiek drobiazgowo przyglądał się szklankom w Nsucce, jak zawsze siedział, krzyżując swoje cienkie nogi, i spierał się z panem.

Kiedy samochód odjechał bardzo wolno, jakby kierowca zdawał sobie sprawę, ilu ludzi na nich patrzy, przez ulicę przeszła Eberechi. Miała na sobie obcisłą spódniczkę, która nadawała idealną krągłość jej pośladkom.

– Jak się masz, sąsiedzie? – zapytała.

– Bardzo dobrze. A ty?

Wzruszyła ramionami w geście, który miał znaczyć: jako tako.

– Czy to odjechał dyrektor do spraw mobilizacji?

– Profesor Ezeka? – zapytał swobodnym tonem. – Tak, dobrze się z nim znaliśmy w Nsucce. Codziennie przychodził do nas na moją zupę paprykową.

– Tak? – Roześmiała się, szeroko otwierając oczy. – To ważna osobistość. Ihukwara moto? Widziałeś ten samochód?

– Na oryginalnym importowanym podwoziu.

Przez chwilę stali w milczeniu. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nią tak długo i nigdy nie widział jej z tak bliska. Trudno było mu pohamować wzrok uciekający w dół, w stronę wspaniałego klosza pośladków. Za wszelką cenę starał się skupić na jej twarzy, na jej wielkich oczach, wysypce pryszczycy

na czole, włosach splecionych w pokryte nicią kłosa. Ona też na niego patrzyła, a Ugwu żałował, że ma na sobie spodnie z dziurą pod kolanem.

– Jak się czuje ta mała dziewczynka? – zapytała.

– Dzidzia ma się dobrze. Teraz śpi.

– Wybierasz się naprawiać dach szkoły?

Ugwu słyszał, że jakiś dostawca sprzętu dla wojska przekazał trochę blachy falistej na wymianę zmiecionego dachu i że ochotnicy maskowali ją pierzastymi liśćmi palmowymi. Jednak nie planował się do nich przyłączać.

– Tak, przyjdę – powiedział.

– To do zobaczenia.

– Do widzenia. – Ugwu czekał, aż Eberechi się odwróci, żeby mógł się pogapić na oddalający się tyłeczek.

Kiedy Olanna wróciła z pustym koszykiem, przeczytała wiadomość od profesora Ezeki i na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Tak, słyszeliśmy wczoraj, że jest nowym dyrektorem. To bardzo w jego stylu, coś takiego napisać.

Ugwu czytał już tę wiadomość – „Odenigbo i Olanno, wpadłem się przywitać. Zajrzę do was znowu w przyszłym tygodniu, jeśli tylko pozwolą mi na to moje nowe nużące obowiązki. Ezeka” – lecz zapytał:

– Dlaczego, mah?

– Och, on zawsze uważał się za lepszego od innych. – Olanna położyła wiadomość na stole. – Profesor Achara pomoże nam załatwić trochę książek, ławek i tablice. Wiele kobiet mówiło mi, że w przyszłym tygodniu pošlą do nas dzieci. – Sprawiała wrażenie bardzo podekscytowanej.

– To dobrze, mah. – Ugwu przestąpił z nogi na nogę. – Idę pomóc przy szkolnym dachu. Wrócę zrobić jedzenie dla Dzidzi.

– Ojej!... – jęknęła Olanna.

Ugwu wiedział, że pomyślała o przymusowym werbunku.

– Sądzę, że pomoc przy czymś takim jest ważna, mah – powiedział.

– Oczywiście. Tak, powinieneś pomóc. Ale bądź ostrożny.

Ugwu od razu dostrzegł Eberechi wśród grupki mężczyzn i kobiet, którzy pochyleni nad stertą liści palmowych cięli je, mięli i podawali stojącemu na drewnianej drabinie mężczyźnie.

– Sąsiedzie! – odezwała się. – Mówiłam tu wszystkim, że wy osobiście znacie dyrektora.

Ugwu uśmiechnął się i powiedział ogólne „dzień dobry”. Mężczyźni i kobiety mruczyli w odpowiedzi „dzień dobry”, i „ehe”, „kedu” i „nno” z pełnym

podziwu szacunkiem świadczącym, że wiedzą, kim on jest. Nagle poczuł się ważny. Ktoś podał mu maczetę. Siedząca na schodach kobieta tłukła nasiona melona, pod drzewem mangowym dziewczynki grały w karty, a jakiś mężczyzna rzeźbił rączkę w lasce, starannie odwzorowując brodatą twarz Jego Eks-celencji. W powietrzu unosił się zapach zgnilizny.

– Wyobraź sobie, że można żyć w takim miejscu – szepnęła Eberechi, nachylając się w jego stronę. – A teraz, po upadku Abakaliki, przybędzie tu jeszcze dużo więcej ludzi. Chyba słyszałeś, że odkąd padło Enugu, są bardzo duże problemy z zakwaterowaniem? Niektórzy pracownicy zarządu muszą nawet spać w swoich samochodach.

– Tak, to prawda – zgodził się z nią Ugwu, chociaż nie miał co do tego pewności. Nie posiadał się z radości, że Eberechi z nim rozmawia, schlebiała mu jej serdeczna życzliwość. Silnymi uderzeniami zaczął przycinać palmowe liście. W klasie włączono radio: waleczni biafrańscy żołnierze kończyli oblężenie w sektorze, którego nazwy Ugwu nie dosłyszał.

– Nasi chłopcy dają im popalić! – powiedziała kobieta tłukąca ziarna melona.

– Biafra wygra tę wojnę, Bóg zapisał to w niebie – odezwał się mężczyzna z brodą zaplecioną w pojedynczy cienki warkoczyk.

Eberechi zachichotała i szepnęła do Ugwu:

– Co za buszmen. Nawet nie wie, że mówi się Bi-afra, a nie Baj-afra.

Ugwu roześmiał się. Po palmowych liściach pełzały tłuste czarne mrówki. Kiedy jedna wpełzła na jej rękę, Eberechi pisnęła i popatrzyła na niego bezradnie. Ugwu strzepnął mrówkę, czując ciepłą wilgoć skóry Eberechi. Chciała, żeby strzepnął tę mrówkę, nie wyglądała bowiem na osobę, która bałaby się mrówek.

Jedna z kobiet nosiła na plecach malutkiego chłopczyka. Poprawiła chustę podtrzymującą dziecko i powiedziała:

– Właśnie wracaliśmy z targu, kiedy okazało się, że barbarzyńcy zajęli skrzyżowanie i prowadzą ostrzał w wiosce. Nie mogliśmy wrócić do domów. Musieliśmy zawrócić i uciekać. Miałam tylko tę chustę i bluzkę oraz troszkę pieniędzy za sprzedaną paprykę. Nie wiem, gdzie jest teraz dwoje moich dzieci, tych, które zostały w domu, kiedy poszłam na targ. – Rozpłakała się.

Ugwu przeraził się, zaskoczony jej nieoczekiwanymi łzami, tym, że tak znieścacka trysnęły z jej oczu.

– Kobieto, przestań płakać – szorstko powiedział mężczyzna z brodą splecioną w warkoczyk.

Ale kobieta nadal płakała. Również jej dziecko zaczęło płakać.

Zabrawszy pęk liści, Ugwu ruszył w stronę drabiny, lecz zatrzymał się po drodze, żeby zerknąć do jednej z klas. Pomieszczenie było tak zagracone garnkami, matami do spania, metalowymi pudełkami i bambusowymi łózkami, że wyglądało, jakby zawsze było domem dla grupy ludzi, których nie łączyło nic prócz tego, że nie mają się gdzie podziać. Wiszący na ścianie jaskrawy plakat nawoływał: W RAZIE NALOTU NIE WPADAJ W PANIKĘ. JEŚLI ZOBACZYSZ WROGA, POŁÓŻ GO TRUPEM. Inna kobieta z dzieckiem na plecach myła obrane bulwy manioku w rondlu z brudną wodą. Jej dziecko miało mocno pomarszczoną twarz. Ugwu o mało się nie udusił, kiedy zbliżył się i uświadomił sobie, że zapach zgnilizny dobywa się z jej wody: wcześniej była używana do namoczenia manioku, może trwało to całe dni, i teraz ponownie ją wykorzystywano. Smród był okropny, wdzierał się do nosa, smród brudnej toalety, zjełczałej fasoli gotowanej na parze i zepsutych gotowanych jajek.

Wstrzymał oddech i wrócił do liści palmowych. Płacząca kobieta karmiła dziecko z obwisłej piersi.

– Nasza miejscowość nigdy by nie padła, gdyby między nami nie było sabotażystów! – powiedział mężczyzna z brodą zaplecioną w warkoczyk. – Służyłem w obronie cywilnej. Doskonale wiem, ilu udało się nam odkryć agentów, którzy przeniknęli na nasz teren. Wszyscy pochodzili ze stanu Rivers. Mówię wam, nie możemy już ufać mniejszościom, które nie mówią językiem ibo. – Urwał i odwrócił się, słysząc krzyki chłopców bawiących się w wojnę na szkolnym dziedzińcu.

Mogli mieć po dziesięć lub jedenaście lat, głowy przykryli sobie liśćmi bananowca, a w rękach trzymali karabiny z bambusa. Najdłuższy karabin należał do dowódcy Biafrańczyków, wysokiego srogiego dzieciaka z wystającymi kośćmi policzkowymi.

– Do ataku! – krzyknął.

Chłopcy zaczęli się skradać.

– Ognia!

Chłopcy ciskali kamienie, biorąc szeroki zamach, a potem, mocno chwycwszy karabiny, rzucili się w kierunku pozostałych chłopaków, skazanych na porażkę Nigeijczyków.

Brodaty mężczyzna zaczął klaskać w dłonie.

– Co za wspaniali chłopcy! Wystarczy dać im broń, a zaraz przegonią barbarzyńców.

Inni też klaskali i zagrzewali chłopców gromkimi okrzykami. Na chwilę

zapomniano o palmowych liściach.

– Musicie wiedzieć, że kiedy ta wojna się zaczęła, wiele razy starałem się wstąpić do wojska – odezwał się brodac. – Wszędzie byłem, ale ze względu na nogę nie chcieli mnie przyjąć, więc wstąpiłem do obrony cywilnej.

– A co się stało z pana nogą? – zapytała kobieta ucierająca nasiona melona.

Mężczyzna uniósł nogę. Brakowało połówki stopy, a to co z niej zostało, przypominało pomarszczony kawałek starego jamsu.

– Straciłem ją na Północy – wyjaśnił.

Zapadła cisza przerywana tylko zbyt głośnym jak na tę chwilę trzaskiem łamanych liści palmowych. W pewnym momencie z klasy wybiegła kobieta goniąca za małym dzieckiem, raz za razem uderzając je po głowie.

– I co, rozbiłaś tylko jeden talerz? Proszę bardzo, idź i rozbij wszystkie! Potłucz je! Kuwa ha! Przecież mamy ich tak dużo, co? Przecież zabraliśmy wszystkie ze sobą, nie? Porozbijaj je! – wołała kobieta.

Dzidzia pobiegła w stronę drzewa mangowego. Jej matka zanim wróciła do klasy, stała jeszcze przez chwilę, nie ruszając się z miejsca i mruczając pod nosem, że ona nie da się tym duchom, które posłały dziecko, żeby potłukło jej talerze.

– A dlaczego dziecko nie miałoby stłuc talerza? Przecież i tak nie ma jedzenia, które można by z niego jeść – z goryczą zauważyła kobieta karmiąca piersią, wciąż pociągając nosem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Eberechi nachyliła się w stronę Ugwu i szepnęła, że brodaty mężczyzna ma nieświeży oddech i pewnie z tego powodu nie wzięli go do wojska. Ugwu bardzo pragnął przycisnąć się do jej ciała.

Wracali razem, a Ugwu odwrócił się nawet, by sprawdzić, czy wszyscy zauważyli ich wspólne odejście. Minał ich żołnierz w mundurze biafrańskiej armii i w hełmie, mówiący coś zbyt podniesionym głosem w łamanej angielszczyźnie. Tylko jedna jego ręka była cała, z drugiej został kikut kończący się nad łokciem. Eberechi obejrzała się za tym człowiekiem.

– Jego rodzina nie wie – powiedziała cichym głosem.

– Czego?

– Jego rodzina myśli, że on ma się dobrze i walczy za naszą sprawę. Żołnierz krzychał:

– Nie marnujcie kul! Mówię wam, jeden barbarzyńca, jedna kulka ze skutkiem natychmiastowym!

Wokół niego zebrali się mali chłopcy, drwiąc z niego, śmiejąc się, obrzu-

cając go szyderczymi słowami uznania.

Eberechi nieco przyspieszyła kroku.

– Mój brat wstąpił do wojska na samym początku.

– Nie wiedziałem.

– Tak. Tylko raz przyjechał do domu. Wszyscy z naszej ulicy wyszli go wówczas powitać, a dzieci biły się, które będzie mogło dotknąć jego munduru.

Już nic więcej nie powiedziała i dopiero kiedy znaleźli się przed jej domem, odwróciła się do Ugwu.

– Niech wstanie nowy dzień – powiedziała.

– Do jutra – odrzekł Ugwu. Żałował, że nie powiedział jej nic więcej.

Ugwu przygotował na werandzie trzy ławki dla klasy Olanny i przy wejściu na podwórze dwie dla klasy pani Muokelu, a dla swojej klasy z najmłodszymi uczniami ustawił dwie ławki obok sterty betonowych pustaków.

– Codziennie będziemy uczyć matematyki, angielskiego i wiedzy o społeczeństwie – powiedziała Olanna do Ugwu i pani Muokelu dzień przed rozpoczęciem lekcji. – Musimy dopilnować, żeby po zakończeniu wojny wszystkie dzieci bez problemów mogły podjąć dalej naukę w normalnej szkole. Będą mówić bezbłędnie w języku angielskim i w ibo, jak Jego Ekscelencja. Nauczmy je, jak być dumnymi z naszego wielkiego narodu.

Patrząc na nią, Ugwu nie wiedział, czy w jej oczach dostrzega Izy czy to tylko był blask słońca. Chciał nauczyć się jak najwięcej od niej i od pani Muokelu, chciał się wykazać, udowodnić jej, że potrafi uczyć. Właśnie opierał tablicę o pniak pierwszego dnia lekcji, kiedy jakaś kobieta, krewna Specjalnego Juliusza, przyprowadziła swoją córkę. Wlepiła wzrok w Ugwu.

– Czy to nauczyciel? – zapytała Olanę.

– Tak.

– Czy to nie jest wasz służący? – Mówiła ostrym nieprzyjemnym tonem. – Niby od kiedy to służący uczy, bikokwa?

– Jeśli nie chce pani, żeby córka się uczyła, proszę zabrać ją do domu – odrzekła Olanna.

Kobieta pociągnęła córkę za rękę i odeszła. Ugwu był przekonany, że Olanna zaraz spojrzy na niego ze współczuciem, bardziej go tym denerwując niż ta kobieta. Ale ona tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Dobrze, żeśmy się jej pozbyli. Jej córka ma wszy. Widziałam jajeczka w jej włosach.

Pozostali rodzice zachowywali się inaczej. Pełni szacunku podziwiali Olanę, jej piękną twarz, niewygórowane opłaty i jej doskonały angielski. Przynieśli olej palmowy, jams i garri. Jakaś handlująca na tyłach wroga kobieta przyniosła kurczaka. Dostawca sprzętu dla wojska przyprowadził dwójkę swoich dzieci i przyniósł całe pudło z książkami – wybory czytanek, sześć egzemplarzy książki dla dzieci „Chike i rzeka”, napisanej przez słynnego pisarza ludu Ibo, Chinuę Achebego, osiem egzemplarzy uproszczonej wersji „Dumy i uprzedzenia”. Kiedy Olanna otworzyła karton i uściskała mężczyznę, Ugwu z niechęcią zauważył malujący się na jego twarzy wyraz zaskoczenia i pożądlivej rozkoszy.

Po tygodniu Ugwu nabrał przekonania, że wiedza pani Muokelu jest bardzo ograniczona. Proste działania dzielenia wykonywała niepewnie, cicho mamrotała czytając, jakby bała się zdań, i łajała swoich uczniów, kiedy coś źle robili, ale nie mówiła im, jak brzmi poprawna odpowiedź. Dlatego też przypatrywał się tylko Olanie.

– Wymowa! Wymowa! – mówiła Olanna do uczniów, podnosząc głos. – Set-tle. Set-tle. W tym słowie nie ma „r”!

Widząc, że Olanna każdemu uczniowi każe czytać na głos, Ugwu polecił swojej klasie na głos recytować proste słowa. Często kolejkę zaczynała Dzia. Była najmłodsza, nie mając jeszcze sześciu lat, przebywała w klasie siedmiolatków, ale bezbłędnie czytała takie słowa, jak „cat”, „pan”, „bed”, akcentując jak Olanna. Nie pamiętała jednak, żeby zwracać się do niego „panie nauczycielu”, jak pozostałe dzieci, i Ugwu musiał skrywać rozbawienie, kiedy mówiła: „Ugwu!”.

Pod koniec drugiego tygodnia, kiedy dzieci poszły po lekcjach do domu, pani Muokelu poprosiła Olanę, żeby usiadły w saloniku. Zebrała razem fałdy swojej przydługiej boubou i wcisnęła je między nogi.

– Mam tuzin ludzi do wykarmienia – powiedziała. – I to nie licząc krewnych mojego męża, którzy właśnie przybyli z Abakaliki. Mój mąż wrócił z frontu z jedną nogą. Co mam zrobić? Zamierzam wybrać się na afia attack i może uda mi się kupić sól. Nie mogę dłużej uczyć.

– Rozumiem – odparła Olanna. – Ale czy musisz jechać na teren wroga i tam kupować?

– A co można kupić w Biafrze? Oni nas zablokowali kпам-kпам.

– Jak tam się dostaniesz?

– Znam pewną kobietę. Dostarcza garri dla wojska, więc dostaje eskortę wojskową do swojej ciężarówki. Ta ciężarówka zawiezie nas do Ufumu, skąd

na piechotę udamy się do Nkwerre-Inyi, gdzie granica nie jest szczelna.

– Ile trzeba iść?

– Jakies piętnaście czy dwadzieścia mil, nie tak znowu dużo dla człowieka zdeterminowanego. Zabierzemy nigeryjskie pieniądze, kupimy sól i garri, a potem wrócimy do ciężarówki.

– Siostró, bardzo cię proszę, uważaj na siebie.

– Wiele osób to robi i nic im się nie dzieje. – Podniosła się. – Ugwu będzie musiał się zająć moją klasą. Ale wiem, że sobie poradzi.

Ugwu, który przy stole jadalnym podawał Dzidzi garri i zupę, udał, że nie słyszy.

Następnego dnia przejął jej klasę. Uwielbiał błysk zrozumienia pojawiającego się w oczach starszych dzieci, kiedy wyjaśniał znaczenie jakiegoś słowa, uwielbiał, kiedy pan mówił głośno do Specjalnego Juliusza: „Moja żona i Ugwu zmieniają oblicze przyszłego pokolenia Biafrańczyków za pomocą swojej sokratejskiej pedagogiki!”, ale przede wszystkim uwielbiał, jak Eberchi żartobliwie mówiła do niego „panie nauczycielu”. Wyraźnie jej zaimponował. Kiedy widział ją stojącą przed domem i obserwującą, jak on uczy, podnosił głos i staranniej wymawiał słowa. Zaczęła do niego zachodzić po lekcjach. Siadała z nim na podwórzu za domem albo bawiła się z Dzidzią czy też patrzyła, jak Ugwu pili grządkę z warzywami. Czasami Olanna prosiła ją, żeby zaniosiła trochę zboża do położonego kawałek dalej młyna.

Ugwu ukradł nieco mleka i cukru, które pan przyniósł z siedziby zarządu, wsypał je do starych puszek i wręczył jej w prezencie. Podziękowała mu, ale chyba nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia, więc w samym środku skwarne popołudnia zakradł się do pokoju Olanny i odsypał trochę perfumowanego talku do poskładanej kartki. Koniecznie chciał jej zaimponować. Eberchi powąchała proszek, wtarła odrobinę w szyję, po czym powiedziała:

– Nie prosiłam cię o talk.

Ugwu roześmiał się. Po raz pierwszy czuł się tak zupełnie swobodnie w jej towarzystwie. Opowiadała mu o tym, jak to kiedyś rodzice wpychali ją do pokoju oficera, a on słuchał, jakby o tym wcześniej nie wiedział.

– Miał ogromny brzuch – powiedziała, obojętnym tonem. – Zrobił to szybko, a potem zażyczył sobie, żebym się na nim położyła. Kiedy zasnął, chciałam sobie pójść, ale się obudził i nie pozwolił mi ruszać się z miejsca. Nie mogłam zasnąć i przez całą noc patrzyłam na ślinę wypływającą mu z kącika ust. – Przerwała. – Ten człowiek pomógł nam. Załatwił mojemu bratu pracę w służbach pomocniczych w wojsku.

Ugwu odwrócił wzrok. Złościło go, że przez to wszystko musiała przejść, lecz złościł się też na siebie, ponieważ słuchając tej opowieści, wyobrażał ją sobie nago, a to go podnieciło. W następnych dniach myślał o sobie i Eberechi razem w łóżku, o tym, jak bardzo różniłoby się to od jej doświadczenia z pułkownikiem. Ugwu traktowałby ją z należnym szacunkiem i robiłby tylko to, co by sprawiało jej przyjemność, co by chciała, żeby robił. Pokazałby jej pozycje widziane w „Krótkim podręczniku dla par” w Nsucce. Cienka książeczka leżała wciśnięta w zakurzony kąt regału w gabinecie. Kiedy Ugwu trafił na nią po raz pierwszy podczas sprzątanego, przejrzał ją w pośpiechu, przebiegając wzrokiem przez schematyczne szkice, tym bardziej podniecające, że tak nierzeczywiste. Później zdał sobie sprawę, że pan chyba zupełnie zapomniał o istnieniu tej książki, więc zabrał ją do służbówki, by przejrzeć dokładnie w kilka nocy. Myślał nawet, żeby wypróbować kilka pozycji z Chinyere, jednak nigdy tego nie zrobił – w metodycznej ciszy jej nocnych wizyt było coś takiego, co uniemożliwiało wprowadzanie jakichkolwiek nowości. Ogromnie żałował, że nie zabrał ze sobą tej książki z Nsukki. Chciałby pamiętać trochę więcej szczegółów, na przykład co w pozycji bocznej na łyżeczkę powinna kobieta robić z rękami. Przeszukał sypialnię państwa, czując się głupio, bo zdawał sobie sprawę, że z pewnością nie ma tam „Krótkiego podręcznika dla par”. A potem poczuł głęboki smutek, widząc, jak niewiele jest książek na stole i w ogóle w całym domu.

Ugwu przygotowywał Dzidzi śniadanie, a pan się kąpał, kiedy Olanna zaczęła krzyczeć w saloniku. Radio było nastawione bardzo głośno. Z radiem w ręce wybiegła na tyły domu, do budynku gospodarczego.

– Odenigbo! Odenigbo! Tanzania nas uznała!

Pan wyszedł obwiązany w pasie wilgotną chustą, z piersiami pokrytymi lśniącymi mokrymi włosami. Bez okularów jego uśmiechnięta twarz wyglądała zabawnie.

– Gini? Co?

– Tanzania nas uznała! – odparła Olanna.

– Tak? – powiedział pan i objęli się, przywarli do siebie ustami, całymimi twarzami, jakby nawzajem przekazując sobie oddech.

Po chwili pan wziął radio i zaczął je dostrajać.

– Upewnijmy się. Sprawdźmy, czy inni to potwierdzą.

Informował o tym Głos Ameryki, podobnie radio francuskie, tłumaczone przez Olanę: Tanzania była pierwszym krajem, który uznał istnienie niezależ-

nego narodu Biafry. Biafra w końcu istnieje! Ugwu połaskotał Dzidzię, a ona roześmiała się.

– Nyerere przejdzie do historii jako człowiek prawdy – powiedział pan. – Oczywiście wiele innych państw chciałoby nas uznać, ale nie zrobią tego ze względu na Amerykę. Ameryka stoi na przeszkodzie!

Ugwu nie wiedział, dlaczego Ameryka ma być winna tego, że inne kraje nie uznają Biafry – wydawało mu się, że przede wszystkim winę ponosi Wielka Brytania – ale po południu słowa pana powtórzył Eberechi, mówiąc autorytatywnie, jakby sam je wymyślił. Było gorąco i znalazł ją śpiącą na macie w cieniu ich werandy.

– Eberechi! Eberechi! – powiedział.

Kiedy się podniosła, zobaczył zaczerwienione oczy i zranioną minę osoby wyrwanej ze snu. Jednak uśmiechnęła się na jego widok.

– Pan nauczyciel... Skończył pan już dzisiaj lekcje?

– Słyszałaś, że Tanzania nas uznała?

– Tak, tak. – Przecierała oczy i śmiała się, a ten radosny dźwięk jeszcze bardziej uszczęśliwił Ugwu.

– Przez Amerykę wiele innych państw nas nie uznaje. Ameryka stoi na przeszkodzie – powiedział.

– Tak – odparła. Siedzieli obok siebie na schodach. – Dzisiaj mamy podwójnie dobre wiadomości. Moja ciocia została lokalną przedstawicielką Caritasu. Powiedziała, że załatwi mi pracę w centrum opieki humanitarnej u Świętego Jana. A to oznacza, że dostanę dodatkowego sztokfiszka!

Wyciągnęła rękę i żartobliwie uszczypnęła go w szyję, leciutko naciskając jego skórę palcami. Spojrzał na nią. Nie tylko pragnął miętosić jej nagie pośladki, chciał również budzić się obok niej i wiedzieć, że codziennie będzie obok niej spać, chciał do niej mówić i słuchać jej śmiechu. Zupełnie nie przypominała Chinyere, stanowiącej mile urozmaicenie, lecz urzeczywistnioną Nnesinachi, dziewczynę, która stała się dla niego ważna przez to, co powiedziała i zrobiła, a nie przez to, co on sobie wyobrażał, że mogłaby powiedzieć czy zrobić. Coraz mocniej docierała do niego świadomość własnych uczuć i chciał jej powiedzieć, powtarzać w kółko, że ją kocha. Bo ją kochał. Jednak nic nie powiedział. Siedzieli razem, zachwalając Tanzanię i marząc o sztokfiszach, i kiedy tak rozmawiali o tym i owym, po ulicy przemknął peugeot 403. Zawrócił z głośnym piskiem, jakby kierowca starał się zrobić jak największe wrażenie, i zatrzymał się przed domem. Na samochodzie widniał niedbale, odręcznie wypisany czerwoną farbą napis: ARMIA BIAFRY. Z samochodu wy-

siadł żołnierz z bronią w ręku, ubrany w mundur tak elegancki, że z przodu wi-
dać było nawet kanty po prasowaniu. Eberechi podniosła się, gdy zaczął się
do nich zbliżać.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Pani nazywa się Eberechi?

Skinęła głową.

– Chodzi o mojego brata? Czy coś mu się stało?

– Nie, nie. – Na jego twarzy pojawił się znaczący wyraz pożądlivosti,
który od razu wzbudził w Ugwu niechęć. – Wzywa panią major Nwogu. Jest
w barze nieopodal.

– Och!... – Eberechi stała z otwartymi ustami i z ręką przyciśniętą do pier-
si. – Już idę, już idę! – Odwróciła się i pobiegła do domu.

Ugwu poczuł się zdradzony tym jej podekscytowaniem. Żołnierz wpatry-
wał się teraz w niego.

– Dzień dobry – odezwał się Ugwu.

– A ty kim jesteś? – zapytał żołnierz. – Może cywilem próżniakiem?

– Jestem nauczycielem.

– Nauczycielem? Onye nkuzi? – Machnął karabinem w jedną i drugą stro-
nę.

– Tak – odparł Ugwu, tym razem po angielsku. – Organizujemy lekcje
wśród sąsiadów i uczymy młodzież ideałów sprawy białafrańskiej. – Miał na-
dzieję, że mówi po angielsku jak Olanna, miał też nadzieję, że jego poza wzbu-
dzi respekt w żołnierzu, który przestanie go wypytywać.

– Jakie lekcje? – zapytał żołnierz, prawie mamrocząc. Wyglądało na to, że
słowa Ugwu rzeczywiście zrobiły na nim wrażenie i poczuł się niepewnie.

– Koncentrujemy się na wiedzy o społeczeństwie, matematyce i języku an-
gielskim. Nasze wysiłki są sponsorowane przez dyrektora do spraw mobiliza-
cji.

Żołnierz wlepił w niego wzrok.

Eberechi wyszła szybkim krokiem. Na twarzy miała teraz cienką warstwę
białego pudru, brwi przyciemnione, a wargi tworzyły czerwone rozcięcie.

– Chodźmy – powiedziała do żołnierza. Pochyliła się jeszcze do Ugwu
i szepnęła: – Muszę iść. Gdyby ktoś mnie szukał, powiedz, proszę, że poszłam
po coś do domu Ngozi.

– W porządku, panie nauczycielu! Do zobaczenia! – odezwał się żołnierz,
a Ugwu miał wrażenie, że dostrzegł błysk triumfu w oczach tego niedouczone-
go głupka.

Nie mógł patrzeć, jak odjeżdżają, zajął się więc oglądaniem swoich paznokci. Targany uczuciem zranienia, zmieszania i zakłopotania poczuł się słaby. Nie mieściło mu się w głowie, że chwilę temu Eberechi poprosiła go, żeby dla niej kłamał, podczas gdy sama pobiegła na spotkanie z mężczyzną, o którym nigdy mu nie mówiła. Przeszedł przez drogę na miękkich nogach. Przez pozostałą część dnia wszystkie jego zajęcia miały posmak goryczy, kilkakrotnie przyszło mu też na myśl, żeby pójść do tego baru i sprawdzić, co tam się dzieje.

Było już ciemno, kiedy Eberechi zastukała do tylnych drzwi.

– Słyszałeś, że już zmienili nazwę baru Wschodzące Słońce? – zapytała, śmiejąc się. – Teraz to jest bar Tanzania.

Spojrzał na nią i nic nie powiedział.

– Ludzie grali tanzańską muzykę i tańczyli, a jakiś biznesmen wszystkim postawił kurczaka i piwo – opowiadała.

Ogarnęła go instynktowna zazdrość, czuł, jak go dusi, pochwycawszy za gardło.

– Gdzie jest ciocia Olanna? – zapytała.

– Czyta z Dzidzią – udało się Ugwu wydusić z siebie. Pragnął złapać ją za ramiona i potrząsać, aż wyzna mu prawdę o tym popołudniu, aż powie, co robiła z tym mężczyzną, dlaczego z jej warg zniknęła szminka.

Eberechi westchnęła.

– Masz wodę? Pić mi się chce. Piłam dzisiaj piwo.

Ugwu wprost nie mógł uwierzyć, że taka jest swobodna i odprężona. Nalał trochę wody do kubka, a ona powoli ją wypila.

– Tego majora spotkałam kilka tygodni temu, podwiózł mnie, kiedy wybrałam się do Orlu, ale nie sądziłam, że mnie zapamięta. To taki miły człowiek...

– Eberechi urwała. – Powiedziałam mu, że jesteś moim bratem. A on stwierdził, że dopilnuje, żeby nikt tu nie przyszedł powołać cię do wojska. – Wyglądała na dumną z tego, co udało się jej osiągnąć, natomiast Ugwu miał wrażenie, że umyślnie wrywała mu jeden po drugim wszystkie zęby.

Odwrócił się. Nie potrzebował żadnych przysług od jej kochanka.

– Muszę posprzątać – powiedział chłodno.

Wypiła jeszcze jeden kubek wody, zanim powiedziała:

– Ngwanu, niech wstanie nowy dzień. – I wyszła.

Ugwu przestał chodzić do domu Eberechi. Lekceważył jej powitania, złościło go spojrzenie jej szeroko otwartych oczu i pytania: „O co chodzi, Ugwu?”

Czym cię uraziłam?”. W końcu przestała się dopytywać i w ogóle odzywać do niego. Nie przejmował się tym. Jednak słysząc przejeżdżający samochód, biegł pędem, żeby zobaczyć, czy to jedzie ten peugeot 403 z napisem ARMIA BIAFRY. Widząc, jak co rano wychodzi z domu, zastanawiał się, czy Eberechi i ten major nie umawiają się regularnie na spotkania w jakimś miejscu, dopóki pewnego wieczoru nie przysłała i nie przyniosła Olannie trochę sztokfisa. Ugwu otworzył drzwi i bez słowa przyjął małą paczkę.

– To taka miła dziewczyna, ezigbo nwa – rzekła Olanna. – Musi jej się dobrze powodzić w tym centrum pomocy humanitarnej.

Ugwu nic nie powiedział. Czuł się urażony widząc, jaką sympatią darzy ją Olanna, i słysząc, jak Dzidzia pyta go, kiedy przyjdzie ciocia Eberechi i pobawi się z nią. Pragnął, żeby odczuwały wraz z nim wściekłość osoby zdradzonej. Zamierzał powiedzieć Olannie, co się wydarzyło. Co prawda nigdy jeszcze nie rozmawiał z nią o sprawach tak osobistych, miał jednak wrażenie, że to jest możliwe. Starannie zaplanował tę rozmowę na piątek, bo tego dnia pan po pracy wybierał się ze Specjalnym Juliuszem do baru Tanzania. Olanna zabrała Dzidzię w odwiedziny do pani Muokelu. W oczekiwaniu na ich powrót Ugwu opielił ogródek, martwiąc się, że jego opowieść okaże się trywialna. Olanna będzie śmiała się z niego wyrozumiale, tak jak śmiała się z pana, kiedy mówił coś absurdalnie zabawnego. Przecież Eberechi nigdy nie wyznała mu swoich uczuć. Ale z drugiej strony z pewnością nie powinna udawać, że nie wie, co on do niej czuje. Zachowała się bezdusznie, nawet jeśli nie podziela uczuć Ugwu, nie powinna tak po prostu ciskać mu w twarz tego swojego kochanka oficera.

Przygotował się na rozmowę i wszedł do domu, kiedy usłyszał głos Olanny. Były w saloniku, Dzidzia siedziała na podłodze i odwijała coś ze starej gazety.

– Dzień dobry, mah – odezwał się Ugwu.

Olanna odwróciła się i spojrzała na niego, a on przeraził się, widząc dziwnie beznamiętny wyraz jej twarzy. Musiało wydarzyć się coś złego. Może odkryła, że dał Eberechi trochę mleka skondensowanego? Ale jej oczy ziały zbyt ogromną pustką, bezdenną nicością, żeby mogła to być jedynie złość na to, że kilka tygodni temu skradł mleko. Musiało wydarzyć się coś bardzo złego. Czy Dzidzia znowu się rozchorowała? Ugwu spojrzał na Dzidzię zajęta gazetowym opakowaniem. Czuł skurcze żołądka, spodziewając się złych wieści.

– Mah? Czy coś się stało?

– Matka twojego pana nie żyje.

Ugwu przysunął się bliżej, ponieważ jej słowa zastygły w powietrzu i unosiły się tuż poza jego zasięgiem. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego, co powiedziała.

– Dostaliśmy wiadomość od jego kuzyna – dodała Olanna. – Zastrzelono ją w Abbie.

– Hei!... – Ugwu położył sobie dłoń na głowie, starając się przypomnieć sobie, jak wyglądała mama, kiedy ostatnio ją widział stojącą przy drzewie kola i odmawiającą opuszczenia własnego domu. Jednak nie potrafił jej sobie wyobrazić. Widział tylko jej zamazaną postać w kuchni w Nsucce, kiedy otwierała strąk z ziarenkami pieprzu. Oczy zasły mu łzami. Zastanawiał się, o jakich jeszcze nieszczęściach będzie musiał się dowiedzieć. Może barbarzyńscy Hausowie zatrzymali się w jego rodzinnej wiosce? Może i jego matkę zabili?

Kiedy pan wrócił do domu i zamknął się w swojej sypialni, Ugwu nie wiedział, czy ma pójść za nim do sypialni, czy też czekać, aż pan stamtąd wyjdzie. Postanowił poczekać. Zapalił kuchenkę naftową i wymieszał kleik dla Dzidzi. Żałował, że tak bardzo wówczas drażniła go ta intensywnie pachnąca zupa mamy.

Olanna weszła do kuchni.

– Dlaczego używasz kuchenki? – krzyknęła. – I na-ezuzu ezuzu? Zgłupiałeś? Czy nie kazałam ci oszczędzać naftę?

Ugwu patrzył na nią ze zdumieniem.

– Ale pani powiedziała, żebym gotował Dzidzi jedzenie na kuchence.

– Nic takiego nie mówiłam! Idź na dwór i rozpal ogień!

– Przepraszam, mah.

Tylko że naprawdę tak powiedziała: dorośli jedli dwa razy dziennie, a Dzidzia trzy, i Olanna poleciła mu gotować jej posiłek na kuchence naftowej, bo Dzidzia kaszłała od zapachu dymu z ogniska.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje nafta? Myślisz, że jeśli nie płacisz za rzeczy, których używasz, możesz sobie robić z nimi, co ci się żywnie podoba? Nie pamiętasz już, że tam, skąd pochodzisz, samo drewno na opał jest luksusem?

– Przepraszam, mah.

Olanna usiadła na betonowym pustaku za domem. Ugwu rozpalił ogień i dokończył kolację dla Dzidzi. Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że Olanna nie spuszcza z niego wzroku.

– Twój pan nie chce ze mną rozmawiać – powiedziała.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Ugwu poczuł nieprzyjemne skrepowanie tą wyjątkową poufałością. Olanna jeszcze nigdy nie rozmawiała z nim w ten sposób o panu.

– Przepraszam, mah – powiedział i usiadł obok niej. Chciał objąć ją pocieszająco ramieniem, ale ponieważ nie mógł tego zrobić, jego ręką znieruchomiła w powietrzu, prawie ją dotykając, aż w końcu Olanna westchnęła, podniosła się i weszła do domu.

Po chwili wyszedł pan i skierował się do budynku gospodarczego.

– Pani powiedziała mi, co się stało, sah – odezwał się Ugwu. – Ndo. Tak mi przykro.

– Tak, tak – odparł pan i oddalił się szybkim krokiem.

Zdaniem Ugwu było to za mało, śmierć mamy zasługiwała na coś więcej niż tylko króciutka wymiana zdań, zasługiwała na więcej słów, więcej gestów, więcej wspólnie spędzonego czasu. Ale pan ledwo na niego spojrział. Kiedy później przyszedł do nich Specjalny Juliusz, żeby powiedzieć ndo, pan był równie ożywiony i rozmowny.

– Oczywiście, ofiary są nieuniknione. Śmierć jest ceną naszej wolności – powiedział i podniósłszy się nagle, wyszedł do sypialni, zostawiając Olanę z oczami pełnymi łez, wymownie kręcącą głową w stronę Specjalnego Juliusza.

Ugwu sądził, że następnego dnia pan nie pójdzie do pracy i zostanie w domu, ale on tylko wcześniej niż zazwyczaj wziął kąpiel. Nie wypił herbaty, nawet nie tknął plastrów jamsu, które Ugwu odgrzał mu z poprzedniego wieczoru. Nie wpuścił koszuli do spodni.

– Odenigbo, nie możesz tak po prostu przekroczyć granicy z regionem Biafra Dwa – powiedziała Olanna, idąc za nim do samochodu. Pan zrzucił z dachu auta liście palmowe. Olanna mówiła coś jeszcze, czego Ugwu nie słyszał, kiedy pan w milczeniu pochylał się nad otwartą maską samochodu. Po chwili wszedł do niego i odjechał, nieznacznie tylko skinąwszy ręką. Olanna pobiegła drogą za odjeżdżającym autem. Na moment ogarnęła Ugwu absurdalna myśl, że chce je dogonić, ale kiedy wróciła, wyjaśniła mu, że poprosiła Specjalnego Juliusza, by pojechał za panem i przywiózł go z powrotem.

– Powiedział, że musi tam pojechać i pochować ją. Przecież wszystkie drogi są zajęte... Zajęte – powtórzyła. Przez cały czas wzrok miała skoncentrowany na bramie do obejścia. Na każdy dźwięk, jaki docierał do jej uszu, czy to był hurkot przetaczającej się ciężarówki, ćwierkanie ptaka, czy płacz dziecka, zrywała się z ławki na werandzie i patrzyła na drogę. Obok domu

przemaszerowała ze śpiewem na ustach grupa ludzi uzbrojonych w maczety. Przewodził im człowiek z jedną ręką.

– Pani nauczycielka! Brawo! – krzyknął ktoś, kiedy zobaczyli Olanę. – Idziemy przeczesać teren! Znajdziemy tych wrogich agentów!

Kiedy ją mijali, Olanna nagle drgnęła i zawołała za nimi:

– Poszukajcie, proszę, mojego męża w błękitnym oplu.

Jeden z ludzi odwrócił się i z lekko zdziwioną miną pomachał jej ręką.

Nawet pod krytym strzechą daszkiem Ugwu czuł żar ostrego popołudniowego słońca. Dzisiaj bawiła się na bosaka przed domem. Kiedy podjechał długi amerykański samochód Specjalnego Juliusza, Olanna zerwała się z miejsca.

– Nie wrócił? – zapytał Specjalny Juliusz, nie wysiadając z samochodu.

– Nie widziałeś go – stwierdziła Olanna.

Specjalny Juliusz wyglądał na zafasowanego.

– Ale kto powiedział Odenigbowi, że uda mu się przejechać przez drogi okupowane przez nieprzyjaciela? Kto mógł mu coś takiego powiedzieć?

Ugwu pragnął, żeby ten człowiek się zamknął. Nie miał prawa krytykować pana, a zamiast siedzieć tu w tej swojej brzydkiej tunicy, lepiej by zrobił, gdyby zawrócił i pojechał porządnie zająć się poszukiwaniem.

Po wyjeździe Specjalnego Juliusza Olanna usiadła i nachyliwszy się, ukryła twarz w dłoniach.

– Napije się pani wody? – zapytał Ugwu.

Pokręciła przecząco głową. Ugwu patrzył na zachodzące słońce. Zmrok zapadł szybko, brutalnie, bez łagodnego przejścia między światłem a ciemnością.

– Co ja mam robić? – zapytała Olanna. – Co mam robić?

– Pan wróci, mah.

Ale pan nie wrócił. Jeszcze długo po północy Olanna siedziała na werandzie z głową opartą o ścianę.

Richard siedział przy stole w jadalni, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Ściszył radio i poukładał kartki papieru listowego, zanim otworzył. Na progu stał Harrison, a jego czoło, szyja, ręce i nogi wystające z krótkich spodenek khaki całe były zawinięte w pokrwawione bandaże. Richardowi zrobiło się słabo na widok tej czerwonej wilgoci.

– Harrisonie! Na Boga!... Co ci się stało?

– Dzień dobry panu.

– Ktoś na ciebie napadł? – zapytał Richard.

Harrison wszedł do środka, położył na podłodze obszarpaną torbę i roześmiał się. Richard wlepił w niego wzrok. Kiedy Harrison uniósł ręce, żeby rozwiązać zakrwawiony bandaż na głowie, Richard powiedział:

– Nie, nie, nie ma potrzeby. Nie musisz tego tu robić. Zaraz poproszę kierowcę i zawieziemy cię do szpitala.

Harrison zerwał bandaż. Skóra na głowie była gładka, nie było na niej żadnych rozcięć, niczego, z czego mogłaby płynąć krew.

– To buraki, sah – powiedział Harrison i ponownie się roześmiał. – Buraki?

– Tak, sah.

– To znaczy, że to nie jest krew?

– Nie, sah. – Harrison wszedł dalej do saloniku i zamierzał ustawić się w kącie, ale Richard poprosił go, żeby usiadł. Przycupnął na skraju krzesła. Uśmiech powoli ustępował z jego twarzy, w miarę jak opowiadał.

– Idę z moja rodzinną miejscowość, sah. Nikomu nie mówię, że ona niedługo będzie upadać, żeby nikt nie powiedział, że ja sabotażysta. Ale każdy już wie, że barbarzyńcy blisko. Dwa dni temu myśmy słyszeliśmy bombardowanie, ale rada miasta mówili, że to ćwiczenia naszych wojsk. No to zabrałem rodzina i kozy do najbardziej ukryte gospodarstwo i ruszam do Port Harcourt, bo nie wiem, co z mój pan. Nawet wysyłałem wiele tygodni temu wiadomość przez kierowca od profesor Blyden.

– Nie dostałem żadnej wiadomości.

– Głupiec jeden – mruknął Harrison, po czym mówił dalej: – Moczyłem szmaty w świeża woda z buraków i obwijałem je w bandaż, i mówiłem, że udało mi się przeżyć nalot. Bo wtedy straż ochotnicza pozwalają wejść na ciężarówkę. Tylko ranni mężczyźni mogą jechać z kobiety i dzieci.

– A co się stało w Nsucce? Jak zdołałeś się stamtąd wydostać?

– To już wiele miesięcy, sah. Słyszałem bombardowanie, wtedy spakowałem pańska rzeczy i zakopałem ręcznypis w skrzynce w ogród, obok małego kwiatu, co to Jomo niedawno go sadził.

– Zakopałeś rękopis?

– Tak, sah, bo jak nie, to oni zabiorą mi go na drodze.

– Tak, oczywiście – odparł Richard. Trudno byłoby oczekiwać, że Harrison zabierze ze sobą „W czasach dzbanów oplecionych sznurem”. – Opowiadaj więc, co się z tobą działo.

Harrison pokręcił głową.

– Głód to niedobra rzecz, sah. Moja rodzina obserwuje kozy.

– Obserwują kozy?

– Patrzą, co oni jedzą, a potem gotują te same liście i dawają dzieciom do picia. To zatrzymuje kwashiorkor.

– Rozumiem – odrzekł Richard. – Idź teraz do służbówki i umyj się.

– Tak, sah. – Harrison podniósł się.

– Co teraz zamierzasz?

– Sah?

– Zamierzasz wrócić do swojej rodzinnej miejscowości?

Harrison miętosił w palcach bandaż opatulający jego rękę, sztywny od sztucznej krwi.

– Nie, sah. Czekam na koniec wojny i gotuję dla mój pan.

– Oczywiście – odrzekł Richard. Dobrze się stało, że dwóch służących Kainene wstąpiło do wojska i został tylko Ikejide.

– Sah, ja słyszałem, że Port Harcourt wkrótce będzie upadać. Barbarzyńcy nadciągają z dużo statki z Brytanii. Już ostrzeliwują okolice Port Harcourt.

– Harrisonie, idź się wykapać.

– Tak, sah.

Po wyjściu Harrisona Richard pogłośnił radio. Chociaż podobała mu się melodia głosu spikera Radia Kaduna mówiącego z arabskim akcentem, nie podobał mu się jego triumfalizm: „Port Harcourt został wyzwolony! Port Harcourt został wyzwolony!”. Już od dwóch dni bez przerwy powtarzano informację o upadku Port Harcourt. Podobnie mówiło Radio Lagos, choć już bez tak wiel-

kiej radości. Również BBC podało, że bliski upadek Port Harcourt stanowić będzie koniec Biafry, która utraci cenny port morski, port lotniczy i kontrolę nad ropą naftową.

Richard wyciągnął bambusowy korek ze stojącej na stole butelki i nalał sobie drinka. Różowy płyn rozszedł się ciepłą falą po ciele. W głowie kłębiły mu się intensywne emocje – ulga, że Harrison żyje, rozczarowanie, że jego rękopis leży zakopany w Nsucce, niepokój o losy Port Harcourt. Zanim nalał sobie drugiego drinka, przeczytał etykietę na butelce: REPUBLIKA BIAFRY, ZARZĄD BADAŃ I PRODUKCJI, NENE SHERRY, 45%. Powoli sączył alkohol. Madu przywiózł ostatnio dwa kartony, żartując, że pędzony na miejscu alkohol w butelkach po piwie stanowi element wysiłku na rzecz zwycięstwa w wojnie.

– Ludzie z Zarządu Badań i Produkcji twierdzą, że Ojukwu też to pije, ale ja w to wątpię – powiedział. – Ja piję tylko czyste trunki, bo nie wierzę w to kolorowanie.

Richard zawsze odczuwał zakłopotanie, słysząc lekceważący ton Madu, który o Jego Ekscelencji mówił „Ojukwu”, jednak nic nie powiedział, ponieważ nie chciał się spotkać z rozbawionym uśmiechem Madu, takim samym, z jakim mówił do Kainene: „Nasze samochody jeżdżą na mieszance nafty i oleju palmowego” albo: „Udoskonaliliśmy latającą ogbunigwe”, albo: „Złożyliśmy wóz pancerny ze złomu”. Nadużywanie liczby mnogiej oznaczało wykluczenie pewnych osób. Odpowiednio położony nacisk i niższy głos miały oznaczać, że Richard nie zalicza się do „naszych”, że gość nie ma takich praw jak gospodarze.

Dlatego też kilka tygodni temu Richard poczuł zmieszanie, kiedy Kainene powiedziała:

– Madu chciałby, żebyś coś napisał dla Zarządu Propagandy. Załatwi ci specjalną przepustkę i zapas paliwa, żebyś mógł jeździć. Będą wysyłać twoje artykuły do naszych ludzi zajmujących się public relations za granicą.

– Dlaczego ja?

Kainene wzruszyła ramionami.

– A dlaczego nie?

– Przecież ten człowiek mnie nienawidzi.

– Nie dramatyzuj. Sądzę, że potrzebny jest im doświadczony człowiek stąd, który napisze wiarygodne relacje podające coś więcej niż tylko liczbę białofrańskich ofiar.

Początkowo zwrot „człowiek stąd” zachwycił Richarda. Jednak szybko za-

częły się wkładać wątpliwości; z pewnością Kainene użyła sformułowania „człowiek stąd”, a nie Madu. Madu postrzegał go jako obcego i być może właśnie dlatego uznał, że Richard może się przydać. Kiedy zadzwonił Madu i zapytał, czy podejmie się tego zadania, Richard odmówił.

– Przemyślałeś to? – zapytał Madu.

– Nie prosiłbyś mnie o to, gdybym nie był biały.

– Jasne, że cię poprosiłem, bo jesteś biały. Twoje relacje będą dużo poważniej potraktowane właśnie dlatego, że jesteś biały. Pomyśl, przecież tak naprawdę to nie jest twoja wojna. To nie jest walka w imię twojej sprawy. Twój rząd może cię ewakuować w jednej chwili, jeśli tylko o to poprosisz. Nie wystarczy więc machać gałązeczka i krzyczeć: „Władza, władza”, żeby okazać poparcie dla Biafry. Jeśli naprawdę chcesz coś wnieść, w ten sposób możesz coś zrobić. Świat musi poznać prawdę o tym, co tu się dzieje, bo oni po prostu nie mogą trwać w milczeniu, kiedy my umieramy. Uwierzą białemu człowiekowi mieszkającemu w Biafrze, który ponadto nie jest profesjonalnym dziennikarzem. Ty możesz im powiedzieć, że nadal walczymy i zwyciężamy, chociaż każdego dnia bombardują nas nigeryjskie migi 17, iły 28 i L-29 delfiny pilotowane przez Rosjan i Egipcjan; że używają samolotów transportowych do ordynarnego zrzucania bomb i zabijania kobiet i dzieci; że Brytyjczycy i Sowieci w niecnym sojuszu dostarczają coraz więcej broni do Nigerii; że Amerykanie odmówili nam pomocy; że samoloty lecące do nas z pomocą humanitarną muszą lądować w nocy bez świateł, bo w dzień Nigeryjczycy je zestrzeliwiają...

Madu zrobił przerwę, żeby nabrać powietrza, a Richard powiedział:

– Zgoda, zrobię to. – W głowie huczały mu słowa: „Oni po prostu nie mogą trwać w milczeniu, kiedy my umieramy”.

Jego pierwszy artykuł opisywał upadek Onitshy. Napisał, że Nigeryjczycy wielokrotnie próbowali zdobyć to starożytne miasto, ale Biafrańczycy walczyli mężnie; że przed wojną publikowano tu setki poczytnych powieści; że gęsty, ponury dym płonącego mostu Niger wznosił się w niebo na podobieństwo prowokacyjnej elegii. Opisał katolicki kościół Świętej Trójcy, gdzie żołnierze nigeryjskiej drugiej dywizji najpierw wypróżnili się na ołtarzu, a potem zabili dwustu cywilów. Zacytował spokojne słowa naocznego świadka: „Barbarzyńcy to ludzie, którzy mają w dupie Boga i srają na Niego. Zwyciężymy ich”.

Pisząc ten artykuł, miał wrażenie, że znowu jest w szkole i pod kontrolą dyrektora pisze listy do ciotki Elizabeth. Doskonale pamiętał tego człowieka, jego plamistą cerę, to, jak mówiąc o nauce, używał słowa „bagnó”, jak jadł

owsiankę, spacerując po stołówce, bo twierdził, że tak zachowują się dżentelmeni. Richard do dziś nie miał pewności, czego wówczas bardziej nienawidził: obowiązku pisania listów do domu czy tej kontroli podczas sesji pisania. Nie był też pewien, co obecnie bardziej mu się nie podoba: to, że tym razem kontrolować go będzie Madu, czy świadomość, że ważne dla niego jest zdanie Madu. Kilka dni później nadeszła krótka wiadomość od Madu. „Tekst bardzo dobrze napisany (może następnym razem nieco mniej kwieciste?), został już wysłany do Europy”. Pismo miał niewyraźne i ściśnięte, a widniejące na papierze słowo NIGERYJSKA w nagłówku NIGERYJSKA ARMIA przekreślono tuszem i pospiesznie dopisano drukowanymi literami: BIAFRANŃSKA. Niemniej słowa Madu przekonały Richarda o słuszności podjętej decyzji. Wyobrażał sobie, że jest młodym Winstonem Churchillem relacjonującym bitwę wojsk Kitchenera pod Omdurmanem, bitwę sił silniejszych ze słabszymi, z tą różnicą że w przeciwieństwie do Churchilla on był po stronie moralnych zwycięzców.

Po upływie kilku tygodni i napisaniu kilku artykułów poczuł, że stał się częścią wydarzeń. Znajdował przyjemność w szacunku, jaki pojawił się w oczach kierowcy, który wyskakiwał z samochodu, żeby otworzyć mu drzwi, chociaż Richard powiedział, żeby nie robił sobie kłopotu. Znajdował przyjemność w tym, jak szybko podejrzliwe spojrzenia funkcjonariuszy obrony cywilnej, sprawdzających jego przepustkę służby specjalnej, zmieniały się w szerokie uśmiechy, kiedy witał się z nimi w języku ibo; w tym, jak chętnie ludzie odpowiadali na jego pytania. Znajdował przyjemność w wyższości, z jaką rozmawiał z zagranicznymi dziennikarzami, ogólnikowo przedstawiając przyczyny wojny – konsekwencje strajku powszechnego, spisu ludności i chaosu w Regionie Zachodnim – cały czas zdając sobie sprawę, że tamci nie mają pojęcia, o czym on mówi.

Ale największą przyjemność miał ze spotkania z Jego Ekszelencją. Doszło do tego podczas przedstawienia w Owerri. Nalot zniszczył wszystkie żaluzje w teatrze i wieczorna bryza porывała część kwestii wypowiedzianych przez aktorów. Richard siedział kilka rzędów za Jego Ekszelencją, a po spektaklu jeden z najważniejszych ludzi Zarządu Mobilizacji przedstawił ich sobie. Mocny uścisk dłoni, słowa: „Dziękuję za dobrą pracę, którą pan wykonuje”, wypowiedziane tym cichym głosem z oksfordzkim akcentem, wypełniły Richarda spokojem. I chociaż jego zdaniem polityczna sztuka była niezbyt wyrefinowana, nie podzielił się tą opinią. Zgodził się z Jego Ekszelencją: „Wspaniałe przedstawienie, po prostu wspaniałe”.

Richard słyszał Harrisona krzążącego się w kuchni. Dostroił radio na rozgłośnie Biafra i wysłuchał końcówki wiadomości o nieprzyjacielu zamkniętym w klinie w Obie, po czym wyłączył radio. Nalał sobie małego drinka i jeszcze raz przeczytał ostatnie zdanie. Pisał o jednostce sił specjalnych, o tym, jaką popularnością i szacunkiem cieszy się wśród ludności cywilnej, lecz osobista niechęć do jej dowódcy, niemieckiego najemnika, spowodowała, że tekst wyszedł nazbyt oficjalny. Cały artykuł napisany był jakimś przyciężkim stylem. Wypita sherry jeszcze spotęgowała niezadowolenie Richarda, zamiast je stłumić. Podniósłszy się, chwycił za telefon, by zadzwonić do Madu.

– Richard – odezwał się Madu. – Masz szczęście, właśnie wszedłem.

– Czy są jakieś wiadomości o Port Harcourt?

– Wiadomości?

– Czy miasto jest zagrożone? Doszło do ostrzału w Umuokwurusi, prawda?

– Och, dysponujemy wiarygodnymi informacjami, że kilku sabotażystom udało się uzyskać dostęp do jakichś pocisków. Czy sądzisz, że gdyby barbarzyńcy naprawdę byli tak blisko, zdecydowałiby się na tak ograniczony ostrzał?

Natychmiast poczuł się głupio, słysząc znajomy ton rozbawienia w głosie Madu.

– Przepraszam, że cię niepokoiłem, po prostu pomyślałem... – mówił coraz ciszej, aż umilkł.

– Nic się nie stało. Pozdrów Kainene, kiedy wróci – powiedział Madu i rozłączył się.

Richard dopił drinka i już chciał nalać sobie następnego, jednak zmienił zdanie. Zakorkował butelkę i wyszedł na werandę. Morze było nieruchome. Przeciągnął się i szybkim ruchem przesunął ręką po włosach, jakby chciał strzasnąć złe przeczucia. Jeśli Port Harcourt upadnie, straci miasto, które pokochał, miasto, w którym kochał; straci część siebie. Ale Madu musiał mieć rację. Gdyby miasto miało upaść, nie zaprzeczałby prawdziwości tych informacji, z pewnością nie zrobiłby tego, skoro szło o miasto, w którym mieszkała Kainene. Jeśli Madu twierdzi, że Port Harcourt nic nie zagraża, to znaczy, że rzeczywiście tak jest.

Richard spojrział na swoje mgliste odbicie w szklanych drzwiach. Był opalony, jego włosy zdawały się gęstsze, lekko zmierzwione, i pomyślał o słowach Rimbauda: „Ja to ktoś inny”.

Kainene roześmiała się, kiedy Richard opowiedział jej o burakach Harri-

sona. A potem dotknęła jego ramienia i rzekła: „Nie martw się, jeśli rękopis jest w skrzynce, termity nic mu nie zrobią”. Zrzuciła robocze ubranie i przeciągnęła się leniwie, a on podziwiał smukłość jej wygiętych w łuk pleców. Poczł gwałtowny przypływ pożądania, ale musiał poczekać do wieczoru, kiedy będzie już po kolacji, kiedy wyjdą wszyscy przyjmowani przez nią goście, kiedy Ikejide uda się na spoczynek. Wyjdą na werandę, Richard odsunie stół na bok, rozłoży miękki pled i położy się nagi na plecach. Kiedy ona siądzie na nim okrakiem, chwyci ją za biodra i spoglądając w górę, w nocne niebo, przez te chwile będzie pewny znaczenia szczęścia. Ten ich nowy rytuał zaczął się z początkiem wojny i jedynie za to mógł być wdzięczny tej wojnie.

– Dzisiaj przyszedł do mojego biura Colin Williamson – odezwała się Kainene.

– Nie wiedziałem, że wrócił – odparł Richard, a przed oczami stanęła mu spalona słońcem twarz Colina, jego pożółkłe zęby odsłaniające się, kiedy zdecydowanie zbyt często mówił o swojej rezygnacji z pracy w BBC, ponieważ jego redaktorzy sympatyzowali z Nigerią.

– Przywiózł list od mojej matki.

– Od twojej matki!

– Czytała jego relację w „Observerze” i skontaktowała się z nim, żeby zapytać, czy wraca do Biafry i czy nie zawióźłby do Port Harcourt listu jej córce. Była zaskoczona, kiedy powiedział, że nas zna.

Richard uwielbiał ten sposób, w jaki mówiła „nas”.

– U nich wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak, nikt nie bombarduje Londynu. Matka pisze, że ma koszarne sny, w których Olanna i ja umieramy, modli się i wraz z ojcem zaangażowali się w zorganizowaną w Londynie kampanię na rzecz ocalenia Biafry. Co pewnie oznacza, że wpłacili jakiś drobny datek. – Kainene urwała i wręczyła mu kopertę. – Nawet dosyć zmyślnie przylepiła taśmą trochę brytyjskich funtów do wewnętrznej wyściółki karty. Jestem pełna podziwu. Dla Olanny też przysłała kopertę.

Szybko przeczytał treść listu. „Pozdrów Richarda” na samym dole błękitnego papieru było jedyną wzmianką o nim. Chciał zapytać, jak zamierza przekazać list Olannie, lecz nie zrobił tego. Z każdym miesiącem, z każdym rokiem mijającym bez słowa o Olannie milczenie stawało się coraz głębsze. Od początku wojny Kainene otrzymała trzy listy od Olanny, ale zawsze kwitowała to stwierdzeniem, że je dostała. I nie odpowiadała na nie.

– Poślę kogoś w przyszłym tygodniu do Umuahii, żeby dostarczył list Olan-

nie – powiedziała Kainene.

Zwrócił jej list. Cisza zaczęła być nieznośna.

– Nigeryjczycy nie przestaną mówić o Port Harcourt – rzekł Richard.

– Nie zdobędą Port Harcourt. Mamy tu najlepszy batalion. – Mówiła tonem dość swobodnym, lecz w jej oczach można było dostrzec jakąś powściągliwość, z taką samą powściągliwością w oczach kilka miesięcy temu mówiła mu, że chciałyby kupić nieukończony dom w Orlu. Powiedziała, że lepiej mieć nieruchomość niż gotówkę, jednak on podejrzewał, że ten dom ma stanowić dla niej zabezpieczenie na wypadek upadku Port Harcourt. Dla niego sama myśl o upadku Port Harcourt była bluźnierstwem. Kiedy w kolejne weekendy jeździli do Orlu sprawdzić postępy na budowie i dopilnować, żeby robotnicy nie kradli materiałów, Richard nigdy nie mówił o wspólnym mieszkaniu w tym domu, jakby chcąc rozgrzeszyć się z tego bluźnierstwa.

Nie chciał też już podróżować. Chciał chronić Port Harcourt samą swoją obecnością, miał wrażenie, że dopóki on tu jest, nic się nie wydarzy. Ale europejscy specjaliści od public relations poprosili o artykuł na temat lądowiska w Uli, więc wyjechał, choć niechętnie, bardzo wczesnym rankiem, żeby zdążyć wrócić przed południem, kiedy nigeryjskie samoloty ostrzeliwały pojazdy na głównych drogach. Na szosie do Okigwe ział szeroki lej po bombie. Kiedy kierowca ostro skręcił, żeby go ominąć, Richarda ogarnęły znajome już złe przeczucia, lecz w miarę jak zbliżali się do Uli, humor nieco mu się poprawił. Była to jego pierwsza wizyta w jedynym punkcie łączącym Biafrę ze światem zewnętrznym, na cudownym lądowisku, gdzie jedzenie i broń wymykały się nigeryjskim bombowcom. Wysiadł z samochodu i spojrzał na płytę lotniska, po obu stronach zarośniętą gęstymi krzakami, i pomyślał o ludziach, którzy mając tak niewiele, potrafili tak wiele zrobić. Na samym końcu pasa stał mały odrzutowiec. Poranne słońce paliło niemiłosiernie; na płycie lotniska trzech mężczyzn rozkładało postrzępione palmowe liście, pracowali szybko w pocie czoła, pchając po całym terenie wielkie wózki wypełnione liśćmi. Richard podszedł do nich i powiedział: „Brawo, jisienu ike”.

Z położonego obok niedokończonego budynku dworca lotniczego wyszedł funkcjonariusz i uściśnął rękę Richardowi.

– Tylko proszę za dużo nie napisać! Proszę nie ujawniać naszych tajemnic – zażartował.

– Ależ oczywiście – odrzekł Richard. – Czy mogę przeprowadzić z panem wywiad?

Mężczyzna uśmiechnął się promiennie, naprężył barki i wyjaśnił:

– Cóż, ja jestem odpowiedzialny za sprawy celne i imigracyjne.

Richard ukrył uśmiech. Ludzie zawsze czuli się ważni, kiedy prosił ich o wywiad. Porozmawiali, stojąc przy płycie lotniska, po czym mężczyzna wrócił do budynku i po chwili wyszedł stamtąd wysoki blondyn. Richard rozpoznał tego człowieka, to był hrabia Von Rosen. Wyglądał na starszego niż na zdjęciu widzianym przez Richarda, ale choć dobiegał siedemdziesiątki, starał się w sposób elegancki, szedł długimi krokami, a jego podbródek był wyraźnie zarysowany.

– Powiedziano mi, że pan tu jest, i pomyślałem, że się przywitam – powiedział i chwycił dłoń Richarda w uścisk równie stalowy jak spojrzenie jego zielonych oczu. – Właśnie czytałem pana doskonały artykuł o brygadzie Biafrańskich Chłopców.

– Bardzo mi miło pana poznać, hrabio – odrzekł Richard. I rzeczywiście była to przyjemność. Odkąd przeczytał o szwedzkim arystokracie, który własnym samolotem dokonywał nalotów na nigeryjskie cele, pragnął spotkać tego człowieka.

– To wyjątkowi ludzie – rzekł hrabia, spoglądając na robotników, którzy dokładali starań, żeby czarna płyta lotniska wyglądała z powietrza jak busz. – Wyjątkowy kraj.

– Tak – zgodził się Richard.

– Lubi pan ser? – zapytał hrabia.

– Ser? Tak. Oczywiście.

Hrabia włożył rękę do kieszeni i wyjął małą paczuszkę.

– Doskonały cheddar.

Richard wziął ser, starając się ukryć zaskoczenie.

– Dziękuję.

Hrabia ponownie zaczął grzebać w kieszeni i Richard już się wystraszył, że zaraz wyciągnie kolejną porcję sera. Ale Von Rosen wyjął okulary słoneczne i włożył je na nos.

– Słyszałem, że pana żona jest bogatą kobietą z ludu Ibo, jedną z osób, które zostały tu, żeby walczyć za sprawę.

Richard nigdy nie myślał w ten sposób: że Kainene została, by walczyć za sprawę, ale ucieszyło go, że tak hrabiemu przekazano, informując go ponadto, że są z Kainene małżeństwem. Poczł się nagle szalenie z niej dumny.

– Tak, to nadzwyczajna kobieta.

Zapadła cisza. Poufały gest w postaci prezentu z sera wymagał rewanżu, więc Richard otworzył notatnik i pokazał hrabiemu zdjęcie Kainene, z papie-

rosem w ustach przy basenie, a następnie zdjęcie dzbana oplecionego sznurami.

– Najpierw zakochałem się w sztuce Ibo-Ukwu, a potem w tej kobiecie – powiedział.

– Piękne, i jedno, i drugie – odparł hrabia, zanim zdjął okulary słoneczne, by przyrzeć się fotografiom.

– Wybiera się pan dzisiaj na akcję? – spytał Richard.

– Tak.

– Dlaczego pan to robi?

Hrabia ponownie nałożył okulary.

– Pracowałem z bojownikami o wolność w Etiopii, a wcześniej latałem wspomagać warszawskie getto – powiedział, uśmiechając się nieznacznie, jakby to miało stanowić odpowiedź na pytanie. – Muszę się już zbierać. Proszę trzymać tak dalej.

Richard patrzył za odchodzącym hrabią, dworzaniem z wyprostowanymi plecami, i pomyślał, jak bardzo ten człowiek różni się od najemnika, z którym kiedyś rozmawiał. „Kocham Biafrańczyków”, powiedział mu tamten czerwony na twarzy Niemiec. „Zupełnie nie przypominają tych cholernych czarnuchów w Kongu”. Rozmawiał z Richardem w swoim domu w buszu, popijając whisky z dużej butelki i obserwując swoje adoptowane dziecko – ślicznego biafrańskiego maluszka – bawiące się na podłodze stertą odłamków pocisku. Richarda irytowała tkliwa pogarda, z jaką traktował to dziecko, a także jego wyjątkowy stosunek do Biafrańczyków. Można było odnieść wrażenie, że najemnik uważa, iż w końcu spotkał Murzynów, których da się lubić. Hrabia był inny. Richard jeszcze raz rzucił okiem na malutki odrzutowiec, zanim wszedł do samochodu.

W drodze powrotnej, już dojeżdżając do Port Harcourt, usłyszał odległą kanonadę. Po krótkim czasie strzelanina ucichła. Martwiło go to. A kiedy Kainene zaproponowała, żeby następnego dnia pojechali do Orlu i poszukali cieśli potrzebnego w nowym domu, Richard zatroskał się, bo wolałby tam nie jechać. Czul niepokój, myśląc o dwóch kolejnych dniach poza Port Harcourt.

Nowy dom stał w otoczeniu nerkowców. Richard pamiętał przygnębiający widok tego budynku, kiedy Kainene go kupiła – na wpół ukończony, z warstwami zielonej pleśni na niepomalowanych ścianach – a gromadzące się na opadłych orzechach nerkowca muchy i pszczoły przyprawiały go o mdłości. Poprzedni właściciel był dyrektorem pobliskiej szkoły średniej. Szkołę prze-

kształcono w obóz dla uchodźców, później zmarła jego żona, on zaś do domu wprowadzał kozy i dzieci. Tyle razy powtarzał: „Ten dom jest poza zasięgiem ostrzału, zupełnie poza zasięgiem ostrzału”, że Richard zaczął się zastanawiać, skąd ten człowiek może wiedzieć, gdzie Nigeryjczycy będą prowadzić ostrzał. Kiedy teraz szli przez puste, świeżo pomalowane pokoje, Richard przyznał, że bungalow ma w sobie jakiś dyskretny urok. Kainene zatrudniła dwóch cieśli z obozu dla uchodźców, porobiła szkice na kartce papieru, a gdy wsiadła do samochodu, powiedziała do Richarda: „Nie wierzę, że zrobią porządny stół”.

Wyjeżdżając z Orlu, usłyszeli przenikliwy dźwięk. Kierowca gwałtownie zahamował na środku drogi, wyskoczyli z samochodu i rzucili się w gęsty zielony busz. Idące drogą kobiety również zaczęły biec, jednocześnie podnosząc głowy i w przerażeniu kręcąc nimi na wszystkie strony. Jeszcze nigdy wcześniej Richard nie musiał kryć się wraz z Kainene, która leżała teraz obok niego płasko i nieruchomo na ziemi. Ich ramiona dotykały się. Za nimi znajdował się kierowca. Wokół panowała absolutna cisza. Richard zaniepokoił się, słysząc głośny szmer w pobliżu, ale po chwili z krzaków wypełzła jaszczurka z czerwonym łbem. Leżeli tak przez jakiś czas, w końcu podnieśli się, słysząc pracujący na coraz wyższych obrotach silnik samochodu i odzywające się w pobliżu głosy: „Zginęły moje pieniądze! Zginęły moje pieniądze!” Niedaleko mieścił się targ. Ktoś okradł jedną z handlarek, kiedy ona szukała schronienia. Richard widział tę kobietę i kilka innych, jak stoją przed otwartymi straganami, krzycząc coś i gestykulując. Trudno było uwierzyć, jak cicho było tu jeszcze chwilę temu, a także jak doskonale prosperują białafrańskie targi w buszu, odkąd Nigeryjczycy zbombardowali w Awgu targ na otwartym powietrzu.

– Fałszywy alarm jest gorszy od prawdziwego – stwierdził kierowca.

Kainene otrzepała się starannie, ale ziemia była wilgotna i błoto przylepiło się do ubrania, przez co jej błękitna sukienka wyglądała, jakby zaprojektowano ją z plamami w kolorze czekolady. Wsiadli do samochodu i ruszyli w dalszą drogę. Richard wyczuwał dość gotującą się w Kainene.

– Spójrz na drzewo – powiedział jej, pokazując drzewo od konarów przez cały pień równo rozcięte na dwie części. Jedna połówka wciąż jeszcze stała, lekko przechylona, a druga leżała na ziemi.

– Wygląda na świeże – zauważyła Kainene.

– Mój wujek był pilotem podczas wojny. Bombardował Niemcy. Trudno mi sobie wyobrazić, że robił coś takiego.

– Nie mówiłeś o nim.

– Zginął. Został zestrzelony. – Richard urwał. – Napiszę o naszych nowych targowiskach w lesie.

Kierowca zatrzymał samochód na punkcie kontrolnym. Przy drodze stała ciężarówka wypakowana sofami, regalami i stołami, a obok jakiś mężczyzna rozmawiał z młodą funkcjonariuszką służby cywilnej, ubraną w dżinsy w kolorze khaki i płócienne buty. Kobieta zostawiła go i podeszła do ich samochodu, przyglądając się Richardowi i Kainene. Poleciała kierowcy otworzyć bagażnik, zajrzała do schowka w aucie, potem wyciągnęła rękę po torebkę Kainene.

– Gdybym miała bombę, nie chowałabym jej w torebce – burknęła Kainene.

– Co pani mówiła? – zapytała młoda kobieta.

Kainene nic nie odpowiedziała. Kobieta dokładnie przejrzała zawartość torebki. Wyjęła małe radio.

– Co to jest? Czy to nadajnik?

– To nie jest żaden nadajnik. To jest radio – odparła Kainene z szyderczą powolnością. Młoda kobieta przyjrzała się ich specjalnym przepustkom, uśmiechnęła się i poprawiła beret na głowie. – Przepraszam panią. Ale zdaje sobie pani sprawę, że sabotażyści używają przeróżnych dziwnych urządzeń do kontaktowania się z Nigerią. Naszym hasłem jest czujność.

– Dlaczego zatrzymaliście tę ciężarówkę? – zapytała Kainene.

– Zawracamy ludzi wywożących meble.

– Dlaczego?

– Taka ewakuacja wywołuje panikę wśród ludności cywilnej. – Można było odnieść wrażenie, że recytuje wyuczoną lekcję. – Nie ma powodu do niepokoju.

– A co będzie, jeśli miasto rzeczywiście niedługo upadnie? Czy pani wie, skąd on przyjechał?

Kobieta zeszywniała.

– Do widzenia pani.

Gdy tylko kierowca uruchomił samochód, Kainene powiedziała:

– Przecież to jakiś upiorny żart, nie sądzisz?

– Co? – zapytał Richard, choć wiedział, co miała na myśli.

– Ten przestrah, który wzbudzamy w naszych rodakach. Bomby w stacjach! Bomby w puszkach mleka dla niemowląt! Na każdym kroku sabotażyści! Uważajcie na swoje dzieci, bo mogą pracować dla Nigerii!

– To normalne w czasie wojny – stwierdził. Czasami wolałby, żeby nie traktowała wszystkiego z taką wyższością. – Ważne, żeby ludzie zdawali sobie

sprawę z obecności sabotażystów.

– Jedyjni sabotażyści, jakich mamy, to ci wynalezieni przez Ojukwu, żeby mógł zamykać swoich przeciwników i mężów kobiet, które on pożąda. Czy opowiadałam ci o tym gościu z Onitshy, który wykupił cały cement, jaki mieliśmy w zakładzie, zaraz po tym, jak uchodźcy zaczęli wracać? Ojukwu ma romans z żoną tego człowieka i właśnie go aresztowano bez żadnego konkretnego powodu.

Stukała stopą w podłogę samochodu. Zawsze wyrażała się jak Madu, kiedy mówiła o Jego Ekscelencji. Richard nie był jednak przekonany co do szczerości jej pogardy, która zaczęła się, kiedy Madu się poskarżył, że Jego Ekscelencja pominął go w awansie i głównodowodzącym mianował kogoś niższego od niego rangą. Gdyby Jego Ekscelencja wówczas nie pominął Madu, pewnie byłaby wobec niego mniej krytyczna.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, ilu oficerów pozamykał? Jest tak podejrzliwy wobec swoich oficerów, że zakupów broni dokonuje przez cywilów. Madu opowiadał, że własni kupili w Europie jakieś beznadziejne karabiny samopowtarzalne. Kiedy Biafra stanie się wreszcie prawdziwym państwem, będziemy musieli usunąć Ojukwu.

– I kto miałby zająć jego miejsce? Madu?

Kainene roześmiała się ku jego zaskoczeniu, ale i radości, ubawiona jego sarkazmem. Ponownie ogarnęły go złe przeczucia, znowu czuł bulgotanie w brzuchu, gdy zbliżali się do Port Harcourt.

– Zatrzymaj się, żebyśmy mogli kupić akara i smażoną rybę – powiedziała Kainene do kierowcy i wystarczyło, że kierowca nacisnął pedał hamulca, a Richard znowu zaczął się denerwować.

Kiedy dotarli do domu, Ikejide poinformował ich, że pułkownik Madu telefonował cztery razy.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało – powiedziała Kainene, rozpakowując zawinięte w zatłuszczoną gazetę suszoną rybę i ciastka fasolowe.

Richard wziął jeszcze gorące akara i podmuchał na nie, wmawiając sobie, że Port Harcourt jest bezpieczny. Wszystko jest w porządku. Zadzwoił telefon i Richardowi aż serce zadrżało, kiedy po podniesieniu słuchawki usłyszał głos Madu.

– Jak się masz? Wszystko w porządku? – zapytał Madu.

– W porządku. A czemu pytasz?

– Podobno Wielka Brytania dostarczyła Nigerii pięć okrętów i dzisiaj młodzież podpala brytyjskie sklepy i domy w Port Harcourt. Chciałem się

upewnić, czy nie miałeś jakichś kłopotów. Mogę przysłać jednego czy dwóch moich ludzi.

W pierwszej chwili Richard zirytował się na myśl, że wciąż jest obcokrajowcem, który może zostać zaatakowany, lecz już po chwili poczuł wdzięczność do Madu za jego troskę.

– Nic nam nie jest – powiedział. – Właśnie wróciliśmy z oględzin domu w Orlu.

– Och, to dobrze. Dajcie mi znać, gdyby coś się stało. – Madu zrobił przerwę i stłumionym głosem powiedział coś do kogoś po drugiej stronie linii, zanim ponownie odezwał się do słuchawki: – Powinieneś napisać o tym, co wczoraj powiedział francuski ambasador.

– Tak, oczywiście.

– „Mówiono mi, że Biafrańcy walcą jak bohaterowie, ale teraz wiem, że to bohaterowie walcą jak Biafrańcy” – wyrecytował z dumą Madu, jakby osobiście otrzymał ten komplement i teraz chciał się upewnić, że Richard o tym wie.

– Tak, oczywiście – powtórzył Richard. – Port Harcourt jest bezpieczny, tak?

Po drugiej stronie linii nastała cisza.

– Aresztowano kilku sabotażystów, wszyscy należą do mniejszości spoza ludu Ibo. Nie mam pojęcia, dlaczego ci ludzie uparli się, żeby pomagać nieprzyjacielowi. Ale my zwyciężymy. Jest Kainene?

Richard podał jej słuchawkę. Odbierał jak profanację to, że niektórzy ludzie mogą zdradzić Biafrę. Pamiętał mężczyzn z ludu Ijaw i Efik, z którymi rozmawiał w banku w Owerri, mówiących, że zostaną zdominowani przez Ibo, kiedy Biafra stanie się pełnoprawnym państwem. Richard tłumaczył im, że państwo zrodzone na popiołach niesprawiedliwości ograniczy własną niesprawiedliwość. Kiedy patrzyli na niego z powątpiewaniem, wspominał o generale wywodzącym się z ludu Efik, o dyrektorze z ludu Ijaw, a także o należących do mniejszości żołnierzach, którzy tak wspaniale walcą za sprawę. Jednak oni wciąż wyglądali na nieprzekonanych.

W następnych dniach Richard nie ruszał się z domu. Zajęty pisaniem o leśnych targowiskach, często stawał na werandzie i patrzył na drogę, jakby spodziewał się tłumów młodzieży nacierających na dom z płonącymi pochodniami. Kainene widziała w drodze do pracy jeden ze spalonych domów. Niezbyt się postarali, stwierdziła, zaledwie osmalili ściany. Richard też chciał to zo-

baczyć, chciał o tym napisać i może nawet powiązać ze spalaniem kukieł Wilsona i Kosygina, które widział ostatnio na rządowym stadionie, ale odczekał cały tydzień, chcąc mieć pewność, że Brytyjczykowi nic nie grozi na ulicy, zanim wczesnym rankiem wybrał się na przejażdżkę po mieście.

Z zaskoczeniem zauważył nowy posterunek na Aggrey Road, a jeszcze bardziej zdziwiła go obecność strzegących go żołnierzy. Być może miało to jakiś związek ze spalonymi domami. Droga była pusta, gdzieś zniknęli wszyscy krzykliwi uliczni sprzedawcy ze swoimi orzeszkami, gazetami i suszonymi rybami. Pośrodku drogi stał żołnierz, który na ich widok zaczął wymachiwać karabinem, pokazując, żeby zawrócili. Kierowca zatrzymał samochód i Richard pokazał swoją przepustkę. Żołnierz zlekceważył przepustkę i dalej wymachiwał bronią.

– Zawracać! Zawracać!

– Dzień dobry – zaczął Richard. – Nazywam się Richard Churchill i jestem...

– Zawracajcie albo będę strzelać! Nikt nie może wyjechać z Port Harcourt! Nie ma powodu do niepokoju!

Palce mężczyzny drżały na karabinie. Kierowca zawrócił samochodem. Złe przecucia Richarda zatkały mu nozdrza jak twarde kamyki, ale starał się zachowywać swobodnie, kiedy wrócił do domu i opowiadał Kainene, co się wydarzyło.

– Jestem pewien, że to nic takiego – powiedział. – Krąży tyle plotek, że prawdopodobnie armia stara się powstrzymać panikę.

– Bez wątplenia to doskonała metoda – odparła Kainene, a na jej twarzy ponownie odmalowała się rezerwa. Wkładała jakieś dokumenty do segregatora. – Powinniśmy zadzwonić do Madu i sprawdzić, co się dzieje.

– Tak – zgodził Richard. – Pójdę się ogolić. Nie zdążyłem się ogolić przed wyjściem.

Pierwszy huk usłyszał w łazience. Dalej przesuwiał maszynką po podbródku. Dźwięk się powtórzył: „bum, bum, bum”. Okienne żaluzje rozleciały się w drobny mak, na podłogę z brzękiem posypały się kawałki szkła. Kilka upadło tuż obok jego stóp.

Kainene otworzyła drzwi do łazienki.

– Kazałam Harrisonowi i Ikejidemu wrzucić trochę rzeczy do samochodu – powiedziała – Zostawiamy forda, pojedziemy peugeotem.

Richard odwrócił się, popatrzył na nią i nagle zebrało mu się na płacz. Wolałby być tak spokojny jak ona, chciał, żeby mu się ręce tak bardzo nie trzę-

sły, kiedy je mył. Zabrał swój krem do golenia, jej mydła, kilka gąbek i wrzucił to wszystko do torby.

– Richardzie, musimy się spieszyć, strzały słychać bardzo blisko – powiedziała Kainene i ponownie rozległo się głośnie „bum, bum, bum”. Wkładała swoje i jego rzeczy do walizki. Szuflady, w których znajdowały się jego koszule i bielizna, były wyciągnięte, a ona pakowała się szybko i metodycznie. Przesunął dłonią po swoich książkach, stojących rzędem na półce, i zaczął szukać kartek, na których ponotował uwagi do fragmentu opisującego ogbunigwe, fantastyczne miny lądowe produkowane przez Biafrę. Był pewien, że zostawił je na stole. Zajrzał do szuflad.

– Widziałaś moje papiery? – zapytał.

– Richardzie, musimy przedostać się przez główną falę nalotu, zanim zaatakują – powiedziała Kainene. Wcisnęła do Swojej torby dwie grube koperty.

– Co to za koperty? – zapytał.

– Pieniądze na wszelki wypadek.

Harrison i Ikejide weszli do domu i zaczęli wyciągać dwie spakowane walizki na dwór. Richard słyszał nad głową tyk samolotów. Nie, to niemożliwe. Nigdy wcześniej nie było nalotu na Port Harcourt, a teraz, kiedy barbarzyńcy prowadzili z bliska ostrzał, kiedy Port Harcourt miał upaść, nalot byłby zupełnie bez sensu. Ale tego dźwięku nie można było pomylić, toteż gdy Harrison krzyknął: „Sah, nieprzyjacielski samolot!”, jego słowa były zbędne.

Richard ruszył w stronę Kainene, lecz wybiegała już z pokoju, podążył więc za nią.

– Szybko do sadu! – rzuciła tylko, mijając Harrisona i Ikejidego przyczajonych pod stołem kuchennym.

Powietrze na dworze było wilgotne. Richard podniósł wzrok i dostrzegł wrogie samoloty, dwa, nisko lecące, o kształtach złowieszczo wyrażających aerodynamiczną skuteczność, ciągnące za sobą srebrzystobiałe linie na niebie. Strach zasiał bezradność w całym jego ciele. Leżeli pod drzewami pomarańczowymi, on i Kainene, jedno przy drugim, w milczeniu. Harrison i Ikejide wybiegli z domu, Harrison rzucił się płasko na ziemię, a Ikejide wciąż biegł, pochylony nieco do przodu wymachiwał rękami, głowa mu podskakiwała przy każdym ruchu. W tym momencie powietrze przeszył lodowaty świst pocisku z moździerza, potem rozległ się łoskot, kiedy pocisk uderzył w ziemię, i huk, kiedy eksplodował. Richard przycisnął Kainene do siebie. Tuż obok nich świsnął wielki jak pięść kawałek odłamka. Ikejide biegł dalej, ale gdy Richard na moment odwrócił wzrok, głowa Ikejidego gdzieś zniknęła. Ciało biegło po-

chylone nieco do przodu, wymachując rękami, lecz głowy nie było. Był tylko zakrwawiony kark. Kainene krzyczała. Ciało upadło obok jej długiego amerykańskiego samochodu, samoloty odleciały i zniknęły w oddali, a oni wszyscy leżeli nieruchomo przez długie minuty, aż Harrison podniósł się i powiedział:

– Przyniosę torba.

Wróci! z torbą z rafii. Richard odwrócił wzrok, gdy Harrison podnosił głowę Ikejidego i wkładał ją do torby. Kiedy później, chwyciwszy za wciąż jeszcze ciepłe kostki u nóg, szedł z trzymającym ciało za nadgarstki Harrisonem do płytkiego grobu na końcu sadu, ani razu nie spojrzał bezpośrednio na niesiony ciężar.

Kainene siedziała na ziemi i patrzyła na nich.

– Nic ci nie jest? – zapytał ją Richard.

Nie odpowiedziała. W jej oczach widać było jakąś niesamowitą pustkę. Richard nie wiedział, co robić. Potrząsnął nią delikatnie, ale wyraz pustki pozostał, poszedł więc do kranu i wylał na nią wiadro wody.

– Przestań, na litość boską – powiedziała i podniosła się. – Zmoczyłeś mi sukienkę.

Wyjęła z walizki drugą sukienkę i przebrała się w kuchni, a potem ruszyli do Orlu. Już się nie spieszyła, powoli rozprostowała kołnierzyk, przyglądała dłońmi pogniecioną górną część sukienki. Mieszanina dźwięków wstrząsała Richardem, kiedy kierował samochodem – „bum, bum, bum” mózdzierzy, wzmożony terkot wystrzałów – i w każdej chwili spodziewał się zobaczyć nigeryjskiego żołnierza, który ich zatrzyma albo zaatakuje czy też rzuci w nich granatem. Nic się nie wydarzyło. Drogi były zatłoczone. Gdzieś zniknęły posterunki. Siedzący z tyłu Harrison szepnął w przestrachu:

– Używają wszystko, co tylko mają, żeby wziąć Port Harcourt.

Kainene nic nie powiedziała po przybyciu do Orlu, kiedy okazało się, że nie ma ani stolarzy, ani mebli. Mężczyźni zniknęli wraz z zaliczką. Po prostu poszła do pobliskiego obozu dla uchodźców i znalazła kolejnego stolarza, mężczyznę o ziemistej cerze, który chciał otrzymać zapłatę w jedzeniu. W kolejnych dniach przez większość czasu nie odzywała się, zamknięta w sobie, kiedy razem siedzieli na dworze i obserwowali stolarza, który ciął, uderzał młotkiem, wyrównywał powierzchnie.

– Dlaczego nie chce pan pieniędzy? – zapytała go Kainene.

– A co kupię za pieniądze? – odpowiedział pytaniem.

– Chyba jest pan głupcem – rzekła Kainene. – Za pieniądze można wiele kupić.

– Ale nie w Biafrze. – Wzruszył ramionami. – Wystarczy, jak pani da mi garri i ryż.

Kainene nic więcej nie powiedziała. Na werandę spadły ptasie odchody i Richard wytarł je liściem nerkowca.

– Wiesz, że Olanna spotkała kiedyś kobietę, która wiozła głowę swojego dziecka? – odezwała się Kainene.

– Tak – odparł Richard, chociaż nic o tym nie wiedział. Nigdy nie opowiadała mu o przeżyciach Olanny z okresu rzezi.

– Chcę ją zobaczyć.

– Powinnaś pojechać. – Richard odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i wlepił wzrok w jedno z ukończonych krzesel. Było kanciaste i brzydkie.

– Jak to możliwe, że odłamek tak zupełnie uciał Ikejidemu głowę? – zapytała Kainene, jakby liczyła, że usłyszy, iż wcale nie było tak, jak jej się wydawało.

Ach, gdyby tylko mógł jej to powiedzieć!... Płakała po nocach. Mówiła mu, że chciałyby śnić o Ikejidem, ale każdego ranka budziła się, pamiętając dokładnie jego biegnące bezgłowe ciało i jednocześnie widząc siebie, spowitą we mgle bezpieczniejszych rejonów snu, jak pali papierosa utrzymanego w eleganckiej złotej cygarniczce.

Kiedy furgonetka dostarczyła worki garri do domu, Kainene poleciła Harrisonowi ich nie dotykać, ponieważ były przeznaczone dla obozu dla uchodźców. Została nowym dostawcą żywności.

– Sama rozdám uchodźcom jedzenie i poproszę Centrum Badań Rolniczych o łajno – powiedziała Richardowi.

– Łajno?

– Nawóz naturalny. Możemy na terenie obozu otworzyć gospodarstwo. Sami wyhodujemy sobie proteiny, soję i akidi.

– Rozumiem.

– Jest tu mężczyzna z Enugu, który ma niesamowity talent do robienia koszy i lamp. Postaram się, żeby nauczył tego innych. Możemy tu zarabiać. Możemy wszystko zmienić! I zwrócę się do Czerwonego Krzyża, żeby co tydzień przysyłano do nas lekarza.

Biła od niej jakaś szalona żywołowość widoczna w nastroju, z jakim codziennie szła do obozu dla uchodźców, i w wyczerpaniu, które okrywało cieniem jej oczy, kiedy wracała wieczorami. Już nie mówiła o Ikejidem. Mówiła za to o dwudziestu ludziach mieszkających na powierzchni przewidzianej dla

jednej osoby, o małych chłopcach, którzy bawią się w wojnę, o kobietach karmiących piersią niemowlęta i o ofiarnych księżach z kościoła Ducha Świętego, ojcu Marcelu i ojcu Jude. Ale najwięcej mówiła o Inatimim. Był członkiem biafrańskiej organizacji Bojowników o Wolność, całą rodzinę stracił w masakrze i często przenikał do obozów wroga. Przybył tu, żeby kształcić uchodźców.

– Jego zdaniem ważne jest, żeby nasz naród wiedział, że walczymy za słuszną sprawę, i żeby rozumiał, dlaczego jest to prawdą. Powiedziałam mu, żeby nie kłopotał się nauczaniem ich o federalizmie i porozumieniu z Aburi i tego typu sprawach. Oni nigdy tego nie pojmą. Niektórzy z nich nawet nie chodzili do podstawówki. Tylko że on mnie lekceważy i cały czas spędza na spotkaniach z małymi grupkami ludzi. – W głosie Kainene wyczuwało się podziw, jakby lekceważenie jej osoby miało stanowić kolejny dowód jego bohaterstwa.

Richard czuł niechęć do Inatimiego. Przedstawiał go sobie jako człowieka doskonałego, dzielnego i inspirującego, który dzięki poniesionej stracie stał się nieustraszony i wrażliwy. Kiedy go w końcu poznał, o mało nie wybuchnął śmiechem w twarz małemu krostowatemu człowieczkowi z cebulką zamiast nosa. Ale od razu zauważył, że dla Inatimiego bogiem jest Biafra. Jego wiara w sprawę była żarliwa.

– Kiedy straciłem całą rodzinę, wszystkich co do jednego, wówczas poczułem się, jakbym ponownie się narodził – opowiadał Richardowi spokojnym głosem. – Stałem się nową osobą, bo nie miałem już rodziny, która mogłaby przypominać mi, kim wcześniej byłem.

Również księża w niczym nie odpowiadali wyobrażeniom Richarda. Zaskoczyła go ich powściągliwa radość. Kiedy powiedzieli mu: „To zdumiewające, jak wspaniałą pracę Bóg tu wykonuje”, Richard już chciał zapytać, dlaczego Bóg w ogóle dopuścił do tej wojny. Jednak ich wiara zrobiła na nim wrażenie. Skoro Bóg potrafił sprawić, że tak szczerze troszczą się o innych, to niewątpliwie zasługuje na uwagę.

Richard rozmawiał właśnie rankiem z ojcem Marcelem o Bogu, kiedy do obozu przyjechała lekarka. Na karoserii zakurzonego morrisa minora widniał namalowany czerwony napis CZERWONY KRZYŻ. Jeszcze zanim zdążyła się przedstawić, swobodnie ściskając mu dłoń i mówiąc: „Jestem doktor Inyang”, Richard rozpoznał, że należy do jednego z mniejszościowych plemion. Szczycił się tym, że potrafi rozpoznać łbów. I nie miało to nic wspólnego z ich wyglądem, raczej była to kwestia jakichś wspólnych odczuć.

Kainene zaprowadziła doktor Inyang prosto do izby chorych, czyli do klasy położonej na samym końcu budynku. Richard poszedł za nimi i patrzył, jak Kainene opowiada o uchodźcach leżących na bambusowych pryczach. Ciężarna młoda kobieta usiadła i trzymając się za pierś, zaczęła kasłać, gdzieś z głębi piersi dobywał się niekończący się kaszel, którego słuchanie sprawiało ból.

Doktor Inyang nachyliła się nad nią ze stetoskopem i lekko łamaną angielszczyzną zapytała:

– Jak się pani czuje? Co pani dolega?

Ciężarna najpierw się wzdrygnęła, a potem splunęła z tak nienawistną siłą, aż czoło jej się pomarszczyło. Wodnista struga śliny wylądowała na brodzie doktor Inyang.

– Sabotażystka! – powiedziała ciężarna. – To wy, nie-Ibowie, pokazujecie naszym wrogom drogę! Hapu m! To wy pokazaliście im drogę do mojej rodzinnej miejscowości!

Doktor Inyang zastygła z dłonią na brodzie, zbyt zaskoczona, żeby zetrzeć ślinę. Zapanowała cisza gęsta od niepewności. Kainene podeszła energicznym krokiem i uderzyła ciężarną w twarz, wymierzyła jej dwa mocne policzki, jeden zaraz po drugim.

– Wszyscy jesteśmy Biafrańczykami! Anyinchabu Biafra! – powiedziała. – Rozumiesz, co mówię? Wszyscy jesteśmy Biafrańczykami!

Ciężarna opadła na łóżko.

Richard był zaskoczony, że Kainene użyła siły. Zdawała się bardzo krucha i obawiał się, że może się rozsypać pod najlżejszym dotknięciem; z taką zawziętością rzuciła się w wir wszystkiego, w wymazywanie wspomnień, że mogło ją to doszczętnie zniszczyć.

Olanna miała przyjemny sen. Nie pamiętała czego dotyczył, ale pamiętała, że był przyjemny, więc obudziła się uradowana myślą, że wciąż jeszcze może mieć przyjemne sny. Żałowała, że Odenigbo poszedł do pracy i nie może mu o tym opowiedzieć, nie może obserwować, jak w trakcie opowieści na jego twarzy pojawia się pobłażliwy uśmiech świadczący o tym, że Odenigbo nie musi się z nią zgadzać, żeby jej wierzyć. Tego uśmiechu nie widziała od śmierci jego matki, odkąd próbował dojechać do Abby i po powrocie już stale gonił za cieniem, odkąd zaczął wcześniej wychodzić do pracy, a w drodze powrotnej zatrzymywać się w barze Tanzania. Gdyby wówczas nie próbował się przedostać przez okupowane tereny, nie byłby teraz tak wymizеровany i zamknięty w sobie; jego żal nie byłby dodatkowo obciążony tym niepowodzeniem. Nie powinna była pozwolić mu jechać. Ale w jego determinacji kryła się jakaś wrogość, jakby uważał, że Olanna nie ma prawa go zatrzymywać. Jego słowa: „Muszę pogrzebać to, co zostawiły sępy” wyłobiły rów, który ich teraz dzielił i przez który nie potrafiła przetrzymać mostu. Zanim wszedł do samochodu i odjechał, powiedziała jeszcze: „Ktoś na pewno ją pochował”.

A później, oczekując na niego na werandzie, była wściekła na siebie, że nie potrafiła znaleźć lepszych słów. „Ktoś na pewno ją pochował”. To brzmiało tak banalnie. Miała na myśli to, że z pewnością jego kuzyn, Aniekwena, ją pochował. Przesłana przez Aniekwenę i przyniesiona przez żołnierza na przepustce wiadomość była bardzo zdawkowa: Abba została zajęta, a kiedy on zakradł się tam, chcąc wynieść trochę dobytku, znalazł mamę leżącą w pobliżu ogrodzenia gospodarstwa.

Zmarła od ran postrzałowych. Choć nic więcej nie napisał, Olanna doszła do wniosku, że z pewnością wykopał jej grób. Nie mógłby zostawić jej ciała tam leżącego i rozkładającego się.

Olanna już nie pamiętała tych godzin oczekiwania na powrót Odenigba, jednak pamiętała uczucie ślepoty, zimnych prześcieradeł zaciągniętych na oczach. Chociaż zdarzało się jej czasami obawiać o życie Dzidzi, Kainene i Ugwu, w jakimś stopniu dopuszczając ewentualne uczucie żalu, nigdy nie po-

zwaląca sobie na myśl o śmierci Odenigba. Nigdy. W jej życiu on stanowił element stały. Kiedy wówczas wrócił do domu, długo po północy, w zabłoconych butach, wiedziała, że już nigdy nie będzie taki sam. Poprosił Ugwu o szklanę wody i spokojnym głosem powiedział:

– Ciągłe kazali mi zawracać, więc ukryłem samochód i poszedłem pieszo. W końcu pewien biafrański oficer odbezpieczył broń i powiedział, że jeśli nie zawrócę, zastrzeli mnie i zaoszczędzi barbarzyńcom fatygi.

Objęła go mocno i zaszłochała. Odczuwana przez nią ulga obciążona była piętnem samotności.

– Nic mi nie jest, nkem – zapewnił.

Ale przestał jeździć w głąb kraju z Korpusem Agitacji, nie wracał do domu z płonącymi oczami. Codziennie natomiast chodził do baru Tanzania, skąd wracał małomówny. Jeśli się w ogóle odzywał, mówił o pozostawionych w Nsuce niepublikowanych artykułach naukowych, wspominając, że mógłby starać się już o profesurę, bo miał ich dostatecznie dużo, a teraz jeden Bóg może wiedzieć, co ci barbarzyńcy z nimi zrobili. Pragnęła, żeby rozmawiał z nią szczerze, żeby pomógł jej wspierać się w żałobie, lecz ilekroć mu to mówiła, odpowiadał: „Już za późno, nkem”. Nie wiedziała, co ma na myśli. Wyczuwała wielowarstwowość jego żalu – już nigdy nie dowie się, jak mama umarła, i zawsze będzie musiał sam się borykać ze starymi urazami – ale nie czuła się związana z jego żałobą. Czasami zastanawiała się, czy wina nie leży po jej stronie: może to jej brakuje jakiejś specjalnej siły, która zmusiłaby go, by dopuścił ją do dręczącego go bólu.

Okeoma przyszedł złożyć wyrazy współczucia.

– Słyszałem, co się stało – powiedział, kiedy Olanna otworzyła drzwi. Objęła go i patrząc na poszarpaną spuchniętą bliznę, biegnącą od jego podbródka przez szyję, pomyślała, jak szybko rozeszła się wieść o śmierci.

– On praktycznie w ogóle się do mnie nie odzywa – poskarżyła się. – A to co mówi, wydaje się zupełnie bez sensu.

– Odenigbo nigdy nie wiedział, jak znosić swoją słabość. Musisz być cierpliwa. – Okeoma mówił prawie szeptem, bo właśnie wyszedł Odenigbo. Kiedy już się uścisnęli i pokleпали po plecach, Okeoma spojrzał na niego.

– Ndo – powiedział. – Przykro mi.

– Myślę, że była zaskoczona, kiedy do niej strzelali – rzekł Odenigbo. – Do mamy nigdy nie docierało, że bierzemy udział w wojnie i że jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Olanna wlepiała w niego wzrok.

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedział Okeoma. – Musisz być silny.

Zapadła krótka niezręczna cisza.

– Juliusz przyniósł świeże wino palmowe – odezwał się w końcu Odenigbo. – Ostatnio dolewają za dużo wody, ale to jest bardzo dobre.

– Później się napiję. Masz gdzieś tę whisky „White Horse”, którą trzymasz na specjalne okazje?

– Prawie się skończyła.

– Prawie?... W takim razie ja ją dokończę – odparł Okeoma.

Odenigbo przyniósł butelkę i usiadł w saloniku przy cicho grającym radiu, otoczeni aromatem zupy gotowanej przez Ugwu.

– Mój dowódca pije to jak wodę – rzekł Okeoma i potrząsnął butelką, żeby zobaczyć, ile w niej zostało.

– A jak się ma twój dowódca, ten biały najemnik? – zapytał Odenigbo.

Zanim udzielił odpowiedzi, Okeoma rzucił przepaszające spojrzenie w stronę Olanny:

– Obala dziewczyny na ziemię pod gołym niebem, gdzie wszyscy jego ludzie mogą go widzieć, i tam je bierze, przez cały czas w jednej ręce trzymając torbę z pieniędzmi. – Okeoma łyknął z butelki i na moment się skrzywił. – Z łatwością moglibyśmy odbić Enugu, gdyby ten człowiek słuchał, co się do niego mówi, ale jemu się wydaje, że wie więcej o naszym kraju niż my. Zaczął rekwirować samochody z pomocą humanitarną. W zeszłym tygodniu zagroził Jego Ekscelencji, że odejdzie, jeśli nie dostanie swojej działki.

Okeoma pociągnął kolejny łyk z butelki.

– Dwa dni temu wyszedłem z jednostki po cywilnemu i spotkany na drodze strażnik oskarżył mnie o dezercję. Ostrzegłem go, żeby nigdy więcej tego nie próbował, w przeciwnym razie pokażę mu, czym my, komandosi, różnimy się od żołnierzy zawodowych. Odchodząc, słyszałem jego śmiech. Wyobrażasz to sobie?! Wcześniej nie miałby odwagi śmiać się z komandosa. Jeśli szybko się nie zreorganizujemy, utracimy wiarygodność.

– Dlaczego w ogóle mamy płacić białym za walkę w naszej wojnie? – Odenigbo rozparł się w fotelu. – Wśród nas jest wielu, którzy będą ofiarnie walczyć, bo jesteśmy gotowi oddać życie za Biafrę.

Olanna wstała.

– Zjedzmy coś – powiedziała. – Przykro mi, Okeomo, ale w zupie nie ma mięsa.

– „Przykro mi, ale w zupie nie ma mięsa” – przedrzeźniał ją Okeoma. – Czy to miejsce wygląda jak sklep mięsny? Nie przyszedłem tu szukać mięsa. Ugwu ustawił na stole talerze z garri.

– Okeomo, czy mógłbyś odłożyć granat na czas jedzenia? – zapytała Olanna.

Odpiął granat od pasa i położył go w kącie. Przez chwilę jedli w milczeniu, robiąc kulki z garri, które następnie moczyli w zupie i połykali.

– Skąd ta blizna? – zapytała Olanna.

– Och, to nic takiego – odparł Okeoma i delikatnie przesunął po niej dłoń. – Nie jest taka straszna, jak wygląda.

– Powinieneś wstąpić do Ligi Pisarzy Biafrańskich – powiedziała. – Powinieneś być jednym z tych, którzy jadą za granicę nagłaśniać tam naszą sprawę.

Zanim Olanna skończyła mówić, Okeoma zaczął kręcić przecząco głową.

– Jestem żołnierzem – powiedział.

– Nadal piszesz? – spytała Olanna.

Ponownie pokręcił głową.

– Ale masz dla nas jakiś wiersz? Z głowy? – zapytała, chociaż sama słyszała desperację w swoim głosie.

Okeomie grdyka wyraźnie podskoczyła i opadła, kiedy przełykał kulkę garri.

– Nie – powiedział. Odwrócił się do Odenigba. – Słyszeliście, co nasze nabrzeżne baterie zrobiły z barbarzyńcami w sektorze Onitshy?

Po lunchu Odenigbo poszedł do sypialni. Okeoma dokończył whisky, następnie pił szklankami wino palmowe, aż zasnął w fotelu w salonie. Ciężko oddychał, coś mamrotał i dwa razy gwałtownie zamachał ramionami, jakby chciał zrzucić z siebie niewidzialnych napastników. Olanna klepnęła go w ramię, żeby go obudzić.

– Kunie. Chodź i połóż się w pokoju – powiedziała.

Otworzył zaczerwienione, oszołomione oczy.

– Nie, nie, ja naprawdę nie spałem.

– Spójrz tylko na siebie. Odpłynąłeś.

– Wcale nie. – Okeoma powstrzymał ziewnięcie. – Mam jeden wiersz. – Poprawił się na fotelu i usiadł z wyprostowanymi plecami, a potem zaczął deklamować. Tym razem mówił zupełnie inaczej. W Nsucce czytał wiersze w sposób dramatyczny, jakby był przekonany, że jego sztuka jest ponad wszystkim. Teraz mówił, jakby żartował, i choć ton jego głosu zdawał się wymuszo-

ny, brzmiał, jakby Okeoma się przekomarzał.

*Brązowa,
Połyskująca rybim blaskiem syreny,
Pojawia się,
Przynosząc srebrzysty brzask;
Słońce za nią podąża,
Za tą moją syreną,
Która nigdy nie będzie moją.*

– Odenigbo powiedziała: „To głos naszego pokolenia” – skomentowała Olanna.

– A co ty byś powiedziała?

– To głos mężczyzny.

Okeoma uśmiechnął się nieśmiało, a Olanna przypomniała sobie, jak Odenigbo droczył się z nią, mówiąc, że Okeoma potajemnie się w niej podkochuje. Ten wiersz był o niej, a Okeoma chciał, żeby ona o tym wiedziała. Siedzieli w milczeniu, aż w końcu oczy zaczęły mu się zamykać i po chwili już regularnie chrapał. Patrząc na niego, zastanawiała się, o czym może śnić. Wciąż jeszcze był pogrążony we śnie, często coś mamroczył i nerwowo rzucając głową raz w jedną, raz w drugą stronę, kiedy wieczorem przyszedł profesor Achara.

– Och, widzę, że jest tu wasz przyjaciel komandos – powiedział. – Poproś, proszę, Odenigba. Wyjdźmy na werandę.

Usiedli na ławce na werandzie. Profesor Achara nie podnosił głowy, przez cały czas splatając i rozplatając dłonie.

– Przyszedłem w trudnej sprawie – odezwał się.

Strach ścisnął pierś Olanny, obawiała się, że coś się stało Kainene i wysłano profesora Acharę, żeby jej o tym powiedział. Chciała, by profesor Achara natychmiast sobie poszedł, nic jej nie mówiąc, bo dopóki czegoś nie wiedziała, nie mogło jej to zranić.

– O co chodzi? – spytała ostrym tonem.

– Próbowałem nakłonić właściciela waszego domu do zmiany zdania. Zrobiłem co w mojej mocy. Ale odmówił. Chce, żebyście w ciągu dwóch tygodni spakowali się i wyprowadzili.

– Czy ja cię dobrze rozumiem? – spytał Odenigbo.

Olanna była pewna, że dobrze rozumiał. Mieli wynieść się z tego domu, ponieważ jego właściciel znalazł kogoś, kto może zapłacić mu czynsz dwu-

krotnie, a może nawet trzykrotnie wyższy.

– Przykro mi, Odenigbo. Ten człowiek zazwyczaj zachowuje się wyjątkowo rozsądnie, ale wydaje mi się, że w obecnych czasach wszyscy po trosze straciliśmy rozum.

Odenigbo westchnął.

– Pomogę wam znaleźć coś innego – obiecał profesor Achara.

Umuahia pełna była uchodźców i mogli mówić o szczęściu, kiedy udało im się znaleźć pokój. Długi wąski budynek mieścił dziewięć pokoi położonych obok siebie z drzwiami wychodzącymi na wąską werandę. Na jednym końcu była kuchnia, a na drugim, w pobliżu gaju bananowego, łazienka. Ich pokój znajdował się bliżej łazienki i kiedy Olanna zobaczyła go po raz pierwszy, nie potrafiła wyobrazić sobie życia tu wspólnie z Odenigbem, Dzidzią i Ugwu. Jak będzie mogła jeść, ubierać się i kochać w tym jednym pokoju? Odenigbo spróbował oddzielić ich miejsca do spania za pomocą cienkiej zasłony, ale kiedy później Olanna popatrzyła na obwisły sznurek, który przywiązał do gwoździ w ścianie, przypomniała sobie pokój wujka Mbaeziego i cioci Ifeki w Kano i rozplakała się.

– Wkrótce znajdziemy coś lepszego – pocieszył ją Odenigbo, a ona tylko skinęła głową, nie mówiąc mu, że nie płacze z powodu tego pokoju.

Obok nich mieszkała mama Oji. Miała surowe rysy twarzy i tak rzadko mrugała, że Olanna czuła się zażenowana pod spojrzeniem jej wybałuszonych oczu, kiedy po raz pierwszy ze sobą rozmawiały.

– Dzień dobry, nno – powiedziała. – Nie ma pani męża?

– Jest w pracy – odparła Olanna.

– Chodzi o moje dzieci i chciałam zobaczyć się z nim, zanim przyjdą inni.

– O pani dzieci?

– Właściciel domu mówił do niego „doktorze”.

– Ach... Ale on ma po prostu doktorat.

Zimne, nierozumiejące oczy mamy Oji zdawały się przewiercać Olanę na wskroś.

– To taki doktor od książek – wyjaśniła Olanna – a nie doktor dla chorych ludzi.

– Aha. – Mina mamy Oji nie zmieniła się. – Moje dzieci mają astmę.

Od początku wojny umarła mi trójka. Trójka pozostała.

– Przykro mi. Ndo – odrzekła Olanna.

Mama Oji tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, że wszyscy sąsiedzi

to bardzo zręczni złodzieje. Gdyby postawiła w kuchni pojemnik z naftą, byłby pusty, zanim zdążyłaby wyjść. Mydło natychmiast dostałoby nóg, gdyby zostawiła je w łazience. Gdyby powiesiła pranie i choć na moment spuściłaby z niego oczy, odleciałoby ze sznura.

– Musi pani bardzo uważać – powiedziała. – I zamykać drzwi, nawet kiedy idzie pani tylko siusiać.

Olanna podziękowała, żałując, że Odenigbo rzeczywiście nie jest lekarzem, bo to mogłoby im pomóc. Podziękowała też innym sąsiadom, którzy przyszli się z nią przywitać i poplotkować. Na podwórzu było zbyt wielu ludzi; pokój obok mamy Oji zajmowała szesnastoosobowa rodzina. Podłoga łazienki aż lepiła się od zbyt wielkiej ilości brudu zmywanego ze zbyt wielu ciał, a powietrze w toalecie było gęste od zapachów obcych ludzi. W parne wieczory, kiedy w wilgotnym powietrzu wisały ciężkie wonie, Olanna tęskniła za wentylatorem, za energią elektryczną. W poprzednim domu, położonym w drugiej części miasta, elektryczność działała do ósmej wieczorem, ale tutaj wewnątrz budynku nie było żadnego światła. Olanna zakupiła lampki oliwne zrobione z puszek po mleku. Kiedy Ugwu je rozpałał, Dzidzia piszczała i w pośpiechu cofała się przed podskakującym otwartym ogniem. Olanna obserwowała ją rada, że dla Dzidzi kolejna przeprowadzka, kolejne nowe życie nie stanowiły żadnego problemu – ona po prostu codziennie bawiła się ze swoją nową koleżanką Adanną: krzycząc „Kryj się!”, ze śmiechem chowała się między liśćmi bananowców przed wyimaginowanymi samolotami. Olanna martwiła się jednak, że Dzidzia przejmie akcent Adanny, charakterystyczny dla buszu z rejonu Umuahii, albo też nabawi się jakiejś choroby od wodnistych czyraków na ramionach Adanny czy też pcheł od Bina, wychudłego psa Adanny.

Gdy po raz pierwszy Olanna i Ugwu gotowali w kuchni, weszła matka Adanny i wyciągnąwszy emaliowaną miskę, powiedziała:

– Daj mi, proszę, trochę zupy.

– Nie, sami mamy za mało – odparła Olanna. A potem pomyślała o jedynej sukience Adanny, zrobionej z worka używanego do pakowania jedzenia z pomocy charytatywnej. Na plecach widniał przyklejony napis MAK, bo A zniknęło na szwie. I w końcu nałała nieco cienkiej bezmięsnej zupy do emaliowanej miski. Następnego dnia mama Adanny przyszła i poprosiła o trochę garri i Olanna dała jej pół kubka. Trzeciego dnia przyszła, kiedy w kuchni pełno było innych kobiet, i znowu poprosiła Olanę o zupę.

– Niech pani przestanie dawać jej jedzenie! – krzyknęła mama Oji. – Ona zawsze tak robi, kiedy pojawia się nowy lokator. Niech idzie uprawiać maniok

i sama wykarmi rodzinę, i przestanie niepokoić ludzi! W końcu pochodzi z Umuahii! Nie jest uchodźcą jak my wszyscy! Czy ona nie ma wstydu, żeby zebrać o jedzenie u uchodźców? – Mama Oji syknęła głośno i powróciła do ucierania owocu drzewa palmowego w moździerz. Olanę fascynował wyraz racjonalności na jej wychudzonej twarzy. Nigdy nie widziała, żeby mama Oji się uśmiechała.

– A czy to nie wy, uchodźcy, wyjedliście całe nasze jedzenie? – odezwała się mama Adanny.

– Zamknij ten swój cuchnący dziób! – krzyknęła mama Oji. I mama Adanny natychmiast ją posłuchała, jakby zdawała sobie sprawę, że nie da rady przekrzywić mamę Oji, mówiącą głosem piskliwym z niewiarygodną szybkością, bo jej nigdy nie brakowało ani słów, ani swady.

Wieczorami, kiedy mama Oji awanturowała się ze swoim mężem, jej głos rozbrzmiewał na całym podwórzu: „Ty wykastrowany baranie! I ty nazywasz się mężczyzną, a zdezerterowałeś z wojska! Niech znów usłyszę, jak komuś opowiadasz, że zostałeś ranny w bitwie! Jeszcze raz tylko otwórz tę swoją brudną gębę, a zawołam żołnierzy i pokażę im, gdzie się ukrywasz!”.

Jej tyrady stanowiły podstawowy temat rozmów na podwórzu. Podobnie jak głośne modlitwy pastora Ambrożego, które wygłaszał, chodząc tam i z powrotem. I jak fortepianowa muzyka dochodząca z pokoju obok kuchni. Olanne nie mogła wyjść ze zdumienia, kiedy po raz pierwszy usłyszała melancholijne dźwięki, muzykę tak czystą i graną z taką pewnością, że powietrze wypełniało się jakimś napięciem, a dotychczas kołyszące się bananowce nieruchomiały.

– To Alicja – powiedziała mama Oji. – Przybyła tu po upadku Enugu. Początkowo z nikim nawet nie rozmawiała. Teraz przynajmniej odpowiada na pozdrowienia. Mieszka sama w tym pokoju. Nigdy nie wychodzi i nigdy nic nie gotuje. Nikt nie wie, co ona je. Jak kiedyś szliśmy przeczesywać teren w poszukiwaniu nieprzyjaciela, uznała, że jest zbyt ważna, żeby się do nas przyłączyć. Wszyscy inni mieszkańcy wyszli z domu i ruszyli w busz szukać chowających się tam barbarzyńców, tylko ona nie poszła. Kilka kobiet nawet powiedziało, że doniosą na nią do straży ochotniczej.

Nadal słyszała płynącą muzykę. Mógł to być Beethoven, choć Olanne nie była tego pewna. Odenigbo pewnie rozpoznałby tę muzykę. Po chwili dźwięki zmieniły się i przeszły w szybszą melodię, przepełnioną jakąś gniewną niecierpliwością, która wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż się urwała. Alicja wyszła z pokoju. Widząc, jak jest delikatnie zbudowana i drobna, Olanne poczuła się nagle niezgrabnie wyrośnięta; jasna skóra, prawie przejrzysta cera

i drobne dłonie nadawały tej kobiecie jakiś dziecinny wygląd.

– Dobry wieczór – odezwała się Olanna. – Jestem Olanna. Właśnie się wprowadziliśmy do tego pokoju.

– Dobry wieczór. Widziałam pani córkę. – Alicja uścisnęła podaną dłoń tak słabo, jakby mimozowata budowa nie pozwalała jej nawet porządnie szorować rąk.

– Bardzo dobrze pani gra – powiedziała Olanna.

– Ależ skądże, bardzo przeciętnie. – Alicja pokręciła głową. – Skąd pani przyjechała?

– Z uniwersytetu w Nsuce. A pani?

Alicja zawahała się.

– Pochodzę z Enugu.

– Mamy tam znajomych. Znała pani może kogoś w Nigeryjskiej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych?

– Och, łazienka jest wolna... – Odwróciła się i odeszła w pośpiechu.

Zaskoczyła Olannę. Po wyjściu z łazienki Alicja minęła ją, lekko skinąwszy głową, i weszła do swojego pokoju. Chwilę później Olanna usłyszała dźwięki pianina, tym razem rozciągnięte i powolne, i zapragnęła podejść do drzwi pokoju Alicji, otworzyć je i patrzeć, jak ona gra.

Często myślała o Alicji, o delikatności jej drobnej budowy i jasnej karnacji, niesamowitej sile jej gry na pianinie. Kiedy zbierała wokół siebie Dziecię, Adannę i kilkoro innych dzieci z podwórka, żeby im coś poczytać, miała nadzieję, że Alicja się do nich przyłączy. Zastanawiała się, czy Alicja lubi muzykę high life. Chciała porozmawiać z nią o muzyce, sztuce i polityce. Alicja jednak wychodziła ze swojego pokoju tylko po to, żeby pognać do łazienki, i nie odpowiadała, kiedy Olanna pukała do jej drzwi. „Musiałam zasnąć”, mówiła później, lecz nie zapraszała Olanny, żeby przysłała kiedy indziej.

W końcu spotkały się ponownie na targu. Właśnie zaczęło świtać, powietrze ciężkie było jeszcze od rosy. Olanna wędrowała w wilgotnym chłodzie pod zielonym listowiem lasu, omijając grube korzenie. Targowała się ze sprzedawcą po cichu, ale konsekwentnie, zanim kupiła bulwy manioku z różową skórą, o której wcześniej myślała, że jest trująca, bo różowy kolor był tak jaskrawy, dopiero pani Muokelu zapewniła ją, że nie są niebezpieczne. Nad jej głową zakrakał siedzący na drzewie ptak. Raz na jakiś czas obok niej spadały wirujące liście. Stojąc przed stolikiem, na którym leżały poszarzałe kawałki surowego kurczaka, wyobrażała sobie, jak je chwytą i ucieka ile sił w nogach. Gdyby kupiła kurczaka, już nic więcej nie mogłaby nabyć. Kupiła

więc w zamian cztery ślimaki średniej wielkości. Mniejsze ślimaki, w spiralnych muszlach, były tańsze, całe ich stopy leżały w koszach, ale nie potrafiłaby ich kupić, nie mogła myśleć o nich jak o pożywieniu, dla niej zawsze już miały być zabawkami wioskowych dzieci. Zbierała się do odejścia, kiedy dostrzegła Alicję.

– Dzień dobry, Alicjo – powiedziała.

– Dzień dobry – odparła Alicja.

Olanna chciała objąć ją w zwyczaj owym, krótkim uścisku powitania, lecz Alicja oficjalnie podała jej dłoń, jakby nie były sąsiadkami.

– Nigdzie nie mogę znaleźć soli, nie ma jej nigdzie – odezwała się Alicja.

– A ludzie, którzy nas w to wpakowali, mają soli, ile dusza zapragnie.

Jej słowa zaskoczyły Olanę. Nie widziała niczego dziwnego w tym, że Alicja nie mogła znaleźć tu soli, w końcu prawie nigdzie jej nie było. W swojej schludnie przewiązanej paskiem wełnianej sukience, którą Olanna wyobrażała sobie wiszącą w londyńskim sklepie, Alicja wyglądała na skrupulatną i filigranową. Zupełnie nie przypominała białofrańskiej kobiety na leśnym targu o świcie.

– Podobno Nigeryjczycy nieustannie bombardują Uli i od tygodnia nie mógł wylądować tam żaden samolot z pomocą – powiedziała Alicja.

– Tak, słyszałam o tym – odrzekła Olanna. – Idziesz już do domu?

Alicja odwróciła wzrok i spojrzała w stronę gęstego lasu.

– Jeszcze nie.

– Zaczekam, żebyśmy mogły pójść razem.

– Nie, nie kłopotz się – odparła Alicja. – Do zobaczenia.

Odwróciła się i znów weszła między stragany, idąc krokiem wdzięcznym, choć nienaturalnym, jakby chodzenia Jak przystało damie” uczyła ją osoba niezbyt dobrze zorientowana w tych sprawach. Olanna jeszcze chwilę stała i obserwowała ją, zastanawiając się, co może się kryć pod jej powierzchownością, zanim sama poszła do domu. Zatrzymała się przy centrum pomocy humanitarnej, żeby sprawdzić, czy mają jakąś żywność, czy w końcu choć jeden samolot wylądował. Teren centrum stał opuszczony i przez chwilę zaglądała przez zamkniętą bramę. Na murze wisiał na wpół podarty plakat. Ktoś węglem drzewnym zamazał napis „ŚRK: Światowa Rada Kościołów” i nagryzmołił „ŚRK: Świat Rzezi i Konfliktu”.

Była już blisko młyna zbożowego, kiedy z przydrożnego domu wybiegła z krzykiem kobieta podążająca za dwoma żołnierzami, którzy ciągnęli za sobą wysokiego chłopaka.

– Mówiłam wam, weźcie mnie! – krzyczała. – Weźcie mnie zamiast niego! Mało wam, że poświęciliśmy już dla was Abuchiego?

Żołnierze nie zwracali na nią uwagi, a chłopiec szedł wyprostowany, jakby bał się odwrócić i spojrzeć na matkę.

Kiedy ją mijali, Olanna odsunęła się na bok, a po powrocie do domu wpadła we wściekłość, widząc Ugwu stojącego na drodze przed podwórzem i rozmawiającego z jakimiś starszymi sąsiadami. Z łatwością mógłby dostrzec go tu każdy żołnierz prowadzący werbunek.

– Bia nwoke m, czy tobie się poprzewracało w głowie? Czy nie mówiłam ci, żebyś tu nie wychodził? – syknęła.

Ugwu wziął od niej koszyk i wymamrotał:

– Przepraszam, mah.

– Gdzie jest Dzidzia?

– W pokoju Adanny.

– Daj mi klucz.

– Pan jest w domu, mah.

Olanna spojrzała na zegarek, choć nie musiała tego robić. Było jeszcze za wcześnie, żeby Odenigbo wrócił do domu. Siedział na łóżku, jakiś zgarbiony, a jego ramionami targały ciche spazmy.

– O gini! Co się stało? – zapytała.

– Nic.

Podeszła do niego.

– Ebezi na, nie płacz – wyszeptała. Ale tak naprawdę wcale nie chciała, żeby tego nie robił. Chciała, żeby płakał i płakał, aż wyzbędzie się bólu, który dławił mu gardło, aż wypłucze z siebie ponury żal. Przytuliła go, objęła ramionami, a on powoli odprężył się przy niej. Jego ręce otoczyły ją. Teraz słyszała szloch, który z każdym oddechem bardziej przypominał jej łkanie Dzidzi; Odenigbo płakał jak jego córka.

– Nigdy nie zrobiłem dla mamy tyle, ile powinienem – w końcu powiedział.

– Już dobrze... – wyszeptała. Ona też żałowała, że nie dołożyła większych starań, by jakoś poukładać swoje stosunki z jego matką, zanim zdecydowała się dalej żywić łatwą urazę. Tak wiele chciałaby cofnąć, gdyby tylko mogła.

– Nigdy świadomie nie zdajemy sobie sprawy ze śmierci – rzekł Odenigbo. – Tylko dlatego, że nie dopuszczamy myśli o własnej śmierci, możemy żyć tak, jak żyjemy. A przecież wszyscy umrzemy.

– Tak – odparła Olanna, patrząc na jego przygarbione barki.

– Ale może właśnie na tym polega nasza egzystencja? Na tym, że życie jest stanem odrzucenia śmierci? – zapytał.

Olanna przytuliła go mocniej.

– Myślałem o wstąpieniu do wojska, nkiem – ciągnął. – Może powinienem dołączyć do nowej brygady Jego Ekscelencji, specjalnej ochotniczej Brygady S.

Olanna przez chwilę nic nie mówiła. Nagle zapragnęła chwycić go za tę świeżą brodę, wyrwać z niej włosy i utoczyć krwi.

– Równie dobrze możesz sobie znaleźć mocne drzewo i kawałek sznura, Odenigbo, bo w ten sposób łatwiej jest popełnić samobójstwo – powiedziała.

Cofnął się, by na nią spojrzeć, ale ona nawet przez moment na niego nie popatrzyła, tylko podniósłszy się, włączyła radio i zwiększyła głośność, wypełniając pokój dźwiękami piosenki Beatlesów, bo nie miała zamiaru dłużej omawiać jego planów wstąpienia do wojska.

– Powinniśmy zbudować schron – powiedział i podszedł do drzwi.

– Tak, koniecznie potrzebny nam jest schron.

Martwiła się, widząc beznamietną szklistość jego oczu i zgarbione ramiona. Jednak jeśli już musiał coś zrobić, to lepiej, żeby budował schron, zamiast iść do wojska.

Na dworze wdał się w rozmowę z papą Oji i z kilkoma innymi mężczyznami stojącymi przy wejściu na podwórze.

– Chyba widzisz te bananowce? – zapytał papa Oji. – Podczas każdego nalotu chowaliśmy się tam i nic nam się nie stało. Nie potrzebujemy schronu. Bananowce pochłaniają kule i bomby.

Oczy Odenigba były równie zimne jak jego odpowiedź:

– Co dezerterski może wiedzieć o schronach?

Zostawił ich i chwilę później wraz z Ugwu najpierw wyznaczyli teren na tyłach budynku, a potem zabrali się za kopanie. Wkrótce dołączyli do nich młodzi mężczyźni, a kiedy słońce obniżyło się, również starsi, łącznie z papą Oji, zaczęli kopać. Olanna patrzyła na pracujących mężczyzn i zastanawiała się, co myślą o Odenigbie. Kiedy inni mężczyźni opowiadali kawały i śmiali się, on im nie wtórował. Mówił tylko o pracy. Nie, mba, przesun to głębiej. Tak, tanto zostawmy. Nie, podnieś nieco. Przepony podkoszulek przylgnał mu do ciała i dopiero teraz po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo Odenigbo stracił na wadze, jak zapadła mu się klatka piersiowa.

Tej nocy leżała obok niego z policzkiem przytulonym do jego twarzy. Choć nie wyjawiał jej, z jakiego powodu został tego dnia w domu i płakał

za matką, miała nadzieję, że cokolwiek to było, rozluźni przynajmniej część ciasnych węzłów, które spinały go od wewnątrz. Pocałowała go w szyję, w ucho, pocałowała go w sposób, który zawsze sprawiał, że przytulał ją w te noce, kiedy Ugwu spał na werandzie. Ale teraz Odenigbo odtrącił jej dłoń i powiedział tylko: „Jestem zmęczony, nkem”. Nigdy jeszcze czegoś takiego od niego nie usłyszała. Czowała zapach jego starego potu i ogarnęła ją przenikliwa tęsknota za old spice'em pozostawionym w Nsucce.

Jednakże nawet cud pod Abaganą nie rozluźnił jego wewnętrznych węzłów. Niegdyś świętowaliby to jak osobisty triumf. Obejmowałiby się i całowali, świeży zarost drapałby jej policzek. Tymczasem kiedy usłyszeli pierwszą radiową informację, Odenigbo stwierdził tylko: „Doskonale, doskonale” i z beznamytnym wyrazem twarzy patrzył na tańczących sąsiadów.

Mama Oji zaintonowała pieśń: „Onye ga-enwe mmeri?”, a pozostałe kobiety odpowiedziały jej: „Biafra ga-enwe mmeri, igba!” i utworzywszy krąg, kołysały się wdzięcznie, przytupując mocno przy słowie „igba!”. Kłęby kurzu wznosiły się i opadały wokół tańczących. Olanna dołączyła do nich podniesiona na duchu słowami: „Kto zwycięży? Biafra zwycięży, igba!”, żałując jedynie, że Odenigbo siedzi sam z obojętną miną.

– Olanna tańczy jak biali! – powiedziała mama Oji, śmiejąc się. – Jej pośladki ani drgną!

Olanna po raz pierwszy zobaczyła śmiejącą się mamę Oji. Mężczyźni w kółko opowiadali tę historię, zmieniając szczegóły – niektórzy twierdzili, że biafrańskie wojsko urządziło zasadzkę i spaliło kolumnę stu pojazdów, inni mówili, że w rzeczywistości zniszczono tysiąc wozów pancernych i ciężarówek – jednak wszyscy zgadzali się co do tego, że gdyby konwój dotarł na miejsce przeznaczenia, oznaczałoby to koniec Biafry. Głośno grające radioodbiorniki ustawiono na werandzie przed pokojami. Co chwilę płynęła z nich powtarzana wiadomość i gdy tylko się kończyła, wielu sąsiadów przyłączało się do głosu, intonującego „Trzeba uratować Biafrę dla wolnego świata!”. Nawet Dzidzia znała słowa. Powtarzała je, klepiąc Binga po łbie. Jedynie Alicja nie wyszła na dwór, a Olanna zastanawiała się, co ona robi.

– Alicja uważa, że jest lepsza od nas wszystkich na tym podwórku – powiedziała mama Oji. – Spójrz na siebie. Czyż nie mówiono ci, że jesteś córką wielkiej szychy? Ale ty traktujesz ludzi normalnie, jak ludzi. Za kogo ona się ma?

– Może śpi.

– Tak, jasne, śpi. Alicja to sabotażystka. Ma to wypisane na twarzy. Ona pracuje dla barbarzyńców.

– Od kiedy sabotażyści mają to wypisane na twarzach? – zapytała rozbawiona Olanna.

Mama Oji tylko wzruszyła ramionami, jakby nie miała zamiaru kłopotać się przekonywaniem Olanny do czegoś, czego była pewna.

Kilka godzin później, kiedy podwórze nieco opustoszało i ucichło, przyjechał kierowca profesora Ezeki. Wręczył Olannie jakąś wiadomość, obszedł samochód dookoła i otworzywszy bagażnik, wyniósł dwa pudła. Ugwu pospieszył z nimi do domu.

– Dziękuję – powiedziała Olanna. – Podziękuj swojemu panu.

– Tak, mah. – Nie ruszał się z miejsca.

– Czy coś jeszcze?

– Mah, mam poczekać, aż pani sprawdzi, czy wszystko jest na miejscu.

– Och... – Na jednej stronie kartki znajdował się sporządzony ciasnym piśmem Ezeki spis wszystkiego, co przysłał. Z drugiej strony nagryzmolił: „Sprawdź, proszę, czy niczego nie ruszył”. Olanna weszła do domu i policzyła puszki mleka w proszku, herbaty, ciasteczek, ovaltine, sardynek, pudełka z cukrem, torebki z solą – i nie mogła pohamować westchnienia na widok papieru toaletowego. Przynajmniej przez jakiś czas Dzidzia nie będzie musiała używać starych gazet. Napisała naprędce wylewne podziękowania i wręczyła je kierowcy; nawet jeśli Ezeka zrobił to, żeby podkreślić, jak bardzo jest ważny, nie popsulo jej to radości. A radość Ugwu była jeszcze większa.

– Mah, to jak w Nsucce! – powiedział. – Proszę tylko spojrzeć na sardynki!

– Włóż, proszę, trochę soli do torebki. Jedną czwartą tej paczki.

– Mah? Dla kogo? – Ugwu popatrzył na nią podejrzliwie.

– Dla Alicji. I nie mów sąsiadom, co dostaliśmy. Gdyby pytali, powiedz, że dawny znajomy przysłał twojemu panu książki.

– Tak, mah.

Olanna czuła na sobie pełen dezaprobaty wzrok Ugwu, kiedy niosła torebkę do pokoju Alicji. Nikt nie odpowiedział na jej pukanie. Już miała odejść, kiedy Alicja otworzyła drzwi.

– Znajomy przysłał nam nieco prowiantu – powiedziała Olanna, podając jej torebkę z solą.

– Hei! Nie mogę tego wziąć... – powiedziała Alicja, mimo to wyciągając rękę i biorąc torebkę. – Dziękuję. Och, bardzo ci dziękuję!

– Od dawna go nie widzieliśmy. To dla nas prawdziwa niespodzianka.
– I pomyślałaś o mnie. Nie trzeba było... – Alicja przyciskała torebkę z solą do piersi.

Widząc ciemne cienie wokół oczu i pajęczynę zielonych żyłek pod jej bladą skórą, Olanna zastanowiła się, czy Alicja nie jest chora.

Ale wieczorem, kiedy wyszła z domu i usiadłszy obok Olanny na podłodze werandy wyciągnęła nogi przed siebie, wyglądała już inaczej, jej skóra zdawała się świeższa. Może nałożyła nieco pudru. Miała drobne stopy. Pachniała znajomym balsamem do ciała. Kiedy przechodząca obok mama Adanny powiedziała: „Hej! Alicjo, jeszcze nigdy nie widzieliśmy, żebyś siedziała na dworze!”, usta Alicji drgnęły nieznacznie w uśmiechu. Pastor Ambroży modlił się przy bananowcach. Jego czerwona szata z długimi rękawami połyskiwała w słabnącym słońcu. „Święty Jahwe, zniszcz barbarzyńców ogniem Ducha Świętego! Święty Jahwe, walcz za nas!”.

– Bóg walczy za Nigerię – powiedziała Alicja. – Bóg zawsze walczy po tej stronie, która jest lepiej uzbrojona.

– Bóg jest po naszej stronie! – Olanna sama była zdumiona swoją ostrą reakcją. Alicja wyglądała na zaskoczoną. Gdzieś na tyłach domu rozległo się wycie Binga.

– Ja po prostu uważam, że Bóg walczy po stronie sprawiedliwych – dodała Olanna łagodnym tonem.

Alicja odgoniła komara.

– Ambroży udaje pastora, żeby go nie wzięli do wojska.

– Tak, to prawda. – Olanna uśmiechnęła się. – Znasz może ten dziwny kościół przy Ogui Road w Enugu? Ambroży wygląda jak jeden z tamtejszych pastorów.

– W rzeczywistości nie jestem z Enugu. – Alicja podciągnęła kolana. – Pochodzę z Asaby. Wyjechałam stamtąd zaraz po ukończeniu kolegium nauczycielskiego i pojechałam do Lagos. Przed wojną pracowałam w Lagos. Spotkałam pułkownika wojsk lądowych, który kilka miesięcy później poprosił mnie o rękę, ale nie powiedział mi, że już ma żonę przebywającą za granicą. Zaszłam w ciążę. Ciągłe przekładał termin wyjazdu do Asaby, gdzie miał dopełnić tradycyjnych obrzędów. A ja wierzyłam mu, kiedy mówił, że jest bardzo zajęty, bo ciąży na nim presja tego wszystkiego, co się dzieje w kraju. Kiedy zabito oficerów z ludu Ibo, uciekł, a ja wraz z nim przyjechałam do Enugu. Dziecko urodziłam w Enugu. Byłam z nim w Enugu, kiedy tuż przed wybuchem wojny wróciła jego żona, i wtedy zostawił mnie. Później moje dziecko zmarło.

A potem Enugu upadło. I tak tu się znalazłam.

– Tak mi przykro.

– Jestem głupia. Wierzyłam we wszystkie jego kłamstwa.

– Nie mów tak.

– Ty jesteś szczęśliwa. Masz męża i córkę. Nie wiem, jak ty to robisz, że tak trzymacie się razem, a do tego uczysz i robisz te wszystkie rzeczy. Chciałabym tak potrafić...

Podziw Alicji podniósł Olanę na duchu i jednocześnie zaskoczył.

– Ale we mnie nie ma nic nadzwyczajnego – powiedziała.

Pastor Ambroży zaczynał szaleć.

– Diable, zastrzelę cię! Szatanie, zbombarduję cię!

– Jak ci się udało ewakuować z Nsukki? – zapytała Alicja. – Dużo straciliście?

– Wszystko. Uciekaliśmy w popłochu.

– Podobnie było ze mną w Enugu. Nie wiem, dlaczego oni nigdy nam nie mówią, co rzeczywiście się dzieje, żebyśmy mogli się przygotować. Ludzie z Ministerstwa Informacji jeździli po całym mieście furgonetką z megafonami i powtarzali, że wszystko jest w porządku, żęto tylko nasi chłopcy ćwiczą strzelanie. Gdyby oni powiedzieli prawdę, wielu z nas byłoby lepiej przygotowanych i nie stracilibyśmy tak wiele.

– Ale tobie udało się zabrać pianino. – Olanie nie podobało się, że Alicja ciągle mówi „oni”, jakby nie była po tej samej stronie.

– Tylko to udało mi się zabrać z Enugu. W dniu upadku Enugu przysłał mi pieniądze i furgonetkę, żeby mi pomóc. W wolnym czasie musiał odczuwać wyrzuty sumienia. Kierowca powiedział mi, że pułkownik wraz z żoną przeprowadzili się ze swoimi rzeczami do ich rodzinnego miasta kilka tygodni wcześniej. Wyobraź to sobie!

– Czy wiesz, gdzie on jest teraz?

– Nie chcę wiedzieć. Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę tego człowieka, ezi okwu m, zabiję go własnymi rękami. – Alicja uniosła swoje drobne dłonie. Po raz pierwszy mówiła w języku ibo, w swoim dialekcie z Asaby, gdzie litery „f” brzmiały jak „w”. – Kiedy pomyślę, co musiałam przejść przez tego człowieka!... Zostawiłam pracę w Lagos, ciągle okłamywałam rodzinę i zerwałam kontakty ze znajomymi, którzy twierdzili, że on nie traktuje mnie poważnie. – Pochyliła się, żeby podnieść coś z piasku. – A on nawet nie potrafił porządnie tego robić.

– Co?

– Wskakiwał na mnie, jęczał jak koza „och-och-och”, i tyle. – Podniosła palec. – Miał takiego małego. A później uśmiechał się szczęśliwy, i nawet się nie zastanawiał, czy zauważyłam, kiedy w ogóle zaczął i skończył. Ach, ci mężczyźni! Mężczyźni są beznadziejni!

– Nie, nie wszyscy. Mój mąż wie, jak to się robi, i ma takiego. – Olanna uniosła zaciśniętą pięść. Roześmiały się i Olanna poczuła, że łączy je jakaś kobieca więź, wulgarna i zarazem wspaniała.

Olanna czekała na powrót Odenigba, by opowiedzieć mu o bliższej znajomości z Alicją i o tym, co od niej usłyszała. Chciała, by wreszcie wrócił i przycisnął ją mocno do siebie, tak jak już od dawna nie robił. Ale kiedy w końcu przyszedł do domu z baru Tanzania, miał przy sobie strzelbę. Na łóżku leżała dwururka, długa czarna licha dwururka.

– Gini bu ife a? Co to jest? – zapytała Olanna.

– Dostałem od kogoś w biurze. Jest dosyć stara. Ale dobrze jest mieć coś takiego na wszelki wypadek.

– Nie chcę tu żadnej broni.

– Jest wojna. Wszędzie pełno jest broni. – Ściągnął spodnie i owinął się chustą w pasie, zanim zdjął koszulę.

– Dzisiaj rozmawiałam z Alicją.

– Z Alicją?

– Z tą sąsiadką, która gra na pianinie.

– Ach, tak. – Patrzył na zasłonę oddzielającą ich część pokoju.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała. W rzeczywistości chciała powiedzieć: „Wyglądasz na smutnego”. Gdyby tylko miał jakieś lepsze zajęcie, gdyby tylko miał coś konkretnego do roboty, w czym mógłby utopić te nawiedzające go chwile żalu!

– Nic mi nie jest – odrzekł.

– Sądzę, że powinieneś wybrać się do Ezeki. Poproś go, żeby pomógł ci się przenieść. Przecież nawet jeśli nie jest to jego zarząd, musi mieć jakieś wpływy u innych dyrektorów.

Odenigbo powiesił spodnie na gwoździu wbitym w ścianę.

– Słyszałeś, co mówiłam? – zapytała Olanna.

– Nie będę prosił Ezeki.

Poznała ten jego wyraz twarzy. Był rozczarowany. Już zapomniała, że w przeszłości przyświecały im szlachetne ideały. Byli ludźmi z zasadami, nie prosili wysoko postawionych znajomych o pomoc.

– Lepiej byś się przysłużył Biafrze, gdybyś pracował w miejscu, w którym mógłbyś wykorzystać swój umysł i talenty – powiedziała.

– Dostatecznie dobrze służę Biafrze w Zarządzie Pośrednictwa Pracy.

Olanna rozejrzała się po rupieciarni, która stanowiła ich pokój i zarazem dom – łóżko, dwie bulwy jamsu, materac oparty o usmarowaną ścianę, stos pudel i worków w kącie, kuchenka naftowa, którą brała do kuchni tylko wtedy, kiedy jej potrzebowała – i poczuła napływ odrazy, zapagnęła biec i biec bez końca, aż znajdzie się bardzo daleko od tego wszystkiego.

Spali odwróceny do siebie plecami, a kiedy się obudziła, już go nie było. Dotknęła jego strony łóżka, przesunęła po niej dłoń, rozkoszując się pozostałymi na prześcieradle resztkami pomiętego ciepła. Sama spotka się z Ezeką. Poprosi go, żeby zrobił coś dla Odenigba. Wyszła do łazienki, po drodze mówiąc „Dzień dobry” i „Jak się spało?” do mijanych sąsiadów. Dzisiaj stała wśród grupki młodszych dzieci tłoczących się przy bananowcach i słuchających opowieści papy Oji o tym, jak to ze swojego pistoletu zestrzelił nieprzyjacielski samolot w Calabarze. Pozostałe dzieci zamiatały podwórze i śpiewały:

*Biafra, kunie, buso Nigeria agha,
Anyi emelie ndi awusa,
Ndi na-amaro chukwu,
Tigbuefa, zogbuefa,
Nwelu nwude Gowon.*

Kiedy skończyły śpiewać, jeszcze głośniej dało się słyszeć poranne modlitwy pastora Ambrozego: „Pobłogosław, Boże, Jego Ekscelencji! Daj siłę, Boże, Tanzanii i Gabonowi! Boże, zniszcz Nigerię, Wielką Brytanię, Egipt, Algierię i Rosję! W imię Ojca i Syna!”.

Kilka osób krzyknęło „Amen!” ze swoich pokoi. Pastor Ambroży uniósł wysoko Pismo Święte, jakby z nieba mógł spaść na nie jakiś prawdziwy i rzetelny cud, i wykrzykiwał bezsensowne słowa: „She baba she baba she baba”.

– Przestań paplać, pastorze Ambroży, i wstąp do wojska! W jaki to niby sposób twoje mówienie językami pomaga naszej sprawie? – odezwała się mama Oji. Stała przed wejściem do pokoju ze swoim synem, który pochylał głowę, zawinięta w kawałek materiału, nad parującą miską. Kiedy uniósł twarz, żeby zaczerpnąć powietrza, Olanna zerknęła na mieszaninę moczu, oleju, ziół i Bóg jeden raczy wiedzieć czego jeszcze, która zdaniem mamy Oji

miała być lekarstwem na astmę.

– Ciężką miał noc? – zapytała mamę Oji.

Mama Oji wzruszyła ramionami.

– Ciężką, ale nie za ciężką. – Odwróciła się do syna. – Mam ci przyłożyć, żebyś to wdychał? Pozwalasz, żeby wszystko wyparowało i zmarnowało się.

Ponownie schylił głowę nad miską.

– Jahwe, zniszcz Gowona i Adekunlego! – wykrzyknął pastor Ambroży.

– Zamknij się i wstąp do wojska! – powiedziała mama Oji.

Ktoś krzyknął z jednego z pokoi:

– Mamo Oji, daj spokój pastorowi! Niech najpierw twój mąż wróci do wojska, z którego uciekł!

– Przynajmniej wcześniej tam wstąpił! – błyskawicznie odparowała mama Oji. – A twój mąż trzęsie się jak tchórz, chowając się w lesie na terenie Ohafii, żeby go żołnierze nie znaleźli.

Zza domu wyszła Dzidzia, a za nią przywłókł się pies.

– Mamusiu Ola! Bingo widzi duchy. Jak w nocy szczeka, to znaczy, że widzi duchy.

– Duchów nie ma, Dzidziu – odparła Olanna.

– Właśnie że są.

Olannę martwiło to wszystko, czego Dzidzia tu się uczyła.

– Adanna ci to powiedziała?

– Nie, Chukwudi mi powiedział.

– A gdzie jest Adanna?

– Śpi. Jest chora – powiedziała dziewczynka i zajęła się odganianiem much krążących nad głową Binga.

Mama Oji mruknęła pod nosem:

– Mówiłam mamie Adanny, że to dziecko nie choruje na malarię. Ale ona ciągle daje jej lekarstwo z miodli indyjskiej, które w niczym nie pomaga. Skoro nikt tego nie chce powiedzieć, ja muszę to zrobić. Adanna jest chora na syndrom Harolda Wilsona, ho-ha.

– Syndrom Harolda Wilsona?

– Kwashiorkor. To dziecko ma kwashiorkor.

Olanna wybuchnęła śmiechem. Nie wiedziała, że przemianowano kwashiorkor na cześć brytyjskiego premiera, lecz jej rozbawienie zniknęło, kiedy weszła do pokoju Adanny. Dzidzia leżała na macie z na wpół przymkniętymi oczami. Olanna dotknęła jej twarzy grzbietem dłoni, chcąc sprawdzić, czy dziecko ma gorączkę, choć wiedziała, że temperatura będzie w normie. Już

wcześniej powinna się zorientować, Adanna miała obrzmiały brzuch, a jej skóra nabrała niezdrowego odcienia, dużo jaśniejszego niż jeszcze kilka tygodni temu.

– Ta malaria jest wyjątkowo uporczywa – odezwała się mama Adanny.

– Ona ma kwashiorkor – cicho powiedziała Olanna.

– Kwashiorkor... – powtórzyła mama Adanny i spojrzała na Olanę przeżonym wzrokiem.

– Musisz znaleźć dla niej raki albo mleko.

– Mleko, kwa? A niby skąd? – zapytała mama Adanny. – Ale tu w pobliżu rośnie antykwash. Mówiła mi o tym mama Obike. Zaraz pójde i przyniosę.

– Co?

– Liście antykwashiorkoru – odparła mama Adanny, już wychodząc.

Olanna była zaskoczona, jak szybko kobieta zakasała chustę i zaczęła brnąć przez busz zaczynający się po drugiej stronie drogi. Chwilę później wróciła z wiązką smukłych zielonych liści.

– Ugotuję teraz owsiankę. – powiedziała.

– Adanna potrzebuje mleka – odezwała się Olanna. – To nie wyleczy jej z kwashiorkoru.

– Nie przeszkadzaj mamie Adanny. Liście antykwashu zadziałają, byleby ich tylko za długo nie gotować – odparła mama Oji. – Poza tym w centrum pomocy humanitarnej nic nie ma. I chyba słyszałaś, że wszystkie dzieci w Nnewi umarły po wypiciu mleka z pomocy humanitarnej. Barbarzyńcy je zatruli.

Olanna zawołała Dzidzie i zabrała ją do swojego pokoju, a potem zdjęła z niej ubranie.

– Ugwu już mnie kąpał – powiedziała Dzidzia zaskoczona.

– Tak, tak, kochanie – odparła Olanna, przyglądając się jej badawczo.

Skóra dziewczynki nadal miała ciemny mahoniowy kolor, włosy nadal były czarne i chociaż wyraźnie schudła, jej brzusek nie był wzdęty. Olanna bardzo żałowała, że centrum pomocy humanitarnej jest zamknięte i że nie ma tam już Okoromadu, ale kiedy Światowa Rada Kościołów przekazała jego stanowisko jednemu z wielu księży, którzy stracili swoje parafie, przeniósł się do Orlu.

W kuchni mama Adanny gotowała liście. Olanna wyjęła z przesłanego im przez Ezekę kartonu puszkę sardynek oraz nieco mleka w proszku i wręczyła jej to.

– Nie mów nikomu, że ci to dałam. Dawaj po trochu Adannie.

Mama Adanny chwyciła Olanę.

– Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję. Nikomu nic nie powiem.

Jednak komuś musiała powiedzieć, bo kiedy Olanna wybierała się później do biura profesora Ezeki, mama Oj i zawołała do niej:

– Mój syn ma astmę i mleko na pewno go nie zabije!

Olanna nie zwróciła na nią uwagi.

Poszła na główną drogę i stanęła pod drzewem. Próbowwała zatrzymać każdego przejeżdżający samochód. W końcu zahamował przed nią żołnierz jadący pordzewiałym kombi. Jeszcze dobrze nie wsiadła do samochodu, a już dostrzegła poządlive spojrzenie mężczyzny, od razu zaczęła więc mówić z przesadnie brytyjskim akcentem, przekonana, że niewiele rozumie z jej słów, i przez całą drogę rozwodziła się na temat białrańskiej sprawy, wspominając, że jej kierowca zabrał samochód do mechanika. Żołnierz prawie się nie odzywał i w końcu wysadził ją przy budynku zarządu. Nie miał pojęcia, kim jest ani kogo zna.

Sekretarka profesora Ezeki, kobieta o jastrzębiej twarzy, powoli zmierzyła wzrokiem Olanę, od starannie uczesanej peruki aż po buty, i powiedziała:

– Nie ma go!

– W takim razie proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że na niego czekam. Nazywam się Olanna Ozobia.

Sekretarka wyglądała na zaskoczoną.

– Proszę?

– Czy mam powtórzyć? – zapytała Olanna. – Jestem pewna, że profesor z chęcią się o tym dowie. Gdzie mam usiąść, czekając, aż pani zatelefonuje?

Sekretarka wpatrywała się w Olanę, która odpowiedziała jej spokojnym spojrzeniem. Po chwili w milczeniu wskazała jej krzesło i chwyciła za słuchawkę telefonu. Pół godziny później przyjechał kierowca profesora Ezeki i zawiózł Olanę do jego domu, położonego na uboczu przy ukrytej gruntowej drodze.

– Sądziłam, że takie VIP-y jak profesor mieszkają w georgiańskich domach dzielnicy rządowej – powiedziała Olanna, kiedy się z nim przywitała.

– Och, ależ skądże. To zbyt wyraźny cel dla bombardowań. – Zupełnie się nie zmienił. W jego głosie nadal wyczuwało się pedantyczne poczucie wyższości, kiedy skinął jej ręką na powitanie i poprosił, by zaczekała, dopóki nie dokończy czegoś w gabinecie.

W Nusce Olanna bardzo rzadko widywała panią Ezekę, kobietę nieśmiałą i słabo wykształconą, będącą – jak powiedział kiedyś Odenigbo – typowym przykładem żony, którą dla Ezeki wybrała jego wioska. Olanna z trudem więc

kryła zaskoczenie, kiedy teraz pani Ezeka wyszła do niej i aż dwa razy wyściskała ją w przestronnym salonie.

– Tak miło zobaczyć starych znajomych! Obecnie nasze życie towarzyskie jest bardzo oficjalne, jednego dnia spotkanie w jakiejś rezydencji rządowej, a następnego w innej. – Z szyi pani Ezeki zwisał złoty wisior na długim łańcuszku. – Pamelo! Chodź tu i przywitaj się z ciocią.

Mała dziewczynka, która wyszła z lalką w ręce, była starsza od Dzidzi, mogła mieć jakieś osiem lat. Miała twarz matki, takie same pucołowate policzki, a w jej włosach kołysały się różowe aksamitowe wstążki.

– Dzień dobry – powiedziała. Rozbierała właśnie lalkę, ściągając spodniczkę z plastikowego ciała.

– Jak się masz? – zapytała Olanna.

– Dobrze, dziękuję pani.

Olanna opadła na czerwoną pluszową sofę. Na umieszczonym pośrodku salonu stole stał domek dla lalek z malutkimi prześlicznymi talerzykami i filiżaneczkami.

– Czego się napijesz? – zapytała wesoło pani Ezeka. – Pamiętam, że Odenigbo uwielbiał brandy. My też mamy dosyć dobrą brandy.

Olanna spojrzała na panią Ezekę. Ta kobieta raczej nie mogła pamiętać, co pił Odenigbo, ponieważ nigdy wieczorami nie odwiedzała ich ze swoim mężem.

– Poproszę zimnej wody.

– Tylko zimnej wody? – zapytała pani Ezeka. – No cóż, po lunchu będziemy mogli napić się czegoś innego. Lokaj! – Lokaj pojawił się natychmiast, jakby cały czas czekał za drzwiami. – Proszę podać zimną wodę i colę – powiedziała pani Ezeka.

Pamela zaczęła marudzić, wciąż szarpiąc ubranie lalki.

– Chodź tu, chodź, daj, ja ci to zrobię – powiedziała pani Ezeka. Odwróciła się w stronę Olanny. – Jest teraz taka niespokojna! Już w zeszłym tygodniu mieliśmy wyjechać za granicę. Dwójka starszych już wyjechała. Jego Ekscencja już dawno udzielił nam zezwolenia. Mieliśmy lecieć samolotem pomocy humanitarnej, ale żaden nie mógł wylądować. Mówiono, że jest za dużo nigeryjskich bombowców. Wyobrażasz to sobie? Wczoraj ponad dwie godziny czekaliśmy w Uli, w tym niedokończonym budynku, który nazywają terminalem, i nie wylądował żaden samolot. Ale mam nadzieję, że w niedzielę w końcu polecimy. Najpierw do Gabonu, a stamtąd do Anglii. Oczywiście z nigeryjskimi paszportami! Brytyjczycy nie chcą uznać Biafry! – Jej śmiech dźgnał

Olanę urażą tak precyzyjną i bolesną jak ukłucie świeżo wbitej szpilki.

Lokaj wniósł wodę na srebrnej tacy.

– Czy woda na pewno jest dostatecznie chłodna? – zapytała pani Ezeka. –
Była w nowej zamrażarce czy w tej starej?

– W nowej, mah, jak pani kazała.

– Poczęstujesz się ciastem, Olanno? – spytała pani Ezeka, kiedy lokaj wyszedł. – Dzisiaj pieczone.

– Nie, dziękuję.

Wszedł profesor Ezeka, niosąc jakieś teczki z dokumentami.

– Tylko tyle pijesz? Wodę?

– Twój dom wygląda surrealistycznie – powiedziała Olanna.

– Cóż to za dobór słów: „surrealistycznie” – odrzekł.

– Odenigbo bardzo źle znosi pracę w swoim zarządzie. Czy mógłbyś pomóc załatwić mu przeniesienie w jakieś inne miejsce? – W miarę jak słowa powoli wypływały z jej ust, Olanna uzmysławiała sobie, jak bardzo jest jej przykro, że musi o to prosić, jak bardzo chciałaby mieć już to za sobą i opuścić ten dom, w którym czerwony dywan dopasowany był do czerwonych sof, stał telewizor i czuło się owocowy zapach perfum pani Ezeki.

– Wszędzie teraz jest trudno, naprawdę bardzo trudno – stwierdził profesor Ezeka. – Z wszystkich stron napływają prośby. – Usiadł, położył teczki na kolanach i założył nogę na nogę. – Ale zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję – powiedziała Olanna. – I dziękuję za żywność.

– Poczęstuj się ciastem – powiedziała pani Ezeka.

– Nie, dziękuję, nie chcę ciasta.

– Może po lunchu.

Olanna podniosła się.

– Nie mogę zostać na lunchu. Muszę już iść. Uczę dzieci na podwórku i powiedziałam im, że za godzinę wrócę.

– Och, jakież to piękne – mówiła pani Ezeka, odprowadzając ją do drzwi.

– Gdybym wkrótce nie wyjeżdżała za granicę, mogłybyśmy wspólnie coś zrobić w ramach wysiłku na rzecz zwycięstwa w wojnie.

Olanna musiała zmusić wargi do ułożenia się w uśmiech.

– Kierowca cię odwiezie – powiedział profesor Ezeka.

– Dziękuję – odparła Olanna.

Zanim wsiadła do samochodu, pani Ezeka poprosiła ją, żeby poszła z nią na tyły domu i zobaczyła nowy schron zbudowany przez jej męża, betonowy i bardzo solidny.

– Pomyśl tylko, do czego nas doprowadzili ci barbarzyńcy. Czasami Pamela i ja musimy tam spać, kiedy nas bombardują – powiedziała pani Ezeka. – Ale przetrwamy.

– Tak – zgodziła się Olanna, nie odrywając wzroku od gładkiej podłogi i dwóch łóżek ustawionych w tym w pełni umeblowanym podziemnym pokoju.

Kiedy wróciła na podwórze, Dzidzia płakała. Z nosa spływała jej cienka strużka śluzu.

– Zjedli Binga! – powiedziała.

– Co?

– Mama Adanny zjadła Binga.

– Ugwu, co tu się stało? – zapytała Olanna, biorąc Dzidzię na rękę.

Ugwu tylko wzruszył ramionami.

– Tak mówią ludzie na podwórzu. Jakiś czas temu mama Adanny zabrała psa i kiedy teraz pytają, gdzie on jest, nic nie odpowiada. A przed chwilą ugotowała zupę na mięsie.

Olanna uspokoiła Dzidzię, wytarła jej oczy i nos i przez chwilę rozmyślała o psie z łbem pełnym ran.

Kainene przyjechała w samym środku gorącego popołudnia. Olanna była w kuchni i właśnie moczyła w wodzie suszony maniok, kiedy mama Oji zawołała:

– Jakaś kobieta w samochodzie pyta o ciebie!

Olanna wybiegła z domu i zatrzymała się na widok swojej siostry stojącej obok bananowców. Kainene wyglądała bardzo elegancko w jasnobrązowej sukience do kolan.

– Kainene!... – Olanna wyciągnęła przed siebie rękę, nieznacznie, z wahaniem, a kiedy Kainene do niej podeszła, objęły się tylko na krótki moment, ich ciała zaledwie się dotknęły i zaraz Kainene się cofnęła.

– Byłam w twoim starym domu i powiedziano mi, żebyś tu przyjechała.

– Właściciel domu nas wyrzucił, nie byliśmy dla niego dobrymi klientami.

– Olanna roześmiała się z tego marnego dowcipu, lecz Kainene nawet się nie uśmiechnęła. Zajrzała do ich pokoju. Olanna ogromnie żałowała, że Kainene nie przyjechała, kiedy jeszcze mieszkali w tamtym domu, wówczas nie musiałyby odczuwać tak bolesnego skrępowania.

– Wejź i usiądź.

Olanna wciągnęła do pokoju ławkę z werandy, a Kainene obrzuciła ten dziwny mebel nieufnym spojrzeniem, zanim na nim usiadła i złożyła ręce

na skórzanej torebce w kolorze dokładnie takim samym, brunatnym ziemistym, jak jej ufryzowana peruka. Olanna podniosła dzielącą pokój zasłonę i usiadła na łóżku, poprawiając spowijającą ją chustę. Nie patrzyły na siebie. Zapano-
wała cisza ciężka od niedopowiedzeń.

– Powiedz, co u ciebie? – w końcu zapytała Olanna.

– Wszystko było po staremu, dopóki Port Harcourt nie padł. Pracowałam jako dostawca usług dla wojska i miałam licencję na import sztokfisza. Teraz jestem w Orlu. Prowadzę tam obóz dla uchodźców.

– Tak?

– Czyżbyś po cichu potępiała mnie za czerpanie zysków z wojny? Chyba zdajesz sobie sprawę, że ktoś musiał importować sztokfisza. – Kainene uniosła brwi; narysowane kredką tworzyły cienkie, łagodne luki. – Wielu przedsię-
biorców niczego nie dostarczyło, choć dostali pieniądze. Ja przynajmniej się wywiązywałam.

– Nie, nie, wcale tak nie myślałam.

– Myślałaś.

Olanna odwróciła wzrok. Zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie.

– Tak się martwiłam, kiedy Port Harcourt wpadł w ręce wroga! Wysyłałam listy.

– Dostałam list, który wysłałaś do Madu. – Kainene poprawiła paski torebki. – Pisałaś w nim, że uczysz. Nadal tym się zajmujesz? To ten twój szlachetny wysiłek na rzecz zwycięstwa w wojnie?

– W szkole mieści się teraz centrum dla uchodźców. Czasami uczę dzieci na podwórzu.

– A jak się ma twój rewolucyjny mąż?

– Wciąż pracuje w Zarządzie Pośrednictwa Pracy.

– Nie widzę zdjęcia ze ślubu.

– Podczas przyjęcia mieliśmy nalot. Fotograf upuścił aparat.

Kainene skinęła głową, jakby ta wiadomość nie wymagała okazania współczucia. Otworzyła torebkę.

– Przyjechałam, żeby ci to dać. Mama przysłała przez brytyjskiego dziennikarza.

Olanna trzymała w dłoni kopertę, nie wiedząc, czy mają otworzyć przy Kainene.

– Przywiozłam też dwie sukienki dla Dzidzi – powiedziała Kainene, wskazując na torbę leżącą na podłodze. – Pewna wracająca z São Tomé kobieta miała na sprzedaż porządne dziecięce ubranka.

– Kupiłaś ubranka dla Dzidzi?

– Zdumiewające, prawda? I wydaje mi się, że chyba już nadszedł czas, żeby nazywać ją Chiamaka. Ta cała szopka z Dzidzią staje się już nużąca.

Olanna roześmiała się.

Coś takiego!... Siedziała przed nią jej własna siostra, jej siostra przybyła do niej z wizytą, jej siostra przyniosła ubrania dla jej dziecka.

– Napijesz się wody? Nic więcej nie mamy.

– Nie, dziękuję. – Kainene podniosła się i podeszła do ściany, pod którą stał oparty materac, ale po chwili wróciła i ponownie usiadła. – Nie znałaś mojego lokaja Ikejidego, prawda?

– Czy to nie ten, którego Maxwell ściągnął ze swojej rodzinnej miejscowości?

– Tak. – Kainene znowu wstała. – Zginął w Port Harcourt. Kiedy nas bombardowali i ostrzeliwali, odłamek odciął mu głowę... Ściął mu głowę jak gilotyna, a jego ciało dalej biegło. Jego ciało biegło bez głowy...

– O Boże....

– Patrzyłam na to.

Olanna podniosła się i usiadłszy przy Kainene na ławce, objęła ją ramieniem. Kainene pachniała domem. Upływały długie minuty, a one nic nie mówiły.

– Zastanawiałam się, czy nie wymienić tych pieniędzy – odezwała się Kainene. – Ale chyba sama możesz zrobić to w banku, a potem je tam zdeponować, prawda?

– Chyba widziałaś te ogromne leje po bombach wokół banku. Ja trzymam pieniądze pod łóżkiem.

– W takim razie pilnuj, żeby karaluchy się do nich nie dobrały. Ostatnio ciężko im się żyje. – Kainene wsparła się o Olanę i nagle, jakby sobie o czymś przypomniała, poderwała się i zaczęła poprawiać sukienkę, a Olanna poczuła ogarniający ją powoli smutek tęsknoty za osobą, która jeszcze tu była.

– O mój Boże. Nie zauważyłem, ile czasu już minęło – powiedziała Kainene.

– Przyjedziesz jeszcze?

Minęła dłuższa chwila, zanim Kainene odpowiedziała:

– Większość czasu spędzam w obozie dla uchodźców. Może byś do mnie przyjechała i sama zobaczyła. – Wygrzebała z torebki kawałek papieru i napisała, jak trafić do jej domu.

– Tak, odwiedzę cię. W przyszłą środę.

– Przyjedziesz samochodem?
– Nie. Teraz trzeba uważać na żołnierzy. I stale brakuje nam benzyny.
– Pozdrów ode mnie rewolucjonistę. – Kainene wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik.
– Masz inne numery rejestracyjne – zauważyła Olanna, patrząc na litery VIG umieszczone przed cyframi.
– Dopłaciłam za wybicie patriotyzmu na moim samochodzie. To w skrócie vigilance, czujność! – Kainene na moment jeszcze uniosła brwi i rękę, zanim odjechała.
Olanna patrzyła za znikającym na drodze peugeotem 404, a potem jeszcze przez dobrą chwilę nie ruszała się z miejsca, mając wrażenie, że właśnie połknęła połyskujący okruch światła.

W środę Olanna przybyła wcześniej. Kiedy Harrison otworzył jej drzwi, był tak zaskoczony, że tylko wlepił w nią wzrok i z wrażenia zapomniał o ukłonie.

– Pani, dzień dobry! Tyle czasu!
– Jak się masz, Harrisonie?
– Bardzo dobrze, proszę pani – odparł i w końcu się ukłonił.

Olanna usiadła na jednej z dwóch sof w jasnym pustym salonie, w którym okna były szeroko otwarte. Gdzieś w domu grało głośno nastawione radio. Kiedy usłyszała odgłos zbliżających się kroków, musiała zmusić się do rozluźnienia ściągniętych warg, sama nie wiedząc, co może powiedzieć Richardowi. Ale to nadeszła Kainene w pomiętej czarnej sukience, niosąc perukę w dłoni.

– Ejima m – powiedziała, obejmując Olanę. Uścisnęły się mocno, ich ciała przytuliły się do siebie w serdecznym geście. – Miałam nadzieję, że przybędziesz na tyle wcześniej, żebyśmy zdążyły wybrać się do centrum badawczego, zanim pójdziemy do obozu dla uchodźców. Może zjesz trochę ryżu? Nawet nie zdawałam sobie sprawy, od jak dawna nie jadłam ryżu, dopóki w zeszłym tygodniu ludzie z pomocy humanitarnej nie dali mi jednej torebki.

– Nie, nie teraz. – Olanna wolałaby dużo dłużej obejmować siostrę, wdychać znajomy zapach domu.

– Słuchałam nigeryjskiego radia. Lagos podaje, że chińscy żołnierze walczą za nas, a Kaduna mówi, że wszystkie kobiety łąbów zasługują na to, żeby je zgwałcić – powiedziała Kainene. – Ich wyobraźnia jest naprawdę imponująca.

– Nigdy ich nie słucham.

– Och, ja częściej słucham radia z Lagos i Kaduny niż Radia Biafra. Trzeba bacznie obserwować nieprzyjaciela.

Wszedł Harrison i ukłonił się.

– Proszę pani? Wnieść napoje?

– Sądząc z jego zachowania, można by przypuszczać, że w tym na wpół ukończonym domu na odludziu mamy wspólnie zaopatrzoną piwnicę – mruknęła Kainene, czesząc palcami perukę.

– Pani?

– Nie, Harrisonie, nie przynoś teraz napojów. Wychodzimy. Pamiętaj, lunch na dwie osoby.

– Tak, proszę pani.

Olanna zastanawiała się, gdzie jest Richard.

– Nigdy nie spotkałam bardziej pretensjonalnego wieśniaka niż Harrison – odezwała się Kainene, uruchamiając samochód. – Wiem, że nie lubisz słowa „wieśniak”.

– Tak.

– Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że on jest wieśniakiem.

– Wszyscy jesteśmy wieśniakami.

– Naprawdę? To stwierdzenie w stylu Richarda.

Olanna natychmiast poczuła suchość w gardle.

Kainene spojrzała na nią.

– Richard wyjechał dzisiaj wczesnym rankiem. W przyszłym tygodniu wybiera się do Gabonu, do centrum leczenia kwashiorkoru, i powiedział, że musi poczynić pewne przygotowania. Wydaje mi się jednak, że tak wcześnie wyjechał, bo krępował się spotkać z tobą.

– Och... – Olanna nic więcej nie powiedziała.

Kainene prowadziła samochód po wyboistej drodze ze swobodą i pewnością siebie, obok palm odartych ze strzępiastych liści, obok chudego żołnierza ciągnącego za sobą jeszcze chudsza kozę.

– Czy czasami śni ci się ta dziecięca głowa w kalebasie? – zapytała.

Olanna wyjrzała przez okno i przypomniała sobie ukośne linie krzyżujące się na kalebasie i białą pustkę w oczach dziecka.

– Nie pamiętam teraz snów.

– Kiedy nasz dziadek wspominał trudności, które przyszło mu przejść, powiedział: „To mnie nie zabiło, dzięki temu zmądrzałem”. O gburo m egbu, o mee ka m malu ife.

– Pamiętam.

– Pewne rzeczy są tak bardzo niewybaczalne, że w porównaniu z nimi inne rzeczy można bardzo łatwo wybaczyć – stwierdziła Kainene.

Zapadła cisza. Olanna poczuła, jak w jej wnętrzu ponownie budzi się do życia coś dawno już zwapnionego.

– Wiesz, co mam na myśli? – spytała Kainene.

– Tak.

Kiedy dotarły do centrum badawczego, Kainene zaparkowała pod drzewem i Olanna zaczęła w aucie. Chwilę później Kainene wróciła szybkim krokiem.

– Nie ma tu człowieka, którego potrzebuję – powiedziała i uruchomiła samochód.

Olanna nie odezwała się już przez całą drogę do obozu dla uchodźców. Przed wojną mieściła się tu szkoła podstawowa. Budynek sprawiał wrażenie spłowiałego, większość niegdyś białej farby już z niego oblażała. Kilku kręcących się na dworze uchodźców zatrzymało się, żeby przyjrzeć się Olannie i powitać Kainene zwyczajowym „nno”. Po chwili do samochodu podszedł młody szczupły ksiądz w wyblakłej sutannie.

– Ojcie Marcelu, to moja siostra bliźniaczka, Olanna – powiedziała Kainene.

Ksiądz wyglądał na zaskoczonego.

– Dzień dobry – rzekł i po chwili dodał, zupełnie zbytecznie: – Wcale nie jesteście do siebie podobne.

Stanęli pod tulipanowcem i ksiądz opowiedział Kainene, że dostarczono worek raków, że Czerwony Krzyż rzeczywiście zawiesił loty z pomocą humanitarną, że Inatimi był tu wcześniej z kimś z Biafrańskiej Organizacji Bojowników o Wolność i powiedział, że jeszcze wróci. Olanna patrzyła na rozmawiającą Kainene. Niewiele słyszała z jej słów pogrążona w myślach o niesłabnącej pewności siebie swojej siostry.

– Pozwól, że cię oprowadzę – rzekła Kainene do Olanny po odejściu ojca Marcela. – Zawsze zaczynam od schronu. – Pokazała jej schron, niedbale wykopaną jamę przykrytą kłodami, a następnie ruszyła w kierunku budynku położonego na samym końcu ogrodzonego terenu. – A teraz chodźmy do Miejsca Bez Powrotu.

Olana szła za nią. Już przy pierwszych drzwiach uderzył ją intensywny odór. Przeniknął wprost z jej nozdrzy do brzucha, powodując, że zjedzony na śniadanie gotowany jams natychmiast przewrócił się jej w żołądku, aż poczuła mdłości.

Kainene obserwowała ją.

– Nie musisz wchodzić do środka.

– Ale chcę – odparła Olanna, ponieważ czuła, że powinna tak zrobić, choć wcale nie chciała.

Nie wiedziała, co to za zapach, lecz był coraz mocniejszy i nieomal widziała przed sobą cuchnącą brunatną chmurę. Poczwała, że robi jej się słabo. Weszły do pierwszej klasy. Na bambusowych łózkach, na matach i na podłodze leżało tam mniej więcej dwanaście osób. Nikt nie podnosił ręki, żeby odgonić tłuste muchy. Jedyne zauważony przez Olannę ruch wykonywało siedzące przy drzwiach dziecko: chłopczyk rozkładał i składał ręce. Wyraźnie rysowały się jego kości, a ręce na piersiach układały się niewiarygodnie płasko – nigdy by nie zdołał tak ich ułożyć, gdyby pod skórą miał choć odrobinę ciała. Kainene szybko przebiegła wzrokiem całe pomieszczenie i odwróciła się do drzwi. Po wyjściu na dwór Olanna łapczywie wdychała świeże powietrze. W drugiej klasie miała wrażenie, że nawet znajdujące się w niej powietrze zaczyna się psuć, i chciała zacisnąć nozdrza, by nie dopuścić do mieszania się powietrza z jej wnętrza i z zewnątrz. Na podłodze leżała dwójka dzieci, a obok nich siedziała ich matka. Olanna nie potrafiłaby powiedzieć, ile dzieci mogły mieć lat. Były nagie; naprężone kule stanowiące ich brzuchy i tak nie zmieściłyby się pod żadną koszulą. Ich pośladki i piersi zapadły się w fałdach pomarszczonej skóry. Na głowach kłębiły się czupryny rudawych włosów. Wzrok Olanny napotkał spokojne spojrzenie ich matki i Olanna szybko odwróciła oczy. Przeganiając muchę z twarzy, pomyślała, jak zdrowo te wszystkie muchy wyglądają, jakie są żywe i pełne energii.

– Ta kobieta nie żyje. Trzeba będzie ją wynieść – odezwała się Kainene.

– Nie!... – wyrwało się Olannie, bo spokojnie patrząca kobieta nie mogła być martwa.

Ale Kainene miała na myśli inną kobietę, leżącą twarzą do podłogi i obejmowaną od tyłu przez wychudzone dziecko. Kainene podeszła, odciągnęła dziecko od kobiety, po czym wyszła na dwór i krzyknęła: „Ojcie! Ojcie! Jedna do pogrzebania”, a potem usiadła na stopniach, trzymając dziecko na rękach. To dziecko powinno płakać. Kainene starała się wcisnąć mu w usta miękką pastylkę w kolorze drożdży.

– Co to takiego? – zapytała Olanna.

– Tabletkę proteinową. Dam ci trochę dla Chiamaki. Mają okropny smak. W zeszłym tygodniu udało mi się w końcu dostać trochę od Czerwonego Krzyża. Oczywiście mamy ich za mało, więc trzymam je dla dzieci. Gdybym rozda-

ła je większości mieszkających tu ludzi, nic by to nie zmieniło. Ale może temu dziecku doda sił. Może...

– Ilu umiera każdego dnia? – spytała Olanna.

Kainene spojrzała na dziecko.

– Jej matka przybyła z miejsca, które bardzo wcześnie wpadło w ręce wroga. Przeszli chyba z pięć obozów dla uchodźców, zanim tu trafili.

– Ilu umiera każdego dnia? – powtórzyła pytanie Olanna.

Jednak Kainene nie odpowiedziała. Dziecko w końcu zakwiliło cienko i Kainene wcisnęła kruchą tabletkę w malutkie otwarte usteczka. Olanna patrzyła, jak ojciec Marcel wraz z drugim mężczyzną wynoszą z klasy na tyły budynku martwą kobietę, trzymając ją za kostki u nóg i nadgarstki.

– Czasami ich nienawidzę – odezwała się Kainene.

– Barbarzyńców?

– Nie, ich. – Kainene wskazała za plecy, w kierunku pomieszczenia. – Nienawidzę ich, że umierają.

Wniosła dziecko do budynku i przekazała je innej kobiecie, jakiejś krewnej tej zmarłej, która drżała na całym kościstym ciele, a ponieważ oczy kobiety były zupełnie suche, Olanna dopiero po chwili spostrzegła, że ona płacze z dzieckiem przyciśniętym do rozplaszczonych wyschniętych piersi.

Kiedy później szły do samochodu, Kainene wsunęła dłoń w rękę Olanny.

Ugwu zdawał sobie sprawę, że opowiedziana przez pastora Ambrożego historia o ludziach z zagranicznej fundacji, którzy podobno ustawili stół na końcu St John's Road i rozdają wszystkim przechodniom gotowane jajka i butelki wody prosto z lodówki, była nieprzekonywająca. Wiedział też, że nie powinien opuszczać podwórka, wciąż miał w głowie napomnienia Olanny. Ale nudziło mu się. Było gorąco i parno, a on nie cierpiał wody o smaku popiołu przechowywanej w glinianym garnku za domem. Pragnął wody – w ogóle czegoś, czegokolwiek – schłodzonego za pomocą elektryczności. A przecież nie miał też pewności, że ta wieść nie jest prawdziwa. Dzidzia bawiła się z Adanną, mógłby więc pójść na skróty i wrócić, zanim zauważy jego zniknięcie.

Kiedy skręcił za kościołem Świętego Jana, zobaczył w niedalekiej odległości grupę mężczyzn stojących rzędem na drodze z rękami ułożonymi na głowach. Towarzyszący im dwaj żołnierze byli bardzo wysocy, a jeden z nich trzymał karabin wymierzony przed siebie. Ugwu zatrzymał się. Żołnierz z karabinem zaczął coś krzyczeć i biec w jego stronę. Ugwu poczuł, jak serce bije mu gwałtownie w piersiach, spojrzał na krzaki przy drodze, ale były zbyt rzadkie, żeby się w nich ukryć. Popatrzył za siebie, lecz zobaczył tylko pustą, ciągnącą się w nieskończoność drogę, gdzie nic nie mogło osłonić go przed kulami żołnierza. Odwrócił się i popędził w kierunku kościelnego dziedzińca. U szczytu schodów, przy głównym wejściu do kościoła, stał ubrany na biało stary ksiądz. Ugwu z ulgą wbiegł po schodach, bo wiedział, że żołnierz nie odważy się wejść za nim do kościoła, żeby go stamtąd zabrać. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Biko, ojcie, wpuść mnie do środka – powiedział.

Ksiądz pokręcił głową.

– Ci stojący na dworze, zwerbowani do wojska, też są dziećmi Bożymi.

– Proszę, proszę... – Ugwu nie przestawał szarpać za drzwi.

– Bóg ci pobłogosławi – powiedział ksiądz.

– Otwórz te drzwi! – krzyknął Ugwu.

Ksiądz pokręcił głową i cofnął się.

Na kościelny dziedziniec wbiegł żołnierz.

– Stój, bo strzelam!

Ugwu stał z szeroko otwartymi oczami, czując pustkę w głowie.

– Wiesz, jak mnie nazywają? – krzyknął żołnierz. – Kill and Go! – Obszarpane spodnie, za krótkie na jego wysoki wzrost, kończyły się dużo powyżej cholewek czarnych butów. Splunął na ziemię i pociągnął Ugwu za ramię. – Ty cholerny cywilu! Chodź!

Ugwu ruszył za nim chwiejnym krokiem. Stojący z tyłu ksiądz powiedział:

– Niech Bóg błogosławi Biafrze.

Ugwu nie patrzył na twarze pozostałych mężczyzn, tylko dołączył do szeregu i uniósł ręce nad głowę. Gdzieś w pobliżu głośno szczekał pies. Kill and Go krzyknął na któregoś z mężczyzn, odbezpieczył broń i wystrzelił w powietrze. Nieopodal zebrało się kilka kobiet i jedna z nich rozmawiała z towarzyszem Kill and Go. Początkowo mówiła cicho, tonem błagalnym, ale po chwili podniosła głos i zaczęła gwałtownie gestykulować.

– Czy ty nie widzisz, że on nie potrafi dobrze mówić? Przecież to debil! Jak można mu dać karabin do ręki?

Kill and Go spętał mężczyzn w dwójki, wiążąc im ręce na plecach i mocno naprężając łączący ich sznur. Mężczyzna, do którego Ugwu był przywiązany, szarpnął za sznur, jakby chcąc sprawdzić, czy jest wytrzymały, i Ugwu o mało nie stracił równowagi.

– Ugwu!

Głos dochodził z grupki kobiet. Ugwu odwrócił się. Pani Muokelu patrzyła na niego zszokowanym wzrokiem. Skinął jej głową, starając się zrobić to w sposób wyrażający szacunek, ponieważ nie mógł zaryzykować rozmowy. Pani Muokelu ruszyła drogą szybkim krokiem, co parę metrów podbiegając, a on patrzył za nią rozczarowany, choć sam nie wiedział, czego po niej oczekiwał.

– Przygotujcie się do drogi! – krzyknął Kill and Go.

Podniósłszy wzrok, dostrzegł jakiegoś chłopca na końcu ulicy i rzucił się za nim w pogoń. Jego towarzysz skierował broń na kolejkę.

– Jak się ktoś ruszy, strzelę.

Kill and Go wrócił, prowadząc przed sobą chłopca.

– Zamknij się! – powiedział, wiążąc mu ręce na plecach. – Ruszać! Ciężarówka czeka na sąsiedniej drodze!

Kiedy ruszyli niezgrabnym krokiem przy akompaniamencie krzyków Kill and Go: „Lep! Ai!”, Ugwu dostrzegł Olanę. Zbliżała się szybkim krokiem,

rozhisteryzowana, w peruce, której ostatnio prawie w ogóle nie nosiła, najwyraźniej nałożonej w pośpiechu, bo leżała przekrzywiona na głowie. Uśmiechnęła się i kiwnęła ręką na Kill and Go, a on krzyknął: „Stać!” i podszedł do niej. Stał tyłem odwrócony do mężczyzn, rozmawiając z nią przez chwilę, po czym odwrócił się i przeciął sznur wiążący ręce Ugwu.

– On już służy naszemu narodowi. Nas interesują tylko leniwi cywile – zawołał do drugiego żołnierza, a ten skinął głową.

Ugwu poczuł taką ulgę, że aż zakręciło mu się w głowie. Roztarł nadgarstki. W drodze do domu Olanna słowem się do niego nie odezwała, a jej milczącą wściekłość wyczuwał tylko w energii, z jaką przekręciła klucz w zamku i szeroko otworzyła drzwi.

– Przepraszam, mah – powiedział.

– Jesteś tak głupi, że nie zasługujesz na szczęście, jakie miałeś dzisiaj – powiedziała. – Przekupiłam tego żołnierza, dając mu wszystkie posiadane pieniądze. A teraz ty zapewnisz jedzenie mojemu dziecku, rozumiesz?

– Przepraszam, mah – powtórzył.

W ciągu następnych dni niewiele się do niego odzywała. Sama robiła kleik dla Dzidzi, jakby już mu nie ufała. Na jego powitania odpowiadała lodowatym skinieniem głowy. A on wstawał wcześniej, żeby przynieść wodę, i mocniej szorował podłogę w pokoju, czekając na sposobność odzyskania jej przyjaźni.

W końcu mu się to udało dzięki smażonym jaszczurkom. Tego ranka kiedy Olanna i Dzidzia wybierały się do Orlu w odwiedzinach do Kainene, na podwórze wszedł uliczny sprzedawca z emaliowaną tacą przykrytą gazetami, niosąc zbrązowiałą jaszczurkę na patyku i podśpiewując:

– Mme mme suya! Mme mme suya!

– Mamusiu Ola, ja chcę jaszczurkę, proszę – odezwała się dziewczynka.

Olanna nadal chesała jej włosy, nie zwracając uwagi na słowa Dzidzi. Pastor Ambroży wyszedł ze swojego pokoju i zaczął się targować ze sprzedawcą jaszczurek.

– Mamusiu Ola, ja chcę jaszczurkę – powtórzyła Dzidzia.

– To nie jest dobre dla ciebie – odparła Olanna.

Pastor wrócił do swojego pokoju z pakunkiem zawiniętym w gazetę.

– A pastor sobie kupił – powiedziała Dzidzia.

– Ale my nie kupimy.

Dzidzia zaczęła płakać. Olanna odwróciła się, spojrzała ze złością na Ugwu i nagle oboje uśmiechnęli się, uzmysłowiwszy sobie komizm tej sytuacji: Dzidzia płakała, bo nie pozwolono jej zjeść jaszczurki.

– Dzidziu, a co jedzą jaszczurki? – zapytał Ugwu.

Dzidia wymamrotała:

– Mrówki.

– Jeśli zjesz taką jaszczurkę, wszystkie zjedzone przez nią mrówki rozpełzną się po twoim brzuszku i będą cię gryzły – spokojnie powiedział Ugwu.

Dzidia zamruwała. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby niepewna, czy ma mu wierzyć, potem wytarła łzy.

Tego dnia gdy Olanna i Dzidia wyjechały na tydzień do Orlu w odwiedziny do Kainene, pan wrócił do domu wcześniej niż zwykle i nie poszedł do baru Tanzania; Ugwu miał nadzieję, że ich nieobecność wyciągnie go z dołu, do którego stoczył się po śmierci matki. Pan usiadł na werandzie i słuchał radia. Ugwu ze zdziwieniem zauważył, że idąca do łazienki Alicja zatrzymała się przy panu. Sądził, że pan ograniczy się do kilku swoich zdawkowych i chłodnych odpowiedzi, krótkiego „tak” i „nie”, a ona wróci do swojego pianina. Ale zaczęli ze sobą rozmawiać po cichu i Ugwu niewiele słyszał z ich rozmowy, tylko czasami dobiegał go chichot Alicji. Następnego dnia siedziała na ławce obok pana. A potem została do późna, aż całe podwórze już zasnęło. Po kilku dniach zaś Ugwu, wychodząc z podwórza na tyłach domu, zastał werandę pustą, a drzwi do pokoju szczelnie zamknięte. Poczłł nieprzyjemny skurcz w żołądku, wspomnienia Amali i tamtych czasów pozostawiły mu w gardle trudną do przełknięcia grudę. Alicja była inna. Otaczała ją jakaś nieprzypadkowa dziecięca aura, której Ugwu nie ufał. Wiedział, że Alicja nie potrzebuje żadnego leku od dibii, żeby skusić pana, jej wystarczyła blada skóra i bezradność. Ugwu przeszedł się do bananowców i z powrotem, po czym zbliżył się do drzwi i głośno zapukał. Zdecydowany był powstrzymać ich, powstrzymać to, co się działo. Z pokoju dobiegły go jakieś dźwięki. Ponownie zapukał. I jeszcze raz.

– Tak? – Głos pana był przytłumiony.

– To ja, sah. Chciałem zapytać, czy mogę wziąć kuchenkę naftową. – Zaplanował sobie, że gdy weźmie kuchenkę, będzie udawał, że zapomniał o kubku garri, o ostatnim kawałku jamsu, chochli... Gotów był udawać nawet atak epilepsji, wszystko, co przeszkodziłoby panu robić dalej to, co robił z tą kobietą. Upłynęło kilka długich minut, zanim pan otworzył drzwi. Był bez okularów, oczy miał podpuchnięte.

– Sah? – odezwał się Ugwu, zaglądając mu przez ramię. W pokoju nikogo nie było. – Czy wszystko w porządku, sah?

– Oczywiście, że nie, ty ignorancie – odparł pan, wpatrując się w parę kłapek na podłodze. Sprawiał wrażenie zagubionego we własnych myślach. Ugwu czekał cierpliwie. Pan westchnął. – Profesor Ekwenugo jechał wraz z Grupą Naukową, żeby porozstawiać miny. I na wybojach miny wybuchły.

– Miny wybuchły?

– Ekwenugo wyleciał w powietrze. Nie żyje.

Słowa „wyleciał w powietrze” zadzwoniły Ugwu w uszach.

Pan cofnął się.

– Zabieraj tę kuchenkę.

Ugwu wszedł do środka i zabrał niepotrzebną mu kuchenkę naftową, myśląc o długim, zwężającym się paznokciu profesora Ekwenuga. „Wyleciał w powietrze”. Profesor Ekwenugo, opowiadający o robionych z niczego rakietach, pojazdach opancerzonych i paliwie, zawsze stanowił dla niego dowód ostatecznego zwycięstwa Biafry. Czy fragmenty ciała profesora Ekwenuga są zupełnie zwęglone czy może da się rozpoznać, co jest czym? Czy pozostały jakieś wysuszone na wiór fragmenty, jak przy wyciskaniu liścia wysuszonego przez harmattan? „Wyleciał w powietrze”.

Chwilę później pan wyszedł do baru Tanzania. Ugwu przebrał się w swoje najlepsze spodnie i pospieszył do domu Eberechi. Wydawało mu się to czymś zupełnie naturalnym, jedynym, co w takiej sytuacji mógł zrobić. Nawet nie chciał myśleć, jak bardzo rozgniewa się Olanna, kiedy mama Oji powie jej, że wyszedł, ani jak zareaguje Eberechi, czy zlekceważy go czy przywita radośnie, czy też będzie na niego krzyczeć. Musiał się z nią zobaczyć.

Siedziała sama na werandzie, ubrana w tę znaną mu obcisłą spódnicę tak pięknie formującą jej pośladki, ale włosy miała inne, już nie zaplecione z nitką, tylko krótko ścięte na pazia.

– Ugwu! – powiedziała zaskoczona i wstała.

– Ścięłaś włosy.

– Czy można tu gdzieś kupić nici, nie mówiąc już o potrzebnych na nie pieniądze?

– Ładnie ci w tej fryzurze – pochwalił.

Wzruszyła ramionami.

– Powiniennem wcześniej do ciebie przyjść – powiedział. Nigdy nie powinien był przestawać rozmawiać z nią z powodu jakiegoś nieznanego mu oficera. – Wybacz mi. Gbaghalu.

Spojrzeli na siebie, a ona wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w szyję. Żartobliwie odtrącił rękę, lecz zaraz ją chwycił i przytrzymał. Trzymał ją, kiedy

usiedli razem na schodach i Eberechi opowiadała mu o tym, że rodzina mieszkająca teraz w poprzednim domu pana jest podła, że chłopcy z ich ulicy kryją się pod dachem, kiedy przychodzą żołnierze werbujący do wojska, że po ostatnim nalocie w ścianie jej domu została dziura, przez którą przechodzą szczury.

W końcu Ugwu powiedział jej, że zginął profesor Ekwenugo.

– Pamiętasz? Opowiadałem ci o nim. Ten z Grupy Naukowej, ten, który robił wielkie rzeczy – mówił.

– Pamiętam – odparła. – Człowiek z długim paznokciem.

– Obciął go – rzekł Ugwu i rozplakał się, po policzkach popłynęły mu łzy rzadkie i swędzące. Kiedy położyła mu dłoń na ramieniu, starał się siedzieć nieruchomo, żeby jej nie poruszyć, żeby została w tym samym miejscu. Miał wrażenie, że Eberechi się zmieniła, jest inna, choć może tylko on wszystko teraz odbierał w jakiś inny, nowy sposób. Uwierzył, że może istnieć coś bezcennego.

– Mówisz, że obciął ten długi paznokieć? – zapytała.

– Obciął – odrzekł Ugwu. Nieoczekiwanie okazało się, że obcięcie paznokcia było czymś dobrym, Ugwu nie zniósłby bowiem myśli, że paznokieć wyleciał w powietrze.

– Muszę już iść – powiedział. – Zanim mój pan wróci.

– Przyjdę do ciebie jutro – odparła. – Znam skrót do ciebie.

Kiedy Ugwu wrócił do domu, pana jeszcze nie było. Mama Oji krzyczała na męża: „Wstydziliśmy się! Wstydziliśmy się!”, pastor Ambroży modlił się, żeby Bóg zasypał Wielką Brytanię dynamitem Ducha Świętego, jakieś dziecko płakało. Powoli, jeden po drugim, wszystkie te dźwięki cichły. Zapadły ciemności. Pogasły lampy naftowe. Ugwu usiadł przed pokojem i czekał, aż w końcu nadszedł pan z nieznacznym uśmiechem na twarzy i oczami płonącymi czerwienią.

– Mój dobry człowieku... – odezwał się.

– Dobry wieczór, sah. Nno. – Ugwu podniósł się. Pan chwiał się na nogach i lekko zataczał na lewo. Ugwu podbiegł i objąwszy go ramieniem, podtrzymał pana. Ledwo weszli do pokoju, pan zgiął się gwałtownie w pół i zwymiotował. Spienione wymiociny rozbryzgały się na podłodze. Pokój wypełnił kwaśny odór. Pan usiadł na łóżku. Ugwu przyniósł szmatę i wodę i zabrał się za sprzątanie, słuchając nierównego oddechu pana.

– Nie mów o tym swojej pani – powiedział pan.

– Tak, sah.

Eberechi często go odwiedzała, a jej uśmiech, delikatny dotyk dłoni czy uszczypnięcie w szyję sprawiały mu wyjątkową radość. Tego popołudnia kiedy po raz pierwszy pocałował Eberechi, Dzidzia spała. Siedzieli na ławce przed domem, grając w biafrańskie whot, i właśnie powiedziała: „Sprawdzam!”, kładąc ostatnią swoją kartę, kiedy nachylił się bliżej i poczuł w ustach cierpki smak kurzu za jej uchem. A potem pocałował ją w szyję, w policzek, wargi, pod naciskiem jego języka otworzyła usta, a tryskające z nich ciepło przeniknęło go dreszczem. Jego dłoń powędrowała w górę i objęła jej drobną pierś. Eberechi odepchnęła jego rękę.

Opuścił dłoń na jej brzuch i ponownie pocałował ją w usta, szybko wsuwając rękę pod spódnicę.

– Tylko pozwól mi popatrzeć – powiedział, zanim zdążyła go powstrzymać. – Tylko popatrzę.

Eberechi wstała. Nie próbowała go powstrzymać, kiedy unosił jej spódnicę i zsuwał bawełniane, naderwane w pasie majtki, a potem patrzył na wielkie krągłe płyty pośladków. Podciągnął jej w końcu majtki i opuścił spódnicę. Kochał tę kobietę. Chciał jej powiedzieć, że ją kocha.

– Idę – odezwała się, poprawiając bluzkę.

– A co z twoim znajomym oficerem?

– Jest w innym sektorze.

– Co z nim robiłaś?

Grzbietem dłoni pocierała wargi, jakby chciała coś zetrzeć.

– Robiłaś coś z nim? – zapytał Ugwu.

Podeszła do drzwi, wciąż nic nie mówiąc.

– Lubisz go – rzekł Ugwu, czując ogarniającą go rozpacz.

– Ciebie bardziej lubię.

Już nie miało znaczenia, że wciąż się spotyka z tym oficerem. Ważne było to „bardziej”, ważne było to, którego wołała. Przyciągnął ją, ale odsunęła się.

– Zamordujesz mnie – powiedziała i roześmiała się – Puść!

– Odprowadzę cię do połowy drogi – zaproponował.

– Nie ma potrzeby. Dzidzia zostanie sama.

– Wrócę, zanim się obudzi.

Chciał wziąć ją za rękę, jednak tylko szedł bardzo blisko niej, a ich ciała co jakiś czas ocierały się o siebie. Nie zaszedł daleko i zawrócił. Od domu dzieliła go jeszcze ledwie krótka ścieżka, kiedy zobaczył dwóch żołnierzy stojących przy furgonetce z karabinami w rękach.

– Ty! Stój! – zawołał jeden z nich.

Ugwu rzucił się do biegu, ale kiedy usłyszał wystrzał, tak ogłuszający i tak niepokojąco bliski, padł na ziemię w oczekiwaniu na ból, który miał wdrzeć się w jego ciało, bo był przekonany, że go trafiono. Nie poczuł jednak bólu. Kiedy żołnierze podbiegli do niego, Ugwu ujrzał najpierw parę płóciennych butów, a potem podniósł wzrok na żylaste ciało i gniewną twarz. Pod nią na szyi wisiał różaniec. Z karabinu żołnierza wydobywał się swąd spalonego prochu.

– Ruszaj się, wstawaj, cholerny cywilu! Dołącz do tamtych!

Kiedy Ugwu się podniósł, żołnierz uderzył go dłonią w tył głowy, aż przed oczami rozbłysły mu ogniki światła. Jeszcze przez chwilę wbijał mocno stopy w sycki piasek, żeby odzyskać równowagę, zanim dołączył do dwóch mężczyzn stojących z wysoko uniesionymi rękami. Jeden z nich był człowiekiem starszym, przynajmniej sześćdziesięcioletnim, a drugi nastolatkiem, mógł mieć z piętnaście lat. Ugwu wymamrotał „dzień dobry” w stronę starszego i stanął obok niego z uniesionymi rękami.

– Wchodzić do furgonetki – odezwał się drugi żołnierz. Gęsta broda zakrywała mu większą część twarzy.

– Jeśli doszło już do tego, że werbujecie ludzi w moim wieku, to znaczy, że Biafra umarła – cicho powiedział starszy mężczyzna.

Drugi żołnierz wpatrywał się w niego. Pierwszy krzyknął:

– Zamknij swoją cuchnącą gębę, agadi! – I uderzył starszego mężczyznę w twarz.

– Przestań! – odezwał się drugi żołnierz. Odwrócił się do starszego mężczyzny. – Idźcie, papo.

– Co? – Starszy mężczyzna chyba nie wiedział, co ma zrobić.

– Idź, gawa.

Staruszek zaczął się oddalać, najpierw powoli, niepewnie, rozcierając policzek, w który go uderzono, ale już po chwili puścił się chwiejnym biegiem. Ugwu patrzył za znikającym na drodze mężczyzną, żałując, że nie może do niego doskoczyć i chwycić za rękę, aby pociągnął go z sobą ku wolności.

– Do furgonetki! – krzyknął pierwszy żołnierz, jakby odejście starszego mężczyzny rozzłościło go i uważał, że odpowiedzialni za to są poborowi, a nie ten drugi żołnierz. Zaczął popychać nastolatka i Ugwu. Nastolatek upadł, lecz szybko się pozbierał, zanim jeszcze weszli do tylnej części furgonetki. Nie było w niej miejsc do siedzenia, po pordzewiałej podłodze walały się stare worki z rafii, bykowce i puste butelki. Ugwu był zaskoczony widokiem siedzącego tam chłopca, nucącego jakąś piosenkę i popijającego ze starej butelki

po piwie. Siadając obok chłopca, Ugwu poczuł cierpką woń miejscowego dżinu i pomyślał, że być może to nie jest prawdziwy chłopiec, tylko karzeł.

– Nazywam się High-tech – odezwał się nieznajomy, a woń miejscowego dżinu przybrała na sile.

– Jestem Ugwu. – Ugwu spojrział na jego zbyt dużą koszulę, obszarpane krótkie spodenki, na buty i берет. To rzeczywiście był chłopiec. Mógł mieć najwyżej trzynaście lat. Ale ironiczny cynizm w jego oczach powodował, że wyglądał na dużo starszego od nastolatka skulonego na podłodze naprzeciwko.

– Gi kwanu? Jak się nazywasz? – zapytał High-tech nastolatka.

Nastolatek szlochał. Wyglądał znajomo, być może był to jeden z chłopców z sąsiedztwa, którzy chodzili przed świtem po wodę do odwiertu. Ugwu współczuł chłopakowi, lecz równocześnie był na niego wściekły, bo przez jego płacz beznadziejność ich położenia stawała się jaskrawsza i ostateczna. Naprawdę zostali zwerbowani. Naprawdę zostaną wysłani na front bez żadnego szkolenia.

– Chyba jesteś mężczyzną, nie? – zapytał High-tech nastolatka. – I bu nwa-nyi? Dlaczego zachowujesz się jak baba?

Nastolatek płakał, przyciskając dłonie do oczu. Uśmiezek High-techa przeszedł w szydery śmiech:

– Ten tu nie chce walczyć za naszą sprawę!

Ugwu nie odzywał się, śmiech High-techa i zapach dżinu przyprawiały go o mdłości.

– Chodzę na misje rekonasowe – oświadczył High-tech, po raz pierwszy odzywając się po angielsku. Ugwu zastanawiał się, czy nie poprawić jego wymowy słowa „rekonasowe”, widać było, że chłopcu z pewnością przydałyby się lekcje w klasie Olanny. – Nasz batalion składa się z samych saperowi używamy tylko potężnych ogbunigwe... – High-tech urwał i beknął, jakby oczekiwał wyrazów zachwyty ze strony słuchaczy.

Nastolatek nadal płakał. Ugwu słuchał z obojętną miną. Miał wrażenie, że być może warto byłoby zdobyć sobie szacunek High-techa, a jeśli miało mu się to udać, nie mógł okazywać strachu, który kłębił się w całym jego ciele.

– To ja wykrywam, gdzie jest nieprzyjaciel. Podchodzę blisko, wspinam się na drzewa i dokładnie określam miejsce, a potem nasz dowódca wykorzystuje moje informacje i decyduje, gdzie skierować działania. – High-tech obserwował Ugwu, który przez cały czas zachowywał beznamiętny wyraz twarzy. – Kiedy byłem z moim ostatnim batalionem, udawałem, że jestem sierotą i w ten sposób przenikałem do obozów nieprzyjaciela. Nazywają mnie High-

tech, bo mój pierwszy dowódca powiedział, że jestem lepszy niż wszystkie szpiegowskie urządzenia high-tech. – Widać było, że pragnie zrobić na Ugwu wrażenie.

Ugwu wyciągnął nogi przed siebie.

– Nie mówi się „rekonasowe”, tylko „rekonesansowe” – powiedział.

High-tech popatrzył na niego przez moment i roześmiał się, a potem podał mu butelkę, ale Ugwu pokręcił głową. High-tech wzruszył ramionami, pociągnął z butelki i zanucił „Biafra zwycięży”, stukając stopą w podłogę furgonetki. Nastolatek nadal płakał. Pierwszy żołnierz siedział za kierownicą, paląc zawinięte w kawałek papieru wysuszone liście, i w tym gryzącym dymie i tak długo trwającej podróży Ugwu nie mógł już powstrzymać moczu.

– Proszę, muszę się wysikać! – zawołał.

Żołnierz zatrzymał furgonetkę i wymierzył z karabinu.

– Złaź i sikaj. Jak się ruszysz, strzelę.

Kiedy dotarli do obozu szkoleniowego, dawnej szkoły podstawowej z budynkami przykrytymi strzępiastymi liśćmi palmowymi, ten sam żołnierz zgolił Ugwu włosy kawałkiem rozbitego szkła. Po tym brutalnym skrobaniu skórę na głowie miał podrażniona, usiana nacięciami. Porozkładane w klasach maty i materace roily się od żarłocznych pluskw. Wychudzeni żołnierze – bez butów, mundurów, bez połówki żółtego słońca na ramieniu – kopali go, bili i drwili z niego podczas ćwiczeń fizycznych. Po musztrze Ugwu miał zeszywniałe ramiona. Po ćwiczeniach w pokonywaniu przeszkód rwało go w łydkach. Po wspinaniu po linie dłonie mu krwawiły. Po odstaniu w kolejce, żeby otrzymać garri i cienką zupę nabieraną raz dziennie z metalowej misy, czuł głód. A obojętne na wszystko okrucieństwo tego nowego świata, w którym nie miał nic do powiedzenia, budziło w nim ostre poczucie strachu.

Na dachu klasy gniazdo uwiła sobie ptasia rodzina. Każdego ranka ćwierkanie ptaków przerywał ostry tryl gwizdka dowódcy oraz krzyk: „W szeregu zbiórka! W szeregu zbiórka!”, inicjujący bieganie i przepychanie się mężczyzn i chłopców. Popołudniami słońce wysysało energię i dobrą wolę, a żołnierze kłócili się i grali w biafrańskie whot, rozmawiając o barbarzyńcach, których wysadzili w powietrze podczas minionych operacji. Kiedy jeden z nich powiedział: „Wkrótce czeka nas kolejna operacja!”, towarzyszący Ugwu strach zmieszał się z podnieceniem na myśl, że jest żołnierzem walczącym za Biafrę. Ach, gdybyż był w prawdziwym batalionie i mógł walczyć z bronią w rękę!... Pamiętał, jak kiedyś profesor Ekwenugo określał, czym jest ogbunigwe: „To

mina lądowa o dużej sile rażenia”. Jakże wspaniale to wówczas brzmiało! Mina zrobiona w Biafrze, zwana „kubłem Ojukwu”, to cudo, które tyle kłopotów sprawiało barbarzyńcom, że podobno pędzili przed sobą stada bydła, żeby pojąć, jak to możliwe, że ogbunigwe potrafi spowodować tyle śmiertelnych ofiar. Ale kiedy poszedł na pierwszą sesję szkoleniową, wielkimi oczami wpatrywał się w to, co stało przed nim: nijaki metalowy pojemnik wypełniony kawałkami złomu.

Żałował, że nie może opowiedzieć Eberechi o swoim rozczarowaniu. Chciałby też opowiedzieć jej o dowódcy, jedynym żołnierzu posiadającym pełne umundurowanie, odprasowane i sztywne, o tym, jak ten człowiek często wrzeszczał coś do aparatu nadawczo-odbiorczego i jak podczas próby ucieczki nastolatka podczas sesji szkoleniowej bił go gołymi rękami, aż z nosa chłopca płynęła krew, później zaś krzyczał: „Zamknąć go w wartowni!”. Ugwu najczęściej myślał o Eberechi, kiedy przychodziły do nich wiejskie kobiety z pakunkami garri, cienką zupą i raz na jakiś czas z ryżem, w ramach wysiłku na rzecz zwycięstwa w wojnie gotowanym z olejem palmowym i praktycznie bez żadnych dodatków. Czasami pojawiały się młodsze kobiety, które wchodziły do kwatery dowódcy, a potem z niej wychodziły, uśmiechając się z zażenowaniem. Stojący u wejścia strażnicy zawsze unosili szlaban, żeby je wpuścić, chociaż wcale nie musieli tego robić, bo kobiety z łatwością mogły przejść bokiem. Ugwu dostrzegł kiedyś postać z krągłymi, kołyszącymi się pośladkami, wychodzącą z terenu obozu, i chciał nawet zawołać: „Eberechi!”, chociaż wiedział, że to nie może być ona. Szukając kawałka papieru, na którym mógłby spisać swoje codzienne zajęcia, żeby kiedyś opowiedzieć o nich Eberechi, znalazł książkę „Relacja z życia Fredericka Douglassa, amerykańskiego niewolnika; spisana przez niego samego”, wsuniętą w ciasny kąt pod tablicą. Na pierwszej stronie widniały ciemnoniebieskie drukowane litery: WŁASNOŚĆ UCZELNI PAŃSTWOWEJ. Usiadł na podłodze i zaczął czytać. Skończył książkę w dwa dni i zaczął czytać od nowa, smakując słowa i zapamiętując niektóre zdania:

Niewolnicy nie mniej obawiają się smoły niż bata.

Nie tyle przeszkadza im brak łóżek, ile brak czasu na sen.

High-tech lubił siadywać przy nim, kiedy Ugwu czytał. Czasami irytującym monotonnym głosem nucił biafrańskie pieśni, a czasami plotkował o tym i owym. Ugwu nie zwracał na niego uwagi. Ale pewnego popołudnia kobiety

nie przyniosły żadnego jedzenia i cały dzień upłynął na narzekaniu niezadowolonych mężczyzn. W nocy High-tech szturchnął Ugwu i wyciągnął w jego stronę puszkę sardynek. Ugwu pochwycił ją. High-tech roześmiał się.

– Musimy się tym podzielić – powiedział.

Ugwu nie posiadał się ze zdumienia: jak chłopakowi udało się załatwić tę puszkę? Jak to się stało, że tak młody dzieciak potrafił tak doskonale dostosować się i zapanować nad sytuacją? Poszli na tyły budynku i podzielili się tłustymi rybami.

– Och, ci barbarzyńcy lubią dobrze zjeść! – odezwał się High-tech. – Kiedy służyłem w batalionie w Nteje, w ostatnim obozie, do którego przeniknąłem, ich kobiety gotowały zupę z ogromniastymi kawałkami mięsa. Nawet poczęstowali tym naszych ludzi, kiedy na święta wielkanocne przerwali walki na tydzień.

– Przerwali walki, żeby świętować Wielkanoc? – zapytał Ugwu.

High-techowi najwyraźniej sprawiło przyjemność, że w końcu udało mu się zwrócić na siebie jego uwagę.

– Tak. Nawet grali ze sobą w karty i pili whisky. Czasami zgadzali się nie walczyć, żeby wszyscy mogli odpocząć. – High-tech spojrzął na Ugwu i roześmiał się. – Okropnie ścięli ci włosy.

Ugwu dotknął głowy, na której wyszczerbione szkło pozostawiło pojedyncze kępki.

– Tak.

– To dlatego, że golili na sucho – powiedział High-tech. – Mogę to zrobić lepiej za pomocą brzytwy i mydła.

High-tech wyjął kostkę zielonego mydła, namydlił nim głowę Ugwu i ogołił ją brzytwą, aż stała się gładka i miękka w dotyku. Kiedy później High-tech szeptem powiedział mu: „Operacja za dwa dni”, Ugwu pomyślał o ludziach, którzy golili sobie głowy na znak żałoby. Golenie dla upamiętnienia śmierci. Leżąc na plecach na cienkim materacu, słuchał rozchodzących się dookoła nieprzyjemnych odgłosów chrapania. Wykazał się przed innymi mężczyznami, doskonale spisując się na ćwiczeniach, pokonując przeszkody i pnąc się po linie, jednak nie zawarł żadnych przyjaźni. Niewiele mówił. Nie chciał poznawać ich historii. Uważał, że lepiej pozostawić bagaż tych ludzi zamknięty, nienaruszony w ich głowach. Myślał o nadchodzącej operacji, o wysadzaniu w powietrze barbarzyńców za pomocą ogbunigwe i o wysadzonym w powietrze ciele profesora Ekwenuga. Wyobrażał sobie siebie wstającego w rozświetlonej księżycową poświatą ciszy, jak wyskakując z okopu i biegnie, aż dotrze

z powrotem na podwórze w Umuahii, gdzie powita pana i Olanę i uściska Dzidię. Wiedział jednak, że nigdy tego nawet nie spróbuje zrobić, ponieważ jakąś część siebie chciał być właśnie w tym miejscu.

W okopie ziemia przypominała namoczony chleb. Ugwu leżał nieruchomo. Po jego ramieniu wspinał się pająk, ale Ugwu nie strzepnął go. W absolutnie czarnych ciemnościach Ugwu wyobrażał sobie owłosione nogi pająka, zaskoczenie stawonoga wywołane znalezieniem pod powierzchnią ziemi ciepłego ludzkiego ciała w miejsce zimnej gleby. Rażna jakiś czas na niebie ukazywał się księżyc, odsłaniając niewyraźny kontur gęstwiny drzew przed nimi. Gdzieś tam byli barbarzyńcy. Ugwu miał nadzieję, że będzie nieco więcej światła – wcześniej, kiedy zakopywał swoją ogbunigwe jakieś trzydzieści metrów z przodu, księżyc był bardziej łaskawy. Teraz panowały ciemności. Czuł chłód trzymanego w ręce przewodu. Obok niego jakiś żołnierz mamrotał modlitwę głosem tak cichym, że Ugwu odnosił wrażenie, że ten człowiek szepcze mu do ucha: „Matko Boża módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej...”. Stracił pająka i podniósł się w tym samym momencie, kiedy barbarzyńcy zaczęli strzelać. Rozległy się pojedyncze strzały, początkowo głośne, po chwili słabsze, piechota odpowiadała na ogień z różnych stron, żeby ci barbarzyńcy, te brudne pastuchy, pogubili się i żeby nie przyszło im do głowy, że czekają na nich miny ogbunigwe.

Ugwu pomyślał o palcach Eberechi naciągających skórę na jego szyi, o wilgoci jej języka w swoich ustach. Barbarzyńcy zaczęli ostrzał. Najpierw rozległ się w powietrzu gwizd wystrzału z moździerza, a potem huk upadającego pocisku i gwizd przelatującego gorącego szrapnela. W miejscu uderzenia trawa zapaliła się i stanęła w płomieniach, a Ugwu dostrzegł przed sobą przykępę drzew tchórza, który stał pochylony jak ogromny żółw. W tym momencie zobaczył ich: przyczajone sylwetki przesuwały się do przodu, nadciągała horda mężczyzn. Znajdowali się w zasięgu jego broni, a jemu wydawało się, że jeszcze za wcześnie, spodziewał się, że wydarzy się więcej, zanim oddadzą się w jego ręce, zanim zdetonuje swoją ogbunigwe, która rozsypie się na wszystkie strony gradem zabójczego metalu. Odetchnął głęboko. Starannie i mocno połączył w rękach przewód i wtyczkę, a natychmiastowy potężny wybuch nawet jego zaskoczył, chociaż się go spodziewał. Na ułamek sekundy strach ścisnął mu wnętrzości. Może nie wyliczył dostatecznie precyzyjnie. Może ich nie trafił. Ale ktoś obok krzyknął: „Trafione!”. To jedno słowo rozbrzmiewało echem w jego głowie przez długie minuty czekania, zanim wygra-

molili się z okopu i ruszyli do porozrzucanych zwłok barbarzyńców.

– Rozebrać ich! Zabrać spodnie i koszule! – krzyknął ktoś.

– Tylko buty i broń! – rozległ się inny głos. – Nie ma czasu. Nie ma czasu. Ngwa-ngwa! Ich posiłki są w drodze!

Ugwu nachylił się nad szczupłym ciałem. Mocnym ruchem ściągnął z niego buty. W kieszeniach zmarłego wyczuł zimny twardy orzech kola i ciepłą gęstą krew. Leżące tuż obok drugie ciało poruszyło się, kiedy je dotknął, i Ugwu cofnął się. Zanim znieruchomiło, usłyszał jeszcze wymuszony gwałtowny wdech. Zadrżał na całym ciele. Stojący obok niego żołnierz uniósł w górę kilka karabinów i coś krzyczał.

– Chodźmy! – zawołał Ugwu, wycierając skrwawione ręce w spodnie.

Towarzysze klepali go po plecach i wołali: „Niszczyciel Celów!”, kiedy razem kierowali się do kwatery głównej, aby oddać tam kable. „Nauczyłeś się tego z tej książki, którą czytasz?”, żartowali. Ten sukces wyniósł go nad ziemię. Jak we śnie unosił się przez następne dni, kiedy grali w białfrański whot, pili dzin i czekali na nową operację. Leżał brzuchem do góry na ziemi, a High-tech zawijał w starą gazetę jakieś zielsko z wysuszonych na pieprz liści i razem palili. Ugwu wołał papierosy mars, po zielsku czuł się rozbity, jakby między nogami i biodrami powstała pusta przestrzeń. Nie musieli kryć się z paleniem, bo dowódca był zadowolony, a do tego pojawiły się pełne nadziei wiadomości, że Biafra odbiła Owerri z rąk barbarzyńców. Ograniczenia zostały nieco złagodzone, mogli nawet wybrać się do baru w pobliżu autostrady.

– To niezły spacer – powiedział ktoś.

Na to High-tech roześmiał się i odparł:

– Ale my oczywiście zarekwirujemy samochód.

Słyszając śmiech High-techa, Ugwu przypomniał sobie, że to jeszcze dziecko. Zaledwie trzynastoletnie. Wśród dziewięciu mężczyzn wyraźnie odstaje swoim niskim wzrostem, myślał Ugwu, kiedy razem ruszyli do baru. Plaskanie gumowych kłapek odbijało się echem na cichej drodze. Dwóch z nich szło na bosaka. Zaczekali chwilę, aż nadjechał zakurzony Volkswagen garbus i zostawiwszy się w poprzek drogi, zablokowali ją. Kiedy zatrzymał się, kilku zaczęło walić rękami w maskę samochodu.

– Wysiadać! Cholerni cywile!

Kierowca samochodu patrzył na nich złowrogo, jakby zdecydowany pokazać im, że nie da się zastraszyć. Jego żona, siedząca obok, zaczęła płakać i błagać:

– Proszę... Jedziemy szukać syna.

Jeden z żołnierzy walnął ręką w maskę.

– Potrzebny nam ten samochód do operacji!

– Proszę... jedziemy szukać syna. Słyszeliśmy, że widziano go w obozie dla uchodźców. – Zmarszczywszy brwi, kobieta przez chwilę wpatrywała się w High-techa. Być może myślała, że to właśnie jest jej syn.

– My za was umieramy, a wy sobie tu jedziecie na wycieczkę? – zapytał któryś z żołnierzy, wyciągając ją z auta. Jej mąż wysiadł sam, ale stanął nieruchomo przy samochodzie. W zaciśniętej w pięść dłoni trzymał kluczyki.

– Tak nie można, panowie żołnierze. Nie macie prawa zabierać mi samochodu. Ja mam przepustkę. Pracuję dla naszego rządu.

Jeden z żołnierzy uderzył go w twarz. Mężczyzna zatoczył się, a żołnierz uderzał go raz za razem, aż w końcu mężczyzna upadł na ziemię, wypuszczając kluczyki.

– Wystarczy! – powiedział Ugwu.

Inny żołnierz dotknął szyi i nadgarstka mężczyzny, żeby sprawdzić, czy żyje. Kobieta pochylała się nad swoim mężem, a żołnierze wcisnęli się do samochodu i pojechali do baru.

Pracująca w barze dziewczyna powitała ich i powiedziała, że nie ma piwa.

– Na pewno nie ma piwa? A może je chowasz, bo się boisz, że ci nie zapłacimy? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Nie, nie ma piwa. – Była chuda, miała ostre rysy i nawet na moment się nie uśmiechnęła.

– Zniszczyliśmy wroga! – powiedział żołnierz. – Daj nam piwa!

– Powiedziała, że nie ma piwa – warknął Ugwu. Irytowało go głośne zachowanie żołnierza. Ten człowiek zostawił swoją ogbunigwe i uciekł na długo przed nadejściem barbarzyńców. – Niech nam da kai-kai.

Kiedy dziewczyna podawała dżin i rozstawiała małe metalowe kubeczki, żołnierze rozmawiali o nigeyjskich oficerach, o tym, jak po zwycięstwie Biafry będą wieszać Danjumę, Adukunlego i Gowona głową w dół. High-tech zajął się skręcaniem papierosa z zielska. Ugwu wydawało się, że rozpoznał coś na niezwinętej części papieru, jakby słowo „relacja”, ale przecież to było niemożliwe. Jeszcze raz się przyjrzał.

– Co to za papier? – zapytał.

– Pierwsza kartka z twojej książki. – High-tech uśmiechnął się i podał Ugwu skręta.

Ugwu nie wziął go do ręki.

– Podarłeś moją książkę?

– Wziąłem tylko pierwszą kartkę. Papier mi się skończył.

Ugwu zagotował się z wściekłości. Chociaż jego cios był szybki, mocny i gwałtowny, High-tech uniknął pełnej siły uderzenia, w ostatniej chwili bowiem cofnął się i ręka Ugwu otarła się jedynie o jego policzek. Ugwu ponownie uniósł rękę, ale pozostali żołnierze chwycili go i odciągnęli, mówiąc, że w końcu to tylko książka i żeby napił się jeszcze dzinu.

– Przepraszam... – wymamrotał High-tech.

Ugwu poczuł ból głowy. Wszystko tak szybko się poruszało. Już nie kierował swoim życiem, to życie nim kierowało. Pił powoli, obserwując pozostałych, ich otwierające się i zamykające usta, z których wylewały się zjełczałe drwiny, zarozumiałe przechwałki i wyolbrzymione wspomnienia. Wkrótce cały ten bar, łącznie z poustawianymi wokół stołu ławkami, rozmył się w niewyraźny obraz trącający kwaśnym zapachem. Barmanka zmieniała butelki jedną po drugiej. Ugwu pomyślał, że dzin pewnie pędzono gdzieś na pobliskim podwórzu. Wstał i poszedł wysikać się na dwór, a kiedy to zrobił, oparł się o drzewo i wdychał świeże powietrze. Miał wrażenie, że siedzi w Nsucce na podwórzu za domem i patrzy na drzewo cytrynowe, na swój ogródek ziołowy i na wypielegnowane rośliny Joma. Stał tak przez chwilę, aż dobiegły go głośne krzyki z baru. Być może ktoś wygrał jakiś zakład czy coś podobnego. Miał już dosyć tych ludzi. Miał dosyć tej wojny.

W końcu wrócił do baru i stanął w drzwiach. Barmanka leżała na podłodze, na plecach, z podciągniętą wysoko na biodra chustą, jeden z żołnierzy przytrzymał ją za ramiona, nogi miała rozchylone szeroko, bardzo szeroko. Szlochała, powtarzając: „Proszę, proszę, biko”. Nadal miała na sobie bluzkę. Między jej nogami poruszał się High-tech. Jego posuwiste ruchy były nerwowe, a drobne pośladki ciemniejsze od nóg. Żołnierze wznosili radosne okrzyki.

– High-tech, wystarczy! Strzelaj i spadaj!

High-tech jęknął i zwałił się na nią. Jakiś żołnierz odciągnął go i zaczął grzebać przy swoich spodniach, kiedy ktoś powiedział:

– Nie! Teraz kolej na Niszczyciela Celów!

Stojący w drzwiach Ugwu cofnął się.

– Ujo abiała o! Niszczyciel Celów się boi!

Ugwu wzruszył ramionami i ruszył do przodu.

– Kto się boi? – odezwał się pogardliwie. – Po prostu lubię pierwszy za-

siadać do stołu, ot co.

– Jedzonko wciąż jest świeże!

– Niszczycielu Celów, chyba jesteś mężczyzną, co? I bukwa nwoke?

Dziewczyna na podłodze leżała nieruchomo. Ugwu opuścił spodnie, sam zaskoczony błyskawiczną erekcją. Dziewczyna była sucha i spięta, kiedy w nią wszedł. Nie patrzył na jej twarz ani na przytrzymującego ją mężczyznę, w ogóle na nic nie patrzył, poruszał się tylko szybko, czując szczytowanie, gwałtowny napływ płynów do koniuszków swojego ciała: wytrysk przepełniony wstrętem do siebie. Zasunął zamek spodni przy akompaniamencie oklasków żołnierzy. W końcu popatrzył na dziewczynę. Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nienawiści.

Potem były kolejne operacje. Czasami strach obezwładniał Ugwu, paraliżował go. Leżąc w okopie i wciskając się mocno w błoto, rozkoszował się jego bliskością, spojeniem z nim, i wymykał się umysłem ze swojego ciała, rozdzielał jedno od drugiego. Terkot karabinów, krzyki ludzi, zapach śmierci, eksplozje ponad nim i wokół niego, wszystko to było dalekie. Ale po powrocie do obozu pamięć mu powracała; pamiętał mężczyznę trzymającego się obiema rękami za otwarty wybuchem brzuch, jakby chciał przytrzymać wnętrności w środku, mężczyznę, który zanim zeszywniał, mamrotał coś o swoim synu. A po każdej operacji wszystko nabierało nowego znaczenia. Ugwu ze zdumieniem oglądał codzienną rację garri. Raz po raz czytał swoją książkę. Dotykał własnej skóry i myślał o jej rozkładzie.

Pewnego popołudnia nadjechał dżip dowódcy wiozący leżącą na boku ze spętanymi nogami rachityczną kozę. Kozą została zarekwirowana jakiemuś cywilowi próżniakowi. Słyszając jej potulne meczenie, zebrali się żołnierze podnieceni myślą o mięsie. Dwóch zabiło ją i rozpalili ogień, a kiedy ugotowane zostały powycinane spore kawałki mięsa, dowódca polecił wszystko przenieść do swojej kwatery. Długie minuty poświęcił na sprawdzenie, czy w kotle jest kompletna koza: nogi, głowa, jądra. Kiedy później przyszły dwie wieśniaczki, zaprowadzono je do kwatery dowódcy; a jeszcze później żołnierze rzucali kamieniami w odchodzące kobiety. Ugwu śnił, że dowódca dał pół kozy żołnierzom, którzy ją przeżuli i wyskali wszystko do samego końca, a nawet pogryźli kości.

Kiedy się obudził, usłyszał głośno grające radio i szloch High-techa. Umuhia wpadła w ręce wroga. Stolica Biafry została utracona. Jakiś żołnierz uniósł ręce i powiedział: „To przez tę kozę! Kozą była złym znakiem! Wszyst-

ko stracone! Musimy się poddać!”. Pozostali żołnierze byli przygaszeni. Nawet słowa dowódcy, który powiedział, że słyszał o tajnym planie kontrataku w celu odbicia Umuahii, nie podniosły ich na duchu. Ale zrobiła to informacja o wizycie Jego Ekscelencji. Żołnierze pozamiatali teren obozu, wyprali ubrania, stanęli rzędem na ławkach, żeby go powitać. Kiedy na teren jednostki wjechał konwój dżipów i pontiaców, wszyscy zerwali się z miejsc i zasalutowali.

Ugwu salutował niedbale, bo martwił się o Olanę, pana i Dzidzię w Umuahii, bo nie interesowała go osoba Jego Ekscelencji i nie obchodził dowódca. Nie obchodził go żaden z tych oficerów, z taką wyższością uśmiechających się szyderczo i traktujących żołnierzy jak barany. Chociaż był jeden kapitan, którego Ugwu podziwiał, samotny i zdyscyplinowany człowiek o imieniu Ohaeto. Dlatego też gdy pewnego dnia Ugwu znalazł się okopie obok kapitana Ohaeta, postanowił zrobić na nim jak najlepsze wrażenie. Okop nie był wilgotny, więcej w nim chodziło mrówek niż pajaków. Ugwu wyczuwał zbliżających się barbarzyńców, poznawał to po terkocie strzelaniny i huku moździerzy. Ale było zbyt ciemno, żeby mógł mieć pewność. Ogromnie zależało mu na tym, by zrobić wrażenie na kapitanie Ohaecie. Gdybyż tylko światło nie było tak słabe! Już miał połączyć przewód z wtyczką, kiedy coś gwizdnęło mu koło ucha i w tym samym momencie ostry ból przeszył mu plecy. Kapitan Ohaeto obok niego stanowił teraz krwawą, zmiażdżoną masę. W tym momencie Ugwu poczuł, że coś unosi go w górę, zupełnie bezradnego i nieszczęsnego, nad okop. A kiedy wylądował, nie ostry, przenikliwy ból ogłuszył go i pogрузił w absolutnej ciszy, lecz ciężar własnego ciała.

Richard starał się odsunąć w samochodzie jak najdalej od dwóch amerykańskich dziennikarzy, przyciskając się do drzwi peugeot. Sam nie wiedział, dlaczego nie zajął miejsca z przodu i nie poprosił ordynansa, by usiadł z nimi z tyłu. Nie spodziewał się jednak, że mogą tak strasznie śmierdzieć, tłusty Charles noszący pomięty kapelusz i rudy Charles z brodą zarośniętą rudymi włosami.

– Do Biafry przyjeżdżają dwaj dziennikarze, jeden ze Środkowego Zachodu i jeden z Nowego Jorku, i obaj mamy na imię Charles. Jakie było prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności? – odezwał się ten gruby, śmiejąc się, kiedy już się przedstawili. – A do tego i na jednego, i na drugiego mama wołała „Chuck”!

Richard nie miał pojęcia, jak długo musieli czekać na samolot w Lizbonie, ale oczekiwanie w Sao Tomé na lot z pomocą charytatywną do Biafry przeciągnęło się do siedemnastu godzin. Obu im wyraźnie potrzebna była kąpiel. A kiedy ten gruby, siedzący obok Richarda, zaczął opowiadać o swoim pierwszym pobycie w Biafrze na początku wojny, Richard doszedł do wniosku, że przydałby mu się jeszcze płyn do płukania ust.

– Przyleciałem wówczas normalnym samolotem i wylądowaliśmy na lotnisku w Port Harcourt – powiedział. – Ale tym razem siedziałem obok dwudziestu ton mleka w proszku na podłodze samolotu lecącego bez świateł. Lecieliśmy, cholera, tak nisko, że kiedy wyglądałem na zewnątrz, widziałem pomarańczowe rozbłyski nigeryjskich dział przeciwlotniczych. Bałem się jak cholera. – Jego nalana szeroka i miła twarz rozjaśniła się uśmiechem.

Rudowłosy nie śmiał się.

– Wcale nie mamy pewności, że to był nigeryjski ogień. Równie dobrze mogli to być Biafrańczycy.

– Och, daj spokój! – Gruby spojrzał na Richarda, który jednak zachował poważny wyraz twarzy. – Jasne, że to był nigeryjski ogień.

– Tak czy owak, wiadomo, że Biafrańczycy w swoich samolotach łączą ładunki żywności z bronią – powiedział rudy. Odwrócił się do Richarda. – Zga-

dza się?

Ten człowiek nie podobał się Richardowi. Nie podobały mu się jego wyblakłe zielone oczy i twarz pokryta czerwonymi piegami. Kiedy spotkał się z nimi na lotnisku i wręczał im przepustki, mówiąc, że będzie ich przewodnikiem i że są gośćmi rządu Biafry, od razu nie spodobało mu się pogardliwe rozbawienie na twarzy rudego. Jakby mężczyzna chciał powiedzieć: „I ty mówisz w imieniu Biafrańczyków?”.

– Nasze samoloty z pomocą humanitarną dostarczają tylko żywność – powiedział Richard.

– Jasne – odrzekł rudowłosy. – Tylko żywność, aha.

Gruby pochylił się w stronę Richarda, żeby wyrzucić przez okno.

– Wprost trudno uwierzyć, że ludzie spacerują tu i jeżdżą samochodami. Jakby nie było wojny.

– Dopóki nie ma nalotu – powiedział Richard. Cofnął głowę i wstrzymał oddech.

– Czy moglibyśmy zobaczyć to miejsce, gdzie biafrańscy żołnierze zabili włoskiego pracownika firmy naftowej? – zapytał rudy. – Pisaliśmy o tym w „Tribune”, ale chciałbym zrobić z tego większy materiał.

– Nie, to niemożliwe – odparł Richard ostrym tonem.

Rudowłosy nie spuszczał z niego wzroku.

– W porządku. Ale czy mógłby pan powiedzieć mi coś nowego o tym wydarzeniu?

Richard wypuścił powietrze. Przypominało to sypanie pieprzu na świeżą ranę: tysiące Biafrańczyków zginęły, a ten człowiek chce się dowiedzieć, czy wiadomo coś nowego w sprawie śmierci jednego białego. Richard mógłby o tym napisać, o przeliczniku zachodniego dziennikarstwa: sto martwych czarnych ludzi równało się jednemu zabitemu białemu.

– Nie ma nic nowego – powiedział. – Ten teren jest teraz okupowany.

Na punkcie kontrolnym Richard rozmawiał w języku ibo z funkcjonariuszką obrony cywilnej. Sprawdziła przepustki i uśmiechnęła się znacząco, a Richard odpowiedział jej uśmiechem – jej szczupła wysoka sylwetka z płaskimi piersiami przypominała mu Kainene.

– Sprawiała wrażenie naprawdę zainteresowanej – odezwał się gruby. – Słyszałem, że wolna miłość jest tu dosyć powszechna. Czy to prawda, że dziewczyny chorują na jakąś chorobę przenoszoną drogą płciową? Pani franca, co?... Musicie być ostrożni, żeby czegoś nie przywlec do domu.

Jego arogancja zirytowała Richarda.

- Obóz dla uchodźców, do którego jedziemy, prowadzi moja żona.
- Naprawdę? Od dawna tu jest?
- Jest Biafranką.

Wyglądający dotychczas przez okno rudowłosy dziennikarz odwrócił się do Richarda.

– Na studiach miałem kumpla z Anglii, który gustował w kolorowych dziewczynkach.

Gruby chyba trochę się spieszył. Odezwał się szybko:

- Dobrze mówi pan w języku ibo?
- Tak – odparł Richard. Chciał pokazać im zdjęcia Kainene i dzbana oplecionego sznurami, lecz zaraz zmienił zdanie.
- Z chęcią bym ją spotkał – rzekł gruby.
- Dziś jej nie ma. Stara się załatwić jakiś prowiant dla obozu.

Wysiadł z samochodu pierwszy i zobaczył dwóch czekających na nich tłumaczy. Ich obecność zdenerwowała go. Co prawda nieraz zdarzało mu się pogubić w idiomach, niuansach językowych i dialektach, ale zarząd zawsze zbyt pochopnie wysyłał tłumaczy. Większość siedzących na dworze uchodźców z lekkim zaciekawieniem obserwowała gości. Wychudzony mężczyzna chodził ze sztyletem uwiązany do pasa i coś do siebie mówił. Powietrze ciężkie było od zapachu zgnilizny. Grupa dzieciaków piekła dwa szczury nad ogniem.

- O Boże... – Gruby zdjął kapelusz i tylko patrzył się przed siebie.
- Czarnuchy nigdy nie byli zbyt wybredni, jeśli chodzi o jedzenie – mruknął rudowłosy.
- Co pan powiedział? – zapytał Richard.

Jednak rudy udał, że nie usłyszał pytania, i szybkim krokiem ruszył wraz z jednym z tłumaczy do grupki mężczyzn grających w warcaby.

– Wie pan – zagadnął gruby – że w Sao Tome leżą sterty żywności, w której roi się od karaluchów, bo nie ma jak jej tu dostarczyć?

– Tak... – odparł Richard i urwał. – Czy mógłbym dać panu kilka listów? Do rodziców mojej żony w Londynie.

– Oczywiście, wyślę je pocztą, jak tylko stąd się wydostanę. – Gruby wyjął wielką tabliczkę czekolady z plecaka, rozwinął ją i ugryzł dwa kęsy. – Proszę mi wierzyć, naprawdę chciałbym coś więcej zrobić.

Podszedł do dzieci, zaczął im rozdawać słodczyce i robić zdjęcia, a one zebrały się wokół niego, krzycząc i prosząc o więcej. Raz odezwał się do nich: „Co za śliczny uśmiech!”, a kiedy odszedł, dzieci wróciły do pieczenia szczurów.

Rudowłosy zbliżył się szybkim krokiem, wiszący mu na szyi aparat fotograficzny kołysał się w rytm jego ruchów.

– Chcę zobaczyć prawdziwych Biafrańczyków – powiedział.

– Prawdziwych Biafrańczyków? – zdziwił się Richard.

– Proszę tylko na nich spojrzeć. Oni od dwóch lat nie jedli normalnego posiłku. Nie rozumiem, jak wciąż mogą mówić o sprawie, o Biafrze i o Ojukwu.

– A pan zazwyczaj jeszcze przed przeprowadzeniem rozmowy wie, jakim odpowiedziom należy dać wiarę? – zapytał delikatnie Richard.

– Chcę jechać do innego obozu dla uchodźców.

– Jasne, zawiozę pana do innego obozu.

Położony w głębi miasteczka drugi obóz dla uchodźców był mniejszy, mniej śmierdział i mieścił się w dawnym ratuszu. Na schodach siedziała jednoręka kobieta i opowiadała coś zgromadzonym ludziom. Richard usłyszał końcówkę opowieści: „Ale duch tego człowieka wyszedł i przemówił do barbarzyńców w języku hausa, a oni zostawili jego dom w spokoju” i pozazdrościł jej wiary w duchy.

Rudowłosy przysiadł na schodach obok tej kobiety i przez tłumacza zaczął z nią rozmawiać.

Jest pani głodna? Oczywiście, wszyscy jesteśmy głodni.

Czy rozumie pani, o co toczy się ta wojna? Tak, barbarzyńscy Hausowie chcieli nas wszystkich pozabijać, ale Bóg czuwał.

Czy chce pani, żeby ta wojna się skończyła? Tak, już niedługo Biafra zwycięży.

A co będzie, jeśli Biafra nie zwycięży?

Kobieta splunęła na ziemię i popatrzyła najpierw na tłumacza, a potem na rudowłosego, mierząc go przeciągłym pogardliwym spojrzeniem. Wstała i weszła do wnętrza budynku.

– Niewiarygodne – odezwał się rudowłosy. – Machina biafrańskiej propagandy jest niesamowita.

Richard znał ten typ ludzi. Tacy sami byli wysłannicy prezydenta Nixona, przysłani z Waszyngtonu w celu ustalenia faktów, czy też członkowie komisji premiera Wilsona z Londynu, którzy przywieźli ze sobą mocne tabletki z proteinami i jeszcze mocniejsze gotowe wnioski: Nigeria nie bombardowała ludności cywilnej, informacje o głodzie były przesadzone i wszystko jest w porządku, jak to na wojnie.

– To nie jest żadna machina propagandowa – odezwał się Richard. – Im więcej bomb zrzuci się na ludność cywilną, tym większy rodzi się opór.

– To z Radia Biafra? – spytał rudowłosy. – Brzmi jak hasło z radia.
Richard nic nie odpowiedział.

– Jedzą co popadnie – rzekł gruby, kręcąc głową z niedowierzaniem. –
Każdy cholerny liść stał się tu warzywem.

– Gdyby Ojukwu chciał zapobiec głodowi, wystarczyłoby, żeby zgodził się
na korytarz do przerzutu żywności. I te dzieciaki nie musiałyby jeść gryzoni –
stwierdził rudowłosy.

Gruby zajął się robieniem zdjęć.

– Ale w rzeczywistości nie jest to takie proste – zauważył. – On musi też
brać pod uwagę kwestie bezpieczeństwa. Prowadzi przecież tę pieprzoną woj-
nę.

– Ojukwu będzie musiał się poddać. To ostateczna ofensywa Nigerii i nie
ma szans, żeby Biafra odzyskała cały utracony teren – odparł rudowłosy.

Gruby wyjął z kieszeni do połowy zjedzoną tabliczkę czekolady.

– Co teraz, po utracie portu, Biafra robi z ropą? – zapytał rudowłosy.

– Wciąż wydobywamy z pól, które kontrolujemy w Egbemie – odpowie-
dział Richard, nawet nie próbując tłumaczyć, gdzie znajduje się Egbema. –
Ropę przewozimy do rafinerii nocami, samochody cysterny jadą bez świateł,
żeby uniknąć bombardowania.

– Stale mówi pan „my” – zauważył rudy.

– Tak, stale mówię „my”. – Richard spojrzał na niego. – Był pan już kiedyś
w Afryce?

– Nie. Pierwszy raz tu jestem. A dlaczego pan pyta?

– Tak tylko się zastanawiałem...

– Myśli pan, że niewiele wiem o życiu w dżungli? Przez trzy lata relacjo-
nowałem wydarzenia z Azji – odrzekł rudowłosy i uśmiechnął się.

Gruby pogrzebał w plecaku i wyciągnął butelkę brandy. Wręczył ją Ri-
chardowi.

– Kupiłem ją w Sao Tomé. Nie było okazji łyknąć. Świetny towar.

Richard wziął butelkę.

Zanim odwiózł ich na samolot do Uli, zjedli jeszcze w pensjonacie kola-
cję, na którą składał się ryż i potrawka z kurczaka; Richard był wściekły, że
rząd Biafry opłacił rudowłosemu posiłek. Pod budynkiem terminala widać
było nieliczne odjeżdżające i przyjeżdżające samochody, a z tyłu rozciągało
się czarne jak smoła lądowisko. Na ich powitanie wyszedł ubrany w obcisły
uniform koloru khaki kierownik lotniska, który uścisnął im dłonie i powie-

dział:

– Samolot powinien być lada moment.

– To jakiś absurd, oni wciąż starają się postępować w tej zaszrannej dziurze zgodnie z procedurami – odezwał się rudowłosy. – Kiedy tu przyleciałem, wbili mi pieczętkę do paszportu i pytali, czy mam coś do oclenia.

Powietrzem wstrząsnęła głośna eksplozja. Kierownik lotniska krzyknął: „Tędy!” i rzucili się za nim do niedokończonego budynku. Położyli się na ziemi. Żaluzje w oknach trzaskały i grzechotały, ziemia drżała. Kiedy wybuchy skończyły się i rozległy się pojedyncze wystrzały z broni palnej, kierownik lotniska podniósł się i otrzepał ubranie.

– Już po wszystkim. Możemy iść.

– Oszalał pan? – krzyknął rudowłosy.

– Zaczynają strzelać, jak skończą im się bomby, więc teraz nie ma czym się martwić – odparł lekceważąco kierownik lotniska, zmiierzając do wyjścia.

Na płycie lotniska stała ciężarówka i zasypywano żwirem leje po bombach. Na moment błysnęły światła na pasie startowym, ale zaraz zgasły i znowu zapanowały egipskie ciemności. W tym granatowym mroku Richard poczuł, że kręci mu się w głowie. Światła znowu rozbłysły, na nieco dłuższą chwilę, i ponownie zgasły. Włączyły się i zgasły. Lądował samolot, po płycie lotniska rozchodził się nierównomierny przeciągły dźwięk.

– Wylądował? – zapytał gruby.

– Tak – odrzekł Richard.

Światła rozbłysły i zgasły. Wylądowały trzy samoloty i Richard ze zdumieniem zauważył, jak szybko podjechało do nich kilka ciężarówek z wyłączonymi reflektorami. Jacyś mężczyźni wyciągali worki z samolotów. Światła mru-gnęły na moment. Piloci krzyczeli:

– Pospieszcie się, lenie! Zabierać to! Zaraz nas tu zbombardują! Ruszać się, ludzie! Szybciej, do cholery! – Można było rozróżnić akcent amerykański, afrykanerski, irlandzki.

– Te sukinsyny mogłyby wykazać nieco więcej wdzięczności – odezwał się gruby. – Dostają tysiące pieprzonych dolców, żeby przerzucić tu pomoc humanitarną.

– Ryzykują życie – odparł rudowłosy.

– Podobnie jak ci goście, którzy rozładowują te pieprzone samoloty.

Ktoś włączył lampę sztormową i Richard zastanowił się, czy mogą ją dostrzec z unoszącego się gdzieś w górze nigeryjskiego bombowca, zastanowił się też, ile może tam być nigeryjskich bombowców.

– Kilku naszych ludzi w ciemnościach weszło pod śmigło – spokojnie powiedział. Nie miał pojęcia, dlaczego o tym mówi, być może chciał wstrząsnąć rudowłosym, odebrać mu trochę pewności siebie i poczucia wyższości.

– I co się z nimi stało? – zapytał gruby.

– A jak pan myśli?

W ich stronę powoli podjeżdżał samochód z wyłączonymi światłami. Zaparkował nieopodal, drzwi otworzyły się i zamknęły i po chwili dołączyła do nich piątka wychudłych dzieci z zakonnica w niebiesko-białym habicie. Richard przywitał się z nią.

– Dobry wieczór. Kee ka I me?

Uśmiechnęła się.

– Och, to pan jest tym onye ocha mówiącym w języku ibo! To pan pisze te cudowne rzeczy o naszej sprawie! Gratuluję.

– Jedzie siostra do Gabonu?

– Tak. – Poleciała dzieciom usiąść na drewnianych płytach, a Richard podszedł, żeby się im przyjrzeć. W przyciemnionym świetle dostrzegł gęstą mleczną pianę śluzu w ich oczach. Zakonnica tuliła najmniejsze dziecko, pokurczoną laleczkę z nogami jak patyki i brzuchem ciężarnej kobiety. Richard nie potrafił rozpoznać, czy to jest chłopiec czy dziewczynka, i nagle tak bardzo go to rozwścieczyło, że kiedy rudowłosy zapytał: „Skąd będziemy wiedzieli, kiedy wsiadać do samolotu?”, zlekceważył go.

Jedno z dzieci, dziewczynka, spróbowało się podnieść, lecz przewróciło się i bez ruchu leżało na ziemi. Zakonnica odłożyła najmniejsze dziecko i podniosła leżące.

– Siedźcie tutaj. Jak się ruszycie, oberwiecie – powiedziała do pozostałych, zanim się pospiesznie oddaliła.

Gruby zapytał:

– Ten dzieciak zasnął czy co?

Również jego Richard zlekceważył.

W końcu gruby wymruczał:

– Pieprzona amerykańska polityka.

– Nie ma co się czepiać naszej polityki – odezwał się rudowłosy.

– Z władzą wiąże się odpowiedzialność. Wasz rząd zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie tu umierają! – powiedział Richard, podnosząc głos.

– Jasne, że nasz rząd zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie tu umierają – odparł rudowłosy. – Ludzie umierają w Sudanie, w Palestynie i w Wietnamie. Wszędzie ludzie umierają. – Usiadł na ziemi. – Do cholery, w zeszłym miesią-

cu przywieźli z Wietnamu ciało mojego młodszego brata.

Ani Richard, ani gruby nic nie powiedzieli. Nastąpiła długa cisza, w której nawet głosy pilotów i dźwięki rozładunku zdawały się przytłumione. Później, kiedy już pospiesznie przewieziono ich po płycie lotniska i wpakowano do samolotu, który wystartował przy światłach raz błyskających, raz gasnących, w głowie Richarda zaświtał tytuł książki: „Świat milczał, kiedy myśmy umierali”. Napisze ją po wojnie, to będzie opowieść o trudnym zwycięstwie Biafry i oskarżenie przeciw światu.

Po powrocie do Orlu opowiedział Kainene o dziennikarzach, o tym, że rudowłosego wzbudził w nim jednocześnie złość i współczucie, o tym, jak samotnie się czuł w ich towarzystwie i jak przyszedł mu do głowy pomysł na tytuł książki.

Kainene uniosła brwi.

– My? Świat milczał, kiedy my śmy umierali?

– Będę musiał odnotować, że nigeryjskie bomby starannie omijały posiadaczy brytyjskich paszportów – powiedział.

Kainene roześmiała się. Ostatnio często się śmiała. Śmiała się, opowiadając mu o osieroconym przez matkę niemowlęciu, które wciąż kurczowo trzymało się życia, o dziewczynce, w której zakochał się Inatimi, o śpiewających wieczorami kobietach. Śmiała się też tego poranka, kiedy w końcu zobaczyli się z Olanną. Olanna odezwała się pierwsza. „Cześć, Richardzie”, powiedziała, a on odparł: „Cześć, Olanno”, na co Kainene roześmiała się i stwierdziła: „Richard nie potrafił już wymyślić żadnych wyjazdów”.

Baczenie przyglądał się wtedy twarzy Kainene, szukając śladów skrywanej złości, jakichkolwiek uczuć. Jednak niczego nie dostrzegł, tylko śmiech złagodził ostre krawędzie jej podbródka. A napięcie, które jego zdaniem miało nadejść przy spotkaniu z Olanną w jej obecności, i brzemień wspomnień i żalu w żaden sposób nie dały o sobie znać.

7. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Jako epilog pisze wiersz wzorowany na jednym z wierszy Okeomy. Tytułuje go: „Czy milczałeś, kiedy myśmy umierali?”.

Czy w sześćdziesiątym ósmym te zdjęcia widziałeś,
Na włosach dzieci chorobliwe płaty rdzawe:
Niezdrowe kępy porastające główki małe,
A potem jak liście padające w zgnitą trawę?

Wyobraź sobie ich ręce jak wykałaczki,
Brzuchy jak piłki, cieniutką skórę tych pociech,
Tak wyglądał kwashiorkor – bardzo trudne słowo,
Choć i tak nie dość brzydkie, słowo grzech.

Nie trzeba wyobraźni. Wszędzie byty zdjęcia,
Wystarczyło zajrzeć na lśniącą „Life’a” stronę.
Widziałeś? I czy przez moment ogarnął cię żal,
Nim odwróciłeś się, tuląc kochankę lub żonę?

Pod ich skórą spłowiają, jak słaba herbata,
Pajęczyna naczyń i kości bliskich pęknięcia;
Nagie dzieci śmieją się, jakby tamten człowiek
Nie odszedł samotnie, robiąc im tylko zdjęcia.

Olanna zobaczyła czterech obszarpanych żołnierzy niosących na ramionach czyjeś zwłoki. Nagle pociemniało jej przed oczami od ogarniającej ją szalonej paniki. Zatrzymała się przekonana, że to ciało Ugwu, i dopiero kiedy żołnierze minęli ją szybko i cicho, zdała sobie sprawę, że martwy mężczyzna był zbyt wysoki jak na Ugwu. Stopy miał spękane i zlepione skorupą wysuszonego błota, musiał walczyć bez butów. Wciąż jeszcze patrząc w plecy oddalających się żołnierzy, Olanna starała się pohamować nudności, zrzucić z siebie złe przeczucia, które od wielu dni odbierały jej rozum.

Kiedy później opowiadała Kainene, jak bardzo obawia się o Ugwu, jak nie może pozbyć się myśli, że za każdym rogiem czekają tragedia, Kainene objęła ją ramieniem, mówiąc, żeby się nie martwiła. Madu rozesłał do dowódców wszystkich batalionów wiadomości z prośbą, żeby szukali Ugwu; dowiedzą się, gdzie jest. Ale gdy Dzidzia zapytała: „Mamusiu Ola, czy Ugwu wróci dzisiaj?”, Olanna natychmiast wyobraziła sobie, że dziecko ma takie same przeczucia. Kiedy wróciła do Umuahii, a mama Oji wręczyła jej paczkę, którą ktoś dostarczył dla Olanny, natychmiast pomyślała, że wewnątrz znajduje się wiadomość o Ugwu. Trzymała w drżących rękach pudełko zawinięte w brązowy papier, pomarszczony od przechodzenia przez zbyt wiele rąk. Po chwili zauważyła swoje nazwisko i adres uniwersytetu w Biafrze wypisane ręką Mohammeda, jego długimi, eleganckimi pociągnięciami pióra. Zajrzała do środka i odkryła chusteczki, wyprasowaną bielutką bieliznę, kostki mydła „Lux” i tabliczki czekolady, i nie mogła wyjść ze zdumienia, że to wszystko dotarło do niej nietknięte, chociaż przesłane przez Czerwony Krzyż. Jego list miał już trzy miesiące, ale wciąż wyczuwała delikatny zapach słodkiego piżma. Oderwane zdania utkwily jej w głowie.

Wysłałem tak wiele listów i nie mam pewności, czy do Ciebie dotarły. W czerwcu za mąż wyszła moja siostra, Hadiza. Nieustannie o Tobie myślę. Zrobiłem wyraźne postępy w grze w polo. U mnie wszystko w porządku i jestem przekonany, że również Ty i Odenigbo macie się dobrze. Proszę, posta-

raj się odpowiedzieć na ten list.

Odwróciła w dłoni tabliczkę czekolady i bawiąc się sreberkiem, popatrzyła na napis MADE IN SWITZERLAND. I nagle rzuciła czekoladą przez pokój. List Mohammeda wyprowadził ją z równowagi, stanowił obrazę dla rzeczywistości jej życia. Ale przecież Mohammed nie mógł wiedzieć, że oni nie mają soli, że Odenigbo codziennie pije kai-kai, Ugwu został zwerbowany, a ona sprzedawała perukę. Nie mógł tego wiedzieć. Jednakże i tak była zła, że jego życie toczy się jak dawniej, i jest do tego stopnia niezmiennie, iż potrafił do niej pisać o grze w polo.

Zapukała mama Oji; Olanna wzięła głęboki, uspokajający oddech, zanim otworzyła drzwi i dała jej kostkę mydła.

– Dziękuję. – Mama Oji wzięła mydło w dwie ręce i podniósłszy je do nosa, powąchała. – Ale paczka była duża. Tylko tyle mi dasz? Nie ma żadnego jedzenia w puszkach? A może trzymasz je dla swojej koleżanki sabotażystki, Alicji?

– Ngwa, oddawaj mydło – powiedziała Olanna. – Mama Adanny będzie wiedziała, jak okazać wdzięczność.

Mama Oji szybko podciągnęła bluzkę i wcisnęła mydło za wytarty biustonosz.

– Przecież wiesz, że jestem wdzięczna.

Z drogi dobiegły podniesione głosy, toteż obie wyszły z domu. Kilku członków straży ochotniczej z maczetami w rękach ciągnęło za sobą dwie kobiety. Z zaczerwienionymi oczami szły chwiejnym krokiem, zawinięte w podarte chusty, i krzyczały: „Cośmy zrobiły? Nie jesteśmy sabotażystkami! Jesteśmy uchodźcami z Ndoni! Nic nie zrobiłyśmy!”.

Pastor Ambroży wyskoczył na drogę i zaczął się modlić: „Boże Ojcze, zniszcz sabotażystów, którzy wskazują nieprzyjaciołom drogę! Spuść ogień Ducha Świętego!”.

Wybiegło też kilku sąsiadów, plując, rzucając kamieniami i szydząc z odwróconych plecami kobiet: „Sabo! Niech Bóg was skaże! Sabo!”.

– Powinni powiesić im opony na szyjach i podpalić je – odezwała się mama Oji. – Należy spalić wszystkich sabotażystów, co do jednego.

Olanna poskładała list Mohammeda, pomyślała o na wpół obnażonych obwisłych brzuchach tych kobiet i nic nie powiedziała.

– Powinnaś uważać na tę Alicję – powiedziała mama Oji.

– Daj spokój Alicji. Ona nie jest sabotażystką.

– Ona jest z tych kobiet, które kradną cudzych mężów.

– Co?

– Jak wybierasz się do Orlu, ona zawsze wychodzi przed dom i siedzi z twoim mężem.

Olanna wlepiła wzrok w mamę Oji, zaskoczona jej słowami, ponieważ czegoś takiego na pewno nie spodziewała się usłyszeć i ponieważ Odenigbo nigdy nie wspominał, że Alicja spędza z nim czas pod nieobecność Olanny. Nigdy nawet nie widziała, żeby ze sobą rozmawiali.

Mam Oji nie spuszczała z niej wzroku.

– Ja tylko chcę powiedzieć, żebyś na nią uważała. Jeśli nawet nie jest sabotażystką, nie jest dobrą kobietą.

Olanna nie miała pojęcia, co powinna odpowiedzieć. Była pewna, że Odenigbo nigdy nie dotknąłby innej kobiety, w cichości ducha sama się do tego przekonywała, i była też pewna, że mama Oji żywi głęboką niechęć do Alicji. Jednak słowa mamy Oji padły tak nieoczekiwanie, że samo to wystarczyło, by wzbudzić w niej wątpliwości.

– Będę uważać – w końcu odparła, uśmiechając się.

Mama Oji spojrzała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz zmieniła zdanie i odwróciwszy się, krzyknęła na syna:

– Uciekaj stąd! Zgłupiałeś? Ewu awusa! Nie wiesz, że zaraz zaczniesz kasłać?

Jakiś czas później Olanna wzięła kostkę mydła i zapukała do drzwi Alicji, stukając mocno trzykrotnie, raz za razem, żeby Alicja wiedziała, że to ona. Oczy Alicji wyglądały na zaspane, z wyraźniejszymi niż zazwyczaj cieniami.

– Wróciłaś – powiedziała. – Co tam u twojej siostry?

– Wszystko w porządku.

– Widziałaś te biedne kobiety, które dręczą i wyzywają od sabotażystek? – zapytała i zanim Olanna zdążyła odpowiedzieć, mówiła dalej: – Wczoraj dorwali jakiegoś mężczyznę z Ogoji. To przecież jakiś absurd. Nie możemy ciągle bić ludzi tylko dlatego, że Nigeria nas bije. Weźmy na przykład kogoś takiego jak ja, kto już od dwóch lat nie jadł porządnego posiłku. Nie kosztowałam cukru. Nie piłam zimnej wody. Skąd niby miałabym brać energię, żeby pomagać wrogom?

Alicja gestykulowała drobnymi dłońmi i to, co kiedyś Olanna postrzegała jako elegancką delikatność, nagle stało się samolubnym zarozumiałstwem, zbyt kownym egoizmem; Alicja mówiła, jakby jedynie ona cierpiała z powodu wojny.

Olanna wręczyła jej mydło.

– Ktoś przysłał mi kilka kostek.

– Och! Będę mogła dołączyć do tych nielicznych w Biafrze, którzy używają mydła „Lux”!... Dziękuję.

Uśmiech Alicji odmienił jej twarz, rozjaśnił oczy, a Olanna zastanowiła się, czy Odenigbo uważa ją za piękną. Spojrzała w poślizk twarz Alicji, na jej wąską talię i nagle uzmysłowiła sobie, że to co niegdyś podziwiała, teraz ją przeraża.

– Ngwanu, muszę iść przygotować obiad dla Dzidzi – powiedziała i odwróciwszy się, odeszła.

Tego wieczoru zabrała jeszcze jedną kostkę mydła i odwiedziła panią Muokelu.

– To ty? Anya gi! Tyle czasu cię nie widziałam! – powiedziała pani Muokelu. Twarz Jego Ekscelencji przecinała dziura na rękawie jej boubou.

– Dobrze się trzymasz – skłamała Olanna. Pani Muokelu wyglądała mizernie; miała budowę ciała odpowiednią dla otyłości i teraz, po tak dużej stracie wagi, wyglądała na nienaturalnie przygiętą do ziemi, jakby nie potrafiła już stać prosto. Nawet porastające jej ramiona włosy zwisały smętnie.

– Ty jak zawsze wyglądasz pięknie – odparła pani Muokelu i ponownie uścisnęła Olanę.

Olanna dała jej mydło, a ponieważ wiedziała, że pani Muokelu za nic na świecie nie dotknie niczego, co zostało wysłane z Nigerii przez Nigeryjczyka, powiedziała:

– Matka przysłała mi z Anglii.

– Niech Bóg ci błogosławi – odpowiedziała pani Muokelu. – Atwój mąż i Dzidzia, kwanu?

– Oboje czują się bardzo dobrze.

– A Ugwu?

– Wzięli go do wojska.

– Znowu go złapali?

– Tak.

Pani Muokelu urwała i przesunęła palcami po plastikowej połówce złotego słońca zawieszanej na szyi.

– Wszystko będzie dobrze. On wróci. Ktoś musi walczyć za naszą sprawę.

Niewiele się widywały, odkąd pani Muokelu zajęła się handlem. Olanna usiadła i słuchała jej opowieści – o wizji, która ujawniła, że sabotażystą odpowiedzialnym za upadek Port Harcourt był generał biafrańskiej armii, o innej

wizji, w której dibia z Okiji dał Jego Ekscelencji jakiś potężny lek umożliwiający odbicie wszystkich utraconych miast...

– Podobno pojawiły się pogłoski, że Umuahia jest zagrożona, okwa ya? – zapytała pani Muokelu, patrząc Olannie prosto w oczy.

– Tak.

– Ale Umuahia nie wpadnie w ręce wroga. Ludzie nie powinni panikować i zabierać się za pakowanie.

Olanna wzruszyła ramionami, zastanawiając się, dlaczego pani Muokelu tak się w nią wpatruje.

– Podobno właściciele samochodów zaczęli szukać benzyny. – Pani Muokelu wciąż uporczywie w nią patrzyła. – Muszą bardzo uważać, bardzo uważać, bo ktoś może ich zapytać, skąd wiedzą, że Umuahia upadnie, jeśli nie są sabotażystami.

W tym momencie Olanna uzmysłowiła sobie, że pani Muokelu ją ostrzega, mówi jej, żeby była przygotowana.

– Tak, muszą uważać – przyznała.

Pani Muokelu zatarła ręce. W tej kobiecie zaszła jakaś zmiana, dopuściła do tego, że wiara zaczęła wymykać się jej z rąk. Biafra zwycięży, Olanna była o tym przekonana, bo musi zwyciężyć, ale myśl, że ktoś taki jak pani Muokelu wierzy w nieuchronny upadek stolicy, ostudziła jej przekonania. Kiedy obejmowała panią Muokelu na pożegnanie, ogarnęło ją uczucie pustki, jakby już nigdy nie miały się spotkać. W drodze powrotnej do domu po raz pierwszy zupełnie poważnie rozważała możliwość upadku Umuahii. Oznaczałoby to zwłokę w zwycięstwie, jeszcze ciaśniejsze ograniczenie terytorium Biafry, ale mogło też oznaczać, że oni przeniosą się do domu Kainene w Orlu i tam doczekają końca wojny.

Zatrzymała się przy stacji benzynowej w pobliżu szpitala i nie zdziwiła się, widząc wypisane kredą słowa: BENZYNY BRAK. Sprzedaży benzyny produkowanej w Biafrze zaprzestano, odkąd rozeszły się plotki o nadchodzącym upadku Umuahii, żeby ludzie nie wpadli w panikę. Tej nocy Olanna powiedziała do Odenigba:

– Musimy zaopatrzyć się w benzynę na czarnym rynku, mamy za mało paliwa na wypadek, gdyby do czegoś doszło.

Odenigbo nieznacznie skinął głową i wymamrotał coś o Specjalnym Juliuszu. Przed chwilą wrócił z baru Tanzania i zaraz się położył na łóżku przy cicho nastawionym radiu. Dzisiaj spała na materacu po drugiej stronie zasłony.

– Co powiedziałaś? – zapytała.

- Nie stać nas teraz na benzynę. Galon kosztuje funta.
- W zeszłym tygodniu dostałeś wypłatę. Musimy mieć pewność, że samochód jest gotów do drogi.
- Poprosiłem Specjalnego Juliusza, żeby zrealizował czek, ale nie przyniósł pieniędzy.

Olanna od razu rozpoznała kłamstwo. Przez cały czas Specjalny Juliusz realizował dla nich чеki i nigdy nie zajęło mu to dłużej niż jeden dzień, po czym przynosił Odenigbowi należne pieniądze.

- W takim razie jak kupimy benzynę? – zapytała.

Nic nie powiedział.

Przeszła obok niego i wyszła na dwór. Księżyc schowany był za chmurą, usiadła więc w panujących na podwórzu ciemnościach, nadal czując woń taniego, śmierdzącego lokalnego dżinu. Ten zapach ciągnął się za nim, okrywał obłokiem ścieżki, którymi podążał. Kiedy pił w Nsucce – tę swoją elegancką brandy w kasztanowym kolorze – umysł mu się wyostrzał, alkohol destylował jego idee i pewność siebie, a on, siedząc w salonie, mógł mówić bez końca i wszyscy go słuchali. Kiedy pił tutaj, wyciszał się zupełnie. Zamykał się w sobie i patrzył na świat zaczerwienionymi, umęczonymi oczami. A to doprowadzało ją do wściekłości.

Olanna wymieniła resztkę pozostałych jej brytyjskich funtów i kupiła benzynę od człowieka, który zaprowadził ją do zawilgoconej przybudówki, gdzie na posadzce roiło się od tłustych czerwi w kremowym kolorze. Ostrożnie przelał paliwo ze swojego pojemnika do jej kanistra. Zabrała kanister zawiąnięty w worek po mące kukurydzianej i kiedy chowała go w bagażniku opla, pod dom zajechał otwarty dżip z napisem ARMIA BIAFRY. Wsiadła z niego Kainene, a za nią żołnierz w hełmie. Olanna natychmiast poczuła, że serce jej zamiera, i od razu wiedziała, że chodzi o Ugwu. Bez dwóch zdań o Ugwu. W palącym żarem słońcu płyny w jej głowie zaczęły się kotłować, a gdy rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Dżidzi, nie potrafiła jej znaleźć. Kiedy Kainene podeszła do Olanny i chwyciłszy ją mocno za ramiona, powiedziała: „Ejima m, nie upadaj na duchu, musisz być silna. Ugwu nie żyje”, do Olanny nie dotarły słowa, a jedynie mocny uścisk kościstych palców.

- Nie – odparta spokojnie. Powietrze naładowane było nierzeczywistością, jakby za chwilę miała się obudzić. – Nie – powtórzyła, kręcąc głową.
- Madu przysłał swojego adiutanta z wiadomością. Ugwu służył w saperach, a oni w zeszłym tygodniu ponieśli ogromne starty w ludziach. Z akcji

wróciło tylko kilku i nie było wśród nich Ugwu. Nie znaleziono jego ciała, ale też wielu innych ciał nie znaleziono... – Kainene urwała. – Tam niewiele pozostało w jednym kawałku.

Olanna nadal kręciła głową, czekając na przebudzenie.

– Jedź ze mną. Weź Chiamakę. Jedź ze mną i zamieszkać w Orlu.

Kainene ją obejmowała, Dzidzia coś mówiła, wszystko wokół spowite było mgłą, dopóki nie spojrzała w górę i nie dostrzegła nieba. Błękitnego i czystego. Dzięki niemu terażniejszość nabrała rzeczywistego wymiaru, ponieważ w snach nigdy nie widziała nieba. Odwróciła się i skierowała kroki do baru Tanzania. Minęła brudną zasłonę w drzwiach i strąciła kubek Odenigbo ze stolika; bładny płyn rozlał się po betonowej posadzce.

– Dość już wypiełeś, co? – zapytała go cicho. – Ugwu anwugo. Słyszałeś? Ugwu nie żyje.

Odenigbo podniósł się i spojrzał na nią. Oczy miał podpuchnięte.

– Pij dalej – powiedziała Olanna. – Pij, nie przeszkadzaj sobie. Ugwu zginął.

Podeszła do niej właścicielka baru, mówiąc:

– Och! Tak mi przykro, ndo – i chciała ją objąć, lecz Olanna odtrąciła jej rękę.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała. – Zostaw mnie w spokoju! – Dopiero w tym momencie uzmysłowiła sobie, że Kainene przyszła tu za nią i w milczeniu trzymała ją, kiedy Olanna krzyczała: „Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie w spokoju!” do cofającej się właścicielki baru.

Przez kolejne dni, dni podziurawione mrocznymi lukami w czasie, Odenigbo nie chodził do baru Tanzania. Kapał Dzidzie, przygotowywał jej garri, wcześniej wracał z pracy. Raz nawet chciał przytulić Olanę i pocałować ją, ale jego dotyk przyprawił ją o dreszcze i odwróciła się od niego, a potem wyszła na zewnątrz i położyła się spać na macie na werandzie, gdzie czasami spał Ugwu. Nie płakała. Zapłakała tylko raz, gdy poszła do domu Eberechi, żeby powiedzieć jej o śmierci Ugwu, a Eberechi zaczęła krzyczeć i wyzywać ją od kłamców; te jej krzyki rozbrzmiewały później nocą w głowie Olanny. Odenigbo przesłał wiadomość o Ugwu jego rodzinie przez trzy różne kobiety, które chodziły handlować za linię nieprzyjaciela. Zorganizował też na podwórzu nabożeństwo z pieśniami. Kilku sąsiadów pomogło Alicji wynieść pianino i ustawili je przy bananowcach. „Zaczynajcie śpiewać, a ja się przyłączę”, powiedziała Alicja do zebranych kobiet. Jednak gdy tylko ktoś intonował jakąś pieśń, mama Oji zaczynała klaskać, uporczywie i głośno, w rytm melodii,

i wkrótce pozostali sąsiedzi wtórowali jej w klaskaniu, tak że Alicja nie mogła grać. Siedziała bezradnie przy pianinie, trzymając Dzidzię na kolanach.

Po kilku pierwszych pełnych wigoru pieśniach nagle wybuchnął głos mamy Adanny, chropawy i elegijny:

*Naba na ndokwa,
Ugwu, naba na ndokwa.
O ga-adili gi mma,
Naba na ndokwa.*

Odenigbo omal nie potknął się, kiedy z lekkim niedowierzaniem w oczach opuszczał podwórze, jeszcze zanim zakończyli tę pieśń, jakby nie mógł uwierzyć w jej słowa: „Odejdź w pokoju, wszystko będzie dobrze”. Olanna patrzyła za nim, gdy odchodził. Sama nie potrafiła zrozumieć urazy, jaką do niego czuła. Nie mógł przecież nic zrobić, żeby zapobiec śmierci Ugwu, jednak to jego picie, nadmierne picie, w jakiś sposób czyniło go współwinnym. Nie chciała z nim rozmawiać ani obok niego spać. Spała na macie na dworze, gdzie nawet systematyczne ukąszenia komarów witała z ulgą. Niewiele do niego mówiła. Rozmawiali wyłącznie o sprawach najpilniejszych: co Dzidzia ma jeść, co zrobią, jeśli Umuahia upadnie...

– Zatrzymamy się w domu Kainene tylko do czasu, aż znajdziemy sobie coś własnego – rzekł, jakby rzeczywiście mieli wiele możliwości do wyboru, jakby już zapomniał, że kiedyś powiedziała, iż Umuahia na pewno nie upadnie. Dlatego Olanna nie odpowiedziała.

Dzidzi wyjaśniła, że Ugwu poszedł do nieba.

– Ale niedługo wróci, mamó Ola? – zapytała Dzidzia.

Olanna odparła jej, że tak. I to bynajmniej nie dlatego, że chciała uspokoić Dzidzię, lecz dlatego, że zauważała, jak sama dzień po dniu odrzuca ostateczność śmierci Ugwu. Mówiła sobie, że nie umarł, może otarł się o śmierć, ale nie umarł. Modliła się o wiadomość o jego losach. Od pewnego czasu kąpała się na dworze – łazienka była lepka od pleśni i moczu, Olanna wstawała więc bardzo wcześnie rano, żeby wziąć wiadro i iść za budynek – pewnego ranka jednak dostrzegła jakiś ruch przy rogu budynku i zobaczyła przyglądającego się jej pastora Ambrożego.

– Pastorze Ambroży! – krzyknęła, a on natychmiast czmychnął. – Nie wstyd pastorowi? Może by tak pastor pomodlił się, żeby ktoś tu przyszedł i powiedział mi, co się stało z Ugwu, a nie zajmował się podglądaniem mężatki biorą-

cej kąpiel.

Wybrała się do domu pani Muokelu w nadziei, że usłyszy opowieść o wizji zawierającej informację, iż Ugwu jest bezpieczny, ale jakaś sąsiadka powiedziała jej, że cała rodzina pani Muokelu gdzieś zniknęła. Odeszli, nic nikomu nie mówiąc. Uważnie słuchała w Radiu Biafra relacji z wojny, jakby dźwięczny głos donoszący o odpieraniu ataków barbarzyńców i sukcesach walczących biafrańskich żołnierzy mógł przynieść jakieś wskazówki na temat Ugwu. Kiedy w sobotnie popołudnie na podwórze wszedł mężczyzna ubrany w poplamiony biały kaftan, Olanna podbiegła do niego przekonana, że przyniósł jej wieści o Ugwu.

– Mów – powiedziała. – Mów, gdzie jest Ugwu.

Mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

– Dalu. Ja szukam Alicji Njokammy z Asaby.

– Alicji? – Olanna wlepiała wzrok w mężczyznę, jakby dawała mu możliwość cofnięcia tego, co powiedział, i zapytania o nią. – Alicji?

– Tak, Alicji z Asaby. Jestem jej krewnym. Dom mojej rodziny stoi koło ich domu.

Olanna wskazała na pokój Alicji. Podeszedł do drzwi i zaczął pukać.

– Jest w domu? – zapytał.

Olanna skinęła głową rozżalona, że nie przyniósł wieści o Ugwu.

Mężczyzna ponownie zapukał i zawołał:

– Jestem z rodziny Isioma z Asaby.

Alicja otworzyła drzwi i mężczyzna wszedł do środka. Chwilę później wypadła na dwór, rzuciła się na ziemię i zaczęła się po niej tarzać. W blasku wieczornego słońca jej pokryta plamami piasku skóra nabrała złotego odcienia.

– O gini mere? Co się stało? – pytali sąsiedzi, zebrawszy się wokół Alicji.

– Pochodzę z Asaby i dzisiaj rano dostałem wiadomość o naszej rodzinnej miejscowości – odezwał się mężczyzna. Mówił z akcentem mocniejszym niż Alicja i Olanna dopiero po kilku sekundach rozumiała słowa wypowiedziane przez niego w języku ibo. – Przed wieloma tygodniami barbarzyńcy zdobyli nasze miasto i oznajmili, że wszyscy mieszkańcy powinni wyjść z domu i powiedzieć: „Jedna Nigeria”, a wtedy dadzą im ryż. I kiedy ludzie wyszli z ukrycia i powiedzieli: „Jedna Nigeria”, barbarzyńcy ich zastrzelili, mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszystkich... – Mężczyzna urwał. – Z rodziny Njokammy nikt nie ocalał. Zupełnie nikt.

Alicja leżała na plecach, jak szalona rzucając głową o ziemię i jęcząc.

We włosach miała grudki piasku. Zerwała się na nogi i pognęła w stronę drogi, ale pobiegł za nią pastor Ambroży i przyciągnął ją z powrotem. Wyrwała się mu i ponownie rzuciła na ziemię, wykrzywione w grymasie wargi obnażały jej zęby.

– Dlaczego ja jeszcze żyję? Powinni tu przyjść i zabić mnie! Niech tu przyjdą i mnie zabiją!

Ze wzmożoną przez szaleństwo żalu siłą i odwagą odpierała wszelkie próby przytrzymania jej. Tarzała się po ziemi z taką energią, że kamyki raniły jej skórę, znacząc ją małymi czerwonymi rozcięciami. Sąsiedzi mówili: „Ojej!” i tylko kręcili głowami. W pewnym momencie z pokoju wyszedł Odenigbo, podszedł do Alicji, podniósł ją i przytrzymał, a ona znieruchomiała i zaczęła płakać, wsparłszy głowę na jego ramieniu. Olanna patrzyła na tę dwójkę. Ramię Odenigba układało się na Alicji w sposób świadczący o niejakiej bliskości. Trzymał ją ze swobodą kogoś, kto już wcześniej ją obejmował.

W końcu Alicja usiadła na ławce zobojętniała i zbolęła. Raz na jakiś czas krzyczała: „Hei!”, podrywała się i kładła sobie dłonie na głowie. Odenigbo usiadł przy niej i nakłonił ją, by napiła się wody. Wraz z mężczyzną z Asaby rozmawiali ściszymi głosami, jakby tylko oni dwaj byli za nią odpowiedzialni, a potem przyszedł na werandę, gdzie siedziała Olanna.

– Spakujesz trochę jej rzeczy, nkem? – zapytał. – Ten mężczyzna mówi, że w jego domu mieszka kilku ludzi z Asaby i zabierze ją tam, żeby mogła spędzić z nimi jakiś czas.

Olanna spojrzała na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Nie – odparła.

– Nie?

– Nie – powtórzyła, tym razem głośno. – Nie. – Podniosła się i weszła do pokoju. Nie będzie pakować niczyich ubrań.

Nie miała pojęcia, kto ostatecznie spakował rzeczy Alicji, może sam Odenigbo to zrobił, ale wieczorem usłyszała głosy wielu sąsiadów mówiących: „Ije oma, szczęśliwej podróży”, kiedy Alicja odchodziła z tym mężczyzną. Olanna spała na dworze i śniło jej się, że Alicja i Odenigbo leżą w łóżku w Nsucce, widziała ich pot na świeżo wypranej przez siebie pościeli; obudziła się targana podejrzeniami i ogłuszona hukami ostrzału.

– Barbarzyńcy są blisko! – krzyknął pastor Ambroży i pierwszy wybiegł z obejścia, niosąc w ręku wypchany worek marynarski.

Na całym podwórzu zawrzało, wszędzie krzyczano, pakowano się, odcho-

dzono. Ostrzał, przypominający kolejne napady okropnie głośnego wstrętnego kaszlu, trwał nieprzerwanie. Samochód nie chciał odpalić. Droga była już zatłoczona uchodźcami, rozdzierające eksplozje pocisków z moździerzy zdawały się rozbrzmiewać bardzo blisko, nie dalej jak przy St John's Road, a Odenigbo podejmował kolejne próby uruchomienia samochodu. Mama Oji krzyczała na swojego męża. Mama Adanny błagała Olanę, żeby pozwoliła jej wsiąść do samochodu z kilkorgiem swoich dzieci, na co Olanna odparła: „Nie, zabierz swoje dzieci i idź sobie”.

Odenigbowi udało się uruchomić silnik, który jednak tylko zawył i zgasł. Na podwórzu nie było już prawie nikogo. Idąca drogą kobieta ciągnęła za sobą upartą kozę, lecz w końcu puściła ją i pospiesznie ruszyła naprzód. Odenigbo przekręcił klucz i silnik znowu zgasł. Olanna czuła, jak ziemia drży przy każdym kolejnym wybuchu.

Odenigbo obracał klucz raz za razem. Bezskutecznie.

– Idźcie z Dzidzią – powiedział wreszcie. Pot zlepił mu brwi.

– Co?

– Zabiorę was, kiedy samochód ruszy.

– Jeśli mamy iść, to pójdziemy wszyscy razem.

Odenigbo po raz kolejny spróbował uruchomić silnik. Olanna odwróciła się zaskoczona, że Dzidzia tak spokojnie siedzi na tylnym siedzeniu koło zwiniętych materaców. Dziewczynka bacznie przyglądała się Odenigbowi, jakby ponaglała wzrokiem i jego, i samochód.

Odenigbo wysiadł i podniósł maskę, również Olanna wyszła z samochodu, wypuściła Dzidzię i zaczęła się zastanawiać, co zabrać z bagażnika, a co zostawić. Na podwórzu nie było już nikogo, drogą szła jedna czy dwie osoby. W pobliżu słychać było terkot strzałów. Była przerażona. Ręce jej się trzęsły.

– Chodźmy – powiedziała. – Nikt już nie został w Umuahii!

Odenigbo wsiadł do auta, wziął głęboki oddech i przekręcił klucz.

Silnik zapalił.

Odenigbo jechał szybko, a kiedy znaleźli się na przedmieściach Umuahii, Olanna zapytała go:

– Robiłeś coś z Alicją?

Odenigbo nie odpowiedział, tylko patrzył prosto przed siebie.

– Odenigbo, zadałam ci pytanie.

– Mba, nic nie robiłem z Alicją. – Rzucił jej krótkie spojrzenie i powrócił wzrokiem na drogę.

Nie odezwali się więcej do siebie aż do Orlu, gdzie z domu na ich spotka-

nie wyszli Kainene i Harrison. Harrison zajął się wypakowywaniem rzeczy z samochodu.

Kainene uścisnęła Olanę, wzięła Dzidzię na rękę i odwróciła się do Odenigba.

– Cóż za ciekawa broda – powiedziała. – Próbujemy naśladować Jego Ekszelencję?

– Nigdy nikogo nie naśladowuję.

– Ależ oczywiście, zapomniałam, jak bardzo jesteś oryginalny. Głos Kainene przepelniony był wszechobecnym napięciem. Olanna wyczuwała je, ciężkie od wilgoci, wiszące nad pokojem, kiedy wrócił Richard i chłodno uścisnął dłoń Odenigba, a także później, gdy zasiedli do stołu i jedli plasty jamsu podane przez Harrisona na glazurowanych talerzach.

– Zatrzymamy się tu, dopóki czegoś nie wynajmiemy – rzekł Odenigbo, patrząc na Kainene.

Kainene też na niego spojrzała, uniosła brwi i poleciła:

– Harrisonie! Przynieś jeszcze oleju palmowego dla Chiamaki. Harrison przyniósł miskę oleju i postawił ją przed Dzidzią. Po jego wyjściu Kainene powiedziała:

– W zeszłym tygodniu upiekł nam wspaniałego szczura z buszu. Ale tak o tym opowiadał, jakby to była jagnięca łopatka.

Olanna roześmiała się. Śmiech Richarda brzmiał dosyć niepewnie. Również Dzidzia się śmiała, jakby rozumiała dowcip. Natomiast Odenigbo bez cienia uśmiechu skupił wzrok na swoim talerzu. W radiu emitowano powtórkę deklaracji z Ahiary, głos Jego Ekszelencji był wyważony i zdecydowany:

Biafra nigdy nie zdradzi czarnoskórych ludzi. Choćby szanse były niewielkie, będziemy walczyć z całych sił, dopóki czarni ludzie na całym świecie nie będą mogli wskazać z dumą na tę republikę, trwającą z godnością i dostojeństwem jako na przykład afrykańskiego nacjonalizmu...

Richard przeprosił obecnych, a kiedy po chwili wrócił z butelką brandy, skinął w stronę Odenigba.

– Dostałem od amerykańskiego dziennikarza.

Odenigbo bez słowa wpatrywał się w butelkę.

– To brandy – powiedział Richard, wyciągając rękę z butelką, jakby Odenigbo nie zrozumiał. Nie rozmawiali ze sobą od czasów, kiedy przed laty Odenigbo przyjechał do niego i zrobił mu tę awanturę. Nie odezwali się do siebie

nawet dzisiaj, kiedy uścisnęli sobie dłonie.

Odenigbo nie wyciągnął ręki po butelkę.

– Możesz w zamian napić się białofrańskiej sherry – odezwała się Kainene.

– Może nawet ona bardziej pasuje do twojej rewolucyjnej wątroby.

Odenigbo popatrzył na nią, a na jego twarzy pojawił się drobny szyderczy uśmiezek, jakby jej słowa rozbawiły go, a jednocześnie zirytowały. Podniósł się.

– Dziękuję za brandy. Powiniennem już się położyć. Jutro czeka mnie solidny spacer, biuro pośrednictwa pracy przeniosło się do buszu.

Olanna odprowadziła go wzrokiem, kiedy wchodził do domu. Nie spojrzała na Richarda.

– Dzidziu, pora spać – powiedziała.

– Nie – odparła Dzidzia, udając zainteresowanie swoim pustym talerzem.

– Chodź, idziemy spać – powtórzyła Olanna i Dzidzia wstała.

W pokoju Odenigbo obwiązywał się chustą w pasie.

– Właśnie miałem pójść po Dzidzie i położyć ją spać – powiedział. Olanna zignorowała go. – Dobranoc, Dzidziu, ka chi fo – dodał.

– Dobranoc, tatusiu.

Olanna ułożyła dziewczynkę na materacu i przykryła chustą, a kiedy pocałowała ją w czoło, o mało nie rozplakała się, bo pomyślała o Ugwu. Dzisiaj spałby na macie w salonie.

Kiedy Odenigbo podszedł do niej i stanął tuż obok, chciała się cofnąć, niepewna, co zamierza zrobić. Dotknął jej obojczyka.

– Spójrz, jak wychudłaś.

Zirytowana jego dotykiem popatrzyła w dół i ze zdumieniem zauważyła wystające kości. Nie zdawała sobie sprawy, że tyle straciła na wadze. Bez słowa wyszła z powrotem do salonu. Richarda już tam nie było.

Przy stole wciąż siedziała Kainene.

– Postanowiliście więc wraz z Odenigbem poszukać sobie tu czegoś? – zapytała. – Mój dom wam nie wystarczy?

– Słuchasz tego, co on mówi? Niczego nie postanowiliśmy. Jeśli on chce szukać sobie jakiegoś lokum, proszę bardzo, może sam sobie tam żyć – odrzekła Olanna.

Kainene spojrzała na nią.

– Co się stało?

Olanna tylko pokręciła głową.

Kainene zanurzyła palec w oleju palmowym i włożyła go do ust.

- Ejima m, co się stało? – powtórzyła pytanie.
- Nic, naprawdę nic. Nic konkretnego – powiedziała Olanna, patrząc na stojącą na stole butelkę brandy. – Chcę, żeby ta wojna się skończyła, żeby Odenigbo wreszcie mógł wrócić. Stał się kimś zupełnie innym.
- Wszystkich nas wciągnęła ta wojna i tylko od nas zależy, czy staniemy się kimś innym czy nie – rzekła Kainene.
- Bez przerwy pije i pije tanią kai-kai. Raz na jakiś czas dostaje pieniądze, które bardzo szybko się rozchodzą. Podejrzewam, że spał z Alicją, tą mieszkającą na naszym podwórku kobietą z Asaby. Nie mogę go znieść. Nie mogę znieść, kiedy jest blisko mnie.
- To dobrze – powiedziała Kainene.
- Dobrze?
- Tak, dobrze. Ta twoja ślepa miłość do niego zawsze załatywała jakąś niesamowitą gnuśnością, przez tyle czasu złego słowa nie powiedziałaś na niego. Nigdy nawet nie chciałaś dopuścić do siebie myśli, że ten człowiek jest brzydki – powiedziała Kainene. Na jej twarzy błąkał się lekki uśmiech, po chwili zaś wybuchnęła gromkim śmiechem, a i Olanna nie mogła powstrzymać się od śmiechu, bo chociaż nie to chciała usłyszeć, poczuła się lepiej.

Rano Kainene pokazała Olannie gruszkowaty flakonik z kremem do twarzy.

– Spójrz tylko. Ktoś znajomy wyjechał za granicę i mi to przywiózł. Już wiele miesięcy temu skończyły mi się kremy do twarzy i musiałam używać tego okropnego olejku produkowanego w Biafrze.

Olanna przyjrzała się różowej buteleczce. Raz jedna, raz druga na zmianę nakładały krem na twarz, powoli, rozkoszując się, a później wybrały się do obozu dla uchodźców. Każdego ranka tam chodziły. Ponownie wiejący harmattan wszędzie wzbijał tumany kurzu. Dzidzia przyłączała się do wychudzonych dzieci biegających z gołymi brzuskami pokrytymi brunatnym pyłem. Dzieci zbierały odłamki, wymieniały się nimi i bawiły. Kiedy Dzidzia wróciła z dwoma kawałkami wyszczerbionego metalu, Olanna nakrzyczyła na nią, wytargała ją za ucho i zabrała jej odłamki. Nie mogła znieść myśli, że Dzidzia bawi się zimnymi resztkami czegoś, co służyło do zabijania. Ale Kainene kazała oddać je małej, a sama wręczyła jej puszkę, do której mogła zbierać odłamki. Kainene poleciła także Dzidzi, by dołączyła do starszych dzieci robiących pułapki na jaszczurki, by nauczyła się mierzwić liście palmowe i wkładać kokon wypełniony mrówkami iddo do środka. Kainene pozwoliła jej wziąć do ręki sztylet wychudłego mężczyzny, który maszerował po podwó-

rzu, mamrocząc pod nosem: „Ngwa, niech no tylko przyjdą tu barbarzyńcy, dajcie ich zaraz tutaj”. I Kainene pozwoliła jej zjeść nogę jaszczurki.

– Chiamaka powinna poznać prawdziwe życie, ejima m – wyjaśniła Olanne, kiedy nawilżały sobie twarze. – Za bardzo starasz się ochronić ją przed światem.

– Ja tylko chcę, żeby moje dziecko było bezpieczne – odparła Olanna. Nałożyła na palec odrobinę kremu i zaczęła wcierać go opuszkami w twarz.

– Nas za bardzo chronili – powiedziała Kainene.

– Tato i mama? – zapytała Olanna, choć wiedziała, o kim Kainene mówi.

– Tak. – Kainene rozprowadzała dłońmi krem po twarzy. – Całe szczęście, że mama wyjechała. Czy wyobrażasz sobie, że mogłaby żyć bez tego wszystkiego? Albo używać olejku z nasion palmowych?

Olanna roześmiała się. Wolałaby jednak, żeby Kainene nie używała tak dużo kremu, bo miałyby go na dłużej.

– Dlaczego zawsze tak bardzo zależało ci, żeby zadowolić rodziców? – zapytała Kainene.

Olanna przez moment nie odzywała się, trzymając dłonie przy twarzy.

– Sama nie wiem, chyba było mi ich żal.

– Tobie zawsze było żal ludzi, którzy wcale nie potrzebowali twojego współczucia.

Olanna nie odezwała się, nie wiedziała bowiem, co mogłaby powiedzieć. Tego typu rzeczy – jak to, że Kainene po raz pierwszy na głos wyraziła swój żal do rodziców i do niej – omawiałyby z Odenigbem, tyle że już prawie ze sobą nie rozmawiali. Znalazł sobie jakiś bar w pobliżu, a nie dalej jak w zeszłym tygodniu zjawił się w domu właściciel baru i wypytywał o niego, ponieważ Odenigbo nie uregulował rachunku. Po wyjściu właściciela baru Olanna nie odezwała się do Odenigba. Sama już nie wiedziała, kiedy chodzi do biura pośrednictwa pracy, a kiedy po prostu do baru. I już nie chciała się tym przejmować.

Trapiła się czymś innym: dlaczego jej miesiączki są nieregularne i mulistobrunatne, a nie czerwone, dlaczego Dzidzi wypadają włosy, dlaczego głód zabiera dzieciom pamięć. Bardzo zależało jej na tym, żeby ich umysły były sprawne, w końcu to one miały być przyszłością Biafry. Dlatego też codziennie uczyła je pod tulipanowcem, z dala od okropnych zapachów za budynkami. Uczyła je na pamięć jednego wersu wiersza, ale już następnego dnia nie pamiętały go. Goniły za jaszczurkami. Obecnie tylko raz dziennie dostawały garn i wodę, a nie dwa razy dziennie jak przedtem, bo dostawcy Kainene nie cho-

dzili już do Mbosi, gdzie mogli kupować garn; nieprzyjaciel zajął wszystkie drogi. Kainene uruchomiła program „Hodujemy własną żywność”, a Olanna, dołączając do pracujących przy zagonach mężczyzn, kobiet i dzieci, zastanawiała się, kiedy nauczyła się trzymać motykę. Jednak ziemia była wysuszona na wiór. Harmattan pozostawił spękane wargi i stopy. Trójka dzieci zmarła jednego dnia. Ojciec Marcel odprawił mszę bez komunii świętej. Brzuch młodej Urenwy zaczął rosnać i Kainene nie wiedziała, czy to kwashiorkor czy cięża, dopóki matka dziewczyny nie wymierzyła córce policzka i nie zapytała: „Kto? Kto ci to zrobił? Gdzie spotkałaś mężczyznę, który ci to zrobił?”. Lekarz już tu nie przyjeżdżał, ponieważ brakowało benzyny i zbyt wielu było umierających żołnierzy, którymi musiał się zająć. Studnia wyschła. Kainene często wybierała się do biura zarządu w Ahiarze z prośbą, żeby przysłano cysterne z wodą, lecz za każdym razem wracała tylko z ogólnikowymi obietnicami dyrektora. Ciężki ohydny odór niemytych ciał i gnijących zwłok w płytkich grobach za budynkami stale przybierał na sile. Muchy unosiły się nad poranionymi dziecięcymi ciałami. Wszędzie roiło się od pluskiew i kwalikwata; kiedy kobiety rozwijały chusty, na skórze w pasie ukazywała się wstrętne wysypka zaczerwienionych śladów po ukąszeniach przypominająca ule zbroczone krwią. Ponieważ był sezon na pomarańcze, Kainene radziła kobietom, by jadły pomarańcze z drzew, chociaż dostają po nich rozwolnienia, a potem żeby wyciskały łupiny na skórę, bo zapach owoców cytrusowych tłumi smród brudu.

Wieczorem Olanna i Kainene razem wracały do domu. Rozmawiały o ludziach w obozie, o szkolnych czasach w Heathgrove, o rodzicach i o Odenigbie.

– Pytałaś go jeszcze o tę kobietę z Asaby? – zagadnęła Kainene.

– Jeszcze nie.

– Zanim go zapytasz, podejdź do niego i daj mu w twarz. Jeśli odważy się oddać ci, przyjdę do niego z kuchennym nożem Harrisona. Ale ten policzek wyciśnie z niego słowa prawdy.

Olanna roześmiała się i zauważyła, że obie idą niespiesznie, jakby zgodnym krokiem w klapkach pokrytych brunatnym kurzem.

– Dziadek powiadał, że jak jest źle, to potem będzie lepiej. O dikata njo, o dikwa mma – powiedziała Kainene.

– Pamiętam.

– Wkrótce świat się odmieni i Nigeria da sobie spokój – cicho mówiła Kainene. – Zwyciężymy.

– Tak. – Olanna wierzyła w to, tym bardziej że powiedziała to Kainene.

W niektóre wieczory Kainene była jakaś nieobecna, pogrążona w sobie. Pewnego razu powiedziała: „Tak naprawdę nigdy nie zauważałam Ikejidego”, a Olanna tylko położyła dłoń na ramieniu siostry i nic nie odrzekła. Jednak zazwyczaj Kainene była w świetnym nastroju i wspólnie siadały na dworze, rozmawiając, słuchając radia i nietoperzy fruujących wokół nerkowców. Czasami przyłączał się do nich Richard. Odenigbo nigdy tego nie robił.

Pewnego wieczoru padał deszcz, silny i zacinający, dziwny deszcz jak na porę suchą, i być może właśnie z tego powodu Odenigbo nie wybrał się do baru. Tego wieczoru w końcu przyjął proponowaną przez Richarda brandy, długo trzymał ją pod nosem i głęboko wdychał zapach, zanim się napił. Wciąż niewiele rozmawiali z Richardem. I tego też wieczoru przyszedł do nich doktor Nwala, by powiedzieć o śmierci Okeomy. Kiedy błyskawica rozdarła niebo i przetoczył się grzmot, Kainene śmiejąc się, powiedziała:

– Jakbyśmy mieli ostrzał.

– Martwi mnie, że od pewnego czasu nas nie bombardują – odrzekła Olanna. – Ciekawe, co oni planują.

– Może bombę atomową – stwierdziła Kainene.

Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu Kainene podniosła się.

– Kto może do nas jechać tak późno i w taką pogodę?

Otworzyła drzwi i do środka wszedł doktor Nwala z twarzą ociekającą deszczem. Olanna przypomniała sobie, jak wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać po nalocie w dniu jej ślubu, jak mówił, że sukienka jej się wybrudzi – jakby już nie była brudna od leżenia na ziemi. Był chudszy i bardziej wymizowany niż w przeszłości, wydawało się, że złamie się na pół, jeśli zbyt gwałtownie usiądzie. Nie usiadł. Nie tracił czasu na powitania. Odciągnął luźną koszulę od ciała, szybko wymachując nią, żeby strząsnąć wodę, i powiedział:

– Okeoma odszedł, o jebego. Stało się to w trakcie odbijania Umuahii.

Kiedy widziałem go w zeszłym miesiącu, powiedział mi, że pisze jakieś wiersze i że jego żoną jest Olanna, a gdyby coś mu się stało, miałem dopilnować, żeby te wiersze trafiły w jej ręce. Niestety, nie mogę ich znaleźć. Ludzie, którzy przynieśli mi tę wiadomość, powiedzieli, że nie zauważyli, żeby cokolwiek pisał. Postanowiłem więc przyjechać tu i powiedzieć o jego śmierci, ale wierszy nie znalazłem.

Olanna kiwała głową, choć niezupełnie rozumiała, co mówi, doktor Nwala zbyt szybko wypowiadał za wiele słów. Nagle urwał. Przyszedł tu powiedzieć, że Okeoma nie żyje. Pada deszcz podczas harmattanu, a Okeoma nie żyje.

– Okeoma? – odezwał się Odenigbo chrapliwym szeptem. – Onye? Czy ty mówisz o Okeomie?

Olanna chwyciła Odenigba za ramię i z jej piersi wydarł się krzyk, jękliwy, przeraźliwy krzyk, bo nagle w głowie zrodziło się jej jakieś nieznośne napięcie. Bo poczuła się zaatakowana, bezlitośnie uderzona przez ogromną pustkę. Nie puszczała jego ramienia, dopóki doktor Nwala nie odszedł chwiejnym krokiem w deszcz, dopóki w milczeniu nie położyli się na materacu na podłodze. Kiedy wsunął się w nią, poczuła, że jest jakiś inny, spoczywał na niej lżejszy i węższy. Leżał nieruchomo, zupełnie nieruchomo, a ona, rzucając się na wszystkie strony, przyciągała jego biodra. Jeszcze przez dłuższą chwilę się nie ruszał, ale kiedy w końcu zaczął, jej rozkosz pomnożyła się, potęgowana z każdym sypiącym skry ruchem, a każda drobna isierka rozpalala się samą rozkoszą. Słyszała swój płacz, swój coraz głośniejszy szloch, aż w końcu Dzidzia się poruszyła i Odenigbo zakrył Olannie usta dłonią. Również on płakał, czuła łzy spadające na swoje ciało, zanim dostrzegła je na jego twarzy.

Kiedy już było po wszystkim, podparł się na łokciu i patrzył na nią.

– Jesteś tak silna, nkem...

Jeszcze nigdy nie słyszała takich słów z jego ust. Wyglądał staro, wilgoć w jego oczach i zmarszczki na twarzy świadczące o porażkach wyraźnie go postarzały. Chciała zapytać, dlaczego tak powiedział, co miał na myśli, jednak tego nie zrobiła, a potem już sama nie wiedziała, które z nich zasnęło pierwsze. Następnego dnia rano obudziła się za wcześnie, czując własny nieświeży oddech i ogarnięta jakimś smutnym intrygującym spokojem.

Początkowo Ugwu chciał umrzeć. Nie z powodu gorącego mrowienia w głowie czy lepkiej krwi na plecach, bólu w pośladkach albo trudności z łapaniem powietrza, lecz z powodu dręczącego go pragnienia. Gardło miał spieczone i suche jak pieprz. Niosący go żołnierze piechoty rozmawiali o tym, że ratowanie go pozwoliło im uciec z pola bitwy, że skończyły się im naboje i choć posłano po wsparcie, żadna pomoc nie nadeszła, a barbarzyńcy wciąż atakowali. Ale pragnienie zatkało Ugwu uszy i stłumiło ich słowa. Nieśli go na ramionach zabandażowanego w ich koszule i z każdym krokiem ostry ból przesywał całe jego ciało. Łapczywie chwycił powietrze, starał się je wciągać i zasysać, wciąż jednak było mu mało. Robiło mu się niedobrze od pragnienia.

– Wody, proszę... – wycharczał. Nie dali mu ani kropli, gdyby miał dość energii, przekląłby ich na wszystkie znane mu sposoby. Gdyby miał broń, zastrzeliłby ich wszystkich, a potem siebie.

Leżąc w szpitalu, do którego go zanieśli, już nie chciał umierać, obawiał się jednak, że może go to czekać, tak wiele ciał wokół niego leżało na matach, materacach i gołej podłodze. Wszędzie było tyle krwi. Słyszał głośne krzyki mężczyzn badanych przez lekarzy i zdawał sobie sprawę, że jego przypadek wcale nie jest najgorszy, chociaż czuł krew sączącą się z ciała i zbierającą się przy boku, najpierw ciepłą, a potem lepką i zimną. Krew zabierała ze sobą jego wolę, był zbyt wyczerpany, żeby coś z tym zrobić, nawet kiedy pielęgniarki przemykały obok niego, nie zmieniając mu bandaży, nie wołał za nimi. Nic też nie mówił, kiedy przychodziły, przewracały go na bok i szybko, bezceremonialnie dawały mu zastrzyki. W chwilach majaczenia widział Eberechi ubraną w tę obcisłą spódniczkę i mówiącą na migi coś, czego nie rozumiał. A kiedy zdarzały mu się przebłyski świadomości, nie mógł się pozbyć myśli o śmierci. Próbował wyobrazić sobie niebo, Boga siedzącego na tronie, lecz bez skutku. Z drugiej strony alternatywna wizja, czyli śmierć będąca jedynie nieskończoną ciszą, zdawała się równie nieprawdopodobna. Jakaś cząstką siebie snuł marzenia i nie miał pewności, czy ta cząstka byłaby w stanie wycofać się w niekończącą się ciszę. Śmierć miała być wiedzą absolutną, choć przera-

żało go, że nie wie zawczasu, co przyjdzie mu wiedzieć.

Wieczorami w niewyraźnym półmroku zjawiali się ludzie z Caritasu, ksiądz z dwoma pomocnikami niosącymi lampy naftowe, rozdawali żołnierzom mleko i cukier, pytali, jak się nazywają i skąd pochodzą.

– Z Nsukki – odrzekł Ugwu, kiedy go zapytano. Wydawało mu się, że głos księdza brzmi znajomo, ale wówczas wszystko tu było znajome, krew leżącego obok mężczyzny miała zapach jego krwi, pielęgniarka stawiająca miskę z cienką akamu uśmiechała się jak Eberechi.

– Z Nsukki? A jak się nazywasz? – spytał ksiądz.

Ugwu z trudem starał się skoncentrować na owalnej twarzy, okularach, zbrązowiałej koloratce. To był ojciec Damian.

– Jestem Ugwu. Razem z panią Olanną przychodziłem do świętego Wincentego a Paulo.

– Ach! – Ojciec Damian ścisnął mu rękę i Ugwu aż skrzywił się z bólu. – Walczyłeś za sprawę? Gdzie zostałeś ranny? Co dla ciebie zrobiono?

Ugwu tylko pokręcił głową. Część jego pośladków spowijał ognistoczerwony ból, który go wyniszczał. Ojciec Damian podał mu nieco mleka w proszku na łyżeczce, a potem położył obok niego torebkę z cukrem i mlekiem.

– Wiem, że Odenigbo pracuje w biurze pośrednictwa pracy. Prześlę im wiadomość – powiedział ojciec Damian. Przed odejściem wsunął drewniany różaniec na przegub ręki Ugwu.

Różaniec wciąż leżał w tym samym miejscu, chłodząc jego skórę, kiedy kilka dni później przyszedł Richard.

– Ugwu, Ugwu... – Przepłynęły nad nim blond włosy i oczy w dziwnym kolorze, ale Ugwu nie wiedział, kto to może być. – Słyszysz mnie, Ugwu? Przyjechałem po ciebie. – To był ten sam głos, który przed laty wypytywał Ugwu o festiwal w jego rodzinnej wiosce.

Ugwu wreszcie rozpoznał, kto to jest. Kiedy pan Richard pomagał mu wstać, ból z boku i pośladków przeszył całe ciało Ugwu, docierając aż do samej głowy i oczu. Ugwu krzyknął, zacisnął zęby i zagryzł wargę, czując, jak wysysa własną krew.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział pan Richard.

Jadąc po wyboistej drodze w pozycji leżącej na tylnym siedzeniu peugeota 404, w bezlitosnym słońcu, od którego aż skrzyła się przednia szyba, Ugwu zastanawiał się, czy jednak rzeczywiście nie umarł i czy w chwili śmierci człowiek nie doświadcza właśnie czegoś takiego – niekończącej się podróży samochodem. W końcu zatrzymali się w szpitalu, który nie cuchnął krwią, tylko

zapachem środków dezynfekujących. Dopiero kiedy Ugwu znalazł się w prawdziwym łóżku, pomyślał, że może mimo wszystko nie umrze.

– W zeszłym tygodniu to miejsce często było bombardowane, dlatego będziemy musieli ruszać w dalszą drogę, jak tylko lekarz cię obejrzy. Właściwie nie jest prawdziwym lekarzem, był na czwartym roku studiów, gdy wojna się zaczęła, ale bardzo dobrze sobie radzi – powiedział pan Richard. – Od kiedy Umuahia upadła, Olanna, Odenigbo i Dzia zamieszkali z nami w Orlu, a i Harrison oczywiście też tam jest. Kainene potrzebuje pomocy w obozie dla uchodźców, więc lepiej postaraj się szybko stanąć na nogi.

Ugwu wyczuwał, że pan Richard mówi za dużo i że robi to ze względu na niego, może po to, żeby Ugwu nie zasnął przed przyjściem lekarza. Ale wdzięczny był panu Richardowi za śmiech, za ten normalny śmiech, który przywoływał pamięć i te dni, kiedy pan Richard zapisywał jego odpowiedzi w oprawnym w skórę notesie.

– Wszyscy byliśmy nieco zszokowani, kiedy dowiedzieliśmy się, że żyjesz i jesteś w szpitalu w Emekuku. Oczywiście szok był radosny. Dzięki Bogu nie zorganizowano symbolicznego pogrzebu, chociaż przed upadkiem Umuahii odbyło się coś w rodzaju nabożeństwa żałobnego.

Powieki Ugwu zatrzepotały.

– Mówili, że umarłem, sah?

– Ależ tak, tak nam powiedziano. Wygląda na to, że w twoim batalionie sądzono, że zginąłeś w czasie akcji.

Oczy zamykały się Ugwu i chociaż próbował zmusić je do otwarcia, nie chciały go słuchać. W końcu podniósł powieki i zobaczył patrzącego na niego pana Richarda.

– Kto to jest Eberechi?

– Proszę, sah?

– Ciągłe powtarzasz to imię.

– To ktoś znajomy, sah.

– Z Umuahii?

– Tak, sah.

Pan Richard spojrzał na niego łagodniejszym wzrokiem.

– I nie wiesz, gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem, sah.

– Nie zmieniałeś ubrania, odkąd zostałeś ranny?

– Zmieniałem, sah. Żołnierze piechoty dali mi spodnie i koszulę.

– Musisz się wykąpać.

Ugwu uśmiechnął się.

– Tak, sah.

– Bałeś się? – zapytał po chwili pan Richard.

Spróbował poprawić się na łóżku; ból był wszechogarniający i Ugwu nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji.

– Czy się bałem, sah?

– Tak.

– Czasami, sah... – Urwał. – W naszym obozie znalazłem książkę. Postać tego autora wzbudziła we mnie wielki smutek i złość.

– Co to była za książka?

– Autobiografia czarnoskórego Amerykanina, który nazywał się Frederick Douglass.

Pan Richard coś sobie zapisał.

– Wykorzystam tę anegdotę w swojej książce.

– Pan pisze książkę?

– Tak.

– O czym, sah?

– O wojnie, o tym, co zdarzyło się wcześniej, i jak wiele zdarzyć się nie powinno. Będzie nosiła tytuł „Świat milczał, kiedy myśmy umierali”.

Później Ugwu szeptał sobie po cichu ten tytuł: „Świat milczał, kiedy myśmy umierali”. Dręczył go i prześladował, napełniał wstydem. Kazał mu myśleć o tamtej dziewczynie w barze, ojej ściągniętej twarzy i nienawiści w oczach, kiedy leżała na wznak na brudnej podłodze.

Pan i Olanna objęli ramionami Ugwu, ale zrobili to delikatnie, nie przyciskali go, żeby nie sprawiać mu bólu. Czuł się niesamowicie skrępowany, nigdy wcześniej go nie obejmowali.

– Ugwu... – odezwał się pan, kręcąc głową. – Ugwu...

Dzidzia uczepliła się jego ręki i nie chciała puścić, a Ugwu poczuł, jak całe jego życie nagle zebrało się i ścisnęło go za gardło, szlochał, aż łzy piekły w oczy. Był zły na siebie, że płacze, i później, kiedy opisywał swoją historię, mówił obojętnym głosem. Skłamał, opowiadając, jak go zwerbowano, powiedział, że pastor Ambroży poprosił go, żeby pomógł mu zanieść chorą siostrę do zielarza, i właśnie wracał do domu, kiedy żołnierze go złapali. Używał takich sformułowań, jak „nieprzyjacielski ogień” i „atak na główną kwaterę”, z wyrachowaną swobodą, jakby chciał zrekompensować sobie ten płacz.

– A nam powiedziano, że nie żyjesz – rzekła Olanna, patrząc na niego. –

Może Okeoma też żyje.

Ugwu wlepił w nią wzrok.

– Powiedziano nam, że zginął w walce – wyjaśniła. – Słyszałam też, że kwashiorkor w końcu zabrał Adannę. Oczywiście Dzidia nic o tym nie wie.

Ugwu odwrócił wzrok. Drażniły go te wieści. Był na nią zły, że mówi mu coś, czego on wcale nie chce usłyszeć.

– Zbyt wielu ludzi ginie – powiedział.

– Tak to już jest na wojnie, zbyt wielu ludzi ginie – przyznała Olanna. – Ale zwyciężymy. Dobrze masz ułożoną poduszkę?

– Tak, mah.

Nie mógł siedzieć na jednej części pośladków, więc przez pierwszych kilka tygodni w Orlu leżał na boku. Olanna przez cały czas była przy nim, wmuśzając w niego jedzenie i modląc się, żeby przeżył. Często majaczył. Nawet bez tego budzącego wspomnienia bólu w boku, w pośladkach i plecach nie mógłby zapomnieć o podkładanych przez siebie i wybuchających minach ogbunigwe, o śmiechu High-techa czy o morderczej nienawiści w oczach tamtej dziewczyny. Nie pamiętał jej rysów, lecz tamto spojrzenie go nie odstępowało, podobnie jak napięcie i suchość między jej nogami, kiedy robił to, czego zrobić nie chciał. W szarej sferze między snem a marzeniami na jawie, gdzie mógł kontrolować większość swoich wyobrażeń, widział tamten bar, czuł zapach alkoholu i słyszał żołnierzy mówiących: „Niszczyciel Celów”, ale przed nim na podłodze leżała nie barmanka, tylko Eberechi. Budził się z nienawiścią do tego obrazu i z nienawiścią do samego siebie. Musi dać sobie czas na odpokutowanie tego, co zrobił, i dopiero potem będzie mógł się wybrać na poszukiwanie Eberechi. Może wraz z rodziną wróciła do swojej wioski w Mbaise, a może są gdzieś tu, w Orlu. Będzie na niego czekała, będzie wiedziała, że po nią wróci. Myśl, że Eberechi będzie na niego czekać, że jej oczekiwanie na niego będzie dowodem jego odkupienia, pomagała mu w powrocie do zdrowia. Zaskoczyło go, że jego ciało może wrócić do dawnego stanu, a umysł funkcjonować z pełną jasnością.

Za dnia pomagał w obozie dla uchodźców, wieczorami pisał. Siadał pod tulipanowcem i stawiał staranne drobne litery na marginesach starych gazet, na kartkach, na których Kainene liczyła zaopatrzenie, z tyłu starego kalendarza. Napisał wiersz o tym, że ludzie dostają wysypki od wypróżniania się do importowanych wiader, ale ponieważ nie miał tak lirycznego charakteru jak wiersz Okeomy, podarł go; potem napisał drugi, o młodej kobiecie z idealnym tyłkiem, która szczypała młodzieńca w szyję, lecz również ten wiersz podarł.

W końcu zaczął pisać o anonimowej śmierci cioci Arize w Kano i o Olannie, która straciła władzę w nogach, o elegancko dopasowanym mundurze wojskowym Okeomy i zabandażowanych dłoniach profesora Ekwenuga. Pisał o dzieciach w obozie dla uchodźców, o tym, jak sumiennie uganiały się za jaszczurkami, jak pewnego razu czwórka chłopców zagoniła zwinną jaszczurkę na drzewo mangowe i jeden z nich wspiął się za nią, a kiedy jaszczurka zeskończyła z drzewa, wpadła w wyciągnięte ręce któregoś z pozostałych trzech stojących pod drzewem.

– Jaszczurki zrobiły się sprytniejsze. Biegają teraz szybciej i kryją za betonowymi pustakami – powiedział mu chłopiec, który wspiął się na drzewo.

Chłopcy upiekli jaszczurkę i zjedli ją wspólnie, odganiając inne dzieci. Ten chłopiec chciał nawet poczęstować Ugwu kawałeczkiem swojej żylastej porcji. Ugwu podziękował mu i pokręcił głową, uświadamiając sobie nagle, że nigdy nie uda mu się uchwycić tego chłopca na papierze, nigdy nie będzie w stanie dostatecznie dobrze opisać strachu, jakim zachodziły oczy matek w obozie dla uchodźców, kiedy na niebie pojawiały się bombowce. Nigdy nie uda mu się odmalować aury posępności towarzyszącej bombardowaniu głodnych ludzi. Jednak próbował, a im więcej pisał, tym mniej śnił.

Olanna uczyła kilkoro dzieci recytować tabliczkę mnożenia, gdy Kainene pędem przybiegła pod tulipanowiec.

– Nie uwierzysz, kto jest odpowiedzialny za ciężę tej małej Urenwy – powiedziała, a Ugwu ledwo ją rozpoznał. Oczy nieomal wychodziły jej z kościastej twarzy, tak były przepełnione wściekłością i łzami. – Uwierzysz, że to ojciec Marcel?

Olanna podniosła się.

– Gini? Co ty wygadujesz?

– Musiałam być zupełnie ślepa, a ona nie jest jedyna – dodała Kainene. – Pieprzy je, zanim da im raka, którego ja zdobywam, tyrając jak osioł!

Później Ugwu widział Kainene, jak oparłszy ręce na piersiach ojca Marcela, krzyczała mu w twarz i popychała go z taką siłą, że Ugwu bał się, iż człowiek ten zaraz upadnie.

– Amosu! Ty diable! – A potem zwróciła się do ojca Jude: – Byłeś tu i pozwalasz mi rozkładać nogi głodujących dziewczynek, jak mogłeś? Jak zdasz z tego sprawę przed swoim Bogiem? Obaj wynoście się stąd, natychmiast. Sama poinformuję o tym Ojukwu, jeśli będę musiała!

Po twarzy spływały jej łzy. W tej jej wściekłości było coś wspaniałego. Po odejściu księży Ugwu zajął się swoimi nowymi obowiązkami – rozdawał

garri, interweniował w bójkach, nadzorował wypalone i podupadłe gospodarstwa, ale czuł się niegodny zaufania, którym go obdarzono, czuł się jak człowiek zhańbiony. Zastanawiał się, co by powiedziała Kainene, co by z nim zrobiła, co by o nim pomyślała, gdyby kiedykolwiek się dowiedziała o tamtej dziewczynie w barze. Znienawidziłaby go. I Olanna też. A także Eberechi.

Wieczorami słuchał rozmów, zapisując w głowie to, co później miał przełać na papier. Głównie mówiły Kainene i Olanna, jakby stworzyły własny świat, do którego jego pan i pan Richard mieli ograniczony wstęp. Czasami przychodził Harrison i siadał przy Ugwu, lecz niewiele doń mówił, jakby jego osoba intrygowała go, ale też budziła w nim szacunek.

Ugwu nie był już tylko tym Ugwu z przeszłości, był jednym z „naszych chłopców”, walczył za sprawę. Co noc świecił olśniewająco biały księżyc, raz na jakiś czas nocny wiatr przynosił pohukiwanie sowy i falujące głosy z obozu dla uchodźców. Dzisiaj spała na macie przykryta chustą Olanny, żeby nie zjadły jej komary. Kiedy słyszeli w oddali warkot samolotów z pomocą humanitarną, zupełnie odmienny od pośpiechu nisko lecących bombowców, Kainene mówiła: „Mam nadzieję, że tym razem uda im się wylądować”. Olanna odpowiadała na to z lekkim śmiechem: „Będziemy musieli następną zupełnie ugotować ze sztokfiszem”.

Kiedy słuchali Radia Biafra, Ugwu wstawał i odchodził. Nie interesował go ten nędzny teatrzyk wojennych doniesień ani głos wciskający w gardła ludzi kęsy wydumanej nadziei. Pewnego popołudnia pod tulipanowiec przyszedł Harrison, niosąc odbiornik głośno nastawiony na Radio Biafra.

– Wyłącz to, proszę – powiedział Ugwu. Obserwował małych chłopców bawiących się na pobliskim skrawku trawy. – Chcę słuchać ptaków.

– Przecież żadne ptaki nie śpiewają – odparł Harrison.

– Wyłącz to.

– Właśnie ma przemawiać Jego Ekscelencja.

– Albo to wyłącz, albo zabierz stąd.

– Nie chcesz słuchać Jego Ekscelencji?

– Mba, nie.

Harrison wlepił w niego wzrok.

– To będzie wspaniałe przemówienie.

– Nie ma czegoś takiego jak wspaniałość – odrzekł Ugwu.

Harrison oddalił się najwyraźniej urażony, a Ugwu nawet za nim nie zawołał, tylko powrócił do obserwowania dzieci. Biegały ospale po wypalanej trawie, trzymając w rękach patyki służące im za karabiny, naśladując dźwięki

wystrzałów, wzbijając chmury kurzu, goniąc jedno za drugim. Nawet kurz wydawał się ospały. Bawiły się w wojnę. Czterej chłopcy. Wczoraj było ich pięciu. Ugwu nie pamiętał imienia piątego – to był Chidiebele czy Chidiebube? – ale pamiętał, jak ostatnio wyglądał jego brzuch, jakby chłopczyk połknął dużą piłkę, i jak włosy wychodziły chłopcu całymi garściami, jak skóra mu pojaśniała, przechodząc od koloru mahoni w niezdrową żółć. Pozostałe dzieci często się z niego naśmiewały. Wołali na niego Afo mmiii ukwa, Brzuch Chlebowca. W pewnym momencie Ugwu chciał poprosić ich, żeby przestali tak się zachowywać, i wyjaśnić im, co to jest kwashiorkor – może nawet mógłby przeczytać im opis tej choroby własnoręcznie sporządzony na papierze. Jednak zrezygnował z tego pomysłu. Nie było potrzeby przygotowywać ich na coś, co jego zdaniem z pewnością ich nie ominie. Ugwu nie przypominał sobie, żeby podczas zabaw ten chłopiec kiedykolwiek grał rolę jakiegoś biafrańskiego oficera, na przykład Jego Ekscelencji czy Achuziego, zawsze był Nigeryjczykiem, Gowonem albo Adekunlem, a to oznaczało, że zawsze musiał zostać pokonany i na końcu zabawy padał na ziemię, udając zabitego. Czasami Ugwu zastanawiał się, czy temu dziecku wręcz się to nie podoba, bo dzięki temu ma okazję odpocząć, leżąc w trawie.

Chłopiec i jego rodzina pochodzili z Oguty, była to jedna z tych rodzin, które nie wierzyły w możliwość upadku swojej miejscowości. Kiedy tu przyjechali, jego matka patrzyła z wyższością, jakby rzucała wyzwanie wszystkim, którzy tylko spróbowaliby jej powiedzieć, że nie śni i że wkrótce nie obudzi się z tego koszmaru. W wieczór ich przyjazdu dźwięk artylerii przeciwlotniczej odezwał się w obozie dla uchodźców tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Kobieta wybiegła na dwór i jakoś nieporadnie chwyciła w objęcia chłopca, swe jedyne dziecko. Inne kobiety zaczęły bezpardonowo nią potrząsać, a nad ich głowami wzmagął się ryk lecących samolotów. „Uciekaj do schronu! Oszałałaś! Uciekaj do schronu!”

Kobieta nie posłuchała ich, tylko stała w miejscu, trzymając syna i dygocząc. Ugwu do dziś nie wiedział, dlaczego wówczas tak się zachował. Może dlatego, że Olanna już wcześniej zdążyła chwycić Dzidię na ręce i pobiegła, dzięki czemu miał wolne ręce. Po prostu podskoczył do chłopczyka, wyrwał go z objęć matki i rzucił się do biegu. Wówczas chłopczyk był jeszcze ciężki, wciąż jeszcze trochę ważył; a jego matce nie pozostało nic innego, jak pobiec za nimi. Samoloty zaczęły ostrzał z powietrza i pierwsza kula przeleciała tuż obok Ugwu, zanim zdążył wepchnąć dziecko do schronu; bardziej wyczuł, niż zobaczył tę zjadliwość rozgrzanego metalu.

Dopiero w schronie, kiedy bawił się wilgotną glebą rojącą się od świerszczy i mrówek, chłopczyk powiedział Ugwu, jak ma na imię. Chidiebele albo Chidiebube, Ugwu nie pamiętał już dokładnie. Ale na pewno jakieś Chidiei coś tam dalej. Może Chidiebele, popularniejsze imię. Teraz to imię brzmiało ironicznie. Chidiebele: „Bóg jest miłosierny”.

Kiedy czterej chłopcy skończyli zabawę w wojnę i weszli do domu, Ugwu usłyszał cienkie zduszone zawodzenie dochodzące z klasy położonej na końcu budynku. Wiedział, że niedługo wyjdzie ciocia tego dziecka i mężnie oświadczy znajdującym się w pobliżu ludziom, że jego matka rzuci się na ziemię i będzie tarzać się i krzyczeć, aż zupełnie straci głos, a potem chwyci za brzytwę i pozostawi skórę na swojej głowie nagą i krwawiącą.

Włożył podkoszulek i ruszył zaofiarować swoją pomoc przy kopaniu małego grobu.

Richard usiadł przy Kainene i głaskał jej ramię, a ona śmiała z czegoś, co mówiła Olanna. Uwielbiał patrzeć na jej wydłużającą się szyję, kiedy śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu. Uwielbiał wieczory spędzane wspólnie z nią, Olanną i Odenigbem; przypominały mu o tonącym w półmroku salonie Odenigba w Nsuce, o smakowaniu piwa na przesiąkniętym papryką języku. Kainene sięgnęła po glazurowany talerz z prażonymi świerszczami, najnowszą specjalnością Harrisona, który najwyraźniej wiedział, gdzie należy kopać w suchej glebie, żeby je znaleźć, i jak łamać je na mniejsze części po upieczeniu, żeby nieco dłużej przetrwały. Kainene włożyła kawałek do ust. Richard wziął dwa kawałki i chrupał je powoli. W zapadających ciemnościach rysowały się ciche szare kontury nerkowców. Nad wszystkim zawisł delikatny тумan kurzu.

– Richardzie, co twoim zdaniem wpłynęło na sukces białego człowieka w Afryce? – zapytał Odenigbo.

– Sukces? – Odenigbo czasami działał mu na nerwy, potrafił przez dłuższy czas rozmyślać, a potem niespodziewanie rzucać jakieś pytanie czy coś mówić.

– Tak, sukces. Myślę po angielsku – odrzekł Odenigbo.

– Być może najpierw należałoby się zastanowić, dlaczego czarnemu człowiekowi nie udało się powstrzymać misji białych – odezwała się Kainene.

– A skąd się wziął rasizm na świecie? – spytał Odenigbo.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz – powiedziała Kainene.

– To biały człowiek wprowadził rasizm na świecie. Rasizm stanowił podstawę jego podbojów. Zawsze łatwiej podbijać bardziej ludzki naród.

– Czyli jeśli uda nam się podbić Nigerię, będziemy mniej ludzcy? – spytała Kainene.

Odenigbo nic na to nie odpowiedział. Coś zaszeleściło w pobliżu nerkowców i Harrison rzucił się w tamtą stronę, żeby zobaczyć, czy to przypadkiem nie wyszedł z buszu szczur, którego mógłby złapać.

– Inatimi dał mi kilka nigeryjskich monet – rzekła w końcu Kainene. – Chy-

ba wiecie, że ludzie z Biafrańskiej Organizacji Bojowników o Wolność mają sporo nigeryjskich pieniędzy. Zamierzam wybrać się do miejscowości Ninth Mile i zobaczyć, co mogłabym tam kupić, a może nawet uda mi się sprzedać trochę z tych rzeczy, które nasi ludzie robią tu, w obozie.

– To jest prowadzenie handlu z wrogiem – odezwał się Odenigbo.

– To jest prowadzenie handlu z niepiśmienną nigeryjską kobietą, która dysponuje tym, co nam jest potrzebne.

– Kainene, to niebezpieczne – powiedział Odenigbo. Richard był zaskoczony spokojnym tonem jego głosu.

– W tym sektorze nikogo nie ma – rzekła Olanna. – Nasi handlują tam bez żadnych ograniczeń.

– Ty też się wybierasz? – Zaskoczony Odenigbo podniósł głos, patrząc na Olanę.

– Nie. A przynajmniej nie jutro. Może następnym razem wybiorę się z Kainene.

– Jutro? – Teraz przyszła kolej na Richarda, żeby okazać zaskoczenie. Kainene wspomniała mu o zamiarze handlowania za liniami nieprzyjaciela, ale nie wiedział, że już postanowiła, kiedy się tam wybierze.

– Tak, Kainene wybiera się jutro – odparła Olanna.

– Zgadza się – potwierdziła Kainene. – Ale nie słuchajcie Olanny, ona nigdy ze mną nie pojedzie. Zawsze strasznie się bała uczciwego wolnego rynku. – Kainene roześmiała się, a Olanna zawtórowała jej i klepnęła ją w ramię. Richard dostrzegł podobieństwo w linii ich ust, w kształcie nieco większych przednich zębów.

– Czy drogi do Ninth Mile nie okupują od czasu do czasu nieprzyjacielskie wojska? – spytał Odenigbo. – Wydaje mi się, że raczej nie powinnaś tam się wybierać.

– To już postanowione. Wyruszę z Inatimim jutro wczesnym rankiem i przed wieczorem wrócimy – odparła Kainene tym swoim tak dobrze znanym Richardowi stanowczym tonem. Nie sprzeciwiał się tej podróży, znał bowiem wielu ludzi, którzy zajmowali się tym, co ona zamierzała zrobić.

Tej nocy śnił, że wróciła z koszykiem pełnym kurczaków gotowanych w ziołach, pikantnego ryżu jollof, zupy gęstej od lyb, nic dziwnego więc, że był zirytowany, kiedy obudziły go podniesione głosy tuż za ich oknem. Z niechęcią zegnął się ze swoim snem. Również Kainene wstała i razem pospieszyli na dwór, Kainene w chuście zawiązanej na piersiach, a on w krótkich spodniach. Dopiero świtało. Światło było bardzo słabe. Grupa ludzi z obozu dla

uchodźców biła i kopała jakiegoś młodzieńca, który leżał skulony na ziemi z rękami na głowie, starając się osłonić ją przed uderzeniami. Jego spodnie ziały plamami dziur, kołnierz był prawie zupełnie oderwany, ale na rozdartym rękawie wciąż trzymała się połówka żółtego słońca.

– Co tu się dzieje? – zapytała Kainene. – Co się dzieje?

Zanim ktoś zdążył się odezwać, Richard domyślił się prawdy. Żołnierz kradł w gospodarstwie. Wszędzie się to teraz zdarzało, napadano na gospodarstwa nocami, zabierano zboże, w którym ziarna jeszcze się nie uformowały w kłosach, i niedojrzałe jamsy nie większe od bulw kolokazji.

– Widzisz, dlaczego nic, co sadzimy, nie daje owoców? – odezwała się kobieta, której dziecko zmarło tydzień wcześniej. Nad nisko zawiązaną chustą widać było szczyty jej obwisłych piersi. – Przychodzą tacy złodzieje jak on i zbierają wszystko, a my umieramy z głodu.

– Przestańcie! – powiedziała Kainene. – Natychmiast przestańcie! Zostawcie go!

– Kazesz nam puścić złodzieja? Jeśli dzisiaj puścimy jednego, jutro przyjdzie tu dziesięciu.

– On nie jest złodziejem – rzekła Kainene. – Słyszycie? On nie jest złodziejem. Jest głodnym żołnierzem.

Tłum zamarł zgaszony autorytetem jej cichego głosu. Powoli, powłócząc nogami, ludzie zaczęli odchodzić. Żołnierz wstał i zaczął się otrzepywać.

– Wróciłeś z frontu? – zapytała Kainene.

Skinął głową. Wyglądał na jakieś osiemnaście lat. Po obu stronach czoła widniały dwa zaognione guzy, z nosa sączyła mu się krew.

– Uciekłeś? I na-agba oso? Zdezerterowałeś? – spytała Kainene.

Nic nie odpowiedział.

– Chodź. Chodź i zjedz trochę garri, zanim pójdziesz dalej – powiedziała.

Poszedł za nią, przykładając dłoń do podpuchniętego lewego oka, z którego wypęzły łzy. Nic nie mówił, jedynie przed odejściem wymamrotał: „Dalu”, dziękując, ściskając w garści mały woreczek z garri. Kainene w milczeniu ubierała się, przygotowując się do spotkania z Inatimim w obozie.

– Wcześniej wyjeżdżasz, prawda, Richardzie? – zapytała. – Ci ważniacy mogą być dzisiaj w biurze tylko przez pół godziny.

– Wyjadę w ciągu godziny. – Wybierał się do Ahiaiy, gdzie chciał spróbować załatwić jakieś zaopatrzenie z centrum pomocy humanitarnej.

– Powiedz im, że umieram i jeśli mam pozostać przy życiu, rozpaczliwie potrzebujemy mleko i wołowinę peklowaną w puszkach – powiedziała. W jej

słowach pobrzmiwała nutka goryczy.

– Powiem – odparł. – Szczęśliwej drogi. Ije oma. Wróc z dużą ilością garri i soli.

Pocałowali się, ich usta zwały się jeszcze na krótką chwilę, zanim Kainene wyszła. Wiedział, że zdenerwował ją widok tego żalostnego młodego żołnierza, i zdawał też sobie sprawę, że jej zdaniem przyczyną marnych zbiorów nie jest ten młody żołnierz. Marniały, bo ziemia była nieurodzajna, harmattan surowy, nie było nawozu i nie było co sadzić, a gdy już udało się jej zdobyć nasiona jamsu, ludzie zjadali połowę przed zasadzeniem. Tak bardzo chciałby móc wyciągnąć rękę i odwrócić nieboskłon, żeby natychmiast dać Biafrze zwycięstwo! Dla niej.

Nie było jej, kiedy wieczorem wrócił z Ahiary. W salonie unosił się docierający z kuchni zapach odbarwionego oleju palmowego, a Dzidzia leżała na macie i przeglądała strony książki „Eze idzie do szkoły”.

– Weź mnie na barana, wujku Richardzie – zawołała, biegnąc w jego stronę. Richard udał, że próbuje ją podnieść, i upadł na fotel.

– Jesteś już bardzo duża. Za ciężka, żeby cię nosić.

– Nie!

Olanna stała obok kuchni i patrzyła na nich.

– Dzidzia zmądrzała od początku wojny, ale nie urosła.

Richard uśmiechnął się.

– Wiedza jest ważniejsza od wzrostu – powiedział, na co i ona się uśmiechnęła. Uzmysłował sobie, jak niewiele ze sobą rozmawiają, jak bardzo starają się nie spotykać sam na sam.

– Nie udało ci się w Ahiarze? – spytała Olanna.

– Nie. Wszędzie próbowałem. Punkty z pomocą humanitarną są puste. Wiedziałem dorosłego mężczyznę, który siedział na ziemi przed jednym z budynków i ssał własny kciuk.

– A co z tymi ludźmi, których znasz w zarządach?

– Mówią, że nic nie mają i że obecnie musimy położyć nacisk na samowystarczalność i własne uprawy.

– Niby co mamy uprawiać? I jak mamy wyżywić miliony ludzi na tak małym terenie, jaki nam pozostał?

Richard spojrział na nią. Każdą nawet najmniejszą krytykę wobec Biafry przyjmował z przykrością. Troski zagnieździły się w zakamarkach jego umysłu już po upadku Umuahii, ale nie wyrażał ich na głos.

– Czy Kainene jest na terenie obozu? – zapytał.

Olanna otarła brew.

– Chyba tak. Powinni byli już wrócić z Inatimim.

Richard wyszedł na dwór pobawić się z Dzidzią. Wziął ją na barana, żeby mogła sięgnąć do liścia nerkowca nad głową. Później postawił ją na ziemi, myśląc, że jak na sześciolatkę jest bardzo drobna i lekka. Narysował linie na ziemi i polecił jej zebrać kilka kamyków, a potem próbował nauczyć ją gry w nchokolo. Patrzył, jak wyjmowała z puszek i układała kawałki poszarpanego metalu: swoją kolekcję szrapneli. Godzinę później Kainene nadal nie było. Richard zabrał Dzidzię i poszli do obozu. Kainene nie siedziała na stopniach przed Miejscem Bez Powrotu, jak czasami robiła. Nie było jej w izbie chorych. Nie było jej w żadnej klasie. Richard dostrzegł Ugwu pod tulipanowcem, gdzie coś pisał na kawałku papieru.

– Ciocia Kainene jeszcze nie wróciła – odezwał się Ugwu, zanim Richard zdążył zapytać.

– Jesteś pewien, że nie wróciła i gdzieś nie poszła?

– Jestem pewien, sah. Ale oczekuję jej powrotu lada chwila.

Richard był zaskoczony formalną precyzją, z jaką Ugwu użył sformułowania „oczekuję”; podziwiał ambicję Ugwu oraz to, że ostatnio gryzmolił na każdym znalezionym skrawku papieru. Raz nawet szukał w miejscu, gdzie Ugwu mógł zostawić kilka kartek, chcąc rzucić na nie okiem, jednak niczego nie znalazł. Pewnie Ugwu nosił je wszystkie głęboko schowane w swoich krótkich spodenkach.

– Co piszesz? – zapytał.

– Takie tam drobiazgi, sah – odparł Ugwu.

– Zostanę z Ugwu – odezwała się Dzidzia.

– Dobrze, Dzidziu. – Richard wiedział, że mała zaraz pomknie do klas, żeby znaleźć jakieś dzieci i wyruszyć na polowanie na jaszczurki i świerszcze. Albo odszuka samozwańczego członka straży ochotniczej, noszącego sztylet przy pasie, i zapyta, czy pozwoli jej potrzymać ten nóż. Richard poszedł z powrotem do domu. Odenigbo właśnie wrócił z pracy i w jasnym wieczornym słońcu Richard zauważył, że przez poprzecieraną koszulę widać kręcone włosy na jego piersiach.

– Czy Kainene wróciła? – zapytał Odenigbo.

– Jeszcze nie.

Odenigbo rzucił mu przeciągłe oskarżycielskie spojrzenie, zanim poszedł się przebrać. Wrócił zawinięty w chustę przerzuconą przez ciało i związaną na karku i wraz z Richardem usiedli w salonie. W radiu Jego Ekscelencja

ogłaszał, że wybiera się za granicę w poszukiwaniu pokoju.

Zgodnie z moimi częstymi deklaracjami, że jestem gotów osobiście udać się wszędzie, gdzie tylko będzie trzeba, w celu zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa mojemu narodowi, wyjeżdżam teraz z Biafry, aby zająć się...

Słońce już zachodziło, kiedy do domu przyszedł Ugwu z Dzidzią.

– Właśnie umarło małe dziecko, Nneka, a jego matka nie chce się zgodzić, żeby zabrano ciało i pochowano – odezwał się Ugwu, kiedy się z nimi przywitał.

– Jest tam Kainene? – spytał Richard.

– Nie – odparł Ugwu.

Odenigbo wraz z Richardem podnieśli się i razem poszli do obozu dla uchodźców. Nic do siebie nie mówili. Z jednej z klas dochodziło zawodzenie kobiety. Kiedy się rozpytywali wśród ludzi, wszyscy udzielali tej samej odpowiedzi: Kainene wczesnym rankiem wyjechała z Inatimim. Mówiła, że wybiera się na afia attack, handel za liniami nieprzyjaciela, i że wróci późnym popołudniem.

Minął dzień, a potem drugi. Wszystko pozostawało bez zmian: suchość w powietrzu, niosące kurz wiatry, uchodźcy próbujący uprawiać wysuszoną glebę, a Kainene nie wracała. Richard miał wrażenie, że toczy się przez jakiś tunel, czuł, jak z każdą godziną odsysana jest jego masa. Odenigbo powiedział mu, że najprawdopodobniej sytuacja po drugiej stronie zatrzymała Kainene, która teraz czeka, aż wojska barbarzyńców przesuną się, żeby mogła wrócić do domu. Olanna mówiła, że często zdarzało się to kobietom chodzącym na afia attack. Ale w oczach Olanny czaił się skrywany strach. Nawet Odenigbo sprawiał wrażenie przerażonego, mówiąc, że nie pójdzie z nimi na poszukiwanie Kainene, bo wie, że ona wróci do domu, jakby obawiał się tego, co mogą odkryć. Olanna siedziała obok Richarda, kiedy wybrali się jego samochodem do Ninth Mile. Jechali w milczeniu, lecz kiedy przystawał, by zapytać ludzi przy drodze, czy widzieli kogoś przypominającego Kainene, Olanna mówiła „O tolu ugo, de ezigbo oji”, jakby powtórzenie tego, co Richard już wcześniej powiedział, że Kainene jest osobą wysoką, bardzo ciemną, mogło lepiej pobudzić pamięć ludzi. Richard pokazywał im zdjęcie Kainene. Czasami w pośpiechu zamiast jej fotografii wyciągał zdjęcie dzbana oplecionego sznurami. Nikt jej nie widział. Nikt nie widział samochodu przypomina-

jącego auto Inatimiego. Pytali nawet białych żołnierzy, którzy powiedzieli im, że nie mogą jechać dalej, bo drogi są zajęte przez nieprzyjaciela. Żołnierze tylko pokręcili przecząco głowami i odparli, że jej nie widzieli. W drodze powrotnej Richard zaczął płakać.

– Przestań płakać – warknęła na niego Olanna. – Kainene po prostu utknęła po drugiej stronie na kilka dni.

Łzy przesłoniły Richardowi wzrok. Zjechał z drogi i samochód zazgrzytał, wjeżdżając w gęste zarośla buszu.

– Stój! Stój! – krzyknęła Olanna.

Zatrzymał samochód, a ona wzięła od niego kluczyki, obeszła auto i otworzyła drzwi po jego stronie. Prowadząc samochód w drodze do domu, przez cały czas coś sobie nuciła pod nosem.

Olanna najdelikatniej, jak potrafiła, rozczesywała włosy Dzidzi drewnianym grzebieniem, ale i tak na zębach pozostał wielki kołtun. Ugwu siedział na ławce i coś pisał. Minął już tydzień, a Kainene nie wróciła. Tego dnia harmattan wiał nieco słabiej, nie zamiatał nerkowcami, lecz wzbijał tumany piasku i wszędzie powietrze było gęste od pyłu oraz plotek, że Jego Ekscelencja nie wyjechał w poszukiwaniu pokoju, tylko czmychnął z kraju. Olanna była przekonana, że to niemożliwe. Wierzyła, równie mocno i równie skiycie, jak wierzyła w szybki powrót Kainene, że podróż Jego Ekscelencji zakończy się sukcesem. Wróci z podpisanym dokumentem proklamującym zakończenie wojny, proklamującym wolną Biaffę. Przywiezie i sprawiedliwość, i sól.

Zaczesała włosy Dzidzi, ale znowu kilka wypadło. Trzymała cienkie kosmyki w dłoni, spłowiałe od słońca, żółtobrazowe, w niczym nie przypominające naturalnego kruczoczarne koloru włosów małej. Przerazało ją to. Kilka tygodni temu Kainene powiedziała jej, że wypadające włosy Dzidzi w wieku zaledwie sześciu lat to oznaka wyjątkowej mądrości, a potem poszła szukać kolejnych tabletek z proteinami dla niej. Ugwu podniósł wzrok znad swojej pisaniny.

– Może nie powinna pani zaplatać jej włosów.

– Tak. Może faktycznie z tego powodu wypadają, za często są splatane.

– Mnie nie wypadają włosy! – powiedziała Dzidzia i poklepała się po głowie.

Olanna odłożyła grzebień.

– Ciągle myślę o włosach na tej dziecięcej główce, którą widziałam w pociągu, były bardzo gęste. Jej matka musiała nieźle się napracować, żeby je zapleść.

– Jak były zaplecione? – zapytał Ugwu.

W pierwszym momencie pytanie zaskoczyło Olanę, a chwilę później uzmysłowiła sobie, że dokładnie pamięta, jak były zaplecione, i zaczęła mówić o fryzurze, wspominać, jak niektóre z warkoczyków opadały na czoło. A potem opisała samą głowę, otwarte oczy, poszarzałą skórę. Kiedy mówiła,

Ugwu przez cały czas notował i to oraz szczerść jego zainteresowania nagle spowodowały, że jej opowieść nabrała znaczenia, jakby miała posłużyć jakiemuś wyższemu celowi, którego nawet ona nie była w stanie określić. Opowiedziała mu więc wszystko, co pamiętała o pociągu pełnym ludzi, którzy płakali, krzyczeli i oddawali mocz pod siebie.

Wciąż jeszcze mówiła, kiedy wrócili Odenigbo i Richard. Szli na piechotę, choć wczesnym rankiem wyjechali peugeotem do szpitala w Ahiarze na poszukiwanie Kainene.

Olanna zerwała się na ich widok.

– I co?

– Nic – odrzekł Richard i wszedł do domu.

– A gdzie samochód? Żołnierze go zabrali?

– Po drodze skończyła nam się benzyna. Załatwię benzynę i wrócę po niego – powiedział Odenigbo. Objął ją. – Widzieliśmy się z Madu. Jego zdaniem ona na pewno wciąż jest po drugiej stronie. Barbarzyńcy zamknęli drogę, którą przeszła, i teraz musi czekać, aż otworzy się jakaś nowa możliwość przejścia z powrotem. Często tak się dzieje.

– Tak, oczywiście. – Olanna wzięła grzebień i zabrała się za rozplątywanie własnych potarganych włosów. Odenigbo przypomniał jej, że powinna się cieszyć, iż nie znaleźli Kainene w szpitalu. To oznaczało, że nic jej się nie stało, po prostu jest po nigeryjskiej stronie. A jednak wolałaby, żeby jej o tym nie przypominał. Kiedy po kilku dniach uparła się, żeby sprawdzić w kostnicy, powtórzył te same słowa: że Kainene musi być bezpieczna po drugiej stronie.

– Sama pojedę – powiedziała. Madu przesłał im trochę garri i cukru, a także nieco paliwa. Postanowiła, że sama może prowadzić.

– Ale to nie ma sensu – stwierdził Odenigbo.

– Nie ma sensu? Nie ma sensu szukać ciała mojej siostry?

– Twoja siostra żyje. Nie ma żadnego ciała.

– Tak, o Boże.

Odwróciła się, by odejść.

– Olanno, nawet jeśli ją zastrzelili, nie dostarczyli jej do kostnicy w środku Biafry – powiedział Odenigbo i chociaż wiedziała, że ma rację, natychmiast znienawidziła go, że to powiedział i że mówił do niej „Olanno”, a nie „nkem”.

Sama pojechała do cuchnącego budynku kostnicy, gdzie na dworze leżał stos ciał po ostatnim bombardowaniu puchnących w gorącym słońcu. Tłum ludzi błagał, żeby ich wpuszczono i pozwolono szukać.

- Proszę, mój ojciec zaginał po bombardowaniu...
- Proszę, nie mogę znaleźć córeczki...

Po oglądnięciu przyniesionej przez Olanę kartki od Madu dozorca uśmiechnął się i pozwolił jej wejść. Olanna uparła się, żeby zajrzeć w twarze wszystkich kobiecych ciał, nawet tych, o których dozorca mówił, że są za stare, a potem stanęła przy drodze i wymiotowała. „Jeśli słońce nie zechce wstać, zmusimy je, żeby wstało.” Przyszedł jej na myśl tytuł wiersza Okeomy. Nie pamiętała dalszej części, było tam coś o układaniu glinianego garnka na kolejnym glinianym garnku i utworzeniu w ten sposób drabiny sięgającej nieba. Kiedy wróciła do domu, Odenigbo rozmawiał z Dzidzią. Richard siedział i gapił się przed siebie. Nie zapytali, czy znalazła ciało Kainene. Ugwu zwrócił jej uwagę na wielką plamę w kolorze oleju palmowego na sukience, mówiąc cichym głosem, jakby wiedział, że to pozostałość po wymiotowaniu. Harrison poinformował ją, że nie mają nic do jedzenia, a ona wlepiła w niego wzrok w osłupieniu, bo przecież Kainene zawsze wszystkim się zajmowała, to ona wiedziała, co należy zrobić.

- Powinnaś się położyć, nkem – rzekł Odenigbo.
- Czy pamiętasz słowa wiersza Okeomy o zmuszaniu słońca, żeby wstało, jeśli samo nie będzie chciało? – zapytała.
- Gliniane garnki wypalane w żarze entuzjazmu chłodzić nam będą stopy podczas wspinaczki – powiedział.
- Tak, tak.
- To był mój ulubiony wers. Reszty nie pamiętam.

Na podwórze wbiegła kobieta z obozu dla uchodźców, krzycząc i wymachując zieloną gałęzią. Ta zieleń wyglądała wspaniale, aż bila od niej wilgoć. Olanna zastanawiała się, skąd kobieta może ją mieć; wszystkie okoliczne rośliny i drzewa były wypalone, obnażone podmuchami wiatrów niosących kurz. Ziemia była pożółkła i niezdrowa.

- Koniec! – krzyczała kobieta. – Skończyło się!
- Odenigbo szybko włączył radio, jakby spodziewał się nadejścia tej kobiety z wiadomościami. Usłyszeli nieznany męski głos.

W całej historii ludzie skrzywdzeni chwyтали w obronie własnej za broń, kiedy pokojowe negocjacje zawodziły. Nie jesteśmy tu wyjątkiem. Chwyciliśmy za broń w obliczu zagrożenia wywołanego w naszym narodzie przez masakry, do jakich doszło. Walczyliśmy w obronie naszej sprawy.

Olanna usiadła; podobała się jej szczerść, mocno akcentowane samogłoski i cicha pewność siebie głosu płynącego z radia. Dzidzia zapytała Odenigba, dlaczego ta pani z obozu tak krzyczy. Richard wstał i podszedł do radia. Odenigbo pogłośnił odbiornik. Kobieta z obozu dla uchodźców powiedziała: „Podobno nadchodzą barbarzyńcy z trzciniami, którymi zamierzają porachować kości cywilom. Idziemy do buszu”, po czym odwróciła się i pobiegła z powrotem do obozu.

Korzystając z okazji, chciałbym pogratulować oficerom i członkom naszych sił zbrojnych za ich waleczność i męstwo, które zaskarbiły im podziw całego świata. Dziękuję ludności cywilnej za jej niezłomność i odwagę w obliczu przytłaczających przeciwności i głodu. Jestem przekonany, że te cierpienia naszego narodu muszą zostać natychmiast zakończone. Dlatego też wydałem rozkaz uporządkowanego wycofania się naszych wojsk. W imieniu ludzkości wzywam generała Gowona, by wydał swoim wojskom rozkaz przewartościowania działań na okres negocjacji w sprawie zawieszenia broni.

Olanna była oszołomiona z niedowierzania po wysłuchaniu radiowego orędzia. Usiadła.

– Co teraz, mah? – zapytał Ugwu z kamiennym wyrazem twarzy.

Odwróciła wzrok i spojrzała na pokryty kurzem nerkowiec, na niebo opadające przed nią ku ziemi bezchmurną ścianą.

– Teraz mogę pójść poszukać mojej siostry – powiedziała cicho.

Minął tydzień. Do obozu dla uchodźców przyjechała furgonetka Czerwonego Krzyża i dwie kobiety rozdawały kubki mleka. Wiele rodzin opuściło obóz, żeby szukać krewnych albo ukryć się w buszu przed nigeryjskimi żołnierzami, którzy nadchodzili z trzciniami. Ale kiedy Olanna pierwszy raz zobaczyła nigeryjskich żołnierzy na drodze, nie mieli ze sobą trzcin. Chodzili tam i z powrotem, głośno rozmawiali w języku joruba, śmiali się i machali do wiejskich dziewczyn. „Chodź, wyjdź za mnie, dam ci ryż i fasolę”. Olanna przyłączyła się do obserwującego ich tłumu. Ich odprasowane i doskonale dopasowane mundury, wypolerowane czarne buty, pewne siebie oczy napełniły ją pustką, jaką czuje człowiek obrabowany. Zablokowali drogę i zawracali samochody. Jeszcze nie wolno swobodnie jeździć. Nie wolno jeździć. Odenigbo chciałjechać do Abby, zobaczyć, gdzie leży jego matka, i codziennie wychodził na główną drogę sprawdzić, czy nigeryjscy żołnierze już przepuszczają samo-

chody.

– Powinniśmy się spakować – powiedział Olannie. – Za dzień lub dwa drogi zostaną otwarte. Wyjedziemy wcześniej, żebyśmy mogli zatrzymać się w Abbie, a potem przed zmrokiem dotrzeć do Nsukki.

Olanna nie chciała się pakować – i tak nie było wiele do spakowania – i nigdzie nie chciała się ruszać.

– A co będzie, jeśli Kainene wróci? – zapytała.

– Nkem, Kainene z łatwością nas znajdzie.

Patrzyła za nim, kiedy wyjeżdżał. Jemu łatwo było powiedzieć, że Kainene ich znajdzie. Skąd to wiedział? Skąd mógł wiedzieć, że nie jest na przykład ranna i nie zdoła pokonać tak dużej odległości? Może słaniając się, dotrze tu, sądząc, że na nią czekają i zajmą się nią, a zastanie tylko opustoszały dom?

Na podwórzu wszedł jakiś mężczyzna. Olanna wpatrywała się w niego przez chwilę, a kiedy rozpoznała w nim swojego kuzyna Odinceza, krzyknęła i podbiegła do niego, objęła go na moment, a potem cofnęła się, żeby mu się przyjrzeć. Ostatni raz widziała go na swoim ślubie, był tam razem ze swoim bratem, obaj ubrani w mundury straży ochotniczej.

– Co z Ekenem? – zapytała z przestraczeniem w głosie. – Ekene kwanu?

– Jest w Umunnachi. Przyjechałem tu, jak tylko się dowiedziałem, gdzie jesteś. Jadę do Okiji. Podobno jest tam jakaś rodzina naszej matki.

Olanna zaprowadziła go do domu i przyniosła mu kubek wody.

– Jak wam się żyło, kuzynie?

– Jakoś nie umarliśmy – odparł.

Olanna usiadła przy nim i chwyciła go za rękę; dłonie pokryte miał białymi nabrzmiałymi zgrubieniami.

– Jak sobie radziłeś po drodze z nigeryjskimi żołnierzami?

– Nie miałem z nimi kłopotu. Mówiłem do nich w języku hausa. Jeden z nich przyniósł zdjęcie Ojukwu i kazał mi na nie nasikać, więc to zrobiłem. – Odincezo uśmiechnął się jakimś zmęczonym, łagodnym uśmiechem, tak bardzo przypominając w tym momencie ciocię Ifekę, że Olannie oczy zasły łzami.

– Nie, Olanno, nie – powiedział i objął ją. – Kainene wróci. Jedna kobieta z Umudioki poszła na afia attack i kiedy barbarzyńcy zajęli ten sektor, została odcięta na cztery miesiące. Dopiero wczoraj wróciła do rodziny. – Olanna pokręciła głową, ale nie powiedziała mu, że nie płacze za Kainene, a przynajmniej nie tylko za Kainene. Otarła łzy z oczu. Przez chwilę obejmował ją i z nim wstał, wcisnął jej w dłoń banknot pięćdziesięciofuntowy. – Puść mnie – powie-

dział. – Czeka mnie długa droga.

Olanna wpatrywała się w pieniądze. Zupełnie zaskoczyła ją ich magiczna czerwona świeżość.

– Odinchezo! To za dużo!

– Niektórzy z nas w rejonie Biafry Dwa mieli nigeryjskie pieniądze i mogliśmy handlować z nimi, chociaż byliśmy w straży ochotniczej – rzekł Odinchezo, wzruszając ramionami. – A ty przecież nie masz nigeryjskich pieniędzy, prawda?

Pokręciła przecząco głową, nigdy nawet nie widziała nowych nigeryjskich pieniędzy.

– Mam nadzieję, że plotki o tym, że rząd zamierza zająć wszystkie biafrańskie konta bankowe, okażą się nieprawdziwe.

Olanna wzruszyła ramionami. Nic o tym nie wiedziała. Docierające do niej wiadomości były zagmatwane i sprzeczne. Najpierw słyszeli, że wszyscy biafrańscy pracownicy uniwersytetów mają zgłosić się w Enugu w celu weryfikacji i uzyskania wojskowego zaświadczenia. Potem mieli się zgłosić w Lagos. Później zgłosić się mieli tylko ci, którzy służyli w biafrańskim wojsku.

Kiedy w końcu wybrała się z Dzidzią i Ugwu na targ, z otwartymi ustami patrzyła na ryż i fasolkę wystawione w misach, usypane na kształt gór, rozkosznie cuchnące ryby i przyciągające muchy zakrwawione kawałki mięsa. Wyglądały, jakby spadły tu z nieba, jakby były przepelnione jakiś cudem, nieomal perwersyjnym. Obserwowała biafrańskie kobiety, jak targują się i wydają resztę w nigeryjskich funtach, jakby przez całe życie posługiwały się taką walutą. Kupiła trochę ryżu i suszoną rybę. Nie chciała pozbywać się zbyt dużo pieniędzy, nie wiedziała przecież, co ją czeka.

Odenigbo wrócił do domu z wiadomością, że drogi są już otwarte.

– Wyjeżdżamy jutro.

Olanna poszła do sypialni i rozpłakała się. Dzidzia wgramoliła się obok niej na materac i objęła ją mocno.

– Mamusiu Ola, nie płacz, ebezi na – powiedziała, a ciepło rączki Dzidzi, tak kruchej i drobnej, jeszcze spotęgowało jej szloch. Dzidzia została przy niej, cały czas ją obejmując, dopóki Olanna nie przestała płakać i nie otarła łez.

Richard wyjechał jeszcze tego wieczoru.

– Zamierzam szukać Kainene w miejscowościach w okolicy Ninth Mile – oświadczył.

– Zaczekaj do rana – powiedziała Olanna.

Richard tylko pokręcił głową.

– Masz paliwo? – spytał Odenigbo.

– Jeśli będę na luzie zjeżdżał z górki, wystarczy, żeby dojechać do Ninth Mile.

Zanim wyjechał z Harrisonem, Olanna wręczyła mu trochę swoich nigeryjskich pieniędzy. A następnego dnia rano, kiedy już rzeczy mieli w samochodzie, pospiesznie napisała krótką wiadomość i zostawiła ją w salonie: „Ejima m, pojechaliśmy do Abby i Nsukki. Zajrzymy tu za tydzień. O.”. Chciała dodać: „Tęsknię” albo: „Mam nadzieję, że miałaś szczęśliwą podróż”, jednak postanowiła tego nie robić. Kainene tylko by się roześmiała i powiedziałaaby coś w stylu: „Nie pojechałam na wakacje, na miłość boską, zostałam odcięta na terytorium nieprzyjaciela”.

Wsiadła do samochodu i wlepiała wzrok w nerkowce.

– A ciocia Kainene przyjedzie do Nsukki? – zapytała Dzidzia.

Olanna odwróciła się i bacznie przyjrzała jej twarzy, szukając śladów jasnowidztwa, jakiegoś znaku świadczącego o tym, że Dzidzia coś wie o powrocie Kainene. W pierwszym momencie wydało się jej, że coś takiego dostrzegła, jednak już po chwili nie była tego tak pewna.

– Tak, kochanie – powiedziała. – Ciocia Kainene przyjedzie do Nsukki.

– Czy ona dalej handluje na afia attack?

– Tak.

Odenigbo uruchomił samochód. Zdjął okulary i zawinął je w kawałek szmatki. Słyszeli, że nigeryjscy żołnierze nie lubią ludzi przypominających intelektualistów.

– Widzisz na tyle dobrze, żeby prowadzić? – zapytała Olanna.

– Tak. – Obejrzał się jeszcze na Ugwu i Dzidzie, a potem ostrożnie wyprowadził samochód sprzed domu.

Po drodze minęli kilka posterunków z nigeryjskimi żołnierzami i za każdym razem kiedy wojskowi kazali im jechać dalej, Odenigbo mrucał coś pod nosem. W Abaganie przejeżdżali obok zniszczonego nigeryjskiego parku samochodowego, mijali bardzo długą kolumnę spalonych i szerniałych pojazdów. Olanna nie mogła wzroku od tego oderwać. „Myśmy to zrobili”. Chwyliła Odenigba za rękę.

– Oni zwyciężyli, ale myśmy to zrobili – powiedziała i nagle uzmysłowiła sobie, jak dziwnie brzmią słowa „oni zwyciężyli”, głośno oznajmiające porażkę, w którą wciąż nie mogła uwierzyć. Ona nie czuła się pokonana, raczej

oszukana. Odenigbo uściskał jej dłoń. Kiedy zbliżali się do Abby, wyczuła jego nerwowość, dostrzegła ją w napięciu na twarzy.

– Ciekawe, czy mój dom stoi – rzekł.

Wszystko dookoła było porośnięte krzakami, małe chaty zupełnie ginęły w zbrązowiałej trawie. Koło bramy do ich obejścia wyrósł jakiś krzew, przy którym Odenigbo, z gwałtownie falującą piersią i ciężko dysząc, zaparkował teraz samochód. Dom stał. Brnąc przez gęstą wysychającą trawę, dotarli do domu i Olanna rozejrzała się dookoła, trochę się obawiając, że dostrzeże gdzieś szkielet mamy. Ale kuzyn pochował ją, pod drzewem gujawy znajdował się niewielki wzgórek i krzyż sklecony z dwóch gałęzi. Odenigbo ukląkł tam, wyrwał kępkę trawy i trzymał ją w dłoni.

Do Nsukki jechali drogami pokrytymi bliznami po pociskach i lejami po bombach, tak że Odenigbo często musiał gwałtownie skręcać. Budynki były zwęglone, z zerwanymi dachami, ich ściany ledwo się trzymały. Tu i ówdzie widać było czarne wraki spalonych samochodów. Wszędzie panowała jakaś niesamowita cisza. Horyzont wypełniały wykrzywione sylwetki szybujących sępów. Dojechali do posterunku. Jacyś mężczyźni wycinali trawę przy drodze, ich maczety wznosiły się i opadały, inni zanosili drewniane deski do domu, którego ściany, podziurawione większymi i mniejszymi kulami, przypominały szwajcarski ser.

Odenigbo zatrzymał się obok nigeryjskiego oficera. Jasno błysnęła kłamra przy jego pasie i nachylił się, żeby zajrzeć do samochodu, ukazując ciemną twarz z bardzo białymi zębami.

– Dlaczego wciąż macie białe rejestracje? Czyżbyście popierali pokonanych buntowników? – Mówił głosem podniesionym, wystudiowanym, jakby odgrywał rolę despoty, doskonale świadom swojego zadania. Stojący za nim jeden z jego żołnierzy krzyczał na pracujących. Tuż przy buszu leżały zwłoki mężczyzny.

– Zmienimy, jak dojedziemy do Nsukki – powiedział Odenigbo.

– Do Nsukki? – Oficer wyprostował się i wybuchnął śmiechem. – Aha, uniwersytet w Nsuce. To wyście zaplanowali ten bunt wraz z Ojukwu, wy, uczeni.

Odenigbo nie odpowiedział, tylko patrzył prosto przed siebie. Oficer szarpnął za drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

– Oya! Wysiadać, ponosicie nam trochę drewna. Zobaczymy, jak możecie pomóc zjednoczonej Nigerii.

Odenigbo spojrział na niego.

– A co tu robicie?

– Jeszcze pytasz? Powiedziałem, żebyście wysiadali.

Stojący obok oficera żołnierz odbezpieczył broń.

– Żartowałem – wymamrotał Odenigbo. – O na-egwu egwu.

– Wysiadać! – powtórzył oficer.

Olanna otworzyła drzwi.

– Odenigbo i Ugwu, chodźcie. Dzisiaj, zostań w aucie.

Ledwo Odenigbo zdążył wysiąść, oficer uderzył go w twarz, tak gwałtownie i niespodziewanie, że Odenigbo przewrócił się na samochód. Dzisiaj zaczęła płakać.

– Nie jesteś wdzięczny, żeśmy was wszystkich nie pozabijali? Dawaj, zabieraj się za noszenie tych desek, i to szybko, bierz po dwie naraz!

– Proszę, pozwólcie mojej żonie zostać z naszą córką – powiedział Odenigbo.

Odgłos drugiego policzka wymierzonego przez oficera nie był już tak głośny jak pierwszego. Olanna nie patrzyła na Odenigba, skoncentrowała się na postaci mężczyzny niosącego stertę betonowych pustaków, na jego wychudłych nagich plecach pokrytych potem. Podeszła do stosu desek i podniosła dwie. W pierwszej chwili zatoczyła się pod ciężarem – nie spodziewała się, że będą aż tyle ważyć – ale po chwili złapała równowagę i ruszyła w stronę domu. Kiedy wracała, czuła pot spływający po ciele. Zauważyła śmiałe spojrzenie idącego za nią żołnierza, czuła, jak jego wzrok przewierca się przez jej ubranie. Kiedy szła po raz drugi, stanął bliżej stosu desek.

Olanna spojrziała na niego i zawołała:

– Panie oficerze!

Oficer właśnie dał znak jakiemuś samochodowi, że może jechać dalej. Odwrócił się.

– O co chodzi?

– Może powiedziała by pan temu chłopakowi, że lepiej dla niego będzie, jeśli nawet nie pomyśli o dotykaniu mnie – powiedziała Olanna.

Ugwu stał za nią i słyszała, jak wciągnął głośno powietrze przerażony jej zuchwałością. Ale oficer się śmiał, najwyraźniej zaskoczyła go i jednocześnie zrobiła na nim wrażenie.

– Nikt cię nie tknie – obiecał. – Moi chłopcy są dobrze wyszkoleni. My nie jesteśmy brudną bandą buntowników, których wy nazywaliście wojskiem.

Zatrzymał kolejny samochód, peugeota 403.

– Wysiadać, ale już!

Z auta wysiadł mały człowieczek i stanął obok. Oficer sięgnął po jego okulary, zerwał mu je z nosa i rzucił w krzaki.

– No i co, teraz nie widzisz? Ale dostatecznie dużo widziałeś, żeby wypisywać propagandowe teksty dla Ojukwu? Bo chyba tym się zajmowały wszystkie urzędasy, co?

Mężczyzna zmrzył oczy i przetarł je nerwowym ruchem.

– Kładź się – powiedział oficer. Mężczyzna położył się na smole węglowej. Oficer wyjął długą trzcinę i zaczął chłostać mężczyznę po plecach i pośladkach, ciach, ciach, ciach, a mężczyzna krzyczał coś, czego Olanna nie rozumiała.

– Powiedz: „Dziękuję, sah”! – rozkazał oficer.

Mężczyzna powiedział:

– Dziękuję, sir!

– Powtórz!

– Dziękuję, sir!

Oficer przerwał chłostę i skinął na Odenigba.

– Oya, uczeni, jechać. Dopilnujcie, żeby zmienić te tablice rejestracyjne.

W milczeniu pospieszyli do samochodu. Olanna czuła ból w dłoniach. Kiedy odjeżdżali, oficer wciąż chłostał mężczyznę z peugeota.

Ugwu nachylił się przy dziko rosnącym wybujałym krzewie z białymi kwiatami, wpatrując się w stertę spalonych książek. Zrzucano je na stos przed ich podpaleniem, kopał więc w nich gołymi rękami, chcąc sprawdzić, czy płomienie nie oszczędziły którejs z leżących pod spodem. Udało mu się wydobyć dwie całe książki. Wytarł ich okładki w koszulę. Na tych na wpół spalonych nadal można było odczytać słowa i cyfry.

– Dlaczego musieli je spalić? – zapytała Olanna łagodnie. – Przecież to musiało kosztować tyle pracy.

Pan kucnął obok niego i zaczął grzebać w zwęglonych papierach, mrużąc:

– Tu są moje wszystkie referaty naukowe, nekene nke, w tym opisywałem moje testy rang dla wykrywania sygnału...

Po chwili usiadł na gołej ziemi z nogami wyciągniętymi przed siebie, choć Ugwu wolałby, żeby tak się nie zachowywał; w tej pozycji było coś niegodnego, niepasującego do jego pana. Olanna trzymała Dzidzię za rękę i spoglądała na rośliny, rzewnię skrzypolistną, iksorę i lilie, wszystkie bezkształtne i poplątane. Cała ulica Odim była teraz bezkształtna i poplątana, obie jej strony gęsto zarośnięte krzakami. Nawet porzucony na końcu ulicy nigeryjski samochód pancerny tonął w trawie wyrastającej z opon.

Ugwu wszedł do domu pierwszy. Za nim podążyła Olanna z Dzidzią. W salonie wisiały białe pajęczyny. Podniósł wzrok i dostrzegł wielkiego czarnego pajaka sunącego wolno po swojej sieci, jakby nie zauważał ich obecności, jakby nadal był przekonany, że to jego dom. Sofy, zasłony, dywany i regały zniknęły. Również żaluzje zostały zdjęte i okna straszyły dziurami, a suchy harmattan naniósł tu tyle piasku, że ściany przybrały jednolity brązowy kolor. W pustym pokoju jak duchy unosiły się drobinki kurzu. W kuchni został tylko ciężki drewniany móżdziej. W korytarzu Ugwu podniósł pokrytą kurzem butelkę; kiedy uniósł ją do nosa, poczuł kokosowy zapach. Perfumy Olanny.

Dzidzia rozpląkała się, kiedy weszli do łazienki. W wannie zalegał stos fekaliiów, wysuszonych, obscenicznych, jak kamienne bryły. Wyrwane z magazynu „Drum” strony służyły za papier toaletowy, drukowany tekst był usmarowa-

ny zaskorupiałymi plamami. Kartki leżały porozrzucane po całej podłodze. Olanna uciszyła małą, a Ugwu przypomniał sobie, jak Dzidzia bawiła się żółtą kaczką w tej wannie. Odkręcił kran i chociaż coś w środku zazgrzytało, woda nie popłynęła. Trawa za domem obcierała mu ramiona, zbyt wysoka, żeby przez nią przejść, więc znalazł kij, chcąc przedrzeć się dalej. Z nerkowca zniknął ul. Drzwi do służbówki wisiały na wpół otwarte na zmiążdżonych zawiasach, a kiedy je odsunął, przypominał sobie o białej koszuli, którą zostawił wiszącą na gwoździu wbitym w ścianie. Wiedział oczywiście, że jej już nie będzie, ale i tak spojrzął na ścianę, żeby się upewnić. An ulika zachwycała się tą koszulą. Czuł jednocześnie podniecenie i przerażenie na myśl, że za kilka godzin zobaczy Anulikę, że w końcu pójdzie do domu. Nie pozwolił sobie na rozmyślanie, kto przeżył, a kto nie. Podniósł rzeczy z brudnej podłogi: zardzewiały pistolet i spęczniały, na wpół oberwany egzemplarz „Socialist Review”. Kiedy rzucił je z powrotem na ziemię, pomieszczenie rozbrzmiało echem i coś, może mysz, przez nie przemknęło.

Chciał to wszystko posprzątać. Chciał szorować jak opętany. Jednak bał się, że niczego to nie zmieni. Ten dom mógł już być skalany aż po same fundamenty i już zawsze w tych pokojach tkwić będzie zapach czegoś od dawna martwego i wysuszonego, a z sufitu dochodzić będzie szmer szczurów. Pan znalazł miotłę i sam pozamiatał swój gabinet, zostawiając stertę jaszczurczych odchodów i kurzu tuż za progiem. Kiedy Ugwu zajrzał do gabinetu, zobaczył go siedzącego na jedynym pozostałym tam krześle, w którym brakowało nogi, tak że pan musiał postawić je przy ścianie, by zachować równowagę, i pochylony przeglądał nadpalone papiery i teczki.

Ugwu szturchnął patykiem fekalia w wannie, mrużąc pod nosem przekleństwa pod adresem barbarzyńców i wszystkich ich potomków, i właśnie skończył czyszczenie wanny, kiedy Olanna poprosiła go, żeby najpierw pojechał do swojej rodziny, a dopiero później zajął się sprzątaniami.

Ugwu stał nieruchomo, a Chioke, druga żona jego ojca, obrzucała go piaskiem.

– Czy to naprawdę ty, Ugwu? – pytała. – Prawdziwy?

Pochylała się i nabierała pełne garście piasku, rzucała szybkimi ruchami, a piasek spadał mu na ramiona, ręce, brzuch. W końcu przestała i wzięła go w objęcia. Nie zniknął, nie był duchem. Przyszli też inni ludzie, żeby go wyściskać, z niedowierzaniem głaskać jego ciało, jakby osypujący się piasek nie stanowił dla nich dowodu, że nie jest duchem. Kilka kobiet płakało. Ugwu

przyjrzał się otaczającym go twarzom. Wszystkie wychudły, na wszystkich wyczerpanie odcisnęło ślad, nawet na dziecięcych. Ale na najbardziej zmienioną wyglądała Anulika. Twarz miała pokrytą wągrami i pryszczami i nie patrzyła mu w oczy, mówiąc przez łyżę: „Nie umarłeś, nie umarłeś...”. Z przerażeniem odkrył, że siostra, którą uważał za piękną, wcale piękną nie jest. Była brzydką obcą mu osobą, która jednym okiem zezowała.

– Powiedzieli mi, że mój syn zginął – odezwał się ojciec, chwytając go za ramiona.

– Gdzie mama? – zapytał Ugwu.

Znał odpowiedź, zanim jeszcze ojciec się odezwał. Wiedział o tym od chwili, kiedy Chioke wybiegła z chaty. Matka powinna go powitać, ona wyczułaby jego obecność i spotkałaby się z nim przy zagajniku drzew ubo.

– Twoja matka odeszła od nas – powiedział ojciec.

Gorące łzy napłynęły Ugwu do oczu.

– Bóg nigdy im tego nie wybaczy.

– Uważaj, co mówisz! – Ojciec rozejrzał się dookoła bojaźliwie, chociaż byli tylko we dwójkę. – Tego nie zrobili barbarzyńcy. Umarła na kaszel. Chodź, pokażę ci, gdzie jest pochowana.

Grób był nieoznaczony. Na tym miejscu rosła soczyście zielona kolokazja.

– Kiedy?... – zapytał Ugwu. – Kiedy zmarła?

Zupełnie nierzeczywiste mu się wydawało, że pyta, kiedy zmarła jego matka. A poza tym nie miało żadnego znaczenia, kiedy umarła. Gdy ojciec wypowiadał pozornie bezsensowne słowa, Ugwu opadł na kolana, oparł czoło o ziemię, objął głowę ramionami, jakby chciał osłonić się przed czymś, co miało spaść z góry, jakby była to jedyna pozycja, jaką mógł przybrać na przyjęcie śmierci matki. Ojciec zostawił go tam i wrócił do chaty. Później Ugwu usiadł z Anuliką pod drzewem chlebowym.

– Jak umarła mama?

– Od kaszlu.

Na ani jedno pytanie nie udzieliła odpowiedzi w sposób, jakiego mógł oczekiwać, gdzieś zaginęła energiczna gestykulacja, w odpowiedziach brakło ciętego dowcipu: tak, doszło do ceremonii przyniesienia wina tuż przed wkroczeniem barbarzyńców do wioski; Onyeka ma się dobrze, jest w gospodarstwie; jeszcze nie mają dzieci. Często odwracała wzrok, jakby krępowało ją siedzenie z nim, i Ugwu zastanawiał się, czy wcześniej tylko wyobrażał sobie tę naturalną więź, jaka ich łączyła. Miał wrażenie, że Anulika odetchnęła z ulgą, kiedy Chioke ją zawołała, bardzo szybko wstała i poszła.

Ugwu obserwował dzieci biegające wokół drzewa chlebowego, przekomarżające się i pokrzykujące, kiedy nadeszła Nnesinachi z malutkim dzieckiem na biodrze, ale z tym samym co niegdyś błyskiem w oku. W przeciwieństwie do innych sprawiała wrażenie zupełnie niezmienionej, wcale nie była chudsza niż w przeszłości. Tylko piersi miała nieco większe, wypychały materiał bluzki. Przywarła do niego w uścisku. Dziecko zakwiliło.

– Wiedziałam, że nie umarłeś – powiedziała. – Wiedziałam, że twoje chi nie zasnęło.

Ugwu dotknął dziecko w policzek.

– Wyszłaś za mąż w czasie wojny?

– Nie wyszłam za mąż. – Przeniosła dziecko na drugie biodro. – Mieszkałam z żołnierzem Hausa.

– Z barbarzyńcą? – Wydawało mu się to nie do pomyślenia.

Nnesinachi skinęła głową.

– Stacjonowali w naszej miejscowości i jeden z nich był dla mnie dobry, bardzo miły człowiek. Gdyby był tutaj przez cały czas, nigdy nie wydarzyłoby się to, co się stało Anulice. Ale ja pojechałam z nim do Enugu, żeby kupić jakieś rzeczy.

– Co się stało Anulice?

– Nie wiesz?

– O czym?

– Rzucili się na nią. W piątkę. – Nnesinachi usiadła i wzięła dziecko na kolana.

Ugwu patrzył w odległe niebo.

– Gdzie to się stało?

– To było już ponad rok temu.

– Pytałem: gdzie?

– Ach... – Głos Nnesinachi drżał. – Nad strumieniem.

– Na dworze?

– Tak.

Ugwu pochylił się i podniósł kamyk.

– Podobno pierwszego, który zaczął się do niej dobierać, ugryzła w rękę do krwi. O mało nie pobili jej na śmierć. Od tego czasu jedno oko nie chce się jej dobrze otwierać.

Później Ugwu wybrał się na spacer po wiosce, a kiedy dotarł nad strumień i przypomniał sobie sznur kobiet idących rano po wodę, usiadł na kamieniu i zapłakał.

Po powrocie do Nsukki Ugwu nie powiedział Olannie o gwałcie na swojej siostrze. Olanna często była poza domem. Dostawała kolejne wiadomości o tym, gdzie widziano kobiety wyglądające jak Kainene, więc jeździła do Enugu, Onitshy i Beninu, a potem wracała, mrucząc coś pod nosem.

– Znajdę moją siostrę – odpowiadała Ugwu, kiedy pytał, jak jej poszło.

– Tak, mah, znajdzie ją pani – mówił Ugwu, bo przez wzgląd na nią musiał wierzyć, że jej się uda.

Sprzątał dom. Chodził na targ. Chodził na plac Wolności, by pooglądać górę poczerńiałych książek, które barbarzyńcy wynieśli z biblioteki i podpaliłi. Bawił się z Dzidią. Siadywał na stopniach prowadzących na podwórze za domem i pisał na skrawkach papieru. Na sąsiednim podwórzu gdakały kury. Patrzył na żywopłot i myślał o Chinyere, co może myśleć o nim, jeśli przeżyła. Doktor Okeke i jego rodzina nie wrócili i teraz mieszkał tam krzywonogi mężczyzna, profesor chemii, który gotował nad ogniskiem i miał kojec z kurami. Pewnego dnia, w słabnącym świetle zapadającego zmierzchu, Ugwu zobaczył, jak do tego obejścia wpadło trzech żołnierzy, którzy chwilę później wyszli, ciągnąc profesora za sobą.

Ugwu słyszał, że nigeryjscy żołnierze przyrzekli zamordować pięć procent uczonych z Nsukki, a o profesorze Ezece słuch zaginął, odkąd został aresztowany w Enugu, ale dopiero teraz, gdy zobaczył wyprowadzanego profesora z sąsiedztwa, nabrało to dla niego rzeczywistego wymiaru. Dlatego też kiedy kilka dni później usłyszał głośnie walenie do drzwi frontowych, pomyślał, że przyszli po pana. Chciał im powiedzieć, że pana nie ma w domu; mógłby nawet powiedzieć, że pan nie żyje. Najpierw pognał do gabinetu, szepnął: „Proszę się ukryć pod stołem, sah!”, a potem pobiegł do drzwi frontowych, starając się przybrać głupawą minę. Jednak zamiast budzącej grozę zieleni wojskowych mundurów, błysku butów i broni zobaczył brązowy kaftan, płaskie klapki i znajomą twarz, którą dopiero po chwili rozpoznał: to była panna Adebayo.

– Dobry wieczór – odezwał się Ugwu. Poczuł coś w rodzaju rozczarowania.

Zaglądała do mieszkania, gdzieś za jego plecy, a na jej twarzy malował się wielki paniczny strach; wyglądała, jakby była ogołocoła ze wszystkiego, jak czaszka z ziejącymi dziurami oczodołów.

– Odenigbo?... – mówiła szeptem. – Odenigbo?...

Ugwu od razu się zorientował, że nie jest w stanie nic więcej powiedzieć, że być może nawet go nie rozpoznała i nie potrafi pozbierać się na tyle, żeby

zadać całe pytanie: „Czy Odenigbo żyje?”.

– Mój pan ma się dobrze – powiedział Ugwu. – Jest w domu.

Wbiła w niego wzrok.

– Och, Ugwu! Ależ urosłeś. – Weszła do środka. – Gdzie on jest? Jak się ma?

– Poproszę go, mah.

Pan stał w drzwiach do gabinetu.

– Co się dzieje, mój dobry człowieku? – zapytał.

– To panna Adebayo, sah.

– Kazałeś mi się schować pod stół z powodu panny Adebayo?

– Myślałem, że to żołnierze, sah.

Panna Adebayo uściskała pana, zbyt długo trzymając go w objęciach.

– Mówiono mi, że albo tobie, albo Okeomie nie udało się wrócić...

– Okeomie nie udało się wrócić. – Pan powtórzył jej sformułowanie, jakby z jakiegoś powodu nie pochwalał go.

Panna Adebayo usiadła i rozpłakała się.

– Wiecie, my tak naprawdę zupełnie nie rozumieliśmy, co się dzieje w Biafrze. Życie toczyło się swoim trybem, w Lagos kobiety nosiły najmodniejsze koronki. Dopiero kiedy pojechałam na konferencję do Londynu i przeczytałam raport o głodzie... – Urwała. – Kiedy to się skończyło, przyłączyłam się do ochotników z Mayflower i przekroczyłam Niger z transportem żywności...

Ugwu nie lubił tej kobiety. Nie lubił jej nigeryjskości. Ale był gotów częściowo wybaczyć jej, gdyby tylko mogło to przywrócić tamte wieczory, kiedy spierała się z jego panem w salonie pachnącym brandy i piwem. Teraz nikt ich nie odwiedzał oprócz pana Richarda. Jego obecność nabrała nowego wymiaru, stał się kimś bliskim. Zdawał się już być jakby częścią rodziny, siedząc w salonie i czytając, kiedy Olanna zajmowała się swoimi sprawami, a pan zamykał się w gabinecie.

Kiedy kilka dni później był u nich wieczorem pan Richard i rozległo się głośne stukanie do drzwi, Ugwu się zirytował. Położył swoje kartki w kuchni. Czy ta panna Adebayo nie może zrozumieć, że najlepiej będzie, jeśli wróci sobie do Lagos i zostawi ich w spokoju? Podszedł do drzwi i natychmiast cofnął się o krok, widząc przez szybę dwóch żołnierzy. Chwycili kłamkę i szarpali za zamknięte drzwi. Ugwu otworzył je. Jeden miał zielony beret, a na podbródku drugiego sterczał biały pieprzyk przypominający nasienie owocu.

– Wszyscy domownicy wychodź i kłaść się na brzuchu!

Pan, Olanna, Ugwu, Dzidzia i pan Richard, wszyscy wyciągnęli się na podłodze salonu, a żołnierze przeszukiwali dom. Dzidzia zamknęła oczy i leżała zupełnie nieruchomo na brzuchu.

Oczy tego w zielonym berecie gorzały czerwienią, kiedy krzyczał i darł jakieś papiery na stole. Właśnie on przycisnął podeszwę buta do pośladków pana Richarda i powiedział: „Biały człowiek! Oyinbo! Nie mędrkuj tu, mądralo!”. On także przyłożył pistolet do skroni pana ze słowami: „Jesteś pewien, że nie schowałeś tu gdzieś biafrańskich pieniędzy?”.

Ten drugi, z pieprzykiem na brodzie, powiedział: „Szukamy wszelkich materiałów, które mogą stanowić zagrożenie dla jedności Nigerii”, po czym wyszedł do kuchni i wrócił z dwoma talerzami pełnymi przygotowanego przez Ugwu ryżu jollof. Kiedy już zjedli, napili się wody i głośno beknęli, wsiedli do swojego kombi i odjechali. Zostawili otwarte frontowe drzwi. Pierwsza podniosła się Olanna. Poszła do kuchni i wysypała reszkę ryżu jollof do kosza na śmieci. Pan zamknął drzwi. Ugwu pomógł Dzidzi wstać i wyprowadził ją z salonu.

– Pora się wykąpać – powiedział, choć było na to jeszcze trochę za wcześnie.

– Sama to zrobię – odparła, a on tylko stał i obserwował, jak po raz pierwszy w życiu sama się kąpie. Opryskała go wodą, śmiejąc się, i Ugwu wówczas uzmysłowił sobie, że nie zawsze będzie go potrzebowała.

Wróciwszy do kuchni, zastał tam pana Richarda czytającego kartki pozostawione przez niego na blacie.

– To jest fantastyczne, Ugwu. – Pan Richard wyglądał na zaskoczonego. – Olanna opowiadała ci o tej kobiecie w pociągu, która wiozła głowę swojego dziecka?

– Tak, sah. To będzie część wielkiej książki. Dokończenie jej zajmie mi jeszcze wiele lat i nazwę ją „Relacja z życia kraju”.

– Bardzo ambitnie – powiedział pan Richard.

– Szkoda, że nie mam tej książki Fredericka Douglassa.

– Pewnie znalazła się wśród tych spalonych – rzekł pan Richard i pokręcił głową. – W przyszłym tygodniu będę w Lagos, to jej poszukam. Zamierzam odwiedzić rodziców Kainene. Ale najpierw jadę do Port Harcourt i do Umuahii.

– Do Umuahii, sah?

– Tak.

Pan Richard nic więcej nie powiedział; nigdy nikomu nie opowiadał

o swoich poszukiwaniach Kainene.

– Gdyby pan miał czas, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić i dowiedzieć się o kogoś?

– Chodzi o Eberechi?

Uśmiech zmarszczył twarz Ugwu, zanim zdążył pospiesznie nad nim zaplanować.

– Tak, sah.

– Oczywiście.

Ugwu podał mu nazwisko i adres, pan Richard zapisał sobie, a później obaj umilkli i zakłopotany Ugwu starał się wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć.

– Czy pan dalej pisze swoją książkę, sah?

– Nie.

– „Świat milczał, kiedy myśmy umierali”. To dobry tytuł.

– Tak, to prawda. Pochodzi od słów, które kiedyś wypowiedział pułkownik Madu... – Richard urwał. – Muszę przyznać, że opowieść o tej wojnie to nie zadanie dla mnie.

Ugwu skinął głową. Nigdy nawet nie podejrzewał, że może być inaczej.

– Czy mógłbym dać panu list, gdyby się okazało, że spotka pan Eberechi, sah?

– Oczywiście.

Ugwu wziął kartki od pana Richarda i odwróciwszy się, żeby przygotować kolację dla Dzidzi, zanucił sobie coś pod nosem.

Richard wszedł do sadu i udał się w miejsce, w którym kiedyś siedział i obserwował morze. Jego ulubiona pomarańcza zniknęła. Wiele drzew zostało ściętych, w sadzie pojawiły się polacie zajętej pod uprawę i pokrytej trawą ziemi. Patrzył na miejsce, w którym Kainene spaliła jego rękopis, i wspominał, jak wiele dni temu w Nsucce nie czuł niczego, zupełnie niczego, obserwując Harrisona kopiącego zawzięcie w ogrodzie. „Przepraszam, sah. Przepraszam... Ja zakopał ten ręcznyypis tutaj. Na pewno zakopał go tu”.

Dom Kainene odmalowano na stonowany zielony kolor, pościano oplatające go wcześniej bugenwille. Richard obszedł dom dookoła i zadzwonił do drzwi, wyobrażając sobie, że Kainene wychodzi mu na spotkanie i mówi, że ma się dobrze, po prostu chciała spędzić trochę czasu w samotności. W drzwiach pojawiła się kobieta nosząca na twarzy wąskie znaki plemienne, po dwie linie na każdym policzku. Lekko uchyliła drzwi. – Tak?

– Dzień dobry – odezwał się Richard. – Nazywam się Richard Churchill. Jestem narzeczonym Kainene Ozobii.

– Tak?

– Mieszkałem tu kiedyś. To jest dom Kainene.

Twarz kobiety stwardniała.

– To była opuszczona nieruchomość. Teraz to mój dom. – Zaczęła zamykać drzwi.

– Proszę zaczekać – powiedział Richard. – Chciałbym zabrać zdjęcia. Czy mógłbym dostać kilka zdjęć Kainene? Na półce w gabinecie był album...

Kobieta gwizdnęła.

– Mam złego psa i jeśli pan nie odejdzie, poszczuję pana nim.

– Proszę, tylko te fotografie.

Kobieta ponownie zagwizdała. Richard usłyszał warczenie psa dochodzące z wnętrza domu. Powoli odwrócił się i odszedł. Jadąc samochodem z opuszczonymi szybami i czując w nosie zapach morza, rozmyślał o tym, ileż to razy Kainene wiozła go tą samotną drogą. Przejeżdżając przez miasto, zwolecił obok wysokiej kobiety, ale miała zbyt jasną skórę, żeby mogła to być Ka-

inene. Celowo zdecydował się później pojechać do Port Harcourt, najpierw chciał ją znaleźć, żeby razem mogli odwiedzić ten dom, razem popatrzeć na to, co utracili. Był pewien, że starałaby się odzyskać swoją własność, pisałaby petycje, chodziła do sądu i rozpowiadała na lewo i prawo, że rząd federalny ukradł jej dom, jak zawsze nieugięta i nieustraszona. Podobnie jak wówczas gdy przerwała bicie młodego żołnierza. Było to jego ostatnie kompletne wspomnienie Kainene, które jego mózg pozwalał sobie dowolnie modyfikować – czasami owinięta wokół bioder i pognieciona przez nią we śnie chusta była pokryta złotą łuską, a czasami czerwoną.

Nie przyjechałby tu teraz, gdyby nie poprosiła go jej matka.

– Pojedź do tego domu, Richardzie, proszę pojedź tam i zobacz. – Jej głos w telefonie był wyjątkowo cichy. Podczas ich pierwszej rozmowy, zaraz po powrocie z Londynu, brzmiał zupełnie inaczej, emanował pewnością siebie: „Kainene na pewno jest ranna. Musimy się czegoś dowiedzieć. Musimy zrobić to szybko, żeby przenieść ją do lepszego szpitala. Jak już poczuje się lepiej, zapytam ją, co powinniśmy zrobić z tym baranem Jorubą, którego wcześniej uznawaliśmy za naszego przyjaciela. Wyobraź sobie, że ten człowiek zmusił nas do kupienia naszego własnego domu! Tylko pomyśl, sfałszował akt własności i wszystko inne, a potem powiedział, że i tak powinniśmy być szczęśliwi, bo nie żąda zbyt wysokiej ceny, a do tego zabrał wszystkie meble. Ojciec Kainene jest zanadto wystraszony, żeby cokolwiek powiedzieć. Jest wdzięczny, że pozwolili mu zachować własny dom! Kainene nigdy nie pozwoliłaby na coś takiego”.

Teraz była inna. Jakby w miarę upływającego czasu wiara powoli z niej wyciekała. „Pojedź tam i zobacz ten dom”, powiedziała. „Po prostu pojedź tam i zobacz”. Już nie mówiła o drobiazgach, nie mówiła tak, jakby wszystko wiedziała. Madu zamieszkał z nimi w Lagos po tym, jak został zwolniony po długim przetrzymywaniu w więzieniu w Alagbonie, po tym, jak został zwolniony z nigeryjskiego wojska, po tym, jak dostał dwadzieścia funtów za te wszystkie pieniądze, jakie miał jeszcze przed wojną i podczas jej trwania. To do Madu dotarła wiadomość, że w Onitshy widziano włóczącą się chudą, wysoką, wykształconą kobietę. Richard pojechał tam z Olanną i już na miejscu spotkali się z jej matką, ale okazało się, że to nie Kainene. Richard był przekonany, że odnalazł Kainene – cierpi na amnezję, zapomniała, kim jest, to wszystko do siebie pasowało – a kiedy spojrział w oczy obcej kobiety, po raz pierwszy w życiu poczuł głęboką nienawiść do zupełnie obcej osoby.

Myślał o tym, jadąc do centrum dla wysiedleńców w Umuahii. Budynek

był pusty. Pobliski lej po bombie ział niewypełnioną pustką. Chwilę jeździł w kółko, zanim udało mu się odnaleźć podany przez Ugwu adres. Starsza kobieta, z którą się przywitał, sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej, jakby codziennie biali ludzie mówiący w języku ibo przychodzili wypytywać ją o krewnych. Richard był tym nieco zaskoczony, przyzwyczał się już do zdziwienia, a nawet zdumienia, jakie ludzie okazywali, kiedy on, biały, mówił w ibo. Kobieta przyniosła mu coś do siedzenia i powiedziała, że jest siostrą ojca Eberechi. Jednak gdy tylko opowiedziała mu, co się stało z Eberechi, Richard postanowił, że nie przekaże tego Ugwu. Nigdy mu o tym nie powie! Cio-cia Eberechi głowę miała obwiązaną białą chustką, a piersi poplamioną długą chustą i mówiła tak cicho, że Richard musiał prosić, żeby jeszcze raz mu to powtórzyła. Przez chwilę na niego patrzyła, zanim ponownie powiedziała, że Eberechi zginęła podczas ostrzału, że to zdarzyło się w dzień upadku Umuahii i że zaledwie kilka dni później brat Eberechi wrócił z wojska cały i zdrowy. Sam nie wiedząc, dlaczego to robi, Richard usiadł i opowiedział tej kobiecie o Kainene.

– Na kilka dni przed zakończeniem wojny moja żona poszła na afia attack i od tego czasu nic o niej nie wiemy.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Kiedyś się dowiecie – rzekła.

Richard rozmyślał nad tymi słowami, wracając następnego dnia do Lagos, i nabierał coraz większego przekonania, że nie powie Ugwu o śmierci Eberechi. Kiedyś Ugwu się dowie. Ale tymczasem Richard nie będzie niszczył jego marzeń.

W Lagos powitał go deszcz. Radio w samochodzie ponownie nadawało przemówienie Gowona: „Nie ma zwycięzców ani pokonanych”. Na ulicach gazeciarze biegali między samochodami, trzymając gazety pozawijane w nylonowe worki. Nie czytał już gazet, bo miał wrażenie, że po otwarciu każdej ujrzy umieszczone przez rodziców Kainene ogłoszenie zawierające jej zdjęcie zrobione nad basenem, a nad nim nagłówek: ZAGINĘŁA. Przytłaczało go to równie mocno jak słowa ciotki Elizabeth mówiącej, że musi być „silny”, jej głos wibrował w telefonie, jakby było coś, o czym ona wiedziała, a on nie. Wcale nie musi być silny, nie ma po co. A Kainene nie zginęła, ona po prostu nie spieszy się z powrotem do domu.

Jej matka uścisnęła go. „Jadłeś coś, Richardzie?”, spytała ciepło, serdecznie, jak mogłaby mówić matka do zaniedbującego się syna. Trzymała go mocno, wsparła się nawet na nim, kiedy szli do skąpo umeblowanego salonu, a Ri-

chard poczuł się trochę nieswojo, ale jednocześnie wyjątkowo wspaniale, odgadł bowiem, że trzymając się go w ten sposób, stara się znaleźć blisko Kainene.

Ojciec Kainene siedział z Madu i dwoma innymi mężczyznami z Umunnachi. Richard uściskał im dłonie i dołączył do nich. Popijając piwo, rozmawiali o dekrete i indygenizacji, o bezrobociu pracowników administracji państwowej. Mówili ściszymi głosami, jakby samo przebywanie w domu nie dawało jeszcze gwarancji bezpieczeństwa. Richard wstał i poszedł po schodach do dawnego pokoju Kainene, jednak nic tam po niej nie zostało. W ścianie pełno było powbijanych gwoździ, być może jorubijski właściciel powiesił wiele fotografii.

Na lunch podano potrawkę ze zbyt dużą ilością raków; wiedział, że Kainene by nie smakowała, nachyliłaby się więc do niego, żeby mu o tym powiedzieć. Po lunchu Richard i Madu wyszli na werandę i usiedli. Deszcz przestał padać, liście rosnących poniżej roślin wyglądały na zieleńsze.

– Zagranica podaje, że zginęło milion ludzi – odezwał się Madu. – To niemożliwe.

Richard czekał, nic nie mówiąc. Nie był przekonany, czy chce się wdawać w jedną z rozmów, jakie obecnie tak wielu Biafrańczyków toczyło, przerzucając ziarna winy na innych, namaszczając własne twarze odwagą, której nigdy nie mieli. Chciał pogрузić się we wspomnieniach o czasach, kiedy wraz z Kainene często stawali tu i z góry spoglądali na srebrzysty basen.

– To niemożliwe, żeby zginął tylko milion. – Madu łyknął piwa. – Wracasz do Anglii?

Rozzłościło go to pytanie.

– Nie.

– Zostajesz w Nsucce?

– Tak. Wstępuję do nowego Instytutu Studiów Afrykańskich.

– Pisziesz coś?

– Nie.

Madu odstawił szklankę z piwem; zgromadzone na niej kropelki wody przypominały drobniutkie przezroczyste kamyczki.

– Wciąż nie mogę pojąć, jak to się stało, żeśmy się niczego o Kainene nie dowiedzieli, zupełnie tego nie rozumiem – powiedział Madu.

Richardowi nie podobało się, że Madu znowu używa liczby mnogiej, nie wiedział, kogo w tym uwzględnia. Podniósł się, przeszedł przez balkon i spojrział w dół na osuszony basen; dno wykonane było z połyskującego białego ka-

mienia widocznego przez cienką warstwę deszczówki. Odwrócił się do Madu.

– Kochasz ją, prawda? – zapytał.

– Oczywiście, że tak.

– Dotknąłeś ją kiedyś?

Śmiech Madu był krótki i ostry.

– Dotknąłeś ją kiedyś? – powtórzył pytanie Richard i nieoczekiwanie właśnie Madu stał się odpowiedzialny za zniknięcie Kainene. – Dotknąłeś ją kiedyś?

Madu wstał. Richard wyciągnął rękę i chwycił go za ramię. Wracaj, chciał powiedzieć, wracaj tu zaraz i powiedz, czy kiedykolwiek dotknąłeś ją tymi swoimi brudnymi czarnymi rękami. Madu strącił jego dłoń. Richard uderzył go na odlew w twarz i poczuł pulsowanie w ręce.

– Ty idioto – powiedział Madu zaskoczony, lekko chwiejąc się na nogach.

Richard zobaczył uniesioną rękę Madu, dostrzegł szybki, rozmazany ruch nadchodzącego ciosu. Uderzenie wylądowało na jego nosie, cała twarz eksplodowała bólem i ciałem, naraz bardzo lekkie, osunęło się na podłogę. Kiedy dotknął nosa, na palcach zauważył krew.

– Ty idioto – powtórzył Madu.

Richard nie potrafił się podnieść na nogi. Wyciągnął chusteczkę do nosa; ręce mu drżały i trochę krwi znalazło się na koszuli. Madu przez chwilę przyglądał się mu, a potem nachylił się i chwyciwszy twarz Richarda w swoje szerokie dłonie, z bliska przyjrzał się jego nosowi. Richard czuł zapach raków w jego oddechu.

– Nie złamałem ci go – powiedział Madu i wyprostował się.

Richard wycierał nos. Ogarnęły go ciemności, a kiedy ustąpiły, wiedział już, że nigdy więcej nie zobaczy Kainene, a jego życie na zawsze przypominać będzie pomieszczenie oświetlone blaskiem świecy; będzie widział tylko cienie wszystkiego, jedynie krótkotrwałe mgnienia.

Po chwilach realnej nadziei, kiedy Olanna była przekonana, że Kainene wróci, następowały okresy przenikliwego bólu, potem kolejna gwałtowna fala wiary kazała jej nucić pod nosem, aż nadchodziło przygnębiające załamanie, a ona leżała zdruzgotana na podłodze, nie mogąc pohamować płaczu. Odwiedzała ją panna Adebayo i mówiła coś o żalu słowami, które brzmiały mile i gładko: „Żal stanowi formę hołdu dla miłości, jeśli ktoś potrafi odczuwać prawdziwy żal, to znaczy, że jest szczęśliwcem, któremu dane było kochać”. Ale Olanna nie czuła żalu, to uczucie było dużo potężniejsze. I dużo dziwniejsze od żalu. Nie wiedziała, gdzie jest jej siostra. Po prostu nie wiedziała. Była wściekła na siebie, bo nie obudziła się wcześniej tamtego dnia, gdy Kainene wychodziła na afia attack, bo nie wiedziała, w co Kainene się ubrała, bo z nią nie poszła, tylko zaufała Inatimiemu, który twierdził, że wie, gdzie ją prowadzi. Wściekała się na cały świat, gdy wsiadała do autobusu albo zajmowała miejsce obok Odenigba czy Richarda, by pojechać do zatłoczonych szpitali i zakurzonych budynków w poszukiwaniu Kainene, i nie znajdowała jej tam.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła się ze swoimi rodzicami, ojciec zawołał do niej: „Ola m”, moje złotko, choć wolałaby, żeby tak jej nie nazywał, ponieważ czuła się zbrukana.

– Nawet nie zobaczyłam się z Kainene przed jej wyjściem. Kiedy się obudziłam, jej już nie było – powiedziała im.

– Anyi ga-achota ya, znajdziemy ją – zapewniła matka.

– Znajdziemy ją – powtórzył ojciec.

– Tak, znajdziemy ją... – Również Olanna to powiedziała, mając wrażenie, że wszyscy w rozpaczce wbijają paznokcie w twardą pokaleczoną ścianę. Opowiadali sobie historie ludzi, którzy zostali odnalezieni, którzy wrócili, choć zaginęli na całe miesiące. Nie opowiadali sobie jednak innych historii, o tych wciąż zaginionych, o rodzinach grzebiących puste trumny.

Ci dwaj żołnierze, którzy przyszli i zjedli ryż jollof, doprowadzili ją do furii. Leżąc na podłodze w salonie, modliła się, żeby nie znaleźli jej biafrańskich funtów. Po ich wyjściu wyjęła złożone banknoty ze schowanej w bucie

koperty, wyszła z domu i zapaliła zapalniczkę pod drzewem cytrynowym. Odenigbo patrzył, co ona robi. Nie pochwalał tego, wiedziała o tym, on swoją flagę trzymał złożoną w kieszeni spodni.

– Palisz pamięć – powiedział.

– Nie. – Nie obdarzyłyby pamięcią rzeczy, które w każdej chwili ktoś obcy może zabrać. – Moja pamięć jest we mnie.

Mijały tygodnie, ponownie zaczęła płynąć woda, na podwórze powróciły motyle, a Dzidzi odrosły kruczoczarne włosy. Z zagranicy nadeszły dla Odenigbo pudła z książkami. „Dla ograbionego przez wojnę miłośnika Davida Blackwella”, brzmiała wiadomość, „od kolegów z braterskiej społeczności matematyków”. Odenigbo śleczął nad nimi całymi dniami. „Spójrz, miałem pierwsze wydanie tej książki”, często powtarzał.

Edna przysłała książki, ubrania i czekoladę. Olanna patrzyła na dołączone zdjęcia, na których Edna wyglądała jak zupełnie obca osoba, nieznaną kobietą mieszkającą w Bostonie, która miała przetłuszczone włosy po prostowaniu. Odniosła wrażenie, że tak wiele czasu upłynęło, odkąd Edna mieszkała po sąsiedzku przy Elias Avenue, a jeszcze więcej odkąd to podwórze przy ulicy Odim określało granice jej życia. Chodząc na długie spacerunki po kampusie, mijając korty tenisowe i plac Wolności, rozmyślała o tym, jak niewiele czasu trzeba, żeby odejść, a jak powoli się powraca.

Jej konto bankowe zniknęło. Po prostu już go nie miała. Czowała się, jakby ktoś siłą ją rozebrał, porwał całe jej ubranie i zostawił ją nagą i drżącą na chłodzie. Widziała w tym jednak jakiś dobry znak. Skoro straciła oszczędności, nie mogła utracić siostry; Stróż losu nie mogą być aż tak podli.

– Dlaczego ciocia Kainene jeszcze jest na afia attack? – często pytała Dzidzi, patrząc spokojnie, ale podejrzliwie.

– Przestań mnie, dziecko, o to pytać! – odpowiadała jej Olanna. Jednak również w pytaniu Dzidzi dostrzegała jakiś znak, choć jeszcze nie potrafiła rozszyfrować jego znaczenia. Odenigbo powiedział jej, że powinna przestać we wszystkim doszukiwać się znaków. Irytował ją jego sprzeciw, kiedy mówiła o znakach świadczących o powrocie Kainene, lecz później była mu wdzięczna, bo to oznaczało, że on nie wierzy, żeby mogło wydarzyć się coś, co sprawi, że jego sprzeciw okaże się niestosowny.

Kiedy przyjechali do nich krewni z Ummunachi i zaproponowali, by porzucić się dibi, Olanna poprosiła wujka Osi ta o wyświadczenie jej tej przysługi. Dała mu butelkę whisky i pieniądze na zakup kozy dla wyroczeni. Potem wybrała się nad rzekę Niger, żeby wrzucić do niej zdjęcie Kainene. Pojechała

do domu Kainene w Orlu i trzy razy go obesza. I odczekała też tydzień, jak kazał dibia, ale Kainene nie wróciła do domu.

– Może coś źle zrobiłam – powiedziała do Odenigba. Byli w jego gabinecie. Po całej podłodze walały się poczerńiałe skrawki kartek jego na wpół spalonych książek.

– Choć wojna się skończyła, głód jeszcze trwa, nkem. Ten dibia po prostu miał chęć na kozie mięso. Nie możesz w to wierzyć.

– Aleja wierzę. Wierzę we wszystko. Uwierzę we wszystko, co może sprowadzić moją siostrę do domu. – Podniosła się i podeszła do okna.

– My powracamy.

– Co?

– Mówią u nas, że wszyscy się odradzamy, prawda? – wyjaśniła.

– Uwa m, uwa ozo. Kiedy odrodzę się w następnym życiu, Kainene będzie moją siostrą.

Zaczęła cichutko płakać. Odenigbo objął ją ramionami.

8. Książka: Świat milczał, kiedy myśmy umierali

Na koniec Ugwu pisze dedykację: Dla pana, mojego dobrego człowieka.

OD AUTORKI

Niniejsza książka oparta jest na wydarzeniach wojny, która toczyła się w latach 1967-1970 między Nigerią i Biafrą. Chociaż za pierwowzór niektórych bohaterów posłużyły mi żyjące osoby, ich przedstawione w książce postaci są fikcyjne, podobnie jak towarzyszące im wydarzenia. Poniżej zamieściłam listę anglojęzycznych książek (w większości używających zangielszczonej formy Ibo dla Igbo), z których korzystałam. Ich autorom wiele zawdzięczam. W stworzeniu atmosfery biafrańskiej klasy średniej szczególnie przydatne były książki Vincenta Chukwuemeki Ikego „Sunset at Dawn” i Flory Nwapy „Never Again”; życie Christophera Okigba i jego poezje z tomu „Labyrinths with Path of Thunder” zainspirowały postać Okeomy, a relacja „Nigerian Revolution and the Biafran War” Aleksandra Madieba miała kluczowe znaczenie dla stworzenia postaci pułkownika Madu.

Nie mogłabym jednak napisać tej książki bez moich rodziców. Mój mądry i wspaniały ojciec, profesor Nwoye James Adichie, Odelu Ora Abba, wiele z opowiadanych przez siebie historii kończył słowami agha ajoka, co w moim dosłownym tłumaczeniu znaczy: „wojna jest bardzo brzydka”. Mam wrażenie, że zarówno on, jak i moja opiekuńcza i oddana matka, Ifeoma Grace Adichie, zawsze chcieli mi uzmysłwić, że znaczenie ma nie to, przez co oni przeszli, tylko to, że przetrwali. Jestem im wdzięczna za ich opowieści i za znacznie więcej.

Składam hołd mojemu wujkowi Maiemu, Michaelowi E. N. Adichiemu, rannemu w walkach 21. Batalionu Biafrańskiej Armii, który z wielkim wdziękiem i humorem opowiadał mi o swoich doświadczeniach.

Chciałabym też uczcić pamięć mojego wspaniałego wujka CY (Cypriana Odigwego, 1949-1998), walczącego w szeregach biafrańskich komandosów, mojego kuzyna Pauly’ego (Paulinus Ofili, 1955-2005), który podzielił się

ze mną swoimi wspomnieniami z życia trzynastolatka w Biafrze, i mojego przyjaciela Okli (Okoloma Maduwesi, 1972-2005), który już nie będzie trzymał tej książki pod pachą jak poprzednią.

Na podziękowania za wiarę, że jestem lepsza, niż jestem, zasłużyła cała moja rodzina: Toks Oremule i Arinze Maduka, Chisom i Amaka Sonny-Afoekelu, Chinedum i Kamsi Adichie, Ijeoma i Obinna Maduka, Uchę i Sonny Afoekelu, Chukwunwike i Tinuke Adichie, Nneka Adichie Okeke, Okechukwu Adichie i zwłaszcza Kenechukwu Adichie; wszyscy członkowie rodziny Odigwe z Umannachi i rodziny Adichie z Abby; moje „siostry”, Urenna Egonu i Uju Egonu, i mój „braciszek” Oji Kanu.

Szczególne wyrazy wdzięczności niechaj przyjmą: Ivara Esege; Binyavanga Wainaina za doskonałą krytykę; Amaechi Awurum za nauki o wierze; Ike Anya, Muhtar Bakare, Maren Chumley, Laura Bramon Good, Martin Kenyon i Ifeacho Nwokolo za pracę wykonaną podczas czytania pierwszych wersji książki; Susan Buchan za zdjęcia zrobione w Biafrze; Vermont Studio Center za ofiarowany mi czas i miejsce; oraz profesor Michael J. C. Echeruo, którego uczone i szczodrze udzielane uwagi skłoniły mnie do poszukiwania drugiej połówki słońca.

Na podziękowania zasłużyła także moja niezrównana agentka, Sarah Chalfant, za zapewnienie mi poczucia bezpieczeństwa, oraz Mitzi Angel, Anjali Singh i Robin Desser, moje wspaiałe i wymagające redaktorki.

Obyśmy nigdy nie zapomnieli.

Chinua Achebe, *Girls at War and Other Stories*
Elechi Amadi, *Sunset in Biafra*
J. L. Brandler, *Out of Nigeria*
Robert Collis, *Nigeria in Conflict*
John De St. Jorre, *The Nigerian Civil War*
Herbert Ekwe-Ekwe, *The Biafran War: Nigeria and the Aftermath*
Cyprian Ekwensi, *Divided We Stand*
Buchi Emecheta, *Destination Biafra*
Ossie Enekwe, *Come Thunder*
Frederick Forsyth, *Biafra Story*
Herbert Gold, *Biafra Goodbye*
Chukwuemeka Ike, *Sunset at Dawn*
Eddie Iroh, *The Siren in the Night*
Dan Jacobs, *The Brutality of Nations*
Anthonia Kanu, *Broken Lives and Other Stories*
Alex Madiebo, *The Nigerian Revolution and the Biafran War*
Michael Mok, *Biafra Journal*
Rex Niven, *The War of Nigerian Unity*
Hilaiy Njoku, *A Tragedy Without Heroes*
Arthur Agwuncha Nwankwo, *The Making of Nation*
Flora Nwapa, *Never Again*
Flora Nwapa, *Wives at War*
Benard Odogwu, *No Place to Hide: Crises and Conflicts Inside Biafra*
Christopher Okigbo, *Labyrinths*
Ike Okonta i Oronta Douglas, *Where Vultures Feast*
Joseph Okpaku, *Nigeria: Dilemma of Nationhood*
Kalu Okpi, *Biafra Testament*
Wole Soyinka, *The Man Died*
John J. Stremlau, *The International Politics of the Nigerian Civil War*
Ralph Uwechue, *Reflections on the Nigerian Civil War*
Alfred Obiora Uzokwe, *Surviving in Biafra*